

1872. XUV. 180.

WYDANIE  
BIBLIOTEKI POLSKIEJ W PARYŻU.

---

# ROCZNIKI POLSKIE

Z LAT

1857-1864

---



TOM PIERWSZY

ROK 1857

---

PARYŻ

DRUKARNIA E. MARTINET

ULICA MIGNON, 2

1865

~~Hist. 782.~~



WYDAWCA: WILK I MESSNER  
WARSZAWA

ALBERT WILK — WYDAWCA  
WARSZAWA, ULICA...  
1882

# ROCZNIKI POLSKIE

WARSZAWA, ULICA...  
1882

## TOM I.

WARSZAWA, ULICA...  
1882

888 1/2

DZIELA STARANIEM LUB NAKŁADEM BIBLIOTEKI  
POLSKIEJ WYDANE :

- J. U. NIEMCEWICZ. — Podróże historyczne po ziemiach polskich, między r. 1811 a 1828 odbyte. Paryż, in-8., maj, 1858.
- J. U. NIEMCEWICZ. — Notes sur ma captivité à Saint-Pétersbourg, Paris, in-8, 1841.
- ALBERTI DUCIS PRUSIÆ. — Marchionis Brandeburgensis, Libri de arte militari. Lutetiæ Parisiorum, in-fol., 1858.
- LETTRES DE PIERRE DE NOYERS, secrétaire de la Reine de Pologne, Marie-Louise de Gonzague (1656-1659). Berlin, in-8, 1858.
- KARTA DAWNEJ POLSKI z przyległemi okolicami krajów sąsiednich. Paryż, 1859, ark. 48.
- X. KRZYSZTOFA RADZIWIŁŁA H. P. L. Sprawy wojenne i polityczne (1621-1659). Paryż, in-8, maj 1859.
- LESCOEUR. — L'Église catholique en Pologne sous le gouvernement russe. Paris, in-8, 1860.
- X. A. CZARTORYSKI. — Żywot J. U. Niemcewicza. Berlin in-8, 1860.
- PRZEWODNIK NAUKOWY W PARYŻU dla młodzieży polskiej. Paryż, in-12, 1860.
- INVENTARIUM privilegiorum, litterarum, diplomatum quæcunque in archivo Regni Poloniæ continentur. Lutetiæ Parisiorum, in-8, maj 1862.
- RELACYE NUNCYUSZÓW APOSTOLSKICH i innych osób o Polsce (1548-1690). Berlin in-8, maj, tom I, II. 1864.

WYDANIE  
BIBLIOTEKI POLSKIEJ. W PARYŻU.

---

# ROCZNIKI POLSKIE

Z LAT

1857-1861

---

TOM PIERWSZY

ROK 1857

---



PARYŻ

DRUKARNIA E. MARTINET

ULICA MIGNON, 2

1865

WYDAWIE  
BIBLIOTEKI POLSKIEJ W KRAKOWIE

ROZCZNIKI-POLSKIE



19437.I

Biblioteka Jagiellońska



1002547241



# SPIS RZECZY

TOMU PIERWSZEGO.

str.

Wstępne słowo . . . . .	1
« Krewni » powieść przez Korzeniowskiego . . . . .	5
Dyaryusz Kazimierza Platera . . . . .	38
Zale Polaków na zachód . . . . .	43
O Radziejowskim i Zebrzydowskim . . . . .	49
Charakter dziennikarstwa Warszawskiego . . . . .	54
Zapis Jana Maciąga . . . . .	76
Listy o Królestwie :	
I. Stan prowincyi po zawarciu pokoju paryzkiego . . . . .	79
II. Gospodarstwo rolne. Szlachta . . . . .	87
III. O Arystokracji polskiej . . . . .	96
IV. O Duchowieństwie w Królestwie . . . . .	103
V. Wychowanie publiczne . . . . .	115
VI. Żydzi i przedajność Rosyjan . . . . .	121
Listy z Drezna:	
I. O podróżujących za granicą . . . . .	133
II. O wychowaniu za granicą . . . . .	140
Agronomiczny korespondent Kroniki Warszawskiej . . . . .	147
Literatura rosyjska emigracyjna . . . . .	150
O Zabawach . . . . .	169
Zdanie Jenerała Załuskiego o powieścio-pisarstwie polkiem . . . . .	170
» Pomniki prawa polskiego » przez A. Z. Helcla . . . . .	177
Podanie szlachty Guberni Witebskiej . . . . .	185
Sztuka Polska . . . . .	191
Nasze zadania i uchybienia . . . . .	236
Listy o stanie Litwy od śmierci Mikołaja . . . . .	244
O wydawnictwie materyałów historycznych . . . . .	262

## Listy o Rusi:

I. O kredycie publicznym i jego wpływie na moralność publiczną. . . . .	270
II. Bałagulstwo. . . . .	280
III. Rządy Bibikowa. . . . .	290
IV. Wychowanie w zakładach rossyjskich . . . . .	303
V. O młodzieży w ziemi ruskiej. . . . .	319
Nieogłędność dzienników krajowych. . . . .	331
Literackie Dziwadła. . . . .	339
« Etude historique sur la révolution française par un étranger » .	351
Dzieje panowania Augusta II. . . . .	361
Adres Uczniów Towiańskiego do Cesarza Alexandra. . . . .	388
Koleje żelazne w trzech Guberniach ruskich . . . . .	392
Polityka zagraniczna Dziennikarstwa Polskiego. . . . .	408
Dziennikarstwo oddane; zabawie. . . . .	419
Kościół Polski w Paryżu. . . . .	430
Kokoszniki. . . . .	434
O młodzieży Polskiej bawiącej za granicą. . . . .	436
Listy pana Kraszewskiego w Gazecie Warszawskiej. . . . .	447
« Gładyatorowie » przez p. Lenartowicza. . . . .	461
Język polski i nasi pisarze. . . . .	487
Niemcy i koleje żelazne. . . . .	502

**ROCZNIKI POLSKIE.**

1. O podziale państwa na województwa	100
2. O podziale województwa na powiaty	100
3. O podziale powiatu na gminy	100
4. O podziale gminy na sołectwa	100
5. O podziale sołectwa na domki	100
6. O podziale domku na rodziny	100
7. O podziale rodziny na osoby	100
8. O podziale osoby na osoby	100
9. O podziale osoby na osoby	100
10. O podziale osoby na osoby	100

# ROZWIĄZANIE

W tym celu należy wyznaczyć...



Rozpoczęte przed powstaniem, w ciągu powstania ukończone, teraz dopiero wydanie niniejsze na widok publiczny wychodzi. Są to zebrane razem i na żądanie niektórych obywateli krajowych, po raz wtóry ogłoszone główne artykuły pisma *Wiadomości Polskie*, które od r. 1857 aż do miesiąca Lutego w 1861 wydawane było w Paryżu. Byłoby to zbyt niemiłym uroszczeniem, takiemu przedrukowi dawać nazwę *Roczników*? .... Zbiór ten, w każdym razie, przedstawia, wprawdzie niewykończony, ale dość wierny obraz kilkuletnich cierpień, prac i nadziei narodu; obraz codzienny epoki nieodległej, tak rozważnie zaczętej a tak srodze przerwaną, i który, u późniejszego widza, może na tém większą zasłużyć ufność, im wcześniej dawał przeczuwać grożące niebezpieczeństwa i do ich powstrzymania upominał.

Wszakże, nie samo tylko dostarczenie historycznego materiału ma na celu przedruk niniejszy.

Mimo zmienione tak znacznie położenie, nie zmieniły się przecież ani zadania, ani obowiązki nasze, a w niejednym razie nawet i środki służenia. Co było prawdą lat temu kilka, to i dziś jeszcze może być prawdą, choć niezawodnie trudniejszą do urzeczywistnienia. Niejedna myśl lub spostrzeżenie, które nasuwały się w ciągu prac minionych, mogą i teraz znaleźć swe zastosowanie, jeśli nie wszędzie, to w tych prowincjach, na które ciężar mozolnego dźwigania sprawy głównie zdaje się spadać w chwili obecnej.

Lecz gdy tyle, w ostatniej burzy, rozwiało się marzeń i rwących nadziei, miałyby tylko ta czteroletnia praca tułacza od złudzeń być wolną? Nie, zaprawdę! A ostrzegać zbytecznie, w czém zajść musiała zmiana widzenia. Doświadczenie przekonało raz jeszcze, że wiara w potęgę świata może być omylną; że mimo najpomysłniejszych pozornie okoliczności na zewnątrz, naród uciemiężony do wewnętrznych jedynie sił i zasobów winien stosować swoje zamysły i objawy; że wkońcu, z dzieł ludzkich te tylko mają warunki trwałości, te oprzeć się mogą gwałtownym podmuchom, którym, do wzrostu i dojrzewania, wewnętrzne, rodzime ciepło wystarcza....

W marcu, 1865.

## WSTĘPNE SŁOWO.

---

3 stycznia.

Zabraliśmy się do wydawania naszego dziennika, i częściej i stale w oznaczonym dniu tygodnia, właśnie kiedy wielka cisza polityczna pozbawia coraz bardziej pismo emigracyjne właściwego mu żywiołu. Ponieważ przytém obiecaliśmy zajmować się literaturą narodową, i może często wypadnie całe numera jój poświęcać, nie chcielibyśmy, żeby przeto urosło mylne mniemanie, że dziennik nasz odłożył na stronę swoje powołanie pierwotne i staje się zupełnie literackim.

*Wiadomości Polskie*, nie zmieniając swego charakteru, będą przedewszystkiém miały na oku bieg wypadków dążących do rozstrzygnięcia zadań, w które losy wielu narodów, i naszego, są uwikłane. Pomimo pozornój przerwy tego biegu, nie nam nie odbiera wiary, że żyjemy w epoce czynu, i teraz jak przed rokiem, uważamy za rzecz niewłaściwą zapuszczać się w teorye lub rozprawy, nie mające ścisłego związku z tém, co się obecnie dzieje, albo za chwilę dzieć się może. Prawdło to rozciągamy aż do zajęcia się naszego literaturą.

Oglądając się po świecie zewnętrznym, gdzie tak mało obiecujących dla nas widoków, musimy często zagłębiać myśl w tajniki ducha narodowego, z kąd najpewniejszej podstawy nadziejom naszym spodziewać się



winniśmy. Wpatrujemy się więc w obecne pismienictwo krajowe, którego ruch niezwykle ożywiony tém bardziej zwraca nań uwagę, a wpatrujemy się nie okiem estetyków i artystów, ale wychodźców wszędzie i zawsze szukających wróżby o losie ojczyzny, czujnych na każdy objaw siły i dążności narodowej.

Pismienictwo wszelkie, a tém więcj pismienictwo narodu będącego w tak wyjątkowém położeniu, może nie jest dość czystém i wierném zwierciadłem, w którémby odbijał się cały wyraz jego uczuć i myśli; wszakże uważać je przynajmniej należy za jedyne okno, choć ciasne i zakratowane, przez które zajrzeć można w życie wewnętrzne uwięzionej Polski, zwłaszcza kiedy kto znajdzie się na dogodnym stanowisku, a takim jest nasze, emigracyjne.

Oddaleni od rodzinnj ziemi, wszystkie jej części możemy objąć jedném, o każdą równie troskliwém spojrzeniem; odosobnieni od społeczeństwa krajowego, nie jesteśmy otoczeni siecią tych drobnych stosunków i względów, które łatwo sąd krzywią, zaciemniają, lub w szeregach topią.

Na miejscu, w kraju, pisarze przewodniczący nawet ruchowi literackiemu mogą częstokroć stracić z oka wysoki punkt swego powołania, unieść się w stronę, środek wziąć za cel, przylgnąć do formy z zaniedbaniem treści, zapomnieć na chwilę jakiego narodu i jakimi są urzędnikami. Słowo prawdy, uwagi, przestrogi, przypomnienia, nie jestże wtedy powinnością braci — niekoniecznie mędrszych i lepszych, ale z położenia swego zdolniejszych jaśniej całą rzecz widzieć? I słowo takie miałożby źle lub obojętnie być przejęte?

Na ziemi swojój, wśród życia z którego pismienictwo wypływa i w które wpada, pisarze i publiczność są objęci atmosferą spraw i stosunków codziennych, powszednich, ludzkich. Osobista przychylność lub niechęć, koteryjna pobłażliwość lub surowość, tysiączne



interesa, nie wyłączając księgarsko-rachunkowych, muszą tam mieć udział w różnych zdaniach krytyki. Od tego wszystkiego jesteśmy wolni. Kogoż mielibyśmy szczególniejsz kochać lub nienawidzić, chwalić lub ganić! Z nikim nie łączy nas pobocznych względów wymagająca znajomość, ze wszystkimi miłość ojczyzny. W imię tej miłości tylko poważamy się sądzić i pragniemy być sążeni.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcielibyśmy dać się usłyszeć ziomkom i mamy prawo być uważnie słuchani. Pomimo napotykanie w dziennikach krajowych protestacye przeciw umysłowemu zwierzchnictwu Zachodu, wpływ jego, tak na życie jak i na piśmiennictwo polskie, nie przestał być ciągłym i silnym, a najczęściej brany w ten sposób, że dobre nie dochodzi, złe zaś przyjmuje się i wzrasta bujniej niż na własnym gruncie. W głównym ognisku tego Zachodu skazani żyć lat wiele, a żyć nie na błyszczącej powierzchni ale w podziemiach społeczeństwa, ocierając się nagą duszą o wewnętrzne sprężyny kosztownej dekoracyi, możemy widzieć z kąd co wychodzi, i pierwój nim skwapliwi naśladowcy ubiegą kawał drogi, powiedzieć im dokąd doszło.

Z tych wszystkich przyczyn, część literacka dziennika naszego nie może być prowadzona w sposób zwykłych przeglądów piśmiennictwa; nie wypada nam poświęcić jej całkiem krytyce estetycznej, rozbiorowi wszelkich dzieł nowych, zdawaniom sprawy z osnowy i wartości artystycznej utworów pisarskich ukazujących się w kraju lub tutaj między nami, a tém bardziej utrzymywaniu rejestru doniesień bibliograficznych. Będzie to miało miejsce o tyle, ile jest potrzebnym do głównego celu. Właściwie mówiąc, nie literatura sama, ale jej dążność i działanie na ducha narodowego ma nas zajmować. Winniśmy wprowadzić naszym czytelnikom emigracyjnym niektóre wiadomości, niezbędne dla pojęcia stanu piśmiennictwa krajowego, i nie zapomnimy

o tém; wszakże zrozumiałwszy dobrze nasz zamiar, wybaczą zapewne, że nie ich jednych mamy na widoku.

Nieraz zastanawiając się nad tém, kto jest i być powinien naszą publicznością, uczuliśmy, że nie należy nam zakreślać sobie szczupłego okręgu, i troszczyć się jaką drogą pójdzie tęskne do swoich słowo. W ciszy jesienniej, skrzydlate nasionka odrywają się od uwiędłych łądyg i płyną w powietrzu, nie wiedząc gdzie im przylgnąć przeznaczono. Jeżeli które z naszych słów, owoc bolesnej miłości i pracy, będzie miało wagę płodnego ziarna, ufamy, że nie zmarnieje. Bogdajby opatrzny wiatr zaniósł je na ojczystą ziemię i rzucił przed oczy pracowników powołanych uprawiać niwę narodowego umysłu.

# KREWNI

POWIEŚĆ P. KORZENIOWSKIEGO.

---

10, 17, 24 stycznia.

## I

Można temu złorzeczyć lub przyklaskiwać, można w imię ideału nad tém ubolewać, albo w imię postępu z tego się cieszyć, ale nie można temu zaprzeczyć, że wszystko w naszych czasach dąży do upowszechnienia a zarazem i do spowszednienia. Myśl już nie jest numizmatem starannie zbieranym przez miłośników, przechowanym i cenionym przez rzadkich znawców; jest ona monetą przechodzącą z rąk do rąk, przez rąk jak najwięcej, i w miarę właśnie większego obiegu tém bardziej cenioną; ale ta moneta bywa nieraz bardzo mięszanego kruszcu, a w obiegu swoim traci zazwyczaj wzniosłe piętno nadane sobie pierwotnie w tajemniczej ducha mennicy. Koło cywilizacyjne się coraz rozszerza, promień oświaty nie spoczywa już wyłącznie na wyżynach społeczeństwa i daleko głębiej przenika, nietylko same wielkie mianowniki, ale masy wchodzą w rachubę świata politycznego i moralnego — i któż nie zechce w tém uznać opatrnej woli, któż będzie śmiał zaprzeczyć historycznej konieczności tej przemiany? A wszakże, jak we wszystkich przemianach, tak i tutaj, niepowetowane straty idą w parze z niezapreczonemi zyskami, i



z dojrzewającym owocem nie jeden piękny liść opada — liść niejednemu od samego owocu milszy i droższy. Horyzontalna dynamia ludzkości się wzmaga, ale wertykalna opada; działania się stają obszerniejsze, ale dzieła drobniejsze; ogół potężnieje, a indywidualności maleją. W dwóch jedynych wielkich wojnach, których był świadkiem wiek nasz po skończonej epopei napoleońskiej, palmę zaszczytu, palmę powszechnego uznania odniósł ni wódz żaden ani żaden naczelnik; odniosło ją dwóch bohaterów «których imię legia» *Czwartak i Żwaw*: imię pułku nie hetmana, imię masy nie osoby — rzec także można, imię ducha nie geniuszu.

Ten sam objaw postrzegać się daje i w literaturze współczesnej. I tu coraz mniej widzimy mistrzów słowa, a coraz więcej pisarzy, coraz mniej arcydzieł, a coraz większy ruch literacki. Artyści, poeci, nie tworzą teraz w zaciszy natchnienia dla umysłów wybranych, sympatycznych, dla tych, z którymi ich łączy spółka ducha i uczucia. I oni też przedewszystkiēm masy mają na widoku; masy narzucają im swoje warunki, swoje zachcenia, swoje potrzeby, z których największą a bodaj najfatalniejszą jest potrzeba ciągłego spożywania pokarmu choćby najmnieē zdrowego. Jeszcze tak niedawno powiedział Schiller, iż «kto najlepszym swego czasu zadosyć uczynił, ten uczynił dosyć po wszystkie czasy» — ale jakżeż prędko przebrzmiały te piękne, te dumne słowa! Nie najlepszych ale najliczniejszych swego czasu usiłują zadowolnić obecni pisarze, i dosć uczynili, gdy wyrobem swym zapełnili próżnię jednego wieczoru i jednego feletonu. Nic charakterystyczniejszego pod tym względem nad owe wyrażenie *ruchu literackiego*, o które-meśmy dopiero co wspomnieli, które w tak powozeczne weszło używanie i które naiwnie przypomina pokrewne wyrażenia o ruchu kapitałów, kolei żelaznych i t. d. Ale ze zjawiska tego tylko te statystyczne dusze chyba cieszyć się potrafią, które i duchowe bogactwo we-



dług ekonomicznych praw popytu i odbytu oszacować zamysłają, które nie o jakość ale o ilość dzieł się pytają, i przemysłowe gospodarstwo radeby rozciągnęły aż do niwy poetycznej. Dla każdego myślącego i czującego przeciwnie, fakt to będzie bolesny, przestraszający, i stanie się dlań źródłem niejednego skrupułu, niejednej gorzkiej uwagi. Umysł najskłonniejszy do sympatyzowania z ogólną, niwelującą dążnością wieku, najskorszy do uznania jęj konieczności, do hołdowania jęj sile, do głoszenia jęj dobrodziejstw, zachwiać się jednak musi i zaniepokoić, skoro owa dążność się objawia i w dziedzinie sztuki, skoro twory zapału, uczucia i wyobraźni przybierają powszechne średnie rozmiary szczęśliwej mierności, skoro i potok natchnień zaczyna płynąć — potocznie, coraz szerszém ale i coraz płytszém korytem. Mniej pałaców a więcej porządnych chat; mniej świetnych czynów a więcej dobrych uczynków; mniej bohaterów a więcej obywateli; mniej półbogów a więcej ludzi... Zgoda! Ale czy też i mniej geniuszów a więcej talentów, mniej Rafaelów a więcej Dowów, mniej *Irydionów* a więcej *Gawęd*?... Żądać lub tylko dozwolić tego, aby sztuka przestała być idealną, natchnioną; żądać lub tylko dozwolić tego, aby lot swój niebieski zwinęła i poziomego nam dotrzymała kroku; aby zamiast nas prowadzić do słońca, z nami przy naszj ekonomicznj zasiadała lampie — nie jestże to nie tylko ubliżyć jęj godności, ale odebrać jęj wszelką racją bytu? Bo jakież inne jęj powołanie, jakież inne może być zadanie jak to, aby nas z cieśni codziennych stosunków prowadziła w świat rozleglejszy i piękniejszy, w świat, w którym ustają wszelkie przypadkowości i mierności naszego zwykłego życia, w którym zapał tworzy cudy, a natchnienie łamie, czego rozum łamać nie jest w stanie? I, czyż właśnie w czasach jak dzisiejszych nie większa tego niż kiedykolwiek potrzeba? Czyż właśnie w epoce, w którj wszystko maleje i powszednieje,

nie potrzeba, aby przynajmniej poezya nam przedstawiała figury wielkie, idealne, aby wśród otaczającego nas zewsząd dymu, nie dział ale kotłów, odślaniała nam raz po raz czyste, i jak najczystsze niebo Olimpu, aby nam dała poznać, poczuć, przeczuć choćby tylko, że jest jeszcze wyższa moralność nad dobrze zrozumianą Franklina, i cudowniejsza jeszcze droga nad *railway* — ta, która *od serca prowadzi do Boga?*...

Jeśli z tego stanowiska zechcemy zapatrywać się na znaczenie i powołanie literatury, nie łatwo nam przyjdzie wtorować tym naszym pismom krajowym, warszawskim szczególnie, które z taką chlubą i z takim zadowoleniem wspominają o wzrastającym coraz bardziej pismienictwie naszym, o wzmagającej się liczbie autorów i rozszerzającym się kole czytelników; i będziemy nieraz musieli żałować tych ledwie co ubiegłych, a jednak już tak dalekich czasów, w których rzadkie a wielkie geniusze trzymały pochodnią myśli. Mniej w ówczas było piszących, ale ileż natchnionych! Mniej wtenczas było czytelników, ale ileż za to serdecznych wielbicieli! Mniej biegłości i rutyny, ale ileż zapału i prawdziwego namaszczenia! Dzieła nie objawiały się jak dziś tłumnie i stosami, ale każde z nich było prawie czynem; wypowiadało, czasami nawet przepowiadało jakąś wielką kryzę w życiu politycznym lub moralnym, obejmowało w sobie cały świat myśli i uczuć, i ociężała bryłę człowieka nowemi pchało tory. Literatura nie toczyła się, jak teraz, ciąglem, jednostajnym i powolnym korytem; wyrывała się tylko raz poraz falami, ale falami potężnemi, które uderzając i rozbijając się o męzką pierś narodu, zostawiały po sobie perły i korale i te pieśni nieśmiertelne, z których późne wieki uplotą wieniec Polski ówczesnej. *Wiesław i Marya, Grażyna i Konrad, Zamek Kaniowski i Król Zameczyska, Historia Powstania i Dziady, Księgi Pielgrzymstwa i Pan Tadeusz, Nieboska i Irydion, Przedświt i Psalmi, Anelli*

i *Bieniowski*, *Rzecz o Słowiańszczyźnie* i *Ojciec-Nasz*, każdy z tych utworów był objawieniem, był hasłem do wielkiego boju, był wyzwaniem: nieraz do zwycięztwa, nieraz i do klęski, ale w każdym razie wyzwaniem do walki, do ścierania się sił moralnych, do spotkania się duchów w najwyższej sferze myśli i wiary. Prawdy były żywotne, a błędy tytaniczne; wieszczona były sybilińskie, a złudzenia prometeuszowe. Każdy z tych utworów przedstawiał czyny i charaktery, do których gdy się człowiek choć myślą tylko dociągał, już się stawał wyższym i szlachetniejszym, już szukał szabli u boku, bratniej dłoni obok siebie; każdy z nich dotykał najgłębszych tajemnic ducha i najstraszniejszych zagadek bytu, i pleśniejącą korę zdierał z drzewa życia i wiedzy. Nad każdym z tych dzieł dumiał naród długo i uroczyście; z każdego z nich odbierał wrażenia silne i trwałe; w słuchaczach była ta wzniosłość co i we wieszczach, a spory nawet tych wieszczów nosiły cechę niewypowiedzianej wielkości! Bo któż n. p. obecne mizerne kłótnie naszych literatów będzie śmiał porównać z ową prawdziwą tytanomachią Juliusza i Psalmisty, z owym sporem uroczystym, gromowładnym, który błyskawicą geniuszu raz jeszcze rozświetlił niezmiernie głęboką ludzkość, i o którym zaprawdę słowami jednego z jego uczestników powiedzieć się godzi, że w nim walczyli

*nie wrogii,*

*Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi!*

Takich wielkich zadań nie stawia już sobie teraz literatura nasza. Brak jej do tego widocznie potrzebnego namaszczenia, może i sumienia; brak jej przedewszystkiem tego piętna cierpienia, o którym mówi Mickiewicz, że jest wcale różnym od boleści pojedynczego człowieka i artystowskiej: cierpienia za miliony. Widać wszędzie pewne zadowolenie, jakąś scepty-



czną rezygnacją na *status quo*, jakieś rodzenie bez bólu i bez miłości. Wszędzie uderza ubóstwo myśli, poziomość życzeń, i to próżniactwo ducha, które bynajmniej nie wyklucza zadziwiającej nieraz pracowitości pióra. Zład i owe zdumiewające niekiedy zaniedbanie stylu, luźne i znużone przeprowadzenie żywo zrazu poczętego planu, w ogóle robota pośpieszna, a dowodząca tylko nieuszanowania publiczności i własnej pracy.

Ze w takim usposobieniu umysłów, romans musiał się stać naczelną formą twórczości, jest pojawem równie naturalnym jak bolesnym. Żadna bowiem inna forma do tego stopnia nie odpowiada tej łatwości poczęcia i przyjęcia; żadna inna nie wymaga mniej skupienia myśli w autorze, uwagi w czytelniku. Romans jest *epopeą status quo*, jest poetycznym uświęceniem *codziennosci*; a pod tym względem rozpowszechnienie jego i wziętość, którą zyskuje, bodajby tylko były estetycznym a nie etycznym symptomem, — niebezpiecznym symptomem i stanu ducha narodowego! Bo zaprawdę źleby było, gdyby duch polski chciał wejść w ugodę z obecnością i koncesyje robić ze swego ideału! Do tej ugody i do tych koncesyj romans poniekąd prowadzi...

Wiemy wprawdzie, że romans u nas inne ma urozczenia, że według jego pisarzy ma on być formą nową, a nawet ostateczną poezyi i spadkobiercą wszystkich innych poważnych rodzajów; że p. Korzeniowski uważa go za punkt Archimedesowego twórczości, z którego «śmiało wywraca dawniejszą poetykę, nawet swoją własną» i «próżnemi nazywa te oczekiwania wyższych i bardziej podnoszących utworów;» że p. Kraszewski wita w nim «zwrót ludzi ku badaniu własnego życia, ku jego praktyce, ku poznaniu samych siebie, ku rozpatrzeniu się w sprężynach maszyny społecznej;» że taki podniosły i szlachetny myśliciel jak p. Cieszkowski spodziewał się po nim «samorodnego skojarzenia i jednorodnego rozwinięcia żywiołów poetycznego i filozoficznego.» Ale



wiemy także, na jak wątych podstawach ugruntowaną jest cała ta dziwna estetyka, i na wszelkie rozszczenia teoretycznej kombinacji mamy odpowiedź gotową w doświadczeniu historycznym. Romans bowiem nie jest bynajmniej nieznanym i naszemu tylko czasowi właściwym rodzajem poezyi. Znali go już Grecy, znały go wieki średnie, i nie mały stos tych płodów spalił balwierz rycerza z La Manchy. Ale u Greków jak i we wiekach średnich, z tamtej jak i z tej strony Pireneów, był on zawsze tylko objawem i dowodem wycieńczającej się wyobraźni, usychającego natchnienia i rozbudzonej żądzy zabaw, w miejsce dawniej poważnej potrzeby ideału. Teoretyków naszych, przed dziesięcią laty, uwiódł chwilowy a potężny sukces, które miały ówczesne płody Balzaca, Sanda, Eugeniusza Sue i Dumasa. Niechże im będzie odpowiedzią dzisiejszy stan literatury francuzkiej, w której romans zużył się do szczytu, a twórczość widocznie nowój szuka formy.

Od surowego sądu o tym rodzaju piśmiennictwa nie może też nas odwodzić i ta jego sławiona użyteczność, którą najwięcej ludzą umysły. Ileż, wołają, wiedzy powieść rozszerza między masy; ileż uczuć i wyobrażeń budzi w tej publiczności, której stan kultury zabrania przystępu do wyższych sfer nauki i sztuki; ileż poetyczności rozlewa przez to między niższe warstwy! Te i tym podobne dają się słyszeć głosy na cześć tej poetycznej encyklopedyi. Ileż złudzeń w tém wszystkim, odpowiemy my znowu na to, ile dobrowolnego zaślepienia, ile nieznamomości mas i serca ludzkiego! Jeśli gdzie niedouctwo gorszym jest od nieuctwa, to niezawodnie tam, gdzie nauka jest tylko przyprawą fantazyi, gdzie gruntowny wykład nie może być udzielanym ani nawet żadanym, gdzie nauczyciel, żadnej nie ulegając kontroli, przed własnym nawet sumieniem ma wymówkę, że sam sobie swój świat stwarza! A jakżeż niebezpiecznymi znowu są przykłady, które najlepsze

nawet stawiają romanse! Jakżeż szkodliwemi są ich ideały — tém właśnie, że nam są przystępnemi! Epopea, tragedia, tworzą nietylko ludzi idealnych, ale i sferę idealną, którą ich od nas zbawiennie oddzielają; budzą w nas szlachetne uczucia podziwu, uwielbienia, nie wywołują chęci złego naśladownictwa. Romans przeciwnie, na gruncie domowego życia, w powszedniem otoczeniu, wyprowadza figury w półpoetyczne, w półrealne, tak zwodnicze właśnie — dla w pół ukształconych. Któż kiedy spotkał się w życiu z Makbetem lub Learem; a jakżeż często ujrzymy dobrowolne a nie-szczęśliwe kopie bohaterów Sanda i Balzaca! Cóż dopiero jeśli romans, jak u nas, staje się wyłącznym i powszednim chlebem czytającej powszechności, absorbuje wszystkie talenta i jedyny prawie głos publiczny zabiera?... «Drażniące opowiadanie namiętności, drażniące życie obecnego, jak go pojmujemy, nie dotyka przyczyn, przedstawia tylko skutki, które są raczej zaraźliwe niż korzystne dla umysłów pozbawionych wszelkiej innej uprawy. Było zawsze mojem zdaniem, że dobre romanse są bardzo użyteczne, *lecz dla odpo- czynku, nigdy zaś jako wyłączny i ciągły pokarm umy- słów*»... Któż wyrzekł te głębokie, pamiętne słowa? Zaprawdę, nie pedant żaden lub moralista, których sąd p. Cieszkowski odrzuca, ale najznakomitszy, najgenialniejszy z nowoczesnych romansopisarzy: Georges Sand! I na tém godnym uwagi wyznaniu, przerywamy nasze ogólne postrzeżenia, przechodząc obecnie do szczegółowego rozbioru jednej z najcelniejszych polskich powieści, jaka się pojawiła w roku dopiero co ubiegłym.

## II

Zejsście naszej literatury ze sfery natchnienia i ideału do wątpliwego posłannictwa bawienia mas i zapelnie-

nia chwil wolnych od wszelkiej troski ale i od wszelkiej wyższej podniety, zejście to, któreśmy jako główną cechę obecnego naszego pismiennicwa naznaczyli, odbija się już zewnętrznie i historycznie w znakomitym pisarzu, na którego najnowsze dzieło chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników .P. Józef Korzeniowski zdawał się mieć zrazu wznioślejszą i szlachetniejszą ambicyą, a piewsze jego usiłowania skierowane były ku najwyższemu a najmniej u nas rozkwitłemu rodzajowi twórczości, ku dramatycznej poezyi. Jeśli w tym trudnym zawodzie autor *Mni-cha* i *Batorego* nie rokował nam ani Shakespeara ani Schillera, okazał w nim jednak talent niezwykły i mógł sobie przynajmniej podchlebiać, że swými utworami da innym szczebel do sławy grodu. Jeśli żadna z jego tragedyj nie mogła iść w porównanie z *Mazepą* Słowackiego, a komedjom jego, mimo wyższości w charakterystyce a nieraz i intrydze, brakowało humoru, fantazyi i tój prawdziwój *vis comica*, któremi góruje nasz nieprześcigniony jeszcze w tój mierze Fredro : nie jedno dzieło p. Korzeniowskiego w tym rodzaju doznało wdzięcznego przyjęcia i uznania, i wszystko powinno go być zachęcić do wytrwania w zawodzie, w którym więcej niż gdzie indziej stać może za wymówkę owe tak nadużyte w naszych czasach *in magnis voluisse sat*. Ale wpływ wieku jest nieprzeparty! Powodzenia Kraszewskiego i Rzewuskiego były zbyt kuszące, świetne zapowiedzie p. Cieszkowskiego zbyt ułudne! P. Korzeniowski znalazł naraz, jak to nam oświadczył w swoim *Emerycie*, że romans od dramatu jest « pełniejszym życia i siły, » i jemu odtąd prawie wyłącznie poświęcił swe pióro; autor *Karpackich Górali* rzucił poezyą dla prozy, scenę dla feletonu i, jak cała nasza literatura od lat dziesięciu, « z hymnu zstąpił do prostej powieści. »

Cokolwiek bądź, p. Korzeniowski w tój nowój przemianie objawił od razu niepospolite zdolności i zyskał uznanie, które się z każdym dniem powiększa. Styl gła-



dki i przyjemny, chłodny ale jasny, przezroczysty, jeśli nie zawsze czysty; artystyczne zamiłowanie w przedmiocie, póty przynajmniej, póki konieczność zakończenia, przy stygnącej ochnocie, nie nasuwa bardzo mechanicznych sposobów; pewna złośliwa dobroduszość, która ułomności ludzkie nawpół karci, a nawpół im pobłaża, dla tego że nieuchronne, że z nimi przecież żyć trzeba, może téż i dla tego że tak zabawne i tak zabawnie opisywać się dają; doskonała znajomość świata i kreślenie charakterów dosadne z dozwoleństwem sobie nieraz i bawiącej karykatury, ale ze starannem zawsze omijaniem wszelkiej niepokojącej idealności; wielkie doświadczenie życia, wprowadzie to doświadczenie trochę zimne, trochę sceptyczne, trochę cierpkie, które według słów poety jest «bawelną w uchu od ludzkiego jęku» i bodaj czy nie taką głośzącą posługę oddaje p. Korzeniowskiemu przed głosem własnego sumienia, ale które pozwala z trzeźwem, żadną łą nie zamknięciem okiem patrzeć na ludzkie sprawy i ręką wolną od drżenia dokładnie kreślić ich bieg zawły i węzowy; horyzont wszędzie jasny, dla tego właśnie że ciasny i że jego koło bystry ale zmrużony wzrok zatoczył; moralność negatywna, kompendjarna, moralność kodexu policyjnego, przeciwko której nikt nie wystąpi, choćby ją nieraz i przekroczył, którą zatém bez ofiary apostołować można i bez protestacyi przyjąć trzeba; unikanie wszelkich drażniących, głębszych, fatalnych kwestyj życia, któreby pisarza z równowagi artystycznego obserwatora a czytelnika z wygodnej pozycyi na sofie wyrzucić mogły; filozofia franklinowska, która do trzech cnót chrześcijańskich chętnieby rozsądek «interes dobrze zrozumiany» dodała jako czwartą, a jeśli nie jako najwyższą, to niezawodnie jako najskuteczniejszą; humor wyborczy i wytworny, którego widok naszych zdrożności nie tyle oburza ile rozśmiesza, a rozśmieszając rozbraja; flamandzkie malowanie flamandzkich gatunków z flamandzkim spo-



kojem; obrazy *genre* i charaktery *genre*, bardzo pożą-  
dane, ale może nie bardzo pożyteczne dla czasów *genre*,  
w których żyjemy... te są, jeśli się nie mylimy, główne  
cechy romansopisarskiego talentu p. Korzeniowskiego.  
Tłómaczą one dostatecznie nadzwyczajną wziętość, którą  
przy obecném usposobieniu naszego społeczeństwa,  
utwór takiego rodzaju jak *Krewni* zyskać musiał; po-  
winny także, zdaje się nam, tłómaczyć i sąd mniej uzna-  
jący, który my z naszego stanowiska, o nim tu wydać  
musimy.

Romans ten, który przez sześć miesięcy z górami się roz-  
wijał w feletonach, był ozdobą i fortuną *Gazety War-  
szawskiej* z przeszłego roku, i ze wszystkich literackich  
nowości najwięcej interesował i bawił naszą czytającą  
publiczność. Nigdy też jeszcze p. Korzeniowski w ta-  
kiej pełni nie objawił swego wielkiego opisowego ta-  
lentu, nigdzie z taką świetnością nie dowiódł nadzwy-  
czajnego daru plastycznego kształtowania. Osnowa tej  
powieści jest tak prostą i naturalną, jak jej przeprowa-  
dzenie wielostronne i bogate. Przedstawia ona nam  
dwóch braci Zabuskich, z których jeden, Eugeniusz,  
miękkiego charakteru i artystycznego usposobienia,  
z drażliwą wyobraźnią a wątlą wolą, ulega zgubnym  
wpływowi wyższego świata, wśród którego trafem ode-  
brał świetne ale nierzetelne wychowanie, i wkońcu  
bliskim jest ostatecznego zmarnienia; gdzie tymczasem  
drugi, Ignacy, pełen hartu i uczucia obowiązku, dobro-  
wolnie zchodzi do niższych warstw społeczeństwa, by  
śród nich niezależnie wyrobić sobie stanowisko, przebywa  
odważnie ciernistą drogę życia, mężnie znosi wszystkie  
trudy i mokoły, i wreszcie po znojnój a krwawój walce  
dostępuje celu swych życzeń i zabiegów. Towarzysząc  
tym dwóm bohaterom w tej ich podwójnej a rzecz można  
biegunowej Odyssei, kreśli nam autor ciągle, mieniące  
się obrazy naszej polskiej obyczajowości, przechodzi  
niemal wszystkie stany i klasy towarzystwa i wyczerpuje

najróżnorodniejsze odcienia naszego życia we wszystkich sferach i strefach, w kraju i zagranicą, poczynawszy od ubogiej wsi szlacheckiej w Lubelskiem, aż do pysznych hotelów Paryża i rozkosznych willi odwiecznego Rzymu. Początek też właśnie tej powieści, jak zresztą wszystkich powieści tego autora, jest przesliczny, czarujący. Widzimy tu w Lubelskiem, nad Bugiem, te dwoje dzieci, które los wkrótce ma rozdzielić i w tak przeciwne rzucić kierunki, jeszcze połączone razem a wychowujące się pod okiem ojca, prawego obywatela, zacnej stalowej duszy, jedynej prawdziwie wzniosłej figury romansu, wielkim stylem narysowanej, której prędkiego usunięcia dość odżałować nie można. Mniej poważną ale niemniej dobrze pojętą i z właściwym p. Korzeniowskiemu artystycznym humorem oddaną kreacją, jest proboszcz tej wsi nadbużańskiej, ksiądz Maciej Zielenkowski, w niezmiernie pociesznym, ale nie rażącym otoczeniu wszechwładnej gospodyni i kościelnego factotum. Jedno z naszych pism czasowych wyrzekło niedawno, że ksiądz proboszcz, według jednego wzoru uciosany, na to tylko służy w naszych powieściach, aby przyjmować śniadaniem po nabożeństwie : uwaga ta jest tak dowcipną jak trafną, ale tutaj w żadnym razie zastosowania mieć nie może. Nasz ksiądz Maciej nie jest wprawdzie reprezentantem tego nowomodnego kapłaństwa, jakie przedewszystkiem wynosi i sławi pewne i u nas stronictwo ; nie jest on uprzykrzonym inkwizytorem sumień i teokratycznym ultramontaninem ; umysł jego zamknięty dla prawd objawionych przez de Maistra i Bonalda, a Veuillota nawet nie zna z nazwiska : ale jest on tym księdzem prawdziwie polskim, jakichbyśmy sobie życzyli wielu, domowym przyjacielem zacnych ludzi, uczynnym powiernikiem dusz szlachetnych i znękaných, sługą Bożym a ludzkim bratem. Za jego też głównie staraniem, jeden z synów zacnego a podupałego szlacheica, Eugeniusz, dostaje się w dom bogatego

krewnego, kasztelana Zabuskiego, w którym świetne, chociaż nie dobrze obmyślane odbiera wykształcenie. Odtąd scena coraz się rozszerza i zmienia. Eugeniusz, wychowany razem z synem swych dobroczyńców, a z córką ich węzłem cichą, trwożną, a przez rodziców niedostrzeżoną miłości złączony, wzrasta w domu kasztelaństwa, z nimi razem czas bawi w Warszawie a potem, w towarzystwie młodego kasztelanica, wybiera się w wielką podróż, do Włoch i Francji, której bieg nam opowiadają listy jego, z różnych miast i stolic wystosowane do brata. Listy te, dość rozwlekłe, dość blade i powszednie, nie dowodzą wprawdzie bynajmniej tej wyższości umysłowej, tej poetycznej natury, tej świetnej wyobraźni, jednem słowem tych wszystkich genialnych przymiotów, które p. Korzeniowski Eugeniuszowi wciąż przypisuje i na poparcie czego — z zadziwiającą niemało u tak doświadczonego autora naiwnością — tę właśnie korespondencją drukuje; ale dowodzą one za to niebezpiecznego kierunku, jaki wziął umysł bohatera, artystycznej jego drażliwości, braku silnej woli przy wielkiej skłonności do wrażeń i marzeń. Inszym się wcale okazuje Ignacy i w nierównie ciekawszych towarzyszymy mu kolejach. Ojciec, przy którego boku sam pozostał, prędko go odumiera; zostawiony sobie i poznavszy, że szupła puścizna nie wystarczy na utrzymanie jego i brata, od razu myśli o nowym a użytecznym zawodzie. Skończywszy świetnie, chociaż nie bez trudności, ale które jego duszę tylko bardziej zahartowały, szkoły lubelskie, udaje się do Warszawy, gdzie już nie zastaje podróżującego za granicą brata, ale znajduje zato wielu innych *krewnych*, których po kolei nam daje poznać p. Korzeniowski, szkicując z talentem, z humorem, domy warszawskie różnych kondycyj i stanów. O wsparciu ze strony tych *krewnych*, nie myślał nigdy Ignacy; prędko się przekonywa, że nawet na ich radę liczyć nie może, i że sam sobie radzić musi.



Zrazu wstępuje do służby publicznej i zostaje aplikantem przy Komisji Skarbu, a autor korzysta z tego, by nam dać dokładny i dosadny obraz tej naszej biednej młodzieży, która pracuje po biurach rządowych w Warszawie z wytrwałością, godną lepszego losu, o, i lepszego rządu! Co to za zabawne, co to za pocziwe i serdeczne figury tych aplikantów, których głowa tak pełna illuzji, jak kieszeń próżna pieniędzy! Z jaką to znajomością rzeczy, jakim to *impasto* maluje niezrównany w tej mierze artysta ich życie, ich zabawy, ich « chleb z obiadem », ich koleżeńskość, ich fantazyą; jakim to Rembrandtowem światłem umie ozłocić ich łatanе surduty, upromienić ich zadymione kawiarnie, ogrzewać ich stancyjki bez pieców! Po opisie wsi nadbużańskiej na początku dzieła, szeroko roztoczony i *con amore* traktowany ustęp ten o aplikantach jest niezawodnie najmiłszym i najbardziej zajmującym z całej powieści.

Autor *Wędrówek Oryginała* niejedną jeszcze taką z nami odbywa wędrówkę prawdziwie oryginalną, bo wśród kast i stanów, nie tkniętych dotąd w tym znaczeniu przez nasze romansopisarstwo. Raz nas prowadzi do moralnego *ghetto* Warszawy, i z rozkoszną ironią, chociaż może w zbyt rozwlekły, a ku końcowi szczególnie już bardziej oburzający niż bawiący sposób, opisuje nam wyższe, wykształcone, półukształcone, złocene, niezgrabnie polszczęjące się i panoszące warstwy Izraela, które snąć w naszej stolicy pewien wpływ zaczynają wywierać, skoro im p. Korzeniowski tak obszerne dał zajmując miejsce w swoim obrazie. Innym znowu razem stawia przed nasze oczy rzemieślnicze klasy miasta i niezmiernie zajmujące, chociaż także zbyt roztoczone, technicznym i szczegółami i terminami przeładowane, tworzy malowidło. Przez wszystkie te sfery, szukając drogi do godziwej pozycji, przechodzi Ignacy, namiętnie przytém zakochany w pewnej młodej ubogiej szlachciance, ale zbyt sumienny, zbyt też i rozsądny (sumienie i roz-



sądek zawsze na jedno mniej więcej wychodzą w etyce p. Korzeniowskiego), by przed ustaleniem losów swoich miał pomyśleć o ożenieniu się z drogą «Julcią» jedną z tych pastelowych figurek jakie lubi i umie kreślić wprawna ręka naszego mistrza. Wreszcie zakołatawszy napróżno u niejednej żelaznej bramy złotój fortuny, bohater nasz zdobywa się na wielką decyzją. Zrzuciwszy pychę szlachecką z serca i niezrażony trudnościami zawodu, ani sarkaniem *krewnych*, ani nawet prześladowaniami nowych a niedowierzających mu kolegów, bierze się do rzemiosła, terminuje kilka lat u majstra stolarza, i tak powoli i mozolnie, z nizin społeczeństwa, które sam sobie obiera, dąży wgórę i staje u mety; gdy o tym samym czasie brat jego, Eugeniusz, z wyżyn towarzystwa, na które go traf wyniósł, stacza się prędko i fatalnie, traci nadzieję osiągnięcia kiedykolwiek ręki ukochanej i kochającej istoty, musi opuścić dom swoich zgorzonych dobroczyńców, wypija do dna kielich światowych goryczy, i w swoim rozdrażnieniu i rozczarowaniu, mimo talentów i zdolności, nie może w sobie nawet znaleźć siły i środków do zaspokojenia pierwszych potrzeb życia. Wszystko to jest opowiedziane w sposób przyjemny, świetny, chwilami nawet porywający. Uchybienia i niedostateczności uderzają w niejednym miejscu; błędy kompozycji szczególniejszą są czasem rażące; prawidła proporcji i perspektywy nigdzie nie są dobrze zachowane. Niejedne figury, zrazu w bardzo wydatnych występujące konturach, jakoby wielki wpływ na bieg wypadków wywierać miały, gubią się potem i przemijają bez znaczenia; inne znowu nabierają ważności i interesu, do jakich ani pierwotne założenie, ani sylwetowa charakterystyka bynajmniej ich nie przygotowały. Jak we wszystkich zresztą utworach pana Korzeniowskiego, tak i w tym jego ostatnim niemile uderzają zniecierpliwienie i znużenie, które fatalnie go zawsze opadają, gdy się już ma ku końcowi swego

opowiadania. Czwarta i ostatnia część naszego romansu, blada, pusta, z zadyszeniem śpiesząca ku byle jakiemu rozwiązaniu, odbija w sposób prawdziwie dręczący od trzech poprzednich, z tak widocznym rozmysłem i staraniem opracowanych; rozwiązanie też nie wypływa z charakterów samych i naturalnego biegu wypadków, ale z przyczyn zupełnie zewnętrznych, z okoliczności czysto trafunkowych, dzięki sposobom mechanicznym i Bogom *ex machina*. Mimo wszystkich wytkniętych wad jednak, dzieło to nie przestaje być pięknem, zajmującym, i śmiało może być policzonym do rzędu najlepszych naszych romansów, do rzędu tych, któremi by się nawet nie powstydziała i wszelka obca, a w świetne utwory tego rodzaju obfitująca literatura.

Ledwieśmy najlżejsze dali zarysy tak obszernej powieści, tyle jeszcze pięknych i znakomitych zawierającej ustępów, tyle jeszcze ciekawych a przez nas nawet i nie wspomnianych charakterów i opisów w sobie mieszczących: a jużśmy przekroczyli granice nie tylko naszego artykułu, ale może i naszego pisma, którego to bynajmniej nie jest zadaniem bawić czytelników streszczeniem ładnych romansów, ani nawet kształcić ich smaku estetycznymi rozbiorami. Nie pożałujemy jednak tego przekroczenia, jeśliśmy przynajmniej potrafiliby okazać, iż nie jesteśmy ślepi na wielkie artystyczne zalety naszego utworu, że umiemy cenić jego bogactwo i należyty hołd oddajemy niepospolitemu talentowi autora. Inaczej będzie się wprowadzić miało, gdy do tego dzieła zechcemy przystąpić z miarą trochę idealniejszej sztuki i delikatniejszej moralności; inaczej przedewszystkiem, gdy dążności pisarza zechcemy oceniać ze stanowiska narodowego, z wysokości polskiego sumienia. Rozważanie wszakże tych stron naszego zadania, musimy odroczyć do następnego przeglądu. Gdy przedmiotem rozbioru jest objaw w każdym razie znaczący i ważny, a punktem sporu jedna z najwyższych kwestyj ży-

cia i sztuki, krytyk widzi się zmuszonym żądać szerszego trochę pola, i nie samę może tylko nieudolność jego w tedy obwiniać należy, jeśli, według pięknego słowa Pascala, nie ma czasu być krótkim.

### III

Gdybyśmy się na to zgodzić mogli, że dzieło sztuki ma być tylko prostym dagereotypem życia, gdybyśmy potrafili uwierzyć, że poeta spełnił swe powołanie, jeśli codzienność naszego bytu w wierzytelném nam przedstawił odbiciu: nie wielebyśmy zaprawdę mieli do wyrzucenia utworom p. Korzeniowskiego, a spór wszelki byłby wówczas tak niepożytecznym jak dziecinny, boby się tylko mógł toczyć o mniejszą lub większą dokładność téj lub owéj figury albo sytuacji, o statystyczne szczegóły, o różniczkowy rachunek nieskończenie małych rzeczy. Ale nie! Wyobraźnia poety to nie jakaś *camera obscura*; twórczość mistrza to nie machina do kopiowania! Sztuka ma inne i wznioślejsze zadanie, i wyższe względem niéj musimy stawić wymogi. Jeśli to prawda, że początek jéj boży a źródłem jéj czyste natchnienie, powinna ona i w nas ten boży pierwiastek budzić i rozwijać, powinna i nas natchnąć do uczuć niepowszednich i czynów niepoślednich; a od warunków tych, które są nieprzepartą fatalnością, ale zarazem i prawdziwą godnością wszelkiego artystycznego twórczenia, nie może się uwolnić i romans, jakkolwiek niską jest sfera, w której się obraca i pragmatycznemi koleje, które przebiegać musi. Tak przynajmniej rozumieli swe powołanie wszyscy znakomitsi w tym zawodzie pisarze: Georges Sand i Balzac; Bulwer, Dickens i Thackeray; a u nas Kraszewski. Wszyscy oni, z mniejszém lub większém szczęściem, z mniejszą lub większą trafnością, ale z równą zawsze usilnością podnoszą w swych powieściach jakiś ważny, uniwersalny problem życia,



starają się rozwiązać jaką wielką psychologiczną lub moralną zagadkę, i po za analityczne kreślenie codziennego bytu sięgają do mylnie lub dobrze pojętej, lecz zawsze wytrwale ściganej, wyższej syntezy.

Ale takich syntetycznych dążności, takich idealnych popędów, które jedynie uzacniają i podnoszą dość łatwe rzemiosło powieściopisarza, napróżnobyśmy szukali w utworch p. Korzeniowskiego! Jeśli wolno powtórzyć i cieniować użyte już przez nas określenie, powiedzielibyśmy, że w ręku autora *Krewnych* romans jest jeszcze czémś mniej niż epopeą *status quo*, bo ilustrowaną kroniką jego. A w tej kronice uderza wszędzie rozpaczliwa poziomość natchnienia, sceptyczna rezygnacya na bieg ludzkich rzeczy, ciągłe apoteozowanie rozsądku i użyteczności kosztem najdroższych marzeń i najszlachetniejszych uniesień, nieustanne przestrzeganie przed bezpośredniemi, instynktowemi popędami naszej duszy i zalecanie tej miernej cnoty i enotliwój mierności, które są tylko moralnym proletaryatem ludzkości, i tej umiarkowanój temperatury, którą na termometrze serca oznacza punkt zera między ciepłem uczucia a chłodem rozumu. P. Korzeniowski nie idealizuje ludzkości, nawet w niej nie przebiera: wybiera tylko wśród niej ciekawe, zabawne exemplarze, jak botanik rośliny do swego zielnika; jak botanik je też w swych arkuszach wysusza ze wszystkich żywotnych soków krwi i instynktu, a wielkie i trudne arystotelesowe prawidło oczyszczenia namiętności przez sztukę, w ten sobie sposób zazwyczaj ułatwia, że te namiętności zupełnie eliminuje, zostawiając tylko z jednej strony zmysłowe pociągi, które nas rażą, a z drugiej wyrozumowane działania, które nas nie zapalają. Żaden z jego charakterów nie staje się drogim naszemu sercu, nie wkrada się sympatycznie w naszą duszę; każdego z nich witamy bez uniesienia, żegnamy bez żalu. Bo też żadna z tych figur nie jest uniwersalną, żadna drżącemi skrzy-



dły ducha nie szuka swego gniazda daleko od ziemi, żadna tajemną nicią miłości i ofiary nie jest związaną z losami ogółu. Nie możemy mieć prawdziwego, serdecznego współczucia ani dla ich szczęścia, ani dla ich cierpień, dla ich cierpień szczególnie, które albo są indywidualne, jak u Ignacego, albo artystowskie, jak u Eugeniusza: nigdy nie są tym bólem zbiorowym, za myśl i miliony, który jedynie czeka korona, tak w niebie z rąk Boga, jak na ziemi z rąk poezji. P. Korzeniowski w sztuce nie wznosi się nigdy do myśli ideału, w moralności nigdy do myśli ofiary; estetycznie i etycznie brak mu wszelkiego wyższego popędu, wszelkiej podnioslejszej aspiracji. Z Modlitwy Pańskiej jedną tylko zna i umie cenić prośbę: o chleb powszedni; tęsknego westchnienia za Bożem królestwem nie rozumie zgoła. Ujemne przepisy Dekalogu są mu dość przytomne; ale zdaje się, jakoby nigdy nie przeniknął mistycznej a dodatniej moralności ewangelicznych przypowieści, z których jedną tylko bodaj zapamiętał i tę z niej nieco rozszerzoną wyciągnął naukę: że trzeba Cesarzowi oddać co cesarskiego — a gdy konieczność każe, nawet i trochę z tego bozkie. Tak dobrze z instynktu jak z zasady, jako artysta i jako filozof, lubi on *martwą naturę*, a jeśli kiedy, nad miniaturowe i miliardowe malowanie, wzniesie się do jakiegoś ważniejszego problemu życia, jakżeż go wtedy postawi, w duchu jakiejże to ciasnej, elementarnej, rzeklibyśmy nieledwie wegetalnej moralności go rozwiąże! Wtedy nam każe, jak n. p. w *Tudeuszu Bezimiennym* święcić kobietę, która nie ma odwagi, wnętrznosci, bronić swego dziecka przed najszerszym prześladowaniem, przed policzkami własnego brata, chociaż miała sumienie w dom męża wprowadzić ten swój płód cudzołożnego kaprysu! Wtedy, jak w *Spekulancie*, będzie się zachwycał nad siwiejącym Marszałkiem, który poślubiwszy sobie dziecinę wbrew jej woli, wbrew nieszczęśliwej, ale wielkiej, ale silnej

miłości, którą chowa w swém dziewiczém sercu : choduje potem i wychowuje w duszącej atmosferze chuchliwej pieczołowitości, w cieplarni wygód, atencji, edredonów i starań, ten biedny kwiat złamany, i wkońcu, jednego poranku, « *przez umyślnego (!)* » może dać znać matce, że owoc szczęścia uszczknięty ! Wtedy, że do naszych *Krewnych* powrócimy, jako wzór obywatela, jako *ecce homo* społeczeństwa, wystawi takiego hrabiego Adama, który poznawszy i pokochawszy Ignacego, zaprasza go co niedziela do siebie — by w osobnym pokoju rysował z modelów ; który na pogrzeb matki swego ulubieńca wyłoży potrzebne pieniądze, ale ani pomyśli o tém, by iść za trumną téj biednej kobiety ; który jeden tylko i dość rzadki zna ruch szlachetny ręki do kieszeni : ale zdaje się ani przeczuwać tego, że ruch serca do serca jest czémś nierównie szlachetniejszym !

Albo mamyż nazwać szerokiém rozwiązaniem jakiegoś ważnego problemu życia, to poetyczne ukształcenie losów Ignacego, które p. Korzeniowski wziął za główny temat swéj powieści, to przedstawienie szlacheckiego syna, który zostaje stolarzem?... Nie zupełnie ! Bo Ignacy to wszystko robi nie dla jakiejś wyższej myśli, dla jakiejś uniwersalnej idei, nie w chęci poświęcenia i ofiary dla interesu ogółu : ale dla samego siebie, dla własnej korzyści, w dobrze zrozumianym, indywidualnym interesie. Ignacy Zabuski szlachcic i stolarz, to nie « *Mirabeau comte et marchand de draps* » dopominający się praw trzeciego stanu : to sobie tylko prosty, poczciwy *Jérôme Paturot* szukający socyalnej pozycyi ; to sobie bardzo porządny i rozsądny młodzieniec, któryby nie opuścił swego szlacheckiego majątku, gdyby ten wystarczał na jego potrzeby ; któryby był dotrwał w Komisji Skarbu, gdyby się tam mógł spodziewać przedkiego awansu, i który się bierze do stolarstwa, dla tego że mu ten zawód, w obecném jego położeniu, zdaje się

być najbardziej obiecującym. Winszujemy mu tak zdrowego rozsądku i wolności od przesądów: przyklausujemy jego energii, otrzymanemu zwycięztwu nad wrodzoną nam niedoleźnością i mężkiemu postanowieniu oparcia się na samym sobie; ale nie czujemy potrzeby się nad nim zachwycać, ale serca i sympatyi naszej dać mu nie jesteśmy w stanie! Bo gdy wchodzi w ten nowy zawód i wiąże się z obcym mu przedtém światem, rozumieź on, że względem tego świata ma obowiązki, że z téj warstwy społeczeństwa, które go w swoje łono przyjmuje, nie tylko same jemu wolno wyciągać korzyści, że się jój zadłuża i z tego co ma, jój się wypłacać powinien? Żyjeź on, staraź się on tylko żyć ze swymi nowymi kolegami, z czeladnikami i robotnikami, w jakiémś braterstwie wyobrażeń i uczuć; udzielaź on im coś z tego światła, które mu wychowanie i położenie osiągnąć dozwoliły; usiłujeź on podźwignąć ich do swojej wysokości, dać im okruszyny z tego duchowego chleba, którego podobno ma podostałkiem; błyskaź choć raz w nim myśl podniesienia tych współpracowników do pojęć szlachetniejszych, piękniejszych?... Nie, bynajmniej! Dla takiej delikatnej moralności, czy dla takiej śmiesznej ideologii nie ma zmysłu ten bohater! « Nie chowaj światła pod korcem » — to już nie przepis policyjnego kodexu dobrych obyczajów, i p. Korzeniowski nie czuje potrzeby jego zastosowania!!

Bez wątpienia, praca wytrwała i mozolna jest jednym z głównych warunków uczciwego i zanego bytu; energia i hart są oznakami prawdziwie mężkiej duszy; oparcie się na samym sobie, wydobywanie z własnego wnętrza wszelkich sił i zasobów, śmiałe walczenie z trudnościami losu wyrabiają w nas szlachetne uczucie niepodległości i godności osobistej, dają człowiekowi przeświadczenie o własnej wartości, są koroną życia prywatnego, pierwszymi podwalinami, wszelkiego życia



publicznego. Gdyby p. Korzeniowski uosobiwszy wszystkie te przymioty w Ignacym, był mu wznioślejsze trochę naznaczył pobudki i wyższe dał cele; gdyby go natchnął myślą bardziej uniwersalną, aspiracją więcęj ogólną; gdyby okazał, że ten młodzieniec tak umiejętnie i wytrwale pilnujący steru swojej biednej łódki, ma jakąś gwiazdę przewodną na niebie, i do niej spogląda w górę: jakizby to znaczący, żywotny, pełny poezyi i wpływu był stworzył charakter; jakiz to szlachetny, dobroczynny byłby wzór postawił dla młodzieży, dla naszej właśnie młodzieży, która teraz nie zna prawie środka między beczynną, na cały świat wyrzekającą, od wszelkiej pracy oderwaną idealnością, a skrętnym, na wszystko zrezygnowanym, od wszelkich wyższych natchnień i uczuć stroniącym materjalizmem! Piękniejszego, patryotyczniejszego, bardziej obywatelskiego, gwałtownym potrzebom obecnej chwili bardziej odpowiadającego zadania nie mógł sobie postawić żaden pisarz polski! Ale jest to właśnie midasowym a fatalnym darem naszego autora, że w jego ręku wszystko się przemienia w złoto brzęczącej monety, że wszelki kwiat uczuć uschnąć musi w średniej atmosferze, którą zamieszkał! P. Korzeniowski nawet i miłość Ignacego potrafił nam uczynić nieznośną! Bo też nie chłodniejszego, nie mroźniejszego, chociaż i nie rozsądniejszego nad miłość tak stateczną, tak wszystko obrachowującą, a o której jeśli kiedy i gdzie powiedzieć się godzi, że jest tylko egoizmem we dwojgu! Naprzeciwko tak rozważnemu, tak zahipotekowanemu uczuciu Ignacego, postawił nasz autor daleko nieroztropniejsze Kańskiego, poczciwego i zabawnego aplikanta, który najlżejszy promyk etatowej pensyi wita jako słońce fortuny i bez namysłu przyspiesza swój ślub z ukochaną istotą, za co później przez ciężkie musi przechodzić koleje. P. Korzeniowski pewno temu nie uwierzy: ale za prawdę, ten nierozważny aplikant więcęj nas porusza

i ujmuje, niż jego statystyczny Ignacy! Na Kańskiego patrzymy jak na młodego, szlachetnego chłopaka, który szalenie grosz swój ostatni stawi na kartę: ganimy jego postępek, a jednak życzymy mu szczęścia i pewno nie odejdziemy wprzód, aż się jego los rozstrzygnie. Na Ignacego spoglądamy z tym respektem, którym nas przejmuje widok zatopionego w zawitych cyfrach rachmistrza: odstępujemy go prędko, by mu nie przeszkadzać, pewni zresztą, że doprowadzi do kresu rachubę, której końca doczekać nie mielibyśmy cierpliwości.

#### IV

I czegoż właściwie chciał dowieść p. Korzeniowski tęp swoim dziełem, jakąż z jego bajki mamy wyciągnąć naukę?... Czy tę, że hebel lepszy jest od pióra i pędzla, że rzemiosło wyższe od sztuki?... Nie odpowiemy na to p. Korzeniowskiemu, że dla harmonijnie wykształconego umysłu, jako też i w harmonijnie ułożonym społeczeństwie, rzemiosło może i powinno mieć także swoją idealną, poetyczną stronę, i że nawzajem sztuka nie jest bynajmniej tylko luźną zabawką, ale bardzo ważnym a bolesnym trudem, bardzo owszem rzetelną acz nie realną funkcją ludzkiego życia. Nie odpowiemy mu nawet, że w każdym razie przykład, który on nam stawi, za dowód służyć nie może: bo Eugeniusz nie jest ani poetą, ani artystą, ale tylko nieznośnym magajem. Powiemy mu tylko, że tej pracy mógł sobie zaprawdę oszczędzić; że niepotrzebne podjął zachody koło dowiedzenia rzeczy, o której, niestety, każde dziecko w naszych czasach aż nadto i przemądrze jest przekonaniem; i że wprowadzie bezpieczne ale zbyt cenne sobie obrał apostołstwo: nawracania nawróconych! Do święcenia praktycznego celu, do wyniesienia rozsądku kołem uczucia i wyobraźni, do sławienia tego wszy-

stkiego, co nam robi pozycją na ziemi bez względu na to, czy też nam daje i miejsce w niebie, — o, do tego, wszystko nas przecie w obecnych czasach zachęca i nagli, do tego nas gwałtownie pędzi cała parowa siła wieku, i zaprawdę nie potrzeba, by jeszcze i sztuka w ten pchała kierunek, którego nie chybić! Jeśli owszem, w takich smutnych czasach, sztuka ma jakie powołanie, to chyba tylko przeciwne; to powinna nas chwilami zatrzymać na tej fatalnej pochyłości; to obowiązkiem jej bronić złotego ideału naprzeciwko żelaznej realności naszej żelaznej kolei; to zadaniem jej, archanielskimi skrzydłami i mieczem rozpędzać dymne obłoki machin po nad naszymi głowami, by je raz poraz oświecał czysty promień Boga..... Precz z marzeniami a górą rozsądek, woła nam wciąż autor *Krewnych!* P. Korzeniowski tylko o tém zapomniał, że rozsądek najlepiej nawet skierowany, w najlepszym nawet razie, przeszkadza tylko złemu, ale nie tworzy dobrego: dobre tylko tworzą zapał, natchnienie, poświęcenie i ofiara! P. Korzeniowski tylko zapomniał, że gdy na jednej szali rozsądku położym ciężką wagę złota, wszystko na drugiej przybiera łatwo lekkość marzenia: najszlachetniejsze serca popędy, najpiękniejsze duszy zachwyty. P. Korzeniowski tylko zapomniał, że są marzenia, z którymi nietylko żyć miło i można, ale które nawet wielką, integralną część samego życia stanowią, życia prawdziwego, pełnego, tego, dla którego i którym jedynie żyć wistocie warto. Precz z marzeniami, śpiewa ten wieszcz, nieogłędny na chór podły i brutalny, który to hasło odgrzmiewa! Precz z marzeniami, woła ten Polak, niebaczny, jaki kusiciel te słowa powtórzyć i niemi do upadku zachęcić może... Precz z marzeniami!... *Point de rêveries!* — przecież to samo niedawno powiedział i Alexander II!...

I tu dotknęliśmy najdrażliwszego ale i najważniejszego punktu naszego sporu, w którym zaprawdę nie chodzi



tylko o jakąś kwestyą sztuki, ani nawet teoretycznej moralności, ale o kwestyą praktyczną, realną, żywotną, bo polską! Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami samego, biernego tylko cierpienia i tego tak łatwego zamknięcia się w idealnej sferze bezczynnego męczeństwa, z próżnym narzekaniem na niemoralność i obojętność Europy, z pogardą dla wszelkich prac pożytecznych i codziennych, możebnych a koniecznych. Nie liczymy się wcale do tych co myślą, że Polska nierządem publicznym stała i nierządem prywatnym powstała, i wiemy bardzo dobrze, że kraj nie samym tylko duchowym chlebem żyć może i powinien. Ekonomicznym potrzebom i warunkom istnienia nie zaprzeczemy nigdy u nas prawa bytu i obywatelstwa, i wszelkim usiłowaniom w tym kierunku przyganiać niezawodnie nie będziemy. Ale biada nam, jeśliibyśmy na pełnieniu tych zwierzęcych tylko funkcji narodowego życia przestawać mieli; jeśliibyśmy tylko o najwygodniejsze, a nie o jak najgodniejsze urządzenie naszych stosunków dbać chcieli; jeśliibyśmy pożegnali te «marzenia,» które są naszą przeszłością — które są naszą męką i naszą zasługą, naszym krzyżem i naszym odkupieniem! Praktycznym wymaganiom rzeczywistości, staraniom około indywidualnego dobrego bytu, nie odmawiamy ni uwagi ni ważności; ale nie dozwalamy im wyłącznego opanowania naszych horyzontów, nie dopuszczamy ich apoteozowania w dziełach uczucia i wyobraźni! Ta kuchenna moralność, bez ofiary, bez natchnienia, jaką p. Korzeniowski naucza w swoich powieściach, a której zupełnie odpowiada ta, jaką Scribe wyklada w swoich komedjach, podkopuje nie tylko ideał sztuki, ale i ideał polski! Prowadzi ona do idealnego nawet uznania *status quo*, do przystania na sromotną obecność; świadomo lub nieświadomo kryje się za nią narodowe odstępstwo! Kto tylko umie czuć i czytać, ten to przystanie znajdzie w każdym z nowych dzieł naszego autora,

ten je odgadnie w moralnej patologii charakterów przez niego kreślonych, ten je już będzie podejrywał w samym artystycznym spokoju, z jakim ten mistrz tworzy. Zarzut, któryśmy zrobili wogóle naszemu obecnemu pismienictwu, że na niem nie widać piętna bólu, że ono nie zdradza w niczem głębokich cierpień Ojczyzny, zarzut ten daje się przedewszystkiem zastosować do pisarza, o którym mowa, do przedmiotów które obiera, i postaci które wywołuje. I niechaj tu nikt nie powie, że niepodobne stawimy żądania, że zapominamy o stosunkach wśród których autor żyje i tworzy! Pamiętamy owszem o tém wszystkiem bardzo dobrze, a jednak go rozgrzeszyć nie jesteśmy w stanie. Jesteśmy dosyć wprawieni, by się na nieuartykulowanych nie omylić głosach; więźniowie od tak dawna, rozumiemy znaczenie najlżejszego i najgłuchszego stukania, którego nie dosłyszeli lub się nie domyśli nasz dozorca: i znamy niejednego pisarza w kraju, równie ciężkim jak p. Korzeniowski, nierównie cięższym jeszcze ulegającego warunkom, a którego jednak dzieła inne zupełnie na nas robią wrażenie. Nie ma tam nazwiska drogiego, nie ma tam hasła wyraźnego: ale słyszymy nieraz to drżące, święte westchnienie, « o którym Bóg i naród wiedzą dobrze, że jest dziś Polski imieniem. » W powieściach tych autorów widzimy ludzi, którzy mają wszystkiego podostatkim, mienia i imienia, młodości i zdrowia, przyjaźni a nawet i miłości, a których jednak wesołość odbiega i uciecha nie bawi: i każdy z nas poznaje, że niewypowiedzianą przyczyną tego, jest niewypowiedziane cierpienie narodu; każdy z nas w rysach tych ludzi czyta niemy a wymowny ból wieku; każdy z nas rozumie, że oni szczęścia nie mogą znaleźć w domu, bo go nie ma w ojczyźnie... Ale tej mistycznej żałości, tej zaćmionej aureoli nie nosi na sobie żadna z figur przez p. Korzeniowskiego kreślonych. One tak wyłącznie sobą i swojemi losami zajęte; one tak rażno i trzeźwo pracują

koło swojej fortuny i swojej pozycyi; im tak mało potrzeba do szczęścia, do szczęścia jak najzupełniejszego! Ignacemu brak do tego tylko patentu na majstra i małego kapitaliku; a czego Eugeniuszowi nie dostaje do największej błogości, do najkompletniejszej naprawy zwichniętego charakteru i losu, o tém usłyszymy zaraz. Jest w tych *Krewnych* jedna z wybornym humorem opowiedziana scena, w której czeladnik z wymownego kazania cechowego majstra to tylko rozumie, że powinnością człowieka jest wyjść z niewoli Egipskiej, a wyjściem z tej niewoli znaczy — mieć kamienicę w Warszawie. W tym dowcipnym żarcie jest straszna prawda: wszyscy bohaterowie naszego autora są mniej więcej podobni do tego czeladnika. Wyjściem z niewoli Egipskiej znaczy jednemu posiąć wieść, drugiemu powziąć kochankę, innemu postąpić w randze i urzędzie: żadnemu z nich nie znaczy wyjście z niewoli ducha, z męki serdecznej, z jarzma ciemieców! Nigdzie tu nie widzimy tego wielkiego, cichego, dumnego smutku, o którym mówi poeta; nigdzie nie czujemy narodowego bólu. W powieściach p. Korzeniowskiego świat polski, jak niegdyś Izba francuzka, złożony z samych *satisfaits*: ludzie tam wszyscy bardzo zadowolnieni, lub tak małym są do zadowolenienia!!

Jak daleco p. Korzeniewski posuwa to godzenie się z obecnością, to przystanie na niewolę egipską: nazwijmy rzecz po imieniu! to narodowe odstępstwo, — dowodzi oburzające zakończenie, które śmiał dać swój powieści, bezbożna transfiguracya, w której nam okazuje się wreszcie bohater Eugeniusz. Doprowadziwszy go do ostatecznego kresu rozczarowania, postawiwszy go nad samym brzegiem przepaścistego zmarnienia, moralnego znikczemnienia i wyzucia się ze wszelkich instynktów zacności i honoru, pozwala mu znowu autor odzyskać pozycyą i znaczenie, pozwala mu wyjść ze straszego zachwiania, przywraca go do czci we wła-



snych oczach i ludzkich, do uczucia osobistej godności i wartości, i oddaje mu w nagrodę rękę ulubionej istoty: a cudownym środkiem takiej wielkiej rehabilitacji jest — służba w wojsku rosyjskiem! Stan ten «uczy go pogardzać wykwintnemi wygodami życia, wytrzymać wytrwale w jednostajnej pracy, i opierać się na własnej sile, czego mu właśnie brakowało.» Czytamy listy tego kaukazkiego żołnierza, z których, jak sam p. Korzeniowski powiada, «widać że Eugeniusz opisywał takim szczęśliwym tonem miejsce, gdzie się znajduje, ludzi z którymi żyje, służbę którą pełni, nietylko dla tego aby krewnych uspokoić, *ale że mu się to wszystko do prawdy podoba.*» Autor upewnia nas dalej, że jego bohater zdrow i *wesoły*, że go «kaszkiet nie gniecie i mundur nie ciśnie»..... «a gdy koń jego parska, gdy chorągiewka piki wiszącej na jego ramieniu igra z wiatrem nad jego głową, szumiąc jak skrzydło, które go chce unieść od ziemi, czuje się swobodnym jak Farys [jak Farys!, p. Korzeniowski w takim miejscu przypomina poemat tego wielkiego wieszczu tułacza, który w wyprawie przeciwko tym właśnie *pikom i chorągiewkom* dokonał męczeńskiego życia na brzegach Euxynu!.....] i rozmarzony, szczęśliwy, marzy o tych wiekach poetycznych, które zna tak dobrze!» Pełniąc sumiennie swe obowiązki, zyskuje Eugeniusz «życzliwość swoich zwierzchników» i szczyli się «kompanią uprzejmich towarzyszków;» a ponieważ szczęście nigdy samo nie przychodzi, udaje mu się raz nawet ocalić życie rosyjskiego generała i drogięj jego rodziny, za co go naturalnie nie mijają łaski i awanse, a niebawem też «błyszczą pożądaną szlify na ramionach pięknego bohatera naszego»..... I abyśmy się, broń Boże, nie omylili na znaczeniu tej heretyckiej nauki, zaostrza nam ją nasza powieść w drugim niemniej wymownym przykładzie. Pan Paweł Jelewski marnuje majątek rodzicielski, wpędza swego ojca do grobu, żeni się tylko dla wyłudzenia

pieniędzy, i zaraz po ślubie puszcza się w świat, zostawiając list do żony, list obrzydliwy, niepodobny, w którym powiada « że P. Bóg mu to za zasługę porachuje, iż Jego koszlawe dzieło choć raz do swych piersi przycisnął, » i z cynizmem, którego byśmy tu powtórzyć nie śmieli, daje zgóry wieczne błogosławieństwo płodowi zostawionemu w jej łonie !! Ale jeśli autor w tak brudnych kolorach, i z niewyznaczoną sobie przesadą odmalował tę osobę, to tylko dla tego, by tem świetniejszą uczynić późniejszą jej transfiguracyą. Ten sam nikczemnik powraca na końcu powieści oczyszczonym, wybielonym, wolnym wszelkiego kału ; jest najlepszym ojcem, najczulszym przyjacielem, prawdziwym dobroczyńcą ludzkości ; żeni Ignacego ze swoją córką, obmyśla los Eugeniusza, i, *Deus ex machina*, rozwiązuje wszystkie węzły przeznaczenia ku zadowoleniu wszystkich. A jeśli się spytamy, co dawnego łotra i wisielca mogło przetrworzyć w tak zacnego i szlchetnego człowieka : usłyszymy znowu odpowiedź, że zbawienny ten wpływ wywarła służba w wojsku rosyjskiem, w której p. Paweł dostąpił rangi pułkownika, bogactw, *chrestów* i enoty !!! I tak Jelewski zarówno jak Eugeniusz, służy za dowód, że słońce nam świeci ze Wschodu, a moralność nam przychodzi z Kaukazu.....

Więc w taki to Czyściciel przemienia p. Korzeniowski owe Piekło wojskowej służby rosyjskiej, na którego wspomnienie drżą nasze matki i tulą swe dzieci do łona ! W taką to Dantejską górę Zbawienia przeobraża nam autor *Krewnych*, ów Kaukaz ciemny, do którego Cary od lat tylu przybijają polskiego Prometeusza ! Więc jako szkołę naszej rehabilitacyi przedstawia on nam tę armię Attyllów, która mieści w sobie dwa najokropniejsze barbarzyństwa w świecie : barbarzyństwo dziczy u dołu i barbarzyństwo przekształcenia u góry ; której wyżyny są stekiem najwyrafinowanego zepsucia, a podwaliny kolosem bydlęcego ztępienia ; w któ-

rój łupieztwo, okrucieństwa, zapoznanie praw ludzkich i bozkich, waleczą o prym z pogańską nienawiścią ku wszystkiemu co wolném, cywilizowaném i szlachetném; która jeśli kiedy słyszy o honorze, to chyba gdy mowa o długach karcianych, a jeśli zna jaki heroizm, to chyba ten, który wielki wieszcz nasz nazwał heroizmem niewoli! I czyż p. Korzeniowski tego nie wie, że ta właśnie służba jest najstraszniejszą i najniebezpieczniejszą próbą, przez którą tylko przechodzić może biedna młodzież nasza, i z której tylko rzadey wychodzą z czystými obyczajami, z czystém sercem, z czystém sumieniem Polaka? Niechaj się pyta tych męczenników, co z téj piekielnej próby wyszli zwycięzko, a oni mu powiedzą, jaką koszulą Dejaniry był dla ich polskiej duszy ten « mundur co nie gniecie! » Czyż p. Korzeniowski o tém nie pomyślił, co to znaczy dla Polaka być « w uprzejmém towarzystwie » potomków Suworowów i Drewiczów; zawiesić na swém ramieniu tę « chorągiewkę, » która może nie tak zbyt dawno temu po trupach jego braci wlatywała w dymiące się szanice Warszawy; wziąć w rękę tę « pikę, » która może przebiła niejedno z niewiniątek Oszmiańskich; dzierżyć ten bagnet, którego ostrze wymierzone zawsze przeciwko sprzymierzeńcom ojczyzny, a w danym razie przeciwko jój synom a własnym braciom? Czyż p. Korzeniowski tego nie rozumie, co to jest dla uciemiezonego służyć w szeregach ciemnicy? Autor *Karpackich Górali* przecież musiał kiedyś to wszystko czuć i rozumieć!... Z jakim to ogniem, z jaką to siłą umiał wtenczas przedstawić ofiarę poboru, która rzuca nienawistny mundur i zostaje opryszkciem; jakież tragiczne z tego powodu potrafił wywołać sytuacye i sceny, ileż to łez szlachetnych wycisnąć widokiem konającej z bólu matki rekruta, i jego kochanki tonącej w Czeremoszu! Była to wielka, jedyna może chwila prawdziwego natchnienia w długim życiu tego pisarza!...



P. Korzeniowski inaczej teraz te rzeczy uważa; w widzeniach jego zaszła zmiana, której przyczyn zbadywać nie mamy ni prawa, ni potrzeby. Dość, że się pogodził ze sromotną obecnością, i nas z nią godzić widocznie usiłuje; że w swoich powieściach wystawia bohaterów walczących w szeregach wroga, za sprawę wroga; że w koło naszej społeczności, którą maluje, wprowadza, gdzie i jak się tylko da, Moskali, jakby nas chciał z nimi oswoić i pobratać; że w *Tadeuszu Bezi miennym*, dziewosłębi nawet — *proh pudor!* — wyrodnym i cudzołożnym miłośkom Polek z rossyjskimi jenerałami (\*)! Musimy tu choć w krótkich słowach wspomnieć o tym, niezbyt także dawno ogłoszonym utworze; bo jeśli nie jaśniej, to niezawodnie jeszcze jaskrawiej niż w *Krewnych* odbija się w nim myśl narodowego odstępstwa. Powieść zaczyna się od tego pamiętnego roku, który witał na polskiej ziemi wracające Legiony Dąbrowskiego, który był kolebką i grobem tylu wielkich nadziei, który autorowi innego, i zaprawdę bardzo odmiennego *Tadeusza*, stał zawsze przed oczyma « jako piękna mara senna, i narodzonemu w niewoli, okutemu w powiciu, jedyną był wiosną w całym mroźnym życiu. » Ale p. Korzeniowski swoje opowiadanie o ten rok Napoleońskiej wyprawy tylko dla tego związał, by korystając z częstych wówczas pochodów wojsk wzdłuż i szerz naszego kraju, ukuć kilkutygodniową intrygę między pięknym « silnym » jenerałem rossyjskim, « na którego szyi błyskał wysoki znak łaski i dostojenstwa kosztownymi obsypany brylantami, » a polską panią, córką wielkiego rodu, żoną zamożnego szlachcica. Mamy potem opis pewnej nocy i pewnej sypialni, nie ustępujący ni w wytworności, ni w wyrafinowanym

(\*)

Et peccare docentes

Fallax historias movet.

HORAT. OD. III, 7.

cynizmie najbardziej osławionym tego rodzaju obrazom w romansach francuzkich, a w którym wiarolomna żona podrzuca śpiącemu mężowi płód swego bezprawia..... Taki jest początek dzieła; a koniec jego niemniej hańbiący stawia pomnik drugiej wielkiej dacie naszych dziejów z tego półwieku, powstaniu z 1831 roku. O téj dacie nie wspominają pisarze nasi pod zaborem rossyjskim; i zaprawdę, nic uroczystsze, nic wymowniejsze nad to pobożne milczenie, którym, jak niejeden lud starożytności święte imię swego grodu lub bóstwa, pokrywają ten rok wielki a cudowny! P. Korzeniowski pierwszy i dotąd jedyny, o ile wiemy, złamał ten święty obyczaj, i wręcz wypowiada, że bohater jego powieści uciekłszy ze szkół krzemienieckich, przystąpił « do wojsk powstańczych. » Ale jakżeż to zgrabnie umie tłómaczyć tę płochość szesnastoletniego dziecięcia, jakżeż prędko mu każe wrócić do upomnienia i skruchy! Tadeusz nie czeka ćwierci wieku na tę sławną amnestyą, której peryfrazę w gazetach Warszawskich tak wprawnemu zawdzięczamy pióru; on następnego zaraz roku wraca z emigracyi do kraju, gdzie sąd wojenny, łaskawy i w całym znaczeniu tego wyrazu *ojcowski*, każe mu się dosługiwać przebaczenia w wojsku kaukazkiem... « W połowie lipca 1834 r. miał już Tadeuszek krzyż, miał porucznikowskie szlify, i gdy poraz pierwszy w nowiuteńkim mundurze, na dzielnym koniu, prześliczny oficer pokazał się w szwadronie swoim, wszyscy żołnierze krzyknęli uradowani, a oficerowie ściskali go i winszowali sobie takiego kolegi! » Autor apoteozę prowadzi do końca: kula czerkieska « uderza w tę pierś bohaterką, » i Tadeusz ginie na polu sławy, na ręku swojej matki, w *bratniem* kole oficerów rossyjskich...

Mamyż objasnić epopeę, którą o powstańcu polskim wyśpiewał pisarz polski? Mamyż komentować zawód, który uczniowi szkół Krzemienieckich wytknął tych szkół dawny uczeń i profesor? Nie, zaprawdę! Wolimy

tu przypomnieć piękne, dumne słowa, które niegdyś w *Batorym* wyrzekł nasz autor :

.....Płakać na bezpiecznym  
Brzegu, gdy matka tonie, jest niegodném  
Syna. Właściwe jego miejsce na dnie,  
Jeśli jój nie mógł uratować...

Tak stoicznym, tak łaknącym męczeństw był dawniej p. Józef Korzeniowski !! Jakież by wtedy dał imię synowi, który na bezpiecznym brzegu nawet nie płacze, ale sławi piękność tych fal, w których tonie matka, i nurty pełne własnego błota, a krwi naszej Ojczyzny, zaleca braciom jako źródło ozdrowienia?... Odwołujemy się od obecnego powieściopisarza do ucznia Czackiego, i od autora *Krewnych* i *Tadeusza Bezimiennego* do twórcy *Karpackich Górali*!



## DYARYUSZ KAZIMIERZA PLATERA.

17 stycznia.

P. Kraszewski ogłosił w ostatnim, grudniowym, Dodatku do *Czasu* bardzo zajmujący *Daryusz podróży* podróży z Warszawy do Petersburga hrabiego Kaz. Konst. Platera, w roku 1792 odbytej, który niejedno rzuca światło na ową epokę i działających w niej ludzi, a zwłaszcza téż Felixa Potockiego. Plater, naonczas starosta inflantski, wysłany był do Katarzyny jako «delegat Rzeczypospolitój» — z jakim poleceniem? tego nie objawia nam jego poufna i urwana korespondencya, wystosowana w ciągu podróży do nieznanego przyjaciela; ale natomiast nie jednym charakterystycznym rysem kreśli stan kraju, a mianowicie przedstawia nam Szczęsnego Potockiego, w zwyciężkim jego pochodzie na czele Targowiczaków. Starosta zastaje go w Siedlcach, otoczonego rojem wielkich dam, przybiegłych ze wszech stron, z Warszawy szczególniej, dla przywitania «nowej gwiazdy Polsce przyświecającej,» otoczonego licznym orszakiem przyjaciół i stronników,

w których spisie z bólem przychodzi czytać imiona dwóch Komorowskich, dwóch rodzonych braci zamordowanej Maryi! Wszyscy się cisną do nieszczęśliwego tryumfatora, każdy usiłuje zbliżyć się do niego, niejeden w ucziwej chęci dowiedzenia się o jego zamiarach na przyszłość, o losach które gotuje krajowi. — Potocki, « który raczej jest mrukiem niż skłonnym do gawędki, » nie usuwa się jednak od rozmowy, szczególnież z damami, a poczciwy Plater stara się « nizać na nitkę » każde zasłyszane słowo. Ale z ust Szczęsnego wychodzą tylko skargi na « rewolucyą (!) 3<sup>o</sup> Maja, » na « zdradę miejskiego stanu pod pozorem dobra jego » a przytém zaręczania tak powszednie u nas, a mimo powszedniości tak popłatne, o patryotyzmie, o czystém sumieniu, że wolen od wszelkiej prywaty « i że nie wie, gdzieby miał umieścić w swym dykeyonarzu to słowo: nieprzyjaźń lub zemsta. » Dla nas, którzy czując całą wielkość zbrodni, nierazbyśmy chcieli wielkie jęć przynajmniej mózdz naznaczyć pobudki; dla nas, którzyśmy Szczęsnego długo z samęj tylko znali poezyi, jako zakochanego młodzieńca w pieśni Malczewskiego i konającego Tytana w poemacie Słowackiego: dla nas czytanie tego *Dyaryusza* Platera było prawdziwą męczarnią. Gdyby ten fatalny Konfédérat miał przynajmniej piętno istotnego fatalizmu! Gdyby wielkości występku odpowiadała przynajmniej wielkość występnego! Gdyby ten Koryolan naszego Rzymu był przynajmniej żywił w swoich pierśsiach piekielne ognie owego Patrycyusza, i choćby ich łyzy matek nie ugasiły! Gdyby nam przynajmniej okazał to czoło zmrożone dotknięciem Szatana, ten marmur bólu, tę ciszę rozpaczy, jakimi go zbyt hojnie obdarzyła poezya Juliusza! Nie, przebaczyliśmy mu niezawodnie jego czynu; lecz uczucie nasze mogłoby się znamiętnić w przekleństwo! Ale arlekin z buławą w ręku, powiemy z Mochnackim, miewający czasem sny potwornego republikanizmu; ale « mruk » bezrozumny,

który brocząc w rozdartém łonie Ojczyzny, dnie feralne trawi na kanapie z damami lub przy zielonym stoliku z gracjami : to już nie tragiczny obraz ale obrażająca karykatura, to zmusza ściśnięte pięści na własnej krwawiej piersi, to na czole Polaka rumieniec gniewu spędza rumieńcem wstydu! — Brak silnych zasad, brak politycznego przekonania i systemu, który z małym wyjątkiem wszystkich, nawet i lepszych ludzi owego czasu cechuje, odbija się także i w « delegacie Rzeczypospolitej, » w pisarzu tych ciekawych listów. Zdaje się być stronnikiem 3<sup>go</sup> Maja : wszakżeż Potockiego potępiać nie śmie, bo i któż wie?... może Szczęsnemu się poszczęści zrestaurować tę biedną Polskę?... « Któż wie? » to sceptyczne słowo Montaign'a jest hasłem ówczesnych (nieraz i dzisiejszych) Polaków, z których kaźden woli być wadliwym niż waga na zegarze wieku. Plater prawie gotów uwierzyć w fantastyczny gmach, który na ruinach 3<sup>go</sup> Maja myśli wnosić naczelnik Targowicy; wszakżeż, nie może się wstrzymać od zrobienia następującej drobnej uwagi, ale która poważnemu umysłowi powinna była zgóry wszelką w tej mierze odjąć wątpliwość. Taka praca podźwignienia kraju, pisze nasz Starosta, « ustawicznego potrzebuje czuwania i pilności... a przez cały czas w Siedlcach przypatrywałem się, jak Generał przykuty siedział przy faraonowym stoliku! »

Miałeż Potocki wistocie jakie zamiary względem konstytucyi polskiej, i jakiegoż one były rodzaju? Na to pytanie ciekawą znajdujemy odpowiedź w listach Platera. O tym nowym « skutecznym rad sposobie » targowickiego reformatora dowiaduje się starosta Inflantski w Grodnie, od faworyta Generała, od owego szefa regimentu Moszczeńskiego, o którym Chrzęszczewski powiada, że się wolał trzymać klamki możnego dworu, niżeli regimentu swojego. Ten pokazuje Platerowi projekt rządu przyszłego dla Polski, « który Potocki sam ręką swoją napisał i kuryerem do Cesarzowej JMei po-



słał. » Pierwszy to raz, o ile nam wiadomo, możemy wglądać w prawdziwe zamysły Szczęsnego względem kraju, i warto zaiste główne punkta wypisać. Podział kraju na *trzy prowincye*; pomnożenie ministeryów, aby po dwóch było marszałków, dwóch hetmanów, dwóch kanclerzy i dwóch podskarbich *w każdej prowincyi*, razem dwudziestu czterech ministrów, a ministrem ten tylko być mógł, « co zagranicą odbył funkcją dyplomatyczną; » zachowanie sejmów ordynaryjnych i *elekcyjnych*; *zmniejszenie* kompletu wojska do 45,000 t. j. po 15,000 na każdą prowincyą z *osobnym* dowództwem : oto w głównych zarysach treść « *planty* » Potockiego. — Więc rozdarcie kraju na trzy części, z których każda by miała osobny rząd, osobne wojsko, osobne finanse, osobnych wodzów i osobnych ministrów; więc rozbrojenie jeszcze większe już i tak rozbrojonego a napastowanego państwa; więc wywrócenie radykalne całej dawniej konstytucyi z jednym zostawionym, danajskim darem sejmów *elekcyjnych* : taka jest miazga politycznej mądrości Szczęsnego, tym sposobem chciał uleczyć Polskę, tém to umyślił zastąpić « rewolucyjne » dzieło 3<sup>o</sup> Maja!! Dodać wszakże należy, że te sejmy elekcyjne nie były koniecznym artykułem wiary, a na złośliwe czy dobroduszne zagadnięcie naszego starosty, « iż gdy powaga króla i hetmanów w Polsce ograniczoną będzie według téj planty, lękać się nie należy choćby i dziedzicznego tronu, *wybrawszy osobliwie familią dla Polski pożądaną...* » odpowiadają mu, że wistocie na to by się zgodzić można było ; wszakżeż determinacya tego od — zagranicznej zależy polityki!...

Rozszerzyliśmy się trochę nad tym przedmiotem, bo od niezbyt dawnego czasu objawiała się w literaturze i umysłowości naszej pewna tendencya w pół-poetyczna, w pół-mistyczna, w każdym razie chorobliwa, która w ruchu targowickim radaby uznała źle skierowaną wprawdzie ale wgruncie sprawiedliwą, *moralną* pro-

testacyą rodzimego ducha polskiego, ba i sławiańskiego, przeciwko zachodniej, dla Polski nie przydatnej, jęj nawet historycznemu rozwojowi i posłannictwu przeciwnęj reformie, którą sejm czteroletni usiłował zaprowadzić. — Sumienie narodowe, jak słońce, ma swoje częściowe zaćmienia, a symptomem takich epok bywa zwykle mania rehabilitacyi wypadków i ludzi przez sąd publiczny dawno potępionych. Odezwały się teraz u nas głosy w obronie Zebrzydowskiego i Radziejowskiego; może się nam nadarzy wkrótce sposobność bliższego rozbioru tych dziwnych, bolesnych objawów. Tym z pośród nas, a jest ich niemało, którzy w Szczęsnym uroili sobie obronę dawnych idei polskich, dawnych tradycy republikańskich na przeciw «zachodnim wymysłom» 3<sup>go</sup> Maja, zalecamy przeczytać projekt posłany do Petersburga. Przekonają się, że restaurator złotej wolności był większym niezawodnie burzycielem od Sejmu czteroletniego, a jeśli coś wyobrażał, to chyba brak wszelkiej myśli, wszelkiego rozsądku i wszelkiego sumienia. Gdy naród odzyskał na chwilę swą wolę i wolność, gdy powstał za Kościuszki, zaprawdę nie myślał on wtenczas o przywróceniu do czci planty Targowickiej, ale zaraz i wszędzie, bez namowy i umowy, przywracał Konstytucyą 2<sup>go</sup> Maja. To jedno powinno nas przekonać, że owe dzieło było narodowem, że ono było wyrazem ducha polskiego! Obrońcami Sejmu czteroletniego byli Kościuszko, Dąbrowski, Kniaziewicz, Ignacy Potocki, Wybicki, Niemcewicz: męże, o których polskim duchu świadczy żywot cały, świadczą i mogiły. Jakież pomniki przechowały nam pamięć owych nowomodnych reprezentantów dawnej tradycyi polskiej? Latarnie miejskie w Warszawie i Wilnie, i ta pieśń ponura, którą od półwieku odsyłają sobie smętne echa Ukrainy o «wojewodzkiem synie!...»

---

## ŻALE POLAKÓW NA ZACHÓD.

31 stycznia.

Nic u nas zwyczajniejszego, a nic zarazem bardziej popularnego jak skargi na Zachód, na jego względem nas niesprawiedliwość, na jego lichotę i poziomość, że nas ocenić nie umie. Trwają one od lat trzydziestu. Czas rozpatrzyć się: zkąd się wzięły i co są warte.

Jużto w ogólności, żale i wyrzekania nie dowodzą bynajmniej silnej woli i zdolności znoszenia trudów a niesienia prawdziwych ofiar. W kimkolwiek jest siła zaradzenia sobie, ten z klęsk doznanych wyciągnie na przód dla siebie naukę, w czém nie dopisał, gdzie głową lub charakterem zawinił, a tylko niedołężność sama, lub zgrzybiała miłość własna, wszystko złe uchybieniami drugich lub fatalnym zbiegiem okoliczności tłumaczy.

Złej woli Europy i fatalizmu dziejowego używaliśmy, i nadużyliśmy w opowiadaniu wszystkich naszych, od lat stu, publicznych usiłowań. Rozdzielano Polskę po razy trzy; « hańba Europie, wołamy, że takiej zbrodni dopuściła! » Zgoda, ma się czego Europa wstydzić. Lecz większy podobno wstyd tym, którzy ani jednemu z trzech podziałów z orężem w rękę nie przeszkodzili, i po prawdzie nawet przeszkodzić własnem wysileniem nie starali się; większy wstyd narodowi, gdzie jedynymi obrońcami całości kraju byli *mówcy* sejmowi, Rejtan i



Korsak. Niechaj nućą poeci, że Polska wołała zstąpić do grobu, niżli być obecną szkaradom XVIII wieku : my, którym nie o poklaski ale o przyszłość idzie narodu, przypomnimy raczój, że dla obrony jednej prowincyi, Szwajcarya sto tysięcy wystawiła; a my, dwudziesto milionowy naród, i razu jednego podówczas, na piędziesiąt tysięcy nie zdobyliśmy się. Dla ocalenia konstytucyi, w której cały kraj widział zbawienie, stanęło dwadzieścia tysięcy w armii koronnej, dwanaście w armii litewskiej, i sześć tysięcy rezerwy pod Warszawą. A i ci nawet, jak się bili ! « Bo król zdradził, » wołamy. Prawda jest, król zawinił; stokroć więcej zawinili, kłówną publiczną na wieki obrzucone, herszty Targowicy : ale też nie powiemy, aby silny duch, aby patryotyzm był wówczas w narodzie, który tak łatwo odstępcom i zdrajcom dał się powodować.

Kilka tysięcy żołnierza polskiego zebrało się w legionach, i to jedna z najpiękniejszych w nowych czasach dla nas karta. » Ah ! ileż to krwi polskiej, wołają, przelało się we Włoszech ! » Nie bez korzyści dla nas, odpowiemy. Pod koniec XVIII wieku, wstyd powiedzieć, na polach elizejskich w Paryżu, dla zabawy pospólstwa, przedstawiano zwykle szlachcica polskiego jako pijaka, kłótnika, zawadyakę. Świetne czyny rycerstwa polskiego we Włoszech przywróciły nam dopiero u obcych cześć, której nie mieliśmy, a którą do dziś dnia żyjemy. I, stosunkowo za małe posługi, czyż nie hojnie Francya nam odpłaciła ? W r. 1806 i 1807 wystawiliśmy trzydzieści tysięcy żołnierza; te, że od razu na polu bitwy stanęły, że w nich była żywa krew i wola narodu, chociaż niemi nie byliśmy zdolni odeprzeć armii moskiewskiej, przyniosły nam Księstwo Warszawskie. Kto zaś zna stan prowincyj polskich przed rokiem 1807, ten snadnie uzna wielkość dobrodziejstw i usług, które nam to małe Księstwo, na drodze podniesienia i udojrzenia ducha narodowego, oddało,

Wyrzucają Napoleonowi, że trzy pułki nadwiślańskie zabrał do Hiszpanii. Prawda jest; lecz ileż pułków francuzkich prowadziło kampanią dopiero co wspomnianą, której rezultatem dla nas było Księstwo Warszawskie! W roku 1809, wyznajmy szczerze, nie bylibyśmy pewno odparli armii austriackiej, gdyby postępy Napoleona w Austrii nie przymusiły jej do opuszczenia ziemi polskiej. Nie rozbiliśmy arcyksięcia Ferdynanda, aleśmy się z nim bili, ale korzystaliśmy ze zwycięstw francuzkich, ale pod ich wpływem carodziejskim rosły u nas pułki bez pieniędzy i bez zapasów: i za to jedno, za to, że nie oglądając się na pomoc obcych, w własnej dzielności szukaliśmy ratunku, odzyskaliśmy połowę austriackiego zaboru. Gdzież tu jest niewdzięczność Zachodu?

W 1812 r. zdobyliśmy się na siedmdziesiąt tysięcy żołnierza zgórą. Obwiniają Napoleona, że choć mógł, nie odbudował Polski. Słuszny żal, i ciężko tej winy Napoleon przypłacił. Lecz ile sroższy zarzut spaść musi na naród, który, przy takich, jakie miał wówczas, pomocach, sam siebie nie odbudował? Gdyby były prowincye zabrane, z taką dzielnością jak Księstwo Warszawskie w r. 1806 i 1809, powstały, bylibyśmy i siebie zbawili, i Napoleona ocalili. Ale nie! Sejm warszawski półgębkiem, nieśmiało, wyglądając aprobacji Francyi, ogłosił wskrzeszenie Polski, i sam temu wskrzeszeniu pierwszy nie uwierzył, i jedna cesarska przemowa, może zbyt ostrożna, zbyt zapału naszego probująca, odjęła jemu moc ducha. Dość było zatem obecności Pradta w Warszawie, aby nasz patryotyzm, energia i wola rozstroiły się, i właśnie kiedy trzeba było najwyższego natężenia, po staremu zniedołężniały. Czyż nie miał Napoleon powodu wahać się, azali ten naród już dojrzał do niepodległości?

To też z pierwszém pośliznieniem się Napoleona, jakoby mgła za podmuchem wiatru, rozwiała się nasza

dzielność. Po wstrząśnieniu straszném, którego Moskwa w r. 1812 doznała, mogły były resztki armii polskiej, w r. 1813, wzmocnione gotowanemi podczas wojny szeregami, zatrzymać się w Księstwie, nad Bugiem, czy *jak wówczas projektowano* w Krakowskiem. « Czyż podobna, rzekną nam, tak wiele wymagać od kraju sześćdziesięcioletnią wojną, tyloma dostawami zmęczonego? » My odpowiemy przypominając ofiary, które po dwudziestoletnim boju Francya, jeszcze w 1813 r. czyniła. Ona, dla uratowania swój przewagi w Europie, raz jeszcze trzykroć sto tysięcy żołnierza wystawiła; a my, azaliż nie mieliśmy nierównie silniejszych niż Francya do wytrwania powodów? Wojna zaś, z jakiembądź szczęściem w Polsce prowadzona, ale przez nas, na własną rękę, i z energią, która nam tych lat i zawsze, tak bardzo przystała, bo byliśmy, i jesteśmy, jako majtkowie na okręcie tonący; wojna Polaków samych z Moskwą rozbitą i przed nami wówczas tak nieśmiałą, byłaby zwolniła Napoleona od stanowczego w Niemczech nieprzyjaciela, byłaby mu zatrzymała Austryą w wierności, i dałaby mu może czas poszukać odwetu i nam przyjść napomoc. Ale my wtedy (jak i dziś) pożyczaném światłem posługiwaliśmy się, i skoro nam brakło jasności fortuny napoleońskiej, ciemno się przed nami zrobiło! Poszliśmy więc pod Lipsk, dokąd nas prowadził mniemany honor, bo nas w kraju nie zatrzymała ani miłość Ojczyzny, ani rozum polityczny.

A jednak to « *honorowe* » choć nie dość patryotyczne postąpienie rycerstwa polskiego, to jego męstwo i te wysilenia, które przez sześć lat, niecały wprawdzie kraj, lecz Księstwo Warszawskie czyniło, sprawiły że się nami Europa, choć po trochu na kongresie wiedeńskim zajęła. « Co znaczy to Królestwo Kongresowe? » powiedzą nam, może z uśmiechem bliskim pogardy. Przyznajemy, że nie jesteśmy tak absolutnej opinii. My, w każdym wypadku, nie powiemy: *wszystko* albo *nic*



(jak, świeżo, dziwaczna książka naucza); bo temu co nie ma, nie przystoi lekkomyślnie gardzić częściowém dobrem narodu. Nie od razu Kraków zbudowany, i nie jeden raz Polskę rozdzielano! — Teoretykom wreszcie naszym, którzy nas na błędnych rycerzy politycznych kierując, wmawiają w nas i w Zachód, żeśmy w r. 1794 i 1830 zerwali się do broni dla ochronienia Francyi od Kóalicji, odpowiemy, że sami temu wymysłowi nie wierzą. Żaden naród dla ocalenia drugiego nie rzucił się jeszcze nigdy w przepaść, a Francya straszniejsze też, niż te co jój w roku 1831 groziły, bez nas odparła za-  
stępy.

Nie bez przyczyny, przeważnej i bardzo naglącej, przed oczyma czytelników robimy tę krwawą histori naszą dysekcją. Bo fałsz w poglądzie historycznym prowadzić musi do fałszu w polityce. Od r. 1830, tyle nam napowiedziano o naszych poświęceniach dla Zachodu, o jego dla nas niesprawiedliwości, że, chociaż na Zachodzie nikogo nie przekonałiśmy, sami siebie oszukaliśmy dostatecznie. Wymysłami historycznemi, które, mówmy otwarcie, próżność nasza nam podsunęła, okopaliśmy się jakoby w twierdzy zbudowanej dla «przestrzegania krwi i dumy polskiej», a która Zachodowi pomnikiem grobowym naszego życia narodowego wydała się. «Tyle razy was zawiedziono (mówili w r. 1854 ostrożni między nami politycy), tyle razy nadużyto poświęceń polskich! Pozwolicieź się jeszcze dłużej oszukiwać, i będziecież pobłażali tym niecnym frymar-kom krwi polskiej? Czekajcie, aż czarno na białem nie zobowiążą się odbudować Polskę od morza do morza! Wszak bez was Moskwy nie zwyciężą! bez was nie zmuszą jój do pokoju!» Tak wielu mówiło; i ów ton fałszywy, co w ciągu wojny radził nam — nie dzielności naszej dowodzić, ale téj nieruchawej godności, którą ma i w trumnie leżący, odezwie się jeszcze, z całą jego oktawą negatywnych uczuć, w chórze narodowym, za

każdą razą, kiedy własnem wysileniem coś trzeba będzie wykonać; odzywać się będzie dopóty, póki z historii i z błędów naszych nie zedrzymy maski, w którą chełpliwość nasza je ubrała. Mniejsza o to, że zdejmując ją, oderwiemy od kości niejedno złudzenie, które się z niemi zrosło. Tylko *prawdą a pracą* naród żyje i dźwiga się; kłamstwo jak opium upaja, jak opium truje i usypia!

Nie masz tak rozpaczliwego położenia, mówiliśmy to nieraz i mówić nie przestaniemy, w którémby silne a poczciwe uczucie nie znalazło pola do pracy dla kraju. Służmyż więc, jak kto może; ale pamiętajmy, że skargi lub nieczynne oczekiwanie służbą nie są; że jak całego narodu, tak każdego z nas, w jego powinności, żadna pomoc obca wyręczyć nie może. Niechaj Europa widzi, że w nas duch publiczny nie do wojny się tylko budzi, lecz że każdój chwili żyje i jawi się w działaniu gromadnym, w instytucjach, zgoła w tém wszystkim, co jest wyraźnym dowodem narodowego życia. Jeżeli raz z danego położenia potrafim wyciągnąć wszystkie dla kraju korzyści, to już snadniej, niż dotąd, poznamy się na ważności czasu, kiedy on nadejdzie, i dzielniej odpowiemy obowiązkowi, który na nas włoży. A jak w europejskich od pół wieku toczonych wojnach nie mieliśmy prawa utyskiwać na niewdzięczność Zachodu, tak i nadal jego własny interes jest rękojmią, że nam zawsze, miarą naszych dla ojczyzny poświęceń, odpłacać się będzie.

---

## O RADZIEJOWSKIM I ZEBRZYDOWSKIM.

31 stycznia.

Żyjemy w czasach dość dziwnych, w których nieraz z radością witać przychodzi jako dobrą nowinę, rzecz przez się samą tak prostą jak pacierz i tak dawną jak świat. Zakłócenie sumień i gorączkowa chęć powiedzenia czegoś nowego i niebyłego dochodzą u nas nieraz do tego stopnia, że można z drugiej strony stać się oryginalnym, głosząc bardzo starą prawdę, i że margrabia de la Palisse wielkaby w obecnych chwilach zrobił fortunę ze swemi maksymami i myślami, W ostatnim zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* p. X. M. (jeśli się nie mylimy, znany zaszczytnie z nauki i sumiennosci badacz dziejów naszych, p. J. Łukasiewicz) poświęca gruntowną rozprawę dowiedzeniu tego, że Hieronim Radziejowski był zdrajcą kraju, a Mikołaj Zebrzydowski zbrodniarzem stanu : i nie możemy dość przyklaskiwać tej pracy. Wprawdzie jeszcze nie zbyt dawno, dowodzenie takiej prawdy zdawałoby się równie nieużytecznym jak niepotrzebnym : ale dziś stało się rzeczywistą patryotyczną koniecznością. W obronie owych dwóch ludzi odezwały się w najnowszych czasach głosy bardzo krzykliwe, choć nie bardzo poważne, i ze stanowiska jakiejś wyższej krytyki i jakiegoś « dodatniego światła » (!) usi-



łowano, świeżym pokostem historyzoficznój idealności zatrzeć piętno hańby, które na czole tych wicherzących magnatów wycisnęło od wieków sumienie narodowe. Niewdzięcznego takiego trudu podjął się szczególnież w *Kronice Warszawskiej* p. Julian Bartoszewicz, skrzętny i pilny zresztą szperacz w historycznych pyłkach i pergaminach. Głównym jego (i według nas zupełnie fałszywym) domysłem jest, że nie Jan Kazimierz z Radziejowską, ale przeciwnie Radziejowski z Maryą Ludwiką miał porozumienia miłosne. Gdyby to prawda było, to w takim razie Hieronim byłby, jeśli można, tylko tém winniejszym : bo nie dość, że prywatnej krzywdy swojej szukał mścicieli w obcych narodach a wrogach swój ojczyzny, ale nawet wcale skrzywdzonym nie był, owszem był sam krzywdzicielem swego króla w domowym jego spokoju i honorze. Wszakżeż, p. Bartoszewicz na to rzuca « dodatnie » swoje światło i tłumaczy wszystko z ducha praw i instytucyj polskich. Według téj nowój teoryi, Radziejowski był nielegalnie sądzonym, a wracając potem do kraju ze Szwedami, działał zupełnie *w sposobie prawnym*. Szwedów tych sprowadził nie przeciwko Polsce, ale przeciwko królowi, z którego kraj swój chciał oswobodzić !! Haniebną kapitulacyą pod Ujściem, w której szlachta wielkopolska bez wystrzału, bez oporu, odstąpiła część kraju najezdnikowi, nazywa p. Bartoszewicz *konfederacyą Ujską* : konfederacya zaś była środkiem legalnym i wszystko usprawiedliwia !! P. Bartoszewicz tłumaczy zbrodnicze kroki Radziejowskiego namiętnością, a w duszy jego domyśla się najszlachetniejszych uczuć. Ale p. X. M. słusznie na to odpowiada, że ludzi nie sądzimy z tego, co w głębi duszy swojej ukrywać mogą, bo w tę otchłań i najbystrzejszy wzrok badacza przedrzeć się nie zdoła, lecz z jawnych lub z ukrytych ich czynów; usprawiedliwienie zaś tych czynów namiętnością, nazywa rzeczą niebezpieczną, bo w takim razie nie masz

zbrodni: i tego co na publicznych drogach rozbija, można uniewinniać namiętnością.

To same, na źródłowej znajomości dziejów i zdrowym rozsądkiem oparte zdanie objawia p. X. M. i o Zebrzydowskim. «Zebrzydowski przewyższa jeszcze Radziejowskiego w zbrodni tém, że on pierwszy dał zgubny przykład wchodzenia w zapasy zbrojne z władzą wykonawczą. Bez niego nie byłoby może Radziejowskich, Montw', Ujściów, konfederacyj tarnogrodzkich i ich gwarantów, i t. p.; bo szanowanie praw i form legalnych, lub ich pogarda, tak się odziedziczają jak inne cnoty lub wady przodków»... Jeszcze raz, nie możemy dość przyklaskiwać panu X. M. w jego tak słusznym sporze.

Spór czysto kronikarski, kwestya osób dawno zmarłych i nas nie obchodzących — powiedzą może czytelnicy nasi! Jesteśmy zupełnie innego zdania. Dla nas historia jest częścią wielką naszego narodowego bytu, i przestrzeganie w niej prawdy i cnoty rzeczą aktualną i obywatelską. Zdrowe sumienie indywiduów polega na jasnej wiedzy o dobrém i złém w moralnym świecie; zdrowe sumienie narodu polega na dokładnej świadomości dobrego i złego w świecie jego historycznym. Ta sama fantazyja szlachecka, która niegdyś podkopywała u nas wszelkie rządy polityczne, podkopuje teraz wszelkie sądy historyczne. Wystawienie anarchii u nas, jako żywotnej sprężyny naszego dziejowego organizmu, usprawiedliwienie wojen « kokoszych » i rokoszów z ducha praw i instytucyj polskich, z opatrznego posłannictwa narodu, rehabilitacya Radziejowskich, Zebrzydowskich, Lubomirskich i Szczęsnych z wyższego stanowiska « dodatniego światła » i *złotej wolności*, prowadzą do zamęcenia wszelkich pojęć o państwie, o prawie, o pierwszych warunkach politycznego bytu — a konkluzyą ich: zwątpienie i uznanie obecnego naszego stanu, jako konieczny i nieodzowny. Kto chce się przekonać o tej prawdzie, ten

tylko potrzebuje porównać punkt wyjścia i cel ostateczny tego z naszych pisarzów, który najpierwszy i najpiękniej Polskę w tém świetle *illustrował*. P. Henryk Rzewuski rozumie Polskę tylko jako anarchią szlachecką, jako taką ją kocha, wielbi, poetyzuje — a z drugiej strony, przyznając niepodobieństwo takiej społeczenskiej anomalii wśród państw normalnych, przychodzi do logicznej konsekwencyi uznania obecnego uciemżenia. Z tego stanowiska poczytuje on za «zasługę» swemu dziadowi, że umiał być z początku najanarchiczniejszym Polakiem, a potem najlegalniejszym obcego państwa poddanym... Ale taka filozofia his'oryi jest kłamstwem wobec faktów i zbrodnią wobec sumienia narodowego; a oddziaływać przeciwko niej naszym świętym obowiązkiem. My inaczej zupełnie te rzeczy uważamy; my Radziejowskich, Zebrzydowskich i t. d. zawsze będziemy mianowali zdrajcami, a w anarchii szlacheckiej nie uznamy nigdy ideału polskiego posłannictwa. Między tą anarchią a obecnem uciemżeniem widzimy środek, widzimy stan zdrowego, normalnego narodowego organizmu, i jego, ale tylko jego bronić będziemy. Wolimy się przyznać do wielkich, ale przypadkowych błędów, zamiast pozornem ich upoetyzowaniem ucześć w nich fatalistyczną konieczność polskiej «rodzimej» natury, duchowej słowiańskiej indywidualności, jak to chorobliwym u nas umysłem nazwać się podobało. Rozstaniemy się znowu tym sposobem może z niejednym miłym złudzeniem, ale uzyskamy tę prawdę, którą jedynie stoją i powstają narody; wyrobimy w sobie jeszcze pojęcia o dobrém i złém w naszej przeszłości, i damy sobie i innym rękojmią co do naszej przyszłości.

Poczytujemy za swój obowiązek zwracać uwagę czytelników na podobne objawy w naszej umysłowości; a jeśli sobie coś mamy do wyrzucenia, to tylko to, że takie ważne przedmioty nawiasowo i dorywczo zaczepiamy.



Myślimy wszakże jeszcze w obszerniejszym wywodzie do tej bardzo żywotnej kwestyi powrócić. Na teraz pozwolimy sobie tylko następną, miejscową uwagę. Nie rozumiemy zgoła, dla czego właśnie *Kronika Warszawska* takiego rodzaju pomysłom i paradoxom historycznym swe kolumny otwiera. Zupełnie to niepotrzebna spuścizna, którą przyjęła po dzienniku p. Rzewuskiego. W systemie p. Rzewuskiego rehabilitacye Radziejowskich i Zebrzydowskich miały swój cel i swoją logikę; nie mogą ich mieć w *Kronice Warszawskiej*, której dążności są zupełnie inne. Nie rozumiemy wogóle, ku jakiej to chwale Bożej dziennik katolicki rozbiera kwestyą, czy król z Radziejowską, lub Radziejowski z królową miał miłosne porozumienia. W jakimkolwiek sposób na to pytanie odpowiedź wypadnie, wątpimy, aby mogła wiele zbudować dusze tklive i wierzące.

---

## CHARAKTER

### DZIENNIKARSTWA WARSZAWSKIEGO.

#### I

7, 14 lutego.

Odnowiony po wojnie ruch literacki na ziemi polskiej, do roku 1846 miał swoje ogniska po jej brzegach, i opasując ją wokoło, prawie nie dochodził do jej środka, do stolicy. Czy z zagrzebanych pod popiołem miejscowych iskierek, czy teńnieniem od Zachodu rozniecony, odznaczał się on tym ogólnym charakterem, że z jednej strony podnosił umysły do wielkich zadań ludzkości, z drugiej nagięał je do pilnego zajmowania się własnym krajem i narodem. Obudziła się w tym czasie skrętność dobywania i wydawania pamiętników i rozmaitego rodzaju dokumentów historycznych; niemasz prawie żadnej prowincyi naszej, któręjby pieśni gminne nie zostały zebrane; pokazywały się często obrazowe lub statystyczne opisy różnych okolic kraju. W Warszawie szło inaczej. Rzekłbyś, że tam pozostały same tylko kobiety i dzieci: pióra i drukarnie pracowały niemal wyłącznie dla nich. W ówczesnych nakładach warszawskich, napotyamy bez końca *Albumy*, *Noworoczniki*, *Wiązania*, *Podarki*, *Upominki*, *Książeczki*, a wszystko to albo dla płci pięknej, albo dla *dobrych*, *grzecznych* i t. p. dzieciętek. Obok tego, nawał powieści

tłumaczonych i bądź osobno, bądź w zbiorach podsuwany publiczności, ustępował pomалу miejsca licznym powieściom i powiastkom oryginalnym, dziś już po większej części zapomnianym. Poezyi, czyli wierszy drukowało się dużo. Pism miesięcznych i tygodniowych, różnego tytułu i przeznaczenia, zjawiało się i upadło kilkanaście. Z pomiędzy czysto literackich przetrwała dotąd tylko *Biblioteka Warszawska*. O gazetach każdodziennych nie wspominały, bo te naówczas mało miały związku z literaturą. Co do dzieł poważniejszych, chociaż wychodziły tutaj prace takie jak Bandtkiego Jana i Kazimierza, Maciejowskiego, Kucharskiego, Gołębiowskiego Łukasza, Wojcickiego, Zagórskiego, Bałińskiego, Lipińskiego i innych, to jednak każdy, kto zechce zadać sobie trochę trudu, i zebrawszy wiadomości bibliograficzne z owego peryodu tak je ułoży, żeby mógł porównać siłę i rdzenność umysłowego ruchu w różnych punktach naszego kraju, przyzna bez wątpienia, że stolica była niżej od miast prowincjonalnych. Wkrótce jednak zaszła zmiana.

Polityczne wypadki roku 1846 zadały wielkie klęski pismienictwu naszemu w Poznaniu i Krakowie, a współcześnie prawie bez widocznego wpływu tych lub podobnych przyczyn, jednakie skutki pokazały się i dalej, w Wilnie nawet. W miarę zachodzenia w cień tych punktów, staje się widniejszą Warszawa, jak gwiazda dla której blasku potrzeba nocy. Nie rozwijając myśli, któreby to porównanie usprawiedliwić lub potępić mogły, trzeba wszakże przyjąć za fakt nieodparty, że ta atmosfera, jaka po zgaszeniu wszystkich wybuchów 1848 r. ogarnęła Europę, stała się bardzo przyjazną Warszawie. Nie zaraz jednak dały się uczuć skutki nowego stanu rzeczy, ani epoki, od którejby zaszła zmianę liczyć należało, wyraźnie oznaczyć nie można. Przystaniemy w tej mierze na tém, co miejscowi ciągle powtarzają.



Zdaniem ich, rok 1851 jest erą, a Henryk Rzewuski w pewnej części sprawcą tego ruchu pismienictwa, który dotąd kwitnie w Warszawie. W tym to roku, autor *Pamiętek Soplicy, Mieszanin Bejły i Listopada*, znany z talentu obrazowania powierzchownych stron dawniej Polski, ale razem z usposobień najprzeciwniejszych jej potrzebom i przyszłości, założył *Dziennik Warszawski*, w którym, szczególnie pod względem powieściowym, nadał przeważne znaczenie *feletonowi*. Chociaż to naśladownictwo dzienników zagranicznych miało już pierwiej miejsce w *Tygodniku Petersburskim*, było jednak nowością w Warszawie i powiodło się tu szczególnie. Zagrożona takim współzawodnictwem *Gazeta Warszawska*, uciekła się do tegoż samego środka: część dolną swego arkusza odcięła na feleton, ten poświęciła głównie powieściom, i zamówiła sobie pióra najznakomitszych w kraju powieściopisarzy. « Hojny wydawca (czytamy w jednym z pism krajowych) nie żałował grosza, potrzeby jego były naglące, ceny coraz wyższe dawał, i tym sposobem nieznanie dawniej żywioły weszły do gazet warszawskich » i wydały skutki, które dziś oceniać już można.

Pierwszym z tych skutków był, jedynie na spekulacyi handlowej osnuty, sojusz dziennikarstwa z powieściopisarstwem, które wspierając się wzajemnie i wynosząc się wysoko ze szkodą rzeczywistej literatury, gotują same sobie upadek; drugim, zawiązanie u nas rzemieślnictwa pismieniczego i oddanie literatury w zupełne poddaństwo rachubom zyskowym. « Najpłodniejsi autorowie powieści (powiada dalej przytoczony już krajowy pisarz) zaledwie żądaniom redaktorów gazet i księgarzy nastarczyć mogli. Cena powieści wzrastała, autorowie ich wymagali większego honorarium. Poczęły pojawiać się utwory nietylko z natchnienia pisane, ale pod przymusem kontraktowym zgóry zapłaconym. Porównywając wiele powieści pisanych bez pospiechu,

pod prawdziwem artystycznem natchnieniem, z temi które na obstalunek kreślono, widać w nich ogromną różnicę. Rzecz zaledwie na jeden tom dostatnia, wyciągnięta sztucznie, bez zalet artystycznych, dawała dwa, trzy lub cztery tomy. Najzdolniejsze pióra tępiały w pośpiechu i grzeszyły niewykończeniem. Za pierwszymi pisarzami, poszli w ślad ich naśladowcy, mniej zdolni.»

Kierunku tego usprawiedliwiać tém nie należy, że wszędzie tak się dzieje, i że wreszcie każdy za swoje pracę powinien mieć wynagrodzenie. Chociażby nawet wszędzie tak się działo, położenie nasze wyjątkowe nakazuje nam bardzo strzedz się tego przykładu. U innych pismienictwo jest jedną z funkcij drugorzędnych życia narodu; u nas, nieszczęśliwem położeniem naszego kraju, jedną z głównych. Biada nam, jeślibyśmy z literatury zrobili bawidełko, a z pismienictwa przemysł zarobkowy. Korzyść materyalna, zapłata pieniężna, rzeczy słuszne i potrzebne, niech nie będą jednak celem, ale tylko naturalnem następstwem pracy podjętej w wyższym, szlachetniejszym, zgoła nieosobistym celu. Czynimy tę uwagę bynajmniej nie dla tego, żebyśmy już mieli dziennikarstwo warszawskie potępić jako poświęcone widokom spekulacyjnym, ale że podaje do tego powód zbyt czarna wiara w cudowną siłę feletonu i przypisywanie jemu tego popędu pismieniczego, którego była zapewne głębsza, istotniejsza przyczyna.

Cokolwiek bądź, dziennikarstwo u nas zasilające się literaturą nadobną, a mianowicie powieściami, doświadczało ciągłego powodzenia, i powodzenie to podobno zaślepiło je cokolwiek, wprowadziło w zarozumiałość, straszną przeciwniezkę postępu.

Sprawozdawca *Gazety Codziennej* niedawno wyrzekł: «Ogniskiem literatury naszej jest teraz niezaprzeczone Warszawa... Przed dziesięcią lub mniej jeszcze laty, inne ogniska ruchu pismieniczego: Wilno, Kijów, Lwów, Kraków i Poznań żyły więcej ożywionem życiem

i mogły *mierzyć* się z Warszawą. Dziś tamte światła pogasły, lub świecą tylko słabém, niegrzejącém, fosforyczném światelkiem, a w Warszawie skupiło się życie literackie, więcej ożywione, niż kiedyś było we wszystkich razem wziętych ogniskach ruchu pismieniczego (?!). Jeżeli Warszawa jest ogniskiem ruchu pismieniczego całego kraju, to w niej punktem, w którym się centralizują wszystkie promienie, są niewątpliwie dzienniki. »

Zdanie to, wyszłe zapewne z pod pióra najbardziej młodocianego, jakie kiedykolwiek pisało w gazetach, pominęlibyśmy bez zastanowienia się, gdyby nie przypominało nam podobnych myśli, chociaż skromniej i w mniej rażący sposób wyrażonych przez pisarzy dojrzałszych, a napotykanych często po innych dziennikach. Przyjmując tedy za fakt ustalony, że Warszawa jest dzisiaj ogniskiem literatury krajowej, a dzienniki środkują w sobie wszystkie promienie ruchu pismieniczego, musimy nasamprzód przypatrzeć się zbliżeniu dziennikarstwu warszawskiemu.

Stolica Polski posiada imponującą liczbę pism periodycznych i dziennych. W roku przeszłym z czasopismów wychodziły: *Biblioteka Warszawska*, *Pamiętnik Religijno-moralny*, *Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego*, *Tygodnik Lekarski*, *Czytelnia Niedzielna* i *Magazyn Mód*; z dziennych: *Gazeta Rządowa*, *Gazeta Policyjna*, *Kuryer Warszawski*, *Gazeta warszawska*, *Gazeta Codzienna* i *Dziennik Warszawski*, a po ustaniu jego *Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych*.

O czasopismach, z pomiędzy których tylko *Biblioteka Warszawska* i *Czytelnia Niedzielna*, są czysto literackimi, nie będziemy teraz mówili. Od *Gazety Rządowej* i *Policyjnej* sam ich tytuł nas uwalnia. *Kuryer Warszawski*, dostatecznie znany, prawie się nie zmienił, niczego nie zapomniał, niczego się nie nauczył. Pozostają nam tedy trzy dzienniki: *Gazeta Warszawska*, *Gazeta Codzienna* i *Kronika*; niemi zajmiemy się prze-



dewszystkiem i szczegółowo — ale pierwój musimy zrobić niektóre ogólne uwagi.

Bardzo często w pismach krajowych spotykamy to zdanie, że dziennikarstwo i powieściopisarstwo wspiera się nawzajem, że dzienniki zyskały sobie wziętość przez drukowanie znakomitszych utworów, a nawzajem rozgłosiły nazwiska pisarzy dotąd mniej znanych. To wzajemne wspieranie się, na którym ma być osadzona oś ruchu pismieniczego, niewiele jeszcze nas uczy, nie tłumaczy nam dokąd ten ruch ma dążyć, co ciągnąć za sobą. Wszakże lokomotywy nie budują się na to tylko, żeby się same i bez celu przejeżdżały. Wiele razy zbieraliśmy zdania pochwalne na rzecz dzienników i powieści, zawsze znajdowaliśmy wkońcu ten argument nad argumenta, że oddają przysługę krajowi, bo szerzą koło czytelników, bo zaprawiają chęć do czytania. Widzimy w tém środek, ale nie cel. Czyliż pismienictwo ma być napojem podniecającym pragnienie, żeby tym sposobem powiększał się ciągle odbyt, a przez to zysk dla sprzedających, chociażby ze szkodą zdrowia publicznego? Rzeczywiście, nachylenie się w takim kierunku naszego ruchu literackiego niepokoi czasem i sprawuje przykre wrażenie.

Przed epoką Rzewuskiego i feletonu, w jedném z tych ognisk, które dziś są nazywane *fosforycznemi* światłkami, wychodziło pismo *Przyjaciel Ludu*, jakiego Warszawa nie miała i nie ma. Przerzucając je niedawno, trafiliśmy na te godne powtórzenia wyrazy. «Skoro literatura zejdzie z wysokiego stanowiska nauczycielki narodu, niezwłoczny upadek sobie gotuje, a spiesznym już do niego zdąża krokiem, jeśli prócz tego staje się zależną od księgarzy, źródłem zarobkowania i przedmiotem spekulacyi.»

Jakkolwiek bądź, jeśli dotąd usiłowanie było wytężone do mnożenia liczby czytelników, to już czas pomyśleć, co oni mają czytać. Wszakże nikogo pastelkami

budzącemi apetyt żywić nie można. Niechaj to ciągle oglądanie się na obce kraje, gdzie czytelnicy i abonenci liczą się krociami, a odrębne klasy utrzymują się z rzemiosła literackiego, nie łudzi pracowników i patronów naszego piśmiennictwa. Choćby, obrachowawszy dobrą i złą stronę tego stanu, pragnęli jeszcze dójść do niego, to niech pamiętają, że bez niepodległości narodowej, nigdy nie dojdą. Trzeba umieć ograniczyć się na tém co jest, i umieć wyciągnąć z tego korzyść. W wykazach statystycznych literatury krajowej znajdujemy, że cztery dzienniki warszawskie (nie wyłączając *Kuryera*) mają w przecięciu 12,000 prenumeratorów, a każda nowa powieść odbija się na 1,500 exemplarzy. Przypominają się nam tu owe czasy przedwojenne, kiedy to z takim utęskiwaniem wyglądano choćby kilkuset pewnych czytelników. Przyszło dziś do liczby, która wtedy zdawałaby się niepodobną, bajeczną — i cóż ztąd? Czytelnicy są, piśmiennictwa rzeczywistego, pożytecznego, odpowiedniego wymaganiom, poczyna braknąć. Ze wsząd i coraz częściej dają się słyszeć złe wróżby dla powieści: «spowszedniała, zmałała, przejadła się, poczyna nudzić, musi zejść z pola i być zastąpioną czém innym.»

Statystyk, którego liczb trzymamy się tutaj, bardzo rad i pyszny tak z obecnego stanu jako i dążności piśmiennictwa krajowego, pociesza nas zapewnieniem, że powieść przyucza umysły do brania posilniejszej strawy, bo «na stu czytelników powieści, więcej jak dziesięciu literatura zyskuje tych, co przechodzą na czytelników dzieł poważnych.» Pozostawałoby zapytać, co rozumieć należy przez dzieła poważne i niepoważne. Gdybyśmy bowiem na jednej stronie postawili niektóre powieści Kraszewskiego, a na drugiej ciężkie prace Maciejowskiego i podobnych jemu uczonych, niewiadomo co by tu wypadło nazwać poważniejszym dziełem, a przynajmniej zdrowszym pokarmem.

Zdaniem naszym, cały ten sposób zapatrywania się na rzeczy jest mylny i do rozwiązania nie prowadzi. Wiara w cudowną potęgę sposobiku bakafarskiego przyręcania narodu łakociami do książek, jest urojeniem zwodniczym i szkodliwym. W naszych czasach, kiedy duch materyjalno-spekulacyjny ogarnia wszystko i wiska się wszędy, dostarcza ona sofistycznych uspokojień sumienia rwącym się do pióra płocho, a wkońcu z pamięcią tylko na własną korzyść. Wiara w cudowny wpływ feletonu jest również błędną. Ani Jules Janin, ani autor *Listopada*, ale — powiedzmy odrazu — *Powstanie Listopadowe* jest źródłem tego pędu, który dotąd utrzymuje i wzmacnia ruch naszego piśmiennictwa. Redaktorom gazet warszawskich, przechadzającym się za rogatkami Wolskimi albo w pobliżu Olszynki, z głową zafrasowaną jak napełnić kolumny tygodniowego sprawozdania, może ani przychodzi na myśl, że w ziemi pod ich nogami leżą niedopruchniałe jeszcze kości tych, którym winni są swe obecne literackie zatrudnienie. Tak jest wszakże. Skutkiem i następstwem bezpośrednim, wyraźnym, wojny narodowej było to natężenie ruchu umysłowego, które mocą stłumione po brzegach Polski, wynurza się w jej środku, chociaż w bardzo odmiennym i wybladłym odbiciu. Powieść wzięła na siebie stawianie tych samych zagadnień, które były przedmiotem naszych emigracyjnych i emigracyjno-krajowych rozpraw. Dlatego stała się ona u nas *tendencyjną*, i tylko taką utrzymać się może. Przez to jedno, wolno jej było nazywać się czasem następczynią wielkiej poezji naszej. Przez to jedno dźwigała się ona sama i dźwigała dziennikarstwo. *Tendencyja*, czyli zwrot myśli i czucia do zadań obchodzących ludzkość, a przez to i ojczyznę, to sekret mnożenia liczby czytelników.

Rozwiśniemy tę myśl obszerniej, przystępując w przyszłym artykule do rozbioru samych dzienników.



## II

Czasem najcelniejsi z pomiędzy naszych pisarzy krajowych, znużeni i zrażeni pełnym gwaru, a czczym i poziomem wirującym ruchem piśmiennictwa, wołają niemal w rozpacz, że to nielada zadanie powiedzieć, co się dziś u nas z literaturą dzieje. «Patrzcie — mówią — aniśmy się postrzegli jak nam w literaturze zabrakło literatury, a pozostały jakieś widma reform i systematów. Poważniejsi szukają w niej myśli tendencyjnych, lżejsi wprost zabawki, i byle dowiedzieć się przy końcu książki, czy Numa poszła za Pompiliusza, to im i dosyć. Nikt się nie zajmuje tak literaturą jak się nią zajmowano przed trzydziestą laty, nikt nie szuka piękna i estetycznych przymiotów, czyli innemi słowami mówiąc, nie miłuje, nie czci, nie uprawia literatury dla samej literatury.»

Wyraz *tendencya*, jak go teraz rozumieją w kraju mówiąc o literaturze, nie jest niczém straszném, nawet w oczach cenzury. Wszelki utwór obrazowy, który przez sytuacye osób i prowadzenie wypadków wyświeca jakiegokolwiek z obecnych zadań społecznych, w rozległym albo i dosyć szczupłym zakresie, jest tendencyjnym. «*Krewni*» Korzeniowskiego, to powieść z wielu miar bardzo tendencyjna. Można zresztą, jeśli się tak koniecznie zdaje, wszystkie te pasowania się pojęć, przewidyń, mniemań, żądź i tęsknot pragnących odgadnąć, dokąd świat i my z nim idziemy, nazwać widmami reform i systematów, bałamuctwem do niczego nie wiodącym, bańkami mydłanemi; ale odrzuciwszy ten interes żywy, i nie mając z drugiej strony do wyboru jak tylko błyskotną nicość, nie godzi się zarzucać na nią imponującej filozoficzności formuły, żeby pod tym

plaszczem podsuwać narodowi próżniejszą od wszystkich widm marę.

Literatura dla literatury, sztuka dla sztuki — to nowe bałwochwalstwo, stawienie nowego bóstwa, jakiego nawet i poganie nie uznawali. Prosty rozsądek i czucie chrześcijańskie oburzają się na to. Cóżby u nas powiedziano, gdyby kto głosił, że rolnictwo jest dla rolnictwa, nie dla żywienia ludzi chlebem? Coby to kogo nauczyło, gdyby kto kazał mu wierzyć, że śpiew ptaka jest dla śpiewu, woń kwiatu dla woni? Lepiej nam po prostu i po dawnemu mniemać, że każdy twór niesie chwałę Panu i składa mu swój owoc. Literatura, którą nazywamy i pokarmem umysłowym, i pieśnią i kwieciem, niechby nie była u nas bóstwem, ale raczej ofiarą składaną na ołtarzu ojczyzny, z gorącą prośbą o promień z nieba, aby ją zapalał czystym płomieniem na ogrzewanie i oświetlanie znękanego narodu. Dyletanizm, artyzm fałszywy, egotyczny, pasożytnie krzewiący się po innych krajach, u nas miejsca mieć nie powinien, ani nawet nie może. Komużby on tam przystawał? Chyba jakimś nanośnym albo zwyrodniałym żywiołom. Potomkowie szlachetnych przodków, jeśli ich ostatek fortuny nie ochrania, przywiedzeni są do ciężkiej konieczności wybierania między warszatem rzemieślniczym a pułkiem moskiewskim. Lud — ile go zostaje od rekruta, pomoru i głodu — nietylko wzdycha i stęka, ale od czasu do czasu zrywa się rozpaczliwie. Nie dziw, że jednym krew bije do serca, drugim zimny pot występuje na czoło; nie dziw, że nikt sobie «nie maluje, nie śpiewa» jak niegdyś. Poważnym krytykom wypadła z rąk miarka estetycznego sądu: mając przed oczyma straszidło krwawe, wynoszą albo poniżają pisarzy wedle tego, jak im się zdaje widzieć w nich obrońców, lub burzycieli porządku społecznego. Zewsząd dają się słyszeć to gwałtowne oburzania się na racjonalizm, to zimne doktrynowanie przeciw zapalowi.

Dwoistość objawia się częstokroć cierpko; stara zwada serca z głową, uczucia z rozumem, pokazuje, że stanęły dwa punkta sporne, i trzeba zaradzenia złemu, rozwiązania, wykładnika, trzeba po nad temi punktami punktu trzeciego, któryby zaświecił pełniejszą prawdą, a przeto je rozbroił i pogodził. Nie idzie tam o artystyczne objawianie piękna, i nie na tej drodze «jedności tak potrzebnej literaturze naszej» szukać należy. W onych też czasach, przed trzydziestą laty, «kiedy wiersz każdy wielkiego poety brzmiał w ustach wszystkich, kiedy po sto razy odczytywano i przepisywano jedną książkę» nie szło o samą piękność estetyczną. Czyliż istotnie *Pierwiosnek* ADAMA, jest tak dalece piękniejszy estetycznie od wielu wierszyków Syrokomli, Lenartowicza i innych? Nie, zapewne. Ale że był «uczuty i pojęty serdecznie» to tego jest inna przyczyna, którą tu przypomnieć musimy.

Na pleśniach i lodach naszego kraju, rozwijał się wtedy ten pączek młodzieży, którego kwiat miała zerwać wojna i rozszarpawszy rzucić w cztery strony świata. Wieszczy, co miał serce i patrzył w serce, wołał do niego: «Zawczasie kwiatku, zawczasie!» a wszystkie dusze tajemną nicią przenizane drgały na te słowa.

Pokolenia przechodzą jedno za drugim, każde z odmienną cechą na czole. Widać, że różne były im przeznaczone prace i losy. To, które ze swoim wieszczem śpiewało hymn młodości, w szacie tułaczkiej i pokutniczej zbliżając się do grobu, tej pragnie pociechy dla siebie na ziemi, żeby w ręce szczęśliwszych następców oddało lampę narodowego żywota. Co oni zrobią? Jakie ich przeznaczenie? To czas pokaże. Tyle tylko, i to na wielkie pokrzepienie nadziei naszych, powiedzieć możemy, że obecne pismienictwo krajowe nie znalazło jeszcze ani tonu, ani tajemniczego słowa, któreby było kluczem do zamkniętej i pozornie zimnej piersi nowego pokolenia. Pierś ta potracona czasem wydaje



dorywcze i niestrojne dźwięki, z których wszakże czuć, że przeszłość i przyszłość Polski jest w niej nie zamarła.

### III

Cośmy tu o piśmiennictwie krajowém powiedzieli ogólnie, co zład o jego powołaniu i powinności wnosić można, chcemy przedewszystkiém zastosować do dziennikarstwa, które stawi się jako ognisko ruchu piśmienniczego. Bierzemy pod rozwagę trzy odpowiedzialne w tój mierze dzienniki stolicy: *Gazetę Warszawską*, *Gazetę Codzienną* i *Kronikę*.

Dziennik zwykle, to pewna opinia, pewna barwa polityczna. Krajowym dziennikom naszym, mianowicie pod rządem rossyjskim, politycznemi być nie wolno, muszą więc, chcąc nie chcąc, stać w rzędzie literackich, co wszakże, jakieśmy okazali powyżej, bynajmniej nie powinnyby czynić ich zupełnie bezbarwnemi, ogołocnemi ze stałych zasad, przeświadczeń i dążeń. Mająż one pod tym względem jakikolwiek charakter? Żadnego dopatrzeć się nie mogliśmy. *Kronika* jest wprawdzie obwołaną, i widocznie sama stara się uchodzić za szczególniej katolicką, za mającą wyłącznie obowiązek wspierania i wielbienia katolicyzmu. Dla tego przy każdej okoliczności, kiedy wypada dziennikom warszawskim mówić o jakim obrzędzie uroczystym, o błogosławieństwie daném przez nuncyusza papieżkiego wracającego z Moskwy, o święceniu biskupów i t. p., odznacza się wtedy jakąś de wocką pompą, rażącą czasem retorycznym wylewem na zimno czołobitności i sentymentów synowskich dla kościoła. W dni powszednie, ogranicza się na wtykaniu tu i owdzie zręcznych moralików, jak np. że «do uzyskania popularności i życzliwości ziomków, dopomaga Apolinaremu Kątskiemu szczególnie chętność, z jaką ofiaruje swój talent na usługi Boże i cele dobro-

czynne. » Tych i tym podobnych kokardek nie można brać za podniesienie samodzielnej chorągwi; są one niewinne i niepotrzebne. Na nieszczęście, namnożyło się na świecie protektorów kościoła, a mało jest sług prawdziwie mu pożytecznych. Służyć dzisiaj katolicyzmowi w Polsce, znaczy przedewszystkiem dążyć do odebrania schyzynie władzy nad nim; jeśli kto tego nie może, a przyodziewa się jakimś oficjalnym znaczeniem, wygląda przez to tylko jak zakrystyan wśród wiernych, który, kiedy ci modlą się szczerze i potulnie, on w swojej komży przechadza się po kościele i zapala świeczki, przyklękając przed wielkim ołtarzem. Dwa inne dzienniki, choć się z tém nie chwala, niemniej są katolickie jak *Kronika*, niemniej widać w nich dbałość o wiarę przodków. W ogólności, ilekroć idzie o przywiązanie do kraju jako cnotę odporną, bierną, o zacność, uczciwość, moralność powszednią, żadnemu z trzech dzienników niemasz nic do zarzucenia; ale jeśli byśmy wymagali téj cnoty czynnej, któraby umiała znaleźć sposób być czasem mądrze zaczepną, téj uczciwości przezornej, któraby posunęła się aż do skrupulatnego wyboru dla swoich feletonów powieści, nie pod samym tylko względem na ich artystyczne zalety, — wtedy rzecz inna, wtedy wszystkie trzy zasługują na ciężkie zarzuty. Trzeba tu jednak oddać tę sprawiedliwość *Kronice*, najmłodszej pomiędzy swemi towarzyszkami warszawskimi, że najwięcej bierze na seryo swoje powołanie dziennikarskie. *Gazeta Warszawska*, zamożna w środki materialne, nabytą wziętość i w «stół redaktorski» silniej obsadzony, zanadto pozwala sobie spoczywać na laurach. *Gazeta Codzienna*, najbiedniejsza, często przy pulsie gorączkowym wygląda tak blado i mizernie, że strach o jęj życie. Tyle co do istotnych odcieni między dziennikami nas tu zajmującemi. Żresztą, dla czego są trzy, kiedy jeden mógłby więcej zrobić, i kiedy właściwie mówiąc, ledwo dla jednego wystarczą prawdzi-

wój roboty; dla czego nie idą zgodnie i jeśli się « nie gryzą, wtedy warczą na siebie » — to chyba będąc tam na miejscu możnaby zrozumieć i osądzić.

Brak troskliwie obmyślonego i dobrze pojętego celu, odbija się w samej zewnętrznej formie każdodziennych pism Królestwa Polskiego. Dowcipnie ktoś powiedział o nich, że « wszystkie są do siebie podobne, jak dawne bułki marymonckie: wszystkie dają też same wiadomości urzędowe, krajowe i polityczne; co w jednej to znajduje się i w drugiej: ciż sami przyjezdni, też same doniesienia o teatrze. Różnią się tém chyba, że jedna drukuje powieść pana K, druga pana B, trzecia pana Z; ta ogłasza korespondencyą z Siedlec, tamta z Płocka, owa z Radomia, a wszystkie prawie zawsze o balach na dochód szpitali miejscowych.» Myliłby się wszakże, ktoby mniemał, że przy tej jedności przedmiotów, zachodzi we wszystkich jednostajność układu; owszem, podobieństwo ich jest w tém największe, że wszystkie zachowują niesłychany bezład w rozdzielaniu, szykowaniu i dobie-raniu artykułów. Niemasz tu żadnej stałej zasady, żadnego porządku przyjętego, żadnego gospodarstwa w czterech ścianach arkusza. Nikt nie zgadnie dla czego to jest w feletonie, a owo w samych kolumnach, czyli jak tam nazywają, *szpaltach* dziennika. Czasami powiastka lub wierszyk zajmują środek, a rozprawa krytyczna stoi pod niemi w odcinku. Czasami dwie powieści, tylko jedna nazwana obrazkiem, druga szkicem obyczajowym, lub podobnie, przez całe miesiące idą razem w tym samym dzienniku, odgradzone kresą graniczną feletonu. Trudno powiedzieć, czemu listy Kraszewskiego o literaturze, mieszczą się zawsze w feletonie, a podobnie, chociaż mniej stałej treści *Listy* Nowosielskiego albo *Padalicy*, zajmują same kolumny. Cóż dopiero mówić o tylu rozmaitego tytułu i znaczenia urywkach, uławkach, wyjątkach, które nawet trudno do jakiegokolwiek kategorii odnieść, bo naprzód trzeba byłoby zapytać, po co tu się



znalazły. Ten bezład, jest niezmiernie nużący dla czytelnika. W redaktorach, którzy nie starają się temu zapobiedz, niemasz ani przeświadczenia o ważności dziennikarstwa, ani miłości bliźniego. Zdaje się, że nikt bardziej nad nich nie lekceważy tych ładunków codziennej oświaty, które ruch dziennikarski przynosi szybko w otchłań wiecznego zapomnienia. Ani im przyjdzie na myśl, że biedny bliźni, z krótkiego żywota swojego musi kilka godzin każdego dnia poświęcić, na znalezienie kiedy niekiedy perełki w stosach szmatów, które mu podsuwają. Nieraz odzywano się już z tém, że umysł ludzi czytających same tylko dzienniki, zaciemnia się i tępieje. Pstroczina i czczość dzienników warszawskich bardzo prędko ten skutek sprawić może. Od nowego roku dają się postrzegać zmiany w urządzeniu kolumn niektórych gazet, ale bynajmniej nie wychodzi to na lepsze.

Głównie i stale utrzymujące się kategorie w dziennikach warszawskich są: Wiadomości Rządowe, Wiad. Krajowe, Wiad. Zagraniczne, Sprawozdania czyli Kroniki tygodniowe, Korespondencye, Gawędki albo Pogadanki naukowe, i Sztuki piękne. Obok tego i między tém, mnóstwo rozmaitego rodzaju rzeczy. Tytuły kategoryj czyli oddziałów stałych, ułatwiały niemało czytelnikowi rozpatrzenie się w tłumie artykułów; teraz zaczyna wchodzić moda niekładzenia tytułów, bo istotnie bez nich dogodniej dla chcących pisać nie mając ściśle pojętej i do pewnego celu skierowanej myśli. Natomiast upowszechnia się użycie *znaków*, co ma być bardzo szczęśliwym wynalazkiem. Współpracownik dziennika, złapawszy jakąkolwiek wiadomość, mniej więcej ciekawą i właściwą, pisze ją na kawałku papieru, kładąc na początku trójkąt, kółko, kwadrat lub tym podobny znak, który zdaje się, że początkowie służył tylko dla obrachunku z kasą, przy opłacie od kolumny. Redaktor, albo co pewniejsza, prot drukarni, układa te świstki

wedle upodobania, a nie wiedzieć dla czego podobało się kłaść je przed wszystkiem inném. Tak tedy na czele dziennika, zaraz po jakimś ukazie z Petersburga, wpadamy niespodziewanie na wiadomość o książce wydanej w Czechach, o czasopiśmie serbskiem, o śmierci sławnego numizmatyka cudzoziemca, a wszystko to należy zapewne do wiadomości krajowych, bo zaraz mamy niżej « Część Zagraniczną » po której znowu znajdziemy po kawałku rozmaitych rzeczy obcych i krajowych. Nic bardziej znamionującego jak początkowe kolumny dzienników warszawskich. W żadnym nie takiego, coby miało choć jakikolwiek zakrój na artykuł wstępny. Jeden ma na czele anekdotkę o ministrze *Brühlu* albo o hrabinie *Cosel*, wyjętą z *Revue Britannique*; drugi rozprawę o nieporównanej wyższości magika Frikela nad szarlatanem Molduano, lub coś podobnego. Po takim zaczęciu, możnaż spodziewać się, że to jest pismo mające poczucie swego przeznaczenia; pismo, które po za obiegami w kawiarniach i piwiarniach warszawskich, widzi przed sobą drogę na Żmudź, na Ukrainę, na Podole? Ograniczenie się widokrepiem samej stolicy, oddychanie tylko powietrzem miejskiem albo cudzoziemskim, to główna przyczyna tego zamętu i oślnienia, jakie napadły dzienniki warszawskie. Lepiej da się to widzieć w uwagach nad składowemi ich częściami.

Pomijamy Wiadomości Urzędowe, Krajowe i Zagraniczne; bo chociaż o tych ostatnich byłoby coś do powiedzenia, ale niewiedząc ile na karb dobrowolnego niedbalstwa, a ile na ostrość cenzury położyć, wolimy tej materji nietykać.

Po odrzuceniu z jednej strony rzeczy urzędowych i politycznych, jako nieuległych robocie redakcyjnej, a z drugiej, wszelkich pożyczonych, kupionych lub Bóg wie jakim prawem wziętych od literatury nabytków, w tém co pozostaje właściwą dziedziną dziennikarstwa

krajowego, pierwsze miejsce należy się sprawozdaniom tygodniowym. Są one najczytszym jego płodem, i noszą na sobie najwybitniejszą cechę jego usposobień. Umieszczane zawsze w kolumnach środkowych, mają wszakże być tworem arcy feletonowym. Sprawozdawcy ciągle nazywają siebie feletonistami, i na mocy tego tytułu ogromne przypisują sobie przywileje. Prototypem ich jest « *Gwiazdka* » *Gazety Warszawskiej* Autor drukujący pod tym znakiem swoje sprawozdania czy feletony, tak w różny sposób obraca tém świecącym mianem, że nie wiadomo czy pod niém siebie samego, czy swoje pismo rozumie. Zdaje się, że publiczność nawykła to oboje brać za jedno, i oboje dosyć lubi. Gdyby było inaczej, *Gwiazdka* nie miałaby tego znaczenia jakie ma w *Gazecie Warszawskiej*, gdzie jest niby państwem w państwie, dziennikiem w dzienniku, ma swoje osobne bióro korespondencyjne, swoją wyłączną trybunę do przemawiania od siebie. Co tydzień tedy feletonista gwiazdkowy rozwala się na kanapie przed publicznością i poczyną odczytywać mnogie listy, najliczniejsze od « łaskawych, kochanych, pięknych czytelniczek. » Jednej odpowiada cierpko, drugiej rozwiązuje moralno filozoficzne zadanie, trzeciej z dwuznacnością nieprzyzwoitą mówi, że wolałby z nią porozumieć się inną, *niedrukową* drogą. Pomimo to, *Gwiazdka* często wspomina o swojej podłysiałej głowie, i bardzo surowo przestrzega obyczajów. Bywa przytém rozsądnym i wymownym moralistą, karci w imie « bogów domowego ołtarza » i « miłości rodzinnej ziemi »; ale cóż ztąd, kiedy widocznie moralista sam żartuje i z siebie i z tych którym morały prawi? « Rzuciłem — powiada — garść grochu na ścianę, a teraz podam wam gromadę nowin, jak piramidę karnawałowych pączków » — i zaraz przywdziawszy « barwę brukowego sprawozdawcy » puszcza się swoim zwyczajem w rozwleklą i próżną gadaninę, nużącą ciągłym sileniem się na dowcip, który prawie



zawsze jest błahy i płazki. Feletoniści warszawscy, nawet po procesie Lecomta oglądający się na feletonistów paryzkich jak na wzniosłe i godne naśladowania wzory, wyrobili sobie jeszcze jakieś szczególniejsze pojęcie swego fachu czy rzemiosła. Uroiło się im, że koniecznie powinni być czemś nakształt dawnych trefnisiów nadwornych, a przeto częstokroć spadają jeszcze niżej. Nie płocze bowiem i mniej więcej niezgrabne dowcipkowanie, nie próżne i pretensjonalne gadulstwo, jest rzeczą najniższą, ale jakieś bezmyślne, grzeszne, nieprawe zadowolenie. Ten ton razem żartu i zadowolenia tak z siebie jak ze wszystkiego co otacza, ton mający w sobie coś złowieszczego jak kaszel suchotnika, na nieszczęście jest panującym w dziennikarstwie warszawskiem. Niemało zapewne przyczynia się do tego atmosfera miejscowa, wyziewy zgniłe i zaperfumowane osobliwszego w swym rodzaju miasta; trzeba jednak wyznać na pociechę, że wychodzą z publiczności głosy do panów feletonistów z przestrogą, upomnieniem, prośbą o poprawę. Nic to nie pomaga. *Gwiazdka* w żaden sposób nie chce, czy nie może zrozumieć, że nie idzie tu o narzucenie jej jakiejś « katońskiej » powagi, ani o wyłączenie z dzienników wesołości, lekkości, przyjemności stylu, ale o co innego, czego wyraźnie i w oczy powiedzieć nie można. Kiedy w czasie ostatniej wojny, cudzoziemcy mówili nam, że nie znamy swego kraju, że mamy o nim prestarzałe wyobrażenie, że Polacy pojednali się już z Rosją, nie myślą wcale o niepodległości, bardzo są radzi ze swego położenia — wtedy poglądając na dzienniki warszawskie, opromienione światłem *Gwiazdki*, musieliśmy uniewinniać potwarcze zdania obcych. Ale cóż począć! Autor *Gwiazdki* zawsze utrzymuje, że darmo gazetowi i poufni krytycy, chcą « dodać poważny ogon komety tej małej, efemerycznej istocie »; a sprawozdawca *Gazety Codziennej* tłumaczy się w sobie właściwy sposób. Zdaniem jego, feleton jestto wynik chwilowy,

chwilowego usposobienia feletonisty. Jeśli feletonista jest kwaśny lub ma próżną głowę, to i feleton taki być musi, a czytelnicy niech wybaczą. Zresztą zakresem feletonu są «zaskorupiałe ramki miejskiej pogadanki, a przedmiotem ciasne kółko ślimaczego życia, i feleton staje się wyższym nad przedmiot, gdy pusty jak orzech dziurawy»! O feletoniście trzeciego dziennika, nie będziemy tym razem mówili, i jemu wszakże niemożemy przyznać podnioslejszego tonu. Za przykładem stolicy idą miasta i miasteczka prowincjonalne królestwa. Na obraz i podobieństwo *Gwiazdki*, kształcą się *Pszczółki*, *Pajęki*, i różni bezimienni korespondenci gazet.

*Korespondencye*, drugi oddział dziennikarstwa, stanowią jedną z najważniejszych jego części, chociaż ta ważność zdaje się być na miejscu niedosyć postrzegana i ceniona. Wszystkie trzy dzienniki mają korespondentów po znaczniejszych miastach Europy; ale zdaniem naszym daleko więcej cieszyć się należy z nawerbowania znacznej ich liczny o rzeczach krajowych piszących. Zapewne, wiele tu jest wad do wytknięcia, wiele popraw do życzenia; redaktorowie mogliby też wskazać swoim korespondentom, przeczornie obmyślany wybór przedmiotów, prosić ich o stałe względy dla ważniejszych, miejscowych potrzeb i widoków, niekoniecznie wreszcie drukować *in crudo* i *hurtem* wszystko co oni nadeszłą. Z drugiej strony korespondenci powinniby otrząść się z niewolniczego zapatrywania się na stolicę, nie mieć przed oczyma tylko Warszawy i jej publiczności, ale pamiętać, że ich listy cały kraj będzie czytał. Pod tym względem, w stosunku kwadratów odległości od środka, korespondencya krajowa tchnie coraz zdrowszém swobodniejszém, bardziej ziemiańskiem, a zatem i więcej rodzinném powietrzem. Korespondenci miast Królestwa, wyglądają szczególnież na komisarzy jakiejś wielkiej spółki zajmującej się upowszechnieniem zabaw, którzy

w raportach swoich spieszą donosić metropolii, o wzrastającej liczbie resursów, balów, koncertów, widowisk teatralnych, i t. d. Wszyscy na wzór feletonistów warszawskich, w potrzebie trochę poważniejszego tonu, uciekają się do « celów dobroczynnych », a w zupełnym niedostatku materji, spadają ze skalpelem krytycznym na pierwszą lepszą z nowo ogłoszonych książek.

Rzecz godna uwagi, że w dziennikarstwie opartém na literaturze i sztukującym się literaturą, nie masz nawet oddziału, poświęconego jeśli nie krytyce w całym znaczeniu tego wyrazu, to przynajmniej porządnemu przeglądowi piśmiennictwa polskiego. O krytykę nie łatwo; bo jak mierzyć nie mając w ręku pewnej miary? a ta widocznie dzisiaj zatracona, i z samych estetycznych pojęć wyciągnięta dla nas być nie może; ale zapewne pobieżna recenzja dałaby się zszyć w głębsze i prostsze koryto; wreszcie należałoby zawsze mieć gotowy i oczyszczony plac dla polemiki literackiej: przecież to jeden z punktów żywotnych krajowego dziennikarstwa dzisiaj. Od wyjazdu pani Ristori, dopiero po raz pierwszy w dziennikach warszawskich zabłysnął znowu interes i ton podnioslejszy, kiedy wszczęła się polemika pod godłem imion dwóch znakomitych pisarzy.

Trzeci oddział stanowią *Gawędy naukowe*: rodzaj wyborny, dziennikarstwu naszemu w kraju bardzo właściwy, niesłusznie zapędzony w kąt odcinka, wart stałego miejsca i starannej uprawy w samych kolumnach.

*Sztuki piękne*, czyli sprawozdania z postępu i rozwijania się u nas malarstwa, rzeźby i muzyki, wymagałyby tu powiedzenia naprzód cokolwiek o samych sztukach w stosunku do naszego kraju. Poprzestaniemy teraz na wzmiankę, że redakcyje warszawskie mają w tym oddziale miejscowych współpracowników, którzy prócz znawstwa swego przedmiotu, posiadają czasami trafność sądu i niepospolity talent pisarski.



Reszta, rozmaitego tytułu i rodzaju artykułów, na nieszczęście, zdaje się być uważaną za coś przypadkowego, za mniej więcej pomyślny nabytek, za mniej więcej dogodny balast do zapychania próżni w codziennych ładunkach. Redaktorowie chowają je najczęściej dla pozbycia się natrętnych posłańców z drukarni; bez względu na wagę traktowanej w nich rzeczy i na mordowanie pamięci czytelnika niekiedy po bardzo długich przerwach, dobywają z nich cząstkę i traktują nią publiczność. Między temi artykułami bywają prace godne słusniejszego z nimi postępowania, bądź jako pomysł i zamiar, bądź jako wykonanie, bądź zresztą jako przedruk ciekawego rękopismu, lub pamiętnika. Przypominamy tu sobie pełną zalet i znacznej objętości pracę o *Prusiech Południowych*; mamy na myśli opisy prowincyj naszego kraju, doniesienia postrzeżeń etnograficznych z podróży po dawnych ziemiach Polski, i t. d. Wszystko to są godne żalu ofiary poświęcane żarłoczności prasy codziennéj. Niech sobie całe romanse i powieści płyną przez feletony na zaturę; mniejsza o to: księgarze dadzą nam je w czysto odbitych tomach; ale za cóż te skromne a pożyteczne i przydatne urywki, mają przepadać bezpowrotnie? Kto sobie przypomni, albo dowie się że były kiedykolwiek, kto potrafi je odszukać? Miejsce dla nich byłoby właściwsze gdzieindziej, w *Bibliotece Warszawskiej*, w *Dodatku* miesięcznym do *Czasu*. Jedną z największych przyczyn, że pisma zbiorowe zakwitnąć u nas nie mogą, jest osuszanie ich przez pisma codzienne, ze szkodą publiczną. Zakończymy ogólną uwagę.

Dziennikarstwo warszawskie, niesłusznie przypisuje sobie ogromne znaczenie literackie; niezawodnie jednak oddaje literaturze pewne usługi, a mogłoby oddać nierównie większe, gdyby będące pod ręką środki należycie zużytkowane były. Jest nabyta publiczność w całym kraju, są udeptane ścieżki korespondencyjne, jest upo-

wszechniona wprawa do pisania i są poskupiane już w świetne pęczki znakomite pióra. Nie masz tylko czegoś, co nam zawsze nie dopisuje i we wszystkim do osiągnięcia owocu przeszkadza. Nie masz pewnego zmysłu gospodarności i ładu, bez których tak z materyalnych jak z umysłowych bogactw korzystać niepodobna; nie masz energii do wypracowania sobie jasnego pojęcia celu, i skierowania ku niemu wszystkich środków; na koniec, nie masz podobno — co już byłoby najgorzej — tej gorącej a wytrwałej miłości dobra publicznego, która sama tylko wszelki szlechetny zamiar zdolna jest wydzwignąć po nad zamęt poziomych widoków i drobnych interesów.

## ZAPIS JANA MACIĄGA.

---

7 lutego.

W dziewiętnastym tomie nader ważnej publikacji *Rozpraw Towarzystwa Gospodarskiego Galicyjskiego*, oprócz wielu zajmujących przedmiotów, do których później chcemy wrócić, znajdujemy godny uwagi akt fundacyi włościanina polskiego Jana Maciąga. Podajemy go w skróceniu :

«Ja niżej podpisany Jan Maciąg, zważywszy, iż w kraju naszym z natury rolniczym, rolnictwo jako główna podstawa dobrobytu uważaném, przeto szczególnie pielęgnowaném być powinno; zważywszy, iż rolnictwo w kraju naszym na niskim jeszcze stopniu zostaje, podczas gdy kraje z natury mniej hojnie uposażone, za pomocą umiejętności przyrodzonych, do rolnictwa zastosowanych, zakwitnęły na trwałej i niewyczerpniętej podstawie do wysokiego stopnia posuniętej produkeyi rolniczej; a będąc przeto przekonanym, iż bez wykształcenia umiejętnego w tym zawodzie, osobliwie w klasie włościańskiej, rolnictwo zakwitnąć nie może : postanowiłem częścią majątku, który przy pomocy Boskiej przez pracę i oszczędność uzbierałem,



przyczynić się do rozpowszechnienia umiejętności agronomicznych, osobliwie między klasą włościan, do której pochodzeniem mojem, jako syn włościana z Dzikowca obwodu Rzeszowskiego, należę.»

Tym celem, testamentem z dnia 29 grudnia 1854 r., testator legował 10,000 zł. r. (25,000 fr.) dla Zakładu agronomicznego lwowskiego, i takąż summę 10,000 zł. r. dla Zakładu agronomicznego krakowskiego. Kuratorem zapisu testator uczynił Franciszka Smolkę, adwokata lwowskiego, byłego prezesa sejmowego z r. 1848. Zarząd summ oddaje dyrekcji każdego z tych zakładów, warując aby one na dobrach ziemskich w Krakowskiem lub Galicyi, z bezpieczeństwem pupilarném, hypotekowane były. Procent z nich należący obrócony być ma na cztery stypendya, po dwa w każdym zakładzie, dla młodzieży, urodzonej w Krakowskiem lub w Galicyi, ubogiej i religii katolickiej. Wolą jest testatora, aby zapis ten na zawsze zatrzymał nazwisko : fundacyi Jana Maciąga.

Nie podobna bez serdecznej pociechy i wzruszenia odczytać aktu tego. Podczas gdy miliony kapitałów polskich, wynosząc się z kraju i zaniedbując ziemie polskie przez Niemców wykupywane, gonią za spekulacyami czterech części świata, chłop polski majątek pracą rąk własnych zebrany, zapisuje, dawnym panów polskich obyczajem, na rzecz publiczną. W listach składek, które gminy wiejskie lub miejskie czynią dla utworzenia szkół niższych w Galicyi, znajdujemy także dość często summy znaczne przez ubogich mieszczan złożone; ale mało, zbyt mało widzimy tam imion znanych. — Boudajby ten zapis Jana Maciąga był dla nich przykładem i zbawienném sumienia polskiego upomnieniem! Nie my to pierwsi powiadamy, że z upadkiem dawniej Polski, straciły swój blask klejnoty dawnego polskiego herba-

rza. Dzisiaj, wobec potrzeb i klęsk tak wielu, nowemi ofiary i pracą, na nowo, dokupywać się każdemu z nas szlachectwa polskiego przystoi. Dawne imię, jak stary, ciężki pancerz gniecie ludzi, których własna a ciężka zasługa nie podnosi.

## LISTY O KRÓLESTWIE.

---

### I

STAN PROWINCYI PO ZAWARGIU POKOJU PARYZKIEGO.

Z Krakowa, 14 lutego.

Po kilkomiesięcznej podróży po Królestwie Polskiem, w ciągu której miałem sposobność przyjrzeć się na nowo niejednemu kółku jęgo machines administracyjnęj i zbliżyć się do wielu warstw naszego społeczeństwa, kiedy mi przychodzi zdać przed sobą samą sprawę, z tego com widział lub słyszał w tym kraju zaledwo mil parę od nas odległym, a już jakoby obcym i podwójnym pasem straży granicznęj oddzielonym, zaraz na wstępie nasuwa się wątpliwość, ażali dobrze znam rzeczy, o których chcę pisać, i czyli źródło moich wiadomości i fakta, które się w pamięci zostały, mają tę autentyczność, jaką nacechowane być powinny, choć często nie są, wszelkie do was z kraju przesyłane doniesienia, właśnie dla tego że tak są rzadkie, trudne i prawie nieodwołalne. W innym kraju, pod innym rządem, mniej niż rossyjski lękającym się najniewin-



niejszego, jeśli tylko jest sumienny, objawu opinii publicznej, łatwiejbyłem mógł poszukać w dziennikach krajowych stwierdzenia moich zdań. Ale w Królestwie Polskiem, w tém wszystkim co rządu dotyczy, zazwyczaj temu tylko wierzą, i trzeba wierzyć, co w kraju drukowaném nie było.

Obok téj, dla sumiennego i niechcącego zwodzić korespondenta, niemaléj trudności, mam jeszcze inne wstrzymujące mnie względy, które nakłada uczciwość nietylko pisarza, lecz obywatela. Zabierając się do układania niniejszego listu, miałem w myśli mnóstwo interesujących i nader charakterystycznych wydarzeń. Lecz kiedym począł rozbierać, zkąd o nich wiem i które osoby mogą znać te same co ja szczegóły, większą część moich doniesień przemazałem. Niechajże więc tym, co dziś wam posyłam, posłuży za usprawiedliwienie względ, że prawie wszystko co było w nich bardziej zajmującego, zostało w cenzurze mojej ostrożności.

O tém, co na Wschodzie Polacy podczas wojny robili, nie prawie w Królestwie, a mało więcéj u nas w Galicyi, wiedziano. Rozchodziły się tylko głuche wieści o kozakach Sułtańskich; na jakich zaś warunkach ten legion był formowany, jaka była jego liczba, czy cała emigracya korzystała z okazji, która jéj się nasunęła, nie pewnego nie mówiono. Mogę atoli zaręczyć, że każdy w Polsce radby był widział naszych w jak największej liczbie po drugiej stronie Dunaju sformowanych. Nie przeczę, że i kraj mógł w tém dziele skuteczniej pomódz; ale, zbyt często bywa to u nas, że nie każdy kto chce rzeczy, chce zarazem i środków do niéj prowadzących! Przyszły dopiero te myśli, kiedy już było za późno! Zaraz więc po podpisaniu pokoju, w całym kraju obudziły się wielkie nadzieje w przyjazd cesarza Alexandra do Warszawy. Opierano je zaś, naprzód, na osobistym charakterze cesarza, powtóre na tajnych dodatkach, których się domyślano przy traktacie paryzkim.

Co do pierwszego, o ile słyshałem, Litwa mniej niż Królestwo temu złudzeniu uległa; więcej bowiem niż w Królestwie mają tam z Moskwą doświadczenia, więcej też zatarła się tam pamięć urzędzeń, jakie przed r. 1831 w Królestwie istniały. Nie potrzebuję wam mówić, że figury rządowe, tak w Warszawie jak po miastach gubernialnych, dokładały wszelkiego starania, ażeby przyjęcie Alexandra było najserdeczniejsze, zachęcając ogólnikami do niczego nieobowiązującemi, a budzącemi mniemanie, że cesarz odwdzięczy serdeczność obywateli. Warto atoli wspomnieć o sposobach, których używano, głównie w celu iżby bal szlachecki w stolicy zebrał się świetny i liczny. Po wszystkich wsiach naczelnicy powiatów rozesłali urzędników do zbierania składek, rozgłosiwszy wprzód, że nie będą przyjmowali ofiar niżej 10, a jak w innych guberniach, 20 rubli; przyjmowano je przecież i od takich co tylko rubla i mniej dali. Wezwania na bal rozsyłali marszałkowie szlachty, w cyrkularzach urzędowych. Ażeby załechtać próżność wielu, polecono marszałkom dawać każdemu dziedzicowi wsi tytuł: *Jaśnie Wielmożnego*, chociaż wedle prawa należy się on: w służbie cywilnej urzędnikom od stopnia radzcy stanu, w wojskowej od stopnia jenerała; z urzędników zaś obywatelskich tylko marszałkom, prezesom i przez grzeczność, sędziom pokoju ten tytuł przyznawają.

Przed samym przyjazdem cesarskim były rozmowy między szlachtą o punkta, które chcieli zamieścić w petycyi. Między innemi postanowiono prosić o przywrócenie Uniwersytetu Warszawskiego, o przewagę języka polskiego w szkołach i biórach rządowych, o zniesienie podatków dodatkowych, wprowadzonych jakoby tymczasowie na kampanią węgierską, a do dziś dnia trwających. Niektórzy domagali się, aby dodać żądanie o wojsko polskie, przynajmniej kilkunastu tysięcy. Zaczynano już te punkta spisywać, kiedy ks. Gorczakow, przez swych zaufanych, kazał oznajmić, że cesarz zleby

przyjął żądania szlachty, że N. Pan więcej bezwątpienia zrobi, niżby obywatele mogli się spodziewać, ale chce aby to wyszło z jego inicjatywy; że Polacy, w własnym interesie, powinni cesarzowi okazać bezwarunkową życzliwość i serdeczność, a źle na niej nie wyjdą. Naówczas znaczna część szlachty pomyślała, że skoro nie wolno przełożyć prośb swych i potrzeb kraju, to kiedy wszystko utracone, niechże przynajmniej cześć narodowa nie-  
tkniętą zostanie, i postanowili, dopóki nie będzie wyraźnego zbliżenia się ze strony Alexandra, nie spieszyć się ku niemu. Ale trzeba powiedzieć, że nie miała też liczba niezachwianą miała ufność w wspaniałomyślne uczucia cesarskie; przyjęto też Alexandra przyjaźniej niż kiedykolwiek cesarza rossyjskiego od r. 1830 przyjmowano, i być może że gdyby Alexander z tego usposobienia był skorzystał, utrwaliłby w swojej służbie tych, co pospieszyli witać go w Warszawie.

Pierwsze recepcye odbyły się pod złą wróżbą. Cesarz rossyjski, jak mówią, surowo się odezwał do duchowieństwa katolickiego, zarzucając mu brak gorliwości dla rządu. Lepiej spодobało się upomnienie jego dane Senatowi, który zgromił mówiąc, że względy osobiste wpływają na zdania senatorów. Były zaś przytomne w opinii publicznej dwa świeże przykłady: proces p. Br. i drugi pewnego wyższego urzędnika z ubogim poddanym pruskim, za którym rząd pruski musiał się ująć, widząc go uciśnionym decyzją Senatu ostateczną, według powszechnego rozumienia niesprawiedliwą. Nastąpił potem bal u Gorczakowa. Mowa Alexandra i zimne namiestnika zachowanie się ostudziły odrazu gorące, w tych u których były, nadzieje. Cesarskie «point de réveries» szlachta wytłumaczyła «żadnych breweryj!» Wiele obywatelstwa, zaraz po tej mowie, nie czekając balu szlacheckiego, rozjechało się na wieś. Wnet to oziębienie postrzegła policya warszawska, co sprawiło, że na balu szlacheckim cesarz wraz z ks. Olgą, pokazał



się znacznie grzeczniejszym. Odzywał się do wielu osób, był uprzejmy, starał się być popularnym, mówił po polsku, chociaż jedna z dam, pani U. odpowiedziała mu po francuzku. Ze smutkiem także wspomnieć muszę, że niektóre rodziny przesadzały się w wystąpieniu na ten bal. Z dam polskich, zapewne chcąc przypodobać się opinii publicznej, najwięcej względów i poważania okazywał cesarz dla pani A. P., która też może najwięcej z nich okazała godności. Między p. Muchanowem a p. hr. K. wybuchła rywalizacya o gospodarowanie na balu. Szlachta, choć w ogólności mało jest panu hr. K. przyjazną, wzięła przeciw jego stronę, upierając się, nie rozumiem dla jakiej przyczyny, aby na tym balu Polak był gospodarzem.

Bal miejski nie tyle był świetny. Cesarz też mniej okazał się rozmowny. Już sama szczupłość lokalu wymagała mniejszej liczby zaproszonych; tymczasem przekupstwo urzędników przeznaczonych do wpuszczania osób, stało się powodem nieznośnego tłoku. O amnestyi wiele mówiono przed przyjazdem cesarza; spodziewano się zwrotu dóbr, nie przypuszczano wcale tak licznych wyjątków. Ukaz ten dopiero ogłoszony po balu szlacheckim, odjął resztę złudzeń i serdeczności, jeśli gdzie jeszcze była. Wytrwalsi chcieli skłonić p. J., aby zrobił cesarzowi stósowne w tym względzie przedstawienia; zapobiegł im wcześniej ks. Gorczakow. Tak więc, nim cesarz rossyjski opuścił stolicę Królestwa, szlachta w znacznej części rozjechała się, i rozwiały się owe serdeczne nadzieje, których tak wiele czyniono. W chwili odjazdu Alexandra usposobienie Warszawy było nieporównanie chłodniejsze, niż w pierwszych dniach jego pobytu. Aby przeszkodzić złemu wrażeniu, któreby z tego powodu po kraju i po za krajem mogło się rozejść, ukazało się w dziennikach warszawskich opowiadanie tych kilku « *szczęśliwych dni stolicy.* » Lecz i ten środek niewiele pomógł.

Teraz wypada mi pokrótce opowiedzieć, jakie rzeczywiście otrzymało Królestwo z tyłu i tak długo zapowiadanych reform. W początkach ubiegłego roku przyjechał do Warszawy jen. Uxkull, rodem Estończyk, przeznaczony na prezesa komitetu do oczynszowania włościan. Do tegoż komitetu wszedł p. Gumiński, dyrektor wydziału dóbr i lasów, nadto jeden z wyższych urzędników komisji sprawiedliwości i kilku niższych z komisji skarbu i spraw wewnętrznych. Jen. Uxkull miał tę dobrą stronę, że chociaż z służby wojskowej przeniesionym był zupełnie do odmiennych czynności, nie przystąpił odrazu i gwałtownie do reform, ale (wbrew tradycyom urzędników rossyjskich) chciał pierwój poznać rzecz, a co dziwniejsza, zgodził się nawet, że do ostatecznego przeprowadzenia projektu potrzebnym być może udział właścicieli ziemskich. Jakim będzie ten projekt, dotąd nie wiadomo; zdaje się jednak, że nie przyjmą tam w oczynszowaniu zasady bezwzględnej i wszędzie jednostajnej, ale że ona ulegnie pewnym modyfikacyom odpowiednio do warunków miejscowych i zwyczajów zachowywanych w różnych powiatach. Z dotychczasowych przykładów oczynszowania dobrze można wróżyć dla tej reformy. Już w opinii publicznej i w stosunku rolniczym zużyła się do reszty pańszczyzna; zwolna, za postępem gospodarstwa i oświaty, bez krzyków, gróźb i reform radykalnych kraj wstrząsających, ogromna większość obywateli Królestwa przekonała się o naglącej konieczności oczynszowania włościan. Idzie tylko o to, aby w tém tak wielkiem dziele rząd rossyjski kierował się względami pożytku krajowego, produkcji rolniczej i dobra mieszkańców, nie zaś brzydką i niekzemną myślą rozniecania zawiści między różnemi warstwami społeczeństwa. Był czas że cesarz Mikołaj zdawał się zazdrościć polityce swego sąsiada. Jeszcze nikomu nie wyszedł z pamięci ów ukaz z r. 1846 o zniesieniu daremszczyzn. Brzmi on tak jakby był narzucony

szlachcie, wbrew jej woli, a wyszedł tylko z troskliwości rządu o los chłopów. Dopiął też tego celu choć na krótko, podrażniwszy namiętności włościan, mianowicie w guberniach nadgranicznych, nieuspokojone jeszcze po świeżych w owym czasie wypadkach, które prowincją naszą krwią zbroczyły.

Najwyraźniejszą dotąd z reform, i którą tak prowincye zabrane, jak Królestwo przyjęły z prawdziwą radością, jest ta, że rząd zwrócił nareszcie uwagę na straszliwą, a za ks. Paszkiewicza tolerowaną i prawie ośmieszoną przedajność urzędników. Wzrosła ona do takich rozmiarów, że w żadnej literalnie sprawie administracyjnej, a nawet sądowej, nie można było bez zapłacenia tych panów rachować na sprawiedliwą decyzją, często nawet doczekać się jakiegokolwiek. To ulepszenie przede wszystkim trzeba przypisać Alexandrowi. W Litwie, i na Rusi usunął on obu «strasznym» Bibikowów, w Petersburgu słynnego ze swych kradzieży dyrektora komunikacyj wodnych i lądowych, Kleinmichela. Jednak i ks. Gorczakow wpłynął niemało na oczyszczenie administracyi Królestwa z tej fatalnej zarazy. Trzeba oddać sprawiedliwość nowemu namiestnikowi, że przede wszystkim, lecz może i wyłącznie, szuka w urzędniku prawości, a skoro tę znajdzie, już do wszelkiej jakiegobądź administracyi sądzi go być zdolnym. Przed jego nominacją, znano go w Królestwie z tego tylko, że systematycznie nieprzyjazny był wszystkiemu, co polskie. Chcąc w części zmazać ten zarzut, dał się słyszeć, iż cieszy się, że mu oddano zarząd Królestwa, umie bowiem cenić liczne, dobre strony Polaków; wymienił przytem usługi generałów Niepokojczyckiego, Sierżputowskiego i innych, którzy mu rzeczywiście byli pomocnymi w Krymie!

Pierwszą, mniej szczęśliwą, kreacją ks. Gorczakowa był p. Muchanow, dawniejszy pułkownik gwardyi, następnie kurator okręgu nauk. warszawskiego, dziś jakoby minister spraw wewnętrznych, oświecenia i duchow-



wnych. Poprzednikiem jego był Wikiński, Moskał, który oddawszy pewne usługi ks. Paskiewiczowi, raptownie do tak wysokiego urzędu był podniesiony; człowiek dziwnie ograniczony, przedajny, i nałogowy pijak; gardzili też nim sami Moskale. Nominacya p. Muchanowa jest postępem, bo chociaż niewiele więcej umie on od swego poprzednika, jednak nie można mu zarzucić przedajności. Za czasów jego zarządu w okręgu naukowym, najnieszczęśliwsza kasta naszych urzędników, profesorowie znali go z zabawnej często próżności, i z wielkiej, jak na dawnego pułkownika przystało troskliwości, o krój mundurków dla uczniów, guziki, czupryny krótko ostrzyżone i t. p. W wykład nauk nie wglądał, bo się na tém nie prawie nie rozumiał. Cokolwiek bądź, p. Muchanow zostaje przy Dyrekeyi komisji spraw wewn., ale domyślają się, że go ktoś w okręgu naukowym zastąpi. Bodajby tylko ten przyszły kurator naukowy nie był znowu ex-pułkownikiem żandarmeryi lub gwardyi, i bodajby najważniejsze i najtrudniejsze urzędy w Królestwie Polskiem nie służyły jak dotąd za emeryturę ludziom zużyтым na musztrach wojskowych lub w służbie policyjnej rossyjskiej.

Z oddaleniem Wikińskiego, dzięki nowemu namiestnikowi, odsunięto z komisji spraw wewn. kilku znieślawionych wyższych urzędników, w których miejsce zamianowano Dyrektorem wydziału przemysłu byłego gubernatora wołyńskiego, a Dyrektorem wydziału spraw duchownych p. Solnickiego, człowieka mniej znanego z swego charakteru jak z usposobienia fachowego. Dzięki wojnie wypowiedzianej systemowi przedajności musiały także w znaczéj części wypróżnić się więzienia cytadeli warszawskiej; ustały zatem spekulacye urzędników komisji śledczej, często dla tego tylko aresztujących, że któryś z nich zeszedł nocy zgrał się w karty, lub chciał sobie zapewnić miłość zgrabnej baletniczki. Niemniej jednak siedzą dotąd

więźniowie polityczni w Zamościu i Modlinie; dawniej skazanych doszły ulaskawienia bardzo wyjątkowe i obciążone warunkami. Do powyżej wyliczonych zmian urzędników, z których można się spodziewać jakiejś korzyści dla Królestwa, trzeba przydać zniesienie uciążliwej opłaty paszportowej, z której i Kraków mógłby korzystać, i odnowiłyby się może nie tak dawne tego miasta z sąsiednimi powiatami stosunki, gdyby w tutejszym rządzie więcej było dbałości o los biednego miasta, i gdyby niemiłosiernie opłaty celne nie stawały na przekor wszelkim obrotom handlowym, które przemycaniem nie chcą się posługiwać. Mówią także, że Królestwo ma otrzymać wydział medyczny w Warszawie. W rzeczach Kościoła istnieją dotąd wszystkie tak srogie ukazy i wolność sumienia tak moeno obrażające. Z ulepszeń w tej gałęzi poczynionych jest do zacytowania nominacya trzech Biskupów. A i w tym nawet razie, może z wyjątkiem jednego, nie trudno byłoby przy trochę dobrej woli i przy mniejszej troskliwości o powolność kandydatów, postarać się o szczęśliwsze wybory. — Dyecezya krakowska czy kielecka, (nie wiem jak ją nazywać), pozbawiona jest od tylu lat swojego pasterza; obejmowała ona poprzednio Wolne Miasto i województwo krakowskie. Dzisiaj, gdy ani jeden, ani drugi rząd nie chce się zgodzić, aby biskup jednego państwa, w drugim miał swoją rezydencyą, nie wiedzieć kiedy i w jaki sposób weźmie koniec to zbyt długo trwające prowizoryum.

## II

GOSPODARSTWO ROLNE. — SZLACHTA.

25 lutego.

Zamierzwszy skreślić obraz Królestwa, mniemałem że dobrze byłoby przedewszystkiem, wśród tych ciągłych

o rossyjskich reformach zapowiedzi, donieść bezstronnie czyli i w czem zaszyły ulepszenia. Nie weźmiecie mi za złe, że z tą samą bezstronnością mówić będą i o mieszkańcach Królestwa. Może niejednemu z waszych czytelników nie spodobam się; jednak, za nim rzuci na mnie kłatwę, niech uwierzy, że te słowa wyszły z duszy równie jak jego gorąco pragnącej odbudowania ojczyzny.

Kilkunastoletnie, tak u nas jak w Królestwie, ciągłe przebywanie uczuciem polskiem poza rzeczywistością, zmordowało nakoniec szlachtę. Długi czas mając na myśli same tylko, nieodwłoczne powstanie, a bez niego nie widząc już nic na polu służby polskiej, szlachta Królestwa, zwłaszcza młodsza generacja, łączyła nierozwiązalnie sprawę Polski z kierunkiem i siłą ruchów rewolucyjnych w Europie. Tam, jak i u nas, te dwa wyobrażenia tak z sobą się zrosły, że był czas, w którym trudno było powiedzieć, czy młodzież nasza była bardziej rewolucyjną, czy też bardziej patriotyczną. Poszło zatem, że kiedy rewolucyi, ani spisków nie stawało, tłómaczono sobie, że nie ma życia, że nie ma nawet żadnego, czynnego dla ojczyzny obowiązku! Cicha praca, krzątanie się codzienne około dobra publicznego zdawały się rzeczą zbyteczną, przynajmniej niewczesną.—Boże mnie chroń, aby w słowach moich był jakiś ślad zapomnienia o tych ofiarach nieszczęśliwych, które epoka konspiracyjna u nas wydała; o tych męczennikach szlchetnych, zacnych, pełnych ognia i często nadludzkiego hartu! Pełnili oni służbę, na którą ich duch czasu wprowadził, a ich cierpienia i krew rozlały Bóg przyjąć raczy na tę szalę, na której się waży ostatecznie losy naszego kraju. Ale wielbiąc i czcząc te wielkie poświęcenia, niemniej przeto powiedzieć muszę, iż ów powszechny ruch konspiracyjny był dla kraju naszego zgubnym. Kiedy spiski absorbowały wszystko, co było w młodzieży szlchetniejszej i silniejszej, to już



poza niemi, i poza drobnemi usiłowaniami literackimi, nie było u nas żadnego objawu ducha publicznego.

Smutne wypadki roku 1846 znacznie w opinii, zwłaszcza starszych, zachwiały wiarę w rewolucyjne środki; wreszcie obrót, jaki wzięły ruchy ludowe w roku 1848, do reszty wyleczył szlachtę z odbiegania rzeczywistości. Od tego czasu uczuto potrzebę pracy praktyczniejszój, a że u nas z samój natury kraju, ta reforma moralna objawić się musiała naprzód w skrzętniejszém niż dotąd gospodarstwie rolniczém, postęp jego stał się widoczny. Długie lata uważano w Polsce gospodarstwo, tę dźwignią przemysłu i zasobów narodowych, jako rodzaj sinekury dla szlacheckich synów, jako powołanie, do którego każdy, mówiąc po staremu, *urodzony* był już zrodzonym. Dość było zatem, iżby młody skończywszy jako tako gimnazyum, pobawisz się w Warszawie, a jeśli się dało, w Paryżu, i nadtrwoniwszy trochę ojcowskiego majątku, jako człowiek i gospodarz całkiem usposobiony żenił się, i zaraz wchodził, z zupełném uznaniem, w poczet obywateli i agronomów krajowych. Oddawna chorowaliśmy na improwizowanych urzędników, senatorów, posłów i t. p., a kiedy ze zmianą położenia krajowego zamknęły się dla nas, do pewnego stopnia, wrota karyery publicznej, z improwizowanych kanclerzy i hetmanów, zeszlśmy na improwizowanych agronomów i polityków. Tyle też było warto nasze gospodarstwo, a podobno nie więćej polityka. Nie od tak dawna zaczęto u nas rozumieć owe słowo Krasieckiego «trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty;» to też nie oddawna Polska, ów kraj prawie wyłącznie rolniczy, szczerzój i roztropniej wzięła się do gospodarstwa. Uwierzylśmy nakoniec nie bez trudu, że jak trzeba uczyć się szyć buty, żeby być szewcem, tak też teoretycznie i praktycznie trzeba się uczyć agronomii, aby być dobrym gospodarzem. Rzeczy najprostsze najtrudniej bywają

przyjmowane. Skoro więc w tém kardynalném narodowém zajęciu przyszedłszy do takiej zmiany opinii, spodziewać się należy, że i inne uzdolnienia mniej więciej fachowe, przestaną być jak dotąd samym tylko darem Ducha Ś<sup>o</sup>, lub nieodzowném następstwem dobrego urodzenia.

Kierunek ku lepszemu gospodarowaniu w całej Polsce wyraźny, odbił się stanowczo w Królestwie. Z zamiłowaniem istotnych gospodarzy, wielu ze szlachty w utrzymaniu inwentarza stara się nietylko o pożytek, ale o pewną nawet elegancją. Rozpowszechniają się cukrownie na produkcji buraków oparte, głównie też w powiecie gostyńskim i w Kujawach, które niezawodnie krajowi pod względem rolniczym przodkują. Gospodarstwo w tych ziemiach, o ile w krótkim przejeździe mogłem poznać, stoi nieomal na téj stopie jak w Niemczech, nabrało też charakteru gospodarstw niemieckich, a ziemia stała się tam droższą niż gdziekolwiek w Królestwie. Pierwój niż w Galicyi uwierzono w Królestwie, że i na polskiej ziemi, gdzie właśnie rąk brakuje, maszyny, « owe niemieckie wymysły » mogą być równie jak zagranicą pożytecznemi. Nie masz prawie wioski bez młockarni i siewkarni; wzięto się do extyrpatorów i pługów ulepszonych, a zatem poszła większa liczba fabryk, które w kraju tych machin dostarczają. Przekonano się, że jest coś lepszego nad trzypolowe gospodarstwo, i rzucono się szczerze, pomimo ofiar jakie to przejście wymaga, do płodozmianów. Kilka ostatnich droższych lat ułatwiły szlachcie możność wprowadzenia tych kosztownych często ulepszeń. Rozsiane tu i owdzie gospodarstwa wzorowe prywatne obudzają emulacją, a gdziekolwiek kształcą młodzież praktycznie do rolniczego zawodu. Istnieje w Królestwie od lat wielu instytut agronomiczny w Marymoncie; ten jednak czy to z przyczyny niepraktyczności wykładu, czy z tradycyjnego fałszywego kierunku młodzieży, która tam po

dawnemu hula i bawi się, czy też że przyjmują doń uczniów nienależycie usposobionych, nie przynosi tyle korzyści, ileby pragnąć należało. W praktykach prywatnych nie ma przynajmniej tradycyi złej, ani większości uczniów źle pokierowanych, którzyby na nowych wpływali niekorzystnie, a często stanowczo. Odezwało się też od lat kilku w szlachcie Królestwa owe dawne rycerskie upodobanie w pięknych koniach; do czego jednak nie sędzę, żeby przyczyniały się warszawskie wyścigi konne, (choć przynajmniej że na nich nie byłem), bo te wymagają rasy osobnej, wyłącznej, z ogólnem uszlachetnieniem koni i z gospodarstwem krajowem niemającą związku.

Handel zbożowy na nieszczęście zostaje dotąd jak dawniej w rękę żydów, bo jeszcze we krwi naszej tkwi owa dawna konstytucya sejmowa, że « kto się ima łokcia lub wagi, traci szlachectwo. » Ten rodzaj monopolu w rękach żydowskich zostawiony, utrudnia wszelką konkurencyą, a czyniąc sprzedaż całkiem od ich przebiegłości zawisłą, nie dozwala właścicielom ziemskim wyrobić sobie pewnej normy na cenę produktów; nikt też u nas, tak w Galicyi jak w Królestwie, nie wie jaka jest w danym czasie cena każdego ziarna, i do dziś dnia każdy bardziej wierzy swemu faktorowi niż korespondencyom gdańskim, lub warszawskim w dziennikach ogłaszanych. Spodziewać się trzeba, że dokonane już komunikacye, jako to parowa żegluga na Wiśle, droga żelazna warszawsko-krakowska, jak również projektowana łowicko-toruńska i kilka nowych dróg bitych, wpływać będą coraz mocniej na rozwinięcie przemysłu rolniczego. Ale, dużo jeszcze wody upłynie, zanim szlachcie, jak to dawniej bywało, sam ze zbożem swoim puści się do Gdańska lub do Warszawy. Rad jest, że mu tę fatywę żyd ułatwi, bo też w ogólności, gdyby żydów na świecie nie było, to by ich szlachta polski wynalazł! )  
Tak mu są dogodni, tak wyręczający go z wszelkiego



trudu chodzenia i myślenia, tak ulegli jego fantazyom, umiejący schlebiać jego śmiesznościom i gnusności, a tak fatalnie wpływający na jego energią, często na jego moralność! Wspomniawszy już raz o żegludze parowej, muszę z żalem dodać, że temu prawdziwie obywatelskiemu przedsięwzięciu stoi na zawadzie nieuporządkowanie Wisły. Zmienia ona co rok swoje koryto, wylewaniami przynosi nieobliczone szkody, a liczne jój mielizny wstrzymują bieg statków. Możliwoby, zdaje mi się, przekonać, że straty dziesięcioletnie z tych powodów odniesione, wystarczyłyby nakoszta uregulowania jój spławu. Rzecz konieczna aby się tém ktoś zajął, jeśli nie dziełem samém to zrazu projektem; uderzająca, że o tém tak mało mówią i piszą, a byłby to czyn bez porównania patriotyczniejszy niż tyle innych zbyt pośpiesznych, i zbyt nieogłędnych, na innój drodze czynionych usiłowań. Nie braknie nam kapitałów polskich; dość często nasłuchiałem się w Królestwie żalów, że miliony polskie idą lokować się w Kanadzie, na kolejach indyjskich, w kredycie ruchomym całej Europy. Miałoby nie znaleźć się tylko tam, gdzie zysk znaczny połączony jest z zasługą, czcią, i pożytkiem swoich! Nie sędzę; raczej przypuszczam że niedostatek ludzi specjalnych był przyczyną, że się do tego dzieła dotąd nie zabrano.

✦ Właściwiej trochę niż zboże umie szlachta Królestwa oceniać wełnę swych owiec, a na usystematyzowanie handlu tym produktem wpływają bardzo korzystnie jarmarki Śto-Jańskie w Warszawie i jarmarki wełniane w Wrocławiu. Dla inwentarza roboczego i paradniejszych koni głównym punktem odbytu i kupna są jak dotąd, peryodyczne jarmarki w Łowiczu, Łęcznie, Jędrzejowie i t. p. Zjeżdża się na nie szlachta, tyle może w interesach gospodarskich, co dla *zabawy*; a przez zabawę rozumie się tu: pijatyka, gra w karty i towarzystwo kawiarek, które umyślnie z Warszawy na te zjazdy miasteczkowe wybierają się. Co do pijaństwa, można

powiedzieć, że ta brzydka wada stała się w Królestwie nie porównanie rzadszą niż dawniej, chociaż rok przeszły pod tym względem dawne czasy dość mocno przypomniał. Ale za to szulerstwo kwitnie jak za czasów Stanisława Augusta w Warszawie! Stało się ono powszechną chorobą, a w małej liczbie umiejętności, których w Polsce od młodzieży wymagają, wist i preferans są bodaj czy nie pierwszą towarzyszką zaletą! Cóżkolwiekby można powiedzieć na usprawiedliwienie tego fatalnego u nas zjawiska, zawsze jest pewnym, że trawienie kilku godzin dnia na grze w karty, jest do pewnego stopnia dowodem, jeśli nie płytkości głowy, to lenistwa umysłu i obojętności o rzecz publiczną. Kiedyś mówiono o naszych dziadach, że Polskę przepili; niedaj Boże aby wnuki powiedziały o nas, że i to co się z niej zostało, przegraliśmy w karty! Mało co przed rokiem 1846 w guberniach nadgranicznych były czynione znaczne starania, aby odwieść chłopów od zbyt częstego użycia wódki. Niemniejby ten zasłużył się sprawie publicznej, ktoby między szlachtą naszą chciał propagować wstrzeźliwość od kart.

Wspomniałem wyżej o kierunku praktycznym, jaki szachta wzięła, zwracając się do umiejętniejszego niż dotąd gospodarstwa rolnego. W dalszym ciągu moich korespondencyj znajdę zapewne sposobność wykazać, że to jest jeden z objawów ogólnego nakłonienia się ku pracy i ku poważniejszemu wpatrywaniu się w stosunki wewnętrzne. Uderzającą jest *np.*, zmiana jaka zaszła w Polsce całej w ocenieniu patriotyzmu. Opinia strzegąca polskości, w Królestwie mianowicie, jest zawsze jedna, nieprzeparta, powiem nawet, na nasze szczęście, despotyczna. Z wielkim taktem i bystrością umieją tam ludzie osądzić co ze słów a nawet czynów mniej polskich każdego Polaka przypisać należy jego stosunkom, a co wyszło z jego własnej duszy, z abdykacyi narodowej. W kimkolwiek dostrzegą pewnego ku stronie moskiewskiej zбочenia, ten jakby trądem zarażony, moralnie

wychodzi ze społeczeństwa. Będą z nim, jeśli potrzeba, rozmawiali i przyjmowali go u siebie, ale zażyłości, zaufania i szacunku obywatelskiego nie wrócą mu już nigdy. Ten ucisk opinii tak zacny, niewątpliwy i nieodwołalny, posłuży nam jeszcze długo na obronę od pokus złego i własnej słabości. A zarazem, podobno już w całym kraju przyszliśmy do lepszego criterium uczuć obywatelskich. Zużywają się deklamacye, nie popłacają nawet « patryotyczne » dowcipkowania. Niedawno temu, aby uchodzić za dobrego Polaka, dość było od czasu do czasu wybąknąć słowo gorące, zaręczyć o swęj gotowości do poświęcenia życia i majątku « kiedy przyjdzie okazyja ; » a obok tego, zawsze w oczekiwaniu owęj sposobności, nie poczuwać się do żadnego obowiązku, wieść sobie życie wesołe, wygodne, ciemiężyć chłopów, trawić dnie i noce na rozpuście i nieczynności. Może to jest skutkiem epoki, że dziś więcej ważą człowieka wedle tego co robi, niż wedle tego co myśli i czuje; nie wystarcza dzisiaj być Polakiem w uczuciu, trzeba nim być w czynie *nieprzerwanym*, w jakimbądź zawodzie, na jakimkolwiek polu służby publicznej. Powiecie może, że tyle dobrego w usposobieniu narodu nie objawia się bynajmniej tam gdzieby najpierwój pokazać się mogło : w literaturze. Nie przeczę, ale też dzisiejsze piśmiennictwo, a raczej belletrystyka, zdaje mi się o wiele niższém od ducha narodowego. Nowa, rzekłbym, epoka nie wyrobiła właściwych sobie pisarzy. Podczas gdy ogół narodu coraz szczerzój bierze się do pracy, sami tylko piszący wydają się klasą najmniej myślącą i najmniej może pracowitą. Prawie w żadnym z nich nie widać, aby przed pisaniem ważył, pracował, badał sumiennie, zbierał materyały. Z dawnęj epoki nie wynieśli natchnienia i gorącego uczucia : zimni są i poziomi; z nowęj nie wzięli jeszcze pracy i usilności, i z wyjątkiem kilku celniejszych indiwiduwów cała bodaj literatura przybiera ton nudnego i bezmyślnego *gawę-*



*dziarstwa*. Dla czego więc ich czytają, zapytacie? Bo innych piszących dotąd zbyt mało, a obudzona jest wszędzie chęć czytania. Wszakże uważcie, jaką ta nawet lekka na pozór publiczność, kładzie różnicę między produktami literackimi; o ile *Mohort* Pola lub *Magier* Syrokomli zostawiły za sobą sukcesu tylu innych romansów, gawęd lub wierszyków! Uszanowano w nich wyższe, szlachetniejsze natchnienie, a przeciwnie, co do innych, apologie przez poważnych nawet pisarzy układane, nie zbałamuciły na długo zdrowego sądu publiczności.

Pierwszym, najważniejszym, najpożądającym skutkiem surowszego niż dotąd poglądu, u nas, na obowiązki publiczne jest, że zaczynają już sądzić patryotyzm obywateli wedle ich stosunku z chłopem i ich dbałości o los poddanych. Ale są pod tym względem, na nie-szczęście, zbyt liczne jeszcze wyjątki. Od chwili kiedy szlachta praktyczniej zrozumiała swoje położenie, znaleźli się znowu innego, o wiele podlejszego rodzaju deklamatorowie, którzy utrzymują, że gospodarstwu rolnemu i pomyślności krajowej staje głównie na zawadzie zepsucie ludu polskiego. Niebaczni, zapominają oni że sami lub ich ojcowie, a nie kto inny, ten lud wychowali! Skarżąc się na pijaństwo chłopów, dla czego nie przyznają, kto wyrabia wódkę i kto tak urozmaiconymi sposobami ułatwia swym poddanym ten nałóg oplakany! Wyrzucają chłopu polskiemu lenistwo; azaliż sami dają mu tak budujący przykład w nocach przepędzonych na grze! Obwiniając swych służących o niesumienność, nie zwracają uwagi, że najpewniejszym środkiem uchronienia ich od tego występku, byłoby zapewnić im stosowne za ich prace wynadgródenie, i z tego obowiązku *rzetelnie* się uiszczać. Nie udanemi czułościami ani roprawami o równości socyalnej, ale sprawiedliwością i ojcowską dbałością można niezawodnie uzyskać stanowczy wpływ na włościan i ich przywiązanie. W jednych prowincjach przyjdzie to trudniej a w drugich łatwiej,

ale we wszystkich, pierwsze to jest zadanie polskiego obywatela; pierwsza to, dla każdego z nas, starych i młodych, mężczyzn i niewiast, jest, i będzie odtąd, miara do ocenienia zacności naszej i patriotyzmu.

Nim skończę, niech mi wolno będzie dodać krótką uwagę. Twierdzę i uważam za potrzebne często przypominać to wam, że szaleństwem byłoby i błędem pod wieloma względami szkodliwym, nie uznawać pożytków z dzisiejszego zwrotu ducha publicznego wyniknąć mogących. Co bądź nastąpi, już kraj z tej drogi nie zejdzie, nie odstąpi jej; a waszym obowiązkiem jest o tém pamiętać. Trzeba jednak i o tém nie zapominać, że natura polska pełna jest fantazyi i łatwo się przerzuca w ostateczności. Tak w Królestwie jak i w innych prowincjach, powinnyby zatem znaleźć się głosy upominające, aby ów kierunek obecny szlachty, nie zawiódł jej dalej niżby należało; aby płodozmiany i nawozy nie wyrugowały z niej uczuć i popędów szlachetniejszych, i ogólniejszej troski. Między obywatelami mowa jest dzisiaj tylko o pszenicy i koniczynie; między kupcami zbożowymi innych rozmów także nie posłyszysz. Prawda, że nam wiele zaszkodziła fantastyczność szlachecka, bo nas wpędziła do niewoli; ale żydostwo moralne na wieki nas w niej utrzyma! — Zatem ostrożnie, a czemkolwiek szczerze, umiejętnie, energicznie i wytrwale zajmiemy się, nie zapominajmy, co wiekowem doświadczeniem stwierdzone jest, że którykolwiek Polak zagłuszy w sobie uczucie powinności dla Ojczyzny, niewiele już w nim wartości człowieczej zostanie.

### III

#### O ARYSTOKRACJI POLSKIEJ.

24 marca.

Schodząc coraz głębiej do rozbioru społeczeństwa naszego, nie wątpię że przedstawiając je, nie jakbyśmy

radzi je widzieć, ale jak ono jest rzeczywiście, niejednen pogląd wesoły (może dlatego wesoły, że bezmyślny) będą musiał zasmucić, spokój wygodny niejednego zakłócić, lub próżność jego zranić. Cóż począć! Wyjątkowe jest nasze położenie; więcej też niż dla innych, wyjątkowe są dla nas obowiązki. Insze narody mają swoje instytucye, mają siły uorganizowane, rządy własne, które za nie myślą, pracują, kierują i strzegą. U nas, gdyśmy to wszystko utracili, gdy te środki i potęgi, które dźwignią są innych narodów, u nas właśnie przeciwnam samym są obrócone: na wszystko w dwójnasób starczyć dzisiaj musi zacność obywateli! Z niej tylko wypłynąć mogą siły moralne i materyalne, których potrzeba tak dla zachowania i obrony, jak dla ulepszenia rzeczy publicznej. Więc nie dziwmy się, że co może być wolno Francuzom lub Anglikom, nam Polakom jeszcze niewolno. Różność położenia różnicę tworzy obowiązkowi; a co na Zachodzie bywa często zasługą, u nas jest dopiero spełnieniem powinności. I bez szwanku własnej godności żaden z nas nie może wyłamać się z pod tak ciężkiego zadania. Nie ma środka: albo wejść trzeba w koło strudzonych pracowników, albo dobrowolnie i rozmyślnie poddać się..... wzgardliwemu do pewnego stopnia zapomnieniu.

Te uwagi musiały nasunąć się pod pióro moje, kiedy, z kolei, mówić mam o pierwszej klasie społeczeństwa naszego, to jest o panach polskich. Mieszkańcy Królestwa, a zdaje mi się, że tak jest we wszystkich prowincjach, mają wiele jeszcze usposobień oligarchicznych. Dotąd szlachta idzie chętnie za zdaniem i przykładem panów, którzy, czy to skutkiem swych zasobów materyalnych, czy też wpływu moralnego, mogliby, gdyby chcieli, zająć przeważne stanowisko w kraju. Zająć je przyszłoby u nas tém łatwiej panom polskim, że wszyscy obywatele, jakkolwiek sprawą publiczną trudniący się, i którym na sercu leży utrzymanie jedności i solidar-



ności polskich prowincyj, coraz mocniej czują w kraju potrzebę pewnej siły kierowniczej, szykującej środki ogólne i używającej ich tam, gdzie ich użyć najpilniej, i gdzie największe grozi niebezpieczeństwo. Bez niej, zostawieni w każdej prowincyi samym sobie, możemy z mniejszą lub większą ścisłością wystarczyć miejscowym potrzebom, możemy być wzorowymi patriotami prowincjonalnymi; ale całości sprawy narodowej nie podobna nam objąć, i coraz głębiej tonąć musimy w tej fatalnej odrębności codziennych i drugiego rzędu interesów, w jakiej nas ostatni rozdział Polski postawił. Niktby, zdaniem mojem, lepiej nie wydołał temu zadaniu (które w praktyce dałoby się, jak rozumiem, mimo przeszkody rządów i bez niebezpieczeństwa przeprowadzić), niktby skuteczniej oddziaływać nie mógł przeciw skutkom rozszarpania naszego kraju, jak właśnie panowie polscy, przez stosunki swe i związki rodzinne, połączeni ze wszystkimi prowincjami, i, dokładniej od ogółu narodu, mogący poznać stan i niedostatki każdej z osobna polskiej ziemi.

Mogliby, gdyby chcieli! Ale z dzisiejszym składem polskiej arystokracji, jak tu myśleć o pierwszym dla nich, w Radzie narodowej, krześle? Dziwną niemocą skrępowani, nawałem interesów majątkowych przywaleni, zimnem przedwczesnej starości i obojętnością zmarznięci, i zatopieni w niezliczonym mnóstwie nigdy niekończących się kłopotów o własne a drobne wygody, w większej części nie mają serca, ani głowy, ani nawet czasu do zajęcia się sprawą ogólną. Są między nimi, o! jakże nieliczni, którzy twarde życie spędzili lub pędzą na służbie narodowej, na walce z niebezpieczeństwami zewnątrz grożącemi, lub złem niemniej zgubnym, które jest wewnątrz nas. Świat często nie wie o ich cichych poświęceniach, nie od razu ocenia ich zasługi, czasem złem za dobre płaci; niemniej idą oni swoją drogą i w końcu, choć niekiedy za późno, otacza ich cześć po-

wszechna. Ale tych kilku na to tylko, rzekłbym, świeci, aby dać miarę jak dalece reszta obowiązkom swoim uchybia. Mając tak piękne i tak ważne do zajęcia stanowisko, które, prawdę mówiąc, nieraz tylko trochę dobrej woli i trochę skupienia myśli wymaga, wolą raczej żyć jakąś odrębną, poza narodem i jego potrzebami, egzystencją, i odmawiają posługi, do której są stworzeni. Jeśli, w ten sposób, bezużytecznym ciągle będą organem narodu, cóż się z nimi stanie! To też najpoważniejsze głosy pisarzy polskich już dziś zapytują: «gdzie oni są ci panowie polscy, i czém się różnią od bogatych Żydów i bankierów? ja nie widzę! Jednakowo używają, na jeden grosz targują, o jedném myśla.... nie poznasz ich i znać nie warto!»

Prawda, że niwelująca dążność naszego wieku nie sprzyja wcale utrwaleniu jakiegobądź wyższości. Gdybym też był niwelatorem socyalnym, cieszyłbym się z téj drogi, którą idzie większa część panów polskich. Nie zdają się oni, bynajmniej, pojmować warunków, któremi arystokracja istnieje; i owszem jednych ogarnął szal jakby umyślnego trwonienia reszty więzłości, którą ich imię w narodzie posiada; drudzy lekkość moralną indywidualności swojej i powołania, które sobie wybrali, chcą zastąpić ciężkością worków. Czyż potrzeba jeszcze mówić, że nie imię, nie tytuły, nie zebrane dostatki, ale tylko zacność i dzielność serca a wyższość umysłu tworzą arystokrację; że utrzymuje ją zasługa, którą, bądź co bądź, za życia czy po śmierci, narodowa wdzięczność nagradza! Czyż potrzeba przypominać, że u nas w Polsce, pojęcia pana zawsze ze służbą publiczną było związane; że kto do senatorskich wchodził rodzin, brał na siebie obowiązki, jak odwieczna konstytucja mówiła: i *wiernój Rady* dla rzeczy pospolitój, i *starszego* dla ziemian *brata*! Dzisiaj poczucie obowiązków tego rodzaju zaciera się w arystokracji polskiej; ale za to, i u szlachty, dawne wyobrażenia o znaczeniu panów mię-

szają się dziś z pojęciami o potędze pieniężnej. Kogóż winić, że bogatego żyda, który zakupił obszerne włości, mienić u nas zaczynają: *Panem*; a o synie jego, jeśli tak rzeczy potrwiają, będą mówili: *Pan z panów!*

Za dawnych czasów, arystokracją polską dzielono na takich, którzy urzędnikami byli całej Korony i Litwy, i na tych którzy w służbie ziemskiej przodkowali. Dzisiaj, w większej części, inaczej trzeba ukłasyfikować. Pominąwszy kilku, których nie wymieniam, bo ich wszyscy znają, a którzy «dawną rycerskość» ponieśli do cara; pominąwszy i tych niewielu, prawdziwie szlachetnych i zacnych, o których na początku wspominałem; ogromna reszta panów polskich da się zamknąć w trzech kategoriach: *spekulantów*, *wygodnisiów* i *excentryków*. O pierwszych nie mam co mówić. Ten typ jest prawie wyłączny w arystokracji francuzkiej; a i naszych znajdziecie wielu, ubiegających się na wyścigi z agentami bankierów na wszystkich bankach i giełdach zagranicznych, i przy każdym przedsięwzięciu, byle poza krajem. Takim, choćby kto na dłoni wykazał, że koleje żelazne w Rossyi zgubą będą dla Polski, jeśli tylko zysk i pewną lokacyą w nich znajdują, nie zatrzyma ich żaden głos sumienia. Gdyby zamierzonym w kraju naszym entrepryzom, tak Bóg poszczęścił, iżby dały, choć pół procentu więcej, niż cudzoziemskie, możeby wraz z kapitałami, przenieśli wówczas na ziemię polską..... swoje serca.

*Wygodnisiów* jest podobno, przynajmniej w Królestwie, dotąd najwięcej. Ci szczerze i otwarcie egzystencyą swoją do codziennych ograniczyli przyjemnostek. Z religijną sumiennością przestrzegają wszystkiego, co się odnosi do ich nawyknień i do ich spokoju domowego, ustawionego nie bez trudu i hojności. Zresztą są patriotami, o ile ich to do żadnego wysilenia, prócz pochwał, nie obowiązuje. Ale dumniejsi między nimi, nie są nawet szczodrzy w pochwałach; ci owszem na



każde patryotyczniejsze przedsięwzięcie mają jedną z dwóch odpowiedzi : że albo *to do niczego nie prowadzi*, albo *jest szaleństwem*. W ciszy domowej wyostrzony ich sarkazm, użytym bywa przeciw temu tylko, co gdyby zyskało powszechniejsze uznanie, musiałoby powołać do ofiary, jeśli nie ich patryotyzm,.... to ich próżność !

Lepszą od tych dwóch rodzajów jest kategoria *eccentryków*. Bywają chwile, że oni są gorącymi Polakami, podnoszą się do prawdziwych poświęceń ; ale ich uczucia polskie i ofiarność nie są takie, iżby je znaleźć można o każdej dnia godzinie. Zależą one od ich złego lub dobrego humoru, i od tego jak rzecz, na którą się patrzą, wpada do ich dziwnie zbudowanego umysłu lub imaginacyi. Kapryśni i niestali, dla jednego przedmiotu raz mają łzy, drugi raz szyderstwo. Niejedno przedsięwzięcie gotowi poprzeć gorącym sercem ; tylko że chwytają się w niem środków, które do celu nie wiodą, albo takie proponują wyrzucić, które treść dzieła stanowią. Najpiękniejsze zamiary niechybnie opuszczają, jeśli do nich potrzeba pewnej systematyczności ; a przez szczególne dziwactwo ich organizacyi, w tém tylko bywają wytrwali i zacięci, co ich uderza nadzwyczajnością, lecz co zarazem jest próżnym marnowaniem czasu i środków. Natury zwykle szlachetne i bezinteresowne, dla kraju przemijają bez użytku, bo albo wpadają w odrętwiałość, albo zużywają siebie i siły swoje na męczącym a bezowocnym targaniu.

Do trzech powyższych oddziałów trzeba dodać czwarty : istot słabych, nerwowych, zużytych, świecących jednak poczciwością nieposzlakowaną, przykładowym mniej więcej życiem domowym, ale nieczujących w sobie powołania do życia publicznego. Obdarzeni szlachetnymi instynktami, pełni serca, nawet rozumni, prawie zawsze są dotknięci bezsilnością i ani siebie, ani sprawy żadnej, dźwignąć nie umieją. Mają wszystkie

środki prócz — *woli*, i bez niej wszystkie przelewają się w ich rękę i znikają, jak ich życie, bez śladu na gruncie ojczystym.

Takim jest obecny skład arystokracji naszej w Królestwie, a podobno i w innych prowincjach. Być może, że ten sąd wyda się wam za ostry, za namiętny; niemniej przeto, twierdzę, jest on wyrazem opinii dość u nas przeważnej, i bez wątpienia znaczeniu panów w Polsce nieprzeciwnej. Miałażby arystokracja polska zgadzać się raczej na los, na który ją przed dziesięcioma laty u nas skazywano! Wówczas żądano od panów polskich tylko tego, aby ze sceny publicznej ustąpili; z wypowiedzeniem wojny historycznym imionom nie dbano wcale o pomoc, którą przynieść mogły. Dzisiaj, czy dla tego że siły, na które wtedy wyłącznie rachowano, tak bardzo zawiodły, czy też że przyszlśmy do wytrawniejszych pojęć w naszej polityce wewnętrznej, nikt panów od służby narodowej nie odpycha. I owszem, wszyscy miejsca ustępują, zapraszają, przyklaskują ich usiłowaniu; o najlżejszych poświęceniach mówią, piszą i drukują; gotowi wielu zboczeniom pobłażać, by w zamian zyskać choć kilku wiernych dla rzeczy publicznej pracowników. Próżne, jak dotąd, zachęty; spłoszonych ośmielić nie łatwo! odwykłych od pracy trudno na pole ojczyste sprowadzić! Łatwiej też było ztrącać ludzi w dół, niż dziś popychać ich w górę!

Jak poprzednio wykazałem, kierunek całego kraju ku pracy poważnej jest widoczny, ale wszędzie brakuje tych «których Bóg stworzył na oczy i piersi narodu.» — «Kaźda klasa społeczeństwa, mówi wspomniany już autor, ma swój cel; żadna nie może być posożytną narosłą na ciele narodu. Jesteśmy członkami jego, mniej więcej, szlachetnemi; pracować musimy wszyscy.» Tymczasem jeden z tych organów coraz mniej harmonii ogólnej odpowiada, i coraz bardziej (bodajbym się mylił!) staje się kosmopolitycznym. Zład nieuchronne,

w każdej czynności naszej, nastawać musi zamięszanie, jakaś nieskładność, niezupełność; ztąd widać wszędzie raczej gorączkowe zrywania się, wysilenia, niż zbiorową, ze zdrowego organizmu płynącą i zdrowie niosącą pracę. Jak w niesfornój orkiestrze głównych tonów nie słyhać, i fałszywe składają się akordy!

Kto na tém traci? Wszyscy bez wątpienia, a rzecz publiczna najpierw! Ale, w końcu, najboleśniej ucierpią ci właśnie, co z pola swych obowiązków tak lekko-myślnie zbiegają. Kilku zacnych, nie zastąpi stu innych, których nie ma dla Polski; tytuły widać, ludzi nie! Nie z swych pretensyj, wszystkiego z swych obowiązków odstąpić, to najgorsze ze wszystkich samobójstwo; to samobójstwo śmieszności! Wcześniej czy później *nowi ludzie* muszą się znaleźć. *Dawnych*, świeżą zasługą nieodmłodzonych, mógłbym powiedzieć *nieodkupionych*, śmierć moralna wymaże z ludzkiej pamięci!

#### IV

##### O DUCHOWIEŃSTWIE W KRÓLESTWIE.

23 kwietnia.

Chciałbym w liście niniejszym skreślić obraz duchowieństwa naszego w Królestwie Polskiem. Z stosunków kościelnych w kraju, jak podobno z każdej części naszej sprawy, znamy tylko jedną stronę. Wiemy, mniej więcej dokładniej, co zamierzał i ile, swými ukazami, rząd nieprzyjacielski chciał zaszkodzić; jak dalece zaś celu swego dopiął, jaki pod wpływem jego działania rozwinął się stan rzeczy, o tém nie wiemy, badać tego, ani słyhać nie lubimy. Nie przeczę, iż bolesno jest widzieć ciało schorzałe i ranami zeszpecone, ale przed sobą i przed drugimi taić chorobę, nie jestto podobno środkiem wyleczenia się z niej. Złe nie z odkrycia ale z ukry-



wania prawdy pochodzi. W r. 1842, Stolica Ś. oplakując stan Kościoła pod rządem rossyjskim wyrzekła : *status magis deplorandus quam describendus*. Zdawałoby się, że niemoc Stolicy Apostolskiej w przyniesieniu ulgi prześladowaniom religii katolickiej w Królestwie, stała się dla nas hasłem zupełnego na tém polu rąk opuszczenia. Wzmagał się wprawdzie duch religijny w narodzie, ale siły swe i czynności jakby do innych ziem przenosił; nierzadko było w pismach polskich wyczytać wiadomość o postępie misyj apostolskich u ludów dzikich, lat temu kilka w mieście naszym i w Galicyi zbierano nawet składki na misyonarzy w Chinach; ale wzmianki o tém, co dla polskiego katolika najważniejsze, nie znalazłeś prawie nigdzie, i nie wyczytałeś podobno ani razu odezwy do uczuć patryotycznych w Polakach, aby iść w pomoc, ile siły straczą i okoliczności pozwalają, zagrożonemu Kościołowi pod berłem rossyjskiem. Mnie się zdaje, że gdyby pisma nasze, dążnością religijną wyłącznie nacechowane, mniej starały się być odbiciem ruchu religijnego na Zachodzie, a bardziej zajmowały się sprawami Kościoła w królestwie i w prowincjach zabranych, toby i potrzebom narodowym lepiej usłużyły, i nawet pod względem religijnym silniejszy zyskałyby wpływ na umysły polskich czytelników.

Pisząc dziś o duchowieństwie polskiem do ludzi, którzy od lat wielu kraju nie widzieli, przewiduję iż spotkam się z trudnością, jaką ich własne wspomnienia do zrozumienia rzeczy stawić mogą. Ci co wpływowi duchowieństwa francuzkiego są u nas przeciwni, lubią wyobrażać sobie księży naszych, jak ich polscy powieściopisarze do dziś dnia malują : owych dawnych kapłanów, prawdziwych *dobrodziejów* ludu, opiekunów wdów i sierot, sług Bożych a ludzkich braci. Na nieszczęście, ten typ staje się u nas coraz rzadszy! W Królestwie polskiem, księża pochodzą prawie wyłącznie z klas najniższych; a nie idzie mi o to, aby proboszczowie

nasi byli herbowni, ale, iż obierając stan duchowny, rzadko kiedy czynią to z wewnętrznego powołania, prawie zawsze z chęci zrobienia karyery. Zamożny majster w miasteczku, wysłużony organista, wreszcie chłop bogatszy, z kilku synów jednego, najsprytniejszego, wybiera na księdza. Pochlebia dumie ojcowskiej myśl, że syna będzie miał proboszczem, że mu zapewnia chleb dostatni i wygodny. Jeżeli rodzice mieszkają w miasteczku, posyłają syna do szkoły elementarnej; jeżeli na wsi, lokują go u miasteczkowego nauczyciela, lub w swęj parafii umawiają się z księdzem wikarym, aby wyuczył go czytać i pisać po polsku, czytać po łacinie i trochę rachunków. Chłopiec idzie wówczas do szkoły powiatowej i po czterech lub pięciu latach początkowej nauki, do której przydana jest znajomość języka rosyjskiego, wstępuje do seminaryum. Wprawdzie zdarzają się wypadki, że światlejsi rodzice każą takiemu kandydatowi do stanu duchownego skończyć siedm klas gimnazjalnych, ale bywa też, że do seminaryum przyjmują wyrostków z nieinnem wykształceniem, jak to, które nabyć można w dwóch klasach elementarnych w najbliższém miasteczku.

Nauki seminaryum trwają lat cztery, a ograniczone są do tych tylko przedmiotów, które bezpośrednio wiążą się ze stanem duchownym, mógłbym powiedzieć do tych niemal, które do praktyki kościelnej, do obrządków nabożeństwa nieodbicie się potrzebne. I na tém kończy się wszelka praca około umysłowego wykształcenia przyszłego proboszcza. — Wierny powołaniu, do którego sposobił go ojciec, młody seminarzysta otrzymawszy święcenie, przyjmuje wnet obowiązki wikarego, a im na mniejszém od proboszcza poprzestanie wynagrodzeniu, tém snadniej znajdzie miejsce. Przez cały czas wikaryatu, obciążony pracą, młody ksiądz krząta się i pilnie dogląda, gdzie zawakuje probostwo. Wszystko tu polega na stosunkach i znajomości z dziedzicami, i na

sposobie, którym kandydat zaleci się kolatorowi; chociaż bowiem proboszcz musi otrzymać potwierdzenie od konsystorza i władzy administracyjnej, ale prezenta, a za nią można powiedzieć obsadzenie parafii, należy do kolatora-dziedzica. — Probostwo, cel tyloletnich zabiegów, jak spełnieniem jest, tak i końcem wszelkiej pracy młodego księdza! Nic wyższego przed sobą nie widząc, o niczem też więcej nie myśli, jak, aby najpełniej i najswobodniej używać co mu dał Pan Bóg i łaska kolatora! Odprawiwszy ranne nabożeństwo, resztę czasu trawi na gospodarce i w nieczynnej samotności. Bo na samotność jest skazanym; powołanie wyniosło go nad stan, do którego wychowaniem swém prawie należy, a interesem swym obcym jest ludowi wiejskiemu. Stojąc niżej od szlachty nie tylko pod względem naukowego wykształcenia, ale i towarzyskiej ogłady, czuje się wpośród niej figurą podrzędną i prawie cierpianą; nie go też do dziedzica nie wiąże, oprócz nadziei otrzymania od niego kilku sztuk drzewa, lub pastwiska dla krów plebanii. Z powołania swego zrobiwszy karierę, nie dba o moralne podniesienie, o religijne wychowanie włościan; z obowiązków pasterza, jedną tylko zna strzyż owieczek; nie pofolguje więc ubogim parafianom, ilekroć ci zmuszeni są żądać od niego duchownej posługi. — Zakopany w plebanii, odcięty od ruchu religijnego i intelektualnego reszty świata, książek ani pism żadnych nie widzi, wszelkiej pracy umysłowej jest niechętny, i albo oddaje się agronomicznym na mały rozmiar spekulacyom, albo... nałogowi pijaństwa. — Bo nawet z kolegami swymi z parafij sąsiednich nie widuje się, z wyjątkiem świąt parafialnych i odpustów. W te dnie, skoro nabożeństwo skończone i kościół zostanie zamknięty, księża w jedną, wieśniacy w drugą rozchodzą się stronę; a jednym jak drugim odpust nie podobno więcej nie przynosi, jak tylko sposobność liczniejszej i gwarniejszej zabawy, jeśli nie nowego mo-



ralnego upadku! Mamże dodać, że nawet owa, tak wysoka zasada Kościoła, która księdzu katolickiemu odmawia rodziny w duchowieństwie parafialném Królestwa polskiego, bywa dość często przyczyną — ledwo niejawnych skandalów! Doprawdy, podziwiać trzeba nasz lud, że mimo takich przywódców i nauczycieli duchownych, w sercu swém dochował tyle uczuć szlachetnych, i że mimo gorszących wzorów i dziwnego zaniedbania w nauce religii, tkwi w nim tradycyjne przywiązanie do Kościoła i jego urzędników.

W całym niemal Królestwie duchowieństwo parafialne jest w stanie opłakanym. Pozbawione związku bezpośredniego z Rzymem, który dla kościoła katolickiego w każdym kraju jest źródłem i warunkiem życia, duchowieństwo nie może odpowiedzieć swemu powołaniu. — Gałąź od pnia odcięta i zostawiona samotnie, marnie usycha, lub co gorsza, gdzieindziej szuka warunków wykrzywionej egzystencji. To téż w każdej parafii czuć się u nas daje to straszliwe osamotnienie kościoła polskiego, ten zgubny nacisk siły nieprzyjacielskiej, pod której ciężarem, jakoby w zdrętwiałém ciele ludzkim, soki ożywcze krążyć przestają. — Aż do ostatniej wiosny sześć naszych dyecezyj pozbawionych było swych pasterzy, i od wielu lat w Królestwie nikt nie słyszał o wizytach dyecezalnych, a cały dozór parafij spadał na dziekanów. Tymczasem dziekani, wybierani z plebanów najbardziej obciążonych wiekiem i równém jak nasze konsystorze dotknięci odrętwieniem, o tyle tylko doglądali parafij, o ile ich dotego zmuszała konieczność rewizyi ksiąg stanu cywilnego. — Rzadkim, jak powiedziałem, wyjątkiem w duchowieństwie parafialném jest ksiądz, który naszych dawnych proboszczów przypomina, i jeśli gdzie znajdziesz plebana gorliwego i przykładnego, któryby i w dworku szlacheckim jako przyjaciel, i w chłopskiej chacie jako ukochany opiekun był witanym, będzie to niezawodnie kapłan podeszły w wieku, wyświęcony

przed wieloma laty, albo też zupełnie młody, wychowany już pod wpływem obudzonych uczuć religijnych, i który nauki swe, a może i święcenie, za granicą otrzymał. W ogólności spostrzedz też można, że jeśli gdzie objawia się dążność szlachetniejsza, to tylko wśród młodych duchownych, o ile nie z dyecezalnych wyszli seminariów. Do dziś dnia zbyt mała jest ich liczba; a jak w każdym zawodzie, tak i w duchowym, skoro spotkasz u nasz człowieka z uczuciem żywszém i z prawdziwém uzdolnieniem, nie wiedzieć doprawdy gdzie go użyć najpierw.

Nierównie lepszym i wyższym od seminariów dyecezalnych zakładem jest warszawska Akademia duchowna. Krępowana i ciśniona od rządu, mało wprawdzie dostarczyła dotąd księży wykształconych, ale byleby nimi zasiłiły się nasze seminaria, wkrótce po parafiach ujrzeć będzie można niejedną na lepsze zmianę. Może też i nowe nominacye dodadzą konsystorzom więcej życia i gorliwości. Dyecezye sprawowane były przez administratorów, a rząd w ich wyborze na to tylko zwracał uwagę, aby nie powołać do urzędu żadnego z księży silniejszego charakteru i gorętszego uczucia. — Spokój i kwietyzm patronowany był, niemal nakazywany z góry; prędko też ogarniał wszystkie warstwy duchowieństwa. Wygodném życiem, i swobodną bezczynnością kanonicy nasi poszli niemal w przysłowie. Ale zdarzały się i większe nad ospałość i próżniactwo zdrożności! Mówią głośno o jednym ze zmarłych biskupów (Goldmanie, biskupie sandomirskim) że pieniędzmi można było zapewnić sobie u niego prebendę, a nawet wyrok w sądach duchownych. Idąc za tym przykładem, w niejednym konsystorzu, obywatele, a bardziej jeszcze księża pomagali sobie podarkiem pieniężnym. A gdy naczelna administracya spraw duchownych była i jest dotąd, w Królestwie polskiem, w ręku schyzmatyka, do tego urzędnika rossyjskiego, oswojonego z przedajnością

w kościele prawosławnym, możnaż dziwić się, że rząd chociażby doszła do niego wiadomość o tego rodzaju skandalach, nie w nich zdrożnego i nie celom swoim sprzecznego nie znajdował!

Com wyżej powiedział o duchowieństwie świeckiem, toż samo powtórzyć można o naszych zakonach. Jest w Królestwie wiele klasztorów, z których niegdyś, za czasów polskich, wyszło niemało znakomitych kaznodziei, historyków uczonych, słynnych teologów, poważnych biskupów i senatorów. Dziś jest inaczej, dziś jedyném ich jakby zadaniem: nakwestować jak najwięcej baranów i zboża, i przez resztę roku używać daru Bożego spokojnie. Przed kilkunastą laty w niektórych guberniach zakony przepelnione były nieledwie samymi Górnoszlązakami lub Góralami, dziś, podobnie jak duchowieństwo parafialne, składają się z synów włościan lub mieszczan uboższych; a jak nisko stoją ich nowicyaty, wniesć można z tego, że rzadko który z mnichów umie dzisiaj dostatecznie po łacinie. Zakony w Królestwie nie grzeszą pijaństwem lub innemi krzyżącami wadami, ale cechuje je zupełna nieudolność i większa jeszcze niż w duchowieństwie świeckiem ospałość. W ostatnich atoli latach jeden z zakonów dorobił się smutnej sławy, a właśnie ten, na nieszczęście, który stoi na straży naszej świętości narodowej, obrazu Bogarodzicy w Częstochowie. Mówiono wiele o rozpucie i brzdękich nałogach, które plamią ten klasztor; zeszłego roku jeden z mnichów częstochowskich, przez zwierzchność zakonną ukarany, uciekł z klasztoru i przeszedł na schyzmę! Dziś w klasztorze częstochowskim ożyła, zdaje się, pamięć dawnej chwały tego zakonu; XX. Paulini powzięli myśl budowania pomnika Kordeckiemu; może przypomnienie, czém to miejsce było i jest zawsze dla narodu, roznieci w duszy zakonników przygasły ogień wiary i uczucia ich obowiązku.



Opinia publiczna nie patrzy u nas obojętnie na upadek duchowieństwa. Owszem, jak gorąco pragnie jego podniesienia, tak skwapliwie przyklaskuje każdemu objawowi budzącego się życia religijnego. Ze wszystkich zakonników w Polsce najulubieńsi są w tej chwili Kapucyni, a dlatego tylko, że znalazło się między nimi kilku ożywionych gorętszą wiarą, uczeńszych i światlejszych, i którzy umieli zakon swój w Królestwie popchnąć na lepszą drogę. Może nawet to uwielbienie przechodzi ich zasługi, ale inne zakony powinnyby stąd brać miarę, jak łatwo przyszłoby im wrócić do utraconej w narodzie naszym wziętości. W Polsce rząd, nie społeczeństwo, prowadzi wojnę z religią. Ktokolwiek szczerze pracuje dla dobra Kościoła, pewnym być może, jeżeli nie poparcia, to przynajmniej spóeczucia i poklasku u wszystkich.

Ale dopóki Stolica Apostolska nie znajdzie się w możności podźwignięcia naszego duchowieństwa, przez usunięcie go, o ile podobna, z pod wpływów administracyi rossyjskiej, dopóty wszystkie częściowe reformy lub pojedyncze nominacye niepewny i nietrwały wydadzą skutek. Niewiele podobno przydadzą się wpływy świeckich, bo kto chce w jakiej instytucyi wywołać reformę, powinien wejść do niej i w niej pracować. Tymczasem, za przyładem zachodnim, wielu ludzi świeckich przyjmuje u nas dzisiaj, jakoby specyalność protegowania katolicyzmu! Może to mieć znaczenie swoje i pożytek gdzieindziej; u nas, jabym to często nazwał zabawką! Wszak jedną z przyczyn upadku naszego duchowieństwa jest, że wchodzą do niego sami tylko włościanie lub mieszczenie ubożsi, a ludzie z klas wyższych, chociażby czuli powołanie do stanu duchownego, wołają przyjmować obowiązki *świeckich apostołów!* Mojem zdaniem, gdyby ci protektorowie, zaprzestawszy wygodnego misyjonarstwa po woskowanych posadzkach, przeszli na prawdziwych księży lub zakonnice; gdyby jakto u nas, i

w wielkich rodzinach, zdarzało się, złożyli śluby zakonne i wdzieli habit, — ani wątpić, że ich ofiara przyniosłaby kościołowi i sprawie narodowej rzetelny pożytek! Ale cóż za korzyść z tych sztucznych, dwuznacznych pozycy: ludzi świeckich a w zakrystyi żyjących, podrywających się pod suknią zakonną ale nie przyjmujących żadnego z prawdziwych jęj obowięzków? We Francyi, gdzie duchowieństwo przez długi czas wytrzymywać musiało prześladowanie całego narodu, łatwiej zrozumieć potrzebę tych neutralnych, na pół duchownych, na pół świeckich charakterów. Ale u nas, gdzie kapłan byle przykładnym był i miłującym, pewnym być może przyjaźni i szacunku każdego, co znaczą ci sztuczni pośrednicy, czém jest to niedorzeczne naśladownictwo Zachodu, jak usprawiedliwić to niewłaściwie i może zgubne wyłączenie *katolików* z ogólnęj masy szczerze wierzącego i *katolickiego* narodu, i w którym ludzie niereligijni wyjątkiem są tylko rzadkim? Gdybyśmy wiary, która u nas przez ośm wieków kwitnęła, nie uczyli się dzisiaj, jakby rzeczy nowęj, dla mody; gdybyśmy pobożnymi być chcieli szczerze i sumiennie; gdyby mniej było u nas tego *salonowego*, a właściwie, do niczego zgoła nieobowięzującego *apostolstwa*, toby i Kościół, i świeckie sprawy publiczne więcéj u nas znajdowały wiernych i prawdziwych słuźebników.

Jeszcze jedna uwaga. Każde społeczeństwo ma sobie właściwe drogi i sposoby, któręmi potrzeby swoje i niedostatki zaspokaja. Na Zachodzie, gdzie życie narodowe koncentruje się w miastach, siły każdęj narodowej instytucyi wymierzone są głównie na miasta. Za przykładem Francyi, po naszych stolicach prowincjonalnych rozwinął także się pewien ruch religijny, mojęm zdaniem, niedosć może do potrzeb krajowych zastosowany. Zapewne czytać będziecie w polskich dziennikach opisy naszych grobów, modlitw i kwest wielkanocnych, tak szumnych i gwarnych jak były karnawałowe bale i postne

koncerta! Głośna pobożność niezawsze jest budującą. Dawniej, kto chciał czy na kilka tygodni, czy na resztę życia, oddać się nabożeństwu, osiadał w klasztorze przy mnichach lub mniszkach. I dziśby to jeszcze przydało się; choć kto do zakonu wejść nie może lub nie chce, może jeszcze pobożnym życiem i gorliwością religijną wpłynąć zbawiennie na niejedno z naszych zakonnych zgromadzeń. Niemniejsze pole do pracy znaleźliby po wsiach nasi ludzie wyłącznie religijni, będąc i dla proboszczów podniętą, i ich, do pewnego stopnia, uzupełnieniem dla ludu wiejskiego. Po małych miasteczkach siły moralne duchowieństwa są u nas niemniej jak na wsi ubogie; i tamby więc nawet nie brękło okazyi do oddania usług kościołowi. Ale nie! te wszystkie opuszczone i odłogiem leżące niwy, mało kogo do siebie wabią! Wszyscy cisną się do wielkich miast, gdzie kościołów mnóstwo, duchowieństwa podostatkiem, kaznodziei nawet wymownych niemało; wszyscy śpieszą — odbiegać pole, które najgwałtowniej potrzebuje robotnika! Ta dewocya miejska, z życiem i pracą niezwiązana, to dopiero *nowszych* czasów wynalazek, — ale też wątpliwy dotąd, i dla ludzi, i dla Kościoła z tego zwyczaju pożytek!

## V

## WYCHOWANIE PUBLICZNE.

13 czerwca.

Naczelną władzą wychowania publicznego w Królestwie Polskiem, jest, jak wiadomo, kuratorya okręgu warszawskiego, która już tém od innych gałęzi służby publicznej wyróżnia się, że nie ulegając warszawskim dyrektorom wydziałowym, poddana jest wprost, równie jak administracya celna i pocztowa, władzy centralnej w Petersburgu. — I system więc edukacyjny, i ważniejsze nominacye okręgu warszawskiego przychodzą z Petersburga. Zapewniano mnie, jakoby ros-



syjskie ministerjum oświecenia otrzymywało co rok listę wysłużonych kapitanów, majorów i dowódców pułkowych dla umieszczenia ich na urzędach inspektorskich i dyrektorskich w administracji naukowej Królestwa Polskiego. Znaną jest formuła: za pijaństwo i lichoiństwo, kartieżnoju igru i tomu podobnyje prostupki, liszen czyna idworjanstwa, i opridielajetsia w kandydatyna direktora gimnazii w carstwie polskom,» — a czy ona istotnie używaną bywa lub nie, mało jest zapewne uczniów w Królestwie, którzyby nie byli skłonni wierzyć, że świeżo mianowany ich dyrektor, exwojskowy, z tém zaleceniem otrzymał z armii dimisyą. Ze stanowiska moskiewskiego sądząc, znajdzie się dosyć przyczyn aby usprawiedliwić podobne translokacye. «Wszakże cała administracya rossyjska ma charakter military, wychowanie publiczne tę cechę mieć również powinno. Niezdolność do służby, któraby w armii mogła być szkodliwą, mniej w każdym razie przyniesie uszczerbku interesom Rossyi na urządzie edukacyjnym. Słuszna jest, mówią Moskale, aby profesorowie zasługiwali się *przedewszystkiem* uległością dla dyrektora, który choć nauki nie ma żadnej, do tego szorstki bywa i przykry, byle porządku i rygoru wojskowego przestrzegał, najlepiej odpowie swoim obowiązkom. — W innej służbie złe wychowanie może nie być zaletą, ale tutaj tém snadniej do subordynacyi przyuczy. Bo mimo troskliwej bacznosci rządu, jest wielu w szkołach Królestwa nauczycieli zamianowanych przed r. 1830, lub takich którzy ze szkół ówczesnych wyszli, wreszcie młodych, świeżo z uniwersytetu przybyłych, *wolnomyślnych*, zostających nawet pod dozorem *policyi*: ci wszyscy potrzebują nad sobą oka czujnego i ręki sprężystej. — Nakoniec i to także rząd musi mieć na uwadze, aby wysłużeni oficerowie mieli na starość chleb spokojny, bez zbytecznego obciążania skarbu pensyami emerytalnemi.»

Skutkiem tych prawdziwie moskiewskich *raisons d'Etat*, w żadnej administracji Królestwa nie masz tylu rossyjskich oficerów, co w okręgu naukowym. Sam kurator bywa zawsze Moskał, pułkownik albo generał odstawny. Zakres ich czynności nie jest wielki, a przedmioty na które szczególną, jeśli nie wyłączną, zwracają uwagę, w kilku dadzą się objąć punktach. I tak: uczeń musi mieć krótko ostrzyżoną głowę, mundur pod szyję zapięty, na głowie czapkę stojącą, w czapce nazwisko drukowane; musi umieć tytułować i salutować, wedle czynu, oficera i urzędnika; zagadnięty przez dyrektora, powinien odpowiedzieć po rossyjsku; nadto w każdej klasie ma się znajdować kilku studentów umiejących śpiewać: *Boże zbaw cara*. Do ważniejszych obowiązków dyrektora — Moskala, należą rewizye, które wraz z żandarmami odbywa on od czasu do czasu, po mieszkaniach uczniów. W trudniejszych jeszcze wypadkach policya przysyła mu na pomoc indywidua, które ucząc w gymnasium np. kaligrafii lub rysunków, czynią zarazem donosy o *wolnodumcach i chitrich politikach*. — Do tego dodajmy: w gmachu szkolnym karę cielesną i więzienia; za szkołą karty i dla starszych domy nierządne, a wyczerpiemy bez mała cały arsenał pedagogicznej pieczołowitości moskiewskiej w Królestwie Polskiem stale okazywaną.

Klasa nauczycielska, z wyjątkiem niektórych profesorów języka rossyjskiego, składa się z samych Polaków, najbardziej ze wszystkich gałęzi służby publicznej upośledzonych i najgorzej wynadgrodzonych. Rządzeni bezpośrednio przez ludzi, którym zazwyczaj brak nawet towarzyskiej ogłady, zależni wyłącznie od kuratora, któremu zalecić się inaczej nie mogą, jak schlebiając jego faworytom; ze słabą albo żadną nadzieją dosłużenia się dyrektorstwa po kilkudziesięciu latach uciążliwej pracy, — skazani są na ciężką walkę, ilekroć chcą i obowiązkowi swego powołania zadość uczynić, i nie ściągnąć na siebie

niechęci władzy. Aby siebie i rodzinę wyżywić, szukać muszą nadobowiązkowych zatrudnień; te nie pozwalają im pracować dalej nad własnym kształceniem się; fatalny zaś wpływ administracyi rossyjskiej, i przykład dyrektorów, naprowadza ich nieraz na środki zarobku, któreby ich sumienie potępić i odrzucić powinno. — W Warszawie dają lekye na pensjach prywatnych, na prowincyi trzymając uczniów na stancyi, biorą na siebie wobec rodziców zobowiązanie ułatwiać ich synom przejście do wyższych klas, nieraz bez względu na ich stopień uzdolnienia! Czy chłopiec uczy się, czy nie, byle stał na pensyi u nauczyciela, lub pobierał od niego lekye: dostanie promocyą, w czém sami rodzice nie wstydzą się pomagać niedbałym synom, podarkami dla dyrektora i profesorów gymnazyum. — Przedajność, ten rak moskiewski toczący nasze społeczeństwo, do szkół nawet w ten sposób się zakradł, i chłopiec, ledwo co z pieluch wyszedłszy, uczy się jak podejściem i pieniędzmi zastępować pracę i zasługę indywidualną. — Obaczmy zaraz jaki ztąd rodzi się wpływ na dalszy rozwój moralny i umysłowy naszej młodzieży.

Szkoły w Królestwie dzielą się na realne i filologiczne. Do ostatnich należą szkoły powiatowe i właściwe gymnazyja, pierwsze o czterech, drugie o siedmiu klasach. — Zadaniem gymnazyów w Królestwie jest przygotować młodzież do uniwersytetów rossyjskich, a oraz kształcić tych którzyby od razu, po ich ukończeniu, chcieli wejść do służby publicznej. W szkołach filologicznych głównym jest przedmiotem język rossyjski; tego w klasach wyższych bywa po pięć godzin na tydzień, nie licząc kursów historyi rossyjskiej, polskiej i powszechnej, również po rossyjsku wykładanych. Na łacinę w wyższych klasach trzy godziny; na polski język w najwyższej jedna. Do każdego przedmiotu przepisane jest dzieło wykładowe jak Ustriałowa, Smaragdowa, Pawliszczewa, itp. których nauczyciel najściślej trzymać się musi, co sprawdzić dy-



rektor każdej godziny jest mocen. Niedosć więc, że większa część godzin szkolnych schodzi uczniom na nauce przedmiotów im wstrętnych, lecz i to co w książce elementarnej znajdują, i co z ust profesora słyszą, zarówno do nieufności ich zmusza. — Odrza i niechęć do uczenia się przez niektóre kursa wywołana, z czasem uogólnia się do wszystkich, i zmienia się w lekceważenie szkoły i nauki. — Naprzeciw władzy szkolnej, w tyle środków przymusowych uzbrojonej, i poza którą stoi nieraz policyant lub żandarm, biedny uczeń jedną ma tylko instynktową obronę: niewiarę; jedyną zemstę: szydzenie z Moskali po cichu, między kolegami. Z pierwszym dniem pobytu swego w szkołach, pozbywa się naiwności uczucia i otwartości charakteru, od pierwszej chwili zmuszony kryć się i maskować, pogardza nieraz tymi którym ulega, śmieje się zwykle z tego co go uczą; i w tej fatalnej, przez lat wiele, chowany atmosferze, wkońcu tego tylko przestrzega, i to tylko z pewnego rodzaju sumiennością wypełnia, do czego karą byłby zmuszony.

Zdarzało się czasem, że gorącym uniesieni uczuciem, pobudzeni książką, która zawczasie wpadła w ich ręce, uczniowie tworzyli między sobą związki polityczne, w których albo celu nie było, albo też był wcale nieodpowiedni ich siłom i obowiązkom bezpośrednim. Wówczas spadały na szkołę gromy prześladowcze: komisye śledcze, rewizye, więzienia, srogie egzekucye. Jednych chłopców wywożono, drudzy uciekali; zjeżdżali się rodzice, wykupywali pozostałych skompromitowanych, pełno było ruchu, gwaru i zachodów; młodzież zajmowała się wszystkiém, tylko nie tém, co do niej naprzód należało i czém krajowi istotnie usłużyć mogła, to jest pracą nad własném ukształceniem. Każda tego rodzaju dziecinna burza polityczna w szkole, nie mówiąc już nie o ofiarach więziennych, o koniecznej przerwie w naukach dla całego gymnasium, wyrzucała z grona szkol-

nego może najzdolniejszych i najgorętszych, którzy niedouczeni, odurzeni urokiem politycznego prześladowania, i, o ile wyszli za granicę, często niedostatkiem zmuszeni, zaniechali pracy nad sobą, i z czasu swego i sił intelektualnych żadnego już krajowi nie przynieśli pożytku. Cóż więc dziwnego, że rodzice i nauczyciele zgadzali się i zgadzają raczej na nieczynność młodzieży i na zabawy jej zbyt płocze, byleby tylko oderwać ją od tajnych związków i powstrzymać od wyskoków, których przyczyną bywała nieraz młodzieńcza swawola, a tylko pozorem patriotyzm. Cóż dziwnego wreszcie, że kraj w ciągu dwudziestu ostatnich lat tak mało wydał ludzi do jakiego bądź zawodu należycie usposobionych, i że na każdym polu i w każdym rodzaju pracy, bardziej jeszcze niż środków materialnych, brak jest dzisiaj u nas chętnych i zdolnych robotników.

Celem wychowania gymnazyalnego być powinna nie tyle nauka sama, jak pewna zaprawa umysłu młodocianego do pracy, do ścisłości, do pasowania się z sobą, jednem słowem ta trudna i długiego ćwiczenia wymagająca sztuka, jak uczyć się trzeba. Pod tym względem gymnazyja Królestwa najbardziej zadaniu swemu uchybiają. Jeszcze póki młodzieży nieszlacheckiej wolno było kończyć całe gymnazyum, znajdowała się w każdej klasie pewna liczba uczniów, którzy wiedząc, że sami muszą przygotować sobie przyszłość, przykładali się do nauk szczerze i wywoływali zbawienne współzawodnictwo. Ale odkąd ukaz z r. 1847 zabronił im korzystać z klas wyższych, i synowie nieszlachty, po ukończeniu czterech klas początkowych, przechodzą do szkół wyższych realnych: odtąd, można powiedzieć, młodzież w gymnazyjach przestała się uczyć, odtąd z jej grona uleciała wszelka myśl i dążność wznioślejsza, lata pobytu szkolnego upływają na zabawach i opłakaniej wesołości. Odtąd też szczególnie, skoro młody form wojskowych wyuczy się, i nabierze wprawy w języku rossyjskim, pe-

wnym być może, że go nikt do nauki napędzać nie będzie, nikt nawet niedbalstwa za złe mu nie weźmie, i że w końcu, czy w ten, czy w inny sposób nie minie go promocya. Wychodzi więc ze szkoły gorszym niżli do niej wszedł. Bo nie tylko niczego prawie się nie nauczył, lecz wynosi z sobą długoletnie nawyknienie do próżniactwa, i lekceważenie jeśli nie wstręt do nauk. Lekko odbywszy szkoły, nie zrobiwszy ani razu wysilenia, aby obowiązek swój sumiennie wypełnił, jak się prześliznął na wzór cienia przez gmachy szkolne, tak z sobą wynosi zdolność ślizgania i przesuwania się przez resztę życia, wśród niezliczonych trudności, które spotkać później musi jako obywatel, jako Polak, jako ojciec rodziny. W formach i ukłonach przez lat tyle nieustannie ćwiczony, nadmiarę przywyka do oznak powierzchownych i do tego tylko przywiązuje wagę na co zwrócone jest oko i ucho ludzkie. Nie zapał więc, ani uczucie obowiązku, rządzić nim będzie; ale tylko bojaźń śmieśności i bojaźń kary. Nasłuchawszy się tak często o względach i powinnościach moralnych, których przecież, kiedy się dało, nikt nie pełnił, powoli przejmuje się wiarą, że wszystko to blichtrzem jest, i że na tym świecie nie ma prawa prócz pozorów, i nie ma prawdy prócz opinii ludzkiej. Wątpła i chwiejąca się latorośl uchyli się przed każdym wiatrem, ugnie się pod każdym naciskiem, a że przecież musi mieć jakiś grunt pod sobą, jakąś zasadę która prawdą zostanie w każdym czasie i na każdym miejscu, więc je znajduje tylko we własnym, tylko w materialnym interesie.

Z grobowem zinnem w sereu, z pustką więzienną w umyśle, bez woli i wyrobionego charakteru, młodzieniec ze szkół rosyjskich wychodzi w świat. Dusza jego nie otwiera się dla tego co wzniosłe i szlachetne, tylko dla tego co wesołe i zabawne, a przedewszystkiem co wygodne i niemęczące. Wiele, na nieszczęście, takiej młodzieży obaczycie teraz za granicą; a wszystka



wyjeżdża z kraju jakoby w celu dalszego kształcenia się. Jeśli trudno jest w ogóle młodemu, pozostawionemu sobie, umieć skorzystać z tego co ujrzy i usłyszy w obcych stronach, to trudność ta dla naszej młodzieży, jadącej do Paryża, o tyle większą być musi, o ile mniej do pracy i mozołów przywykła. Nie zdobędzie się więc na tyle siły, aby wejść do jakiegoś specjalnego zakładu, słuchać nauk koleją i regularnie, i składać egzamina! Ale instynktem próżności i wygodnego próżniactwa wiedzioną, wybierze sobie najrozmaitsze a najzabawniejsze kursa, słucha ich jak się słucha powieści, bez względu czy jest do nich przysposobioną, bez żadnego starania aby domową pracą i powtarzaniem utrzymać się na równi z wykładem nauczyciela. Wysłuchana lekcya, niebawem wychodzi z pamięci, i bodaj czy zostawia coś więcej w umyśle oprócz nowego roztargnienia i zadowolnienia miłości własnej, że się tylu i tak znakomitych profesorów słyszało! Lecz i ten niemęczący, i nawet kobietom, nietylko młodzieży męskiej niewłaściwy i nieprzydatny rodzaj nauki, jakże wielu doznaje przeszkód? Ileż zabaw późno w noc przeciągnionych, ileż ekspozycyj które moda nakazuje obejrzeć, ileż pomników i ciekawości o które w kraju zwykle pytają, ileż wesołych lub głośnych reprezentacyj teatralnych, ile nareszcie wieczorów tańczących i balów, których pominąć niepodobna! Gdzież przy tylu zajęciach, znaleźć czas na naukę, na zgłębianie i studia fachowe! Nikt się też prawie nie uczy, a najgłębsze i może jedyne co zostaną w pamięci studia, robią się z krzesel teatralnych nad talentem aktorów i wdziękami artystek!

Jest w Królestwie, oprócz pięciu gymnazyow, założony od lat kilku instytut szlachecki. Publiczność nasza nie lubi go, gdyż ojciec chcący w nim syna umieścić, o ile nie należy do szlachty znakomitszej, musi wywieść się z długoletniej i wierniej służby rosyjskiemu rządowi. Gmach obszerny, służba liczna, i cokolwiek na zewnątrz

imponować, co do zbytku i wystawy przyuczyć może, wszystko to w nim się znajduje. Ale program nauk ten sam co w gymnazyach, dozór moskiewski jeszcze ściślejszy, sposobność do zepsucia się bardziej ułatwiona młodzieży. W instytucie szlacheckim, przy salach do pracy są tajne korytarze, z których zwierzchnicy zakładu mogą szpiegować uczniów, i niepostrzeżeni słyszeć wszystko co mówią. Ale nie ma nikogo coby przestrzegał, aby poza domem młodzież nie robiła gorszących długów, i gorszącego nie prowadziła życia.

Oprócz dwóch szkół realnych w Kielcach i w Kaliszu o sześciu klasach, jest trzecia w Warszawie o siedmiu, z których siódma ma kurs dwuletni. Zakłady te poświęcone są wyłącznie naukom przyrodzonym i matematyce; wykładu historyi w niej prawie nie ma, a ta jedna okoliczność, w szkołach pod rządem rossyjskim, przyczynić się musi do pewnego, że tak powiem, umoralnienia zakładu i do pilności uczniów. Warszawska szkoła ma zresztą do główniejszych przedmiotów po kilku nauczycieli, i sama tylko posiada gabinety i laboratoria do wykładu nauk przyrodzonych potrzebne.

Rzecz godna uwagi, choć po tém com dotąd powiedział, już was zapewne nie dziwi, iż ze szkół realnych, zwłaszcza warszawskiej, młodzież nasza wychodzi nie tylko lepiej pod względem naukowym usposobiona i z większą do pracy nawykłością, niż młodzież ze szkół gymnazyalnych, ale i z surowszym na świat poglądem, z sercem bardziej młodzieńczym, i z umysłem skłonniejszym do przyjmowania szlachetnych wrażeń. Nie słuchając fałszywych i oburzających jak w gymnazyach wykładów, uczniowie szkół realnych ochotniej już przykładać się mogą do nauki; a będąc ubogiego w znacznej części pochodzenia, muszą pamiętać, że łatwe przejście do wyższych klas, które zaspokaja próżność bogatszych, na nieby się nie przydało temu, co inszych nadziei przed sobą nie ma, jak własne uzdolnienie się na pożytek bli-

znich. — Nie powiem, iżby wszyscy z tych szkół wychodzili tacy jakich Polska teraz i na przyszłość potrzebuje, ale to pewna, że jeśli gdzie w Królestwie duch pracy i obyczajowości panuje, to najwięcej między uczniami szkół realnych. I jeśli młodzież filologiczna nie postrzeże się, nie oprze się tym pokusom, które jej stawia zgubna polityka rządu, przedajność nauczycieli i słabość jej własna lub jej rodziców; jeśli wyszedłszy ze szkół nie weźmie się szczerze do pracy, aby odzyskać utracone siły, wynadgradzić zmarnowane lata, to — bodajbym się mylił — nim wiele lat upłynie, ludzi zdolnych, energicznych i poważnie myślących w Królestwie nie będzie, oprócz małej liczby techników i matematyków.

## VI

## ŻYDZI I PRZEDAJNOŚĆ ROSSYAN.

20 czerwca.

Za rządów cesarza Mikołaja, dwa były, można powiedzieć, z sobą wojujące systemy władz rossyjskich w postępowaniu z żydami w Królestwie polskiem. Prześladowani z niesłychanem barbarzyństwem przez Mikołaja, z praw surowych, których byli celem, wyłamywali się pieniędzmi i spółnictwem, niezbędnem dla przedajnej administracyi księcia Paskiewicza. — Jednym z najsurowszych, które ich dotknęło, rozporządzeń cesarskich było, że od roku 13<sup>o</sup> życia pociągani do wojska, nie mieli prawa korzystać z tych nawet nielicznych wyjątków, które młodzież chrześcijańską nieraz od rekruta wyzwalały. Starszych znaczną część oddawano do marynarki, lub do wojskowych band muzycznych; niedorosłych zaś odsyłano do szkoły żołnierskiej, gdzie tak długo do najprzykrzejszych używano ich posług, póki się nie zdało, że już od wspomnień i zwyczajów rodzinnych



odwyknąć byli powinni. — Pozostawionym w kraju utrudniano zarobek i pozyskiwanie patentów kupieckich, które dla żydów, w niektórych zwłaszcza gałęziach handlu, wychodzić musiały z kancelaryi samego namiestnika. Odjęto im po wsiach sprzedaż wódki; po miastach dozwolono im tylko propinacyi. Nakazano porzucić strój żydowski; żądano aby się przebrali po rosyjsku, « gdyż, jak mówi prawo, ten strój oszczędniejszym jest, i bardziej do żydowskiego zbliżonym. » Nakoniec na żydów przyjeżdżających de Warszawy, a w niej niezamieszkałych, nałożono podatek po 40 groszy od głowy, za każdy dzień ich pobytu w stolicy. Tak chciał cesarz; — ale w Rosyi co innego bywa prawo, co innego wykonanie. Żydzi podobno ani razu nie oddali tyle rekruta, ile wymagały władze petersburskie; przepis o zmianie stroju żydowskiego został w kraju prawie całkiem niewykonany, a w Warszawie, którą cesarz pragnął od żydów uwolnić, za czasów Paskiewicza żydzi trzęśli i rządili wszystkiem.

Obdarzony niepospolitą bystrością umysłu, lecz zarazem i giętkością charakteru, przy bardzo niepewnych o moralności pojęciach, żyd, goniąc zawsze za zyskiem i pieniędzmi, tém zwykle dla kraju się staje, czém go chcą mieć wpływy i okoliczności miejscowe. Stąd w jednym kraju bywa on plagą, w drugim członkiem pożytecznym społeczeństwa; a nawet ten sam naród, lecz w różnych epokach, różnych skutków jego czynności i przebiegłości doświadcza. W Warszawie oddanej, po upadku powstania roku 1831, na pastwę generałów i urzędników moskiewskich, w większej części ludzi bez czci i wiary, okradających kolejnie kogo się dało: cara, Królestwo i mieszkańców; wplątanych nieustannie w sprawy najpodlejsze, do których równie niktzemnych potrzebowali pomocników; w Warszawie, pod rządem, gdzie niemal wszystko dało się zrobić lub ominąć pieniędzmi, żydzi przyjsć musieli w administracyi, w skarbowości, w są-

downictwie i w salonach do roli przeważnej. Kto pisać zechce historią tych czasów, musi się dobrze rozpatrzyć w owęj sieci, którą Moskale wraz z żydami na grosz publiczny i prywatny w Królestwie rozłożyli.

Na czele tych spółników żydowskich słuszność każe wymienić samego księcia Paskiewicza. Prawie wszystkie entrepryzy budynków i innych robót publicznych, dokonywanych kosztem Królestwa, oddawał on w ręce żydów; prawie we wszystkich czynnościach komisji prowianckiej był interesowany, i dostawy, o ile zyskowniejsze, sam brał na siebie, podsuwając własnych faktorów. Z mnogich przykładów przytoczę jeden. Od kampanii węgierskiej do r. 1856, skarb Królestwa utrzymywał wielką ilość wołów dla armii poprzednio przygotowanych. Wyżywieniem ich, za sprawą Pętrowskiego jeneralnego kontrolera i Blumenfeldów, zatrudniał się żyd, blizki tych ostatnich kuzyn. Kiedy po śmierci Paskiewicza, wziął się do tej sprawy generał Krasiński, nie było nawet czwartej części tej liczby wołów, na którą przez lat ośm brano ze skarbu pieniądze. Chciał Krasiński pociągnąć winowajców do odpowiedzialności, lecz musiał zaniechać procesu, bo odkryto, że głównym wołów żywicielem był — sam zmarły namiestnik. — Za przykładem Paskiewicza szli najwyżsi urzędnicy. — Faktorami generała Storożenki, dyrektora spraw wewnętrznych i jego żony, była rodzina Blumenfeldów, z których jeden piastował urząd w komisji śledczej, drugi zaś jest podobno do dziś dnia referentem w komisji spraw wewnętrznych. Dzięki ich pośrednictwu, żaden urzędnik nie otrzymał posady, żaden ksiądz, lekarz nie został mianowany, póki się nie opłacił generałowi, zwłaszcza téż jego żonie. Żaden grubszy interes pieniężny nie przechodził przez komisję spraw wewnętrznych, aby pani Storożenko przez Blumenfelda nie była o nim wiadomiona, w skutek czego administracją swego męża tak dalece uprościła, że osoby interesowane, zanim sprawa

ich poszła pod referat, jako pierwszy dokument składały w jej ręce oblig na sumę odpowiednią wysokości interesu. — Jej chciwość w sprawie K. dawnego kamerdynera W. Ks. Konstantego, w której forytując obie strony, od jednej 50 tysięcy, od drugiej 20 tysięcy wzięła okupu, była przyczyną destytucyi jej męża. — Nie się atoli z jego upadkiem nie zmieniło; miejsce Storożenki zajął równie sprzedajny, a bardziej jeszcze ograniczony Wikiński; rządzącą dynastją Blumenfeldów zastąpiła pokrewna im dynastja Dobronokich.

Trzeba oddać sprawiedliwość Storożence, że choć sam czyhał na okazy nieprawego zarobku, innych, podwładnych swych mianowicie, niełatwo do kradzieży dopuszczał. — Wikiński przeciwnie, już o tyle wyrozumialszym być musiał, że nie mając żadnego do służby uzdolnienia i zaledwo umiając podpisać się, ograniczać się bywał zmuszonym do tych zysków, do których go przypuszczali podwładni, potrzebujący jego podpisu. Na jedenaście wydziałów swego departamentu, prawie w każdym miał agenta, którego obowiązkiem było zdawać mu sprawę z obłowniejszych interesów. Jednym z tych, w wydziale spraw duchownych, był naczelnik wydziałowy Krajewski, człowiek znany z swęj przedajności i przewrotnego sumienia. Za każdą denuncyacyą na duchowieństwo świeckie zanesioną, wysyłało Krajewskiego na śledztwo, które niemylnie, wtedy tylko na szkodę obwinionego wypadało, kiedy ten nie miał czém opłacić się. Oprócz niego, wydział spraw duchownych liczył wielu urzędników, tak bardzo skalanych, iżby ich rząd, opinią publiczną szanujący, jednej doby nie mógł cierpieć. Dyrektor wyd. Skowroński trudnił się wyszynkiem wódki pod Warszawą, a jak wiadomo otrzymał on posadę dyrektorską za przegrane w karty do jen. Storożenki, kilkadziesiąt tysięcy złp. Tyleż warci, z tegoż wydziału, byli obaj bracia Andrejewowie, urzędnicy do szczególnych poruczeń, z których jeden przy Paskiewiczu



służbę pełniący, w r. 1855 przebrał się w mundur jeneralski i jakoby członkiem będąc kom. śledczej, udał się do warszawskiego gwardyana Bernardynów, z poufném przestrzeżeniem, że jest przed komisją zaskarżony i z propozycją, że jeśli mu gwardyan 3,000 złp. wypłaci, on to oskarżenie usunie. Przestraszony zakonnik, co miał w kasie klasztornej, 1,500 złp., oszustowi oddał; po resztę Andrejew miał przyjść nazajutrz. Tymczasem gwardyan dowiedziawszy się, że w komisji śledczej zaskarżenia na niego nie było, i że w niej ów mniemany jenerał nie zasiadał, przygotowałszy ludzi, kiedy Andrejew po resztę umowionej summy przyszedł, kazał go związać i do Paskiewicza odprowadził. Nie potrzebuje dodawać, że Andrejew służby nie stracił.

Jak wielkie summy pochłaniali ci wyżsi urzędnicy moskiewscy, razem z żydami i podwładnemi kreaturami, obliczyć trudno. Rządcą pałacu Mostowskich, w którym znajdują się bióra komisji spraw wewnętrznych, mianowany był jeden z Dobronokich i temu, jako szczególniejszemu faworytowi, Wikiński dał prawo reparacyi pałacu bez poprzedniego przedstawienia anszlagów biorom. Koszt ostatniej reparacyi projektowany był, na 700,000 złp., summa jenak tą razą zdawała się za wysoka; przeznaczono 240,000. — Pokazało się, że naprawy nie kosztowały więcej 40,000, ale reszta przepadła między ministrem i jego ulubieńcem. — W r. 1854 kończył się kontrakt dostawy dla armii: drzewa, świec i słomy. Ogłoszone było zawiadomienie, że ma się odbyć licytacya *in minus*, przed którą kandydaci składają oznaczone *vadium* i czynią deklaracye w zamkniętych ekspedycjach. — Dostawa była wielka, bo dochodziła 6 milionów; kilku zacnych, zamożniejszych obywateli zawiązało się w spółkę, aby o nią konkurować. Ubiega ich żyd pewien, nazwiskiem Löwenberg; ten przyszedłszy do Brujewicza, tajnego radzcy, dyrektora wydziału przemysłu i kunsztów, ofiaruje

30 tysięcy rubli srebrem, jeżeli dostawa będzie mu przysądzoną bez licytacji. Brujewicz ułożywszy się z Wikińskim, przyjmuje propozycją, poczem dostawa Lövenberga odesłaną została, jak wymaga prawo, pod zatwierdzenie namiestnika. Paskiewicz znajdował się wówczas pod Sylistryą, miejsce jego zastępował generał Rüdiger, Wikińskiemu niechętny i świeżo przeciw niemu rozdrażniony, z powodu iż tenże w przedstawieniu o wypłatę dodatkowej dla Rüdigera pensyi, nie okazał się dosyć koleżeńskim. — Z pomocą więc generała Frołowa i Dobronokiego, Rüdiger odkrywa zawartą z Lövenbergiem umowę i zaskarża Wikińskiego przed Paskiewiczem. Ale namiestnik zafrasowany niepowodzeniami kampanii tureckiej, przytem stały Wikińskiego protektor, odpisał, że nie chce o niczem wiedzieć, i w ten sposób dostawa Lövenberga zyskała zatwierdzenie.

Jednym z najzyskowniejszych źródeł dla generałów moskiewskich, urzędujących w Królestwie, jest *komisya prowiancka*, przygotowująca żywność dla armii. Urzędnik tej komisyi lub magazynier, byleby dwa transporta przetrwał na urzędzie, nie dba że go potem sromotnie wypędzą; ma bowiem o czem i z śledztwa się wywinąć, i żyć dostatnio. Na początku, jeśli się nie mylę, 1854, r. nakazano komisyi prowianckiej, do której, pod prezydencją Paskiewicza ośmiu należało generałów, przygotować żywność dla armii w przewidzeniu trzechletniej wojny. Komisya obliczyła, że potrzeba będzie 800,000 czetwerti (dwa miliony korecy) mąki, tyleż krup, stonsunkowo wódki i t. d. Postanowiono zażądać tej ogromnej ilości zboża od obywateli Królestwa w ciągu jednego roku 1854, w trzech ratach, z których pierwsza 200,000 czetwerti wynosiła. Za czetwiert mąki naznaczono pięć rub. sr., chociaż cena zboża trzy razy podówczas była wyższą. Każdy z obywateli miał składać po dwa i pół korecy mąki od włoki pola ornego, i dostawę swą własnym kosztem odwieźć do magazynów w Warszawie lub

w Zamościu. Gdyby obywatele, w prawdzie z niesłychaną dla siebie stratą, żadaną ilość do magazynów odstawili, armia otrzymałaby żywność zdrową, ale nie byłoby w tém żadnego zysku dla członków komisji i magazynierów. Chcąc temu zapobiedz, dodano, że wolno będzie obywatelom umawiać się z liwerantami o kupno i odwóz zażądanej od każdego właściciela lub dzierżawcy ilości prowiantów. Wszyscy też obywatele chwycili się tego środka, żaden nie dostawił; nastęczyło się zaraz dosyć żydów, którzy za 50 złotych od czetwerti zastąpić ich zobowiązali się. Była bowiem w obu wspomnianych magazynach ogromna ilość stęchłej mąki, tę żydzi za bezcen wykupili, i też samą, jakoby od obywateli, natychmiast magazynierom oddali. Jedni i drudzy, chociaż dzieląc się z jenerałami, znaleźli dosyć jeszcze dla siebie zysków;—lecz wkrótce potem, całą dostawę prowiantów z Królestwa musiano wrzucić do Wisły!

W téj nieustającej konspiracyi złodziejstwa, którą jest zarząd rossyjski w Królestwie polskiem, jego prawą ręką i narzędziem głównie działającym jest kilkanaście lub kilkadziesiąt rodzin żydowskich w Warszawie. Pod skrzydłami dwugłownego orła Wszech Rossyi, rozpierają się w krzesłach kurulnych: Gersztenzweigi, Mendelsburgi, Lipińscy, Lutostańscy, Blumenfeldy, Ochorowicze, Löwenbergi, Dobronoki, że tylu innych nie wspomnę! Szerzy się wśród « wybranych » prawosławna wiara; zlewają się w jedność dwa różne szczepy moskiewskiego berła! Z przyjacielskim afektem a dostatnio i okazale, ci panowie goszczą swych kolegów służbowych; nawzajem jenerałowie moskiewscy cywilizują żydowskie salony. Za tak zjednoczonemi siłami Warszawa rywalizować poczyna z Paryżem; pod ich wpływem dobroczynnym rozwijają się instytucye, krzewią się obyczaje: wzmógł się balet, rozmnożyły się szynki winne, hece i domy gry. Warszawski Izrael zawarł sojusz z Moskwą! Na uczczenie téj epoki, wydział kunsztów i przemysłu pro-



ponuje, jak mówią, wybicie medalu; wydział spraw duchownych pragnie naznaczyć coroczne święto dla pospólstwa; a z petersburskiej heroldyi przysłać mają dwanaście nowych patentów na baronów rosyjskiego imperium.

Abym uzupełnił ten obraz żydowsko-rosyjskiej administracyi w Warszawie, muszę nadmienić o władzach publicznego bezpieczeństwa. Pierwszą z nich jest komisya śledcza, której prezydował Paskiewicz; członkami są: jen. Abramowicz, jen. Tutczek, jen. Kuris, jen. Puchała-Cywiński, senator Starynkiewicz, pułk. żand. Rudzewicz, i major Lejchte. Do pomocy téj komisyi, lecz przy biórze oberpolicmejstra, jest wydział tajnej policyi, którego prezesem był Abramowicz, a pod jego sterem zasiada w radzie ośmiu Dobronokich, Bogatko z całą familią i dwóch Blumenfeldów. — Nadto jest trzecie bióro policyi tajnej pod kierunkiem braci Ochorowiczów, a do téj szanownej magistratury należy większa część warszawskich faktorów, niemało lokaj, kobiet nierządnych i t. d., których głównym obowiązkiem jest: wałęsać się po miejscach publicznych, podsłuchiwać poddrzwiami w domach prywatnych, biegać za przyjezdnymi, pamiętać co mówią, domyślać się kiedy milczą, nie spuszczać z uwagi nic, znać interesa każdego, wiedzieć dlaczego może być wesołym, a dlaczego się smuci i płacze! Tego rodzaju służba carska, jak z resztą wszystkie na świecie pozycye, miewa wprawdzie nieprzyjemności swe, ale w téj loteryi ma też swoje wielkie wygrane! Jeżeli zdarzy się uczynić tak *szczęśliwy* donos, że jego skutkiem spaść może na kogoś szubienica lub Sybir, to ten, co jeszcze wczoraj szwędał się po bruku w obszarpaném odzieniu, dziś zostaje orderowym panem, rzeczywistym tajnym radcą i — dla uwiecznienia zacnej krwi — właścicielem majoratu! Trzy dopiero co wspomniane dykasterye urzędnicze, kosztują rocznie skarb Królestwa 800,000 r. sr.

Nie spostrzegłem się, że wymieniając te różnego gatunku zajęcia publiczne i charakteryzując tych ludzi, opisałem podobno wszystko, co u nas w kraju stanowi tak zwaną partya *polsko-rossyjską*, o której czytać się zdarza w dziennikach zagranicznych, i z którą mianowicie, z dodatkiem kilku podszarzałych imion, lubią przechwalać się ambasadorowie rossyjscy u dworów zagranicznych, na balach, prezentacyach i t. d. Dość powiedzieć, że kto w Warszawie objawia skłonność do Moskwy, ten na siebie w opinii publicznej nieodwołalny feruje wyrok, że albo z żydów pochodzi, albo do tajnej policyi należy.

Ale ubliżyłbym prawdzie, gdybym list niniejszy o żydach zacząwszy, na tém, co dotąd powiedziane, zakończył. Na prowincyi insze jest wcale, niż w stolicy, tego ludu usposobienie. Rzadko wchodząc w koleżeństwo służbowe z dygnitarzami moskiewskimi, znają ich tylko, a dotkliwiej niż my, z klęsk których Rossya jest u nas sprawczynią. Do spanoszonych spółwyznawców w Warszawie nie mają przystępu; nie mogą też za swoich uważać nawróconych na prawosławie, i codzienném obejściem z jenerałami moskiewskimi upodlonych. Aż do śmierci Mikołaja, kiedyś którego żyda z prowincyi zapytał: co słyhać? — odpowiadał zawsze, że i tego roku, jak innych lat, zabrano kilka tysięcy żydowskich sierot z Królestwa, od 5ciu do 6ciu lat, i powieziono je w głąb Rossyi! Tam je ochrzczą na schyzmę, przezwają po swojemu, i już ucho ludzkie nie posłyszcy, co się z nimi stanie!

Równie, jeśli nie więcej jak my, od Moskali dręczeni, niemniej głęboką jak nasza przejęci są do Moskwy nienawiścią. Tacy jakimi dziś są, pozbawieni możności rozpajania ludu wiejskiego, zajęci handlem, dostawami, faktorstwem, mniej przemysłem, a dotąd prawie nigdzie rolę, nie widzę doprawdy czém zasługują na tak powszechny zarzut, że są przyczyną nędzy naszego ludu, upadku

naszych miast, przemysłu i handlu! Godna uwagi, że żydzi mieszkają u nas od sześciuset lat, a dopiero od półtora wieku podniosły się przeciw nim skargi. « W XV wieku, mówi Czacki, kupiec chrześcijański nie sarkał na izraelitę, a kiedy handel kwitnął pod cieniem rządnej wolności, chrześcianin w kościele, żyd w szkole, błogosławił niebu za jedną ojczyznę i za równą sprawiedliwość. » — W XVI wieku sułtan turecki pragnął, aby wszyscy przeszli do jego państw; nie wypuszczono ich z Polski, przedzierających się ukradkiem pod strażą zatrzymywano. Kiedy więc w narodzie panował ład, a szlachta była gospodarną, mieszczenie przemysłnymi i pracowitymi; kiedy u nas obok najwyższego zakwitnienia produkcji rolniczej, kwitnął zarazem handel i sływały wyroby naszych fabryk, nikt żydów nie uważał za natrętów, za pijawki; nikt ich nie obwiniał o monopolizowanie głównych źródeł bogactwa narodowego. Pierwszy raz podobno w XVII wieku, właśnie gdy już moralnie poczęliśmy rozkładać się, kiedy szlachta niszcząc władzę najwyższą coraz bardziej gnębiła klasy niższe, wtedy i żydzi zaczęli nam wydawać się niebezpieczni, wtedy nie chcąc rywalizować z nimi o własnych siłach, poczęto ubezpieczać się przeciw nim zakazami. — Im mniej bez żydów naród się mógł obejść, tém głośniejsze na nich podnosiły się żale.

Prawda jest, że dzisiaj żydzi często są dla nas plagą. Ale jak nieszczęście, które pijaństwo sprawia, nie wódka jest źródłem lecz usposobienie pijaka, tak też i szkód które od żydów ponosimy, nie gdzie indziej, mojem zdaniem, trzeba szukać przyczyny, tylko w naszych własnych niedostatkach. I z tej niewoli, w której kraj nasz pod tyłoma względami u żydów zostaje, nie wydobędziem się podobno policyjnemi przepisami i środkami ostrożności, ale tém tylko, co nas dawniej wolnymi i silnymi czyniło, czém stają wszystkie potężne państwa i narody, to jest pracą, energią i rządnością obywateli.

---



## OFIARA HR. TYSZKIEWICZA.

21 lutego.

W numerze 38 *Kuryera Warszawskiego*, z dnia 10 lutego, czytamy następujące ogłoszenie :

«Najjaśniejszy Pan, na skutek najpoddaniaższego przedłożenia o ofiarowaniu przez obywatela wileńskiego, dymisyonowanego sztabs-rotmistrza hrabiego Tyszkiewicza, z powodu świętej koronacji Jego Cesarskiej Mości, 25,000 r. s. na rzecz ranionych podczas kampanii krymskiej, najwyżej rozkazać raczył : sumę ofiarowaną obrócić na kapitał inwalidów, a hrabiemu Tyszkiewiczowi oznajmić monarsze podziękowanie. »

Ród Tyszkiewiczów liczy w dziejach Polski kilkunastu wojewodów i kilku hetmanów. Niejeden rycerz tego imienia legł na boju sławy w krwawych wojnach z Moskwą. Dwóch Tyszkiewiczów jeszcze nie tak dawno temu dzieliło z nami tułactwo. Ród ten odznaczał się także w Polsce licznymi pobożnymi fundacyami i ofiarami dla Rzeczypospolitej. O Eustachym Tyszkiewiczzu, staroście krasnosielskim, pisze Strykowski, że «własnym sumptem licznego żołnierza do obozu pod Wielkie Łuki

przeciw Moskwie sprowadził. » Eustachy Jan Tyszkiewicz, starosta mozyrski (1615) podskarbi nadworny litewski i pólkownik królewski, ubrane własnym kosztem swoim chorągwie stawiał na Podole, do Wołoch, Inflant, Prus i na Moskwę. Na grobie Janusza Tyszkiewicza, wojewody mściśławskiego, trockiego i wileńskiego, w fundowanej przez niego kaplicy Panny Maryi w Wilnie, czytamy napis : *Braclavia, Trocis, pietatis suæ monumenta reliquit*. O Januszu Tyszkiewiczu, wojewodzie kijowskim, który z królewską hojnością niezliczone kościoły Bernardynom, Karmelitom, Dominikanom i t. d. ufundował, powiada nadto Potocki : *stipendiarias suas ad Chotimum cohortes Ottamanicæ lunæ opposuit...*

Dzisiaj, sztab-rotmistrz, hrabia Tyszkiewicz, z powodu świętej koronacyi cesarza rosyjskiego, ofiaruje dobrowolnie, *najpoddanięj*, ogromną summę dwudziestu pięciu tysięcy srebrnych rubli na inwalidów moskiewskich !!!

Byłoby wiele o tém do powiedzenia : ale.....

« ..... w duchu jest pogarda,  
Co ma także swe panieństwo ;  
I gdy gardzi — nadto harda,  
By znamiętnić się w przekleństwo. »

---

## LISTY Z DREZNA.

---

### I

#### O PODRÓŻUJĄCYCH ZA GRANICĄ.

7 marca.

*Rome n'est plus à Rome.....* towarzystwa polskiego trzeba szukać w Paryżu, w Berlinie, Dreźnie lub Wiedniu; napróznoby go kto chciał szukać na naszej biednej ziemi, we Lwowie lub Wilnie, w Krakowie lub Poznaniu! Mimowoli przychodzi mi zrobić to spostrzeżenie, gdy, zwiedziwszy w przelotnej podróży głównejsze stolice Zachodu, zdążam na powrót do naszego nieszczęśliwego kraju. W kraju tym cisza grobowa, i coś gorszego od ciszy, bo nudy. Z wyjątkiem Warszawy, ani jedno z miast naszych nie przedstawia żadnego, choćby towarzyskiego życia: nekropolie to prawdziwe, w których cienie mieszkańców prowadzą cień bytu. A tymczasem w zagranicznych stolicach nie trudno o polskie familie, o polskie towarzystwo, nawet o polskie grzechy przodków naszych, którzy z przyrodzoném słowiańskiej naturze lenistwem, nie chcieli nigdy wyzierać



z poza ojczyścj zagrody. Ileż to razy wtenczas najkorzystniejsze wojenne wyprawy spełzały na niczém, dla tego, że szlachta za granicami kraju nie chciała iść za swym królem! Ileż to razy wtenczas rycerze nasi nie przypuszczali ostatniego szturm do miast długo dobywanych a prawie już zdobytych, dla tego że im się spieszyło do wielkanocnego jajka pod domowym dachem! Dzisiaj, inaczej zupełnie; i nikt już nam takiego ciasnego zaskorupienia się wyrzucić nie może!! Dzisiaj, bez wielkich wysileń oddalamy się od rodzinnego ogniska; dzisiaj bez wstretu przedłużamy nasz pobyt za obwodem naszj ziemi, a jeśli się owszem czego boimy, to chyba prędkiego do kraju powrotu.

W niektórych językach Wschodu jedno jest słowo na *poznać i pokochać*; i zdaje mi się, że to już Pascal powiedział: *aimer c'est connaître*. Jeśli to prawda, zrozpaczyć by przyszło o tój miłości Ojczyzny, z którj tak się szczycimy. Bo nie ma narodu na świecie, któryby tak mało znał swój własny kraj i tak mało się poznać starał, jak my Polacy. Skoro u nas młody człowiek jako tako skończy nauki, pierwszą jego i rodziców myślą, są podróże za granicą. O zwiedzaniu własnej ziemi, o poznaniu różnych dzielnic Polski, nikt ani pomyśli. Byłem w Warszawie podczas zniesienia dawnych tak uciążliwych praw paszportowych; radość była powszechna: i zaprawdę, któżby jej chciał przyganiać? Wolność przyniesienia się z miejsca na miejsce, jest jedném z przyrodzonych, prawie bym rzekł zwierzęcych praw człowieka. Ale nie słyzałem nikogo wtenczas, coby zawołał: mam wolność i możność ruszania się, więc pójdę oglądać gród naszych Jagiełłów, kolebkę naszj wiary i narodowości w Wielkopolsce, stolicę naszych królów u stóp Karpatów; przebiegnę szczyty tych wielkich wspaniałych Tatrów, bujne, smętne pola Ukrainy, szumiące bory poetycznej Litwy i t. d. Nie! Dla wszystkich meta wyścigów leżała po za obrębem tój Ojczyzny,

której nie znają; metą tą był Berlin lub Wiedeń, Drezno lub Rzym, a przedewszystkiem Paryż!

O! patryotyzm nasz jest dziwnego rodzaju! Znam wielu patryotów, którzy tak kochają tę Polskę, tak czują jej cierpienia, tak boleją nad jej bólami, że ani chwili w niej wysiedzieć nie mogą, że tylko po to do niej przyjeżdżają, aby uregulowawszy rachunki z rządcami i dzierżawcami i napełniwszy torbę pielgrzymią groszem z ziemi polskiej wysanym (*as non sordet*, powiedział Tybery), wrócić znowu do Paryża lub Rzymu i tam rozwodzić się w żalach nad smutnym stanem kraju, płakać nad jego nieszczęśliwym losem, nazywać się milionem— « bo się za miliony cierpi » i miliony też wydaje śród obcych i cudzoziemców!...

Ileżby dobrego, ileż prawdziwie pożytecznego by zrobili ci ludzie, gdyby poczuli i przykładem swym wskazali, że obowiązkiem naszym jest starać się o jak największą spójnię pojedynczych części zaboru; że zamiast jeździć z Poznańskiego i Galicyi do Wiednia, Drezna i Berlina, powinniśmy zaglądać raz poraz do Warszawy, do Wilna, do Lwowa i Poznania, aby utrzymać myśl jedności narodowej, wyrabiać solidarność wzajemnych obowiązków, uczyć lub uczyć się być porządnym obywatelem! Ileż by już dobrego zrobili, gdyby się tylko raczyli *bawić* w jeduém z miast polskich!

Nie myślcie, abym tu chciał rzucić kłótwę na wszelkie podróże do obcych krajów. Sam z takiej właśnie (choć dalibóg, nie w celu zabawy przedsięwziętej) podróży wracając, nie myślę przybierać roli przesadnego Katona. Wiem bardzo dobrze, ile poznanie obcych narodów i obyczajów może przynosić korzyści umysłom wykształconym i dostatecznie przygotowanym. Nie chcę nawet zaprzeczyć prawom prostej, banalnej ciekawości i próżności, które głównemi bodaj są sprężynami wszelkich u nas wojażów. Mam tylko na myśli te rodziny polskie, które na dobre osiadają w jakim mieście za-

graniczném, w niem całą zimę, nieraz nawet kilka lat bez przerwy przepędzają, i sztuczne jakieś ogniska tworzą polskiego towarzystwa — po za Polską!

Miałem sposobność w przejeździe moim przypatrzeć się niejednej takiej rodzinie, i dziwne mimowoli mi się nasuwały spostrzeżenia. Co mnie nasamprzód uderzyło, to widoczny pieniężny niedostatek, które te familie w ich tak zwanych zabawach krępuje, ciężkiego ołowiu dodaje wszystkim ich « w świat » zapędom i nieraz je na mortyfikacye wystawia, którychbym ja nie chciał okupić największemi przyjemnościami Koranu. Mimo wrodzonej nam próżności i błyszczenia, mimo nieogłędności naszój i nieobrachowania się z wydatkami, majątki polskie są jednak za szczupłe, aby na jako takie wygodne i wystawne życie w jakiej zagranicznej stolicy, w Paryżu szczególnie, wystarczyć mogły. Familie też polskie przebywające w tych miastach, mimo wszelkiej na jaką się zdobyć mogą rozrzutności, żyją w dosyć ciasnych warunkach i na stopie, bynajmniej nieodpowiadającej ani prawdziwemu w kraju znaczeniu i imieniu, ani przybranemu nieraz dla zagranicy niebardzo prawnemu tytułowi. Trzeba zaprzestać na mieszkaniu szczupłym i ledwie że umeblowaném, z którego kątów wyziera oszczędność, która nie jest zasługą ale prostą. smutną koniecznością. O własnym powozie, o tym wehikule, który w kraju jest jakby przyrodzonym prawem każdej szlacheianki, ani myśleć. Służący, nietylko że demokratycznie od wszelkiej liberyi uwolnieni, ale nieraz nawet w surducie połyskującym się od starości a bótach za każdym krokiem odmawiających służby; najczęściej zaś jedna jęzda Makbeta pełni zarazem obowiązki kucharki, pokojówki, lokaja, kamerdynera, majordoma — a gdybym się nie bał posądzenia o złośliwość powiedziałbym : i towarzyski... Herbatki (bo o większych tetowaniach ani mowy być nie może) z ekonomicznie obrachowanemi ciasteczkami i w homeopatycznych do-



zach roznoszonymi przysmakami. Rzadkie łoże do Opery najmowane w spółkę z drugą rodziną, a długo przedtém dyskutowane : słowem, prawie wszędzie i zawsze przy wielkiej chęci używania a nieustającej pokusie, ciągle smutne oglądanie się na wydatek, i za każdym wielkim i kształtnym wykrzyknikiem zachwycenia, następujący garbaty, i jak kaźden garbaty, złośliwy znak zapytania : *a wieleż to może kosztować ?* : oto są główne znamiona takiego naszego życia w zagraniczej stolicy. Nadają mu one pewną barwę śmieszności przed którą, zdaje się, wrodzona nam sama próżność nasza, jużby się cofać powinna była. Sławny rzymski satyryk powiedział :  *nihil habet paupertas durius in se, quam quod ridiculos homines facit*. W tych słowach jest wielka, straszna prawda; a przedewszystkiém czuć ją powinna hrabiowska rodzina, gdy jęj w Paryżu przychodzi co chwila rozważać, czy nie lepiej wziąć fiakra zamiast remizy?...

Ta sama rodzina, gdyby zimę przepędziła w Krakowie lub Wilnie, w Poznaniu lub Warszawie, za połowę, za trzecią część tych wydatków, by prowadziła dom prawdziwie porządny i wystawny, miałyby powóz, dawałyby wieczorki, wieczory i bale, używałyby daleko większych, bo czystych, myślą o kosztach nie zakłóconych przyjemności — i ożywiałyby jedno z gasnących ognisk narodowego społeczeństwa!

Drugim niemniej dziwném spostrzeżeniem, które zrobiłem, było to, że wszystkie te za granicą zimujące familie w samém tylko polskim żyją towarzystwie. Nie powiem, żeby to było ich zasługą; jest to raczej koniecznością. Jeśli w miastach niemieckich mogłoby to uchodzić za wpływ naszej wolnej woli, czyli raczej naturalnej niechęci ku germańskim żywiolom, to o Paryżu np. coś podobnego powiedzieć się w żadnym razie nie da. Ale też francuzkie towarzystwa nie są tak przystępne dla cudzoziemców; a zresztą, mimo całej znajomości francuzkiego języka z mlekiem macierzyńskim

wyssanego, najkrótszy pobyt w jednym z wielkich salonów przekonywa nas, jak mało tu walczyć możemy z wrodzonym temu narodowi sprytem i dowcipem, z jego bystrością i błyskotliwością. Po kilku takich dość nieszczęśliwych wycieczkach, wracamy z niemiłym uczuciem, i znajdujemy w końcu, że, cokolwiekbądź, najlepiej jest przestawać z naszymi. To też i w Paryżu przebywający Polacy z samymi tylko żyją Polakami. A w takim razie następuje pytanie proste: po co było wyjeżdżać z Polski, po co szukać w dalekich stronach i w połączeniu z tyłą nieprzyjemności i kosztów — tego, co się ma u siebie pod ręką?...

Ale inne uczucia budzą się w mém sercu, kiedy wspomnę, jak wiele szkód krajowi przynosi to zbyt długie jego opuszczanie. W skład narodowego społeczeństwa wchodzi zarówno bogaci jak ubodzy, zarówno ludzie wielkich pozycyj i imion głośnych, jak poziomi i w koło codziennych potrzeb wprzęgnięni pracownicy. Jeśli znaczna część obywateli, wolna od troski utrzymania życia, usunie się z Polski, gdzież w niej znaleźć się mają siły, aby wydołać tylu publicznym ciężarom? Jeśli kto może, uciekać będzie do Wiednia, do Berlina, do Drezna lub Paryża; jeśli panów naszych kraj znać ma z tego tylko, że życie swoje trawia u obcych, a w zupełnej od przykrości i obowiązków narodowych swobodzie: któż wśród nacisku cudzoziemców u nas zostanie się, aby bronić tego, co nam jeszcze z ojczyzny dochowało się?

Nie jestem Spartańczykiem i czarną polewką, której sam nie lubię, innych obdzielać nie myślę. Wiem, że zabawy i rozrywki są w części potrzebą wieku; wiem nawet, że do pewnego stopnia mogą się stać użyteczną dźwignią towarzyskiego i narodowego życia. Ale właśnie dla tego bym błagał i zaklinał nasze polskie rodziny, aby w kraju i miastach polskich te kółka towarzyskiego życia utworzyły, które teraz sztucznie, z takim mozo-

łem i takim nakładem ulepiają za granicą! Czyżby to w istocie było tak trudnym, czyżby w istocie nasza ziemia już nie dostarczyć nie mogła do uprzyjemnienia bytu? Nie sądzę! Główniejsze miasta nasze są zaopatrzone we wszystko, czego przywyknienie do zachodniej wytworności tylko zapragnąć może; powiązane za pomocą kolei żelaznych ze wszystkiemi głównemi punktami handlu i przemysłu, w mgnieniu błyskawicy mogą sprowadzić każdej chwili te zbyteczne rzeczy, które są niezbędną potrzebą wszelkiego dobrego życia. Znamy wszyscy tę pieśń, którą śpiewali nasi przodkowie na cześć Bolesława Krzywoustego, zdobywcy Pomorza, i w której między innemi i to za korzyść policzyli, że świeżo teraz spożywać będą te ryby nadmorskie, co dawniej solone tylko do Polski przychodziły. Nie zdobyliśmy w tym wieku Pomorza, ale korzyści mamy te same co w stal okuci niegdyś towarzysze Krzywoustego, i, dzięki kolejom żelaznym, możemy świeżuteńkie ostrygi spożywać tak dobrze w Poznaniu jak Krakowie. Czego nam brak jeszcze do zupełnej cywilizacji, tego by łatwo dokazała wzmagająca się potrzeba: odbył idzie zawsze za pokupem. Nie, za prawdę — rodziny polskie by się równie dobrze i lepiej jeszcze, bo nie równie taniej mogły bawić w grodach Piastów i Jagiełłów, jak w Paryżu, lub w dawniej stolicy Fryderyka II i Marji Teresy.

A ileżby tém dobrego wyświadczyły krajowi, ileżby się to przyczyniły do roztlenia gasnącego u nas towarzyskiego życia, do podniesienia charakteru narodowego miast naszych! Charakteru tego tracą one coraz bardziej. Poznań już zniemczał zupełnie; jeśli Lwów i Kraków ulegną podobnemu losowi, panowie polscy za to odpowiedzą. Lekkomyslnie daliśmy kraj rozszarpać, z równą lekkomyślnością patrzymy jak go cudzoziemczą. Niebezpieczeństwo to grozi w sposób straszny teraz Krakowowi szczególniej. W mieście tém rozgościli się Niemcy; wy-



socy austriacycy urzędnicy, wojskowi i cywilni, zajmują pierwsze tam miejsce w życiu społeczeńskim; oni jedni tworzą wyższe towarzystwo, mają salony, dawają wieczory; a z panów polskich, którymby tak łatwo przyszło zagasić tych przybyszów, nie znajdziesz w dawniej naszych królów stolicy, prawie żadnego...

Gdyby Czartoryscy, Zamoyscy, Potoccy, Sapiehowie, Sanguszkowie, Lubomirscy, Działyńscy, Jabłonowscy, Braniccy, Krasinscy, Sułkowscy, Raczyńscy, i t. d. którzy teraz na wszystkich punktach rozstrzeleni są świata, gdyby te i inne możne polskie rodziny sobie przyrzekły jedną zimę przepędzić w Krakowie, drugą w Poznaniu lub Lwowie i t. p.; gdyby chciały się przejąć obowiązkiem, który na nie wkłada fortuna i imię odziedziczone po przodkach: nie minęłoby paru lat, a miasta nasze by prędko przybrały charakter polski, w opuszczonych i cudzoziemczonych grodach naszych by zakwitło życie narodowe, i język ojczysty by się tam rozlegał, gdzie teraz słyhać tylko niemiecką mowę...

Czyż to może za wiele żądać od Panów naszych, aby się w Polsce — *bawili*?...

## II

### O WYCHOWANIU ZA GRANICĄ.

28 marca.

Czyż w istocie byłem niesprawiedliwym, jak mi to pewne wymawiają osoby? Miałoby to być prawdą, co mi z niektórych stron zarzucają, jakobym bacząc tylko na rzecz publiczną, zapomniał o smutnych i nieodzwrotnych warunkach naszego prywatnego położenia?... W chęci lepszego, powiadają mi, nie uwzględniam dobrego co się dzieje, i rzeczy niemożliwe stawiając za konieczne, odbieram odwagę do rzeczy możebnych a skutecznych. Powstając na długie, kilkoletnie nieraz

przebywanie rodzin polskich za granicą, w obcych wielkich miastach, opuszczam z oczu, zaręczają mi, pobudki nietylko nienaganne, ale owszem godne uznania, dla których to zazwyczaj robią. Przypominają mi, że stan szkół w kraju naszym jest opłakany, że w Polsce prawie niepodobna dać przyzwoitego wychowania dzieciom, i że ten to wzgląd szczególnie zmusza nasze zamożniejsze familie do osiedlenia się za granicą. Godziż się potępić to usiłowanie rodziców w celu lepszego wykształcenia dorastającego pokolenia, usiłowanie tak naturalne, tak mozolne, tak chwalebne, a z którego w końcu dla kraju samego wielkie tylko wyniknąć mogą korzyści? Godziż się, w obec trudności, które same rządy stawiają, nierozważném drażnieniem opinii publicznej i jej podbechtywaniem, przykrzejszém jeszcze uczynić położenie, samego przez się zaprawdę nie do zazdroszczenia?...

Jeden z naszych niepospolitych umysłów zrobił mi niedawno tę trafną uwagę, że sumienie polskie nie zna obecnie *trybu rozkazującego*, tego co filozofia niemiecka «kategorycznym imperatywem» nazwała a rozum francuzki daleko jaśniej oddał w przysłowiu: *fais ce que tu dois, advienne ce qui pourra*. Słowo czynne obywatelstwa, rządzi się u nas teraz, czyli raczej *wymawia się* samym tylko *trybem warunkowym*... Spytaj się u nas kogokolwiek zechcesz, starca czy młodzieńca, możnego magnata czy zaściankowego szlachcica, czemu ze swych zdolności lub zasobów żadnego nie robi dla kraju użytku, i z nudzony żywot pędzi bez chwały dla siebie, bez pociechy dla narodu: a niechybnie usłyszysz odpowiedź zaczynającą się od słówka *gdyby!* Gdyby była sposobność, gdyby było powstanie, gdyby była wojna, o, wtedy i onby się pokazał, wtedy i onby coś zrobił, i więcej niezawodnie od tych co się go pytają, od tych retorów, belletrystów i moralistów, którym tak wygodnie szafować słowem, co nie nie kosztuje, i wzruszać

ramionami, co żadnego nie dźwigają ciężaru... Tym samym fatalnym trybem warunkowym odpowiedziano mi też i w obecnej dyskusji. Gdybyśmy mieli kraj własny, wołano, gdybyśmy mieli porządne szkoły, gdyby można było u nas znaleźć zdolnych nauczycieli: któżby wtenczas myślał o przebywaniu za granicą, któżby wtedy dobrowolnie na tak kosztowne i tak nie miłe się skazał wygnanie? Przyczyną pozorną naszej niedbałości o kraj, jest dbałość i troskliwość o wychowanie dzieci; jeśli długie lata przebywamy za granicą, skazując miasta nasze na opustoszenie i zczudziomnienie, nie robimy tego niezawodnie z wolnego wyboru ale ze smutnej konieczności, a jeśli w tém wina czyja, to chyba naszych niewiniątek...

O, jesteście mistrzami w upiększeniu naszych słabości, i przed sądem własnego sumienia nie brak nam nigdy na łagodzących okolicznościach! Na zdrowym rozumie tracimy coraz bardziej, ale w chorobliwej wyrozumiałości robimy postępy zadziwiające. Nie wiem, czy wiek nasz w złem przewyższa poprzednie; ale to pewna, że nad nimi góruje w wyzwolonej sztuce upozorowania złego. Wszystko teraz może się stać pretekstem. Pobożność jest pretekstem, mąż jest pretekstem, pretekstem są nawet i dzieci!!... Zaprawdę, jeśli gdzie to tutaj, ma słuszność rzymski poeta, że czasem trudno satyry nie pisać...

Pokuszę się jednak o tę trudność; spróbuję bez goryczy i z krwią zimną rozważyć tę pedagogiczną stronę naszych koczowań w zagranicznych stolicach, i rodzicom dobrej wiary przedłożyć kilka uwag do szczerego rozpamiętywania. Nie myślę naturalnie temu przeczyć bynajmniej, że w pewnych częściach Polski, a wyraźniej mówiąc w zaborze rosyjskim, stan edukacyjnych zakładów i zasobów jest prawdziwie opłakany. Zgodzę się nawet w części i na to, że stan taki może usprawiedliwić poniekąd czasowe migracye troskliwych ojców



familij do miejsc szczęśliwszych. Wprawdzie, gdybym się nie bał uchodzić za ideologa, gdybym śmiał się odezwać w imię wyższych, bezwzględnych zasad, gdybym mógł się ludziom myśla, że Polacy tego wieku i czasu jeszcze wiedzą i rozumieją co to jest solidarność narodowa : położyłbym już i tu na samym wstępie ważne zastrzeżenie. Powiedziałbym wtenczas, że ścieśniony i gnębiony przez wroga system edukacyjny jest jedną z tych wielkich a ogólnych klęsk narodowych, przeciwko którym solidarnie oddziaływać, które w ostatecznym razie solidarnie znosić potrzeba, ale przed którymi w żadnym razie egoistycznie, indywidualnie, uchodzić nie godzi się. Tam gdzie, jak pod rządem rosyjskim, władza ciemniaka system wychowania obraca na propagandę ciemnoty i materyalizmu, tam dobrze zrozumiany obywatelski obowiązek powinien wspólnymi siłami środki zaradcze obmyślać, wspólnymi ofiarami miejscowe, chwilowe polepszenia okupywać — a w końcu, wspólnem cierpieniem tę wielką niedolę narodu uświęcić. Wyłamać się pojedynczo, w miarę zasobów pieniężnych, stosunków z władzami i paszportowych łatwości, z tego ogólnego jarzma; myśleć tylko o wybawieniu siebie i swoich z tego smutnego położenia, zostawiając mniej możnych lub mniej szczęśliwych braci ich losowi i niemocy, a tą ucieczką możniejszych jeszcze powiększonej, — bardziej to w każdym razie wygodnem niż godnem! Być członkiem organicznym narodu, to nie znaczy tylko w danej chwili i danym razie mu służyć i dlań się poświęcić; znaczy to być wszystkiemi muszkalami i nerwami w ten organizm zrosniętym, we wszystkich jego funkcjach brać nieprzerwanie udział, korzystać z jego zdrowia, ale też i cierpieć z jego choroby. Wychowanie jest rzeczą publiczną nie prywatną; nie jest dresowaniem dzieci ale kształceniem obywateli. Wśród obywateli swego kraju stać, z nimi pracować, ich nieszczęścia, ich troski, ich

niedostatki, nawet ich naukowe upośledzenie podzielać — zaiste, większą to zasługą przed cywilizacją, przed cywilizacją moralną, chrześcijańską, niż wyuczenie swoich synów wszelkich łamanych sztuk światowego powodzenia, a zagrozenie im może na zawsze powrotu do wspólności uczuć i instynktów z narodem. .

Ale kiedy już do téj solidarności narodowej odwoływać się nie śmiem, niechaj mi przynajmniej wolnému będzie zwrócić uwagę na to, że brak szkół i nauczycieli mógłby w najlepszym razie wytłumaczyć do pewnego stopnia podobne pedagogiczne peregrynacje samych tylko obywateli z zaboru rosyjskiego, nigdy zaś mieszkańców Galicyi a jeszcze mniej Księstwa Poznańskiego. Tak w Galicyi jak w Poznańskim nauczycieli jest podstatkiem; a szkolne zakłady tam, jeśli dalekie są od tego, aby odpowiadały we wszystkiém naszym narodowym potrzebom, dostarczają jednak (pod tym względem więcej, niż tego kiedykolwiek użyzyć mogą jakiebądź zagraniczne miasta. Gimnazya pruskie uznane są za najlepsze w cywilizowanej Europie, a w Poznaniu i Trzemesznie (a można powiedzieć także : w Krakowie i Lwowie) większa nawet część klas urządzona jest po polsku. Rodzin więc poznańskich i galicyjskich, wysyłających swoje dzieci lub osiadających z niemi za granicą, nie, nie zgoła wytłumaczyć nie potrafi. A i familie też z rosyjskiego zaboru niezawodnie by lepiej zrobiły, gdyby zamiast niemieckich, francuzkich, belgijskich, ba i angielskich, stolic obrały sobie za edukacyjne siedlisko jedno ze wspomnianych miast wielkopolskich lub nawet galicyjskich. Zrobiłyby to też niezawodnie, gdyby im tyle o edukacją jak o zabawy chodziło, i gdyby dzieci nie były tylko — pretekstem!...

Bo w gruncie to wychowanie zagranicą jest zazwyczaj tylko prostém — ale nierównie droższém, nierównie szkodliwém, nierównie niedołęźniejszym odbiciem wychowania w kraju. Edukacja to zawsze domowa, (o

której zgubnych skutkach zamierzam jeszcze obszerniej się rozpisać w jednym z następujących listów), tylko że zagranicą jest ona jeszcze stokroć zgubniejszą. Dziecko, jak w Polsce, zostaje w domu, jak w Polsce pobiera główne nauki od guwenera Polaka, z kraju sprowadzonego. I w tém edukacyjnym życiu, jak w owém towarzyskiem o którym już wspomniałem, zawsze to same sztuczne tworzenie Polski po za Polską... a owocem takich starań są — sztuczni Polacy!

Ktokolwiek poznał bliżej dorastające nasze pokolenie, ten musiał się przekonać, że jeśli jeszcze gdzie spotkał młodzieńców obiecujących coś na przyszłość, posiadających jakieś gruntowne nauki i dążących do jakich szlachetniejszych celów, niezawodnie to byli tacy, co edukacją odebrali w kraju, w szkołach krajowych, nie wyjmując nawet szkół w zaborze rossyjskim. I czyż to nigdy nie zastanowiło naszych Panów, że mimo wszystkich łożonych kosztów, mimo wszystkich opłat guwenerów i wywozeń za granicę, żaden, prawie żaden z ich synów nie może się równać z wychowancem szkół warszawskich lub wileńskich, krakowskich lub poznańskich; z synem mieszczańskim lub szlacheckim, którego konieczność zmusiła szukać środków kształcenia tam, gdzie w najgorszych nawet warunkach zawsze są jednak skuteczniejszymi od tych, jakie obierają nasze możliwe rodziny?... Kto się tylko raz w życiu nad naturą wychowania zastanowił, ten łatwo się przeświadczy, że szkoły, nawet najgorsze, nawet pod zaborem rossyjskim, są jeszcze lepsze od tej świetnej domowej edukacji, na jaką Panowie nasi, w dziwnym zaślepieniu, tyle trwonią pieniędzy — wychowując generacją, której jedynem zdaje się być przeznaczeniem, zdyskredytować w sumieniu narodowem doreszty wszelką wyższość socyalną, historyczną i majątkową...

Czyście kiedy mieli sposobność przypatrzeć się zebraniu tegoczesnej bogatszej młodzieży? Mnie ten widok



przejął zgrozą i trwogą! Narodowego piętna, zbiorowej cechy wspólnego pochodzenia ani spostrzeżesz. Jeden przypomina lwa paryzkiego, drugi jakiegoś *cockney* z Hampshire, inny znowu barona szląskiego; że to Polacy, domyślisz się chyba po kaleczonój polszczyźnie!... Takie są skutki tego zagranicznego wychowania! Cóż te biedne exotyczne rośliny poczną na gruncie narodowym? Karłowate cytrynki ze złotymi gałkami, jakże one staną wśród naszych sosen, jodeł i brzoź rodzimych? Jakżeż wytrzymają te burze północne, przez które naród jeszcze przejść musi, zanim sobie sprawiedliwość wywalczy?...

O, ja drzę o los tych niewinnych ofiar rodzicielskiej płochości — ja drzę o skargę, którą może im jeszcze kiedyś przyjdzie zaność przed tron Boga na własnych swych ojców, że ich wychowali na złych Polaków a nędznych cudzoziemców! .

---

## AGRONOMICZNY KORESPONDENT

KRONIKI WARSZAWSKIÉJ.

---

7 lutego.

Złe, łatwiej zawsze niż dobre, i zobaczyć i naśladować. Korespondent *Kroniki warszawskiej*, agronom, jeden z takich zapewne, jakich teraz jest wielu, którzy ćwiczyć się w téj nauce przyjeżdżają do Paryża, dają następne upomnienia polskim rolnikom :

«Przedewszystkiem pożądaną byłoby rzeczą zwalczyć uprzedzenia do niektórych nawozów zwierzęcych, nadzwyczaj mocnych i powszechnie używanych w krajach wysoko rolniczych jak np. w Saksonii, Belgii, Szkocyi wschodniej i północnej Francyi.... Gospodarze rolni nawet podczas upadku bydła, megliby jeszcze z niego ostatecznie bardzo ważną wyciągnąć korzyść. W Belgii gdzie oddawna dobre metody gospodarze są *uogólnione* (?), w takich razach bardzo racjonalnie postępują. Skoro gospodarz straci nadzieję ocalenia swego konia, wołu i t. p. słabego, wyprowadza go na swe pole, otwiera

mu żyły, wytacza krew, prowadząc ciągle aż do chwili, gdy ostatek sił ustać mu na nogach dozwala, a następnie zdiera skórę, kraje mięso w kawałki, rozrzuca je po polu i pokrywa je ziemią.... Czyżby i u nas nie można w podobny postąpić sposób? »

Racyonalny ów korespondent dużo jak widać objechał ziemi. Gdybyśmy jednak wiedzieli, który kraj mógłby w żyły jego wszczepić trochę ludzkiej krwi, tambyśmy radzili mu podróż swą obrócić. Są pewne uczucia, których, chociaż je autor nazywa przesadami, nie wytępi praktyczność niedorzeczna, bo przesadzona. Człowiek przywiązuje się do zwierzęcia, które mu długo służyło, i rad jest jeśli, jako dawniej był zwyczaj, może mu na starość dać chleb łaskawy. Czemu korespondent, któremu zapewne nie tajno, jak u nas wieśniacy lub żydzi niemiłosierni bywają dla zwierząt, nie obeznał się, za bytności swojej w Anglii, z Towarzystwem protekcyi zwierząt, i nie zadał sobie pracy poszukać choć jednego z wyroków sądowych, które właściciele skazują na karę za męczenie bydłęcia? W ten sposób pisane korespondencye przydatniejszymi byłyby dla nas, i przyzwoitszymi *w polskim dzienniku*, niż zalecanie owych wstręt budzących objawów materyalizmu wyrefinowanego.

Lecz co mówić o protekcyi zwierząt tam gdzie, jak u nas, tak mało bywa uszanowania godności człowieczeń? Pewnego razu, wśród odległych na wyspie Stój Heleny wycieczek, spotkał był Napoleon pnących się z trudnością pod górę niewolników, dźwigających ciężary. Kazano im ustąpić, bo ścieżka była wązka. *Respect au fardeau* rzecze Napoleon, i usunąwszy się, czekał aż przeszli tragarze. We Francyi kiedy na stromych ulicach Paryża ustaną konie zbyt ciężko obciążowane, spieszą na pomoc woźnicy, pięknie nawet ubrani przechodnie. Maleńkie to i, zapewne, ledwo godne wzmianki oznaki chrześcijańskiego spółczucia (które, bądź co bądź, równo



z cywilizacją idzie w górę) ale u nas, nie tak często je widzieć można. Po wsiach i miastach, niechaj pies ulubiony żyda luh żebraka obszarpie, ztąd tylko zabawa dla służby i paniczów. Niechaj powozik dziarskiemi końmi zaprzężony spotka ledwo wlokące się od ciężaru fury, ofuknie się szlachcic, jeśli mu chłopci natychmiast nie ustąpią. Kiedy państwo we dworze zabawia się tańcem lub przy kartach, ludzie z końmi czekają przed bramą, całe noce, na tęgim mrozie, i mało komu przyjdzie na myśl, że się tém godności człowieczej krzywda dzieje. Wiele podobnych porównań możnaby jeszcze zacytować; w naszym piśmie mniej one byłyby stosowne, za to z prawdziwym pożytkiem znalazłyby swe miejsce w korespondencyach agronomicznych, których tyle teraz dzienniki polskie ogłaszają. Lecz niekażdy spostrzega co zagranicą jest prawdziwie dobrego. Człowiek to tylko widzi, co czuje.

---

## LITERATURA ROSSYJSKA EMIGRACYJNA.

---

28 lutego.

« Monarcho, na karę za grzechy nasze miotany szalem  
» wściekłości, skażony aż do głębi sumienia, tyranie  
» jakiego nie było między najsroźszymi mocarzami  
» ziemi, przewrotny oszczerco, co wiernym dajesz imię  
» zdrajców, chrześcian nazywasz poganami. Ażali już  
» nie masz Boga, nie masz wgórze trybunału na kró-  
» lów? Nie boisz się żywych, lękajże się umarłych. Ciktó-  
» rych pomordowałeś, czekają ciebie u tronu najwyż-  
» szego sędziego. Podli twoi poddani mogą ci dzieci  
» swe wydawać na pastwę, ale nie zdołają nieśmiertel-  
» nym cię uczynić... »

W te słowa odzywał się w XVI wieku do cara jeden szlachetny bojar rosyjski, który wraz z innymi książętami moskiewskimi, z Laszkinem, Kurakinem, Worotyńskim, i t. d. schronił się był do Polski, pod opiekuncze skrzydła Batorowego orła, przed okrucieństwami i przesładowaniami groźnego Iwana. Książę Andrzej Kurbski, takie było imię rosyjskiego emigranta, był jakby uosobioną zgryzotą sumienia dla samodzierzcy, powiada wielki mistrz, który nam tę epokę w nieśmiertelnym skreślił obrazie. Skoro tylko Iwan popełnił nowe

okrucieństwo, skoro poniósł nową klęskę, natychmiast otrzymał od Kurbskiego list pełen gorzkich wyrzutów, i mimo całą swoją potęgę, nie miał mocy zostawić go bez odpowiedzi. Rzecz dla nas dzisiaj tak dziwna, tak niepojęta: car wszedł w stałą korespondencją z buntowniczym emigrantem! Ale jeśli pod tym względem różni się wielce od swoich następców, mniej pochopnych do listowania w ten sposób, uderza już jednak w tych opowiadaniach ton wiernie przechowany przez władców Rosyi aż do dnia dzisiejszego, ów ton religijnej hipokryzy i szatańskiego humoru, który najstraszniejsze zbrodnie okrywa najświęszymi tajemnicami wiary. Na przytoczony list Kurbskiego, odpowiedział Iwan z tą pobożną zgrozą, z tém piekielném wezwaniem dogmatów, z tém teologiczném namaszczeniem knuta, jakieśmy widzieli nieraz i w ukazach Mikołaja: « Biedny Kurbski! — woła tam Iwan — czemu ty chcesz duszę twą zatracić, ratując ucieczką marne twe ciało? Czyliż nie lepiejby ci było umrzeć z rozkazu twojego pana i pozyskać przez to wieniec męczeński? Czémże jest życie, czém dostatki i dostojęstwa ludzkie? Znikomością i cieniem. Szczęśliwy, kto zgonem może okupić zbawienie duszy... Jeżeli wielu karać mi przychodzi, to smutna ta powinność bolesną jest memu sercu. Wiadomo jednak, że więcej jeszcze zrad kryje się nieukaranych. Potrzebna mi łaska Pana Boga, Najświętszej Panny i wszystkich Świętych, ale ludzi o radę nie proszę. Straszysz mię sądem Chrystusa na tamtym świecie. Mniemasz więc, że moc Jego nie rządzi i tym światem? Muszę cię przestrzedz, że wpadasz w herezyą Manichejską. Zapowiadasz, że już nie zobaczę więcej twojej twarzy czarnomazej (1). Co za nieszczęście dla mnie! Mówisz, że traceni przezemnie otaczają tron Boży. To

(1) W roku 1845, cesarz Mikołaj z wiedzając gimnazjum warszawskie zawołał na głos, na widok biednego ucznia: « *och, kakaja sobacza ja roża!* Biedny Kurbski mylił się! Iwan jest nieśmiertelny...



zдание heretyckie. Nikt, mówi apostoł, nie może oglądać Boga... »

Apostolskie te upomnienia nie zraziły rosyjskiego emigranta. Za każdą nadarzającą się sposobnością powracał znowu z nowym listem, który zawsze wielki miał rozgłos. Znane jest pismo wystosowane przez niego do Iwana, po zdobyciu Połocka przez Batorego. « A co, wielki carze moskiewski, pisze nasz bojar, w cóż się obróciły twoje tryumfy? Pogrzebałeś je razem z ciałami wojewodów, pomordowanych przez ciebie. Król Stefan z garstką swego rycerstwa gości w twojem państwie, odbiera ziemie, któreśmy niegdyś podbili, a ty na czele niezliczonego wojska kryjesz się i uciekasz, choć nikt cię nie ściga, prócz własnego sumienia. Czyliż nie wyraźnie ręka Boska dotknęła tyrana... » Takimi palącemi słowy piętnuje wychodziec każdy krok i każdy czyn tyrana, a na wieść, że samowładzca księcia Warjatyńskiego, drogiego przyjaciela, kazał palić ogniem powolnym i sam przysuwał laską węgle, wyrывa się z piersi Kurbskiego krzyk rozpaczny : « Mężu znamienity, mężu rzadkiej mocy umysłu i ducha, niechaj twa pamięć pozostanie na zawsze świętą w domu naszym. Służyłeś ojczyźnie niewdzięcznej, w której enota jest zbrodnią a sława zgubą!... » Nie inaczejby teraz przemówił p. Herceen, wspomniawszy o swych przyjaciółach, którzy padli ofiarą carskiego despotyzmu.

Listy księcia Kurbskiego, które dopiero w tym wieku wyszły w druku, miały w swoim czasie rozgłos nadzwyczajny. Rozrzucone po całym obszarze Rossyi w niezliczonych kopiach, przelatywały z rąk do rąk, wypowiadały powszechną myśl mniej śmiałych ale nie mniej oburzonych Moskali, były głosem sumienia i godności w kraju niewoli i okrucieństwa i stanowią pierwszy objaw *literatury rosyjskiej emigracyjnej*...

W literaturze tej, od czasów Kurbskiego, nastąpiła przerwa więcej niż dwu wiekowa. Czego Iwan nie do-

duśli i nie dopalił, to docywilizowali Piotr W. i Katarzyna. Głos sumienia umilkł przez dwa stulecia w tém państwie cieniów, i dopiero w naszych i najnowszych, czasach, ujrzelśmy na Zachodzie, we Francyi szczególnie, téj wielkiej wielkich niedoli gościnie, kilku znamienitych Rossyan, którzy chroniąc się od ucisku i prześladowania, rzucili kraj i urzędy, i na dobrowolne się skazawszy wygnanie, jawnemi i szczeremi wyznaniemi, rozświecili prawdziwy, nieurzędowy stan Rossyi. Bakunin, Gołowin, O. Gagaryn, a na czele ich najznakomitszy p. Turgeniew, podjęli dzieło księcia Kurbskiego i w wymownych głosach opowiadali Europie choroby i niemoce, trądy i wrzody, kalectwa i ułomności, które toczą ciało caratu. Do nielicznego zastępu tych rosyjskich pisarzy należy i mąż, na którego pisma chcielibyśmy raz poraz zwracać uwagę naszych czytelników.

P. Hercen różni się od wymienionych na końcu najbliższych poprzedników tém szczególnie, że dzieła swe ogłasza w języku rosyjskim. Jeśli tamci starali się głównie opinią Europy oświecić, p. Hercen, jak Kurbski, położył sobie za naczelne zadanie, oświecić własnych rodaków i w mowie ojczystej przemawiać do uciemionego kraju (1). Od kilku lat założył własnym kosztem drukarnią w Londynie, i z niezmierną wytrwałością wydaje dzieła i pisma ulotne, broszury i powieści, poezye i pamiętniki, pełne talentu, pełne najśmielszych myśli i najciekawszych zeznań, pełne także téj rozpaczliwej ironii i tego religijnego i socyalnego radykalizmu, od których się rzadko Rossyanin ochroni, skoro wolnego zażyje powietrza. Od niedawnego także czasu, w luźnych

(1) P. Hercen dowiódł zresztą wielkiej biegłości swego pióra tak w języku niemieckim jak francuzkim. W pierwszym ogłosił dziełko pod tytułem *Vom andern Ufer*, w drugim ciekawe pisemko, które zwróciło uwagę całej oświeconej europejskiej publiczności, pod tytułem *Du développement des idées révolutionnaires en Russie*. Od czasu założenia drukarni rosyjskiej, wszystko pisze w ojczystym języku.

sposzytach pod tytułem : *Głosy z Rosyi*, ogłasza p. Hercen z sumienną bezstronnością listy, które odbiera z kraju, listy nie zawsze pełne uznania i mieszczące w sobie owszem zazwyczaj gwałtowne zaprzeczenia i wyrzuty : ale w każdym razie niezmiernie interesujące i malujące charakterystycznymi rysami i świeżymi farbami obecny stan umysłów w Rosyi. Tak postawiwszy na wolnej skale Brytanii swoje burzące działo, rzuca rossyjski wychodziec co miesiąc, czasami co tydzień, ogniście kule pod tron Imperatorów. Kule te nie wstrząsną muru niewoli, nie zrobią może w nim nawet żadnego wyłomu ; ale, jasne i płomienne, rozświecają nieraz ciemności, w których się kryje olbrzymia twierdza caratu, i mogą wskazać niejedno słabe jej miejsce.

Objaw to w każdym razie nowy, znaczący i godny naszej pilnej uwagi. Znakomitemu pisarskiemu talentowi p. Hercena oddają sprawiedliwość sami jego najzaciętsi przeciwnicy, a wziętości, którą pisma jego z każdym dniem zyskują, dowodzi szeroka, choć tyłą niebezpieczeństwami otoczona korespondencya krajowców, dowodzi odbyt ich coraz większy i rozleglejszy. Dla Rossyan, dzieła p. Hercena mają podwójny wdzięk nowości i zakazanego owocu, a księgarze niemieccy nam zaręczali, że pokupniejszego nad te druki londyńskie nie mieli już dawno towaru. Wiemy zkadınad, i z bardzo pewnego źródła, że druki te w wielkich stosach wchodzi do rossyjskiego państwa i niezmiernie są tam upowszechnione. Nietylko działanie pismiennicze, ale sama już osobistość autora, koleje przez które przechodził, wielkie nieszczęścia które poniósł, kierunek który nabrał jego umysł, mogłyby się stać się przedmiotem niejednej interesującej rozprawy. Rossyanin, z niezawisłą i znaczną fortuną, uczeń uniwersytetu moskiewskiego, konspirator, później więzień, wysłany na Sybir i urzędnik z musu i dla kary, następnie wychodziec i członek Komitetu Europejskiego : każda faza tego życia jest



pełną wypadków i nauk; a dla psychologicznego badacza ponętną by się stać mogło pracą, śledzić w tej ze wszęch miar znakomitej intelligencji, pierwiastków niemieckiej filozofii, francuzkiego socjalizmu i rodzimój rosyjskiej natury, które się dziwnie tu stopiły, i zlały w metal koryncki — trudny do ocenienia i nie wytrzymujący próby, ale niezawodnie nie powszedni i nie błaży! Wszakże, ani rozbiór autora, ani nawet ocenienie doniosłości pism jego, nie jest obecnie zadaniem naszym. Poprzestaniemy tym razem na umieszczeniu kilku wyjątków z jednej jego publikacyi, najmniej wywołującej zdania przeciwne i obowiązek polemizowania i dyskutowania, a dającą nam kilka ciekawych, a dotąd nieznanych szczegółów z życia rosyjskiego. Chcemy tylko być epitomatorami bardzo interesującego pisemka. Ciężkiego obowiązku krytyka, podejmiemy się może kiedy indziej i przy inszej sposobności.

Dziełko p. Hercena, o którym mowa, nosi tytuł *Turma* i *Ssyłka*. Autor w niem skromnie, bez wystawności, opowiada swoje uwięzienie i wysłanie na Sybir, i o tych wypadkach własnego życia wspomina tylko, aby dać szereg swoich spostrzeżeń i doświadczeń w Rossyi. Wstęp jest ujmujący prostotą formy, a tragicznością treści. Znamy wszyscy *Matkę Polkę*, jaką nam w tęczywej promienności łez wystawił wieszcz nieśmiertelny; obaczmy teraz *Matkę Rossyankę* w wymownej prozie p. Hercena.

« Jednego razu, na wiosnę 1834 r., przyszedłem zrana do Wadima. Ani jego, ani braci, ani siostr nie było w domu. Poszedłem na górę, siadłem w małym pokoiku i wziąłem się do pisania. Drzwi się cicho otworzyły i weszła stara matka Wadima. Chodu jej ledwie że było słyhać: zmęczonym i stałym krokiem przysunęła się do krzesła i odezwała się siadając: Pisz pan, pisz — ja chciałam zobaczyć czy Wadia nie wrócił; dzieci poszły się bawić, na dole taka pustka, że mi się zrobiło smu-

tno i straszno; posiedzę tutaj, panu nie przeszkadzam, rób pan swoje. Twarz jój była zamysłona i jaśniej jak zwykle widny był na niej odbrzask przebolałej przeszłości, i ta tęskliwa troska o przyszłość, ta niewiara w życie, do jakiej się dochodzi po długich, ciężkich, licznych udęczeniach. Zaczęliśmy mówić z sobą. Ona opowiadała coś o Syberyi. — Dużo, dużom ja wycierpiała; niejedna jeszcze czeka mnie próba, dodała trzęsąc głową, dobrego nie nie wróży serce. Przyszło mi na myśl, jak innym razem staruszka, słuchając naszych śmiałych rozmów i naszych zapalonych rozpraw, naraz bladła, wdychała po cichu, wychodziła do drugiego pokoju i długo nie mówiła ani słowa. — Pan, rzekła teraz, i pańscy przyjaciele, wszyscy wy idziecie pewną drogą do zguby. Zgubicie Wadzia, siebie i innych; toć ja i pana kocham jak własnego syna! Łza potoczyła się po zapadłej twarzy. Ja milczałem. Ona wzięła mnie za rękę i siłać się na uśmiech: — Nie gniewaj się pan: to moje nerwy tak rozdrażnione. Ja wszystko rozumiem: idźcie waszą drogą, dla was nie ma innój; a choćby i była, wybyście wtedy przestali być sobą. Ja to wiem, ale nie mogę przewyciężyć obawy. Tylem już nieszczęść przeżyła, że na nowe i sił mi więcej nie staje. Pamiętaj pan, nic o tém nie mówić Wadiowi; onby się zmartwił i chciałby mnie perswadować... otoż i on sam, zawołała staruszka, prędko łzę ocierając i wzrokiem jeszcze prosząc o milczenie... Biedna matka! święta, wielka niewiasta!»

Autor następnie opowiada swoje uwięzienie. Niech nikt tutaj nie myśli, żeby w Rossyi nie było praw gwarantujących wolność osobistą; jako żywo! Kiedy policmajster przyjechał aresztować Hercena, przyprowadził z sobą arbitra (*dobrowiestnego*), bez którego policya nie ma prawa wchodzić do mieszkań; przyprowadził — i osadził go *u bramy dworu*: brodaty przestrzegacz osobistej wolności pełnił swój obowiązek — *extra muros!*...

W biurze komisarza policyi, Hercen sam widział na stole drukowaną ustawę, gdzie wyraźnie zastrzeżono, że każdy aresztowany po upływie *trzech dni* ma się dowiedzieć o przyczynie aresztowania, albo być wypuszczonym na wolność. Jakoż, zamknięty w wieży autor pisał w tej myśli do oberpolicmajstra. Przyszedł kwartalny i przyniósł mu odpowiedź, że *w swoim czasie* więzień dowie się o przyczynie aresztu. Dowiedział się dopiero, gdy go stawili przed komisją śledczą.

Komisja śledcza w Moskwie bardzo przypomina warszawską. Wszyscy ci panowie palą w czasie inkwizycyi fajki lub cygara, i rozpiąwszy mundury gawędzą sobie wesoło, rozwalając się po krzesłach. Po siedmiu miesiącach uwięzienia, wezwany po raz ostatni do komisyi, Hercen zapytał jednego z członków: pod jaki artykuł Swodu podciągnięty będzie? «Swod praw, tyczy się przestępstw innego rodzaju, odpowiedziano mu; pan do prawdy myślisz, żeśmy ci uwierzyli, iż pomiędzy wami nie było żadnego tajnego towarzystwa? — Gdzież więc to towarzystwo? — Wasze szczęście, żeśmy żadnego śladu nie znaleźli, żeście nie nabroić nie zdążyli. W sam czasemy was wstrzymali, t. j. ocalili was po prostu — »... «Kiedym podpisał protokół, urzędnik zadzwonił. W prowadzono księdza. Ksiądz położył swój podpis pod moim, świadcząc, że wszystkie zeznania były dobrowolne i niewymuszone. A przy badaniach nie był; i teraz nawet dla przyzwoitości nie spytał mnie jak i co było.»

Tak *w sam czas ocalony* pan Hercen, przy zachowaniu wszelkich gwarancyj osobistej wolności, *habeas corpus*. i księdzowskiem poświadczeniu o nie wymuszonych zeznaniach, zesłany został na (poniewolną) służbę do Permu.

«Żeby doświadczyć, mówi autor, czém jest w Rossyi wieża, sąd i policya, na to trzeba być chłopem, sługą, mieszczaninem albo rzemieślnikiem. Politycznych więźniów, którzy po większej części są ze szlachty, trzymają



srogo i karzą bez litości; ale los ich jeszcze ani się da porównać z losem biednych brodaczy. Z tymi policya już nie robi ceremonij. Do kogo potém, chłop czy mieszczanin pójdzie na skargę? W rossyjskich sądach i policyi taki jest bezład, taka dzikość, przedajność i swawola, że prosty człowiek, kiedy się dostanie pod sąd, nie kary, ale procedury boi się sądowej. Czeka niecierpliwie, aby go posłali na Sybir; męka dłań kończy się tam, gdzie się kara zaczyna. Pomyśleć teraz, że sąd uwalnia trzy czwarte oskarżonych, i że oni wszyscy przeszli przez to, co i sami winowajcy!...»

Ta hipokryzya legalności, te okrucieństwa i sądowe mordy przy zapisanych na papierze zastrzeżeniach wolności osobistej, dobrowolnych zeznań, aresztowania w obec *dobrowiestnego*, ten kanibalizm przy wszelkich obłudnych formach cywilizowanego prawodawstwa, stanowią oryginalną stronę rossyjskiego państwa, stronę prawdziwie szatańską. Piotr III zniósł sąd inkwizycyjny i tajną kancelaryą. Katarzyna II zniosła tortury. Alexander I zniósł je po raz drugi. Zeznania zrobione « *pod strachem* » nie ważne są według prawa. Jednak, powiada nasz autor, w całej Rosyi, jak długa i szeroka, katują ludzi, jeśli nie chłostą, to żarem, pragnieniem i t. d. Weźmy jeden z licznych przykładów sądowego procesu, które przytacza p. Hercen. « W r. 1834 Moskwa była teatrem codziennych, tajemniczych pożarów. Ani wątpliwości, że ogień podkładano; ale przyczyny nikt zgadnąć nie umiał. Nie było dnia, żebym nie słyszał trzech, czterech sygnałów i z okna łuny pożarów nie widział. Policya i mieszkańce, wszystko było w rozpacz. Komisya wyznaczona do wykrycia podpalaczy badała, to jest siekła przez sześć miesięcy, i niczego nie wysiekła. Car się zgniewał, i kazał w trzech dniach rzecz całą skończyć. Jakoż, *w trzy dni skończono!*... w trzy dni winnych wykryto i skazano na karanie knutem, piętnowanie i zesłanie do kopalni. Pierwszy skazany na karę knuta, kłął

się w głos całemu ludowi, że on nie winien, że z bólu sam nie wie co gadał, i tu zdjął koszulę, a obróciwszy się plecami do ludu : patrzcie, zawołał, prawosławni ! Jęk zgrozy odezwał się w tłumie ; plecy te były jedną siłą, pociętą w pasy raną, i po téj ranie miał być teraz bity jeszcze. Szemranie i chmurna postawa czerni zna- gliły policją do spiesznej egzekucyi. Ale scena ta ude- rzyła mieszkańców stolicy ; w całej Moskwie o niczém inném nie mówiono. Jenerał gubernator doniósł o wszy- stkiem carowi. Car naznaczył nowy sąd, i kazał poszcze- gólnie przejrzeć sprawę onego hardego podpalacza. Pokazało się, że on i drugi jeszcze skazany, byli całkiem niewinni.»

Gdzie taki jest wymiar kary; gdzie na oślep bije spra- wiedliwości ręka; gdzie nie poważny a rozumny przepis prawa, ale wola carska, albo swawola sędziów rozstrzy- gają o losie poddanych ; gdzie w najdrażliwszych i w naj- cięższych razach niezwyčajne, stałe sądy, ale nowe i coraz nowe komisye wikłają wszelką sądową procedurę i obalają wszelkiego bezpieczeństwa rękojmią — jakaż tam dopiero musi być policya i administracya; admini- stracya, której decyzjom nie staje już w poprzek żaden nawet cień Swodu ni ustawy! Posłuchajmy co o tém mówi sam autor : « Jednym z najsmutniejszych skutków Piotrowej reformy, jest rozwinięcie się kasty urzędni- ków. Kasta ta sztuczna, nieokrzesaana, zawsze głodna, umiejąca jedno «*służyć*», niewidząca nic po za formami kancelaryi. Jest to jakby duchowieństwo jakieś cywilne, pełniące święty swój obowiązek po sądach i policyach i pijące krew narodu tysiącem cheiwych i plugawych gardzieli. Gdzieś tam w zadymionych kancelaryach dzi- wni jacyś ludzie piszą, piszą na brudnym papierze, prze- pisują na stęplowym, i nie już pojedyncze osoby, ale całe rodziny, ale wioski całe, biedne, wylękle, idą w po- niewierkę i ostatnią ruinę : ojciec na zaludnienie, matka do więzienia, syn do wojska; i wszystko to spadło jak

grom, nagle, niespodzianie, bez żadnej winy nieraz. O co chodziło? o pieniądze... Znoście składkę!... a nie, to znacznie się śledztwo o trupa jakiegoś pijaka spalonego od trunku i skostniałego od mrozu. I oto gołowa zbiera, i starosta zbiera, i chłopci ostatni grosz znoszą. Stanowy musi żyć, i Sprawnik musi żyć i żonę utrzymać; musi żyć i Sowietnik a i dzieci wychować; Sowietnik, przykładny ojciec...»

«W guberniach to północno wschodnich, szczególnie panuje ta straszna biurokracya, tu się ona rozmogła bezprzeszkodnie, bezwzględnie.... Dol to straszna; wszyscy tam dzielą się zyskiem, kradzież podnosi się do wysokości instytucyi publicznej. Władza nawet samego cara, która bije jak kartacz, nie ma siły przebić tych podstępnych, błotnistych przykopów. Wszystkie rozporządzenia rządowe tracą tu na swojej mocy, wszelkie lepsze chęci są spacone, rząd oszukany, okłamany, zaprzędany: wszystko to pod maską najwierno-poddanniejszego służalstwa, i z zachowaniem wszystkich form biurowych».

Ze w takim ogólnym zepsuciu wszelkie usiłowania pojedynczych ku lepszemu rozbija się marnie, jest tak smutnym jak naturalnym znowu. P. Hercen kilka takich przytacza przykładów :

«Minister Sperański chciał ulżyć doli ludu sybirskiego. Ku temu zaprowadzał po wszystkich urzędach formę kolegialną, jakby rzecz zależała na tém, jak kto ma kraść, pojedynczo czy szajkami. Usunął stu starych szalbierzy a przyjął stu nowych. Zrazu policya ziemska była w takim strachu, że urzędnicy płacili chłopom, żeby nie chodzili na skargę. W trzy lata, urzędnikom z nowymi formami działało się równie dobrze, jak pierwiej. Znalazł się drugi dziwak, Welaminów. Dwa lata szarpał się w Tobolsku, chcąc obalić nadużycia, ale widząc że to daremna, porzucił wszystko i zgoła się od spraw usunął. Inni mędrsi nie probowali nawet, ale robili fortuny i drugim w tém nie przeszkadzali. — Ja wytępię kubany :



mówił moskiewski gubernator, Sieniawin, do jednego starego chłopa, który mu się skarżył na jakąś krzyczącą niesprawiedliwość. Stary się uśmiechnął. — Z czego się śmiesz? zapytał Sieniawin. — Z przeproszeniem pana, niech się pan nie gniewa, mnie się tak przypomniał zuch jeden, co to mówił, że tę wielką naszą harmatę podniesie; próbował ci — ale jakoś harmaty nie podniósł.... Sieniawin sam później opowiadał tę anekdotę.»

Jednym z istnych upiorów biurokratycznych, które wysysają krew zarządzanych prowincyj, był generał gubernator Pestel, ojciec szlachetnego młodzieńca, którego Mikołaj kazał obwiesić w Petersburgu. P. Hercen ciekawe o tym satrapie zachodniej Syberyi daje szczegóły. «Urządził on jawną i systematyczną grabież w całym kraju, który agenci jego odcięli od reszty państwa. Żaden list nie mógł przejść granicy, żeby nie był rozpieczętowany, i biada temu, kto się poważył coś o jego rządach napisać. Kupców 1szej gildyi po roku trzymał w więzy, w kajdanach, i katował. Urzędników za karę posyłał na granicę wschodniej Syberyi, i tam zostawiał przez dwa albo i trzy lata. Długo cierpieli wszyscy; nareszcie jakiś mieszczanin Tobolski zawiązał się podać to wszystko do wiadomości cara. Bojąc się zwyczajnej drogi, udał się do Kiachty, i z tamąd z karawaną herbaty przeprowił się przez granicę Syberyi. W Carskim Siele udało mu się podać Aleksandrowi zażalenie. Aleksandra przeraziło wszystko co tam wyczytał. Kazał zawołać mieszczanina i w dłuższej z nim rozmowie, przekonał się nareszcie o całej, smutnej prawdzie. — Wracaj teraz bracie do domu, rzekł doń zgryziony i smutny, rzecz ta pójdzie pod rozbiór. — Najjaśniejszy Panie, odpowiedział mieszczanin, ja do siebie teraz już nie wrócę; każ mnie lepiej zamknąć w twierdzy. Ludzie się dowiedzą, że ja mówił z N. Panem i mnie zabiją. — Aleksander wzdygnął się, a obracając się do Międzodowicza, który był wtedy generał gubernatorem w Peter-

sburgu: — Ty mi za niego odpowiadasz, zawołał. — W takim razie, rzekł Miłoradowicz, niech mi wolno będzie wziąć go do siebie, N. Panie! Tak się stało.» Ale nie na tém koniec. «Pestel prawie ciągle żył w Petersburgu. Tutaj obecnością swoją i stosunkami, a nadewszystko zręcznym podziałem grabieży, odganiał wszystkie niemłe pogłoski i żale. Rada państwa, korzystając z wyjazdu Aleksandra, do Werony czy do Akwisgramu, zawyrokowała mądrze i sprawiedliwie, że ponieważ w skardze rzecz jest o Syberyi, zatem oddać wszystko pod rozpoznanie — Pestłowi, który właśnie jest obecny. Miłoradowicz, Mordwinow i jeszcze dwóch członków oparli się temu. Sprawa poszła do Senatu. Senat, ze znaną sobie delikatnością, wyłączył ze sprawy Pestla, a Treskina, cywilnego Tobolskiego gubernatora, pozbawił urzędu i szlachectwa i zesłał na Syberją. Pestla tylko uwolniono od służby!... Mówią, że kiedy syn jego był już na śmierć skazany, ojciec przyjechał się z nim pożegnać. Tu w obec szpiegów i żandarmów, żeby dowieść niezłomnego swego wierno-poddania, syna gorzkiemi obsypał wyrzutami. Ojcowskie połajanie skończył zapytaniem: czegożeś ty chciał? — Długo by o tém mówić, odpowiedział syn ciężko rozżalony, chciałem między innymi, żeby już nie było takich jenerał gubernatorów, jakim ojciec był w Syberyi.»

Z téj strony Uralskiego pasma, utrzymuje nasz autor, nadużycia robią się skromniej. A jednak i tutaj ileżby się to dało powiedzieć o różnych, nieskończonych wybiegach urzędników! «Oto, pisze Hercen, co mi w chwili poufnej gawędki opowiadał z naiwnem uwielbieniem stary Wiatski policmajster: — Niedaleko Wiatki pojawiła się banda łotrów: raz i drugi dają znać do urzędu, że tu kupcom towar zabrano, tam administratora akeyzy z pieniędzy złupiono. Gubernator w kłopotach; rozkazy idą za rozkazami. Pan wiesz, jak policya ziemiska tchórzy. Złodzieja związać i przytransportować,

to potrafi; ale tu panie, banda cała, idź tu z bronią w rękę! Ziemsy nie nie zrobili. Gubernator każe wołać policmajstra: Wiem, mówi, że to zgola nie wasz obowiązek, ale pańskie przywiązanie do porządku pozwala mi się udać do pana. Policmajster wiedział już wszystko na palcach: — Jenerale, rzecz, jadę za godzinę. Te łotry muszą być w tém albo tém miejscu, wezmę z sobą komendę, zdybię ich tu albo tam i za dwa, trzy dni dostawię w kajdanach do zamku gubernialnego. Powiedział, zrobił; łotrów tak przyparł z nienacka, że i pieniędzy ukryć nie zdążyli; policmajster wszystko zabrał i bandę całą do miasta przygnał. Zaczyna się śledztwo. — Gdzie pieniądze? pyta policmajster. — Panie, tośmy je panu sami w ręce oddali, zawołało dwóch łotrów. — Mnie! krzyknął policmajster odchodząc od siebie z zadziwienia. — Panu, wołają łotry, panu. A to zuchwalstwo, proszę, mówi policmajster do przystawa, cały oburzeniem blady, to wy złodzieje gotowicie mnie tu przekonać. Żem ja grabił z wami. Otoż ja was tu nauczę, co to jest czernić mój mundur; ja kornet od ułanów i honoru mego kalać nie dam! Zaczyna się chłosta. — Mówcie gdzieście pieniądze podzieli? Ci swoje ciągle. Dopieroż jak ich nie każe ciąć *na dwie fajki*, jeden z hersztów krzyknął: Darujcie, my pieniądze stracili. — A to tak gadaj, rzecz policmajster; ale ot pleciesz koszalki opalki, a mnie bracie nie prędko wyprowadzisz w pole. — Oj prawda, że nie wielmożny pan od nas, ale my od wielmożnego pana uczyćby się powinni. Gdzie to nam! — mruczał stary łotr z podziwieniem patrząc na policmajstra... Ot i policmajster za tę sprawę dostał krzyż Sgo Włodzimierza, » dodał w końcu swojej pochwalnej mowy na cześć wielkiego policmajstra, biedny rywal; a na zapytanie Hercena co to ma znaczyć owe wyrażenie *na dwie fajki*? — «To już takie nasze domowe wyrażenie, odrzekł zagadniony urzędnik: Pan wiesz, w czasie kary człowiekowi się przykrzy: więc kiedy biją, to tym czasem fajkę



sobie palisz; zwyczajnie z końcem fajki i kara się kończy; a w nadzwyczajnych razach każesz czasem i na dwie fajki uraczyć. »

Najbogatszą kopalnią, powiada nasz autor, dla policyi ziemskiej, są chłopy Wotjaki, Mordwa, Czuwasze, lud mizerny, łękliwy i niezdarny. « Sprawnicy dają podwójny prezent gubernatorom, kiedy ich przeznaczą w powiaty Finami zaludnione. Z tymi biedakami wszyscy bajeczne rzeczy wyrabiają. Jeometra, kiedy jedzie z poleceniem przez wieś Wotjaków, zaraz staje, zdejmując z wózka węgielnice, rozstawia tyki i wyciąga łańcuch. W godzinę ruch we wsi całej: Ziemię mierzą! ziemię mierzą! wołają chłopi, tak jak w 12tym roku wołano: Francuzi, Francuzi! Przychodzi się pokłonić starosta zgminą. Ten wciąż mierzy i pisze. Starosta prosi, żeby dał pokój, ludzi nie gubił. Jeometra żąda 20tu, 30tu rubli. W jednej chwili Wotjaki znoszą pieniądze i jeometra jedzie do sąsiedniej wioski... Kiedy stanowy albo sprawnik znajduje trupa, wożą go jakie dwa tygodnie, na mrozie, po wsiach wotjackich i wszędzie mówią, że tylko co ciało znaleźli, że śledztwo i sąd będzie w tej osadzie; i Wotjaki się okupują. Z Wielkorossyanami trudniej już jakoś. Raz sprawnik zasmakowawszy w okupach, przywiózł tak trupa do wielkiej rossyjskiej osady i zażądał 200 rubli. Starosta zwołuje gminę; gmina nie chce dać jak 100 rubli. Sprawnik nie ustępuje. Chłopi się rozjuszyli, sprawnika z dwoma pisarzami zamknęli do gminnego domu, i sami znowu zaczęli im grozić, że dom ze wszystkiem podpalą. Sprawnik nie wierzył groźbie. Chłopi obłożyli izbę słomą i, niby *ultimatum*, podali mu przez okno 100 rublową na żerdzi assygnacyą. Heroiczny sprawnik żądał jeszcze drugie tyle. — Wtedy chłopi zapalili z czterech stron słomę, i tak zgorzeli trzej Mucyusze Scewole ziemskiej policyi. Sprawa ta była potem w Senacie... »

Dziwny, dziwny zaprawdę jest ten organizm Wszech-Rossyi! Wszystkie koła, kółka i sprężyny w tej machinie do tłuczenia, nienamaszczone i rdzawe zgrzytają, jęczą i skrzypią,... skrzypią,... ale służą i służą wiernie! Ciało cierpi niesłychanie, ale na zewnątrz bólu tego nie zdradza, i wieczny pokazuje rumieniec na twarzy i uśmiech przystygły w oku. Rany wszędzie się krwawią, ścięgnięta na wpół już przegniła, a wszystko jednak przykrywa jasna purpura zdobywcy. Organizm ten od wieków chory, wieki trwa jednak; jutra najbieglejszy nie powie lekarz, a narodowy patolog wreszcie się pytać zmuszony, czy choroba nie jest tu żywotną częścią życia samego, czy za wyrznięciem toczącego raka nie wyleci i dusza? O, bo niewola sący jad, co wszystko rozkłada; bo, że użyjemy słów naszego wielkiego wieszczą, niczem Sybir, niczem knuty, lecz narodu duch otruty, to dopiero bólów ból!... Co właśnie najbardziej przeraża w tej Rossyi, i to nie tyle despotyzm rządu, ile fatalistyczne poddanie, z którym go lud znosi, nie przypuszczając, nie przeczuwając za nim żadnego innego możebnego stanu, cierpiąc — i wielbiąc swoje cierpienia!

Za czasów księcia Kurbskiego, kiedy car kazał jednego ze znakomitych bojarów wbić na pał, ten nieszczęśliwy żyjąc 24 godzin w męczarniach, rozmawiał z żoną i dziećmi stojącymi przy nim, a w ciągu tej rozmowy powtarzał co chwila: « Panie Boże, niech Twoja opieka czuwa nad Carem! ».... Tak było za czasów Kurbskiego; jestże inaczej za czasów Hercena? Odpowiemy na to jednym charakterystycznym faktem, który sam ten autor zanotował. W drodze do Permu, przeprowadził się przez Wołgę. Prom gnany wiatrem utknął gdzieś i woda zaczęła się dobywać przez szpary. Przewoźnik, muzyk, w okropnym był strachu; prom był rządowy i biedny brodacz wołał ciągle: « jak zatonie, co mnie będzie! co mnie będzie! » Pan Hercen go pocieszał, że wtedy i on z promikiem utonie. — « Dobrze paniczku, odpowie-

dział, jak utonę... a jak nie? » *A jak nie?!.....* To słowo warte owęj modlitwy w białego na pal bojara, warte dantejskiego napisu « *lasciate ogni speranza* » : jest ono najwymowniejszym komentarzem sławnego wiersza naszego poety o *heroizmie niewoli...*

Nie przebaczylibyśmy sobie, gdybyśmy streszczając dziełko *Turma i Ssyłka*, nie wspomnieli o tych, których pan Hercen nie przepomniął : o męczeńskich braciach naszych na Sybirze. My tak mało przecież o nich wiemy, tak rzadkie ztamtąd dochodzą nas wiadomości, tak głucha w literaturze naszej wieść o nich ! Biedne notatki Kopcia, trwożne, pod cenzurą moskiewską pisane wspomnienia Felińskiej, wyjątek z dzieła Piotrowskiego o śmierci Sierocińskiego (1) : oto jedynie ogłoszone dotąd kartki z tego wielkiego martyrologu ! Pan Hercen tylko część najmniej cierpiącą naszej sybirskiej widział braci, tę co na najłżejszą skazana karę, samego *posielenia* w guberniach najmniej odległych. Autor nasz już za Niższym Nowogrodem spotykał Polaków. Od Kazania liczba ich wzrastała; w Permie było ich 40 ; tyleż w Wiatce, oprócz tego po kilku w każdym powiatowém mieście. « Żyli oni powiada p. Hercen, z daleka od Rossyan, i unikali wszelkiego zetknięcia się z mieszkańcami. Między sobą przestrzegali wielkiej zgody i jedności, ale dla Rossyan towarzystwo ich było niedostępne. Ze strony mieszkańców nie widziałem ku nim ani nienawiści, ani żadnego szczególnego usposobienia. Uważano ich jak obcych; do tego prawie żaden z nich nie umiał po rossyjsku... W ogóle Polakom zesłanym na mieszkanie nie dokuczają, ale materyalne położenie tych, co pozbawieni są majątku, jest straszne. Rząd daje

(1) P. Rufin Piotrowski, który po długim przebywaniu w tej krainie lez i lodów, wydobyl się zeń cudem i teraz wspólnie z nami dzieli tu-lactwo, wygotował obszerny opis, ale niedość pilnym powierzył go ręk. Upraszamy w imię polskiego sumienia interesowane osoby, aby się dłużej nie ociągaly z wydaniem tego dzieła.



potrzebującym po 15 rubli assygn. na miesiąc; z tego trzeba opłacić wszystko: mieszkanie, suknie, życie i opał, w większych miastach, jak Kazaniu, Tobolsku, można było coś zarobić, dając lekcyę, koncerta, grywając po balach, rysując portrety, i t. p. W Permie i Wiatce i tój rady nie było. Mimo to, Rosssyan o nic nigdy nie prosili... »

Miło nam słyszeć z ust Rosssyanina świadectwo tak przyjazne i tak pochlebne o naszych biednych w Syberyi pokutnikach, i z całego serca składamy mu za nie dzięki. Nie możemy wszakże przepuścić bez uwagi innego o tym samym przedmiocie ustępu. « Jeden zacięty Sarmata, pisze p. Hercen, stary oficer od ułanów Poniatowskiego, który odbył parę kampanii pod Napoleonem, otrzymał w roku 1837 pozwolenie powrotu na Litwę. Dniem przed wyjazdem, stary ułan zaprosił mnie i kilku Polaków na obiad. Po obiedzie, mój podochocony kawalerzysta przyszedł do mnie z kielichem w rękę i uściskawszy serdecznie: czemużeś pan Rosssyanin! szepnął mi do ucha. Nie odpowiedziałem ani słowa; ale uwaga ta głęboko mi utkwiała w sercu. *W tój chwili zrozumiałem, że temu pokoleniu nie dano było Polski odbudować.....* » A jednak, odpowiemy na to panu Hercenowi, to właśnie pokolenie napisało na chorągwi 1831 roku słowa: *za naszą i waszą wolność!* Niechaj autor pomyśli, jak mało w Rosssyi jest matek Wadima, a jak wiele za to takowych muzyków z promu nad Wołgą; niechaj sobie przypomni, że Aleksander I w dobrych swoich chwilach nazywał siebie tylko *przy- padkiem w swoim narodzie...* a wtedy może go nie tyle zdziwi słowo naszego wiarusa!

Jeden z wielkich geniuszów Francyi, który nieraz cudowną intuicyą odgaduje, czego mu olbrzymia wiedza nie podaje, powiedział to głębokie słowo: « *Rosssyanin może czasem być wpaniatomysłnym, sprawiedliwym nigdy!...* » Gdybyśmy się nie obawiali przekroczyć wy-

tkniętej sobie granicy prostego na teraz sprawozdania, zaleciłibyśmy to słowo do rozpamiętywania panu Her-  
cenowi w jego propagatorskim zawodzie. Powiedzieli-  
byśmy jemu, że *wspaniałomyślnymi* teoryjami socyalnej  
ewangelii nie dopomoże swemu narodowi; że narodowi  
temu potrzeba przedewszystkiē *uczucia sprawiedli-  
wości*, chrześciańskiej moralności, w wielkich jak i naj-  
drobniejszych sprawach życia, aby się mógł wydzwignąć  
ze swego upodlenia, i że ku rozbudzeniu tychto głównie  
uczuc i myśli, dobrze zrozumiany rossyjski patryotyzm  
powinien skierować wszelkie usiłowania swoje... Po-  
zwolimy sobie przynajmniej zastrzedz, że właśnie to  
uczucie sprawiedliwości nas od Rossyan zawsze różniło  
i dotąd różni : stanowiło ono całą istotę naszych dzie-  
jów, stanowi całą siłę naszych nadziei. Potrafiliśmy  
nieraz być wspaniałomyślnymi; potrafimy nawet kiedyś  
wspaniałomyślnie przebaczyć i Moskałom; ale niechaj  
to wiedzą ci wszyscy, którymbyśmy tak chętnie podali  
dłoń, wspólnym okutą łańcuchem : nie nastąpi to póty,  
póki sobie nie wywalczymy — sprawiedliwości!

---

## O ZABAWACH.

28 marca.

Dzienniki krajowe, zajęte już opisywaniem lub zapowiadaniem zabaw postnych, nie przestają jeszcze brzmieć odgłosem zeszłego karnawału. Winne to one swoim korespondentom, których listy bądź przez piszących trochę opóźnione, bądź zaległe w archiwach redakcyjnych, dopiero teraz wstępują powoli w kolumny pism codziennych. Korespondenci wszystkich w ogólności dzienników krajowych, nabyli nieprzeciężonego nałogu do bardzo szczegółowych sprawozdań z balów, teatrów i koncertów; celują jednak pomiędzy nim wrocławscy i berlińscy. Dzięki tym doniesieniom, możemy wiedzieć z całą ścisłością statystyczną, jak się bawiono, nie tylko w Warszawie, w Krakowie, w Poznaniu, we Lwowie, w Radomiu, w Suwałkach, po różnych okolicach Królestwa na wsi, ale nawet we Wrocławiu, Wiedniu i Berlinie. Wiadomości tego rodzaju z miejsc własnych, mogą być do pewnego stopnia zajmujące i użyteczne, ale co kogo obchodzi drobiazgowo i często powtarzane opowiadanie, jak się Niemcy bawią, lub



w jakim są usposobieniu do rozrywki? Czytając listy korespondentów wrocławskich pisane dobrze po polsku, napotykając w nich często wyrażenia : « tu u nas, te nasze, ci nasi i t. d., » widząc nakoniec z jakim upodobaniem pióro autora trzymało się tego przedmiotu, myśl mimowolnie wychodzi z rzeczywistości w krainę złudzeń i przypuszczeń. Pytamy sobie : cóż się to stało; czyliż znowu Wrocław miastem polskim, z kądże to jego pobratymstwo z Warszawą? Wpadamy na filozoficzne wnioski, że jak nieraz w naturze to samo co było przyczyną zguby, staje się początkiem bytu, tak i w historii zdarza się coś podobnego : hulactwo i chęć używania wydarły niegdyś Szląsk z rąk Piastów; uniwersalne teraz panowanie ducha zabaw połączy w jedność rozszarpane części! Przy wszystkich jednak marzeniach i dziwactwach zbałamuconej myśli, niepodobna żeby w sercach polskich nie odzywało się coś głosem biednej Krasickiego żaby : « Dzieci wy się bawicie, mnie chodzi o życie. »

## ZDANIA JENERAŁA ZAŁUSKIEGO

O POWIEŚCIOPISARSTWIE POLSKIM.

---

28 marca.

Z prawdziwą przyjemnością odczytaliśmy w *Dzienniku literackim* lwowskim, kilka słów hrabiego Józefa Załuskiego. Autor napisał je z powodu zamierzonych we Wrocławiu tłumaczeń romansów polskich na język niemiecki. Ktoś donosząc o tém w *Czasie*, dodał uwagę : « Nie wątpię, że tak tłumaczowi, jak wydawcy wiele na tém zależeć będzie, aby pokazali literaturę naszą z najoryginalniejszej strony. Spodziewamy się tedy, że w bibliotece polskich romansów nie będą pominięte wyborne utwory Rzewuskiego, jak *Pamiętniki Soplicy* i t. d. » P. Załuski inaczej sądzi, a sądzi zdaniem naszeru zdrowo. « Nie wszystko, mówi on, co się nam krajowcom *podobac może*, godzi się podawać do wiadomości Europy. — Już oddawna zapatrywałem się z ubolewaniem na to rubaszne upodobanie operzystów, komików i powieściarzy naszych, którzy, zacząwszy podobno od Bohomolea, nie widzą powabniejszej po-

staci, jak owego brzuchatego ekonomy lub szlachcica z sumiastym wąsem, podgoloną z tatarską czupryną, z batogiem wiszącym u pasa, i t. d. Czyż kańczug może być narzędziem wzbudzającym śmiech, czy nie może być konceptu bez batoga? A cóż dopiero, te wieczne pijatyki! Ów książę (*Panie Kochanku*), pierwszy magnat kraju, siedzący jak Bachus na beczce! ... ów Wołodkiewicz batożący nahajem z boćkowskiej fabryki sąd, na stole sądowym!..... i tyle innych sprośnych excesów samými batogami i kuflami przepełnionych, jakie się dają czytać nie tylko w *Pamiętnikach Soplicy*, ale i w licznych powieściach najulubieńszych naszych powieściopisarzy? Czyż to są obrazy narodowości polskiej?..... *Lavons notre linge sale en famille*, i nie tylko sami nie ogłaszajmy naszych brudów, ale starajmy się, żeby przyjaciele nasi obcy nie ogłaszali takowych. Dzieje nasze, ustawy nasze, od najdawniejszych aż do ostatnich czasów, bohaterstwo, poświęcenie, tysiące przykładów wzniosłych wystarczą, bez owych postaci bijących, pijących, topiących, strzelających ludzi na drzewach jak kukułki, t. t. p., o których my sami, cichaczem tylko, i to ze zgrozą wspominać powinniśmy. » Przyklaskując z całego serca tak rozsądnej radzie, nie może i tu wstrzymać się od przytoczenia uwagi, która nam się w wielu okolicznościach nasuwa i którą dlatego nieraz jeszcze przypomnimy. Starsze od naszego pokolenie, pokolenie Czackich, Staszyców, Niemcewiczów, które tych scen rubasznych i tych nadużyć naoczném jeszcze było świadkiem, w dziełach swych i pismach licznych niechętnie o nich wspomina, raczój je tłumaczy, a nigdy ich z lubością nie opisuje. Mania poetyzowania pijanych czasów Saskich za naszej dopiero epoki wylęła się, i nie trwa podobno dłużej lat dwudziestu. Ale — dzięki Rzewuskim, Wojcickim, Kaczkowskim i tylu innym z talentem i bez talentu pisarzom, tak się upowszechniła, że dziś bez kufla i batoga niejednen nie rozumie już przeszłości pol-



skiej, może nawet..... charakteru narodowego. Większe jest w tém zło, niżeli na pozór wydawać się może. Pijacka woń przeszłości niezawsze dozwala rozpatrzeć się trzeźwo w stanie dzisiejszym!

---

## POMNIKI PRAWA POLSKIEGO.

PRZEZ A. Z. HELCLA.

---

18 kwietnia.

Chociaż zakres i cel naszego pisma zarówno nam odradzają podejmować rozbiór dzieł czysto naukowych, które dla pewnej i szczupłej tylko klasy czytelników przeznaczone, zrzekają się bezpośrednio wpływu na ogół narodu, nie możemy jednak przepuścić w milczeniu znakomitej pracy, którą zasłużony oddawna uczony, w prawdziwem tego słowa znaczeniu wzbogacił świeżą literaturę ojczyzną. Poważność zresztą przedmiotu, jak mistrzowskie jego obrobienie, wyprowadzają dzieło pana Helcla (1) z ograniczonej sfery czystej erudycyi i stawiają je w rzędzie tych prac szczęśliwych, które, jeśli głębszego poznania spodziewać się tylko mogą po rzadkich wybranych, powszechnego uznania i dziękczynienia żądać mają prawo od całego narodu, od każdego któremu drogą jest przeszłość swego kraju i miłą chwała polskiej nauki. Rozległa wiedza, sumienne przejęcie się przedmiotem i wyczerpanie wszelkich środków do jego

(1) *Starodawne Prawa Polskiego Pomniki*, wydał Antoni Zygmunt Helcel. Tom I, in 4 maj., Kraków i Warszawa, 1856 r.

zglębienia, śmiałe wyzwanie trudności i jak najszcześliwsze ich pokonanie, nakoniec i przedewszystkiém, gorąca miłość do rzeczy i wspomnień ojczystych, — ale nie to upodobanie bezpłodne a dziś tak powszechne i powszednie, które w starożytnościach krajowych szuka martwój zabawki i marnego zaspokojenia sumienia i niemi swą próżność zasyca i swe próżniactwo zapełnia, lecz ta miłość prawdziwa i szlachetna, która jest siostrzycą wiary i nadziei, która się nie lęka trudu i z własnej żyje ofiary: te są zalety i cechy wielkiego dzieła p. Helcla. Utwór to, z którego się słusznie przed całą oświeconą Europą pysznić możemy, a który my przedewszystkiém tutaj z radością i wdzięcznością witamy jako żywy i życiodajny objaw tego ducha obywatelskiego, który jedynie mógł użyzyć autorowi sił i chęci do wytrwania w tak mozolnym zawodzie, jak nie wątpimy, że mu użyczy nadal i środków do osiągnięcia zamierzonego celu. Ogłoszenie takiego monumentalnego dzieła wymaga nadzwyczajnego nakładu, i wydanie dalszego ciągu téj pracy zależeć ma od udziału, jaki pierwszy tom znajdzie w naszej publiczności. Nie wątpimy, powtarzamy, że kraj godnie odpowie takiemu wezwaniu, i nie odmówi pomocy do wydobycia na jaw i odsłonięcia całkowitego pomnika, który niezmordowana ręka mistrza przez dwadzieścia lat zżórą w zaciszy samotnych badań ciosała dla chwały narodu.

Pierwszy ten tom *Pomników prawa polskiego* poświęcił p. Helcel prawodawstwu wiślickiemu Kazimierza Wielkiego i okazał się od razu tym niezwykłym, genialnym badaczem, jakiego *u nas* wymaga wszelka gałąź historycznej nauki. Bo, jak słusznie sam autor uważa, jeśli gdzieindziej badacze dziejów, z przygotowanych dawno i każdemu otwartych źródłowych materyałów, składają tylko całość, w miarę indywidualnej zdolności mniej lub więcej trafną i piękną: u nas, do zestawienia dziejów naszych, nie dość budować i wiązać, nie dość



nawet ciężkie do budowli obrabiać sobie i przynosić ciosy; ale jeszcze gładów po górnierzemu, w podziemnych ciemnicach szukać potrzeba. Aby dokładny i wspaniały dać obraz Kazimierzowego dzieła, nie dosyć było naszemu autorowi wyjaśnić nader wątpliwą dotąd i ciemną historią samego już faktu tak zwanego wiślickiego prawodawstwa; nie dosyć mu nawet było wskazać, oddzielać, zrestaurować, a co większa wydowodnić kilka osobnych pierwiastkowo żywiołów, z których każdy odrębnym był zrazu prawodawczym utworem a później dopiero stał się częścią składową owęj mieszaniny przepisów i artykułów, którą *Wiślickim Statutem* nazywać przyuczono się. Trzeba było jeszcze nadto, i jako pracę przedwstępną do wszelkich innych, przez porównanie najróżnorodniejszych i z najróżniejszych wieków datujących rękopismów, postarać się o przywrócenie czystego i autentycznego tekstu pierwotnych statutów Kazimierzowych. Trzeba było, jedném słowem, dwoić się, troić na historyka, prawnika i paleografa; wśród nagromadzonych wiekami gruzów wybierać drogie kamyczki które pierwotną składały mozaikę, starannie je oczyszczać i dawną im farbę przywrócić, z ich załomków i kształtów wnosić o ich dawném zamieszczeniu i zespoleniu, a nad tą znowu masą szczegółów nie stracić z oczu głównego rysunku, tylko przeczutego a nigdzie wyraźnie nie wskazanego..... A jednak, wszystkim tym i tak różnorodnym zadaniom z równą doskonałością sprostał znakomity uczony w tém swoim dziele; i genialnym budowniczym i twardych rzemioł pracownikiem potrafił być zarazem.

Tak zwany Statut Wiślicki przechował się nam w kształcie, który ani dokładnego zrozumienia Kazimierzowego prawodawstwa nie dozwalał, ani nawet wielkiego szacunku nie obudzał dla dzieła i wieku w którym ono powstało. Trudno było uznać i usprawiedliwić podziwienie i poważanie, które legislatorska czynność Ka-

zimierza znajdowała u współczesnych i potomnych, w obec téj dziwnej mieszaniny przepisów bez ładu, bez systemu, pełnej powtarzań i sprzeczności, pozbawionej najgłówniejszój zalety jasności i związku, jaka powinna cechować wszelki zwód prawny. Ale ta właśnie niesforność w ogólnym układzie i sprzeczność w szczegółach, musiała z czasem naprowadzić na myśl, że statut w formie, w jakiej się upowszechnił, nie jest autentycznym, takim, jakim wyszedł z rąk swego twórcy; że obce napływy zamąciły pierwotne i czyste źródło. Czacki pierwszy poczuł tę prawdę, znalazłszy do niej powód w rękopismach, które miały osnowę odmienną od textu pospolicie używanego i drukowanego. Później Lelewel, z tą krytyczną bystrością która go we wszystkich naukowych pracach odznacza, wyróżnił osobne i w początkach niezawisłe od siebie prawodawcze żywioły, które z czasem w skład, czyli raczej w bezład upowszechnionego textu weszły. Jeśli badania Lelewela i bezimiennego autora *Przyczynku* (w 49 tomie *Biblioteki Warszawskiej*) jedyną prawdziwą wskazały drogę w porównaniu pozostałych nam w rękopismach dawnych textów Statutu i niejednym genialnym błyskiem ciężką mgłę rozświeciły, nie doprowadziły one jednak do zupełnego rowikłania zagadki, owszem, pod niejednym względem jeszcze ją bardziej zagmatwały. Do ostatecznego bowiem jój rozwiązania, trzeba było przedewszystkiém postarać się o jak najpełniejsze i najwszechstronniejsze porównanie wszystkich możebnych, t. j. przechowanych i ocalonych dotąd textów: to zaś nie było w mocy uczonych poprzedników p. Helcla. Tak Lelewel jak autor *Przyczynku* ograniczali się na tych rękopiśmiennych wersjach, które mniej lub więcej szczęśliwym trafem odkryć się im udało, i wyprowadzali wnioski, już tém samém wątpliwe, że na częściowych tylko poszukiwaniach oparte. Przychodziła do tego jeszcze szkodliwa acz tak naturalna pokusa stawiania hipotez tam, gdzie *teza*

właśnie jest takim trzęsawiskiem, chęć wylatywania myślą w krainę przypuszczeń tam, gdzie podstawa faktów co chwila z pod nóg się wymyka. Lelewel n. p. raz rozpoznawszy osobne prawne żywioły w naszym Statucie, nie wahał się zaprzeczyć ich Kazimierzowi Wielkiemu a przypisać je raczej jego poprzednikom, Łokietkowi, Bolesławowi Wstydliwemu, Kazimierzowi Sprawiedliwemu, ba nawet Chrobremu! To co do nas doszło w wulgacie wiślicką zwaną, za ledwie w małej i małoważnej części należałoby do czasów Kazimierza Wielkiego; większa i najważniejsza część owszem sięgałaby, nie tylko z przedmiotu swego, ale i z myśli, i często z samej osnowy, XIII, XII i XI wieku. Rezultatem teorii Lelewela jest, iż Kazimierz W., a właściwiej mówiąc oświata ówczesnej Polski, w owym tak głośno sławioném prawodawstwie Wiślickiém, na nic innego zdobyć się prawie nie mogła, jak tylko na bezrozumną chwytaninę i zrzućcenie na kupę poszarpanych i sprzecznych między sobą okrucich dawniejszych ustaw, bez braku i ładu, bez myśli i następstwa; a zamiast zbawienności szwank tylko większy potrzebie publicznej przyniosło wiślickiego sejmu dzieło, mnożąc sowiec dawne krajowych ustaw sprzeczności i wątpliwości. Tak rozbierając i wrywając ciekawie liść po liście, ogołocił wielki badacz najpiękniejszy kwiat z tego wienca złotych kłosów, który zdoła, w historii, skronie *Króla Chłopów!*

Zabierając się do krytycznego wydania i wyjaśnienia dzieła Kazimierzowego, postarał się pan Heleel o najpełniejsze zebranie wszelkich przechowanych dotąd rękopiśmiennych kodexów. Odszukał ich dwadzieścia ośm; większą część ich, i najważniejszych, miał rzeczywiście pod ręką, do innych o których (jak do petersburskich) przystęp był trudny (niepodobny, rzeklibyśmy śmiało, znając gorliwość i sumienność autora), postarał się przynajmniej powziąć jak najdokładniejsze wiadomości. Porównyując z cierpliwością dawnego Benedyktyna,



wszystkie tych rozlicznych i z najróżnorodniejszych epok datujących tekstów warianty, wezwawszy w pomoc rozległą wiedzę historyczną, prawniczą i filologiczną, wezwawszy w pomoc przedewszystkiém tego ducha twórczego (*Creator spiritus*), bez którego marne są wszystkie ludzi zabiegi, odtworzył nam wielkie dzieło Kazimierza w czystości, w całości, w tym poważnym stroju, który przejmuje czią i podziwieniem, w tym ładzie, który w głębokiej filozoficzności naszego języka, już wywołuje myśl ładności. Bacząc na wszystkie odmiany, na styl i gramatyczne formy właściwe tylko pewnej grupie paragrafów, porównywając tok ich z powszechnym w owych wiekach praw układem, ścigając jedności logicznej myśli w przerywanych i rozrzuconych frazesach, śledząc właściwości każdego przepisu, każdego wiersza, każdego słowa z krytyką mikrospoczną obserwacji a najszerszego zarazem poglądu na całą epokę ówczesną, na jej historią, jej oświatę, jej sposób myślenia i uważania, rozrzuca pan Helcel całą tak zawiłą, tak zagmatwaną budowę Statutu, w formie w jakiej się upowszechnił, rozkłada źle z sobą spojone a do siebie nie należące tej budowy kamienie, i znowu je potem łączy i wiąże i grupuje według wskazówek tekstowych pokrewieństwa stylu, logicznej konieczności i zwykłej ówczesnej ustawodawczej rutyny. Tym sposobem, z chaosu wiślickiej wulgaty powstaje świat kształtny i poważny, powstaje raczej pięć światów — bo aż pięć osobnych, od siebie niezawisłych, a w sobie organicznych całości, wyróżnia pan Helcel w tym dedalowym gmachu, i każdej z osobna daje pełną rekonstrukcją. Wszystkie one są dziełem jednego króla, jednego Kazimierza, ale w różnym czasie, w różnych miejscach, i w różnych dążnościach powstały. Nasamprzód wynurza się statut wiślicki małopolski z roku 1347; następuje potem statut piotrkowski wielopolski, daty wątpliwiej; dalej, małopolski, między rokiem 1354 a 1368 wydany;

nakoniec wiślicki, powszechny, z r. 1368; oprócz tego zaś wyróżnia się jeszcze osobna kategoria artykułów, ułożonych w formie sądowych rozstrzygów, w rodzaju znanych w średniowiecznym prawodawstwie *casus secundum ordinem juris*, a stanowiąca niejako dodatek do pierwszego statutu z roku 1347.

Mogliśmy dać tylko ogólne wyobrażenie i ostateczny rezultat tych badań, których główna zaleta leży w szczegółach, w pracy mozolnej i atomowej około nieskończenie małych kamyczków, cierpliwie i umiejętnie w gmach wspaniały ułożonych, w bystrości krytycznej, korzystającej z najdrobniejszych wskazówek, a sumiennosci naukowej, nie omijającej nigdy choćby i największych trudności. My, którzy tylko publicystami jesteśmy, z publicznego też tylko, obywatelskiego stanowiska chcieliśmy się zapatrywać na to dzieło, którego naukowe ocenienie zostawiamy głosom bardziej upoważnionym i pismom mniej wyłącznym. My witamy w nim pocieszający objaw sumiennej pracy, miłości dla kraju, przejęcia się szczerego obowiązkiem w raz obranym zawodzie, wzór dobrej woli, czystej myśli i niezmordowanej usilności, wzór, który oby licznych znalazł naśladowców na każdym polu narodowej służby! My, którzy w każdym fenomenie naszej umysłowości, przedewszystkiém fenomenologii ducha narodowego badamy, pozwolimy sobie wkońcu pod tym tylko względem zwrócić uwagę na charakter naukowego kierunku tego znakomitego autora.

Co nas najwięcej ucieszyło, zachwyciło w krytycznym wywodzie pana Helcla, to jego trzeźwość i umiarkowanie, to ten jasny i zdrowy pogląd na rzeczy ze staranném unikaniem wszelkiego jasnowidztwa, to to skrzętne pilnowanie pewników wiedzy i prostych danych, bez zapuszczania się w krainę marzeń i nadzwyczajności. Nasi uczeni, i najznakomitsi nawet między nimi, tak mało nas przyzwyczaili do takiego sposobu pojmowania

obowiązków badacza i dziejopisa; z nich przecież tak rzadko który raczy być prostym Herodotem, z nich przecież kaźden woli być Kolumbem nowęj części świata i czasu! Ten nieszczęśliwy pociąg do nadzwyczajności, który nam każe odbiegać jasnego i określonego stanowiska dla fantastycznych urojeń, rzucać biedną naszą ziemię dla zawieszenia się w obłokach, pociąg ten cechuje wszystkie objawy naszego życia tak obywatelskiego, jak literackiego i naukowego. Winszujemy z całego serca panu Helcelowi, że tęg tak powszechnęj pokusie nie uległ. Tyle osiąść nauki, a zaprzestać na przywróceniu dzieła Kazimierzowego, zamiast wywrócenia wszelkich dotychczasowych pojęć o naszej historii! W tyloletnięj znojnęj wędrówce po bezdrożach przeszłości, nie spróbować ni razu wycieczki w jakiś świat zupełnie nieznaný : *facilis adscensus Averno!* I gdy Lelwel już pierwszy zwodniczy dał przykład odnoszenia głównieszych przepisów statutu Wiślickiego do czasów Bolesławowych, nie iść dalej tym torem, nie odkrywać w tych paragrafach wieszczym duchem « miana słowiańskiego, » trackiego, perskiego, assyryjskiego, ale skromnie się ograniczyć na ich zrestaurowaniu i złożeniu w kornym hołdzie królowi-restauratorowi!... Zaprawdę, rzadki to przykład wstrzemięźliwości i trzeźwości w polskim umysłowym świecie!

My, tylko naszą wdzięczność możemy wynurzyć autorowi, za ten zdrowy i jasny kierunek, który potrafił nadać swoim badaniom, za to przywrócenie do dawnęj chwały wielkiego legislatora z Wiślicy. Całemu charakterowi rządów tego króla, jakżeż pięknie odpowiada ten jego zawód prawodawczy! Jakżeż pięknie szczególnięj w rozmiarach, które tęg działalności naznaczył pan Helcel! Bo wywód naszego autora okazuje niezbicie, że ten fakt wiślickiego ustawodawstwa nie był, jak to dotychczas pozór miało, jakimś oderwanym, wyskokowym czynem jednego roku, w którym król naraz zwołał



więcej, i na nią jako tako ukleił i w potworną zszył całość luźne i różne dawne statuta i przepisy. Prawodawstwo Kazimierza w obrazie, który przed nami autor *Pomników* roztoczył, przedstawia się nam przeciwnie, jako zwolna dojrzewający owoc więcej niż dwudziestoletniej, w różnych miejscach rozpoczętej i z wielką wytrwałością, przezornością i energią prowadzonej pracy, jako dzieło długo przygotowywane i rozważane, coraz odnawiane i ulepszone, i nie bez wielkich trudów i zachodów ostatecznie ukończone. A jeśli każda bajka ma swoje naukę — czemużby takiej nie miała mieć i każda prawda, a przedewszystkiém ta wielka historyczna prawda, którą z gruzów zamglonej przeszłości wyprowadził na jaw uczony autor *Pomników*?...

Mamyż całą naszą myśl wypowiedzieć, bez względu na szydercze politowanie, które może wywoła?... I czemuż, gdy wielu z naszych rodaków i właśnie w tém mieście z którego piszemy, widzi i chwytą znaki przeszłości w kręcących się stolikach, w wyzwanach duchach i wylatujących z kieszeni chustkach, nie mielibyśmy i my, z naszej strony, przyznawać się do jakiejś zabobonnej wiary, w każdym razie niewinniejszej i w poważniejszym czerpanej przedmiocie?... Otóż, czytając znakomite dzieło p. Helcla, nie mogliśmy się oprzeć myśli, przywitania w niém jakiejś *signatura temporis*; to wyzwanie ducha Kazimierza Wielkiego, przez wielkiego historycznego mistrza, zdawało się nam być dobrą wróżbą!... Za czasów, gdy się o wewnętrzną naprawę Rzeczypospolitej starano, za czasów sejmu czteroletniego, imię syna Łokietkowego było we wszystkich ustach, spotykało się pod piórem każdego pisarza; Niemcewicz szczególniej był niezmordowany w głoszeniu jego chwały. Później, wielka ta postać usunęła się z horyzontu naszych myśli, zamglona dymem działań wojennych i marzeń mistycznych: a mistrz nieśmiertelny, gdy z katedry paryzkiej ogłaszał dzieje Słowian,

nie znalazł ani jednego słowa uczczenia dla Kazimierza Wielkiego... Miałoby być bez znaczenia, to nowe i poważniejsze nierównie pojawienie się tak znakomitej, tak znaczącej postaci w obecnej właśnie chwili — i miałoby przejść bez żadnej dla nas nauki, bez żadnej dla kraju korzyści?...

Całe panowanie Kazimierza Wielkiego, powiada nasz autor, przedstawia obraz powolnego lecz pewnego i skutecznego odzyskania strat i odbudowania dawniej potęgi państwa. Nie o pomście i wetowaniu od razu wszystkich krzywd doznanych, lecz o unikaniu nowych i przygotowaniu się na przyszłość przedewszystkiém król ten zamyślał. Umiał czekać na porę korzystniejszą, a potem mądrze i rączo działał przy każdej zdarzonej okoliczności. Przewornie, wcześniej, środki przyspasabiał do celów odkładanych napóźnie, i był baczny na wszystko i zawsze. Otrzymawszy w spuściznę kraj rozszarpany, ścieśniony i zrujnowany, zostawił go swym następcom silnym i zjednoczonym, zdolnym do wielkich przedsięwzięć, zdolnym do odzyskania ziem przemocą wydartych, a do tego rozmnożenia się Polski, « nie przyczyniły się ani skarby obce, ani obcy przyjazny oręż : siły państwa w kraju same się wzmogły, przez mądrą wewnętrzną pracę... »

Nie bez wielkiej analogii z temi Kazimierzowými, chociaż nierównie smutniejsze, są czasy w których żyjemy. I my tylko kraj rozszarpany i zbolewały odebraliśmy w spuciznę; i my, jak Kazimierz, nie widzimy przed sobą, w obecnej chwili, możliwości wojny i odwetu... Ale jeśli każdy z nas w swoim zawodzie i na polu działania które mu zostało, natchnie się duchem i przykładem wielkiego króla; jeśli przez mądrą wewnętrzną pracę będziemy się starali o wzmożenie sił w kraju; jeśli, jak on, będziemy dbali o naszą reformę i o naszą oświatę; jeśli będziemy umieli czekać na porę korzystną, a przy zdarzonej okoliczności mądrze i rączo dzia-

łać; jeśli przezornie, wcześniej, środki przysposobimy do celów odkładanych na późno i będziemy baczni na wszystko i zawsze; jeśli każdy szlachcic na swój zagrodzie, zamiast starać się w zbytkach i marnotrawstwie dorównać wojewodzie, zechce, jak wielki syn Łokietka być *królem chłopów*: w tedy może i nam daném będzie zostawić wnukom naszym «murowaną» i odbudowaną tę Polskę, którą nam ojcowie w ruinach przekazali, i patrzący z góry Bóg, który już depuścił, abyśmy na polach Wawru i Dętego odnowili przedwstępne dzieło Płowców, dozwoli nam doczekać się ostatecznego powtórnego Grunwaldu!...

---



## PODANIE SZLACHTY GUBERNII WITEBSKIÉJ.

---

16 maja.

Kiedy tak często dają się słyszeć pogłoski o jakimś łaskawém pochyleniu się Rossyi ku Polsce, kiedy na nie-szczęście znajdują się pomiędzy nami nierozważne albo rozdrażnione umysły, gotowe wierzyć, że moglibyśmy rzucić się w objęcia tego mocarstwa zachowując całkiem naszą narodowość: nie będzie zapewne bez wagi wzmianka o dokumencie urzędowym, który chociaż nieco dawniej daty, doszedł nas dopiero teraz, a pokazuje jasno jak rząd rossyjski kwestyą narodowości polskiej traktuje.

Wkrótce po wstąpieniu na tron Aleksandra II, prowincye nasze polskie, zwane guberniami zachodniemi, zajęły się ułożeniem prośb o przywrócenie im choć cząstki praw i używalności za ostatniego panowania wydartych. Nie będziemy tu przypominali jakie okoliczności miejscowe dały popęd i otuchę tym przedsięwzięciom, dosyć, że za przykładem gubernii wileńskiej poszły kowieńska i grodzieńska, a za temi mińska, wołyńska i dalsze. Wszędzie ograniczono się do tych samych punktów, i wszędzie jednakim tonem bojaźliwej i najpokorniejszój supliki wyrażono żądania. Redakcyja prośby ułożonej w Wilnie, służyła podobno za wzór wszystkim innym. Jedna tylko gubernia witebska uznała za rzecz właściwą pójść swoim osobnym torem. W stronach tych, na krańcu niegdyś rzeczypospolitej

położonych i najdawniej oderwanych od niej, szlachta obradująca ożywiła się nadzwyczajnym duchem narodowym, okazała wiele energii i zapału. Prośby innych gubernij uznano za zbyt krasomowne a niedość mówiące, prośbę swoją postanowiono napisać skromnie, ale dobitnie. Istotnie, odznacza się ona prostotą i godnością w rozważnie zakreślonych sobie granicach żądań. Obytele gubernii witebskiej odzywają się do najpotężniejszego i najmiłociwszego monarchy w tych niewielu wyrazach : « Cześć dla wiary przodków, miłość narodowego języka, którym dzieci nasze mówią od kolebki, w którym zanosimy modły do Boga i w potoczném życiu wyrażamy myśli i uczucia nasze; niemniej też wzgląd na użyteczność jakaby wynikła dla kraju, gdyby młodzież uboższa mogła odbierać wychowanie wyższe, którego teraz z powodu odległości uniwersytetów jest pozbawiona, skłaniają nas złożyć u podnóżka tronu Twego, Najjaśniejszy Panie, najpokorniejszą prośbę abys raczył : 1° Dozwolić naprawiać upadające i budować nowe kościoły katolickie, z ustanowieniem przy nich gdzie potrzeba parafij miejskich i wiejskich. 2° Zalecić nauczanie języka polskiego we wszystkich szkołach. 3° Założyć uniwersytet w Połocku, lub w inném dogodnym do tego miejscu. »

Prośby gubernii wileńskiej i dalszych, których przesłania podjął się generał-gubernator Bibików i z przyjęcia na swe ręce dał rewers, nie były nawet otworzone w Petersburgu. Generał-gubernatorowi dano nopomnienie, czyli *wygovor*, a pakiet zwrócono z nadpisem, że N. P. wiedząc co się w nim znajduje, kazał go odesłać z nieukontowaniem.

Prośba gubernii witebskiej, zawieziona osobiście przez marszałka gubernskiego, otrzymała od ministra spraw wewnętrznych następną odpowiedź, 25 marca 1856 roku daną temuż marszałkowi.

« Pan Sekretarz Stanu, książę Galicyn komunikował

mi prośbę szlachty gubernii witebskiéj, o założenie uniwersytetu w Połocku, o wprowadzenie nauki języka polskiego do szkół, i o wolność naprawiania starych, a budowania nowych kościołów rzymsko katolickich. Podałem to pod najwyższy wyrok J. C. Mości. Złożyłem przytém Najjaśniejszemu Panu zdanie byłego generał-gubernatora wojennego, że szlachta gubernii witebskiéj nie miała nawet pretextu do powyższych żądań, a to z następnych powodów. 1° Szlachta guber. witeb. posiada wszystkie środki wychowania swojej młodzieży, bo ma dwa gymnazyja i korpus kadecki. 2° Co się tyczy zachowania i wznoszenia kościołów katolickich, są na to postanowione przepisy odpowiednie podobnymże względem cerkwi prawosławnych. Z mojej strony przełożyłem Najjaśniejszemu Panu, że [w prośbie pomienionej] przebija się niejakaś dążność do utrzymania mniemanéj narodowości polskiéj, dążność tembardziej bezzasadna i lekkomyślna, że nie ma żadnego, historycznego nawet znaczenia; kraj ten bowiem nigdy nie był niepodległym i nigdy nie uważał się za zdobyty, ale tylko za odebrany od Polski jako odwieczna własność Rossyi. Nadto, dopominanie się szlachty witebskiéj jest jeszcze nieprzyzwoite, bo sama ta szlachta w listopadzie roku zeszłego, chciała wyjednać niektóre zmiany w przedmiocie obsadzenia urzędów, a wtedy odpowiedziano panu, że rząd nie może wprowadzać do ustaw nieścisłości i nieładu, a przeto bez szczególnych i godnych uwagi powodów nie zmieni organizacyi guberniom zachodnim nadanej. Mając na oku tę odpowiedź, powinienesz być pan odprowadzić szlachtę od nowych żądań, niezgodnych ani z widokami rządu, ani z istniejącymi ustawami.

» Skutkiem tego Najjaśniejszy Pan raczył rozkazać co następuje:

» Prośbę szlachty gubernii witebskiéj zostawić bez względu na nią; panu dać przestrożę, żeś w tym razie postąpił słabo; marszałkom zaś powiatowym i szla-



chcie, którzy tę prośbę podpisali, zrozumiale wyłożył (*wnuszył*), że nie powinni byli pozwolić sobie żądań bezzasadnych i wtrącać się w sprawy wyłącznie należąca do wyższej władzy rządowej. ]

» Zawiadamiając pana o takowej woli J. C. Mości, mam honor dodać, że dla wykonania niniejszych postanowień, zakomunikowałem je gubernatorowi witebskiemu. »

W piśmie tém ministra przy niejakiem złagodzeniu *gromkiego* głosu, którym zwykle urzędnik rosyjski przemawia do podwładnego, a mianowicie Polaka, daje się czuć w całej pełni ton moskiewski, ton jakiego Rosyja nie zmieni, póki tylko trwać będzie, bo on jest najistotniejszym wyrazem jej ducha. Gdyby rzeczywistość w urzędowym tonie Rosyji zaszła zmiana, możnaby było wierzyć że przygaśł żywotny pierwiastek carstwa i zewnętrzny organizm jego rozprzęgać się poczyna. Może to nastąpi, może nastąpi niezadługo : ale tymczasem, nam przynajmniej, należy mieć tę nieufną ostrożność, z jaką doświadczony żołnierz patrzy na słabo toczącą się kulę działową, która za lada dotknięciem gotowa podskoczyć i całe szeregi przekroić. Duch moskiewski, ze swojej natury mongolskiej jest giętki i zdradliwy. Pozornym złagodnieniem i niby omdleniom jego zawierzać niebezpieczno. Czy to umilone przyczajenie Rosyji potrafi złudzić politykę europejską, to rzecz inna; ale my powinniśmy mieć politykę naszą własną, bo tu przedewszystkiem idzie o nas. Dotknąwszy tego zagadnienia, chcielibyśmy wytłumaczyć się jak najkrócej, jak najpraktyczniej. Dawniej była bieda z utopiami, dzisiaj z pojęciem praktyczności. Dla narodu odartego ze wszelkich praw samoistnego bytu, cóż jest praktycznym w obecnym porządku rzeczy, jeśli ten porządek ma pozostać nazawsze? Umysły wyprowadzające zład wniosek, że trzeba przyjąć co jest, i połączyć się z Rosyją, chciałyby uchodzić za najpraktyczniejsze, ale im tego przy-

znać niepodobna. Są one uniesione największém złudzeniem. Możeli cokolwiek być bardziej płonną utopią jak ta wiara, że Rossya ze zmianą panującego, zmieniła nagle i od razu całą swoją naturę, cały swój systemat polityczny, całe swe przeznaczenie? Możnaż, sumienie wiekowe narodu, poświadczone męczeństwem tyloletnich i tylotysięcznych ofiar, przeczucia i nadzieje jego tak zgodne z westchnieniami wszelkiej duszy prawdziwie chrześcijańskiej, stracić do rzędu marzeń, a wolę jednego człowieka, i podobno człowieka słabego, chociaż jest potężnym władcą carstwa Rossyi, wziąć za stały, pewny, bezpieczny grunt do utkwienia w niej kotwicy losów naszych? Dziwne bywają usposobienia do chwytania się najbezzasadniejszych omamień. Tyle już nagadano i napisano o wspaniałomyślności cesarza Aleksandra, o dobrośliwości jego chęci i zamiarów. Gdzież są tego ślady i dowody? Kilka rozsądniejszych rozporządzeń dla Rossyan, trochę ułaskawień dla skazanych Polaków — to i wszystko. Jest wprawdzie pewne zwolnienie surowości policyjnej, nieprzywiązane do żadnych ustaw nowych, a jednak dające się czuć powszechnie; jest jakieś niezwykle udobruchanie się i wygrzechnienie w urzędnikach wyższych i niższych; ale to czy z wyrachowania zastosowanego do obecnych względów politycznych, czy z osobistego charakteru monarchy wypływa, nie ma żadnej rękojmi trwałości i żadnych zarodków gruntownej reformy. Przytoczymy mały przykład. Jest w Wilnie wyższy urzędnik policyjny, który za Mikołaja był sławnym z nadużyć, twardości i brutalstwa, za Aleksandra stał się jednym z najśluszniejszych, najuczynniejszych i najgrzeczniejszych ludzi. Ośmieleni przyjacielskiem postępowaniem obywatelele, pozwolili sobie zapytać go o przyczynę tak niezmiernéj zmiany. Opowiedział po prostu: « Kazano mi być szatanem — byłem; kazano być aniołem — jestem. » Któż tedy zaręczy, że owo « kazano, » owo cudotworne w Rossyi

*prikazali*, nie odmieni się znowu lada chwili? Cokolwiek bądź, opierać się na tém, brać ztąd kierunek przeciwny dziejowej i religijnej dążności narodu polskiego, nie tylko byłoby zbrodnią, ale i głupstwem. Polityka nasza dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek powinna być *kunktatorska*. Wytrwać, to całe nasze zadanie obecne. Zadanie trudne, wymagające najczystszeo ognia wiary, najsilniejszego ducha poświęcenia się, największego męstwa. Łatwiej być walecznym niż męznym. Działać zaczepnie, uderzać na nieprzyjaciela, walczyć, to jeszcze nie największa próba żołnierza. Stać nieruchomie pod ogniem, mieć niezłomną wolę zginąć raczej a nie ustąpić kroku, bez rachuby na odsiecz pilnować swego stanowiska, bez sposobności użycia nie złożyć swojej broni, nad samą nadzieję przenieść powinność — to najwyższa zaleta wojska. Naród nasz dziś jest w takim położeniu, ufamy, że powinności swój nie odstąpi i Bóg go nie opuści; ale biada tym, co ulegając złudzeniom opuszczają chorągiew narodową, a gorsza biada takim, którzy niby w imię praktyczności i rozsądku kuszą sumienie narodu (1).

(1) Korespondent *Czasu* podaje ciekawą wiadomość z południowych stron zabranego kraju naszego: « Zajmuje obecnie uwagę powszechną odpowiedź na adres, który marszałkowie szlachty gubernii podolskiej, witebskiej i mińskiej, jako organa prawne obywateli tych prowincyj podali do cesarza, domagając się większej opieki państwa nad Kościołem katolickim, uniwersytetu i rozpowszechnienia języka polskiego w niższych szkołach. Odpowiedzią był rozkaz cesarski uważania adresu tego za niebyły; nagana księciu Galicynowi, że się podjął go przesłać i oświadczenie, że równie marszałkowie szlachty jak obywatele, których podpisy znajdują się na adresie, *nie mają pod wspomnionemi względami przyczyny do zażaleń.* » — Odpowiedź taka może dziwić tylko tych, co gwałtem chcą wierzyć w laskawość cesarza Aleksandra dla Polski i Polaków, wbrew nawet jego własnym słowom wyrzeczonym w Warszawie; ale co tu jest zadziwiającem rzeczywiście, to ostatnie wyrażenie, że obywatele prowincyj naszych nie mają czego się żalić pod względem gnębienia ich religii i mowy ojczystej! Ten rodzaj ironii w słowach idących od samego tronu, tylko rządowi rossyjskiemu jest właściwy.



## SZTUKA POLSKA.

---

23 maja, 6 czerwca i 10 października.

...This is no world  
To play with mammals...

SHAKESPEARE, King Henry IV.

### I

Na jedném z ostatnich swoich posiedzeń, wyznaczyło sobie Towarzystwo naukowe krakowskie, jako przedmiot do następnych rozbiórów, pytanie: *Czy istnieje sztuka polska, a jeśli istnieje, jakie są jej cechy?* Nie mamy roszczenia, dyskusyą szanownego grona w naszym piśmie wyprzedzić, a tém mniej ją wyczerpnąć. Z nadarzonej sposobności chcemy tylko korzystać, aby i z naszej strony i w naszych celach, rozważyć przedmiot, który wiele w Polsce umysłów zajmuje, i w niejednym znaczącym odbija się już kierunku. Jeśli może zbyt skwapliwie występujemy na pole zapowiedzianych rozpraw, nie nęci nas w każdym razie ani łatwość popisu, ani pewność oklasków; a zamiast cobyśmy się mieli narzucać, czujemy owszem dobrze, że pod niejednym względem tylko ciężko się narazimy. Bo stanowisko, które zająć myślimy, nie będzie najkorzystniejsze;

bo hasło nasze w rażącym się znajdzie rozdźwięku z ogólnym chórem bardzo wziętych głosów w kraju; bo nareszcie, trudne nasze zadanie tém się jeszcze stanie drażliwszém, że, chociaż poniewolnie ale niechybnie, narazimy na siebie tę klasę umysłów, którą doświadczenie wieków za najdrażliwszą uważać nauczyło: *genus irritabile vatum...*

Co nam trochę dodać może odwagi w przedsięwzięciu tak przykrém, to chyba przeświadczenie, że jesteśmy tak wolni od niechęci do osób, jak pełni miłości do przedmiotu, o którym rozprawiać zamierzamy, i że jeśli sztuka świątelszych niezawodnie, to nie tak łatwo szerszych od nas potrafi wskazać wielbicieli. Nie zupełnie nam obcą Arkadya, chociaż w niej ani naszej kolebki, ani praw obywatelstwa nie mamy, i nie byliśmy nigdy ślepi na farby téj cudownej tęczy, którą między niebem a ziemią, na znak przymierza, snuje Ideał. Potężnemu urokowi wielkich dzieł mistrzów umiemy tak dobrze ulegać, jak szczytne zrozumieć ich powołanie i boskie odgadywać źródło, a wiemy nadto, i doświadczyliśmy z rozkoszą, że gdy wszędzie indziej drogi liść wprzód opadać musi zanim nas owoc ucieszyć może, sztuka jedna, szczęśliwa i uszczęśliwiająca, kwiat i owoc nam podaje zarazem. Gdybyśmy na osobiste nasze pociągi a nie na publiczne uważali potrzeby, i z naszych indywidualnych zamiłowań — jak to tak łatwém i tak zwykłym w tych czasach -- ogólne robili zasady, wtedyby obecni nasi przeciwnicy gorętszych może, niż teraz przypuścić zechcą, znaleźli w nas zwolenników własnej sprawy, i przychodziłoby nam tylko serdecznie przykłaśkiwać, gdzie teraz rozważnie przestrzegać musimy.

Liczne i różne od wieków były usiłowania wielkich myślicieli do wytlumaczenia i orzeczenia téj naszej twórczej siły i potrzeby, która w marmurze lub na płótnie, w tonach lub słowach, kształci sobie świat inszy i piękniejszy. Ale w miejscu nużących definicyj zakłopotana-

nych systematyków, wolimy sobie przypomnieć czarowny obraz natchnionego wieszczka. «Gdy Stwórca od swego oblicza odegnał człowieka i późnego powrotu do światła na ciężkiej drodze zmysłów szukać mu rozkazał, gdy wszyscy niebianie odstąpili syna ziemskiego, ona, Sztuka jedna, ludzka, podała rękę opuszczonemu wygnañcowi i, nieśmiertelna, wielkodusznie się z nim w jego śmiertelność zamknęła. »..... Tak mówi poeta, i trudno piękniej i prawdziwiej dla oka duszy ukształcić ten popęd ludzkości do idealnego tworzenia, który wistocie jest jakby przypomnieniem utraconego raju, odzyskaniem, choć złudnym, oderwanej wyższej krainy, powrotem, choć sennym, na ciężkiej zmysłów drodze do zabranego światła ducha ! A w tém znaczeniu, któżby chciał utrzymywać, że naród polski nie ma w sztuce powołania, któżby go tu raczej nie policzył do wybranych ! Jakiż naród więcej utracił i więcej ma do odzyskania ? Jakiż silniej ukochał i srodzej ucierpiał ? Jakiż wyżej sięgał myślą, głębiej nurtował uczuciem, i nad ciemną przepaścią bytu skrzył się cały w ognie wieszce ? Jakiż nakoniec, przez wielki ciąg swoich dziejów, może wskazać tak ciągłą dążność do ideału, nieustannie ściganego, chociaż nigdy nie osiągniętego, i który może też nie jest do osiągnięcia ? Na swoją chwałę, czy na swoją zgubę, Polska zawsze sobie stawiała zadania, w których więcej przeważało niebo niż ważyła ziemia, których wyobraźnia dopełnić, ale rzeczywistość spełnić nie mogła. Zamiast sprzęgać ciała, myślała tylko o serce kojarzeniu ; zapalać chciała mieć sprężyną działań, które tylko zimna rozważa do celu doprowadzić może, i ziemskie skazitelne rządy kusiła się oprzeć na tém, co tylko niebiańskim jest darem kilku dusz nieskazitelnych — na dobrej woli. Jeśli za tą pokusą czekały ją tylko pokuta i upokorzenie ; jeśli chcąc stać ciągłym cudem, w końcu tylko samym stała się nierządem ; i jeśli wreszcie na téj błędnej drodze dotąd jeszcze zbyt wiele



durzących pochwał, zbyt mało upominających przestróg znalazła : trudno jej jednak zaprzeczyć tego idealnego piętna, które zawsze wybranych choć nie zawsze szczęśliwych znamionuje, tego wyższego polotu, który w zaświecie szuka rodzinnego sobie gniazda, tej potęgi natchnień, która nieraz ziemię utraci, ale « rajska dziedzinę ułudy » jako swoją zadzierży — i naród, o którym wielki jego wieszcz powiedział, żeby go jak pieśń żywą stworzył, jak dzieło sztuki ukształcił, taki naród może śmiało zapukać u wrót Piękna świątyni. Głos mu ztamtąd odpowie : wnijdź, i tu są Bogi twoje....

Tylko, niechaj wchodzący nie zapomni o tém, że nie w każdej zarówno formie, dla każdego zarówno narodu przystępném jest bóstwo tej świątyni, i że jak we wszystkich innych, tak i w tej dziedzinie, nie jednostajnie usposobione są ludów umysły! Świat ideału, jak świat rzeczywisty, ma swoje strefy i klimata, których ani dowolnie obierać, ani bezkarnie odmieniać nie można. Sztuka jest metempsychozą : wielką wędrówką Ducha z materyi do Boga przez przemiany coraz mniej zmysłowe, i przez wcielenia coraz mniej cielesne. Gdy architektura, rzeźba i malarstwo, w materyalnej się jeszcze rozlegają Przestrzeni, muzyka już tylko w Czasie swych rozmiarów szuka, a poezya nakoniec, równie nad Przestrzeń jak i nad Czas wywyższona, Myślą li samą żąda być objętą, i jako Duch przemawia do Ducha. Ale nie każdemu to narodowi jest daném przechodzić całą tę wielką skalę przemian i w każdą z tych wielkich form wcielać zarówno swe ideały. Podział pracy tu owszem jest tak logicznie wskazanym, jak historycznie dowodnym. Z zapalną imaginacją pod pałacem niebem, z wyostrzonymi zmysłami wśród ostrych ponęt, w otoczeniu natury, która pieścotami naprzemian usypia i budzi, w otoczeniu ciał tak pięknych i piękności tak cielesnych : ludy południowe, na polu szczególniejszej rzeźby i malarstwa stworzą arcydzieła, i równie skoro jak

szczęśliwie uchwycą i wydoskonalą te głównie sztuki, w których duch na wół się z materji wyzwala, a na wół jój ulega, nawet się w niej rozkoszuje, i gdzie myśl przedewszystkiem jest kształtem, a uczucie ledwiebyśmy nie rzekli dotknięciem. Na tém samym polu ludy północne tylko swoje wysilenia, nigdy swojej siły prawdziwie nie objawią. Brak im do tego nieomal wszystkiego, brak im przedewszystkiem tój intuicji form, tój tajemniczój morfopedji, która od kolebki prawie, bez jego wiedzy i woli, kieruje każdym krokiem i ruchem południowego mieszkańca. W surowym klimacie ztępione zmysły, ani tak czujne są na zewnętrzne wrażenia, ani tak wprawne do ich zewnętrznego ukształtowania; wszystko co w Grecji i Włoszech było naturą, we Francji już i w Niemczech będzie tylko kulturą: mozolnym nabytkiem, co tam przyrodzoną własnością. Im dalej na północ postąpimy, tém rzadsze pod tym względem spotkamy rzeczywiste uzdolnienia, tém większy trud i mozół ujrzymy w indywidualach, tém mniej współczucia i współdziału znajdziemy w masach. Organizacye prawdziwie artystyczne, pod obłąkaną gwiazdą losu w tych stronach zrodzone, nie znajdą tu ni spokoju ni zadowolenia, zrobią sobie i drugim nieustanne wrażenie obcych, gwałtem z innój, cieplejszój ziemi przesiedlonych wygnańców, i będą zawsze miały instynktowy pociąg do tych krajów, «gdzie buja laur i cyprys cicho stoi»; i w tych krajach i dla nich Thorwaldsen zapomni wkońcu swego rodzinnego języka, a Winckelmann się wyrzeczce macierzyńskiej wiary. Ale jeśli narodom północnym odjęty jest nieodzownie ten dar plastycznego kształtowania, który szczęśliwym i prawie wyłącznym jest udziałem Hellady i Italii, tém większe i potężniejsze będzie ich mistrzostwo w tych, nie powiemy że piękniejszych, ale spirytualniejszych sferach sztuki, w których dźwięk jedyną jest formą uczucia, a słowo jedynym ciałem myśli, w których ideał z marmurowej się

wyzwała powłoki, pył farb nawet zbyt ciężkim dla swych skrzydeł znajduje, i już tylko w przejrzystej, nienamacalnej obłonie drżących tonów i słów wiewnych do coraz czystszych się wznosi błękitów. Jak wszędzie tak i tu, za ztępieniem zmysłów idzie wyostrenie myśli, za ubóstwem natury bogactwo ducha, i ten sam Bóg Homera, co Feniuszowi odebrał wzrok, którymby się cieszył posągami, używa mu tego natchnionego głosu, który z serca pochodzi i do serc przenika. —

Ci którzy u nas (a jest ich nie mało) wiele sobie obiecują po rozwoju sztuk plastycznych w Polsce, którzy mniej lub więcej szczęśliwe próby krajowego malarstwa biorą za zapowiedź dojrzewającej szkoły narodowej, którzy nawet (bo aż do tego stopnia posuwa się czasami u niejednych amatorstwo!) spodziewają się w tym kierunku jakiegoś odrodzenia i odmłodnienia gnębnego ducha Polski: ci — niechaj nam wybaczą — nie zdali sobie może dokładnie sprawy ani z natury naszego kraju, ani z usposobienia naszego ludu, ani z wiekowej nauki, którą nam historyczne doświadczenie podaje. Surowość naszego klimatu i surowość naszych obyczajów, zarówno u nas czynią niepodobną tę nagość « bezczelną, nie zawstydzoną niczem, a nieśmiertelną, » o której mówi poeta, i na której jednej tak artysta swój kunszt jak naród swój zmysł w rzeczach rzeźby i malarstwa wykształcić jest w stanie — a uwaga ta, która większej części czytelników będzie się zdawała epigramem, może da, czyli raczej niezawodnie już dała wiele do myślenia niejednemu u nas szczeremu uczniowi Apollina. Nie trzeba w Polsce być koniecznie Świętym Wincentym, aby chcieć rzucić swój płaszcz, a jeszcze lepiej swe futro na śnieżne barki marznącego w marmurze półbożka, ani też saina tam tylko kwaśna panna Praxeda, gotowa znaleźć postawę Medycyjskiej Afrodyty, więcej niż emancypowaną. Te marmurowe kształty, które na niwach Auzonii w ciepłym się kąpią lazurze i w rozko-



sznym cieniu miękkich, usłużnych spoczywają laurów i cyprysów — te, na polskich polach, północnym policzowane wiatrem, pół roku odbijać się muszą od białych śniegu całunów, a drugie pół stać nieśmiałe, niepewne, wśród otoczenia niezbyt przyjaznego poważnych dębów, dziewiczych brzoź i ostrych, surowych jodeł. Wzrok nienawykły do światła i słońca, nie jest zdolny u nas ani uchwycić, ani oddać tój nieskończonej skali farb i półcieni, która wciąż drży w powietrzu; uczucie kolorów ścina się pod szarą powłoką naszego horyzontu, a formy opięte chłodem i wstydem, nigdy tu nie odsłonią swojej wielkiej tajemnicy i nigdy nie pokażą tój piersi, o którą wołał Weronez naszej poezyi: «piersi, nie podług miary krawca lecz Fidiasza!»

Możemy tylko zlekka nadmienić i oznaczyć ten, w gruncie kardynalny punkt rozbieranėj kwestyi, ale którego obszerniejsze roztoczenie zaprowadziłoby nas do technicznych szczegółów i historycznych wywodów, równie zbytecznych dla znawcy, jak mało dostępnych dla niewtajemniczonego. Pozwolimy tu sobie wszakże jeszcze powiedzieć, że przeciwko naszemu twierdzeniu pozornie tylko świadczyć może przykład tego kraju, który w podobnym do naszego geograficznym położeniu, w równie niekorzystnej strefie i nieprzyjaznym klimacie, potrafił jednak sobie utworzyć osobne malarstwo i znaczące w tój dziedzinie zająć stanowisko. Bo i jakżeż też niską zaprawdę jest ta sfera kunsztu, którą sobie obrała szkoła Flamandów, i jakżeż przedewszystkiém odmiennym od naszego, jest duch właśnie tego narodu? Gdy z olimpijskiej wyżyny, na której stoją Bóg i Człowiek, sztuka zechce zchodzić do owych nizin twórczości, tak trafnie *martwą naturą* i *cichem życiem* (*stilleben*) nazwanych, wtedy bezwątpienia, może ona jeszcze i wśród zaspów piasku i pod ołowianém niebem wywołać arcydzieła; a rozmiłowany w familijnym spokoju i domowym ochędóstwie Flamandczyk, znajdzie tu szczęśliwy

wyraz dla swojej szczęśliwej mierności..... Ale jeśli mocarz jak Ludwik XIV, podobne utwory wzdardliwie *magotami* nazwie, wówczas może nie tyle nieświadomość despoty wysmiewać, ile wrodzony instynkt królewskiej, wspaniałej jego natury podziwiać nam przyjdzie; a wtedy rozważny myśliciel nie tak łatwo przypuści, ani nawet tak gorąco zapagnie, aby naród rycerski i katolicki, miał w tém właśnie dorównać Flamandom, co najrodzinniejszym jest płodem ich mieszczańskiego usposobienia i protestanckiego wychowania. Duch naszej Polski, idealny a rycerski, wielkomyślny a katolicki, tak w życiu jak w sztuce rodzaju *genre* prawdziwie i stale nie ukocha, do godności narodowego dzieła i działania nigdy go nie podniesie. Nad owe *ciche życie* przenosić on będzie zawsze wszelką walkę idei, i broń bohatera i miecz archaniola wyżej on cenić będzie nad te domowe sprzęty, które niewiasta flamandzka do polyskującej szoruje czystości, a Teniers i Dow do łudzającego doprowadzają wykończenia. Duch taki sięgać zawsze będzie wyżej do tego, co umny Grek *megalografią* nazywał, do téj sfery natchnienia « kędy zapał tworzy cudy. » — a gdy tu, do plastycznego kształtowania, zabraknie mu téj intuicji wielkich form, która szczęśliwą jest własnością ludów południowych, wtedy w dźwięku i słowie będzie szukał godnego wyrażenia, i im też jednym swe ideały powierzy. Dźwięk i słowo! te są jedyne wcielenia dla polskiego i słowiawiańskiego ducha naturalne, niewymuszone i prawdziwe, jedyne, które lud u nas zrozumieć a masy uznać i uczyć są w stanie. Gdy włoski żebrak, nawet w półsenném *far niente* umie sobie nadać kształt posągu, i dziurawe swe łańchmany instynktowo udrapować jak chlamyd, gdy najuboższy nieraz mieszkaniec Apeninów potrafi obraz jakiegoś mistrza ukochać i cieszyć się z niego z całą może nieświadomością ale i z całą szczerością dziecięcia: na naszym chłopie twory dłóta i pędzla żadnego nie

robią wrażenia i w obojętném go milezeniu zostawia dzieła Fidiasza i Rafaela. Tego samego znowu chłopca śpiewem i skrzypkami do łez nieraz rozrzewnisz, do śzału rozweselisz, a bajką dopiero i klechdą zaprowadzisz go, jak się wyraża, na drugi koniec świata. Uwagę tę, którą kaźden z nas w codzienném prawie ̑yciu sprawdzić mo¿e, przekładamy tym wszystkim, co choć raz się szczerze nad tajemniczym zastanowili związkim, który międy żywotną sztuką narodu a ̑yciem jego ludu zachodzi. Uwaga ta, zdaniem naszym, rozstrzyga wszystko — nie przeciwko indywidualnym u nas uzdolnieniom i zamiłowaniom, o których pomówimy następnie, ale przeciwko *narodowemu* rzeźbiarstwu i malarstwu, którego przyjście nam pewne poważne głosy z taką pewnością zapowiadają.

Gdybyśmy dla prawdy, przez się samą jasnęj i niezbitęj, chcieli jeszcze szukać poparcia w doświadczeniu historycznym, znaleźlibyśmy i tu dowody równie liczne jak zwycięzkie, i moglibyśmy łatwo całą naszą przeszłość wywołać jako stanowczą wróżbę dla przyszłości. Dwa tylko właściwie liczy Słowiańszczyzna dotąd narody, które wielką szkołę chrześcijańskiej przebyły cywilizacyi i znaczące w europejskiej kulturze miały stanowisko. Czesi jedni i Polacy, ze wszystkich plemion słowiańskich, dotrzymywali kroku ogólnemu pochodowi oświaty; a pierwsi w XIV, drudzy w XVI wieku, stali nawet przez chwilę na wyżynach umysłowego ̑ycia, i w niejednej mierze dorównali zupełnie najwykształceńszemu ówczesnemu społeczeństwu Zachodu. A przecieź, ani jedni ani drudzy, tak przez cały ogólny ciąg swoich dziejów, jak w owych szczególnych epokach największego rozwielenienia, nie objawili najmniejszego powołania do plastycznęj twórczości, i w tęg dziedzinie ani jednego nie wydali dzieła, któreby zostało w wiekowej pamięci dziejów a powszechnęj czci pokoleń. Po wszystkie niemal ducha ryszunki i narzędzia geni-



uszu, śmiała a nieraz i bardzo szczęśliwą ręką sięgając, dłóto jednak i pędzel zostawili na boku; a gdy dla swych natchnień i uczuć szukali wcielenia, znajdowali je tylko w tej muzyce i w tej poezyi, które i dotąd jedynymi ich rodzimymi są sztukami i jedyną nie zaprzeczoną ich chlubą. Wspomnieliśmy o wieku XVI, i warto zaiste choć chwilę przydłużyć nad tą się zastanowić epoką, bo trudno wymowniejszą i niemylniejszą, niż właśnie tutaj, dla nas znaleźć naukę. Epoka to była, którą historia tak słusznie mianem Odrodzenia uświęciła. Obudzona z długiego letargu ludzkość, zrzuciła wówczas z siebie całuny średniowiecznego ascetyzmu, i pełnemi, wolnemi odetchnęła piersiami. Jakieś nowe, odmładniające i ożywcze technienie wionęło naraz we wszystkich pracach i tworach, zamiarach i zamysłach. W religii i w polityce, w nauce i sztuce objawił się jakiś popęd do przeczuwanój, lub jakiś zwrót do utraconój prawdy i natury, które tak jedne jak drugie, nowy utworzyły porządek rzeczy i postać ziemi do niepoznania zmieniły; a Reuchlin i Erazm, Rafael i Michał Anioł, Bacon i Kopernik, Shakspeare i Ariost i tylu innych, których tak trudno wyliczać jak zapomnieć, podawali sobie w nieskończonym a wspaniałym geniuszów szeregu magiczną lampę życia. Wśród tych narodów, dążących naprzód na drodze Odrodzenia, stanęła i Polska, i nie była ostatnią. Jeśli Portugalczycy i Hiszpanie świat zupełnie nieznaną Amerykę odkryli, a Włosi i Niemcy świat dawno zapomniany klasycznej starożytności nanowo odślonili: nasz Kopernik, również obce przedtém uniwersum objawił dla ludzkości i nieskończone państwa nieba podbił nauce. Najpotężniejszy wynalazek owych czasów, wynalazek druku, zyskał u nas wtedy zastosowanie tak prędkie, jak nieograniczone i powszechne. Obudzony zapał do literatury starożytnej wydał u nas nietylko Dantyszków i Sarbiewskich, ale wywołał nawet (tak zresztą mało szczęśliwe,

jak może i mało dotąd wyświecone) naśladownictwo klasycznych urządzeń i reminiscencyj w instytucjach i reformach naszej Rzeczypospolitej. W nowościach wiary, które tę epokę zakłóciły i zapaliły, użyliśmy i nadużyliśmy wszystkiego, i prędkiej i pełniej od jakiegobądź może narodu, przebiegliśmy całe koło ówczesnych religijnych przemian, od ostatecznych krańców aryańskiego radykalizmu, aż do granicznych słupów jezuickiej reakcyi. O tym samym czasie w poezyi Kochanowski, z niedosyć dotąd podziwianym instynktem, trafił do trzech najczystszych źródeł, z jakich tylko czerpać może nowożytna sztuka chrześcijańska w tajemniczój trójcy tych trzech wielkich żywiołów, które się w niej zlewają i organiczną jęj pełnią stanowią : w żywiole religijnym doszedł do Psalmów, w żywiole klasycznym do Homera i Eschyla, w żywiole narodowym do tradycyi i pieśni ludowej! Przepelniona i kipiąca życiem czara, wszystkie wtenczas u nas zalewała brzegi; krew gorąca i chciwa czynów biła wciąż tętnem mocném a przyspieszoném ; rozbudzone i zpotęgowane siły narodowe szukały sobie wszędzie pola do działania i wynurzania się : wszędzie widać jakiś demoniczny i nieprzeparty popęd do spróbowania wszystkiego, do zawierzenia się wszystkiemu, do mierzenia się ze wszystkiém! Jeśli więc kiedykolwiek, to wtenczas zaprawdę była dla nas pora i sposobność doświadczenia sił naszych także w rzeźbie i malarstwie... Zachęty były tak wielkie i powszechne, przykłady tak blizkie i liczne! Durer się prawie o Polskę ocierał; z Flamyndyą, tyleśmy w tym wieku mieli stosunków i związków; a Włochy, te Włochy, gdzie wówczas właśnie tworzył Rafael i Michał Anioł, Tycyan i Weronez były prawdziwą Mekką, do którejśmy w celu nauki i ogłady tłumne i nieustanne odbywali pielgrzymki. A jednak nawet i wówczas nie okazaliśmy do owych sztuk plastycznych ani powołania — ani nawet pociągu! Z trafném ocenieniem swoich środków i potrzeb, naród

polski, i w tej epoce Odrodzenia, na polu twórczości, rozważnie się tylko do muzyki i poezji ograniczył; do wyrobów pędzla i dłota z żadnym nie wystąpił roszczeniem! Zaden z ówczesnych przywódców naszej oświaty, żaden mąż wpływu i znaczenia, nie starał się w tym niewłaściwym nam kierunku nadawać popędu, ani nawet przykładu! Ow Jan z Czarnolesia, którego bystry zmysł w odkrywaniu najczystszych wzorów poezji dopierośmy oznaczyli, który we Florencyi, w Rzymie i Fontainebleau musiał przecież spotykać się nieraz z arcydziełami Urbiny, Anioła i Primatea, Jan z Czarnolesia do tych arcydzieł jednak ani swoich rodaków nie usiłował zapalić, ani nawet własnych wrażeń w tym względzie nie zostawił nam śladu. Zamoyski, umysł rzadkiej wszechstronności, wielki hetman który swoją nauką wprawiał w podziwienie Vanozzego, który z równą powagą nosił płaszcz konsularny i togę doktora, który potrafił być wojownikiem i humanistą zarazem, i z obozów pod Wielkimi Łukami i Pskowem wysyłał listy do największych filologów w Europie, mąż ten nie szczędził wprawdzie ani trudów, ani zachodów około akademii Zamojskiej, — ale o założeniu akademii sztuk pięknych ani pomyślał! Zygmunt August, syn Włoszki i wychowaniec włoskich metrów, król, który pod każdym innym względem tak dobrze wchodzi w poczet owych książąt z pierwszych czasów Odrodzenia, — sentymentalnych i wrażliwych, romantycznych i roman-sowych, ujmujących sercem i błyszczących słowem, pełnych tolerancyi, a nieraz i indifferentyzmu, oho-czych do zabaw a nieskorych do pracy, lekkomyślnych, chociaż dość wytrwałych a nawet zaciętych w raz obra-nym kierunku i zamiśle — Zygmunt August jednak ani z Leonem, ani z Franciszkiem, lub Alfonsem nie ubie-gał się o tę wówczas tak ocenioną chwałę protektora artystów. Ze się zbyt *muzyce* oddawał i *lutnistami* otaczał, zarzucali mu surowi Sarmaci na publicznym sej-



mie; aby szukał towarzystwa malarzów i rzeźby z Włoch sprowadzał — tego o nim, ku pochwale lub naganie, nie powie historya. Można całą naszą ówczesną literaturę przerzucić, i ani się nawet tego domyślać, że w tej samej epoce żyli twórcy Wieczerzy Pańskiej i Świętej Dysputy, Sądu Ostatecznego i Wniebowzięcia, Bożego Baranka i Czterech Temperamentów; można wszystkich naszych Zygmuntowych pisarzy (z których prawie każdy jednak zwiedził Włochy!) raz i drugi lustrować i, z wyjątkiem jakiejś pobieżnej wzmianki o Durerze w jakimś pobieżnym wierszu Klonowicza, nie spotkać pod ich piórem ani jednego nazwiska, któreby przypomniało arcydzieła, przechowywane w Watykanie, w Trybunie lub w Luwrze (1). Wielcy magnaci nasi, zapraszali wprawdzie czasami, dość zresztą podrzędnych, artystów z zagranicy, lub zamawiali u nich prace — ale tylko w celu dewocyi, albo dla przepychu, nigdy z prawdziwego zamiłowania do sztuki. Pilni i skrzętni archeologowie wyszukują wprawdzie teraz w szpargałach akt miejskich jakieś wzmianki o rzekomych malarzach w Polsce, cały nawet trytomowy słownik takich imion otrzymaliśmy ostatniemi czasy; ale pierwszy rzut oka na ten rejestr wystarcza do przekonania, że w nierównie większej liczbie zapisane tu same obce nazwiska, nazwiska cudzoziemców, którzy przez dłuższy czy krótszy czas w naszym

(1) Kiedy w XVI wieku Łukasz Górnicki tłumaczył «*Il Cortegiano*» Cezarego Castiglione, wypuścił z przekładu (*Dworzanina*) wszystko co rodaków obchodzić nie mogło. Na samym wstępie dzieła powiada Górnicki «*Iż Kastyglio pisał językiem włoskim, a pisał Włochom, którzy obyczaje są od naszych daleko różne... prawie jako stoi przetłumaczyć... anim mógł, ani téż mogąc ważyłbym się tego... Przeto nie tylko zaniechałem imion włoskich a włożyłem polskie... ale téż i wiele innych rzeczy włożyłem nie chciał.*» Górnicki następnie wylicza jakie przedmioty wypuścił w swém tłumaczeniu, i kończy sprawę następującemi charakterystycznemi słowami: «*Więcem i to opuścił, co on pisze della imitazione... i disputatio która ars jest misterniejsza, jeśli pictura czy statuaria, której u nas nie znaję.*» (Górnickiego *Dworzanin*, wyd. Gałęzowskiego, p. 7-9.)

kraju bawili. Poczet prawdziwie polskich malarzy bez porównania tu jest mniejszy; a i o tych, w nieskończenie większej liczbie, nie wiemy ni jak, ni co malowali; nie wiemy nawet — czy malowali!! Zrobiło to na nas, wyznajemy, dość pocieszne wrażenie, gdy właśnie niedawno, w jedném z naszych pism czasowych, zacny archeolog radził, aby nie zbyt pospiesznie przyznawać godność arysty tym nazwiskom, przy których w aktach miejskich mniemamy widzieć przydomek *pictor*: bliższe bowiem rozpatrzenie się paleograficzne, każe nieraz czytać *pistor* — i mniemanego ucznia Apollina policzać tym sposobem do rzędu najskromniejszych adeptów Cerery!! Ta zabawna wątpliwość, czy odgrzebany *mistrz* podawał narodowi ów chleb duchowy, *pan degli angeli*, jak mówi Dante, albo też może tylko dla współbraci i współmieszczan piekł poprostu chleb powszedni, bardzo zapewne pożywny, ale estetycznie niestrawny — jest jednym z tych rysów, którego by Walter Scott niezawodnie nie opuścił w swoim *Antykwaryuszu*, gdyby pośmiertne tego dzieła mógł robić wydanie, jest jednym z najwładźniejszych tematów, jakich sobie tylko życzyć może najuszczupliwsza w świecie satyra...

Kto nie w pleśniejących aktach miejskich ale w otwartej czyta księdze dziejów, kto w archeologicznych nie rozkoszuje się ciekawościami, ale prawdziwą wielką kocha sztukę, ten o malarstwie i rzeźbiarstwie polskiem w epoce Odrodzenia skromne sobie tylko nakaże milczenie, a w milczeniu tém zarazem wymowną i na to pytanie znajdzie odpowiedź, czy wspomniane kunszta mogą i teraz mieć jakieś powodzenie i jakąś przyszłość u nas. Bo zaprawdę, byłoby tak dziwném jak niezwykłym, gdybyśmy w obecném naszym zniemożeniu i wśród najniekorzystniejszych okoliczności, *to* ze swego łona wydobyć potrafili, na cośmy się nie zdobyli i pod najszcześniejszymi konstellacyami i w największej pełni naszego życia. Bo zaprawdę, byłoby dziwném, gdyby

naród nasz w terażniejszej swój niemocy i w wieku, który wogóle tak mało wszelkiemu artystycznemu sprzyja tworzeniu, naraz tych malarzy i rzeźbiarzy wydał, którzy się u nas i wtedy nie objawili, gdy tryskający życiem i zdrowiem, sił naszych we wszystkich doświadczaliśmy kierunkach, i gdy czasy Odrodzenia do owiej właśnie czynności przedewszystkiēm zachęcały, ośmielały, nagliły! Chyba... żebyśmy (bo i takie się odzywały nieraz głosy!) artyzm nie już jako zdrowy plód naszej siły, ale jako pasożytny wyrost naszej słabości uważać myśleli, i kwiatom, które nie zeszyły na gruncie urodzajnym i pełnym jeszcze soków, przepowiadać chcieli błogie rozwinięcie się — na grobie... Lecz punkt ten, choć wcale nie paradoksalny ani niedorzeczny, jest jednak zbyt bolesnym i palącym, abyśmy nad nim dłużej zastanawiać się mieli odwagę i siłę. Tyle sobie tylko pozwolimy powiedzieć, że jeśli sławny przysmak sztrasburski powstaje z umyślnie pielegnowanej hipertrofii w nieszczęśliwēm ptastwie; że jeśli to prawda, iż perły się z chorób rodzą muszli, a kto wie czy jeszcze może jakiś dobroczyńca ludzkości nie wynajdzie sposobu, aby tę perlodajną chorobę w biednych muszlach sztucznie wywołać : żaden jednak człowiek z głową i sercem, na organizmie swego narodu podobnego experimentu ani się dopuści, ani z jego rezultatów się cieszyć, ani się ich nawet doczekać nie zechce — i będzie raczej przeklinał wszystkie takie symptomy, które, dowodząc że coś odżywa w sztuce, dowodziłyby zarazem, że coś ginie w rzeczywistości...

Nie szukajmy chluby tam, gdzie nam milcząca tylko nakazana skromność, ale bądźmy dumni z tego, co prawdziwą i niezaprzeczoną jest naszą zasługą! Nie szperajmy w pergaminach za antenatami naszego rzeźbiarstwa i malarstwa, których nigdy nie było, ale umiejmy szczyć się i godnie wywiązać z tego prawdziwego szlachectwa, które nam w pięknym świecie ideału



wielka nasza wyrobiła Poezya! Jeśli w sztukach plastycznych żadnego nie mamy znaczenia, jeśli w muzyce nawet jedno tylko uznane możemy wymienić imię Chopina, to natomiast Malczewski i Adam, autor *Irydiona* i Juliusz stoją na tych eterycznych wyżynach Olimpu, jakich rzadkim tylko wybranym najwybrańszych narodów dostąpić było daném. Tu jest nasza chwała i tu jest nasza Sztuka; pod tym tylko znakiem wolno nam wystąpić w szranki twórczości i w tym tylko zwyciężać! Wprawdzie, od lat dziesięciu zgóra, głucha i w téj krainie u nas zapanowała cisza, i od tytanicznej walki Juliusza z Psalmistą, żadnegośmy już boskiego nie usłyszeli głosu... Jestże to tylko przerwa chwilowa, po której znowu, w zwykłej potędze i wielkości, dawna heroiczna zabrzmie symfonia? Albo ma-że to znaczyć, że myśl polska, na teraz i na długo, ostatnie już w téj sferze wypowiedziała słowo, i do innego zwolna przechodzi wielkiego trudu, mniej pięknego, ale niemniej ważnego i bardziej naglącego?... Odpowiemy może gdzieindziej na to ciężarne przyszłością zagadnienie. Ale w każdym razie to pewna, że nie rzeźbiarzom to i malarzom u nas przeznaczono zająć opuszczone przez wielkich naszych wieszczów kierownicze stanowisko, i że ugiem leżące pole narodowego ducha, nie płodami pędzła i dłota uprawianém być żąda i może. « Nie ta droga! » woła tu do nas — jak do błędnego tułacza Biblii wielki prorok — głos natury, historii i sumienia. Sztuka plastyczna u nas zawsze tylko pozostanie krzewem exotycznym, w cieplarni amatorstwa mozolnie pielęgnowanym; nie będzie ona nigdy pełnym soków i ziaren owocem, samorodnie dojrzewającym na drzewie naszego życia... Synowie północy, tylko w bogactwie myśli i ducha możemy znaleźć wynagrodzenie za nieodzowne nasze ubóstwo form i natury; Słowianie, jesteśmy i możemy tylko być mistrzami Słowa!

## II

W tych filozoficznych dziejach ludzkiego ducha, których zbadanie i ukształcenie za główny sobie obrała przedmiot wielka historyczna szkoła XIX wieku, jeden rozdział, zdaniem naszym, pozostał jeszcze nietknięty, bolesny a ważny, ciemny a jednak nie bez światła i uroku. Mamy tu na myśli moralną, jeśli tak powie- dzieć można, patologią uciemiężonych narodów mamy tu na myśli historią umysłowych obłądów i duchowego tułactwa tych ludów, które brak poli- tycznego życia i normalnego rozwoju, rzucił w bez- droża omamień i w kierunki najprzeciwniejsze ich naturze, ich potrzebom i tradycjom. A w takiej *histo- ryi złudzeń*, o jakiej nie marzył Dunlop, ale o którą się jeszcze może pokusi jakaś wyższa zdolność, nieszczęśliwy nasz naród, od czasów szczególnie ostatniej swjej wiel- kiej politycznej akcyi w roku 1831, zajmie niezawodnie miejsce tak obszerne jak pełne znaczenia, i stanie się równie ważnym i ciekawym dla głębszego badacza, jak tragicznym i wzruszającym dla każdej chrześcijańskiej duszy. Nie tu miejsce, ani też może nam to daném, tę niezapełnioną dotąd kartę dziejów, i choćby tylko co do nas, zapisać. Nie tu miejsce wykazać i przedstawić, jak odarty ze swego ciała Duch Polski, od lat już blisko trzydziestu tułał się i *pokutował* w coraz innych naprze- mian a zawsze sobie obcych kształtach: w religijnych zaciekaniach i politycznych teoriach, w mistycznych zadumach i filozoficznych systematach. Wszakże, gdy o nowym, a według nas fałszywym kierunku myśli pol- skiej nam tu mówić przychodzi, nie od rzeczy może jest przypomnieć, że nie pierwszą to Galateę mniemamy ożywiać uściskami, które tylko wycięńczają nas samych, i że niejednen już błędny ognek, w fantastycznym prze-

latujący biegu po grobach naszych nadziei, braliśmy za słupek ognisty Mojżeszów, który do zatraconej a obiecaniej miał nas zaprowadzić ziemi.

Że tylko jeszcze o ostatnim, filozoficznym u nas wspomniny kierunku, to tu, analogie z obecnymi naszymi artystycznymi dążnościami, są tak liczne, jak uderzające i złowrogie; a ściślejsze rozważanie dwóch wspomnianych a po sobie następujących prądów naszej umysłowości, rozważanie ich ze stanowiska naszych moralnych i narodowych obowiązków i potrzeb, zaleci może nierównie jeszcze większą nieufność do tego kwiatu, który teraz z drzewa życia uszczknąć zamierzamy, niż do owego owocu, który, nie tak dawno temu, usiłowaliśmy zerwać z drzewa wiedzy. Jeszcze nie tak dawno, zapadł do metafizycznych spekulacyj był u nas tak powszechnym, jak nim jest obecnie do artystycznych wrażeń. Dzienniki i pisma czasowe z równą gorączką, miłością, a dodajmy i nieświadomością, rozprawiały wtedy o Heglu i Feuerbachu, z jaką teraz się rozwodzą nad pp. Ingres i Delacroix lub panią Ristori. Mieliliśmy wtenczas objawić narodową filozofią, jak teraz mamy utworzyć narodową sztukę; geniusz polski zdawał się nam w owiej epoce być tak szczególnie powołanym do metafizycznych badań, jak obecnie nad miarę głosim go uzdolnionym do plastycznych kreacyj; i jak przed kilkoma laty nam zapowiadano *filozofią czynu*, która się miała stać Ciałem i Słowiańszczyzną, tak przed kilką miesiącami znowu nam wrócono jakąś *poezją czynu*, która ma się stać polskiem malarstwem. Objawy to tak sobie odpowiadające, jak jednostajnym też jest w gruncie ich poczęcie w łonie Polski, jak podobnym niezawodnie będzie i ich uronienie w rzeczywistości. A jeśli zimny i sumienny badacz, tu jak tam, uzna tylko to samo nieobrachowanie naszych sił i zasobów, to samo niezrozumienie naszych istotnych potrzeb i prawdziwej natury: bolejący syn ojczyzny pozna że i tu, jak tam, ten sam



nieszczęśliwy, niewcielony wciąż pokutuje duch Polski, duch, który w ten lub ów sposób szuka wyzwolenia... lub odurzenia, który w trującym biegu i myśli ucisku, mniema na chwilę już znaleźć spocznienie — czy to na «mrowisku» metafizycznych rojeń, czy na różowym łożu artystycznych marzeń. Tylko, że na owym mrowisku czekały pałające czoła, te «żądał tysiące», które nie dawały wytchnienia i męką głowy przynajmniej przypominały mękę serdeczną; gdy tymczasem to różowe łożo, na którym teraz rozlegać się myślimy, ma swoje narkotyczne i denerwujące wonie, niebezpieczne dla silnych, stokroć niebezpieczniejsze dla słabych! Tylko, że ten Faust, który nad księgą Nostradama jeszcze jest potężnym acz zrozpaczonym Tytanem, przed grecką Heleną w niemęzkim acz słodkim opada omdleńniu! Tylko, że metafizyczne badania, nawet dla najmniej szczerých adeptów, są zawsze trudem; gdy tymczasem sztuka, nawet dla najszlachetniejszych miłośników, jest nieraz już zabawą, a cóż dopiero dla biernej masy i miernych dyletantów! Tylko, że genialne, powiemy w końcu, zboczenia i rozkoszowania się, które mogły jeszcze być dozwolone przed ową krwawą burzą, co strasznym Szeli zabłysła nożem, nie powinny już znaleźć pobłażania po tej ckropnej katastrofie i wśród obecnych, tak trudnych i tak zewsząd utrudzonych okoliczności. Rzec też można, że z rokiem 1846 ustały nasze metafizyczne spekulacye (których ostatecznym, tylko spóźnionym słowem był *Ojciec nasz*), — i tém przynajmniej dały dowód swój filozoficzności. Ale na ich miejscu objawiły się też i zaraz pierwsze symptomy nowego, dotąd trwającego, artystycznego kierunku. A że właśnie taka bolesna jest data tego zwrotu w naszej umysłowości, że talenta malarskie i muzykalne właśnie «po owym deszczu w Polsce krwawym rodzą się jak grzyby» — to, wyznajemy szczerze, najmniej w nas obudzić może miłości i wiary do naszego artyzmu; ani też mu to za

szczególną policzymy zasługę, że właśnie wtenczas wzrastając i pasożytnie się krzewić zaczął, gdy wojna wschodnia, jak swém niespodzianém wybuchnięciem inne zaprawdę zapowiadała dzieła niż pędzła i dłóta, tak swojém nagłym zamknięciem, odmienne teź zaiste od artystycznych nam przekazała trudy i prace.

Nie myślimy bynajmniej szkodzić, a jeszcze mniej ubliżyć tym z naszych rodaków, którzy istotnemu a choćby nawet i wmówionemu folgując popędowi, na polu rzeźby, malarstwa lub muzyki szukają dla siebie pożytku i sławy. Wprawdzie zpośród tylu powołanych a bardziej jeszcze obwołanych w naszym kraju artystów, ledwiebyśmy na kilku tylko mogli zgodzić się wybranych. Wprawdzie niewiele nas budują tryumfy odniesione na wystawach -- u Hirschla; widok niejednego z mniemanych i sławionych areydzieł, już w nas nieraz tę samą obudził co w naszych poczciwych archeologach wątpliwość: *pictor czy pistor?*... zwłaszcza gdyśmy sobie przypominali pewne wyrażenie *croûte*, które Francuzi mają na podobnego rodzaju utwory czy potwory. Mimo to, wierzymy chętnie w rzeczywiste uzdolnienia niektórych uczniów Apollina u nas; pamiętamy o tém dobrze, że prace Rodakowskiego, nawet w stolicy Francyi zyskały uczczenie, któremu nie dodadzą wszelkie pochwały z naszej strony, i nie przeczymy wcale, aby w przyszłości podobne lub wyższe nie miały się jeszcze objawić talenta. Przeczymy tylko temu, aby nam z tém przybyło robotników w polskiej winnicy; nie możemy przypuścić, aby z tego ruchu miała powstać jakaś narodowa szkoła w sztuce, i trzymamy śmiało zakład, choćby i do greckich kalend! Przewszystkiém zaś nie widzimy, w czém taki kierunek może nas zaprawić do odważnego wytrwania w naszym tak nieszczęśliwém położeniu, w czém nam może użyzyć sił do walczenia z tak przeciwnými losami, do jakich dzieł, do jakiej to pracy mają nas natchnąć owe

zapowiedziane wielkie utwory naszych przyszłych Apellesów, i pragnęlibyśmy wiedzieć, czy to pędzlami myślimy trzymać chwiejącą się kopułę ojczyzstego gmachu?... Że słowo staje się ciałem, a Wallenrod Belwederem, doświadczyliśmy nieraz; a że Pieśń jest czasem Czynem, tego dowodzi Marsylieza, mazurek Dąbrowskiego, a nawet i Niema z Portici. Ale szukamy na próżno przykładu, aby kiedykolwiek lub gdziekolwiek, posągi lub obrazy do jakiegobądź zagrzały działania; nie znajdujemy tego nawet we Włoszech, ani nawet w Helladzie! Posągi lub obrazy były, co najwięcej, biernym symbolem ducha, nie stały się one nigdy czynnym hasłem życia, a w owocach Zeuxisa jedne tylko, ile wiemy, ptaki myślały ugasić pragnienie. Tajemniczemu i powolnemu wpływowi plastycznych utworów na kształcenie smaku narodu, na ogładę jego obyczajów i wyostrenie jego zmysłów, nie myślimy zaprzeczać, i dobrze nam pamiętny wiersz: *artes emolliunt mores*. Ale też wątpimy, aby wpływ podobny tak gwałtowną u nas był potrzebą, i myślimy raczej, że uciemienżonemu narodowi, wśród denerwującej wytworności obecnej cywilizacyi, więcej może dawnego sarmackiego hartu, niż nowożytnego włoskiego miękczenia życzyłby wypadało. Jak w historycznym naszym rozwoju, w warunkach naszego klimatu i w naturze naszego ludu nie widzimy żadnej rękoi dla narodowego rzeźbiarstwa i malarstwa, tak téż szczególnie w obecnych naszych potrzebach, nie możemy dla tych kunsztów żadnego zgoła znaleźć uprawnienia. Artyści nasi będą tylko polskimi osadnikami w szkołach francuzkich i niemieckich, nie założą oni nigdy jakiegos samoistnego polskiego państwa w świecie sztuki; powodzenia ich mogą pochlebiać naszej narodowej próżności, ale nie przydadzą ani jednej cegiełki do budowy naszego odrodzenia. Nie myślimy im przeszkadzać w ich wyzwolonych zatrudnieniach, ale téż niech nie myślą, iż nam pomagają



w trudzie naszego wyzwolenia; nie odmawiamy im bynajmniej namaszczenia w sztuce, ale zaprzeczamy im stanowczo kapłaństwa w narodzie! Jeśli do nas się odzywają w imię swoich osobistych zamiłowań i indywidualnych widoków, nie mamy im wtedy zaiste nic do powiedzenia; ale gdy swój zawód jako narodowe przedstawiają posłannictwo, i pędzel i dłuto polską bronią być mienią... to wtedy, bierze nas szczerą ochotą zaglądać z Hamletem, czy czasem za ich plecami, cień ich własny się z nich nie śmieje?...

Gdyby zresztą sami tylko nasi artyści podobne mieli urojenia i uroszczenia, nie wieleby tu było powodów do żalu i moglibyśmy ich spokojnie zostawić przy wierze, która góry olimpijskiej, bądź co bądź, do nas nie przyniesie. Ale tę wiarę podziela teraz wielka część naszej publiczności; ale artyzm wiele bardzo opanował u nas umysłów, a jeszcze niedawno jedno z pism krajowych dało nam to dziwne świadectwo, w świętej prostocie znajdując je bardzo zaszczytném: *« iż zdaje się, jakby wszystkie uczucia Polaków skupiły się w jedno ognisko sztuki!!! »* Znajomość sztuki jest u nas teraz prawie niezbędnym warunkiem dobrego wychowania; protegowanie sztuki bardzo wielką, bodaj czy nie najgłośniejszą oznaką dobrego obywatelstwa! Uderzenie pędzla lub smyczka wydobywa cały źródło wodnistych wyrazów z piersi, która dla wielu innych, dla wielu świętych rzeczy twardą zostaje opoką; a malarstwo, rzeźbiarstwo, muzyka, są niewyczerpanym przedmiotem gwarnych rozmów w salonach i cichych dumań w poddaszach. Młodzież nasza, która dawniej za granicą chciwie oblegała katedry sławnych profesorów, lub trybuny wielkich mówców, teraz, z sumienną wytrwałością, przywoiła liczbę godzin przeziwa w Luwrze, leci zdyszania od jednej malarskiej pracowni do drugiej, nie opuszcza ni razu koncertu jakiegoś maëstra, studiuje mozolnie wszystkie techniczne terminy dyalektycznego

entuzjazmu, na myśl wystawy się ożywia, i na same wspomnienie o Alboni omdlewa; *a vedi Ristori, poi mori* jest dziś rycerskiem hasłem każdej u nas pięknej duszy!! Mamy teraz literalnie nowego rodzaju Messyanizm — Messyanizm sztuki! Polska, zaręczają nam, do wyższej teraz wznosi się potęgi: « Adam i autor Irydiona wiek jój tylko przedstawiali młodzieńczy; malarze dopiero naród doprowadzą — do *mężkości!!!* » Tamci, czytamy dosłownie, tworzyli tylko *poezją słowa*; tym dopiero przeznaczono utworzyć *poezją czynu!!!!.....* » Zaprawdę, gdy raz w natchnieniu i w przeczuciu wielkich zdarzeń, wielki wieszcz Przedświtu kazał *zagiąć pieśniom a powstawać czynom*, przed innymi to zapewne wtenczas myślał ustąpić mistrzami, i nie pędzłami to najeżone widział w duchu pole ojczyste.....

Do jakiego przerażającego stopnia doszło to prawdziwe *delirium artisticum*, o tém się kaźden przekona, co choć pobieżném rzuci okiem na obecne piśmiennictwo krajowe. Rzecz ledwie do uwierzenia: w naszej biednej Polsce, w której ani jeden poważny, naukowy organ jeszcze nie potrafił się wykształcić, w naszej biednej Polsce mamy aż dwie muzykalne gazety!!! Dzienniki nasze, warszawskie szczególnie, przepelnione są artykułami, rozprawami i korespondencyami o sztuce. Rzecz można, że żadne *ut* piersiowe nie wyleci z jakiego bądź śpiewającego gardła na świecie, aby o tém natychmiast, wszem w obec i kaźdemu z osobna, nie donosiły nasze czasopisma. Wyjazdy, przyjazdy, najdrobniejsze stąpania braci Kątskich, braci Wieniawskich i *tutti quanti fratelli* są tam notowane z sumiennością i ścisłością, z jaką sam tylko może Monitor Pekijski zapisuje fakta i funkcyę Syna Słońca. Kaźdą po warszawskim lub żytomirskim horyzoncie przemykającą się, a zazwyczaj już spadającą, zagranieczną gwiazdę, muzykalną czy teatralną, poprzedza u nas wielki ogon piór gęsich, a które ostrzą ciekawość i łechtają nerwy zapału. A cóż dopiero gdy przychodzi

przywitać jakiś talent «rodzimy!» Jakaż to dziecinna, płocha wtenczas radość z *naszych* Petri, i *naszych* Fryben, i *naszych* Dawisonów, w których powołaniu tyle polskiego ile w ich imionach, z których np. ostatni, Dawison, jest w istocie najpierwszym może aktorem — niemieckim! Ale czyż i *naszym* nie pokazał się nawet ów Kiss tak sławny? Kiss jest wprawdzie nadwornym rzeźbiarzem w Berlinie; jako *narodowe* swe dzieła może wskazać posągi Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma III, i nigdy niezawodnie nie marzył o polskim indygenacie. Ale Kiss się urodził w Plessen, które po polsku podobno zowie się Pszczyzną, a które leży w Górnym Szląsku; więc czytaliśmy ostatniemi czasy, we wszystkich prawie pismach warszawskich, artykuł o tym «rodaku rzeźbiarzu!!!» Tak to w tych latach mszczą się Maurowie, i w ten to sposób bierzemy od Niemców odwet za wynarodowianie Wielkopolski!!!.....

Z tym dziecinnym, chociaż wcale nie naiwnym entuzjazmem, może się tylko da porównać dziecinna i prawdziwie naiwna nieznajomość, z jaką nasi krytycy rozprawiają o sztuce. Z wyjątkiem p. Siemieńskiego, który wprawdzie przed nędznemi robotami Boratyńskiego, traci zupełnie przytomność, ale którego zresztą wrodzony smak i znajomość wielkich arcydzieł strzeżę od wybryków, z wyjątkiem następnie znakomitego pisarza, który w *Gazecie Warszawskiej*, z niezwykłą tam miarą, wytrawnością i dyskrecją w sądzie, a godnością w stylu, zdawał sprawę z gry pani Ristori, i którego pióro mniemamy poznawać w kilku jeszcze innych niemniej cennych pracach: z wyjątkiem tych dwóch ludzi, wszyscy niemal nasi krajowi sędziowie sztuk przedstawiają prawdziwie rajski stan nieświadomości złego i dobrego. Dysertacye ich są tylko jednym ciągłym i przeciąganym wykrzyknikiem, kauczukowym dytymbem, nieustanném rozprawieniem ostatniej sylaby piątego krymskiego sonetu. Zdawałoby się, że

*Review*



pomni ezopowej bajki o lisie, woła każdy owoc uznać dojrzałym, z obawy aby nie przypuszczano iż dla nich za wysoki. Z zimną poważnością, z pewnością siebie niesłychaną, z bezwzględną na niecierpliwość czytelnika nielitościwością, rozprawiają « o tęczyowych blaskach tonów, atlasowym pociągu smyczka, perłowatości gamm, olbrzymiej sile czwartego palca » i t. p. ! Głos, pod innym względem poważny i szanowny, powie o Apollinarym Kątskim, że « wiolonista dalej pójść nie może — to coś idealnego » ! Nie dosyć na tém, ten sam pisarz porówna kompozycyę owego wirtuozy z utworami — Chopina, znajdzie tamte poniekąd wyższemi, czy prawdziwszemi, czy bardziej « szablístemi » — i nietylko fałszywe postawi bogi, ale ubliży jeszcze wielkim cieniem jedyne go dotąd muzycznego geniusza, którym Polska szczyścić ma się prawo ! Gdy naszym Arystarchom przyjdzie sądzić obrazy, będą wówczas podziwiali « wielką znajomość praw tworzenia, równowagę linii, przechodowe tony i szum w powietrzu ; » pożałują tylko « że niebo sinką pruską zepsute, że zamało pasty, za wiele kości palonój, » a Delarochowi zarzucą « *brak konstytucyi na płótnie!!!* » Rzecz widoczna, że ci znawcy nie widzieli ani jednej wielkiej galeryi, nie słyszeli ani jednego prawdziwego mistrza, że naukę i wiadomości swoje czerpią z przeglądów i feletonów francuzkich, i nie dziw, że takim sposobem do najpociesniejszych w świecie przychodzą nieraz zestawień i sądów. O p. Servais powiedzą nietylko, że jemu « nie sprostą Franchomme, » ale jeszcze jako « trzeciego w związku, » jako kompletującego tryadę największych wiolonczelistów Europy, policzą tego niewinnego Offenbacha, który sam skromnie przestaje na chudych laurach Buff paryzkich ! Jako najślawniejszych francuzkich malarzy wymienią Ingra, Delacroisa i — Winterhaltera, i jednym tchem wymówią imiona Ruysdaela i — Gudina ! ! Tęj gruntownej znajomości nowożytniej sztuki, odpowiada

znajomość dawniejszej. Gdy p. Siemieński tę dobrą i zdrową dał naszym artystom radę, aby lepiej robili portrety, zamiast coby się mieli od razu zrywać na wielkie historyczne przedmioty, odpowiedział mu jakiś znakomity znawca, który nawet był w Wenecyi, że « kto dobrze maluje portrety, nie jest już w stanie nie historycznego utworzyć — *ale nigdy!* » jak gdybyśmy nie posiadali Ferroniery i Mona Lizy nieśmiertelnego Leonarda, jak gdyby Rafael nie malował Leona X. i Castigliona, jak gdyby i dziecko nie wiedziało, jakim mistrzem w tym rodzaju był Tycyan wielki! Ten sam « Winkelmann polski » zaręcza nam dalej, że « Rembrandt nie miał twórczego ducha, był tylko dobrym portrecistą a najgorszym historyczno-religijnym malarzem » że « Murillo tylko *brudy i obrzydliwości* brał sobie za przedmioty do malowania, i ze stanowiska *blotnistego* patrzył na sztukę i naturę!! » Nie chcemy mnożyć przykładów; dodawanie ułameków było dla nas zresztą zawsze jedném z najtrudniejszych działań. To cośmy przytoczyli wystarcza aż nadto do przekonania, na jakiej to nieznajomości, na jakiej to czezości, na jakim to fałszu oparty cały ten artyzm nasz! A kiedy jeszcze słyszymy, że jedna z najszlachetniejszych i najzaniejszych pań naszych, która za szczególną u nas uchodzi kunsztów wielbicielek, Polka, przed której zresztą wielkiemi przymiotami duszy i serca kornie uchylamy czoła, poleciła biegłemu artyście odtworzenie w marmurze — Madonny Sykstyńskiej..... (jak gdyby malarstwo i rzeźba nie miały swoich osobnych i wyłącznych i wyłączających się sfer; jak gdyby można było dzieło pędzla przełożyć w kamień, jak się to jakiś romans przekłada z francuzkiego na polskie; jak gdyby głównemi zaletami, cudami Sykstyńskiej Madonny nie były właśnie ta wiewność, ulotność, ta nadpowietrzność, ta wniebowziętość, jedném słowem, wszystkie te przymioty, których skulptura oddać nie może — i nie powinna!) kiedy

widzimy, że ten dziwny pomysł uchodzi u nas za szczęśliwy, genialny, a przy okazji i patryotyczny... to wtedy, zaprawdę, niepodobna nie rozpaczać zarówno, tak o znawcach sztuki, jak o jej amatorach i protektorach w Polsce!

Nietylko w dziennikarstwie, ale i w wielu innych gałęziach naszej literatury krzewi się teraz pasożytnie ten artyzm dziwnego rodzaju. Powieściopisarze nasi szczególnie, z widocznym zresztą naśladowaniem pani Sand, lubią w swych opowiadaniach rozbierać i ukształcać różne kwestye rzeźbiarstwa, malarstwa, muzyki i poezyi i wiele nam w tych przedmiotach dają monologów i polylogów. Jeśli ten rodzaj już sam przez się jest mieszanym, jeśli podobne obrobienie sztuki w dziele sztuki, samemu nawet tworczy Wilhelma Mistrza zdawało się już mało uprawnionem, tém więcój to wszystko razić musi u nas, gdzie tacy pośredni nauczyciele estetyki tę samą zazwyczaj objawiają nieświadomość rzeczy, jaka zaszczyca naszych nauczycieli bezpośrednich i oficjalnych. Jedna tu może tylko Gabryela Ż... umie zachować miarę i prawdziwy okazuje zmysł artystyczny; widać, że swe zdania i wrażenia nie z samych książek czerpie, ale z życia, z doświadczenia i tych wielkich cierpień, które duszę szlachetną a wyprobowaną ścinają w posąg — w ten posąg Memnona, co na gwar ludzi spokojny, milczący, strojnie zadźwięczy, gdy go promień sztuki zadrasnie... a jest to, wspomnimy nawiasem, niemałą także oznaką zupełnie u nas zepsutego czy wcale jeszcze niewykształconego smaku, że właśnie prace téj autorki, najpoetyczniejsze, najbogatsze w myśli i uczucia, jakiebyśmy tylko w obecnej lekkiej literaturze wskazać potrafili, żadnego godnego nie znajdują uznania, prawie niepostrzeżone przechodzą, jak cień przemykają! Szczęśliwsi od Gabryeli, czyli raczej więcój wziętości u nas mający powieściopisarze, gdy się im nadarzy, traktują o sztuce *ex officio* i *ex cathedra*, z ca-



łyni zapasem technicznych a źle użytych wyrazów i z całym ubóstwem prawdziwego uczucia; a prócz estetycznych błędów, nierównie szkodliwsze jeszcze popełniają etyczne. Bo głównym bohaterem w takim razie jest prawie zawsze artysta, nieszczęśliwy, zapoznany, prześladowany, nie znajdujący nigdzie wsparcia lub współdziału, zamiast sere czułych, trącający o pierś z lodu, i zazwyczaj «zawód tak trudny kończący — snadnie»... To już nietylko jest prostém a dodamy i bardzo spóźnioném odbiciem pewnych utworów pani Sand, ale rażącym jeszcze i obrażającym anachronizmem w naszym właśnie kraju! Wprawdzie uczniowie Apollina, za wszystkich czasów i we wszystkich ziemiach, lubili otaczać się chmurami smutku i na świat wyrzekać; wmówione cierpienie dawało im we własnych oczach to «coś skończonego» o czém mówi Bossuet, a czego ich utwory zazwyczaj nie mają; a jeden z ich gorących czcicieli zawołał i u nas niedawno w dziennikach: «że w Polsce malarz, choćby nawet zrównał Rafaelowi, ze sztuki mieć nie będzie chleba... bośmy stracili *wiarę i miłość* — a o takich Chrystus mówi, iż są *umarli!!!*» Ale zaiste, jeśli Chrystus tak rozumiał wiarę i miłość, jak je pojmuje ów sztuk miłośnik, to siebie ani za umarłych, ani nawet za chorych mieć nie powinniśmy, to byśmy sobie tylko wieszować musieli naszej wielkiej żywotności! Nie masz narodu, w którym każda, choćby najmniejsza zdolność, równie skore, równie powszechne, równie gorące, jak u nas, zawsze zyskała uznanie. Nie znamy narodu, w którymby przy obecném uciemieniu i braku wszelkiego poparcia od władz publicznych, przy największych owszem z téj strony przeszkodach, prywatni tak stale poczuli się do obowiązku zachęcania, ośmielania, popierania wszelkiego objawiającego się talentu, wszelkiego choć trochę obiecującego umysłu. Gdy wszędzie indziej, i geniuszowi nieraz tak trudno pierwsze przełamać zapory: u nas jeden wierszyk, je-

dna broszurka, jeden mazur, lub jeden obrazek, zazwyczaj wystarcza do ugruntowania sławy, do zwrócenia uwagi, do obudzenia zapału, niestety, nieraz i do przestania na pierwszych tak łatwo zdobytych laurach. Zapoznania, prześladowania, potępienia doznawały u nas w pewnych epokach prace wielkie i publiczne, działania obywatelskie, cierniste i krwawe, trudy niezmordowane, stałe a rzadko kiedy poparte; ale synowie Muz byli prawie zawsze u nas synami szczęścia. Batory uchodził za tyrana; Ossoliński umarł z bolejącego serca nad nadchodzącą burzą, której zapobiedz mu nie dano; Czarneckiemu zamek własny zburzyli dawni żołnierze, których tylekroć prowadził do chwały i zwycięstwa; dzieło Andrzeja Zamoyskiego wyrokiem Sejmu i ręką kata zostało spalone: ale szukamy napróżno w naszych dziejach przykładu Chattertona lub Correggia. Dla politycznych zasług, dla robót cichych, trzeźwych, pożytecznych, ma naród nasz nieraz wieniec tylko pośmiertny; ale ludziom myśli i marzeń daje zawsze wszystko co dać może, a czasem więcej, niż dla swego i dla ich własnego dobra dać powinien. Jeśli grzeszymy przed Apollinem, to chyba nadmiarem dobroci i pobłażania; a jeślibyśmy śmieli naszym pisarzom zalecić przedmiot do romansu, tobyśmy im wybrali bohatera, któremu podobnych tak wiele w naszym kraju: artystę, który małym czy wielkim zdolnościom daje marnie zniszczyć, wpada w próżność, próżniactwo, niedołęztwo, i niestrudzony żywot pędzi bez chwały i pociechy, a to właśnie — dzięki przedwczesnym uznaniom, głoszeniom i wielbieniem, dzięki pieścącym i odurzającym warszawskim salonom, dzięki przedewszystkiemu tym artystycznym powieściom, jakie teraz u nas popłacają. Takie powieści rzucają nieraz w zawód sztuki ludzi najmniej do niego powołanych — bo i męczeństwo ma swoje ponęty, zwłaszcza męczeństwo tylko w słowach! Takim powieściom zawdzięczamy może i to wcześni, że

niektórzy nasi artyści tak są drażliwi na wszelką sumienną krytykę, tak obojętni na każdą rozsądną radę, że od życia publicznego i codziennego coraz bardziej odrywają się i niém pogardzają, że nad gminu błędną marę wznoszą się dumni mocą majestatu sztuki, a jeśli już na paluszkach wzdętej pychy nie raczą wspinać się Bogami, to przynajmniej ludu kapłanami w całej szerociej być myślą!...

Co może nierównie smutniejsza, to, że ludzie, którzy wistocie stoją na straży narodowego ducha, których głosu słucha Polska cała i których sumienia publiczność się radzi, że nawet i tacy ludzie powszechnemu ulegają złudzeniu, i zamiast coby mieli rozważnie przestrzegać, z zupełnym zapamiętaniem podsycają w nas ten fałszywy pociąg do artyzmu. Nie bez wahania się wymienić tu przedewszystkiém musimy imię, nad które nie znamy w obecnej naszej literaturze dla nas droższego, bardziej sympatycznego. Zakończenie charakteru, obywatelska gorliwość, szlachetność dążeń i natchnień, niepospolity talent, niezmordowana praca i niespożyta wytrwałość: te są rzadkie, wielkie przymioty, które zdobią p. Kraszewskiego, które słusznie go czynią ulubieńcem narodu i które w nas zawsze najszczerze, najwdzięczniejsze tylko znajdują uznanie. A wszakże, p. Kraszewski już nieraz uległ chwilowym a niezbyt szczęśliwym wpływom i zapuścił się w kierunki niewłaściwe, niebezpieczne, z których go zresztą zawsze zdrowy instynkt polskiej duszy prędko wyprowadzał. Wina w tém może jego wrażliwej, artystycznej natury, wina w tém może jego niezwykłej wszechstronności; wina przedewszystkiém tej nadzwyczajnej łatwości, z jaką p. Kraszewski kaźden przedmiot nietylko uchwyci, ale i sobie przyswoi, a przyswojony wnet rozpowszechni. W zacnej myśli towarzyszenia wszędzie narodowi, nie opuści go, choćby i w niejednym zboczeniu, czasem go nawet w niém ubieży, a nie chcąc sobie mieć obcym nic polskiego,



zdarzy mu się, że nieraz chce mieć polskiém, coś nam zupełnie obcego. Od pewnego czasu p. Kraszewski, z niepojętą dla nas żarliwością, pcha nieustannie w ten nieszczęśliwy kierunek sztuki, do każdego koncertu, do każdego rysunku tak niesłychaną przywiązuje wagę, jak niczem niezasłużone im oddaje pochwały; a do jakiego stopnia umie czasem posuwać fałszywą apoteozę artysty, tego między innymi nam dowiódł w ostatniej swojej komedyi p. t. *Portret*. Pozwolimy sobie choć w krótkich słowach wspomnieć o tym utworze; przekonana on bezstronnych, jak dalece, pod wpływem obecnych naszych usposobień, nawet taki umysł jak Kraszewskiego może się rozminąć z narodową prawdą, z polskim instynktem, z *tradycją*, jeśli tak rzec można, *naszych ideałów*. W komedyi tej, której pierwsze przedstawienie prawdziwą było uroczystością dla zacnych obywateli Żytomierza, młoda, piękna i bogata panna jest celem starań trzech zalotników. Ubiegają się o jej rękę, dumny ze swego tytułu hrabia, zaufany w swoim historycznym imieniu potomek dawniej rodziny, i bogaty próżniak, angloman. Ale że niewiasta więcej przywiązuje wagi do wartości osobistej, niż do tytułu, rodu lub majątku, że ma szlachetną duszę i wzniosłe serce: łatwo się domyślić, że nad takimi trzema zalotnikami weźmie górę ktoś czwarty. Gdybyśmy się tu naszego zacnego, serdecznego Fredry spytali, odpowiedziałby nam niechybnie i odrazu, że ten czwarty będzie jakiś czwartak, jakiś dzielny młodzieniec, co się okrył sławą i krew przelał za ojczyznę. Gdybyśmy się samego p. Kraszewskiego spytali, takiego, jakim jest w gruncie swojej duszy, w całej istocie swój polskiej natury, jakim się okazał dawniej w Kordeckim n. p. a po części, niedawno, w tym niezrównanym szkicu *Abra kadabra*, który więcej waży w naszych oczach od wielu wielotomowych romanów; gdybyśmy się tego spytali Kraszewskiego, jakiego wszyscy znamy, kochamy, wielbimy: on by nam głucho

odpowiedział, że tym zwycięzcą będzie jakiś młodzieniec, co wiele przecierpiał, wiele przeboleł, który się okazał poświęcającym się synem, bratem, przyjacielem... a mybyśmy się wówczas domyślili, że to jeden z tych męczeńskich żołnierzy, dla których «placem boju był dół kryjomy», jednym z tych ludzi, których dla Polski ściagał świat, dla Polski męczył kat i więziła cytadela... Ale pod chwilowém wrażeniem koncertów Kątskich i Servaisów i wystawy obrazów, pod wpływem tego prawdziwego artystycznego sabatu w Polsce, na którym, jak Faust w Sabacie Gøethego, p. Kraszewski «myśli posuwać a jest posuwanym», autor komedyi i jego bohaterka inny zrobią wybór, tak nieprawdziwy «w naturze i na miejscu», jak niezgodny z ideałem narodowym; i palmę zasługi i mirt miłości odniesie wówczas malarz, artysta... «artysta, powie sprawozdawca, który do doskonałości wyrobił siebie i ukochaną swą sztukę; owocem wszystkich jego dążeń pozostała tylko nieograniczona miłość sztuki; ona stała się przedmiotem jego przywiązania, ubóstwienia i *głównym celem życia!*...»

Zaprawdę, zaprawdę, źleby było, gdyby owocem wszystkich naszych dążeń pozostać tylko miała ta *nieograniczona* miłość sztuki, która w gruncie, co do smaku i znajomości, jest u nas bardzo *ograniczona*. Źleby było, gdyby malarz miał zostać naszym ideałem — i choćby tylko w komedyi!... Wiele teraz, w naszych umysłach, krąży marzeń o zjednoczeniu Słowian, o braterstwie wszystkich synów Sławy. Wiele w tych marzeniach jest niewinnój prostoty, wiele i kryjomego odstępstwa, wiele też może i prawdziwego przecucia jakiegóś dalekiej, w każdym razie bardzo odległej i bardzo do dzisiejszego dnia niepodobnej przyszłości. Ale to pewna, że na tój kwiecistej drodze, którą nas obecnie artyzm prowadzi, najbliższe i najsmutniejsze czeka nas połączenie — z biednym bratem Czechem!...

## III

Jeśli sztuki plastyczne u nas, żadną, niewątpliwie nie mogą się poszczycić przeszłością, a więcej niż wątpliwą mają przed sobą przyszłość; jeśli obecne nasze artystyczne zapędy równie grzeszą brakiem umienia i sumienia i są tak nieoświecone w swych celach, jak nieszczerze i nierzetelne w swych pobudkach: niemniej wszakże stanowczym i rzeczywistym może być wpływ takiego fałszywego kierunku na naszą umysłowość, na nasze moralne usposobienie, i groźnym się stać w następstwach to, co tylko bezmyślną lub lekkomyślną było w początkach igraszką. Mozolnie i wbrew naturze hodowana gąsiennica, której prawdopodobnie nigdy nie jest przeznaczonem tęczowe wypuścić skrzydła i motyli lot wznieść do góry, może jednak niejednym zielonym liściem stoczyć na drzewie narodowego życia, a wysilenia, które dotąd przynajmniej żadnego nie wywołały żywotnego dzieła sztuki, kto wie, czy nie utworzą, czy w części już i nie utworzyły jakiejś chorobliwej sztuczności w naszych dziełach i działaniach, w naszych pojęciach i dążeniach. Bo jak wszelkie inne, tak i bóstwo Apollina mści się nad tymi, co napróżno i z próżności wzywają jego imienia, a dziewicza Muza, jak każda wielkoduszna niewiasta, nie łatwo przebacza przelotnym i nieszczerym zalotom...

Bacznemu oku nie trudno będzie w każdym razie dostrzedz, jak szkodliwy wpływ ten kierunek już wywarł na piśmiennictwo, i jak rozczyniającym żywiołem od pewnego czasu stał się artyzm dla naszej literatury. Zasiew zbyt wietrzny i wąły, by samorodnym mógł wschodzić plonem, miał jednak dosyć siły i rozrośności, by chwastem zaledz poblizkie niwy; co własnym i wła-



ściwym liściem i owocem zakwitnąć nie było w stanie, przylgnęło niewłaściwie do obcych drzew i krzewów, a co tak mało w sobie prawdziwej posiadało żywotności, okazało, jak zawsze, wielką zdolność do pasożytu. Artystyczne nasze zachcenia, w samych sobie bezpłodne, nadwątlili jednak znacznie naszą twórczość poetyczną i przyczyniły się niemało do nadania jej tego obecnego charakteru, z którego ten chyba tylko się cieszyć i nad nim unosić potrafi, co już do żadnych wyższych ideałów i do żadnych dzieł wielkich mistrzów wznosić się nie jest w stanie. Elementa malarskie i muzyczne, które w należnych sobie sferach nie samoistnego dotąd nie stworzyły u nas, wygórowały natomiast przemożnie w naszej pięknej literaturze i podkopują coraz bardziej wszystkie jej prawdziwe podstawy. W miejscu poważnych gatunków dramatu i epiki, mamy teraz już tylko te dowolne i luźne, żadną estetyczną ni etyczną kategorią nieobjęte *obrazki*, *szkice*, *gawędy*, w których sama malowniczość, bez względu na moralne znaczenie i idealną wartość, jest tak jedynym motorem jak celem; a w liryce zapanowała prawie wyłącznie ta muzyczna nieokreśloność i pieszczoność, która dźwięcznym doborem słów i rymów zapełnia ucho ale i myśl zagłusza, łzami nie płacze lecz « brzęka », z ciągłego wzruszenia nigdy do ruchu i czynu nie przychodzi i w puch kwiatów, jak w bawełnę, obwija wszelką szorstkość ducha, która w Polsce same tylko widzi bławatki a w Chrześcijaństwie same tylko cacka, i bawi się nieustannie gramatycznymi zdrobniałościami, które mają być ludowemi, a w gruncie tylko zdradzają, że przedmiotami natchnienia są ludzkie drobiazgi, że owe dyminutywa języka wyrażają to, co Szekspir w jednym miejscu nazwał *dyminutywami natury*. Miętkość pędzla i tonów rozczynia w naszej literaturze wszelką poetyczną i moralną energią; nie względy ideału, ale potrzeby malowniczego efektu kierują wyborem przedmiotu i stano-

wiska, a przed prawami perspektywy ustępować nieraz muszą najwyższe prawa człowieka. Anekdota więcéj waży od historycznéj prawdy, koloryt więcéj od rysunku, lokalne oświecenie więcéj niżli światło ducha. Zamiast kreślić figury, pisarze nasi układają draperye, zamiast stałych konturów, dają stare kontusze, a w miejscu charakterów przedstawiają same — oryginały. Bo też tylko charakter może tworzyć charaktery; gdy tymczasem do uklejenia oryginału nie potrzeba nawet i oryginalności: wystarcza tu pewna artystyczna skrzętność, która umie zbierać i sztukować i z różnych stron zachwycone rysy w jeden skupić obrazek. Bo też trzeba mieć serce, aby patrzeć w serca; do zrozumienia kostiumów dość mieć zmysł dekoratora. Bo walczył, cierpiał i kochał twórca Maryi i Miecznika; bo nie « jak owad na róży kwiecie » spoczął ten mąż, który kreślił Litawora i Rymwida, Alfa i Halbana, lecz miał wielkie dążenia i cel wysoki, lecz chciał swój naród « dźwignąć, uszczęśliwić, chciał nim cały świat zadziwić » poeta, który Polsce stawiał naprzemian przed oczy Wallenroda i księdza Robaka; bo wszystkie rany ludzkości wziął w swą natchnioną pierś magnetycznie ten wieszcz, który z marmurowego łoża budził uspiiony posąg Irydiona i na okopach Ś. Trójcy kazał stanąć Hrabi i Pankracemu... Ale aby przedstawić nieswieżskich Albeńczyków i opisywać naszych maniaków i zawadyaków z XVIII wieku, tak mało trzeba mieć wieszczego uczucia ideału, jak obywatelskiego poczucia narodowych potrzeb, a wszelkie poczęcie tu tak jest bez miłości, jak i bez bólu rodzenie. Literatura nasza ma obecnie prawdziwą swoją *epokę saską* — czasy próżniactwa przy wielkiej hałaśliwości, czasy zadowolenia przy najstuszniejszych powodach do upamiętania się i poprawy — i nie bez pewnej konieczności święci ona też przedewszystkiém podobną epokę i w naszej historii... W gawędach naszych i historycznych powieściach, zaleta

długich wąsów okupuje prawie wszystkie niedostatki krótkiego rozumu, krzywość szabli prostuje wszelkie czyny wątpliwe, a kontusz dostatecznym jest pokryciem moralnej i estetycznej nagości bohaterów. Jakikolwiek zaś mogły być w początkach przyczyny i pobudki takiego smutnego upodobania w najsmutniejszym wieku naszych dziejów, to pewna, że temu dziwnemu pociągowi przyszły dziwnie w pomoc nasze artystyczne zachcenia, i że niejedna obraza zdrowego rozsądku, zdrowego smaku i zdrowej moralności, znalazła swoją ekskuzę, swoją nawet apoteozę w obrazowości, w malowniczości przedmiotu, w rubasznosci opisu. Fantazyja artystyczna sympatycznie się tu spotkała z fantazyją szlachecką, moralny nierząd w naszych umysłach z politycznym nierządem w naszych dawnych instytucjach. Między obecną naszą twórczością bez celu a przeszłowiecznym naszym życiem bez myśli, zachodzi rzeczywista współmierność — w podwójnym tego słowa znaczeniu; między hulaszczym pisaniem najnowszych autorów a hulaszczym działaniem tej szlachty, którą oni nam jako szczególnie sarmacką chcą przedstawić, a którą jednak już Pasek bardziej « hierozolimską niż polską » nazwał, jest stosunek równie opłakany jak naturalny: a węzeł łączący stanowi tu ten artyzm fałszywy, który z obojętnością dla treści goni tylko za ujętnością formy, który zamiast o wartość czynów, o wartość tonów się pyta, zamiast sumienia tylko swego się radzi kalejdoskopu, i zamiast podnosić, chce tylko zabawić. Dla przyszłego historyka naszej literatury będzie to może wielce nauczającą skazówką, że śpiewak Winnickich, Dereszów, Chojnackich, miał zarazem takie dziwne halucynacje, takie miniaturowe wyobrażenia i mikrologiczne pojęcia o sztuce, i w całej szczerocie naznaczał gotyckiej architekturze pochodzenie — « że złotniczych robót i drobnych cacek; » ani też bez znaczenia przejdzie dla rozważnego umysłu to zjawisko,



że ten sam autor, który w Mohorcie tak szczęśliwy, tak niezrównany potrafił zrobić wybór, mógł potem znowu bohatera do poematu sobie upatrzeć—w Stwoszu! Jakże wielkim, jakże poważnym i wzniosłym jest nasz wiek XV; jakież to znaczące, posągowe w nim postacie Jagiełły, Jadwigi, Witowda, Werneńczyka, Oleśnickiego, Zawiszy, Glińskiego, i tylu innych jeszcze; jakież to godnym zadaniem, tematem do epepei lub dramatu największych rozmiarów, mogłaby się stać każda z tych figur dla prawdziwie natchnionego, wielkomyślnego wieszczu; jakaż to chrześcijańska Achilleis w jednej tylko tragicznej wyprawie pod Warnę! Ale gdy, wyszedłszy raz z zaklętego koła znarowionego szlachectwa, obecna nasza poezya wejrzała w owe heroiczne czasy, umiała tam tylko znaleźć temat do archeologicznej rozprawki związaną i niewiązaną prozą, i wśród tylu bohaterów i półbogów wyszukała sobie—artystę, snycerza, o którym nic nie wiedziała i też nic nie powiedziała, którego życie tylko anekdotami wysztukować i którego rzeźby tylko rymami *ogawędzić* mogła.

Bo też i w historycznych naszych studyach, w metodzie naszego opracowania dziejów lub zapatrywania się na nie, w sposobie nawet w jaki dla nich źródłowe zbieramy materiały, przeważa coraz bardziej ten charakter amatorski i dyletancki, ta wyłączna miłość i baczność dla samych malowniczych i artystowskich stron każdego, i choćby najpoważniejszego zadania, które cechują obecnie prawie wszystkie nasze umysłowe zajęcia i trudy. Historia nie jest dla nas surową życia mistrzynią, udzielającą tych wielkich doświadczeń z przeszłości i twardych upomnień na przyszłość, których nam przecież tak bardzo potrzeba; chcemy w niej mieć raczej pieszczącą piastunkę, pobłażliwą, gadatliwą i łatwą nawet do podejścia kumę, i żądamy od niej słodkich piosenek i bawiących powiastek, choćby i bajecznych, « przy których spać miło, » przy których przynajmniej

nie budzi się żadne uczucie skruchy za minione, żadna chęć poprawy na następne czasy. Nowszym naszym historycznym dziełom brak téj myśli publicznej, tego charakteru obywatelskiego, téj dążności zaostrenia pewnych wielkich prawd moralnych i politycznych, które właściwe dopiero znaczenie i wartość nadają księgom pamięci, które główném i niezatartém są piętnem wszystkich nieśmiertelnych tego rodzaju pomników w starożytnym i nowożytnym świecie, które też i u nas ożywiały jeszcze nie tak dawno każdą naukową pracę Naruszewicza i Czackiego, Staszica i Ursyna. Ale na co wielki Tadeusz patrzył jako mąż stanu, gdy z rozdartém sercem kreślił rozdarty byt państwa, co Niemcewicz jako obywatel pojmował i jako syn ojczyzny czuł i wyrażał, na to teraz nasi pisarze patrzą jako artyści, o tém sądzą jako synowie Apollina, i bogactwu kolorytu przebaczą ubóstwo politycznego ducha, a wyuzdaniu szlachty umieją pobłażać, przez wzgląd na jęj wielką fantazyą. Nie ostry rylec, ale miękki pędzel trzyma teraz w swym ręku nasza narodowa Klio; nie ze stanowiska państwa, ale z malarskiej sztalugi spoglądamy obecnie na Polskę przeszłych wieków, a fałszywy ten kierunek znalazł swoje odbicie aż w tych na pozór tak neutralnych pracach, które proste tylko ogłoszenie historycznych materiałów mają na celu. Jeden tu tylko hrabia Tytus Działyński rozumie swoje mozolne i zaszczytne powołanie i wywiązuje się z niego w sposób prawdziwie naukowy i obywatelski; on jeden wielkich środków do wielkich używa celów, i w myśli publicznej a formie poważnej podaje narodowi najważniejsze akta z jego publicznego życia. A w tym skarbcu przeszłości, z którego mąż pełen nauki i zasług, rzeczywiste i najcenniejsze umie wydobywać klejnoty naszego rycerstwa, współzawodnicy jego szukają tylko samych liczmanów i blichtrów, i zamiast, jak on, znosić w porządku i systemie ciosowe i węgielne kamienie do wspaniałej budowy naszych dzie-

jów, zbierają po amatorsku lśniące i połyskujące kamyczki do kieszonkowych mozaik. W publikacjach ich widać wszędzie tę dorywczosć i doraźność, która nieodłączną jest cechą wszelkiego dyletantyzmu, widać to zamiłowanie w drobnostkach, które malowniczą i anekdotyczną stronę dziejów przenosi nad ich stronę plastyczną i polityczną, to upodobanie w osobliwościach, które w historii nie praktycznej nauki ale archeologicznej szuka zabawy, i w miejscu narodowego Pantheonu, rade sobie tworzy gabinet ciekawości. Luźne kartki, które nawet trudno jakobądź wszyć w księgę dziejów, listy ulotne i bez żadnej treści, spisy ruchomości i opisy sprzętów więcej ich zajmują niż relacye posłów, te wierzytelne świadectwa naszych wewnętrznych i zewnętrznych stosunków; i gdy gołe nazwiska piktorów, wątpliwj wartości a wątpliwszego jeszcze pochodzenia miniatury, wszelkie « złotnicze robótki i drobne cacka » skrzętnych znajdują zbieraczy i hojnych wydawców, butwieją i niszczeję nasze dyaryusze sejmowe, te najważniejsze roczniki kraju, który przez tyle wieków przecieź żył głównie parlamentarném życiem! Ktoby chciał jednym rzutem oka zmierzyć całą przestrzeń, którąśmy i w tym względzie, i pod wpływem artyzmu, odbiegli od zdrowego instynku i jasnego poczucia naszych potrzeb, ten niech tylko porówna zbiór historycznych materyałów, który niegdyś wydawał Niemcewicz, z podobnemi próbami, ogłaszanemi teraz w Warszawie lub Wilnie. W kompilacyi Ursyna znajdzie czytelnik wprawdzie wielką niesystematyczność, wiele niedokładności, nieraz nawet tendencyjne opuszczenia lub interkalacye, ale zarazem także właśnie znajdzie i — tendencyą, ujrzy prawie wszędzie pewien cel publiczny, pozna wszędzie wprawną rękę publicysty, namiętą patrioty. Dla Niemcewicza, dokument historyczny zdaje się o tyle tylko mieć znaczenia, o ile może służyć za broń polityczną; dla obecnych naszych amatorów, za-



bytek dziejowy dopiero wtenczas nabiera ceny i wartości, kiedy za archeologiczną może uchodzić osobliwość...

Tak w utworach wyobraźni, jak w dziełach erudycji artystycznej staje się u nas pokrywą i upiększeniem istotnego braku idealnych natchnień, publicznych instynktów i obywatelskich dążeń — i ktoż wie, czy podobnej smutnej posługi nie oddaje nam ten sam żywioł i w samym życiu?... Patrząc na gorączkowy nasz zapał do sztuk, przy tak wątpliwym do nich powołaniu, powstaje nieraz obawa, czy pochopem do tej błędnej wędrówki nie jest utajona chęć opuszczenia trudnego, niebezpiecznego stanowiska, czy te artystyczne roszczenia nie mają swego mętnego źródła w politycznej rezygnacji... Umysły trawione zwątpieniem, którego sobie i drugim wyznać nie śmieją, tak wygodnie mogą się wycofać z krwawej areny życia w to zacisze malarskie, rzeźbiarskie, które jednak jeszcze przed światem nosi nazwę — *pracowni!* Sumienia nieskłonne do walki, niezdolne do zdrady, tak łatwo mogą szukać i znaleźć zwodnicze zaspokojenie w zajęciu, któremu narodowym wolno głosić się trudem, chociaż wistocie tylko jest rozrywką i odpoczynkiem! Póki więzień czuje całą zgrozę niewoli i z wytężonemi zmysły i sercem czeka pory wybawienia, póty sobie nie stroi swojej smutnej celi, ani go wówczas razi biedna nagość jej murów. Dopiero gdy utraci nadzieję i pożegna się z myślą swobody, dopiero wtenczas zaczyna on upiększać swoje gołe ściany, pielęgnować zaglądale przez rdzawe kraty powoje i wdzięcznie się przysłuchiwać kwileniom słowików... Oh! chcielibyśmy wierzyć, że nie taką to sromotną chwilę w dziejach naszej niewoli oznacza ten obecny nasz zwrot do wszystkiego, co byt umiła i słodzi, że nie dlatego wołamy o obrazy i posągi, aby nasze wielkie więzienie — mieszkalniejszym uczynić, że nie dlatego dawnych Sparcyatów tak teraz nęci Olimp, iż przez Beocyą doń droga! Ale komu rzecz

publiczna więcej waży niż prywatna grzechność dyletantów, ten w każdym razie słuszną zachowa nieufność do kierunku, który podobne mieć może pobudki; kto zdrową polską duszę mógł uchronić, ten będzie prosił Boga, aby od nas odwrócił ten kielich — ambrozji!

I czyż dla czciciela prawdy i dbałego o moralność narodu obywatela, nie dosyć powodów do żalu, do obawy, w samym już tylko, tak widocznie kłamanym charakterze tych naszych uroszczeń, choćby ich źródło było mniej podejrzané? I choćby już nie żadna patryotyczna apatya, ale tylko kosmopolityczna płochosć, nie bezwiedne odstępstwo, ale bezmyślne naśladownictwo były pobudkami obecnego kierunku, jakież zdrowe, proste serce nie uczuje odrazy i przerażenia na widok tak wyraźnego udania, tak namacalnego fałszu, który na każdym kroku cechuje nasze artystyczne zachcenia i zachwyty? Wykazaliśmy już przedtem choć w dorywczych rysach, całą tych porywów pozornosć, nieznanosć rzeczy, jaką u nas grzeszą prawie wszyscy wielbiciele i krzewiciele malarstwa, rzeźbiarstwa, muzyki, nieszczerosć i płytkosć naszych zwiastunów, przedślańców i samosłańców sztuki — i nie mamy ochoty znowu wrócić do przedmiotu, o którym, gdy się go dotyka, tak trudno jest satyry *nie* pisać... Lecz jakież wtenczas trzeźwy umysł się zgodzi na podobną frymarkę słów i uczuć, i kogoż wtedy zabawi taka płocha gra ze świętościami Olimpu, a świętszém jeszcze nierównie sumieniem narodu? Zapamiętaj, entuzjazm!!..... wielkie i nieocenione to były po wszystkie czasy skarby ludzkiego ducha, większój jeszcze, nad wszelką cenę wartości nabrały one w tych smutnych czasach, w których teraz żyjemy. Szczęśliwy człowiek, szczęśliwszy jeszcze naród, który w wieku XIX tém bogactwem się szczycić ma prawo, który może coś nie ziemskiego ukochać, nad czémś nadziejskim się unosić. Ale jeśli największa oszczędność takiego skarbu najświętszym jest obowiązkiem, to wszelka nim gra i

spekulacya najwyższém się staje świętokradztwem; jeśli trwonienie tego złota na niepotrzebne przedmioty i cele kary godną jest płochością: jakżeż dopiero nazwać jego — *falszowanie*?... Falszowanie zaś entuzyazmu, udawanie zachwyty, zapalanie się na zimno, odurzanie się przy najprozaicniejszej trzeźwości, ten jest jeden z najłżejszych zarzutów, jaki kaźden miłośnik prawdy a nawet i sztuki, ma prawo robić naszym dyletantom i amatorom; a w tym najłżejszym tylko zarzucie ile już tłoczącego ciężaru dla polskiego sumienia! Jest coś niemoralnego i demoralizującego w kaźdem, i choćby najniewinniejszém na pozór i najbezinteresowniejszém, ale kłamaném uczuciu; jest coś godność ludzką poniżającego w kaźdym nieszczerym hołdzie i hipokryzya była zawsze gorszą od najgorszego bałwochwalstwa! Podobne zaś draźnienie i łechtanie lekkimi piórkami nerwów zapału w narodzie, jest dziełem równie płochem jak grzeszném; bo ta sztuczna excytacya prowadzić wkońcu musi do zupełnego ztępienia, bo to dziecinne i codzienne próbowanie najdelikatniejszych sprężyn polskiego ducha musi je tylko osłabić, rozprzęgać i odjąć im tę siłę podlotu, która troskliwie pielęgnowana i oszczędzona, w danym razie może dzwignąć trud trudów, w chwili przeznaczeń może stworzyć cud cudów.

Gdyby nawet nasze pobudki w tym kierunku były tak czyste i poważne, jak są płocze i niepokojące, i gdyby nasze uzdolnienie w tych sferach było tak wyraźném i prawdziwém, jak jest wątpliwém i udaném, jeszcze i wtenczas kaźden umysł rozważny musiałby przestrzegać przed podobnemi pociągami w podobném położeniu, i przez wzgląd na nasze czasy i obecne potrzeby, kazałby umilknąć wszelkim względom choćby istotnego powołania. Bo te zajęcia i zamięłowania nie tylko nas odwodzą od robót daleko ważniejszych, bardziej naglących, pod karą zagłady nieodzownych, ale stają nadto na zawadzie wielu drogim, niezbędnym



ducha i życia nabytkom, ale żywią, powiększają w nas pewne słabości i wady, od których przewyciężenia zawisło może zwycięstwo najświętszej sprawy... Jest w sztuce zawsze jakiś miękczący i denerwujący element, którego wpływy wprawdzie zneutralizuje nieraz w sobie zdrowy i silny organizm normalnie rozwijającego się narodu, ale którym oprzeć się nie jest w stanie żaden kraj, jak nasz, ciężką niemocą złożony; a jeśli historia ciągłymi naucza przykłady, że niejedyn lud znajdował w trudach pędzla i dłota wielką chwałę i podniechę za czasów swój potęgi, marną pociechę w epoce upadku i konania, nie wskaże ona natomiast ani jednego, któryby w tych zajęciach był czerpał hart do oporu, odwagę i siłę do powstania. Artystyczne wychowanie i kształcenie zaostrza w ludziach tę nerwową czujność i czułość, to pragnienie ciągłych zmian i wrażeń, to ceniecie pozornych stron życia z lekceważeniem rzeczywistych, tę fosforyczność błyskotnego i błyskawicznego zapału, tę łatwość do uniesień i upadków, tę skorość do zaczarowania się i rozczarowania — wszystkie te przymioty, których i bez tego mamy już podostatkami : czego zaś nam brak, do nabycia czego nam artyzm zaprawdę nie pomoże, niewątpliwie raczej zaszkodzi, to téj stateczności w myślach i stałości w chęciach, téj rozwagi w rozpoczęciu dzieła i wytrwałości w jego dokonaniu, tego zimnego rozmysłu przy gorącym, jednostajnym uczuciu, téj wstrzemięźliwości w słowach a energii w czynach, którym jedynie na téj ziemi jest danym, bez myłki zdążać do celu i bez chyby go osiągnąć... Miłość ojczyzny nie zawsze u nas bywa przywiązaniem do kraju : zrozumieniem tego obowiązku, że tylko wśród swoich i ze swoimi żyć i przestawać, tylko w tém co nam własnym i rodzimym natchnienia i rokoszy szukać potrzeba. Nie w kraju zaś, ale za granicą są magnetyczne punkta dla prawdziwego syna Muzy, dla każdego tylko jej zwolennika : we Włoszech są jego

galerye, we Francyi jego konserwatorya i opery — w Polsce, czeka go tylko żal i tęsknota za utraconym rajem, a może wkońcu i zniechęcenie do niewdzięcznej ziemi, która nigdy się Hesperyą nie stanie. Nauka jest uniwersalną i Minerwa nieraz odwiedza bardzo biedną strzechę, ale bogini Piękna ma swoje uświęcone doliny, grody i wyspy, do których wędrować musi każdy wierny i każdy wyznawca; Bias wszystko mógł unosić z sobą, ale Correggio upadł pod ciężarem jednego tylko ze swoich obrazów; dzieła nauki i wiedzy żywić mogą ducha tak dobrze w cichej wsi szlacheckiej, jak w hałaśnej stolicy Zachodu, ale oko chciwe artystycznych wrażeń i wzruszeń tylko nad brzegami Sekwany, Tybru i Arna znajdzie zaspokojenie i szczęście... Młodzież nasza tak mało ma pociągu do określonych obowiązków, tak mało pochopności do trudów stałych i wytrwałych, ona tak skłonna jest do patrzenia z góry na świat i jego poziome roboty, do wyrzekania na smutną rzeczywistość, której nie zna, do wzgardzania radą starszych, których doświadczeniu zaprzecza, do wyostrzenia w sobie fałszywej drażliwości i dumy, która ją od prawdy i pracy oddziela: a jakąż to cieplarnią dla wszystkich podobnych « dzikich krzewów » staną się niechybnie te malarskie, rzeźbiarskie i muzyczne pracownie, w których nie wiem, czy się kiedyś wychowa jakiś Michał Anioł, ale to pewna, że z nich nie wyjdzie ani żaden Podstoli, ani żaden Podchorąży!... Płeć nasza piękna, mimo wszystkich swoich wielkich zalet, nie grzeszyła jednak nigdy zbytkiem odrazy do zbytków i rozrywek: a ileż ta żądza znajdzie żywiołu, ileż upiększenia i pretekstu w udanej czci dla téj Sztuki, która w gruncie i dla mniej pięknej połowy naszego rodzaju u nas jest tylko — zabawą?... Wolnoż nam jeszcze wkońcu nadmienić, że cześć Muz ma także swoje i mniej duchowe strony, i że Korynt (*non cuivis contingit!*...) prócz misterynych robót chowa i — hierodule;

Wolnoż przypomnieć, że Idejska Bogini ma także w swoim ręku pewne symboliczne jabłko?... I czemuż zresztą, gdyśmy się już na tyle odważyli, nie mielibyśmy tego wprost wypowiedzieć, że dla kraju, który w cnót swych rzędzie wstrzeźliwości i ascetyzmu oddawna już nie liczy i w którym rząd, zamiast przeszkadzać zepsuciu, starannie je podnieca, że dla takiego kraju obawiamy się przykładu i wpływu tój wolności obyczajów i emancypacyi stosunków, które za sobą zwykle prowadzi, których nawet pod niejednym względem żądać ma prawo — żywot artysty? Bo jeśli na Canowę nie łatwo się zdobędziemy, mniej może u nas trudno o księżnę Borghese; jeśli tron Rafaela długo zapewne i u nas próżnym zostanie, prędzej może będzie obsadzona sztaluga Fornaryny!...

Wśród tych prób strasznych, któremi nas Bóg doświadcza, wśród tylu męk czyszczowych, przez które zdążamy do Odkupienia, nie w zaletach to Sztuki, ale w zaletach obywatelstwa, nie w wygodzie używania, ale w godności żywota przystoi nam szukać ćwiczenia i wydoskonalenia. W objęciach Muz czeka nas tylko wycieńczenie i uspienie, publiczne obumarcie i łatwe a grzeszne zaspokojenie sumienia; hart i wytrwanie, wiarę w naszą sprawę i środki i siły do jój wywalczenia znajdziemy tylko w twardój i mozolnój pracy, w krzewieniu religijnego ducha i czynnój miłości bliźniego, w trzeźwém badaniu naszych wad i niedostatków i w szczerém postanowieniu poprawy i naprawy... Nie pędzłem i dłótem, lecz krzyżem a mieczem zwyciężała Polska od wieków; nie sztukami pokoju zaświeciła, ale mir boży na ziemi zaprowadzić usiłowała; nie protekcją udzielaną artystom, ale pomocą którą niosła ciemiężonym, walką którą wypowiedziała ciemiężcom, wsławiła się w dziejach; i z równém też przestrzeganiem przed trudami malarstwa i rzeźbiarstwa a ze wskazaniem nierównie jeszcze wyższego celu, jak go



z elizyum Anchizes mógł naznaczyć Rzymianom, woła  
teraz i do nas z głębi przeszłości i z wysokości niebios,  
duch naszych ojców :

*Excudent alii spirantia mollius aera,  
Credo equidem; vivos ducent de marmore vultus;...*  
— *Tu gerere ad Christum populos, Polone, memento ;  
Hæ tibi erunt artes, pacisque imponere morem,  
Tollere subjectos, et debellare superbos!...*

## NASZE ZADANIA I UCHYBIENIA.

---

4 lipca.

Trudno nie spostrzedz, że od stu przeszło lat, dla każdego co na świat przychodzi polskiego pokolenia, coraz cięższém staje się zadaniem dźwignąć kraj z niemocy; że nawet aby służyć wiernie a z pożytkiem, coraz wyższych, niezwyklejszych potrzeba nam cnót. Może więc nie odrzeczy będzie przypomnieć te szczeble, któremi Polska zapadała się w głębią dzisiejszą; może z téj bolesnej paralelli da się wyprowadzić światło, które wśród ciemności zwątpienia na drodze ratunku zabłyśnie.

Dziś już nie tajno, że nim rzeczpospolita nachyliła się do upadku, dosyć było znieść elekeye i *liberum veto* usunąć, to jest te przywileje jednej części narodu poświęcić, które obecnie każdy z nas potępia, aby przy tyłu cnotach ówczesnej szlachcie polskiej właściwych, z jéj uczuciem religijném i domową obyczajnością, los kraju na długo ubezpieczyć. Ale czynione w tym celu usiłowania nie powiodły się. Utrzymane elekeye wzwyżczyły ludzi publicznych, panów, szlachtę i nawet kobiety do haniebnych targów sumienia; za przedajnością

wcisnęła się do rzeczypospolitój Moskwa, jak zły duch za grzechem wciska się do duszy człowieczej. Pierwój jednych prywata, drugich swawola stawały na przeszkodzie potędze narodu; później do przeszkód przybyła cheiwość na złoto i zaszczyty cudzoziemskie, przybył strach przed groźbą możnego sąsiada. Wprawdzie, pod koniec zeszłego stulecia bolesne klęski otworzyły oczy większości narodu, i gdyby za Jana Kazimierza lub za Sobieskiego znalazło się w stanie rycerskim tyle światła, ile go okazał Sejm Czteroletni, ani wątpić, że Polska stałaby dodziśdnia świetna i potężna! — W wieku XVIII już nie wystarczyło to, czémby dawniej kraj był ocalał. Naród nie obronił się w czasie wojny o Konstytucyą 3<sup>go</sup> Maja, chociaż przez światłych ludzi rządzony, bo mu zabrakło tego hartu i wierności dla sprawy, których w nas późniejsze dowiodły wypadki. Słusznie ktoś powiedział, że my zwykle dopiero półwiekiem później, widzimy jasno co nam robić należało!...

Kiedy granice kraju były jeszcze obszerne i kiedy trochę męztwa i wytrwałych poświęceń można było otrzymać od Europy pomoc lub interwencyą, łatwiej było dziadom naszym oswobodzić się od nieprzyjaciela, — niż później naszym ojcom, ludziom Księstwa Warszawskiego powołanym do służby, w chwili gdy Polskę już rozszarpano, i gdy naprzód o jój całość należało się dobijać. Podobnież, znośniejszém było położenie i lżejsza dla kraju służba za Księstwa, kiedyśmy mieli rząd własny a sprzymierzeńca potężnego, i kiedy jedno z tych mocarstw co rozdziałem Polski urosło, straciło interes w zabezpieczeniu drugim niecnego zaboru, — niż później, za Królestwa kongresowego w nader niepewnych i zawikłanych stosunkach, kiedy obywatele od dobrego humoru zwycięzcy zależni, nie mniej rozważli i ostrożności jak poświęcenia i patryotyzmu mieć byli powinni. W zeszłym wieku i za czasów napoleońskich, może dosyć było naród entuzjazmem rozpalić,



rzucić go na wroga, i jedno lub dwuletniem wysileniem kraj od napaści zasłonić; ale w położeniu, które nam przygotował traktat wiedeński, dzieło odbudowania ojczyzny, już dłuższej, rozważniejszej, wieloletniej tylko pracy mogło się stać owocem. A jakaż różnica od tego co dziś jest! Wówczas, to jest za Królestwa kongresowego, mógł naród rosnąć i zbroić się w te wszystkie środki i zasoby, których przyszła jego niepodległość wymagała; mógł bogacić się w ludzi uzdolnionych pod względem administracyjnym, cywilnym, politycznym, wojskowym, naukowym, technicznym, bez których żadna samoistna społeczność obejść się nie może; wówczas była szkoła publicznego życia, były kadry wielkiego państwa. — Naszemu pokoleniu te wszystkie korzyści odjęte! Później, to jest temu lat dwanaście, było jeszcze na ziemi polskiej choć jedno miasto po polsku i przez Polaków rządzone, — dziś i to miasto postradaliśmy; była jedność i braterstwo wszystkich warstw narodu, o których nikt nie wątpił, — dziś i ta harmonia w niejednym miejscu pokazała się wątpliwą! Dziś poświęcenia trzeba, hartu i patryotyzmu nie na to tylko, aby służyć ojczyźnie, ale aby się kształcić na pożytecznego krajowi obywatela. Dziś już wojna wydana jest wszystkiemu, co na ziemi polskiej nie czuje się Moskałem lub Niemcem, buntowniczą jest nie już nadzieja odbudowania ojczyzny, ale zachowania naszej odrębnej narodowości! Dzisiaj zapobiegać ruinie majątkowej Polaków, starać się o podniesienie moralne niższych klas narodu, oddziaływać przeciw zepsuciu w wyższych, budzić w młodzieży sumienie obowiązku, miłość prawdy, uczucia religijne i dążność do pracy, — zbrodnią jest u tych, którzy póty się u nas czuć nie będą pewnymi, póki nas nie ujrzą o kiju żebraczym, i u tych którzy bezpieczniejszej swemu panowaniu rękami nie znają, jak zatracenie w ludziach wszystkiego, co w nich nie jest zwierzęcym. Dzisiaj aby tylko pozostać wiernym Polakiem, więcój potrzeba zacności oby-

watelskiej, niżli jej wymagano dawniej, pod własnym rządem, aby kraj utrzymać; dzisiaj aby sprawie dopomódz, koniecznym jest poświęcenie i ogień święty, ale niemniej konieczna baczość i oględność nieustanna, i w szczupłej, jaka nam pozostała, liczbie środków roztropny wybór.

Tak z każdym co przechodzi pokoleniem, coraz mniej bezpieczeństwa, coraz mniej możności, a coraz więcej przeszkód, i więcej obowiązków! I nie ma środka zapobiedz tej fatalnej gradacyi, póki się nie znajdzie pokolenie, które ze świętą rezygnacją krzyż ten przyjąwszy, zniesie męzko ciężary i boleści położeniu naszemu właściwe; póki w krwawym znoju codzienniej pracy, w ucisku codzienniej abnegacyi, w ogniu pokuty nie zahartuje się do tej walki stanowczej, którą w wigilię naszego zmartwychwstania odbyć z wrogami naszymi, będzie już dla niego szczęściem i nagrodą! Ani człowiek, ani naród nie odsunie od siebie kielicha, który mu przeznaczony! Pośpiech nic tu nie nada; bezsilna niecierpliwość nowej tylko przysporzy niemocy, na nowo przedłuży niewolę; nowe boleści i niebezpieczeństwa następnemu pokoleniu zgotuje! — Bo choć dzisiaj źle jest, gorzej jeszcze być może. Dzisiaj duch narodu jeszcze nie otruty, i wszyscy Polacy, ilu ich jest, gotowi stanąć do apelu. Dzisiaj jeszcze syn Polaka nie ma wyboru: albo musi być Polakiem, albo zostaje niktzemnikiem, którym gardzi świat cały. — Później może być inaczej; później, po nowych klęskach i zawodach, może znajdą się nawet uczciwi Polacy, którzy w dobrej wierze szukać będą przyszłości swój ojczyzny w jedności z Moskwą.

Zrozumieć więc obowiązki obecnej chwili, dzisiejszego pokolenia, i pełnić je codziennie z religijną sumiennością i powagą, bez lekceważenia i pominięcia, to najwyższe jest zadanie naszej polityki. — Cóż stąd, że te obowiązki nie prowadzą od razu i bezpośrednio

do niepodległości ojczyzny! Życie narodu nie mierzy się żywotem ludzkim! Obywatele, mówi Skarga, powinni mieć tę karność żołnierzy, których pierwsze szeregi, gdy idą zdobywać miasto, giną w fosach i od pocisków nieprzyjaciela, a następnie dopiero, po ich trupach, wdzierają się na mury twierdzy. Tak ci straceni, którzy w tych hufcach męczeńskich będą, mnogością prac swych i poświęceń zawałą doły i wały, któremi Polska niepodległa od nas odgradzona.

Nie nam przystoi mówić, że lekkie są, małoważne i małoprzydatne te codzienne powinności, które nam Bóg daje, w rodzinie i poza domem, w życiu prywatnym i publicznym. Nie to bowiem waży ani przydaje się, co byśmy w tej chwili pragnęli czynić, ale to co w tej chwili dla sprawy zrobić możemy, i tylko z tego rodzi się dla niej prawdziwy pożytek a nie odnosim zawodu ani zniechęcenia. Kto zaś w chęciach albo marzeniach, szukać będzie punktu wyjścia i podstawy do działania, ten albo nad ziemią niepostrzeżony od świata wciąż latać będzie, albo po to tylko na ziemię zstępować, aby kraj nowemi zbroczyć nieszczęściami. — Ani Bóg, ani ludzie nie wkładają na nikogo wielkich od razu obowiązków, nie dają mu od pierwszej chwili szerokiego pola do działania. Tylko stopniowo, tylko zasługami i sumiennym wywiązaniem się z tego co doń w każdym czasie należy, tak człowiek jak naród przychodzi do przestronniejszych, coraz mniej pośrednich, coraz bardziej decydujących rol i obowiązków. — Na giełdzie grając, można czasami wygrać znaczną fortunę, ale do-  
tąd jeden tylko znany jest nieomylny sposób dorobienia się majątku: skrętnością a przezornością. Jedna też nam pozostaje droga zbogacenia narodu w tyle moralnych i materyalnych zasobów, iżby niemi sprostał w walce z nieprzyjaciółmi, tą jest: wszędzie, gdzie duch polski jawić się, działać i rozrastać może, tam wszędzie wkładać całą naszą zdolność, zacność i energią. Téj



długiej drogi jednym wybuchem, jednym przeskokiem naród nie przebieży!

Nie mamy siły, aby przeprowadzić zmiany potrzebne nam w układzie politycznym Europy, ale w tych, które sam rozwój wypadków przynosi możemy znaleźć korzyść. Po co rozpaczać nad tą ciszą, która dziś zaległa Europę? Ani ciągła pogoda, ani ciągły pokój nie są podobne na świecie! Historia świadczy, że ilekroć państwo które, tak się wzmogło, że potęgą swoją, jak dziś Rossya, reszcie świata groziło, tylekroć wiązała się przeciw niemu Europa aby je wyrócić, albo do naturalnych sprowadzić granic. Tak upadła potęga hiszpańska, habsburska, szwedzka, turecka i napoleońska. — Od rozbioru Polski było już pięć wojen przeciw Moskwie; wcześniej czy później nowe wybuchnąć muszą, i nową nam podać okazyą. — Ale na tym świecie do niczego, nawet do sprawiedliwości nie przychodzi się darmo; za wszystko płacić trzeba zasługą odpowiednią. Kto więc od wojen tych i od zagranicznej pomocy wszystkich nadziei dla Polski wyglądać będzie, a sam, czekając, opuściwszy ręce, zaduma się nad grobem ojczyzny, ten się w rachubach swoich tak zawiedzie, jak się zawodzili wciąż ojcowie nasi przy elekcjach królów. Na każdego nowego kandydata wkładali wszystkie obowiązki obrony kraju i rządów wewnętrznych, a sami do tych ciężarów w niczem nie chcieli się przykładać. Cóż więc dziwnego, że ani porządku wewnątrz, ani bezpieczeństwa zewnątrz kraju nie było?

Wojna z Moskwą celem jest wprawdzie naszych nadziei, ale i koroną być musi naszych usiłowań. Nie same wojny znaczą w historii świata; zdobycze w czasie pokoju odniesione niemniej są zaszczytne, niemniej bywają trwałe i stanowcze. — Bóg ważąc losy walczących narodów, kładzie na szali zwycięstwa ich czyny przed wojną spełnione. One tyleż, jeśli nie więcej, co dzielność wodzów i żołnierzy o wypadku bitew stanowią! —

W pielgrzymce do ziemi świętej, kiedy lud wybrany walczył z nieprzyjaciołmi, Mojżesz wstąpiwszy na wzgórce, błagał Boga o zwycięstwo. «A gdy podnosił Mojżesz ręce, przemagał Izrael; a jeśli trochę opuścił, przewyciężał Amalek.» Temi rękoma błagalnemi, które wyproszą nam zwycięstwo w przyszłej, kiedy przyjdzie, wojnie z Moskwą, będą przed Bogiem: i dawniejsze naszych męczenników cierpienia, i dzisiejsza Polaków wytrwałość, ich dzisiejsze dla rzeczy publicznej trudy i ofiary!

---

## LISTY O STANIE LITWY

OD ŚMIERCI MIKOŁAJA.

---

5 lipca.

### I

(Wyjątki z listu)..... Doniosłem tedy, albo raczej odpowiedziałem na zapytania o wspólnych nam niegdyś przyjaciółach i znajomych, o zmianach zaszyłych w rodzinnym zakątku naszym. Tylekroć musiałem powtórzyć smutne wyrazy: umarł... nie żyje... dawnośmy go stracili, ani słyhu o nim! Aż mi się serce ścisnęło, kiedyś odczytał com napisał. Sam przeraziłem się żalobnym tym katalogiem. Człowiek jakoś oswaja się ze stratami i zmianami pomału zachodzącemi koło niego; ale zebrać je wszystkie razem i ujrzeć w jednej chwili, to okropnie! Mam teraz pojęcie czém może być podobna chwila dla tego, kto długo oddalony wraca w strony domowe. Wszakże niedość że się zmieniło całe nasze sąsiedztwo, że wszędzie nowi panowie, nowi słudzy, ale i sama okolica przybrała inne wejrzzenie. Nie masz już i starych drzew tak miłych nam w dzieciństwie.



Ten dąb, co rozpościerając gałęzie nad dachem, zasy-  
pywał nam ganek żołądziami, usechł i ścięty. Ten od-  
wieczny wiąz, pod którym z garścią kamyków czatowa-  
liśmy na stada czeczotek, wywróciła burza... Daleko  
mi trudniej zaspokoić choć w części ciekawość obró-  
coną do względów ogólniejszych, do całego stanu kraju  
i położenia naszego. Zastanowiłem się nad upłynioną  
ćwiercią wieku, chcąc zebrać pamięcią główniejsze  
przynajmniej przejścia z tego co było dawniej, do tego  
co jest dzisiaj. Niepodobieństwo! Zawróciło mi się  
w głowie i nie stało mocy w piersiach. Będą kiedyś z tego  
tomy historii, i chyba ją jaki Niemiec nam napisze, bo  
tu nie sposób zagłębić się myślą, mając bijące serce pol-  
skie. Cały ten ciemny i straszny obraz, to tylko dał mi  
dojrzeć wyraźnie, że dwa końce ostatniego okresu dzie-  
jów naszych, tak są od siebie różne jak dzień od nocy,  
jak niebo od ziemi. Znacnie zapewne lepiej Królestwo  
Polskie; nie bierzcie z niego miary o tém co u nas.  
Królestwo *mutatis mutandis*, jest na tym stopniu prze-  
twarzania, na jakim my byliśmy przed rokiem ośmset  
trzydziestym. Jeszcze oni choć jedną nogą stoją w Eu-  
ropie; my już zupełnie wciągnieni w Azyą. Prawy brzeg  
Niemna śmiało można nazwać azyatyckim. Od kończyn  
Żmudzi do kończyn Kamczatki jedna zasada rządu, pra-  
wodawstwa i administracyi. Jaka to zasada! Dość po-  
równać dawne nasze prawodawstwo litewskie z wszech-  
rossyjskiem. U nas wszystko opierało się na sumieniu,  
na bojaźni Boga i miłości bliźniego, na uczuciu spra-  
wiedliwości; ztąd we wszystkim dane pierwszeństwo  
dobrej wierze, zaufaniu, wysoko pojętemu charakte-  
rowi obywatelstwa. W Rosyi przeciwnie. Tam za ca-  
rem nie widać Boga, interes skarbu odtrąca na bok  
wszelkie inne względy; sprawiedliwość, ufność, su-  
mienność nic nie znaczą, wszystko polega na literze  
ustawy, na przepisie, na formie. Były i u nas niezbe-  
dne nigdzie porządki i formalności, ale uchybienie

przeciw nim, chociaż pociągało za sobą pewną karę, nie gubiło samej słusznej sprawy. Wedle moskiewskiego ducha prawodawstwa, żadna sprawa nie jest sama w sobie słuszną lub niesłuszną, tylko zgodną lub niezgodną z formami. Pożyczyłeś komuś pieniądze, masz na to oblig, pieczętarzy, świadków, nie mówiąc już o przysiędze, tysiąc najoczywistszych dowodów; ale twój oblig na papierze stempowym niższej ceny niżeli wartość summy wymagała, skarb tracił na poszlinach — nie masz sposobu naprawienia winy, przepadłeś bez ratunku. Grzeszyliśmy i my pieniactwem; mieli i u nas niemałe pole juryści i adwokaci do swoich wykrętów; ale złe nie leżało w samej zasadzie, tylko w zboczeniu od niej. Sędzia był zawsze stróżem sprawiedliwości, nie zaś litery prawa, a opinia publiczna trzymała pod strażą sumienie sędziego. Z pośród obywateli wychodził, po Bogu im naprzód był odpowiedzialny. W Rosyi opinia publiczna w téj mierze nie jest żadnym hamulcem; owszem, można powiedzieć, daje popęd w złym kierunku. Kiedy się bowiem upowszechniło i wkorzeniło wyobrażenie, że przepisy i formalności są wszystkim, musiała zrodzić się pewna cześć dla sztuki pamiętania, wykładania i stosowania tych nieskończonych nakazów i postanowień, które składają prawodawstwo rossyjskie. Umieć wedle potrzeby, na korzyść téj lub owéj strony, przyłożyć wyrazy ustawy do danego wypadku, umieć zręcznie nagiąć, nakręcić, czyli jak delikatnie mówi się *podprowadzić zakon*, to jest nauką, zdolnością, zaletą szanowaną i cenioną wysoko. Nikt nie ma za złe urzędnikowi, że się sprzedał i fałszywie zawyrokował, ale każdy patrzy tylko czy źle lub dobrze wyrok swój cytacyami obwarował, i wedle tego ma go za głupca albo za biegłego człowieka. Jeśli przedajność wyda się i pociągnie za sobą nieprzyjemne skutki, w pierwszym razie powiedzą z uśmiechem wzgardliwym: *durak*, w drugim z politowaniem: *nieszczęstny*; słowem, głupi albo nie-

szczęśliwy, nigdy zaś winowajca. Prawodawstwo rossyjskie z wielu względów podobne do Talmudu, potrzebuje osobnej klasy znawców, komentatorów, wykładczy — *naucznych*, jak ich Żydzi nasi zowią. Takim prawoznawcą naukowym, biurokratą-rabinem stać się nie łatwo. Nie dość tu pracy, trzeba jeszcze wrodzonej skłonności i tradycyjnego usposobienia. Biegły w piśmie, zwycięzki wojownik na polu papierowym — *bojki po bumagam*, wedle przysłowia, od dzieciństwa gryzie lak i pije atrament, jak Achilles karmił się lwim szpikiem. Często posiwieje, nim przyjdzie do téj doskonałości, że już ma zupełnie *nabitą rękę*, to jest sypie cytacye ukazów jak z rękawa. Anglia utworzyła swoją rasę koni, a Rossya może pochłubić się swoją rasą biurokratów. To szacowne czystej krwi plemię, pochodzi jeszcze z owych pismiennych dziaczków cerkiewnych, których niepismienni rządcy bojarowie, za czasów Piotra W. i przed tém, brali sobie pod rękę. Owi podręczni, narzędziowi czynownicy, są niezbędnymi dla władców równie jak i dla podwładnych: oni stanowią kostną osnowę państwa i nerwową tkankę prawnego społeczeństwa. Władza, samowładztwo, bez nich nie może działać, jak para bez pewnego narządu, bez maszyny, bez lokomotywy... Cesarz Aleksander z wielkim zapałem wziął się teraz do dróg żelaznych; z gorętszą chęcią, z dzielniejszą energią cesarz Mikołaj pragnął ogrom swego państwa pokryć jedną siecią kolei, ułatwiających bieg lokomotywowym. Gdzie tylko w instytucjach, w zwyczajach, w narodowości, w czemkolwiek szlachetnie ludzkim, znajdowała się choćby najmniejsza zawada, wszystko to znosił, wyracał, tłukł, kopał, niwelował bez zastanowienia się i miłosierdzia. Rossya po nim pełna gruzów, a cóż dopiero kraj nasz! Póki żył, póki razami i strachem wszystko zagłuszał, otrętwiał, mroził, póty nie było widać zniszczenia, jak zimą nie widać ziemi pod lodem i śniegiem; ale skoro po jego śmierci temperatura zwol-



niała, skoro grunt stał się widowym, pokazała się cała okropność zburzenia i zamętu. Mówią o naprawach, o ulepszeniach, o zmianach systemu — nie wiem co z tego będzie, bo do niszczenia pełno wdrożonych i chętnych, ale jak cokolwiek zbudować, choćby komu i nie zbywało na ochocie, to brak zupełnie wiedzy i siły.

Tymczasem, nie zaglądając w dalszą przyszłość, radzi że przynajmniej chwilę można lżej oddychać, żyjemy w jakimś stanie niepewnym, nieokreślonym, przejściowym. Dowolność zwierzchnicza, bardziej może niż kiedykolwiek jest u nas najwyższem prawem, ale zostawiona sama sobie bez systematycznego parcia z góry, tą swobodą zmieszana niejako i strwożona, modyfikuje się według osobistego charakteru zwierzchnika. Czy to skutkiem jakiegoś ogólnego wpływu, czy prosto z przypadku, mamy teraz generał-gubernatora, którego rzeczywiście możnaby nazwać dobrym, człowiekiem przynajmniej, jeżeli nie generał-gubernatorem. Poprzednik jego srogi, nieprzystępny, dumny, ale przezorny administrator i samodzielny naczelnik, trzymał krótko całą niższą hierarchią czynowników, nie pozwalał jój broić; terazniejszy, mięki, uprzejmy, radby nawet być sprawiedliwym, przez nieumiejętność lub słabość dopuszcza innym nadużywać władzy, otacza się zausznikami, którzy rozgałęzieni jak polip, przez swoich protegowanych kraj wysysają. W Rosyi trudno powiedzieć co to jest być złym, a co dobrym...

Rosyianie, mianowicie pisarze rossyjscy, wiele prawią o cywilizacji swego narodu. Cywilizacya ta jest pozorną, bynajmniej nieprzeciwną barbarzyńskiemu systemowi rządowemu, owszem wielce mu przyjazną i solidarnie z nim spojoną. Owego satrapę, co otoczony najwyszukanśzemi przedmiotami zbytku, pokazuje się oficjalnie z całą wysoką i delikatną formą arystokracji europejskiej, trzeba widzieć wolnego od etykiety, wśród sług i podwładnych, kiedy ciągle ma na ustach klnące przy-

słowie narodowe i pieśń złożoną do szturchańca. Owego urzędnika, który cię tak grzecznie przyjmuje w swoim salonie, pójdź zobaczyć kiedy jest w gabinecie sam na sam ze stroną interesowaną, albo z jej faktorem. Owego eleganta oficera, tak czysto mówiącego po francuzku, posłuchaj kiedy łaje wachmistrza, że z obroku i siana mały dochód, albo każe żołdatom sypać po tysiąc pałek... Jakże zresztą chcesz, żeby oni inaczej rozumieli cywilizacyą; toćby nie mieli za co jej przyjemności używać.— Cywilizacya prawdziwa, płynąca z ducha chrześcijańskiego i wywierająca wpływ na ukształcenie stosunków społecznych, przyjęła się w Rossyi u jednej tylko może garstki nielicznej, u wyższej klasy kupieckiej. Kupcy i fabrykanci bogaci, z majątku należący niemal do arystokracji, a z położenia do bardzo poniżonego stanu mieszczańskiego, którzy od wielu pokoleń pobierają za młodu nauki w obcych krajach i szukają tam nie zewnętrznego poloru tylko, ale istotnej oświaty, inaczej zapatrują się na budowę i dążność carstwa. Więcej oni przytem mają interesu życzyć reform, niżeli porządek utrzymywać. Przytoczę anekdotkę dobrze tę rzecz objaśniającą.

Jeden mój znajomy, który często bywa w Petersburgu i ma tam stosunki handlowe, będąc w poufałej zażyłości z bogatym i pocziwym kupcem, rzekł raz do niego : Wam to i żyć w Rossyi ; interes reszty narodu poświęcony dla waszego : cesarz trzyma na granicach 300,000 żołnierzy, żeby strzelali do każdego, co przewozi łokieć płóciénka lub perkalu, który w Prusiech kosztuje kilka groszy, a tu wam po dwa złote płacić musimy.— Kupiec uśmiechnął się i odpowiedział : Prawda, ale to jedna tylko strona medalu, a ja panu zaraz pokażę drugą. Zadzwonił i kazał podać sobie księgę, w której przerzucając stronicę, zatrzymał się na rubryce mającej napis : « Wydatek urzędowy. » Tu szły jeden po drugim różne wpisy takiego rodzaju, jak np. : Na poprawę mostu

N. N. rs. 1,500; na przyozdobienie placu N. N. rubli sr. 2,050, i t. d.; razem rs. 7,540.—Pokazując szczegóły i ogół, rzekł: Podług jakiego prawa, podług jakiego prawidła, podług jakiego stałego rozkładu, ja to zapłaciłem? Podobało się kazać, kazano, i musiałem zapłacić. Siedem tysięcy rubli, to dla mnie fraszka; ale jeżeli wczoraj było siedem tysięcy, za co jutro nie ma być siedem kroć, a po jutrze siedem milionów?... Jeszcze nie skończył mówić, kiedy przed sklepem zatrzymała się czterokonna kareta, i wbiegła wystrojona dama. Kazała podawać sobie mnóstwo towarów; wybierała zapytując rzadko o cenę i nie targując się nigdy. Pakowano i zanoszono do pojazdu, a kupiec zapisywał w księdze. Mój znajomy postrzegłszy, że niektóre rzeczy przedane i jemu, cenił téj pani trzy razy drożej, dziękował później za przyjacielską względność.—Nie dziękuj pan, — odparł kupiec. — Od téj pani daleko mniej wezmę niż od pana, bo *nic*. Zapisuję tylko dla zwyczaju, dla pamięci zresztą; nie dać zaś nie mogłem. Jest to metresa jenerała W... Gniew jego kosztowałby mnie więcej, niżeli ta strata. Gdyby chciał, mógłby mnie i na Sybir wyprawić. Osoby nasze nie lepiej są zabezpieczone prawem jak majątki. Obchodzą się z nami jak z krowami: pasą żeby doić, a w potrzebie zarznąć...

Drugą klasą poczuwającą niedolę swego stanu, klasą bez porównania mniej zamożną, ale też bez porównania liczniejszą, mniej oświeconą, ale tém bardziej straszną, są włościanie, chłopi. Nikt nie dociecze jakim sposobem, od kilku lat obudziła się i rośnie gwałtownie w ludzie różnych stron państwa rossyjskiego żądza wolności, czyli ściślej mówiąc, żądza wyzwolenia się z poddaństwa. Lud wielkorossyjski, może w téj mierze jest natarczywszy od innych. Wedle jego sposobu pojmowania rzeczy, car od którego idzie wszelkie dobro, dał włościanom wolność, ale panowie, przez własny interes, sprzeciwiają się wykonaniu woli carskiej. Różne a różne pogłoski, wieści,



domniemania, służyć częstokroć spolsztwu za dowód utwierdzający je w raz powziętym przekonaniu, i czasami najbliższa okoliczność staje się przyczyną wzburzenia umysłów. Przytoczę jedną.

Na początku przeszłej zimy, wyszedł ukaz urządzający sposób zapisywania się w skazki ludzi wolnych, to jest do ziemi nie przywiązanych. Ludzie tacy bez stałego siedliska, śludzy, czeladnicy rzemieślników i różni wyrobownicy, zapisują się zwykle do skazek miejskich, z kąd wynika, że miasteczka mające ledwo po parę tysięcy ludności miejscowej, mają po kilkanaście tysięcy obwiązanych płacić podatki i stawić do powinności rekruckiej, których nie wiadomo gdzie i jak szukać. Dla zapobieżenia temu uszczerbkowi dochodów państwa, obmyślono jakiś sposób zapisywania ludzi wolnych w skazkach dóbr skarbowych. Ukazy rossyjskie, ciemne, zawile i rozwlekłe, częstokroć nie wiadomo do czego istotnie zmierzają; ale pospolicie sekretarz Senatu lub Rady Państwa, kładzie u dołu treść w kilku wyrazach. Na powyższym ukazie było: « O przechodzeniu włościan wolnych do dóbr skarbowych. » Ukaz ten wydrukowany, koleją wszystkich druków poszedł na obwiniecia do sklepów. Ktoś kawałek takiego obwiniecia właśnie z wyrazami treści, rzucił na ulicy. Zwoszczyk umiejący czytać, podniósł papier i już mu więcej nie trzeba było do zrobienia najprostszego wniosku. A więc my wolni—zawołał. — A więc jest ukaz pozwalający nam jako wolnym przechodzić do dóbr skarbowych! Z dowodem ręką zaczął perorować pomiędzy swoimi; zaraz potworzyły się kupy ludu. W godzinę, tłum żądających ukazu oblegał księgarnię senatską. Sprzedano kilkadziesiąt pozostałych egzemplarzy, a gdy potem odpowiedano, że więcej nie masz, ciżba nie chciała temu wierzyć. — Nie masz powiadacie — krzyczeli nie w ciemną bici politycy. — Aha! postrzeżliście o co tu idzie. — Jest ukaz, zaraz my go znajdziem! I zabierano się drzwi odbijać,

gdy z pobliskiego odwachu wojsko nadeszło i zapobiegło gwałtowi. Wkrótce potem przypadało święto Trzech Królów, w które prawosławni odbywają ceremonią święcenia wód Jordanu. W Petersburgu ceremonii téj towarzyszy wielka parada. Kiedy cesarz szedł na Nowę, pospólstwo poczęło coraz bardziej cisnąć się ku niemu. W tłumie odzywały się niewyraźne głosy, a nakoniec śmielsi trybuni ludu poważyli się zblizka i dobitnie wołać: *Batiuszka car!* Ty nam dałeś wolność, my to wiemy, ale te łotry panowie nasi, te otaczające Ciebie Orłowy, Paniny, nie dopuszczają skutku Twojej dobrej woli, sprzątnęli Twój ukaz. Pozwól nam, my ich nauczym być Tobie posłusznymi. — Na takie *dictum acerbum* cesarz otulił uszy kołnierzem płaszcza, zagłębił się w swój orszak i z nim razem uszedł do pałacu.

Nie skończyłbym, gdybym chciał opisywać podobne zdarzenia, charakterystyczne a prawdziwe. Mam z niewątpliwego źródła wiadomość, że w jednym miejscu, wzburzeni włościanie rossyjscy obatożyli swego pana, a potem dali mu pieniądze, żeby sobie wyjechał za granicę. Może ten *seigneur russe*, paraduje teraz po Paryżu jak pyszny pan, chociaż wyjechał jak niepyszny.

Usamowolnienie włościan w Rosyi jest kwestyą straszną, trudniejszą niż gdziekolwiek, niż u nas naprzykład. Tam nie można ich pozbyć się oczynszowaniem, bo właścicielowie są czynszownikami, a jeśliby wyszli na właścicieli swych gruntów, to panowie pozostaliby bez piędzi ziemi, gdyż poletków dwornych nie mają; wszystek grunt rozdzielony na siedziby chłopskie.

W takim stanie rzeczy, wśród ruin przeszłości bez żadnych pewnych widoków na przyszłość, nie tracimy jednak otuchy. Zniszczono wiele u nas, ale nie zdołano zniszczyć tego, co w nas. Sam nieraz dziwię się, jak ten ojczysty, rodzimy, miejscowy nasz charakter jest żywotny. Po miastach, na wierzchołkach społeczeństwa zdaje się on być trochę starty albo splamiony; ale po wsiach,

po dworach szlacheckich trwa w swojej prostaczęj świeżości i mocy. Nie każdemu i nie zawsze on widny. Duch narodowy, zdaniem mojem, wielkie ma podobieństwo do ciepłika, który jest i w ciele na pozór zupełnie zimnem. O jego obecności przekonać się można potarciem. W czasie wojny krymskiej bywały w najniższych nawet warstwach niewątpliwe jego objawy. Na własne uszy słyzałem jak chłopiek potrącony przez policyanta, mruzczał sobie prędką obietnicę odwetu na Moskalach za przyjsciem naszych, Polaków. Cokolwiek bądź prawią etnografowie i teoretycy, lud nasz litewski i litewsko-ruski, w duchu, jest zupełnie polskim. A ponieważ ten duch wskrós przejęty chrześcianaństwem nie wygasł jeszcze w szlachcie, mam nadzieję, że co gdzie indziej grozi wielkiem złem, to u nas przy pomocy Bożej, da się uładzić po bratersku i wyjdzie na wielkie dobro.

## II

Wiadomo jak ciężyło nad nami panowanie Mikołaja, do okrucieństwa mongolskiego łączące najwyrafinowane sposoby zatrucia źródeł życia narodowego. Jednym ze smutnych skutków tego stanu rzeczy jest to, że umysły przerażone i zgnębione, straciły do pewnego stopnia zdolność oceniania istotnej wartości działań i urzędzeń władzy ciemniejszej. Zresztą, leży to w naturze jak pojedynczych ludzi tak i narodów długo uciskanych, że gotowe są poczytywać tyranowi swemu za cnotę, jeśli wstrzyma na chwilę chłosczczącą rękę. Podobne usposobienie, z nielicznymi wyjątkami, było u nas powszechne względem cesarza Alexandra II, kiedy ten w początkach panowania swego, przygnieciony wojną straszną, odezwał się łagodniejszym tonem, niżeli jego poprzednik, i w ogólnych wyrazach zapowiedział chęć



wymierzenia sprawiedliwości podwładnym sobie narodom. Te ogólne, bez zastosowania na razie i bez rękoma na przyszłość, zjednały nowemu cesarzowi pochwały i oznaki serdeczności posuwane czasem zanadto daleko. Odurzeni chwilową ulgą, a raczej obietnicą ulgi, zdawali się zapominać, że car rossyjski chociażby ze wszech miar potrafił być sprawiedliwym, to zawsze względem nas będzie jeszcze grzeszył niesprawiedliwością przez to samo, że siedzi na tronie Jagiellonów.

Prawda, że przekonany o zgubnych następstwach polityki swego ojca, cesarz dzisiejszy uznał potrzebę przybrania form mniej ostrych w systemacie rządowym; ale te i tym podobne zmiany, jakkolwiek błogie dla Rosyi, nie wiem czemu miały zobowiązywać Polaków do wdzięczności, którzy skazani na wynarodowienie, nie mają nawet danego sobie udziału we wszystkich dobrodziejstwach Rossyanom służących.

Coż sprawiły te demonstracye i świetne przyjęcia cesarza Alexandra w czasie jego podróży po Polsce, z kosztem i pochopem daleko przechodzącym mus i konieczność, czynione? Nie było w nich może występnej ochoty, ale była fałszywa rachuba. Rossyanie biorąc je czy za szczere czy za udane, nie mogli powiększyć dla nas szacunku, a mniej nas szacując, nie mogli stać się skłonniejszymi do wrócenia nam praw naszych. Pomimo różnego z wielu miar położenia, godniej podobno i roztropniej postąpiła szlachta lombardzka i wenecka, która zachowując przyzwoitą uległość, unikała oznak serdecznej sympatyj dla cesarza austriackiego, objeżdżającego niedawno kraje włoskie, z podobnemiż jak Alexander obietnicami na ustach.

U nas, w prowincyach zabranych, manifestacye uczuć dla monarchy, rząd przyjął jako dowód należnej wierności dla tronu i *ojczyzny*, w czém uważał nową побudkę dla siebie do zrównania zupełnego administracyi i prawodawstwa naszego z administracyą i prawo-

dawstwem wielkorossyjskiem, nie bez niektórych wyjątków wszakże. I tak np. szlachcie żeby mógł być wybranym na urząd obywatelski, nie potrzebuje teraz liczyć dziesięciu lat służby rządowej, wystarcza mu otrzymanie jednego czynu; ale sprawnicy, czyli komisarze powiatowi i prezydenci izb kryminalnych, którzy w Rosyi są wybieralnymi, u nas pozostają jak byli przez rząd mianowanymi. Gdziekolwiek trwał jaki szczałek dawnych naszych ustaw, to wszystko jest znoszone jak najstaranniej; cokolwiek mogłoby nam dać choć odrobinę obywatelskiej swobody, z Rosyi nawet nie dochodzi do nas. Gdyby nie duch polski, który żyje dotąd w piersiach naszych, unosząc się na wyżynach niedostępnych ukazom carskim, to pod względem formy bylibyśmy bardziej Moskalami, niż Moskale sami. I to jest ta dobrotliwość, ta łaskawość, która zdaniem zaślepionych optymistów miała nam przynieść złote czasy!

Prócz stałej dążności zamienienia nas w Rossyan duszą i ciałem, nie masz ani pewnego, ani szczerego. Mogliście już zapewne ocenić znaczenie tak zwanęj amnestyi dla was; ja tylko dodam, że nie zazdrościcie tym co wracają. Podejrzeni u rządu, bez otwartej dla siebie drogi publicznej i obywatelskiej, jeśli nie mają własnych środków utrzymania się, znajdują się zawsze w niepewnym i przykrém położeniu goszczących na cudzej łasce. W pierwszym przyjęciu doświadczają oni samych tylko właściwych narodowi naszemu uczuć do brotliwych, ale z czasem mogą być narażeni na obojętność, która sercom poczuwającym się do winy słabości, może wydać się poniewieraniem lub wzgardą. Rzadko który jest tak szczęśliwy, żeby miejsce jego wśród famillii czekało nań zachowane i niezajęte. Trzeba pamiętać, że upłynęło lat wiele i wiele rzeczy się zmieniło. Bracia pożenili się, siostry powychodziły za mąż; jeżeli gdzie udało się zataić majątek emigrancki, to ten tak już wsiąkł w nowy skład interesów, że przy dzieciach, przy

różnych ciężarach, trudno go od razu wyłączyć i oddać, zwłaszcza gdy prawnie i otwarcie układów zawrzeć nie można. Z jednej strony te trudności, z drugiej głos sumienia i opinii publicznej mogą sprawić położenie bardzo drażliwe. Emigrant w domu rodzinnym wiecznie byłby pół panem, pół żebrakiem; za lada powiewem kwaśnego humoru miłość familijna przygaszona, mogłaby dać widzieć tylko stojących wobec siebie przywłaszczycieli i natręta. Znam takich, co zkądinąd nie źli ludzie, drżą na samą myśl przybycia z emigracyi szwagra lub brata.)

Wracając do szczerości zamiarów rządu, dość zastanowić się nad jednym przykładem. Najszkaradniejszym z gwałtów Mikołaja było narzucenie prawosławia kilku milionom unitów. Pomimo ciągłych usiłowań i rządu i duchowieństwa, prawosławie nie przyjęło się w masach, leży tylko na nich jak okropny przymus. Gdyby rząd terazniejszy miał cokolwiek szczerój chęci prawdziwego polepszenia stanu rzeczy u nas, powinienby był zacząć od zdjęcia oków z sumienia mieszkańców. Na téj drodze wszakże nie dotąd nie zaszło nowego. Konkordat, jakby na pośmiewisko ogłoszony tylko w części, zatajony mianowicie co do punktu tyceącego się zabranych dóbr kościołom i klasztorom, nie zmodyfikował bynajmniej ustawy względem małżeństw mieszanych. Jak dawniej tak i teraz, dzieci zrodzone z małżeństwa, gdzie jedna strona była schyzmatycką, wszystkie należą do kościoła greckiego. Popi posuwając dalej zasadę rządu, wymagają od każdego kmiotka katolika, jeżeli chce pojąć żonę schyzmatyckę, aby sam przyjął wiarę grecką. Księża katolicy, tylko z książek przez rząd dozwolonych mają prawo czytać kazania, a do tego stopnia drżą przed terroryzmem prawosławia, że nie śmieją słuchać spowiedzi żadnego wieśniaka, dopóki nie złoży świadectwa, że do rzymsko-katolickiego wyznania należy. Lud wszakże chowa skrycie w sercu skłonność ku religii dawniej i



unika jak może pełnienia obowiązków narzuconego obrządku. Włóścianie w cerkwiach, przed rozpoczęciem ceremonialnego nabożeństwa, śpiewają zwykle pieśni polskie, któremi od wieków przodkowie ich Boga chwaili; ale pieśni te cichną skoro pop ukaże się na progu. Nienawiść i nieufność istnieje zawsze między popami i ludnością. Popi, przy każdej zdarzonej sposobności mszczą się za doznawaną niechęć i wzgardę. Z pomiędzy mnóstwa tego rodzaju zdarzeń, wspomnę tu jedno. Za Mikołaja jeszcze, p. Sikorski dzierżawca dóbr Wittgensteina w gubernii wileńskiej, miał oddawna zajście z popem miejscowym. Gdy dziedzic podwyższył mu cenę dzierżawy, pojechał do Wilna dla wejścia z nim w nowe układy, a nie mogąc otrzymać znizenia ceny, wpadł na myśl podwyższenia także czynszu szlachcie osiadłej na gruntach wsi dzierżawionej. Nie będąc jednak pewnym, czy się to da zrobić, napisał do swego ekonomy z zapytaniem i zakończył list wyrazami: «wybadaj ducha szlachty.» Pop był właśnie u ekonomy, kiedy ten przeczytał list od pana otrzymany, położył go na stole i wyszedł do drugiego pokoju. Dostyc było popowi dojrzeć wspomniane wyrazy, żeby oprzeć na nich oskarżenie Sikorskiego o buntownicze zamiary. W skutek tego Sikorski do Permu wywieziony i zupełnie zrujnowany, dopiero teraz uzyskał wolność powrotu do kraju.

▮ Pobudzona obietnicami, które władze rządowe głośno po kraju roznosiły, szlachta gubernij naszych złożyła w roku przeszłym u stóp tronu najpokorniejsze podanie, zawierające między innymi prośbę o przywrócenie uniwersytetu wileńskiego i wolność używania języka polskiego w wykładzie nauk szkolnych. Cesarz chociaż podania nie przyjął, kazał jednak pułkownikowi Czewatti napisać co do języka, kategoryczne sprawozdanie. Pułkownik zgłębiwszy rzeczy sumiennie, przekonał się, że usunięcie wykładu polskiego zadało wielką szkodę naukom, bo usunęło razem znaczną liczbę nauczycieli zda-

tnych, że zresztą dolegliwości z tego powodu są jedną z najmocniejszych przyczyn jątżenia się umysłów przeciw rządowi. Jakże — mówił on w swoim raporcie do cesarza — Polacy nie mają czuć wyrządzonej im krzywdy, kiedy Żydom nawet wolno używać własnej mowy po szkołach. Stało się tedy na tém w Petersburgu, aby naukę języka polskiego do szkół naszych wprowadzić. Kurator ogólny okręgu naukowego Białoruskiego, generał Wrangel, zwołał kuratorów gubernialnych do Wilna dla wygotowania projektu w tym względzie. Wyznać muszę, że w ogólności kuratorowie nasi ani zdolnościami, ani usposobieniem nie odpowiadają swemu powołaniu; ale p. Baliński, kurator wileński, człowiek światły i przezorny, zapobiegając aby ten zjazd kuratorów nie zszedł na niczém, zaproponował przeznaczyć na naukę języka polskiego taką liczbę godzin, jaka jest przepisana dla języka rossyjskiego, który jeszcze ma tę ogromną wyższość nad polskim, że wszystkie przedmioty są w nim wykładane. I tak skromne żądanie nie przypało do smaku Wranglowi; skończyło się na tém, że na język polski przeznaczono w trzech klasach niższych dwie godziny, a w klasach wyższych jedną tylko godzinę na tydzień. Szczupłość tę czasu chcąc wynagrodzić przynajmniej należytém ukształceniem profesorów, i do zajęcia miejsc nauczycielskich pociągnąć ludzi odpowiednich celowi, wnosił p. Baliński postanowienie dla nich pensyi 5,000 zł. pol., co przy terazniejszej drożyznie jest summą wcale mierną. Kurator generalny nie tylko że się temu sprzeciwił, ale kiedy nawet obywatele gubernii wileńskiej ofiarowali przez swego marszałka wziąć na siebie opłatę nauczycieli języka polskiego, nie dozwolił aby i w takim razie pensya przechodziła r. sr. 300. Na powyższych tedy warunkach mają być od przyszłych wakacyj wykładane u nas po szkołach język polski i literatura polska. ♪

Tymczasem stolica Litwy, która przed 26 laty rzuciła

tyle światła na całe przestrzenie Polski, z kądem wyszły utwory, które językowi naszemu nie dadzą zagań, w szkołach, w administracyi, w zakładach publicznych, słyzy tylko dźwięk rosyjskiej mowy. Wszedłszy np. do Muzeum starożytności mógłbyś, sądząc z pozoru, mniemać że jesteś w Petersburgu lub Archangelu. Wszystkie napisy nad przedmiotami rosyjskie; przemówienia na zgromadzeniach, korespondencye, dyplomata wydawane członkom komisji archeologicznej, nie inaczej jak w języku rosyjskim. A przecież jest to zbiór pamiątek nie moskiewskich, tylko litewskich, polskich; przecież nie kosztem i staraniem rządu, ale z darów i ofiar obywatelskich instytucya ta stanęła; przecież wielu dobroczyńców i członków zakładu, nie umie nawet po rosyjsku! Dodać tu jeszcze winienem, że zbiór ten byłby daleko bogatszym, gdyby nie obawa, że prędzej czy później pojedzie, jak tyle innych narodowych skarbów naszych, do Petersburga lub Moskwy. Dlatego też niektórzy składają tam zabytki narodowe w sposób niby pożyczki tylko, i biorą rewersa, aby te w danym razie mogły im posłużyć do upomnienia się o złożone przedmioty. Jak zaś władze rosyjskie dbają troskliwie aby najmniejsza wzmianka, nie obudzała w Polakach pewnego rodzaju wspomnień, to pokaże anekdota odnosząca się właśnie do naszego zbioru archeologicznego. Kiedy minister oświecenia przejeżdżając przez Wilno, oświadczył chęć zwiedzenia Muzeum starożytności, kurator Wrangel przyjechał naprzód do zakładu i żądał, aby usunięto z sali autograf z podpisem Konarskiego. Darmo tłumaczono mu, że to nie było pismo Szymona, ale sławnego rektora Pijarów; trzeba było uleść wymaganiom Wrangla i zapobiedz, aby oko ministra nie spotkało tak buntowniczego nazwiska. Niedawno jeszcze, za czasów Mikołajowskich, zbrodnią było wymówić nazwisko Mickiewicza, Niemcewicza, Lelewela. Dzieła historyczne tych dwóch ostatnich tylko bezimiennie go-



dziło się cytować. Teraz można cokolwiek swobodniej mówić, bezkarnie nazywać się Polakami i przyznawać się do ojczyściej mowy; ale od czasu do czasu zdarzają się przestrogi, żeby tej wolności, czyli raczej tolerancyi bardzo nie ufać. W ostatni wtorek zapustny, był objad publiczny w resursie tutejszej; a że dnia tego przypadała rocznica wstąpienia na tron Alexandra II, pan Tyszkiewicz, naczelnik Muzeum starożytności, wnosząc zdrowie cesarza, wyraził, że przytomni z tym większym zapałem powinni je spełnić, gdy cesarz łaskawie język polski szkołom przywrócić raczył. Pochwyciło te słowa czujne ucho policyi, i pan Tyszkiewicz dostał surowe napomnienie. Cenzura jest dzisiaj mniej ostrą; ale minister zalecając cenzorom złagodzenie rygoru, dodał, iż nie powinni wszakże łagodności tej za daleko posuwać. Nie masz obawy aby tém zgrzeszyli: każdemu z nich chodzi bardzo o 2,000 rs. pensyi rocznej. J

Jedyny dziennik jaki posiadamy, jest nasz biedny *Kuryer Wileński*, wychodzący w kolumnach na jednej stronnicy po polsku i po rossyjsku drukowanych. Światli obywatele i literaci tutejsi chcieli założyć pismo tygodniowe, pod tytułem *Pogoń*. Tytuł ten nie podobał się zwierzchności rządowej, i po odtrąceniu kilku innych jemu podobnych, zatrzymano się na suchej nazwie *Tygodnika Litewskiego*. Ale nie na tém koniec trudności. Zaledwie ułatwiono pomniejsze zawady i znaleźli się obywatele gotowi złożyć grubą kaucyą prawem przepisaną, przyszło z Petersburga zastrzeżenie, że *Tygodnik* podobnie jak *Kuryer* powinien być w dwóch językach redagowany, co ogromnie powiększyłoby koszta, bez dodania wartości pismu. Rzecz na tém zawisła i podobno nie ruszy dalej.

Co się tyczy dobrych chęci rządu, przypuszczając je w widokach materyalnie administracyjnych, i tam nawet pomyslnych skutków spodziewać się nie można; trudno bowiem ukrócić nadużycia władz niższych. Urzędnicy,

stosunkowo dziś ubożsi niż przed wojną, a to z powodu drożyzny produktów i zwiększających się zbytków, trzymają się jak jeden zastęp przeciwko wszelkiej reformie. Zdzierstwo ich szczególniej dotyka chłopów skarbowych, którzy na pozór wolniejsi od obywatelskich, strasznie są gnębieni przez administratorów. Lada naczelnik okręgu w kilka lat robi tu z krwawego ich potu majątek; i jakże nie ma robić, kiedy np. jeśli przez układ w imieniu włościan z przedsiębiorcą dróg bitych zawierany, włościanin powinien dostać za lato 40 rs., to ledwo dostaje 5, a reszta pod pozorem różnych potrąceń idzie do kieszeni naczelnika. Zdzierstwo i przekupstwo w ogólności jak były tak i są powszechne, a kto ma czém się opłacić, temu wszystko bezkarnie ujść może. To też żydzi co chcą wyrabiają. Krąży po kraju przeszło dwieście edycyj fałszywych asygnat, przez nich z zagranicy sprowadzanych. Śledztwa naznaczają się jedne po drugich, łapią winowajców, napełniają nimi więzienia, ale dotąd nikt jeszcze ani jednego osadzonego i ukaraneego nie widział.

Najważniejszém i najpowszechniej obchodzącém wszystkich zadaniem, jest dziś zamiar uwolnienia włościan. Wieleby było mówić o tém, co w tej mierze przedsiębrano i robiono dotąd, z żadnym wszakże widocznym skutkiem. Jedną z wielkich przyczyn różności zdań i powolnego toku w całej tej sprawie, jest nieufność i obawa względem zamysłów rządu, które nikomu z pewnością nie są wiadome. Później powiem o tém obszerniej.

---

## O WYDAWNICTWIE MATERIAŁÓW HISTORYCZNYCH.

---

18 lipca.

Nie można zaprzeczyć, że od lat kilkunastu wzmógł się u nas ruch, historyczno-wydawniczy, że nam przybyło i coraz więcej przybysza nowych materiałów, dokumentów, pamiętników, monografij, które naszej historii dotychczas zaledwo konturowémi rysami oznaczonej, coraz więcej pełności i kolorytu nadadzą. Wprawdzie, wiele dałoby się powiedzieć, o sposobie którym większość tych historycznych wydań bywa u nas dokonana. Wprawdzie, — z wyjątkiem może jednego hr. Działyńskiego, któremu nie można być dość wdzięcznym za to, że na co gdzieindziej rządy lub bogate łożą korporacye, on to o własnych przedsiębierze środkach, — znacznej części edytorów naszych możnaby zarzucić do pewnego stopnia brak systemu, lekkomyślne traktowanie rzeczy, czasem nieznajomość przedmiotu, czasem nawet niesumienną spekulacją. Możnaby także i trzeba żałować, że siły swe marnujemy nieraz na gonieniu za efektem, za wystawą i nadzwyczajnością, z opuszczeniem prawdziwego pożytku; że nas za nadto, bo z krzywdą historii, zajmuje archeologia; że zbytecznie, bo



z pominięciem bliższych nam epok, zagłębiały się w czasy odległe, które już prawie wszelki związek z dniem dzisiejszym straciły; że w ogólności nasze roboty edytorskie mają pozór bardziej doraźnych wysiłków i nieporządną ruchawki, niż umiejętnej i szykownej pracy. Można, powtarzamy i trzeba te niedostatki niezbyt dawnego ruchu przypominać, prostować, ulepszać; — zawsze jednak owa widoczna dzisiaj dążność wydobywania na jaw nowych źródeł historycznych, i obznajamiania z nimi większej publiczności, rokuje nam korzyści niewątpliwe, i zdaje nam się być symptomem świadczącym, że umysłowość nasza po długim, które w świecie fantazyi przechodziła, zboczeniu, na prostszą teraz wstępuje drogę. Korzyści, jakich się spodziewamy, są moralne i polityczne; bo znajomość przeszłości krzepi i prostuje uczucia narodowe; bo przeświadczenie klęsk dawniej z tryumfem zniesionych, dodaje otuchy do przetrwania dzisiejszych. Spodziewamy się z niej także zdrowszego niż dotąd na nasze stosunki poglądu; bo wytrawność sądu idzie za gruntowną znajomością rzeczy, brakiem której polityka nasza, tak dobrane jak historia, zbyt często bujały po obłokach, nie wiele dbając o rzeczywistość.

Odkąd Rzeczpospolita poczęła nachylać się do upadku, choć coraz mniej bywało takich, coby chcieli wyjść w pole przeciw nieprzyjacielowi, mnożyła się na zjazdach obywatelskich, na sejmikach i trybunałach liczba bohaterów, których ród panegiryci od Cezara i Scipiona, ba od Alexandra i Achillesa wywodzili. Kiedy przychylni nam ambasadorowie ostrzegali, że nie powinniśmy zostawiać kraju bez obrony i rządu, jakby na wyspie oddzielonej od reszty świata nieprzebytym oceanem; kiedy upominali, że już ukartowano rozbiór Polski, nie chcieli wierzyć nasi statysci, « aby equilibrium Europy bez Polski obejść się mogło; » podobnie jak dziś, mało kto między nami przypuszczał, aby Zachód wydo-

łał wojnie z Moskwą, bez pomocy Polaków. Czasy te wydawały się złote, kraj mniemał być bogatym w wielkich ludzi na każdym polu. Dopiero gdyśmy wydobywać się poczęli z nierządu, a szlacheckie przywileje i dумы przestały być celem, któremu wszystko poświęcano, dopiero też wówczas w miejsce panegirystów zjawiali się biografowie i historycy, w miejsce apoteozy krytyka, w miejsce pychy pokora i dążność do poprawy.

Zmieniona tendencja w polityce wywołała odmienny sposób zapatrywania się na ludzi historycznych i fakta, a wyobrazicielami téj szkoły, która, jak mówi Naruszewicz, zaprawiała się do pisania historii, zamiast płonnych i mało użytecznych ramot, byli mężowie, na których po dziś dzień stoi nauka naszej przeszłości: był oprócz Naruszewicza, Czacki, Niemcewicz, Albetrandy, Staszyc, Surowiecki i inni. Większa część tych uczonych należała do pracy odbudowania ojczyzny, przedsięwziętej na ostatnim rzeczypospolitej sejmie. Z głębszych niż dawniejsze studyów, z praktyki życia publicznego, z doświadczenia klęsk krajowych, wynieśli oni sąd zdrowy, który ich piórem kierował. Częścią przez miłość ojczyzny wiedzeni, częścią dla odparcia pamfletów, któremi nas w Niemczech szkalowano, podnosili oni skwapliwie z przeszłości to wszystko, co naród w własnych jego oczach uznać mogło. Dzieło swoje « o litewskich i polskich prawach » Czacki układał, aby pokazać, że i w naszym prawodawstwie była niejedna mądra ustawa « którą naród może się chlubić. » Niemcewicz dla tego opracował dzieje Zygmunta III, aby przypomnieć Polakom « że i oni także czemś byli. » Ale chwając co dobre, ogłaszając co naśladowania godne, nie uwodzili się. Historia, pisze jeden z największych naszych uczonych, ma ten przywilej, « że umarli mogą mówić prawdę, żyjący jęj słuchać bez urazy. » Czytając więc tych mężów prace, trudno nie spostrzedz, jaką boleścią i zgrozą przejęci byli « nad ciężkimi błędami i nierozumem, co

światność minionych wieków splamiły, » nad rosnącą w narodzie prywatą, która rzeczy publiczne dla wygody, dla widoków własnych lub rodzinnych poświęcała, nad oplakaną lekkomyślnością, z jaką cały prawie stan rycerski przedsięwierał sprawy największej nieraz wagi. Ze łzami w oczach, często z głośnym szlochaniem, świadczą współcześni, dyktował Czacki swe dzieła. W jego obrazie « panowania Zygmunta Augusta » widać duszę rozdartą przeświadczeniem, « żeśmy mogli być wielkim i potężnym narodem, » lecz dobrowolnie, zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę.

Téj boleści tak szanownej, téj wytrawności sądu z ogromną nauką połączonéj, i tych zbawiennych dla narodu przestróg *politycznych*, w późniejszych dziełach już nie znajdzie. Zmieniła się epoka, inni przyszli ludzie; a gdy nowi, wielcy uczeni obwarowali się skrzepłą archeologią, historia w mniej właściwe dostała się ręce. — Wśród huku dzieł napoleońskich urodzone i wychowane młode pokolenie, przyniosło na scenę publiczną zapał i entuzjazm nieznanym; niemi natchniona pieśń, podniosła i ożywiła naród. Zerwano się do broni, wydano walkę; z nią nowa chwała lecz i nowe klęski!

W narodzie, w którym jak u nas serdeczność o tyle przeważa wszelką władzę umysłową, cierpienie łatwo zagłusza i tępi wszystko, czego płomień uczucia nie chwyta od razu. Jak po stracie drogiej nam osoby, prędko ginie pamięć jéj wad, a w duszy zostaje tylko żal niewysłowiony, tak i przeszłość nasza naraz okazała nam się kochanką idealną, zakrwawioną, białym śmierci całunem okrytą. W jednéj chwili zrodziła się nowa szkoła historyczna, której mistrzami byli odtąd poeci, słuchaczami dusze rozdarte boleścią. Do téj szkoły, nie dziwnego, krytyka polityczna, jakkolwiek główném jest historyi zadaniem, przystępu mieć nie mogła.

Rzecz godna uwagi, że jeden i ten sam, nieporówna-



nej zacności pisarz, w poezyi Wiesławem, w historii rozprawą o narodowości polskiej, dał inicjatywę nowemu kierunkowi. Czytana w dniach walki rozprawa Brodzińskiego stała się, zapewne mimo wiedzy autora, podstawą następnych, nowych systemów. Za tym impulsem nietylko poezya, ale i historia, poważna « mistrzyni życia, » a nawet polityka nasza, jedną odtąd pieśnią grać poczęły : pieśnią entuzjazmu. Twórca wszystkich wielkich zamiarów, entuzjazm, złym bywa doradcą w nauce, której odwiecznym warunkiem jest : *sine ira et studio* : a w polityce, jeśli mu nie odpowiada rozum, praca i wytrwałość, może on człowieka porwać chwilowo aż pod niebiosa, ale wraz go upuści, skoro zmęczone skrzydła dalszego lotu odmówią.

Długo byłoby opowiadać przez jakie fazy w ostatecznym ćwierćwieczu, nasz pogląd historyczny przechodził, zanim systematycznie wyidealizował i ubóstwił, nietylko to co w przeszłości naszej szczytne było, ale i to czem Rzeczpospolita upadała i co, naród doświadczeniem przestrzeżony, pod koniec zeszłego wieku odrzucił. Dość przypomnieć, że i *liberum veto* i elekcya królów, swawola szlachty i niemoc trybunałów kryminalnych, która w naszej Rzeczypospolitej bezkarność, a z nią nowe nadużycia rodziła, znalazły swoich apologetów. Za hasłem przez wielkich mistrzów daném, którzy w historii, zamiast prawdy i rzeczywistości, szukali ideału ; znaleźli się niższego rzędu, prozą i wierszem pisarze, którzy wielkość i szczytność a priori przyjętą, tam nawet ukazywać poczęli, gdzie jej doprawdy nie było. Bez krytyki politycznej, bez studyów, bez zagłębienia do krajowych źródeł, bez przyrównania naszych do obcych dziejów tworzone teorye, szkołą się stały za rozumienia i zamętu wszelkich politycznych pojęć. A że zawsze z historią idzie w parze historyczne powieściopisarstwo, więc w powieściach i piękne i brzydkie strony naszego narodu, i świetne i upokarzające chwile

jego życia, zarówno w jaskrawych podnoszono barwach. W ten sposób przyszliśmy i my do naszej literatury szalonej, której ideałem były i są jeszcze poniekąd pijane czasy Augustów, bójki i najazdy, i hulaszczy dwór księcia *panie kochanku*.

Kto od absolutnej deifikacji wieków przeszłych poczyna, skończyć musi na bałwochwalstwie niemal tego tylko, co w nich było zdrożnym. Ani człowieka, ani narodu pycha nie podnosi, owszem do boleśniejszego prowadzi ich upadku. Wszak niedawno temu, autor pod tyłoma względami znakomitego dzieła: *Rossya i Polska*, poświęciwszy rozdział osobny o Polsce dowodzeniu, żeśmy zacniejsi i szlachetniejsi nad wszystkie narody, że sami czystci, sami tylko obowiązkowi naszemu dopisaliśmy, skończył pracę swoją wnioskiem tak upokarzającym: abyśmy dobrowolnie z Rossyą przeciw Europie wiązali się! — I zaprawdę jest w tém rozumowaniu fatalna logiczność. Bo jeśli Polska niewinna swojego upadku, to niech zbrodnia jój rozbioru, ze wszystkimi jój następstwami spadnie na tych, którzy na nią samolubnie zezwolili; to sama sprawiedliwość wskazuje, że nie naszym obowiązkiem jest dźwigać się, ale owszem kraj nasz podźwignąć jest dla Zachodu warunkiem rehabilitacji w oczach Boga i potomności. Kto święty, ten choćby w piekło poszedł, świętość w duszy uniesie; ten choćby się z Moskwą na Europę wiązał, pełnić będzie wyższe, dziejowe posłannictwo! — Gdyby autor w miejsce swój historycznej apoteozy, która apostazyą skończyła się, był odezwał się do Polaków: zgrzeszyliśmy przeciw ojczyźnie i przeciw cywilizacji, bośmy całość i niepodległość kraju poświęcali wciąż indywidualnej godności i wygodzie; bośmy zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji, do której z trudem się przychodzi i tylko trudem się ją utrzymuje, chcieli używać ze wschodnią swobodą, — byłby on do innej wcale przyszedł konkluzji. Byłby nas upomniał,

że nie do Zachodu należy nas odkupywać, ale my sami naprzód w duszy i w życiu codzienném, tak prywatném jak publiczném, odkupić się musimy, i jakośmy pierwój bezmyślnie trwonili, tak nam dziś z mozołem potrzeba gromadzić środki moralne i materyalne do przyszłej budowy państwa. Nie odstąpić od Zachodu, byłby dodał wkońcu, pomimo jego chwilową obojętność, i nie zwiążem się z Moskwą pomimo jej pokusy, bobyśmy przez to dali sobie świadectwo, że jak dawniej nie umieliśmy obronić naszej niepodległości, tak na przyszłość nie jesteśmy jej warci!

Raz jeszcze powtarzamy, między poglądem historycznym, a kierunkiem politycznym każdego narodu i w każdej epoce, jest solidarność ścisła. Szukano w dziejach naszych przez ostatnie lata tylko strony duchowej, bez względu jak ona się na tej ziemi realnie wyrażała, i dokąd państwo nasze zawiodła. To też, i w polityce braliśmy ojczyznę naszą tylko za ideę do każdego ruchu, do każdego wstrząśnienia w Europie przyczepić się dającą, bez uwagi, że ta Polska na ziemi jest i być musi, że ma swoje ziemskie interesa i prawa, ma tradycye wiekuiste, swoje alianse, przyjaciół i nieprzyjaciół naturą rzeczy, spólnością potrzeb, okolicznościami związanych; że nie dość ją przeczuć i poznać, nie dość rwać się do niej chwilami, trzeba ją w danych okolicznościach, przy danych warunkach, pod naciskiem ziemskich interesów, zawsze a stale i gdzie tylko zacność pozwala, przeprowadzać. Nie dość marzyć, cierpieć, kochać, potrzeba pracować; nie dość w duszy tylko myśleć i uczucie polskie krzewić, trzeba wszystkie siły rozwijać, i te których niebo dostarcza, i te które z ziemi tylko wydobyć zdołamy.

A jeśli świat fantastycznej historii, rozwinął się u nas w epoce fantastycznej polityki, jestże to złudzeniem z naszej strony mniemać, że dzisiejszy zwrot do sumiennych, pracowitych, źródłowych na polu historycznym



studyów, może być jednym z symptomów realniejszej i głębszej niż dotąd pracy, nad wzrostem sił narodowych wszędzie, gdziekolwiek one znaleźć się dadzą. Daj Boże! — Tylko na nową puszczając się drogę, strzeżmy się nowego niebezpieczeństwa, drugiej ostateczności! Nie w samej idei, ale także nie w samej tylko ziemi jest Polska! Niech więc to, co dziś następuje, pokolenie nie odwraca oczu od pracy już dokonanej, niech z doświadczenia zstępujących z pola korzysta, i przejmie je na swój wyrób ducha! Tym tylko trybem utrzymamy związek pokoleń dziejowy, i «lampę życia» niekniętą przekazemy wnukom odległym!

---

## LISTY O RUSI.

---

### I

O KREDYCIE PUBLICZNYM I JEGO WPŁYWIE NA MORALNOŚĆ  
PUBLICZNĄ.

Z nad granic Podola, 1 sierpnia.

Dość powszechne w ostatnich czasach rozszerzyło się mniemanie, jakoby cena majątków ziemskich na Wołyniu, Podolu, i Ukrainie w ciągu dziesięciu lat w dwójnasób się powiększyła, czyli, że się wyrażę tutejszą mową, jakoby za duszę skazkową w miejscu pięćdziesięciu, sto czerwonych zł. płacić było potrzeba. W sprawozdaniu swém z tegorocznych kontraktów kijowskich, *Czas krakowski* potwierdził tę wiadomość tak, iżby nieznający naszych stosunków mógł domyślać się, że równo z ceną majątków wzrosły ich dochody i utrwaliło się bezpieczeństwo kapitałów na dobrach ziemskich u nas lokowanych.—Wistocie, chociaż nie w stosunku sto na sto, powiększyła się jednak wartość naszych posiadłości. Wzrosła bowiem ludność; ulepszyło się gospodarstwo, gdy w wielu miejscach, mianowicie na

głębokiem Podolu, zaprowadzono płodozmiany na wielką skalę; podniosły się fabryki cukrowe, osobliwie na Ukrainie; a przyczyniło się także do podrożenia, sąsiedztwo Galicyi, gdzie skutkiem zmiany stosunków włościańskich, przeprowadzonéj w sposób nagły i pod tyłoma względami szkodliwy, wszelka produkcya rolnicza była na jakiś czas zakwestyonowaną. Ale ważniejszych, bo istotnych przyczyn, które ziemię tak wysoko podniosły, bez żadnej proporecyi do prawdziwych z niéj dochodów, trzeba szukać gdzieindziej.

Skutkiem ostatnich dwu wojen, nasi kapitaliści, starozakonni, powiększyli swoje fortuny niezmiernie. Znam jednego żyda w Kamieńcu, kuśnierza, który wybrawszy się ze stoma rublami do Mołdawii, wrócił z gotówką 20,000 rub. srebrem. Starozakonny Güntzberg, trzymając akeyzę na Podolu; wojna sprzymierzona została go także przy dzierżawie odkupu wódki i poczty w Krymie, skutkiem czego, w ciągu dwu lat majątek swój, wprowadzie i poprzednio dość znaczny, dzisiaj podniósł do ośmiu milionów rubli sr., a może i więcej, gotówki. Możnaby przytoczyć nie jeden jeszcze przykład podobnego z bogacenia się naszych żydów kosztem skarbu. Starozakonny F., faktor generała S. naczelnego inżyniera armii, otrzymał podrad na woły po 40 r. s. od sztuki, wojsku zaś dostawiał niedorośle byki, za które płacił od 25 do 30 r. s. najwięcej. Mniejsze byłoby w tém złe, gdyby takowa dostawa wypuszczona była przez publiczną licytacją, w którejby i chrześcianie mogli byli wziąć udział, i skarb więcej miał pewności, że oszukany nie będzie. Ale właśnie cała bystrość i umiętność rossyjskich intendentów na tém się zasadza, aby dostawę nakazaną jak najdłużej utaić, w końcu oddać ją skrycie izraelitom, z kórými zawsze łatwiejszy i zyskowniejszy jest interes. Powiadają iż w Afryce drapieżnym zwierzętom rade w ich wycieczkach towarzyszą ptaki żarłoczne, w nadziei iż z grubéj zdobyczy reszta się im dostanie. U nas



na około każdego rossyjskiego intendenta, krąży kilku żydków, napędzających mu zwierzynę i dzielących się obłowem po koleżeńsku. Tak było w Rossyi od niepamiętnych czasów, lecz w tej wojnie intendenci zakasowali swoich poprzedników. Świadkiem są nasze miasteczka : Berdyczów, Winnica, Niemirów, Braclaw, Tulczyn, nie mówiąc już o Mohylowie. W każdym z nich znajdziesz po dwóch, trzech do dziesięciu starozakonnych, zbogaconych w kilka miesięcy przez podrady armii.

Grosz cudzy, a zwłaszcza publiczny, ma dla Moskala powab nieprzewyciężony; znają tę słabość swoją Rosyianie i dlatego w wojsku prawie nigdy swoim kasy nie oddają. Płatnikami dywizyj lub korpusów bywają zwykle Polacy i (z wyjątkiem jednego Cieleckiego, neofity warszawskiego, który z intendentury petersburskiej przysłany, nie dojechawszy do Krymu umknął, i około 150,000 rub. sr., przez Warszawę i Hamburg, uwiózł do Ameryki), — nie było przykładu przeniewierzenia się płatnika polskiego w armii rossyjskiej. W ostatniej wojnie, jeżdżąc za dowódcami, wozili oni z sobą worki półimperyałów, miewali naraz po kilkakroć sto tysięcy rubli, a żaden z nich nie wpadł w deficyt, i wszyscy jak byli przed wojną, tak po wojnie są ubodzy. Opowiadano mi wypadek zaszły w Kiszieniewie. Do sztabu jednego z korpusów Ks. Michała Gorczakowa, przyjechał żyd P., z Wielkopolski. Ponieważ trudnił się podradami w Bessarabii i Noworossyi, udał się do pewnego oficera sztabu z zapytaniem, czyli nie ma sposobu przekupienia jenerała N., Polaka, od którego wszystko zależało w korpusie. Oficer, także Polak, odpowiedział wręcz, że zna doskonale jenerała, i jest pewny, że chociaż niewielką ma fortunę, żadną summą pozyskać go nie można. Zachmurzył się liwerant, lecz po namyśle rozpogodziwszy czoło rzekł : « Choć starozakonny, i ja także urodziłem się Polakiem. Nie znalazłem dotąd

w Rosyji ani jednego prawie urzędnika lub oficera, do któregoby złotem nie można było trafić. To, o co pana generała proszę, mógłby zrobić bez wielkiej krzywdy dla skarbu, z ogromną korzyścią dla siebie. Wprawdzie przez tę jego odmowę i ja nic nie skorzystam; ale mimo to cieszę się, bo widzę że jeśli w tym kraju znajdzie się uczciwy człowiek, to chyba Polak. »

Skutkiem więc ostatniej wojny nagromadziły się u nas znaczne kapitały w rękę ludzi, którzy nie mogą inaczej używać swego grosza jak na handel lub przemysł. Lecz że te obie gałęzie produkeyi, nie dość u nas rozwinięte, tak wielkich summ zużytkować nie mogą, że nadto starozakonni nie mają prawa kupować dóbr ziemskich, jest przeto dla właścicieli gruntowych wszelka łatwość w zaciąganiu pożyczek. Kapitałiści, jak Kelman w Tulczyńcu, lub Samson w Niemirowie, wypożyczają obywatelom bez żadnej trudności znaczne summy, ale na bardzo wysoki procent, bo na 24 od sta. A chociaż dobra nie przynoszą więcej w przecięciu nad sześć od sta, i choć pożyczka na tak wysoką prowizyą musi być ruiną majątku i właściciela, znajdują się jednak obywatele, którzy pod tak ciężkimi warunkami nie wahają się brać pieniędzy. Uchodzi to nawet za dobrą spekulacyą, za nierównie korzystniejszy interes niż zyskowna sprzedaż majątku. Bo pozbywając się ziemi, bierze się mniej więcej jej wartość, kiedy pożyczając, a pożyczając wciąż, można nabrać dwa razy więcej niżli dobra wartość. Wówczas oddaje się je na sprzedaż i likwiduje się długi ze stratą 50 od sta. Tego rodzaju hańbiące spekulacye i przedaże wchodzi u nas w modę, czego świeżym jest dowodem p. Marszałek S. w powiecie jampolskim. — Prawa rossyjskie nie dają mocy oszukanemu wierzycielowi dochodzić swojej krzywdy; owszem protegują niegodnego spekulanta, bo kto szlachcicowi zada oszustwo przed sądem, nim proces się zacznie, wsadzony bywa do więzienia prowizorycznie, to jest dopóki

wyrok sądowy nie stwierdza jego oskarżenia. Nikt zatem nie skarży, wierzyciel zwiedziony stratę swą ponosi w milczeniu, wstydy się nawet swęj łatwowierności; oszust zaś w pokoju i z tryumfem cieszy się owocem swojej zręczności. Rzecz bowiem szczególna, że nietylko rząd, nietylko sądy milczą, milczy nawet i opinia publiczna, choć wszystkich podstępów świadoma. Zamiast napiętnować hańbą i podłością podstępnego bankruta, który przez lat kilka, skrycie, gdzie może, dobra swoje obciąża nad wartość, z postanowieniem niezwrócenia nigdy pożyczonych kapitałów, z ukartowanym planem « puszczenia, jak mówią, z kwitkiem » połowy swoich wierzycieli; zamiast wyrzucić z swego grona niktzemnika, któryby gdzieindziej i pod innym rządem do czekał się niechybie kryminalnej kary, towarzystwo nasze z szczególną przyjmuje go tolerancją; nikt go od drzwi swoich nie odpycha, nikt wzgardy swęj nie okazuje, dobrze że nie przyklaskują jego oszustwu. Trzeba być, jak u nas zowią, « tego w prawie kutym » albo co lepsza, mieć stosunki z członkami administracyi lub sądownictwa, aby się odważyć właścicielowi ziemskiemu grosz swój pożyczyc. Ztąd też szlachta drobna, pochodzenia mianowicie prawniczego, mając kapitał do wypożyczenia, wyszukuje posiadaczy potrzebnych a uczciwych. Pożyczka od nięj łatwa, na niski nawet procent, bo na sześć od sta, ale niebezpieczna. Skoro ona postrzeże, że właściciel brnie w długi, wcześniej i coraz bardziej dyskredytuje go, skupuje długi żydowskie, zadłużonego przyciska, i stosunkami swęmi w jurysdykcyach sądowych, z zupełną ruiną obywatela przeprowadza licytacją majątku.

Brak kredytu z jednéj strony, z drugiéj znaczny napływ kapitałów jest powodem, że ludzie uczciwi zmuszeni są albo gotówkę swą oddawać do banku, albo też zakupywać dobra ziemskie. Ale bank rządowy daje tylko cztery od sta; kto więc na tak małym procencie nie



chce poprzestać, rzuca się choćby z niewystarczającym kapitałem w kupno dóbr. Nowemu nabywcy żydzi przychodzą łatwo w pomoc z procentem 12 a nawet 9 od sta, w mniemaniu że będą mieli dosyć czasu wycofać się z swym kapitałem, zanim obywatel w długach ugrzęźnie. W podobny sposób w bieżącym roku, p. T. z kapitałem 50,000 r. sr. zerwał się, na licytacji po znanéj pani Rzewuskiej, na kupno starego Konstancy-nowa za 300,000 r. sr. ! Żydzi zaufali mu na 100,000, reszty dokończyła familia i insi kredytorowie. Mamy więc i my właściwą nam grę giełdową, boć oczywiście prawie od przypadku zależy los tak śmiałych nabywców jak ten, o którym wspomniałem. Albo za lat kilka zbankrutuje on zupełnie, albo przy szczęśliwym zbiegu okoliczności w ciągu dziesięciu lub piętnastu lat, panem będzie ogromnej fortuny.

Lecz spostrzegam się, że wam przyuczonym do praw i instytucyj hipotecznych francuzkich, niejedno z tego co mówię może wydać się dziwném i wcale niezrozumiałém. W Rossyi nie ma hipoteki, prawo nie zna pierwszeństwa hipotecznego, nie odróżnia długów osobistych od rzeczowych. Ono rozciąga opiekę nad tymi tylko, którzy kapitały swoje wkładają do instytucyj kredytowych rządowych, i nad tymi którzy od nich zaciągają pożyczki. Kredytorowie insi, jakiegobądź rodzaju, żadnego, można powiedzieć, nie doznają bezpieczeństwa. Pozwólcie abym twierdzenie to objaśnił przykładem. Bank rządowy pożycza każdemu właścicielowi po 80 r. sr. za duszę skazkową, w dobrach tak zwanéj najpierwszej ziemi i najlepiej uprawnej, np. w gubernii podolskiej. Właściciel więc mający sto dusz, może zaciągnąć z Banku 8,000 r. sr., od których płaci sześć od sta, licząc w to amortyzacyę. Ponieważ majątek taki wart jest od 20 do 25 tysięcy rs., wnosićby wypadło, że przynajmniej dwanaście tysięcy na tych dobrach pozostaje do bezpiecznego zahypotekowania. Ale czy

one są już zajęte w części lub w całości inną pożyczką, o tém nigdzie z pewnością dowiedzieć się niepodobna. Można bowiem zaciągnąć długi na skrypta oblatowane we wszystkich miastach gubernskich i powiatowych państwa rossyjskiego, we wszystkich magistratach i u wszystkich meklerów cesarstwa, a żadna jurysdykcya nie daje znać drugiej o zaciągnionej w jej obecności pożyczce. Można nadto wydawać skrypta nieoblatowane, można obciążyć dobra swoje rachunkami kupców, dostawców, fabrykantów i t. p. Zdarza się więc, że na małej wioszczynie zbierze się ogromna góra wszelkiego rodzaju wierzytelności, i gdy dłużnik procentów nie płaci, lub wierzyciele zmuszają go do zwrotu kapitałów, majątek ziemski idzie na sprzedaż publiczną. Z otrzymanej ceny szacunkowej odtrąca się naprzód bankowy dług; następnie obliczają się długi oblatowane, a jeżeli summa przewyższa wartość dóbr pozostałą, wszystkie bez różnicy ich dawności, spłacane bywają stosunkowo. Gdyby komuś mającemu 12 tysięcy rs. majątku, udało się zaciągnąć długów oblatowanych na 120 tysięcy, wierzyciele wzięliby za swą summę 10 od sta, bez względu, że jedni z nich przed dwudziestoma laty, inni przed rokiem dopiero wypożyczyli swe kapitały. A i to także trzeba mieć na uwadze, że choćby dobra były najbardziej odłużone, zaciągnięta świeżo pożyczka bankowa odejmuje pierwszeństwo hipoteczne wszystkim dawniejszym wierzytelnościom, tak, że kto grosz swój wypożycza, musi troszczyć się nie o to tylko, jak dalece dłużnik jest obciążony, ale i o to, jakie w przyszłości zaciągnąć może długi. Poprzednia, jak następna wierzytelność zarówno jego bezpieczeństwo narusza! — W trzecim dopiero rzędzie, to jest po bankowej pożyczce, i po długach oblatowanych, idą długi nieoblatowane; rzadko też na nie, w razie licytacji, jakaś summa pozostała przypadnie.

Po sprzedaży wystawionych na licytacją dóbr, wie-

rzyciel traci wszelkie prawo do wydziedziczonego dłużnika, i nie może go przed żaden sąd do osobistej pociągnąć odpowiedzialności. Niedawno temu, p. K., właściciel 750 dusz na Podolu, narobiwszy rozmaitych długów tak oblatowanych jak nieoblatowanych, z niedotrzymanych kontraktów, z rachunków pozostałych z czasów swego marszałkowstwa i t. p. umówił się z panem M. o przedaz swego majątku. Obaj dobrze wiedzieli, że długi przechodziły wartość dóbr; przecież jeden nie wahał się sprzedać, drugi nie lękał się kupować. Komu z dłużników traf tak poszczęścił, że na czas o sprzedaży dowiedział się i w chwili przemiany tytułu własności upomniał się, mógł wierzytelność swą odebrać. Lecz kto przyszedł za późno, choćby w godzinę po zawarciu transakcyi, p. K. miał prawo powiedzieć mu, że nic nie ma; p. M. że to nie do niego należy. Pod innym rządem i jeden i drugi byłiby zapewne sądzeni kryminalnie: p. K. że oszukał, p. M. że do oszustwa pomagał. Pod rządem rosyjskim i w naszym «obywatelskiem» towarzystwie, pozostali oni jak dawniej poważanymi, używającymi szacunku i wziętości obywatelami!

Rzecz oczywista, że tak wykrzywione, zarówno pod materyalnym jak moralnym względem zabójcze stesunki, nie mogą istnieć bez wiedzy, a nawet bez woli rządu rosyjskiego. Jakiż on w ich utrzymaniu ma cel? Odpowiedź łatwa: zabezpieczenie bankowi nieomylnego zysku; zabezpieczenie siebie, że cisnące się do banku kapitały prywatne dają mu rękojmią wierności poddanych, a w razie potrzeby służyć mogą do jego arbitralnej dyspozycyi. -- Bank rosyjski (*gosudarstwiennyj kamierczyski bank*) podobnie jak i drugi zakład kredytowy: Kasa rady opiekuńczej sierot (*opiekunskawo sawieta*) zarówno niekorzystne jak niebezpieczne daje umieszczenie kapitałom. W obu zakładach operacye robią się tajemnie, oba ogłaszają sprawozdania swoje w wyciągach



krótkich, i z których żadnego o ruchu finansowym nie można powziąć wyobrażenia. Wiadomo, że gdy za radą księcia Lubeckiego, zmieniano w Rossyi system mennicy z rubli assygnacyjnych na ruble srebrne, a skutkiem wypuszczenia nowój ogromnej ilości papierów nastąpiła między kupcami trwoga, cesarz Mikołaj zwołać kazał celniejszych kapitalistów stolicy i zaprowadzić ich do mennicy petersburskiej. Tam pokazano im wielką ilość złota i srebra, jakby dla upewnienia, że te skarby dostateczną powinny być gwarancją nowym assygnatom. Lecz pierwszy to był i podobno ostatni w historii rosyjskiej przykład przekonywania poddanych czémś inném niżeli więzieniem i Syberyą. A i ten przykład czegoż dowodzi? — Cesarz ma prawo rozkazać nietylko bankowi państwa, ale wszelkim radom opiekuńczym wydać tyle pieniędzy, ile ich w kasie znajduje się, w papierowej i brzęczącej monecie. W ostatniej wojnie rząd pożyczył znaczną summę z kasy sieroockiej, a nie słyszano wcale, aby te miliony zahypotekowane były na dobrach stołowych cesarza, lub narodowych. Pod koniec wojny kantory bankowe: petersburski, moskiewski, kijowski i odeski otrzymały rozkaz, aby we wszystkich wypłatach tylko dziesiątą część dawano obywatelom złotem lub srebrem, resztę zaś assygnacjami. — Cóż więc znaczą i jaką przedstawiają rękojnią podobne instytucye kredytowe? — Wspomniałem, że bank wierzycielom swoim płaci 4 od sta, kiedy wszelki kapitał przynieść może w Rossyi najmniej sześć, a procent kupiecki liczy się u nas 12 od sta. Już więc sama nizka stopa procentu odstręczyłaby od banku wszystkich kapitalistów, gdyby jakiebądź inne bezpieczne znalazło się w kraju umieszczenie. Bo zresztą nikt, z najwierniejszych nawet poddanych cesarstwa, nie lubi mieć z rządem rosyjskim stosunków pieniężnych. Nietylko cesarz, ale każda znaczniejsza figura rządowa, w miejsce sądów, decydują nieraz ostatecznie w kwestyach spor-

nych pieniężnych. Na dowód przytoczę wypadek, jaki się zdarzył przed kilkoma laty. P. S. majątny posiadacz z nad Dniestru, w r. 1848, pożyczył sąsiadowi kilka tysięcy rubli w złocie, z zastrzeżeniem, aby w téjże saméj monecie na następnych kontraktach były mu zwrócone. Ale wbrew zastrzeżeniu, kiedy nadszedł czas wypłaty, dłużnik chciał ją skutecznie w papierach. P. S. domagał się imperyałów, i spór byłby przeszedł na drogę sądową, gdyby strona przeciwna nie skorzystała na czas z swych poufałych stosunków z kancelaryą kijowskiego Bibikowa. Jakoż zawołano niebawem p. S. do Jeho wysokoprewoshoditelstwa Dimitra Hawryłowicza. Skoro wezwany, już drżąc ze strachu, stanął przed generałem gubernatorem, ten zapytał go: «Czy to prawda, że pan domagasz się zwrotu pożyczki w półimperyałach, a nie chcesz jój odebrać w asygnatach?» Na to, pokornie kłaniając się, p. S. odpowiedział, że taka była między nimi umowa. Wówczas Bibikow dobywa z pugilaresu papier piędziesięcio rublowy, i pokazując go p. S. rzecze z przyciskiem: «Wierzaj mi pan, ta moneta ma swój kurs nawet w Syberyi.» Z bólem serca, ostrożny wierzyciel musiał przyjąć do swéj kasy plikę asygnat, i odtąd był jeszcze ostrożniejszym, bo nie pożyczzał — tylko żydom.

W tym oplakany systemie, pod którym większa część Polaków żyć jest skazana, wszystko się wiąże i wszystko zmierza do jednego celu. Kapitały nie znajdują u prywatnych ewikcyi; prawa i sądy nie zdolne są bronić wierzycieli; władze administracyjne częścią z zasady, częścią z przekupstwa, biorą w opiekę oszustów i bankrutów. Łatwość nieprawego dorobienia się majątku, wywołuje zbytki szalone i szerzy demoralizacyą, dwie nieomyłne despotyzmu podpory. Kto oszczędnością i zabiegliwością przyszedł do grosza, rad nie rad oddaje go do banku, który jest w ręku rządu; a jeśli nie chce uciekać się do téj ostateczności, kupuje ziemie

choćby ją musiał przepłacać w dwójnasób. W jednym czy w drugim razie obywatele nie mogą mieć na swe zawołanie gotówki, ani się wymknąć z pod ścisłego nadzoru i ujęcia władzy. Dyszy nad nimi widmo nieodstępne : groźba konfiskaty !

Ażali można spodziewać się, że ten system ulegnie zmianie ? Od lat tak wielu sami Rossyanie domagają się dla siebie pewnych urządzeń hypotecznych, — a zawsze napróżno ! — Lecz pomimo rządu i wbrew jego woli, silniejszy odeń wpływ wypadków i wpływ zachodniej Europy, zdaje się zapowiadać powolne ulepszenia. — Ustała wojna ; rząd rossyjski nietylko nie zakłada już w naszych prowincjach magazynów, ale trzy korpusy armii (4, 5 i 6) wyprowadził do Małorossyi i nad brzegi Wołgi. W skutek uszczuplonej konsumpcyi, a zarazem świetniejszych niż poprzednie urodzajów, ceny zboża spadają, co niechybnie oddziaływać będzie na ceny majątków. Zapowiedziane koleje żelazne, choć dotąd ich akcyje nie znajdują u nas pokupu, w przyszłości jednak otworzą zyskowniejszą, niż banki lokacyą. Przypuścić więc można, że ustanie dzisiejszy nacisk kapitałów do ziemi, i że wartość jej wróci do właściwej miary, to jest do dochodu, który przynosi. Zaczem spostrzegą się może nasi właściciele, że w dobrach swych nie mają skarbów niewyczerpanych, i poskromią panujący dzisiaj w polskich prowincjach zbytek, który zaprawdę i wstydem jest, i ruiną naszą ! — Opowiem o nim obszerniej w jednym z listów następnych.

## II

### BAŁAGULSTWO.

17 października.

Zdarza się u nas słyszeć, że nasze młode pokolenie, które na scenę publiczną wstępować zaczyna, różni się,



a na lepsze, od nas starszych. Nie śmiałbym tego twierdzić o wszystkich prowincjach; o tej więc tylko mówię, którą znam i której wewnętrzne przemiany pragnę opowiedzieć, to jest czém byliśmy, gdzie zdaniem mojem zaszła poprawa, i jakim poniżeniem i cierpieniami okupiliśmy tę jaśniejszą, która wschodzić zdaje się przyszłość.

Czém przed kilkunastą laty byliśmy, odgadnąć łatwo patrząc na tych, co po roku 1831 kończyli przerwana przez lat parę edukacją, a później pożeniwszy się i rodzicielskie majątki objawszy, utworzyli dzisiaj społeczność, naszych poważnych obywateli i ojców rodzin. Szkiecować ich portret byłoby zbyt boleśnie. Ktoś złośliwie przyrównał nasze obywatelstwo do znuzonych rozpustników, zagrożonych suchotami, którym jedna już tylko została się troska — własnego zdrowia! Szerzej i wyżej myśl ich nie sięga: pierwój od nieprzyjaciela ostudzi ją trwoga, by się nie ruszyć z domowego zacisza; zamrozi strach, że trzeba mieć będzie własną opinią, wypadnie jej bronić, i narazić się na pracę długą i przeciwności. Tyle zachodu, dla wątpliwego nieraz pożytku, to zawiele na nasze siły i zdrowie. — My dla sprawy publicznej mamy dobre intencje! Dobre intencje i westchnienia, to jedyny podatek, który dziś na ołtarzu ojczyzny składamy.

Czasy jeszcze niedawne, kiedy Ruś nasza i Litwa jaśniały światłem wielkich naukowych zakładów. Były to dla narodu ważniejsze dobrodziejstwa, niż gdyby cesarz Alexander armią Królestwa, jeszcze o trzydzieści tysięcy powiększył lub prowincje zabrane pod szalony zarząd księcia Konstantego był oddał. Bo armią w kilku godzinach niezdolny generał stracić może, a to światło i nauka, które uniwersytet wileński wraz z liceum krzemienieckim w naszym obywatelstwie rozkrzewił, mimo granice i podziały na generał-gubernatorstwa, utrzymują Polskę przy jej narodowości i charakterze

politycznym. Zrozumiała to w swoim czasie, pierwéj nawet od rządu, arystokracja moskiewska, a chcąc dalszemu jak mówiono « spolszczeniu » tych prowincyj zapobiedz, moralny kierunek młodzieży polskiej oddała plugawemu Nowosilcowowi. — W Wilnie, jak wiadomo, zamianowany rektorem Pelikan, Bokszezanin w Krzemieńcu. — W tym samym czasie (około 1827) zaszły zmiany w Winnicy, szkole głównej położonej na pograniczu trzech naszych ruskich gubernij. Rektorem jéj był pijar, ksiądz Maciejewski. Pamiętam, było to pod koniec jubileuszu : ksiądz biskup Mackiewicz przyjechawszy do Winnicy, na tę wielką kościelną uroczystość, zaszczycił swą obecnością nasze roczne, publiczne egzamina. Rektor po ich skończeniu miał do nas mowę pełną nauki, dobroci i powagi ojcowskiej, z wszelką okrasą owczesnej wywowy, płaczem, giestami i rzucaniem się do nóg księdzu biskupowi. Słuchaliśmy jéj z uszanowaniem i spólcuciem, i każdy, odjeżdżając na wakacye, miłą do domów rodzicielskich zawiózł jéj pamiątkę. We dwa miesiące później, jakże wszystko zmienione! — Nowo przysłany rektor p. Kowalewski był nauczycielem kaligrafii w szkole międzybożkiej, a czemu tak szybki winien był awans, opowiadać nie trzeba. W dniu naznaczonym na otwarcie nauk szkolnych zbrali się wszyscy w kościele katolickim, gdzie p. Kowalewski miał mowę po rossyjsku, w tych słowach : « *Da zdrastwujet Wieliki Gosudar Imperator Nikołaj Pawłowicz!* » Tu namówionych kilku malców, popowiczów i sprawnikowiczów, na całe gardło wrzasnęło *hurra!* — P. Dyrektor znowu : « *Da zdrastwujet Wielikaja Gosudarinia Imperatrica Maria Fedorowna!* » Znowu malcy swoje, a p. dyrektor odśpiewywał dalej całą litanią najjaśniejszej imperatorskiej rodziny. Była to pierwsza mowa, którą po rossyjsku słyszałem, a była prototypem tych wszystkich oracyj, które następnie na egzaminach szkolnych powtarzano i powtarzają.

Ale i p. dyrektor był, na nieszczęście, wzorem wszystkich następnych w szkołach polskich kierowników młodzieży. Figura śmieszna i nadęta, od uczniów przewany « sępem, » nie miał on wyobrażenia o naukach ani o pedagogice; co gorsza, nie miał żadnej podstawy moralnej. Chciwy, przedajny i zepsuty, człowiek ten doszedłszy dzisiaj wysokich urzędów w Rosyi i okryty wstęgami, aby całą swą polityczną karierę zdefiniować, kazał wyryć na własnej pieczęcie « za Bohom molitwa, a za Carom służba nikogda nepropadajet. » — Pod wpływem i kierunkiem takiego rektora prędko na moskiewski ton nastroiło się u nas całe wychowanie gimnazyalne. Profesorowie zbywali lekye; ich główném, kolegialném zajęciem stała się gra w karty, wszyscy zaś spekulowali na to jakby mieć najwięcej i najbogatszych konwiktów. Który z uczniów zamieszkał u profesora, a płacił mu sto czer. złotych, mógł być pewny, że ani męczyć się nad książką, ani troszczyć się o promocyą nie potrzebuje. Mniej szczęśliwi nauczyciele zastępowali dochód z konwiktów haraczem, który na rodziców w Winnicy mieszkających nakładali. Nierzadko też zdarzyło się usłyszeć, jak na lekcyi przymawiali się u bogatszego malca o furę żyta lub owsa. Tylko więc najbiedniejsi, którzy żadnym podarkiem pomódz sobie nie mogli, uczyć się musieli, i ci też w istocie czegoś nauczyli się.

Przyszedł czas powstania. Zaczęto coś mówić o ojczyźnie, o Polsce, o wojskach polskich. Nie jednemu z młodych na te słowa mocniej zabiło serce, bo nie często je u nas słyshał i nie w każdym domu rodzicielskim. Ostatnie czasy panowania Alexandra były dla naszego patryotyzmu zabójcze; prześladowania któremi inne prowincye dręczono, nie wiele jeszcze naszą Ruś dotknęły. Pod materyalnym względem każdemu działo się dobrze; podatki niewielkie, urodzaje ogromne, i chociaż cena zboża była niewysoka, nie brakowało pie-



niędzy. Osobliwie też kiedy się zaczęła wojna turecka, summy znaczne za dostawy wpłynęły do rąk obywatelskich. Chwalono Alexandra, żalowano jego śmierci, i mało kto był, ktoby przeczuwał jego grecką politykę. Ochocho przyjmowano gwardye moskiewskie, a jeśli kto napomknął o polityce, coś o dawnych czasach, to chyba starzy napoleoniści, którzy Polski bez francuzkiego munduru i bez jenerała francuzkiego nie rozumieli.—Czasy kościuszkowskie nie każdy odważył się przypominać, chociaż każdy zabytek z tych czasów ceniony był, wyznajmy, może nad wartość, co później nie pośledni wywarło wpływ na nasze powstanie.

Lecz wróćmy do szkół. Zaledwo wieść doszła o powstaniu, rozpuszczono szkoły jakoby z powodu cholery. Młodzież i dzieci zostały pod okiem rodziców i rzadkich gdzie niegdzie guwernerów domowych.—Wkrótce też i u nas wszystko zakipiało. Każdy kto mógł na koniu trzymać się, rwał się do broni, i wyszukiwał miejsca gdzie były znowy i zbiory. Wszystka doroślejsza a zaciejsza młodzież weszła do wojska; część ich zginęła, część posłana na Sybir, część na wygnaniu!... Lecz byli i tacy, którzy ani razu nie wystrzeliwszy, skoro powstanie zostało sparaliżowane, całemi partjami uchodzili do Galicyi. Z nich prawie wszyscy niebawem wrócili, a byli jeszcze w wieku bardzo właściwym do nauki; wszkże nie dali sobie mówić o szkołach, bo jak się tu uczyć, kiedy się już wojowało za ojczyznę, a w domu rodziców było na co oglądać się. Oto pierwszy poczet nieuków!

Przez dwa lata były szkoły zamknięte; otworzono nowe, do których aby wejść, trzeba było zdawać egzamin po rossyjsku. Młodzież która przez te dwa lata zostawała w domu, odwykła od książki; przelękniona trudnością egzaminu zwłaszcza do wyższych klas, gdy do niższych wracać nie chciała, wyrzekła się dalszej szkolnej edukacyi, osiadła w domu pomagać rodzicom i

sposobić się przy nich na gospodarzy i obywateli. To szereg nieuków drugi.

Tylko mała liczba dawnych studentów, w większej części ubogich, ze ściśnioném sercem poddała się téj konieczności korzystania z zakładów rossyjskich. Młodszy weszli do gymnazyjów, starsi do uniwersytetów moskiewskiego, charkowskiego i petersburskiego, oraz do specjalnych w Petersburgu zakładów, jak szkoły inżyniery, artylery, wodnej komunikacji i t. d. Lecz tak mało ich tam było, że w instytucjach wymagających ścisłego egzaminu, ledwo po jednym Polaku można było wówczas naliczyć. A wszyscy zostawali pod jakąś kondemnata publiczną, bo ojcowie woleli raczej aby ich wyrostki wstępowali od razu do pułków moskiewskich. Takich opinia publiczna zupełnie usprawiedliwiała; «cóż miał z chłopcem robić, mówiono; pieniędzy nie ma aby mu wziął dzierżawę, dzieci dużo, głód, — ot lepiej, że się chłopak poszedł dosługiwać.» Ale na uczących się w szkołach wojskowych spojrzano z niedowierzaniem, jako na ludzi którzy z rozumem moskiewskim przyniosą dzikość i przewrotność moskiewską. — Po części miano słuszność.

Teraz pomyślmy o tych kilkuset niedouczonéj młodzieży, od ośmnastu do dwudziestu kilku lat, z których nie jeden po parę tysięcy rubli mógł wydać z łatwością. W kraju żyznym i bogatym, ale odciętem od zagranicy, pozbawionym naukowych zasobów i jak wówczas wszelkiego intelektualnego życia, poddanym srogiéj i podejrzliwéj polityce; w kraju gdzie społeczeństwo całe rozrzucone jest po wsiach, gdzie nie ma salonów, ani żadnego ogniska towarzyskiego życia, — z których płynie jeśli nie głębsze wykształcenie to przynajmniej powierzchowna ogląda, z kąd się rozchodzą i wkorzeniają pewne uczucia i nawyknięcia przyzwoitości, — co w takim kraju, taka młodzież miała robić?. Nie było wolno wyjeżdżać za granicę; do wielkich miast polskich cóż ją mogło przy-

nęcać? Tam smutek był, płacz i cisza głęboka. Zostawszy w domu trudno polować rok cały; do tańców, pikników, hulanki trzeba mieć kilka domów, i było też kilka, ale te zabawy, choć kielichem przedłużane, wyczerpać się musiały w dniach karnawałowych. Jedynym więc, najwłaściwszym a najświetniejszym polem do zabicia czasu i do popisu, zdały się jarmarki, te kluby ukraińskie.

Liczne bo téż i wesołe jarmarki na naszej bujnej i szerokiej Ukrainie! W starych, berdyczowskich kalendarzach, ileż znajdziecie małych miasteczek jak Pików, Ułanów, Kalinówka, prawie nieznanym geografom, w których przecie po cztery i po pięć bywa na rok jarmarków. A jak się trafi jarmark w Międzybożu na Wodochryszcze, w Bałcie na Zielone Świątki lub w Berdyczowie na Onufreja, toż to dopiero dnie uroczę, dnie pożądane, wspaniała arena dla naszych ukraińskich bohaterów! — W całej Polsce młódź szlachecka ma nie powściągniętą miłość ku jarmarkom. Bawić się hulaszczą i wrzaskliwie; cały świat małego miasteczka swoją osobą napełniać, zadziwiać, zagłuszać; być otoczonym rojami żydków, którzy wszystkie twe rozkazy i życzenia, wszystkie potrzeby i kaprysy, z uszanowaniem a skwapliwie, na wyścigi wypełniają lub odgadują; za te usługi łąać i poniewierać kiedy się podoba, lub kilką rubli i grubym żartem nagrodzić kiedy pańska zaleci fantazyza; dzień i noc, w domu i na ulicy, u siebie i u przyjaciela móż gadać i robić co się podoba, nie cierpieć żadnego przymusu, żadnego nie znać hamulca; w okół siebie, w miasteczku i w pomieszkaniu, czuć pewien nieład koczowniczy, który dla nas, bądź co bądź, jeszcze tak wiele ma wdzięku; każdej chwili móż upić się, naściskać się i wycałować, albo wyklócić się i wybić, a jednak bez konsekwencyj, bo im przyjaciele, o ile tęższe głowy, zapobiegają; zgrać się do grosza lub do grosza ogrzać kolegę; rozkoszować się po całych tygo-



dniach naprzemian to kielichem lub batogiem, to kartami lub dziewczyną, — tyle zabaw i tyle serdecznej uciechy, mogłyż nie podnieść jarmarków naszych do uroczystości publicznych, do rzędu instytucyj szlachecko-prowincjonalnych! Tęj to jarmacznej naszej słabości objawem, a przytem wyrazem naszego stanu społecznego było w prowincjach ruskich owe sławne *bałagulstwo*.

Bałaguła znaczy furmana żydowskiego, trudniącego się przewozem towarów albo zwyczajną furmanką. W Berdyczowie, Żytomierzu i Humaniu dziś jeszcze, kiedy kto zapotrzebuje do najęcia koni, mówi do faktora: przyprowadź mi bałagułę. Żydzi-bałaguli jest to rodzaj czumaków z tą różnicą, że pierwsi stale trudnią przewozem osób i rzeczy, drudzy tylko dwa razy do roku wywożą produktu zbożowe do Odessy. — Aby się zająć czemkolwiek w tych dniach, które jeden jarmark od drugiego oddzielają, nasza młodzież ówczesna poczęła nibyto zatrudniać się chowem koni. — Kiedy Moskale zabrali i rozprzedali ostatki stada międzybożkiego i sawrańskiego, nie stało dobrych koni w naszej prowincyi; te które po jarmarkach szlachta skupowała, mogły się równać z żydowskiemi furmańskiemi, lub z tą lichotą, którą Tatarzy z Krymu sprowadzali. Poczęli więc wchodzić panicze nasi w stosunki z Tatarami i przez nich nabywać lepszych trochę koników. Ten handel wymagał wielkiej znajomości, aby nie być przez kupca tatarskiego oszukany. A ponieważ jarmark berdyczowski najbogatszy bywa w konie, przytem to miasto leży w pośrodku Rusi, w okolicy najludniejszej i otoczonej majątną i próżniaczą młodzieżą, tu więc założono stolicę bałagulstwa i ognisko frymarków.

Gdyby który z bogatszych bałagułów zdolny był powziąć myśl poważniejszą i choćby w czasie odległym pożyteczną krajowi, mógłby być z tego zamiłowania do koni wyprowadzić pewien rodzaj klubu ukraińskiego;

mógłby mu nadać za cel poprawę chowu koni i utworzenie rasy potrzebnej dla kraju. Ale z ludzi najbardziej znaczących w świecie bałagulskim, nikt, nawet sam król imć, nie miał w ówczas innćj myśli jak tylko z dnia na dzień żyć wesoło, czas, zdrowie i pieniądze marnować, gdzie się dało oszukać na koniu, kogo się dało wciągnąć do gry hazardownćj, zgrawszy wyśmiać, z podejścia swego bezczelnie się chwalić, wreszcie na trzeźwo czy po pijanu gburostwem swoim i barbarzyństwem cały kraj zadziwić. — Te były prace, te wytechnienia bałagułów! — Widziano nieraz ową «ukraińską (jak ją zwano) tężyznę,» na waryackich koniach kałmuckićj, tatarskćj i Bóg wie jakićj rasy (a im dziwniejszćj tćm bardzićj poszukiwanćj) przejeżdżających o białym dniu, w jednćj tylko na ciele koszuli, pijanych i od wrzasku zachrzypłych, wśród najgwarniejszego jarmarku, a w około nich roje żydów śmiejących się i przyklaskujących tćj dzikićj maskaradzie! Widziano innćmi razy jak wśród jasnego dnia i zebranych tłumów, przez Machnowkę albo Lipowiec, jechały konno bałaguły już nawet bez koszuli, w jednych tylko skórzanych spodenkach, każdy z biczem w rćku «godłem swćj potćgi» = a za tą kalwakadą bezwstydną na wozie, bo już na koniu utrzymać się nie mógł, jechał całkiem nagi «Bachus» te jest kucharz bałagulski ze wszystkićmi znakami swćj godności : rondlami, rożnem, patelnią i konwiami. Często szły ohydne zakłady, które opowiedzieć, a tćm bardzićj opisać trudno. Grupy i kalwakady tego rodzaju zbierały się zwykle na wsi u jakiegoś bogatego panicza, Podolaka lub Ukraińca, gdzie zabawa poczęta od wyścigów i polowania, kończyła się na nieustających kartach i pijatyce; pocćm szedł jawnie bezwstyd i głośna rozpusta. Bo kiedy panieze bawili się i domy szlacheckie dniem i nocą grzmiały pijackićmi okrzyki, dworsey kozacy i usłuźni faktorzy uwijali się po zaułkach sąsiedniego miasteczka, aby gospodarz mógł gościom kocha-

nym miłą uczynić siurpryzę. Leciąły więc przez wieś bryki ładowne tym « towarem » — a chłopci patrząc na takie zgorzenie, żegnali się, myśląc, że to już koniec świata, i żony swoje, córki i dzieci niedorośle zamykali po chatach. « Pek z nymy, mówili, dobre duryty koły przystupajet! Pereszło nasze państwo na jakieś cyhaństwo. » Bo i to trzeba dodać, że w tém życiu bałagulskiém, każdy młody szlachcic miał powiernika, towarzysza i druha w jakimś mołojcu ukraińskim, dworskim kozaku. Uważano to za pewien rodzaj propagandy, za środek zbliżenia się do ludu! — O biedny nasz ludzie! także to ciebie prowadzili twoi najbliżsi nauczyciele, starsi twoi bracia!...

Tymczasem po orgiach podolskich i za przykładem majątniejszej na Ukrainie młodzieży, bałagulstwo jak zaraza rozszerzyło się w prowincyi. Nim lat kilka upłynęło, nastąpiło jakieś powszechne zgrubienie moralne; niesumienność w stosunkach finansowych i obywatelskich weszła nieledwie w zwyczaj, pobłażano jęj, byli tacy co się z nięj nawet chwalili. — Cywilizacya widocznie o kilka szczebli zniżyła się! — Tam gdzie sławy swęj szukano w zręczném podejściu, w tęgości do kieli-cha, do kart i rozpusty, zatrzeć się musiało prawdziwe uczucie honoru; już więc i pojedynków innych jak na batogi nie znano! A potrzebaż w końcu dodawać, że gdy na tych junaków wrzaskliwych przyszedł później twardy czas próby, to gdzie trzeba było dowieść hartu i energii, samą tylko bezdusność i nikczemną miękość okazali!

Lecz kiedy młodzież szalała, cóż starsi robili? To co u nas zawsze robią starsi, rozumniejsi i doświadczeni: smucili się na ustroniu i — milczeli. Po okropnych prześladowaniach, które nas wszystkich dotknęły, upadli całkiem na duchu; unikali najzaufańszych towarzysztw, wszędzie widzieli szpiegów moskiewskich, lękali się własnego cienia. Zamknęli się po wsiach,



zdziwaczeli i w samotności zniedołężnieli do reszty, — Jedne tylko nasze poczciwe kobiety siliły się walczyć z tą hajdamaczyzną. Ze ściśnioném sercem porównywały to, co się przed ich oczyma działo, z pełnemi wdziękiem i czystości obrazami ukraińskiego życia w Maryi Malczewskiego, lub w piosnkach Bohdana. Lecz za wstręt i oburzenie, których nie taiły, karano je surowo. Czatowano na nie po drogach, i gdy powóz wjechał na groblę, lub w ciasną drożynę, otaczała go niespodzianie banda «*skórkowych*». Wówczas hufiec bałagułów ubranych w kołosznie i skórzane spencery, a bez koszuli i halsztucha, uroczyście odprowadzał płonące od wstydu kobiety. Inną razą przypadano do karczmy, gdzie musiały zatrzymać się dla popasu i noclegu, i pod oknami wyprawiano im serenady w piosnkach ukraińskich, od których aż uszy wędły!

Trwał ten stan okropny lat kilka. Aż na «*ucywilizowanie i przekształcenie*» zdziczałej szlachty polskiej przysłał Mikołaj wysłużonego, bez ręki żołnierza, magnata błyszczącego pięknym układem i znajomością wielkiego świata, — strasznej dla nas pamięci Bibikowa! Przyjazd jego na Ukrainę stanowi ważną dla nas epokę: poprawę ducha polskiego pod srogim biczem moskiewskim. — Bibikowa rządę opowiem w przyszłym liście.

### III

#### RZĄDY BIBIKOWA.

24 października.

Bibikow należy do tój mnogiej szlachty moskiewskiej, której przodkowie, razem z Batuhanem szli na zdobycie Kijowa. W młodości służąc w wojsku, pod Borodinem stracił rękę, i nie będąc już zdolnym do armii, wszedł

do służby cywilnej. Czasy Mikołaja zastały go dyrektorem komor celnych w ministerjum skarbu. Wzrostu wysokiego, rysów twarzy regularnych i mimo surowości dosyć przyjemnych, umysł miał bystry i przenikliwość tatarską. Majętny i bogato ożeniony, ułożony powierzchownie jak gentleman angielski, a jak satrapa moskiewski nieuk we wszystkiem, co stanowi prawdziwe wykształcenie, był on typem Rossyanów wielkiego świata, o których Napoleon powiedział, że za lada podrażnięciem wychodzi z nich Tatar. Na niego to zwrócił swą uwagę Mikołaj, i mimo licznych pretendentów do kijowskiego paszaliku, zamianował go swym namiestnikiem na Rusi. Było to w czasie, kiedy w Petersburgu głęboko zastanawiano się nad środkami wynarodowienia Polski, a głównie jej ruskich prowincyj. Ku temu celowi, z różnych stron zchodziły się plany rządowe; temu cały naród moskiewski dawał swoje serdeczne spółczucie i silne poparcie.

Cóżkolwiek o cesarzu Mikołaju mówią dzisiaj w Petersburgu, lub piszą w Londynie, to pewna, że on przez długie jeszcze lata pozostanie wzorem carów i najdoskonalszém uosobieniem moskiewskiego charakteru. Serdecznie nienawidził on Polski; płakał z zadanego swój naturze gwałtu, kiedy musiał przysięgać na konstytucyą Królestwa; po wojnie, pastwił się nad zwycięzonymi z rodzajem dzikięj rozkoszy. Kiedy spotkał kogoś w mundurze, a usłyszał odpowiedź, że jest Polakiem, zwłaszcza z zabranych gubernij, nie umiał ukryć wstrętu swego i wściekłości. Nie było monarchy, któryby głębiej i mocniej chował w pamięci doznane urazy jak cesarz Mikołaj; ani lata, ani okoliczności nie łagodziły nigdy dotkniętej raz dumy jego. Ale pomimo wstrętu do Polski, pomimo namiętnej nienawiści, która go często dalej pchnęła, niż pozwalała roztropność, Mikołaj czuł, że sprawa polska żyje wciąż, w Polsce i w Europie, że się odnawia co każde ćwierćwiecze, i że

w każdym jest kwestyą żywotną dla Rossyi. Całą więc ziemię naszą, bajecznym kosztem, w ciągu dwudziestu pięciu lat, obwarował fortcami, a wypędzając z niej ducha polskiego, chciał martwy kadłub przykuć na zawsze do Rossyi. Nie podobał mu się Alexandrowy system wynaradzania; był naturze jego spreczny i zdawał mu się za długi. Bo nie o to chodziło, aby celu dopiąć, lecz aby dopiąć go prędko; aby wojska cudzoziemskie, któreby kiedyś do Rossyi wkroczyły i chciały chorągiew polską rozwinąć, już Polaków na ziemi polskiej nie zastały. W tym duchu dawane były instrukcye wszystkim jenerał-gubernatorom; takie i Bibików otrzymał. Działać szybko, gromko i skutecznie!

Przybywszy około r. 1838 na Ukrainę, Bibików przez czas pewien uprzejmy i nadskakujący dla kobiet, całował ich ręce i prawił im komplementa; poufały z młodzieżą, rozmawiał z nimi o pijatyce i rozpuszcie; grzecznie chłodny dla starszych, pilniej ich uważał. Nie uszedł jego baczno oka smutny stan naszego społeczeństwa: apatya i opuszczenie rąk w pokoleniu dojrzałym, czczość i lekkomyślność wszystkich którzy dorastali, nie zaprzeczona wyższość kobiet i wpływ ich patryotyczny. Przyglądał się z nieufnością duchowieństwu katolickiemu, które po roku 1831 gorliwszym było o wiele i bardziej przykładowym niż poprzednio. Wkrótce jednak natura moskiewska, natura azyatyckiego satrapy, wyrwała go z téj roli przymuszonej, umiarkowanej i oględności. Uchodził wprawdzie zawsze za człowieka stanu i wyższego towarzystwa; ale imponując władzą, sam się nią upajał; otaczając się potęgą i wystawnością materyalną, szukać począł w urzędzie swym źródeł prywatnej fortuny. Przybrał sobie niejakiego Pisarewa na dyrektora kancelaryi. Był to człowiek młody, wprawny do prowadzenia perepiski biórowej, ambitny i pełen sprytu i téj bezczelnej usłużności, która wobec starszych nie zna słów: nie wiem lub nie mogę. Pisarew ożenił się



z małosossyanką niepospolitą piękności. Ta jak wszystkie kobiety tego narodu, do słowiańskich zalet łączyła wady kobiet orientalnych. Pewna miękkość i łagodność charakteru mieszała się u niej z ognistymi wybuchami namiętności, z chciwością, z niepospolitą zręcznością w intrygach i z żądzą panowania. Rozkochała starego Bibikowa; a Pisarew, bez którego gubernator nie mógł się obejść w żadnej sprawie politycznej i administracyjnej, potrafił przez żonę swoją tak go ująć i otoczyć, że rządził nim i kierował jak chciał. Zawiązało się między tymi dwoma ludźmi spółnictwo zbrodni i interesów; obydwóm otworzył się jeden już tylko cel— obdzierania prowincyj ruskich: Cały etat kancelaryi stosownie był nastrojony i dobrany. A tak powoli i stopniowo, wszystkie instrukcje Mikołaja wzięły inny kierunek. I czyż mogło być inaczej? Kazał im cesarz rozbijać naród na koryść Rossyi; oni dla siebie woleli nas okradać!

Z początku ów system kradzieży ograniczał się do kontrybucyj zwyczajnych i jakoby między swymi zbieranych. Naprzód więc: trzydziestu sześciu sprawników na Rusi, półtora sta stanowych, trzydziestu kilku policmejstrów guberskich i powiatowych, tyleż sędziów, uległo haraczowi. Były to różne opłaty, odpowiednie dostojenstwu, ważności i miejscowości urzędu. Wnosił sprawnik do kasy generał-gubernatora tysiąc rub. sr.; wnosił stanowy pięćset; sędziemu kazano płacić sześćset. Policmejstry z mniejszych miasteczek kupowali swą instalacją za dwieście do trzystu rubli, z większych miasteczek za pięćset; powiatowi i gubernialni płacili tysiąc, a tacy potentaci jak policmejster Mohyłowa, Bałty lub Berdyczowa, po kilka tysięcy rub. sr. musieli odliczać. Nie trzeba sobie wyobrażać, żeby te opłaty szły kryjomemi drogami. Moskal, odkąd wchodzi do służby, pozbywa się fałszywego wstydu; brał Pisarew za siebie i za naczelnika oko w oko, ręka w rękę. Pieniądze odliczano na stole urzędowym,

w kancelaryi gubernatorskiej! — Drugiem źródłem dochodów stały się paszporta. Każdy pragnący wyjechać za granicę, stosownie do majątku i do imienia mniej lub więcej skompromitowanego, wsuwał w prośbę grubszy lub szczuplejszy pakiet asygnatów, i tak opieczętowaną oddawał lub odsyłał do kancelaryi pod adresem Jeho Wysoko Prewoschoditielstwa. Nie było nigdy przykładu, aby komuś pakiet był zwrócony, ale zdarzyło się, i nieraz, że asygnaty zabierano a odmawiano paszportu. — Trzecim rodzajem kontrybuentów byli wmiészani w sprawę policyjną, kryminalną lub finansową, winowajcy prawdziwi lub fikcyjni, zgoła wszyscy, którzy mieli, lub którym kazano mieć interes z rządem. Ale, na nieszczęście, wkrótce nowe i obfitsze źródło dochodów otworzyło się dla Bibikowa i jego niecnój służby.

Dziś jeszcze, choć po upływie dwudziestu lat, drętwieje myśl na wspomnienie boleści i poniżenia, łotrostw i zbrodni owego czasu! Snać, ciężko zgrzeszyliśmy i głęboko upadliśmy, że nas Opatrzność tak srogo próbuje. Ale Pan Bóg litościwszy od ludzi, karząc nie zatracą, i przez ciężkie krzyże zawsze ku dobremu prowadzi!... W owe to czasy przybył do nas pełen ognia, szlachetności i poświęcenia emisaryusz Konarski. Prace jego nie przyniosły i przynieść nie mogły pożądanego skutku, bo były przeciwne rodzimym naszym uczuciom i instynktom. Dziwném było widzieć, jak ów człowiek z niezwykłą wymową i prawdziwym zapałem, przemawiał językiem wyrafinowanych teoryj socyalnych do ludzi, którzy gramatyki nie skończyli. Słuchano go z otwartemi ustami, i ze słów jego to tylko rozumiano, co każdy szlachcic w sercu nosił, że trzeba Moskale wypędzić i ojczyznę wybawić! Zrozumiano i to, że na początek potrzebne jest tajne towarzystwo, że Konarski w tym celu przysłany jest od emigracyi, do której nie dziw że dusze nam lgnęły, bo ona chwałę

naszę i nadzieje uniosła! Konarski ujmował starszych wspomnieniami dawnéj Polski; ale na młodzież bałagulską liczył najwięcej, jako na partyę postępowych. Lepiej od niego znali Moskale serce ludzkie; policya zawiadomiona o emisaryuszu, dozwoliła przecież szerzyć się czas jakiś konspiracyi. Schwytano kilku dla zoryentowania się; nie dowiedziano się wiele. Lecz skoro przytrzymano kilku bałagulów, zmiękła jak wosk owa «ukraińska tężyzna», wyśpiewali wszystko czego od nich chciano, o czém wiedzieli i czego nie wiedzieli. Wkrótce około tysiąca obwinionych napełniło kazamaty kijowskie.

Sławne są w Rzymie w okolicach Panteonu katakumby, do których pierwsi chrześciance chronili się przed cesarów prześladowaniem z modlitwą i ciałami męczenników; sławne są w Kijowie pieczary, do których uciekali wschodni chrześciance przed napadem Tatarów i dla pogrzebu swych świętych wyznawców;— ale niemniej sławnemi będą podziemia fortecy kijowskiej, gdzie męczono młodzież polską, za panowania Bibikowa. Należy wiedzieć, że kodeks karny rossyjski zabrania tortur; że do potępienia obwinionego potrzeba koniecznie jego własnego «nieprzymuszonego» zeznania; że kara cielesna tylko wtedy jest dozwoloną, kiedy więzień okaże się «hardym» i używa słów ubliżających sędziemu. Gorzka to ironia legalności. W tych lochach głębokich, ciemnych i wilgotnych, gdzie prócz więźnia, nigdy mąż sprawiedliwy nie zajrzy, któż tam będzie dochodził artykułów kodeksu? Pod jasném niebem, w stolicy i gabinecie cara, przecież to wszystkim wiadomo, nie masz prawa któreby się obejść nie dało. Więc cała mądrość i sumienność inkwirenta na tém zależy, aby podejść biednego więźnia, i tak go zaplątać, by nie mógł dowieść nieprawności tortury!

Procedura torturowa jest taka. Chcąc się prawdy dowiedzieć, policya moskiewska przebiera naprzód swoich



agentów i osadza ich razem z obwinionym. Jeżeli więzień, mimo uprzykrzenia samotności, nie wdał się w rozmowę i nie wypowiedział, następują środki surowsze. Zapominają o nim przez trzy dni, i nie przynoszą mu nic, prócz kęska chleba i wody. Pierwsza to jest próba głodzenia; kto ją mężnie wytrzyma, ulega drugiej. Po takim trzechdniowym morzeniu, przynoszą mu kapuśniak, w który gęsto wsypano drobnej, mocno solonej ryby. Zgłodniały nie spostrzega się i zjada chciwie tę okropną przyprawę, która go później przez całą dobę piecze strzliwem pragnieniem. Tymczasem stróż więzienny znowu przez dwa lub trzy dni, nie odmyka jego lochu. Zmęczonego głodem, spalonego pragnieniem, bez sił i bez duszy, wywlekają do sali indygacyjnej. Jeżeli więzień w tym stanie, długą męczarnią zbolały, widokiem światła i świeżem powietrzem podrażniony, okaże przy śledztwie niecierpliwosć, która, jak się to najczęściej zdarza, wywoła mu na usta słowo przekleństwa, już według litery prawa ulega karze cielesnej, — a któż wie, gdzie ona się zatrzyma!... Jeżeli zaś przeciwnie tak twardo się stawiał, że wytrzymał głód i pragnienie, a przy śledztwie zaciął usta jak trup, doświadczają na nim próby bezsenności. W lochach moskiewskich nie ma zwykle innego posłania, prócz trochę zgnojonej słomy. Więzień bywały unika tego barłogu, woli raczej pędzić nocie skulony, w kącie, oparty o mur wilgotny. Bo i ta słoma de środków indagacyjnych należy; pełno w niej zjadliwego robactwa. Skoro ktoś skazany jest na próbę bezsenności, głos stróża i przeraźliwe uderzenie w miedzianą zasuwkę drzwi, budzą go przez dwie lub trzy bez przerwy doby. Po czém znowu prowadzą go do sali śledztwa, gdzie za parawanem ukryty generał-gubernator lub innego rodzaju starszy, zawsze przysłuchuje się zeznaniom.

Skutkiem takich kilkuletnich indygacyj, z mnóstwa obwinionych czterej skazani na powieszenie : *Michalski*

starzec siedemdziesięcioletni z Podola, *Maszkiewicz* obywatel z Ukrainy, *Bopre* i *Borowski* uczniowie uniwersytetu kijowskiego; a sześćdziesięciu blisko w katorżnicy roboty, i w pułki orenburskie i kaukazkie. Dla powieszenia skazanych, ponieważ nie było kata w okolicy, najbliższy zdało się sprowadzić go z Berlina. W dzień egzekucyi, mnóstwo ludu kijowskiego zebrało się na placu; ponura cisza i łkanie mówiły o jego społeczcium. Zbiegła także tłumnie młodzież uniwersytecka, chcąc raz jeszcze zobaczyć i pożegnać swych kolegów. Czterej skazani w śmiertelnych koszulach szli mężnie; jeden zaśpiewał *jeszcze Polska nie zginęła*. Przyprawiono ich pod szubienice, zarzucono im stryczki. Po odczytaniu wyroku, ogłoszono łaskę cesarską. Cesarz posyłał ich do kopalń sybirskich *na wieczne czasy!* Wówczas jeden ze skazanych wykrzyknął: «oto łaska moskiewska! wolałbym szubienicę!» Pochwycono go natychmiast, za jednym razem dano mu czterysta kijów, i zbitego, zbroczonego krwią wrzuciwszy na perekładne, powieźli na Sybir!

Znane to są rzeczy; lecz co mniej znane, to owa zewnętrzna a pilnie tajona strona indagacyi, na której właściwie urzędnikom moskiewskim zależy. Bo i oni «*przecież są ludzie*» jak sami oświadczają, i oni nie lubią męczyć bez żadnej korzyści — dla siebie! «*Bud'te spokojni, už my djeto utadim,*» mówi Moskal wzięwszy do rąk pieniądze. Więc ileż to domów zrujnowanych, żubozłałych datkami w gotówce, w srebrach i kosztownościach, które brali Pisarew razem z Bibikowem. A nie po to, aby osłodzić los uwięzionych, albo uwolnić ich od kary, ale aby żonom, matkom i siostram dać choćby wiadomość o życiu nieszczęśliwych, aby do nich przesłać jakieś słowo pociechy, lub aby im dostarczyć trochę odzienia i bielizny, które po drodze — najczęściej ginęły. Nie masz Polki, któraby zatrzymała się przed dobrowolną ruiną majątkową na myśl, że ktoś jój drogi, w więzieniu nieprzyjacielskiem, czeka od niej pomocy.

Więc owe tortury więźniów, ich jęki i rozpacz, owe szlochania błagających kobiet, — dla cara może to na coś potrzebne, — dla czynowników moskiewskich to tylko dochód dający się zgóry przewidzieć. Szczęśliwy policmajster, trzykroć szczęśliwy gubernator, którzy paść potrafią na *takoję prybylnyje djeło!* One były u nas, i będą zawsze złotem dla nich żniwem! Dzisiaj gdybyś przejechał się nad Donem, ujrzałbyś w każdej nieledwie sadybie kozackiej, srebra z polskimi herbami. Gdyby kto przetrząsnął kufry Bibikowa i Pisarewa, znalazłby w nich bogactwa z całej Rusi złupione. I gdyby zwyczaj był ryć herby na brylantach, możebyś poznał polskie brylanty na szyi wielkich dąm moskiewskich!

Zaostrzona nieprawą zdobyczą chciwość ludzka niełatwo daje się zaspokoić. Kiedy brakło istotnych przyczyn do wyciskania ofiary, zaczęto je wymyślać. Z wielu, które już poszły w niepamięć, głośna jest do dziś dnia na Podolu sprawa gubernatora Petrowa z panem R. majętnym tamtych stron obywatelem. Było to w czasie najsroźszych aresztowań, a zatem największej u nas przed emigracją trwogi. Z pomocą urzędnika swojej kancelaryi, gubernator Petrow ułożył list do pana R. jakoby przez emigranta pisany. Pismo to odesłano na granicę, do bióra pocztowego, z poleceniem aby według adresu, przez umyślnego było wyprawione. Czas był tak wyrachowany, że kiedy list miał dojść na miejsce, wysłana przez gubernatora policya chwyciła p. R. na uczynku. Plan w najgorszym razie mógł przynieść całą gotówkę, którą bogaty szlachcic posiadał u siebie. Lecz plan się nie udał, bo posłaniec z listem upiwszy się w drodze, przyszedł za późno. Nie spóźniła się policya; o naznaczonej minucie wpada, przetrząsa wszystkie bióra, szafy i stoliki, zabiera papiery, opieczętowane, i choć nic nie znaleziono, wiezie pana R. do Kamieńca. Traf zdarzył, że w kilka godzin po tym wypadku, jeden z przyjaciół p. R., mający wysokie zna-



czenie u rządu, zajechał do jego dworu. Podczas gdy się rozpytuje domowych, nadchodzi ów posłaniec z listem. Poczęto szukać źródła, i okazało się, że pismo podrzuciła policya. Pan R. wypuszczony po czterotygodniowym więzieniu, dostał najniewinniej order. Gubernatora Petrowa, za niezgrabność i «skompromitowanie się», w tym samym stopniu i urzędzie odesłano do zakaukaskich prowincyj. — Lecz jedna lub więcej policyjnych niezręczności i pomyłek nie zdołały rozstroić Bibikowa. I owszem mógł on cieszyć się i rość w dumę; przeprowadzone śledztwa i aresztowania dały mu sposobność poznać całą prowincyą. W wielu uwięzionych nie dość że ujrzał nierozumienie spisku, do którego ich wciągano, ale nawet niezdolność pojęcia jakiegobądź teoryi politycznej; tak dalece wszelkie usposobienie naukowe było im obcém. Co gorsza, obok zapału i energii małej liczby, wytrwałości ledwo kilku, widział w obywatelach ogólną miękość i niedołężność. Hulaszczoność bałagulska do niczego dobrego nie zaprowadziła, a pozbawiła młodych ludzi wszelkiego hartu. Strach odbierał resztę męztwa najmniej u rządu podejrzanym, i ciż sami obywatele co w wojnie narodowej tak dzielnie walczyli, kilkoma laty później, jakże niepodobnymi byli do dawnych żołnierzy!

Tryumfy zbierał Moskal! Wypasiony kradzieżą, spoldony gwałtami, rozpustą znikczemniony, jednak z pogardą patrzył na całą społeczność polską. Przed samemi wyborami przyjechał on do Kamieńca, ażeby zobaczyć zgromadzoną szlachtę. Przyjął ich w surducie, nie kryjąc swego lekceważenia i odezwał się z mową tryumfującą i pełną nadętości. Wyliczał dobrodziejstwa, które dla kraju wyświadczył. «Młodzież wasza, rzeczce, nie miała się gdzie uczyć i nic nie umiała; jam dla niej wyrobił uniwersytet. Do grona szlachty należeli pierwój furmani i lokaje; wahałem się często komu z was podać rękę. Dziś za wpływem moim poniszczono papiery

tego hultajstwa, i dziś śmiało w każdym z was mogę uznać szlachcica. Wyrzutki waszego społeczeństwa, wkradłszy się tu napowrót z zagranicy, wciągnęli wielu do spisku, który miał na celu zniszczenie was, szlachty. Jam was ocalił, kilku zbrodniarzy ukarałem i ochroniłem kraj od zarazy. Za te dobrodziejstwa, powinniście być wdzięczni temu, którego czci i sławi sześćdziesiąt milionów ludności!» — Odtąd jak zuchwalstwo, tak bezprawia Bibikowa nie miały granic. Poniewierał wszystkimi, wkładał się w najskrytsze domowe sekreta, rozpowiadał je z szyderstwem, wysmiewał tych, od których brał pieniądze. Rozszerzyło się około r. 1845 mniemanie, że będą wydane nowe ustawy o stosunku włościańskim, w skutku których własność gruntowa obywateli miała być zakwestyonowaną. Korzystając z popłochu, Bibikow rozsyła na cały kraj agentów, którzy zniepokojonej szlachcie podsuwają myśl, że wszechwładny gubernator może zakłść tę burzę, jeżeli — obywatele złożą mu po rublu z duszy. Była to sieć zarzucona na parę milionów rubli. Ale połów znowu się nie udał, przynajmniej nie na takie jak zamierzano rozmiary, skutkiem zbytnej gorliwości służby gubernatorskiej. Przejęci wielkością misji swjej agencji, nie wahali się zebranemu obywatelstwu przekładać niezbędną potrzebę wymaganęj kontrybucyi, — wobec jenerała Gejsmara, adjutanta cesarskiego! Czy skutkiem zaprzeczenia Gejsmara, czy też dla tego że cesarz został zawiadomiony, dość że projekt Bibikowa poszedł w zapomnienie.

Zachodzi pytanie, czyli cesarz Mikołaj, mimo okrucieństwa i zaciekłości, jaką czuł ku rodowi polskiemu, mógł jednak pobłażać tyłom nadużyć i podłości? Wiedział on o niektórych, może nie o wszystkich. Przypisywał je zapewne bardziej Pisarewowi i kancelaryi gubernatorskiej niżli samemu namiestnikowi; drobne przestępstwa tolerować musiał. Wreszcie, do czegoż

zmierzały te bezprawia? do zubożenia Polaków! Zubożyć i poniżyć Polskę, czy w ten, czy w inny sposób, było i musi być zadaniem każdego cesarza wszech Rosyi. A i to trzeba dodać, że Bibikow do tyłu wspomnianych przymiotów, łączył zrzęcnosć niepospolitą w odwracaniu gromów, które przeciw niemu zawistni rywale wywoływali. Każdy satrapa moskiewski, zajmujący ważne na prowincyi stanowisko, otoczony jest wprawdzie szpiegami rządowymi, ale i ze swój strony ma policyą i swoich agentów w Petersburgu, którzy śledzą każdy ruch ministra, pilnują każdej audyencyi u cesarza, i nietylko ważniejsze zdarzenia, ale najmniejsze plotki zwykli naczelnikowi donosić. Takich szpiegów miał zawsze książę Konstanty; takich mieli Paskiewicz, Woroncow, Bibikow i niemal każdy mały carzyk, który panował lub panuje w Polsce, w Sybirze, w Orenburgu lub za Kaukazem. Skoro Bibikow spostrzegął, że się zanosi na burzę, zaraz wyrabiał sobie pozwolenie jechania do Petersburga. Z pierwszój audyencyi u dworu rozpoznawał stan swoich interesów. Jeżeli carskie oko było pochmurne, Bibikow milczał, wzdychał i kłaniał się pokornie, czekając aż wróci wiosna łaski cesarskiej. Tymczasem pozostawiona na Rusi służba, biegała zdyszana po wszystkich kątach kraju, aby pochwycić choćby najbłahszy wypadek i podnieść go do ważności sprawy stanu. Jakby nieprzyjaciel jaki ukazał się od morza, przybiegały w cwał kuryery z raportami; Bibikow śmiało z podniesioną głową, żąda nadzwyczajnej audyencyi u cesarza. Umiał on zawsze tak przemówić do duszy Mikołaja, tak go nastraszyć duchem buntowniczym naszych prowincyj, tak swoją czujność, sprężystosć i energią przedstawić, że car o jego geniuszu administracyjnym przekonany, łaskawie podawał mu rękę, przypuszczał do swój poufałosci i w ciągu dwudziestu czterech godzin rozkazywał wracać do kraju, który bez jego oka bacznego obejść się nie może! Jeżeli



zaś zaskarżenia były tak potężne i niełaska już tak wielka, że mu odmawiano przyjazdu do Petersburga, nawet dla usprawiedliwienia się, Bibikow wysyłał raport, który zwykle od tych słów zaczynał się: «Więrołomnyje i lehkamyslnyje Palaki opiat' zatiejewajut' swai bezradsudnyje zamysły...» Tego rodzaju groźba niechybnie skutkowałą, i skoro cesarz odczytał pismo, wnet wszystko było zapomniane, wszystko naprawione: Bibikow stał mocniej niż kiedykolwiek. Znaną jest historia owęj akuszerki w Kijowie, którą spotkał nieposłędni zaszczyt ocalenia kariery *Jeho Wysoko Prewoshoditelstwa*. Była to Moskiewka, wychowana w zakładzie imperatorowęj, a to wystarczało, aby jęj nie lubili studenci i wistocie pewnego razu dopuścili się względem nięj dość pustęj swawoli. Zaniesiona skarga do generał-gubernatora, posłużyła za przedmiot do wysłanego w teże chwili raportu. W nim Bibikow przedstawił wymownie, jako młodzież polska stara się dyskredytować wszystko co rząd ustanowi, jako w osobie akuszerki ubliżono czci imperatorowęj, bo z jęj dobroczynnej opieki i pieczołowitości, zrobiono sobie «nepazwelitelnoju i dierzkoju szutku.» Szczęściem dla Rossyi i dla cesarza, generał-gubernator był na miejscu!

Ale dość tych bolesnych anekdot. Bibikow rządził, aż do ostatnich czasów i byłby został przy władzy po dziś dzień, gdyby go długa bezkarność nierozzuchwalila, i gdyby nie był zapomniął, że nie jest carem, ale carskiem narzędziem. Usunięto go, lecz jego epoka będzie na długo pamiętna. Wśród nieszczęść pamiętnych, wobec bezprawioów i urągań moskiewskich, obudzili się nakoniec, opamiętali nieledwie wszyscy. Spostrzegli ojcowie rodzin, że walka z Rossyą nie może być inaczej prowadzoną jak przez ludzi wykształconych i roztropnych. Nieuków i rozpustnych Moskał prędko zponiewiera i z łatwością zgnębi. Pewnego razu Bibikow wyjeżdżając do Petersburga, zwołał młodzież do auli

uniwersyteckiej i w te słowa do nich przemówił: «Praszajcie i wiedcie siebia choroszo! Pod etim słowom nedumajcie szto b ja wam zaprieszczał inogda poweselit'sia, pokutit'! Ne bolszaja bieda; i ja buł mołod, kutił i z riumkoju i z diewkoju!» — Te słowa moskiewskiego jenerała, jednego z najzaciętszych Ojczyzny naszéj nieprzyjaciół, były dla młodzieży polskiej stanowczém upomnieniem. Duch poważniejszy, uczucia głębsze i myśli zdrowsze wstępować zaczęły w młode pokolenie. Zbyt często w ignorancyi swój upokarzane, wzięło się do nauki. Leży w charakterze moskiewskim upijać się, grać w karty i rozpustować; młodzieży polskiej więc przystało wieść życie twarde, surowe i pracowite! — A tak, raz jeden więcej, srogie klęski narodu i rozbudzone niemi patryotyczne uczucie, uratowały naszą przyszłość.

#### IV

##### WYCHOWANIE W ZAKŁADACH ROSSYJSKICH.

31 października.

Rozpocząłem opowiadanie moje od chwili, w której rządy Nowosilcowa objawiły się po raz pierwszy w składzie naszych profesorów. Były to jeszcze złote czasy w porównaniu z tą epoką systematycznego ogłupiania młodzieży polskiej, która po wojnie r. 1831 zaczęła się i o której teraz chcę mówić. Znikły Wilno i Krzemieniec; na Rusi pozostało gimnazjum winnickie pod dyrektrem Fowickim sprowadzonym z tajnego bióra ks. Konstantego. Fowicki z rasy popowiczów, z téj rasy najbardziej nienawistnej Polakom, pierwszą u nas czynił próbę, jak dzieci polskie psuć i zmieniać w Moskali. Na

profesorów do gymnazyum, zwleczono ze wszystkich gubernij odstawnych urzędników biór i policyi moskiewskiej. Pozostałym niektórym dawnym nauczycielom rozkazano wykładać w niezrozumiałym dla nich języku rosyjskim; jednę tylko religii dozwolono uczyć po polsku. Z chciwością wzięły się dzieci do nauki katechizmu i historii świętej, jedynych przedmiotów, które im przypominały, że są jeszcze Polakami. Ksiądz kapelan zawsze był słuchany z najpilniejszą uwagą, stawał się ojcem i prawdziwym dyrektorem młodzieży szkolnej. Ci profesorowie, którzy nie mogąc podołać trudnościom rosyjskiego wykładu, w ciągu lekcyi, zniecierpliwieni, zaczęli mówić po polsku, zjednywali sobie podobnież gorące sympatye młodych, i tych przedmiotów najlepij się uczono. Nie uszło to uwagi rządu. Zrozumiał on, że kilka godzin szkolnych w ciągu dnia, nie mogło wystarczyć do zmoskwiczenia młodzieży polskiej. Należało zatem wyrwać ją z pod wpływu stosunków polskich, zamknąć ją w murach rządowych, odgradzić od życia rodzinnego, od uścisków sióstr i matek! Założono przy wszystkich gymnazyach i uniwersytetach konwikty (*zakryte pensye*), rodzaj koszar w których uczniowie mieli służyć, mieszkanie, ubiór i naukę, w których można ich było dopilnować aby nie rozmawiali, nie szeptali, nie modlili się po polsku, i z których tylko w rzadkie, bardzo uroczyste święta wolno im było do rodziców wydalac się. Otworzono więc te Cyrcejskie jaskinie!.. Bo gdybyż jeszcze te konwikty miały na celu tylko wytepienie mowy polskiej. Ale zaludnione do połowy młodzieżą moskiewską, urządzone z najprzewrotniejszém wyrafinowaniem, stały się ścięciem kału i zarazy, które zbrudzić miały cały naród polski.—Słowa *zylit* i *kutit* są tylko językowi rosyjskiemu właściwe. *Zylit* znaczy szarpnięcie się na własność publiczną; *kutit* wyobraża wszelką rozpustę i łotrstwo. Te dwa przecieź słowa możnaby wziąć za dewizę herbową rosyjskich naukowych zakła-



dów; one wskazują dwa kierunki, któremi rząd rossyjski młodzież polską chciał prowadzić.

Postanowiono ukazem cesarskim, że młodzież której rodzice oddaleni są od miasta gymnazyjalnego, jeśli chce chodzić do szkół, musi wstępować do konwiktów. Konwikty są trojakié : uniwersyteckie, korpuśne i gymnazyjalne. Ich naczelnikami są zwykle wysłużeni majorowie i pułkownicy. Ci, przyzwyczajeni przez całe życie do surowej, możnaby rzec barbarzyńskiej karności, wiedzą tylko o jednej zasadzie pedagogicznej : gromić i wymyślać dzień cały. Nigdy do dzieci nie przemówi dyrektor słowem łagodnym, nigdy nie odezwie się do ich uczucia honoru i do instynktów szlchetnych; wciąż prawi im o posłuszeństwie, o formie, o carze, i od pierwszej do ostatniej chwili, tego ich tylko uczy, jak drzeć « przed naczalstwom » i skarbić sobie jego fawory. Od małości chłopiec skrępowany formą, nieledwie zaszyty w mundur, musi wyteżać całą swą uwagę na guziki, haftki i włosy, bo w razie przekroczenia czeka go kara cielesna lub odjęcie żywności. We wszystkich konwiktach zaprowadzone są musztry; dzieci ustawione w szeregu uczą się jak stawiać krok i salutować, jak słuchać trąbki lub bębna; bo na głos bębna idą do nauki i na zabawę, do jedzenia i na spoczynek, do modlitwy i na musztrę. Po musztrze, tańcu i tym podobnych zajęciach, na przygotowanie się do lekcji nie może zostać młodemu więcej czasu nad dwie godziny; a ktoby się powążył pracować dłużej od innych przy świecy, naraża się na ciężką odpowiedzialność. W ten sposób młody, zajęty dzień cały formą i drobnostkami, odwyka od poważniejszego myślenia; ani uczucie silniejsze, ani prawda niewzruszona nie zagnieżdżą się w jego duszy, i wszystko wedle tego, gdzie się mówi lub do kogo się mówi, staje się prawdą lub fałszem. Wobec arbitralności dyrektora żadnym prawem nieograniczonej, wyradza się w sercu dziecka chytrałość, znika śmiałość i energia, ustaje wszelka

pewność siebie i wola; wszczepia się w końcu mniemanie, że jedynym celem życia jest osiągnięcie miejsca, z któregooby można tak samo łąać i gromić, jak gromił dyrektor. A iżby dojść do tego szczytu szczęścia, na mało przyda się praca, mało nauka i zdolności, najmniej sprawiedliwość; wszystkiem jest łaska starszego, i to czem ją sobie zaskarbić można. Lecz nie dość na tém. Rządowi rossyjskiemu należy się sława, iż stworzył w swoich zakładach pewien rodzaj dozoru, o którym jak dotąd w historii nie słyszano, tak też o nim bez zadrzenia słyszeć nie podobna. W każdym zakładzie, dla bezpośredniego nad dziećmi dozoru, znajduje się kilkunastu lub kilkudziesięciu *djatków*, to jest starych kaprali i podoficerów, ludzi grubych, pospolitych i zazwyczaj z najgorszymi przywarami. Po lekcyi już przez resztę dnia i przez noc całą *djotka* czuwa nad dziećmi; muszą być dla niego z uszanowaniem i wykonywać jego rozkazy. Młody chłopiec, choć gardzi nieokrzesanym a często obrzydliwym dozorcą, bać się go jednak i słuchać musi; *djotka* ma w ręku tysiące sposobów dokuczania, i nie innego dzieciom nie zostaje, jak okupić się pieniędzmi. Wówczas rola się zmienia; z twardego i opryskliwego żołdaka, robi się sprytny, usłużny i zepsuty lokaj. Psoty i figle młodzieży swoją powagą zasłoni; jeśli potrzeba, pójdzie sam poszukać kart do grania, kupi tytoniu i pokaże jak go palić, malców zaprawi do wódki, nareszcie wdawszy się w rozmowę, wyuczy tego o czem strach pomyśleć. Dzieci śpiją razem, i gdy podrosną, każdy Moskal dobiera sobie w swym koledze, byle twarzy niewieściój, kochankę. Ponawiają się sprośności rzymskich i byzanczkich czasów. Swetoniusz opisuje pewne *koła tańczące* młodych chłopców, których widokiem radował się piekielny Tyberyusz; w korpusie paziów, w Petersburgu, zdarzało się, że młodzież bawiła się w podobne tany, a przypatrując się im i od śmiechu biorąc się za boki,

przyklaskiwało grono dozorców!... W takich to zakładach rząd rossyjski przysposabia swoją młodzież; wydrze jej wszelką godność moralną, wszelką siłę ducha ztoczy jak robactwo zepsuciem, i na wiernych poddanych wychowa! Lecz cóż się dzieje z młodzieżą polską? Postawiona wobec rossyjskiej, ma nieustannie przed oczyma obrazy rażące jej godność człowieczą i uczucie narodowe. Wielu słabszych upada; ale za to indywidualia, które wyszły cało z tego czyścica, odbierały razem z nauką hartowne doświadczenie. Zawsze to jednak straszna loterya; młody Polak wchodząc do konwiktów rossyjskich, musi od razu żyć nie dziecka życiem, lecz młodzieńca skończonego. Każde uczucie gorętsze, myśl każda wznioślejsza, instykt szachetniejszy zwracały na niego uwagę zwierzchników i budziły podejrzenie. Od małości, co dnia, rozwiązywać musieliśmy najtrudniejszy problem ewangeliczny: bądźcie czystymi jako gołębie, a roztroprnymi jako węże!..

Po skończeniu szkół, z konwiktów gymnazyalnych młody, o ile na koszcie skarbowym zostaje, przechodzi do konwiktów uniwersyteckich. Jednych i drugich cechą jest powierzchowny komfort, wyborne na pozór urządzenie, i porządne ubranie młodzieży. Kto zwiedza te zakłady, znajdzie w nich zdrowe i obfite pożywienie. Ale bo nie masz wizyty lub inspekcji, o którychby dyrektor moskiewski nie był wcześniej zawiadominy. Przez rok cały, wszyscy naczelnicy zakładu spekulują na summach, które rząd dla instytutu przeznacza. Dyrektor, ekonom i cała zgraja przynależnej służby, każdy w swym zakresie obdziera rząd i zakład; i taka tu panuje atmosfera kradzieży, że pod jej wpływem, młody wprawia się zawczasu jak urywać grosz publiczny. Ukraść książkę do biblioteki konwiktu należąca lub wydrzeć z niej choćby rycinę, ściągnąć coś ze stołu i na czém się uda oszukać zakład, to u młodzieży rossyjskiej za dowód zręczności bywa uważane. Lecz gdy nadejdzie wiado-



mość, że jakiś starszy ma odbyć rewizyą instytutu, wnet wszystko przybiera pozór świąteczny; dzieci myją, czeszą, ubierają w najlepsze odzienie i bieliznę, zastawiają stoły doskonałym jedzeniem. Wchodzi naczelnik i — bez umowy, bez porozumienia się, wszystkie twarze, gesta i słowa, najstarszych i najmłodszych, profesorów i młodzieży, składają się razem do odgrania potrzebnej komedii. Naczelnik kosztuje jadła i pyta uczniów czy są zadowolnieni z objadów? « *Oczen dowolno, Wasze Wysokorodje* » chórem odpowiadają malcy. Smotr się odbył jak najlepiej i wszyscy kontenci! Tak to natura obdarzyła Moskali, od dzieciństwa, instynktem kłamania.

W konwiktach uniwersyteckich bywa podobnie po dwieście i więcej uczniów, między którymi jest zawsze kilkudziesięciu Polaków. Wszyscy sypiają razem; ale w ciągu dnia i aż do godziny spoczynku, obowiązani są zostawać w salach przeznaczonych do nauki. Przy salach są kurytarze, po których przechadzający się podinspektorowie, zawsze przez szklanne drzwi widzą czém młodzież zajmuje się. Nie wolno uczniom nawet przy pracy zdjąć munduru; ale byle w mundurze, wolno im głośno rozmawiać, wolno śpiewać, grać na instrumencie, wolno nawet grać w karty. Jeśli młody wieczorem na mieście upije się, byleby wróciwszy do konwiktu zawłókł się do łóżka swego bez hałasu, nie ulega żadnej karze. W salach do pracy mieści się po ośmiu do dziesięciu uczniów, każdy ma dla siebie eleganckie biórko i krzesło; lecz w każdej sali wszystkie fakultety uniwersyteckie muszą być reprezentowane, w każdej zatem znajduje się trzech np. medyków, dwóch prawników, dwóch literatów i dwóch matematyków. Uczniowie medycyny napracowawszy się dzień cały po szpitalach i gabinetach, wieczory przeznaczają na odpoczynek i zabawę. Kiedy więc reszta studentów po dziennych kursach, zabiera się wieczorem do pracy, uczniowie

medycyny zaczynają się bawić w najlepsze. Na skargi i reklamacje chcących pracować studentów, inspektor odpowiada najspokojniej : idźcie gdzie chcecie. Wycho-  
dzą więc, a władza nie pyta gdzie przepędzili wieczór, byleby skandalu nie było. Drobnym ten szczegół wiele zdaje się mówić o systemie rosyjskim.

We wszystkich uniwersytetach rosyjskich znajduje się pewna liczba młodzieży polskiej, ale rząd najchętniej wysyłał ją do moskiewskiego. Tymczasem uniwersytet moskiewski, za wpływem kuratora Strogonowa, jednego z nader rzadkich Moskali lubiących naukę, przybierać zaczął zwolna i bez wiedzy rządu, kształt i kierunek wyższych zakładów europejskich, zwłaszcza niemieckich. Wkradła się więc pewna swoboda, w gruncie bardzo niewinna, ale od prawdziwej nauki nieodłączna. Spozstrzegł to cesarz Mikołaj i tak bardzo się przestraszył, że postanowił uniwersytet moskiewski całkiem zreformować i przejąć go napowrót duchem militarnym. W tym celu odwoławszy Strogonowa, zamianował kuratorem Nazimowa swojego adjutanta. Nazimow, wcale niezły człowiek, w rosyjskiej hierarchii przedstawia ideał skończonego podoficera. Nikt go nie przejdzie w znajomości musztry, nikt mu nie zrówna w nauce mundurów, guzików, rękawiczek i wszelkich subtelności formy. Był on tak uczony w formie, że cesarz Mikołaj powierzył mu wykształcenie najstarszego syna swego, dzisiejszego cesarza Alexandra, w nauce stawiania kroku, czyli jak Moskale mówią «w szagistyce.» Przybywszy do Moskwy, Nazimow wziął się rażno do dzieła. Jak to jest zwyczajem, oprowadzano go po wszystkich zakładach uniwersyteckich, a ta rewizya dała wyobrażenie o stopniu wykształcenia nowego kuratora. Wszedłszy do jednej z sal, gdzie się znajdował skład roślin zasuszonych, i dowiedziawszy się, że to jest herbarium, kazał sobie pokazać herb gubernii nowgorodzkiej, zkąd jeśli się nie mylę był rodem.

W ogrodzie botanicznym, zgorszył się nieregularnością w rozsadzeniu drzew. Tłumaczono mu, że są ułożone porządkiem naukowym, według klas i gatunków; «*wsio rawno*, odpowiedział, *forma wieździe dołżna byt' soblu-diennaja*, » i kazał wszystkie drzewa według ich wysokości na nowo poustawiać. Nie podobał mu się w bibliotece porządek systematyczny; polecił wszystkie książki ułożyć według formatu i według koloru i rodzaju oprawy. Tak urządziwszy zakłady naukowe, całą swoją energią przeniósł na studentów. Wprowadził w ruch wojskowy szwalnie założone przy uniwersytecie; wnet znikły stare mundury, wszyscy nowe, uszyte po formie, przywdziać musieli. Zabronił uczniom czapek; wróciły trojgraniaste kapelusze, których nawet w zimie nie wolno było porzucać. Wszystkim polecił przypiąć szpady, zakazał najsurowiej długich włosów, i włożył na inspektorów obowiązek, aby strzegli uczniów od noszenia wąsów i faworytów. Karał bez litości akademika, jeśli go schwytano na ulicy w rozpiętym mundurze; z wielką czujnością i przymysłem urządził wyprawy policyi uniwersyteckiej za studentami, którym brakować mogło guzika, lub haftki u kołnierza. Dla wszczępienia w serca młodzieży «*zdrowych i zbawiennych zasad formy*, » urządził co niedziela musztry i rewie uniwersyteckie. Każdą niedzieli, po nabożeństwie, jeden fakultet występował w auli, w pełnej formie. Zajeżdżał Nazimow z wielką okazałością, z gwiazdami, szlifami, akselbantami i w licznym orszaku. Rozkazywał stanąć uczniom w szeregu, i gdy to zrobiono, chodził przed frontem, oglądał twarze i mundury, uczniom posuwał lub przysuwał nogi, wyciągał lub podnosił ręce. Nareszcie wracał na środek sali, a wtedy każdy uczeń, kolejno, wystąpiwszy z szeregu krokiem mierzonym i do taktu, zbliżał się do Nazimowa, stawał, salutował i przeszedłszy zatrzymał się na drugim końcu sali, nowy szereg formując. Taki manewr w ciągu jednej musztry



powtarzał się kilkakrotnie, tylko Nazimów przerywał go na chwilę mowami, w których rozprawiając patetycznie o formie, często aż do szczytności podnosił się. «Panie, mówił on, forma jest rzeczą główną, forma jest treścią wszelkiej służby, podstawą każdego państwa. Ja na naukach się nie rozumiem, mądrości was nie wyuczę; ale zareczam wam, że nie ma nikogo w Rosyi, coby znał formę lepiej odemnie.» — Już Nazimow rozumiał, że w rok swego zarządu postawił uniwersytet, jak tylko można było żądać, kiedy wypadek zaszył w Charkowie, zmieszał jego pojęcia i wprowadził go w nieopisaną trwogę. Wiadomo że cesarz Mikołaj nie mógł ścierpieć, aby ktoś patrzył na niego śmiałym wzrokiem. Podczas rewii uniwersyteckiej w Charkowie, trafiło się właśnie, że cesarz ujrzał pewnego ucznia z podniesioną czupryną, i jak mu się zdawało z wyzywającym wejrzeniem. Przyskoczywszy do niego zapyrzony krzyknął: *Kto ty, Palak?* Powiększył się gniew jego, kiedy się dowiedział, że ten uczeń był rodem Moskal. Kazał go natychmiast zaprowadzić na odwach i ogolić mu głowę; inspektora głównego zamknął do kozy, i przy tej okazji około czterdziestu uczniów wypędził z uniwersytetu. Skoro ta wiadomość doszła do Moskwy, Nazimow nie spuszczając nic z rygoru mundurowego, postanowił zreformować twarze i wejrzenia studentów. Była to zaiste praca olbrzymia, i któż wypowie, ile ona kosztowała trosk, długich narad i nocy bezsennych! Odtąd Nazimow przestrzegał, aby na musztrach uczniowie spuszczali w dół oczy. Inspektorowie goniąc za studentami, mieli rozkaz wołania: *Gospada, głaza po formie! Pomnite, szto by wyrażenie waszego lica było priliczno.* »

Każdy uniwersytet i każdy okrąg naukowy w Rosyi ma swojego Nazimowa. To też przyznać potrzeba, że cesarz Mikołaj znał doskonale naturę swego ludu. Kto na własne oczy nie widział, ten nie uwierzy jaki wpływ

magiczny na Moskali wywiera ta śmieszna cześć formy. Raz do niej wdrożeni, zostają jój niewolnikami i na zawsze tracą swoją indywidualność. Z Polakami rzecz się ma inaczej; młodzież drażniona nieustannie drobnostkami, każdej godziny i na każdym miejscu, znajduje nową podniechęć do nienawiści wszystkiego co jest rosyjskie.

Po zniesieniu dwóch ostatnich wydziałów akademickich w Wilnie, młodzież polska naprzód do Moskwy jeździć poczęła. W pierwszych latach wszystkie cztery wydziały jednak były obsadzone, później jednak wzrosła liczba medyków. Przyczyną tego był ukaz cesarski, który zmuszał wszystkich synów obywatelskich w prowincjach zachodnich wchodzić do służby w guberniach wielkorosyjskich, a sami tylko lekarze uwolnieni byli od pobytu w głębi Rosyi. Ztąd na trzystu pięćdziesięciu studentów polskich w uniwersytecie moskiewskim, dwustu kilkudziesięciu poświęca się medycynie. Wszyscy uczniowie polscy, jakiegokolwiek wydziału, mieszkaają w Moskwie na dwóch przedmieściach: *Kozicha* i *Truba*; tworzą odrębną kolonią, żyją sami z sobą i do towarzystw moskiewskich wcale się nie mieszają. Ta tradycya odosobnienia jest tak wkorzenioną, że wieloletnie usiłowania studentów moskiewskich, aby z Polakami wejść w stosunki, bynajmniej się nie udawały. Tém silniejszy za to jest węzeł łączący Polaków, każdy przyjeżdżający do Moskwy uczeń polski, wchodzi od razu w ogólne polskie towarzystwo; bogatsi i ubożsi jednak mieszkają, razem stołują się, i życie jednego podobne jest do wszystkich. Nie grają w karty, wystrzegają się rozpusty, a jeśli między nimi zdarzą się tacy, co puszczą się na złe życie (jest ich kilku co rok), ci choć ich nikt z polskiego towarzystwa nie wyłącza sami odstępują, i między Moskalami szukają przyjaciół. W ogólności, młodzież polska w Moskwie prowadzi się moralnie, jest patriotyczna i pracowita. Kierunek jój

naukowy jest niemiecki; w ostatnich latach wpływ niektórych francuzkich autorów, mianowicie Micheleta, stał się przeważnym. Jedno wszakże tój młodzieży zarzucić można i trzeba. Postawieni w samym środku cesarstwa, znając doskonale naturę i charakter narodu moskiewskiego, uczniowie polscy powinni by lepiej rozumieć tę solidarność, która istnieje między nami a sprawą Kościoła katolickiego w Rossyi. Tymczasem tój łączności nie zdają się spostrzegać, i owszem z duchowieństwem katolickim żyją w niezgodzie. Kto niezgody jest przyczyną, nie wchodzę; dość, że władze rossyjskie korzystają ze sporów, chwytają je z chciwością i protekcyą oficjalną jeszcze bardziej zaostrażają. — Całkiem inną cechę nosi na sobie młodzież polska w Petersburgu, bo też życie w tój stolicy ma nierównie więcej ponęty i barwy europejskiej niż w Moskwie. Tu jest siedlisko cudzoziemców, mianowicie Niemców kurlandzkich, których grunt, przy oglądzie powierzchownej, taki jeżeli nie gorszy jak u Moskali. Studenci uczęszczają na zabawy publiczne, bywają w domach i towarzystwach rossyjskich. Pożerają belletrystykę francuzką, pilnie zajmują się teatrem i operą; od Rossyan przejmują tę fałszywą cywilizacyą, która blichrem jest i nędzną pozłotą. Na oko patryoci i katolicy, przed światem przyznają się głośno do uczuć religijnych i narodowych, ale ich dusze już w części zamroziło zimno rossyjskiego społeczeństwa. Młodzież petersburska chociaż pochodząca z Królestwa, z ochotą zostaje w służbie w stolicy; przed rangą, orderem i wysoką posadą gaśnie płomień ich narodowego uczucia. Takim jest ogół. Ale trafiają się indywidualia z wrodzonym silnym charakterem, które pomimo świecących ułud, pozostają wiernymi czci i imieniowi Polaka. Ci, znajdując w Petersburgu więcej niżli w całej Polsce środków do nauki, dochodzą nieraz znakomitych rezultatów, i jeżeli nadal potrafią się oprzeć pokusom zyskownego umieszczenia się, jeszcze z nich



naród nasz odniesie pociechę. Bodajby tylko w Petersburgu wpływ domów polskich na młodzież był lepszym! — Porównywając te dwa uniwersytety spostrzedz można, że w Moskwie charakter wyżej się kształci, młodzież wychodzi twarda i silna, wynosi długie przywiązanie do wspomnień szkolnych, i pomimo rubaszności, którą nie jeden odstręcza, dochowuje czystości i niewinności serca. Ale młodzież ta nie wydała dotąd żadnej celniejszej głowy. Z petersburskich uczniów kilku jest niepospolitych, ogół bardzo słaby. Złą mają w Polsce opinią, rażą powierzchownością wyszukaną i nawykniem do form moskiewskich. — Do uniwersytetu dorpackiego cesarz Mikołaj, niedługo po wojnie, zabronił wstępu uczniom polskim, szczególnie też z prowincyj zabranych. Przebywało w nim kilkudziesięciu z Królestwa, i ci ulegli całkiem wpływowi burszostwa niemieckiego, które w Dorpacie przechowało się ze wszystkimi tradycjami pijatyki, hulanki i życia knajpowego. Na wyścigi piją nasi z Niemcami; ich patriotyzm po dawnemu huczny, w słowach i piosnkach wybują, do pracy i rozwagi ma wstręt nieprzewyciężony. W Dorpacie, na ziemi niemieckiej, policya jest łagodną, bo ona we wszystkich uniwersytetach rossyjskich tych tylko ściga i podejrzeniem swém dręczy, którzy wystrzegają się kart i rozpusty.

Wróćmy teraz na Ruś i do uniwersytetu kijowskiego. Kijów sprawiedliwie może nazwać się Rzymem słowiańskim; leży on na pograniczu trzech słowiańskich narodowości: polskiej, moskiewskiej i małorossyjskiej. Wspaniały jest widok tego miasta wznoszącego się na kilkunastu pagórkach. Od północy, na dolinie rozkłada się stare miasto, handlowne, mające swój typ osobny i ludność odrębną, bo mieszczanin kijowski, ani do polskiego, ani do rossyjskiego nie jest podobnym. Ta część miasta zowie się Padół. Od południa, na wysokości górze zbudowano fortecę, i w niej zamieszczono wszystko

cokolwiek przemoc rossyjska zgromadzić mogła, dla zatrzymania w swych szponach ziemi téj jak najdłużej. Jest to Peczerskie, część miasta moskiewska, a sercem jego Ławra czyli katedra schyzmatycka. Około fortecy, ogrody z drewnianými domkami, przeznaczonými na to aby poszły w perzynę za pierwszym z twierdzy wystrzałem. Moskale nie osiedlają się tu, nie budują gmachów murowanych, bo przecucie im mówi, że kiedy z owéj twierdzy działa grzmieć zaczną, to i władza ich nad tym krajem rozejdzie się w powietrze. Trzeciém miastem, od strony polskiéj, jest Stary Kijów w pobliżu szczątek złotéj bramy, którą swym szczerbcem nazaczył Bolesław. Tu z jednéj strony wznosi się katedra świętéj Zofii, z drugiéj cesarz Mikołaj zbudował wielki gmach uniwersytecki i na starym Kijowie założył osobne miasto narodowości polskiéj, rosnące wraz z młodzieżą polską, która się kształci na tym carskim uniwersytecie.

Dziwne zrządzienia Opatrzności! Najzaciętszy wróg naszéj ojczyzny, najsroższy tyran w historyi nowożytnéj, cesarz Mikołaj cokolwiek uczynił dla wytępienia narodowości naszéj, wszystko na szkodę Rossyi obróciło się. Aby pozbawić nas styczności z oświatą niemiecką, cesarz utrudniał Polakom jeżdżenie do Dopartu. Gdyby nie ta decyzya rządu, możeby pijane burszostwo, które dziś dotknęło ledwo kilkudziesięciu, utworzyło od północy na ziemi naszéj nowy rodzaj bałagulów, tém niebezpieczniejszych że zniemczonych. Chciał Mikołaj, aby młodzież polska zmuszoną była szukać nauki w samém sercu Rossyi, w jéj dawnéj stolicy, w Moskwie. I dokazał swego, bo w moskiewskim uniwersytecie jest polskich uczniów dwa razy więcej niż w dorpackim i petersburskim razem. Tymczasem w owém ognisku staréj Rossyi, uczucie młodzieży polskiéj jest żywe i gorące, wyszli z niéj męczennicy sprawy narodowéj. Nakoniec, lękał się cesarz Mikołaj Wilna i Krzemieńca,

więc zniosłszy polskie zakłady, stworzył uniwersytet kijowski i ocucił ze snu straszliwego od Polski wroga dla Rosyi : demokratyzm małorossyjski.

Na pobrzeżach Dniepru mieszkają dwa narody, które Bóg stworzył na wyobrażenie dwóch sprzecznych zasad. Polacy, których duch i myśl polityczną przechowuje szlachta, są narodem konserwatywnym; Małorossyanie, którzy uczuć swych z żadną nie wiążą przeszłością, gdzie między atamanem a prostym kozakiem, żadnej nie ma i być nie może różnicy, są ludem, w którym myśl demokracji socyalnej zdaje się być wcieloną. Dzieli nas cała przepaść charakteru, przeszłości i dążności politycznych. Polacy chcą utrzymać to co mieli, zaczęm mówi historia i sprawiedliwość; Małorossyanie chcą stworzyć co nigdy nie istniało i do czego niczem prawa nie zyskali. A nie myślcie, aby ich żądania ograniczały się na małym. Granice ich państwa idealnego sięgają rojeń panslawizmu i marzeń Szafarzyka. Karpaty i San, Litwa, Inflanty i Białoruś, aż do granic wielkorossyjskich gubernij, kurską i orłowską przecinając na połowę, dalej na wschód przez Don aż do Wołgi, wreszcie całe wybrzeże morza czarnego, — oto rozciągłość téj ojczyzny, której przeszłością sicz zaporozka i bunt Chmielnickiego, której dźwignią rewolucya socyalna i wytępienie szlachty polskiej, a co będzie jéj celem, to tylko Bogu jednemu wiadomo! Oto co przygotowała sobie Moskwa w zamian szlachetnej narodowości polskiej, którą z taką zajadłością gnębiła i gnębi. Bo nie jest prawdą, aby podobne idee wylęgały się tylko w głowach studentów kijowskich. Młodzież tylko po swojemu wyjawiała uczucia i dążności, które są już widoczne w całej społeczności małorossyjskiej, osobliwie w klasie tak licznej czynowników tego narodu. Małorossyanin nienawidzi Moskala również a może bardziej niż Polaka. Dawne zatargi z Polską już zacierają się w pamięci, zwłaszcza wobec świeżych i



dotkliwych ucisków, i po skasowaniu wielu drogich im praw. Małorossyanin czuje, że dla niego nadchodzi chwila starcia się z Rosyją, i walczy już. Ale ta walka odpowiada ich charakterowi, jest skrytą i wytrwałą jak nasza otwartą i zbyt porywczą. W hierarchii moskiewskiej, korporacya małorossyjska jest tak silną jak Niemców nadbałtyckich a nierównie straszliwszą dla Rossyi. Niemcy wprawdzie nie cierpią panów moskiewskich, ale jedyne zbawienie swoje widzą w rodzinie panującej i są istotnie do niej przywiązani. Małorossyanie przeciwnie; oni równą chowają nienawiść ku rządowi, jak ku arystokracji i ludowi moskiewskiemu. Są przedmiotem pogardy u Moskali i odplacają im z dokładem chytrą; związani z sobą w każdym mieście i we wszystkich biórach rossyjskich, przezorni i skryci, wiedzą o wszystkiém, do wszystkiego należą, a zawsze tylko za swymi trzymają i swoich zapamiętale protegują.

Z ośmiuset uczniów, których liczy uniwersytet kijowski, trzystu jest Małorossyan, przeszło czterystu Polaków, reszta Moskali. Dwa są rodzaje młodzieży polskiej w Kijowie. Jedni, po większej części synowie rodziców uboższych, wiodą życie surowe, kształcą się na ludzi, którzy i sobie w każdym wypadku dadzą radę, i ojczyźnie będą na coś przydatni. Powierzehowność ich, trzeba przyznać, zanadto zaniedbana, mundury wytarte; noszą włosy krótko obcięte i dla tego przewano ich strzyżakami. Drugich, elegancko ubranych, i choć przy mundurze w żółte ustrojonych rękawiczki, z włosami bujnymi i rozczesanymi po wiedeńsku od czoła aż do karku, częściej, niż nad książką lub na lekyi, spotkasz przy bilardzie w *kawiarni angielskiej*, zobaczysz rozłożonych w powozie zaprzęgniętym tęgiemi końmi, posłyszysz szczebiocących i mizdrzących się na wieczorach, balach i w naszym wyższém, jak mówią, towarzystwie. Niezmiernie dbali o płeć swoją i cerę, sma-

rują się kosmetykami, perfumują się mocno, zład trafnie piżmowcami ich nazwano. Nauka ich niewiele warta, a ten czas, który w mieście uniwersyteckim przegawędzą, lub który później przeziwiają w ciągu podróży po obcych krajach, ani im podobno, ani krajowi żadnego pożytku nie przyniesie.

Cokolwiek bądź, znać to i na młodzieży, i na obywatelstwie, że przez ziemię naszą przeszły rządy Bibikowa. Zaczynamy korzystać z krwawej nauki, ale dopiero zaczynamy. Zehodzi z pola (nie można powiedzieć, żeby już zeszło) owe pokolenie wrzaskliwych fanfaronów, którzy wmawiali w siebie, że przez pijatykę i hulankę przysposobią się najlepiej do walki i ofiary za ojczyznę. Ustały gwary jarmarczne, ustaje gra w karty; całe obywatelstwo zdaje się być przejęte potrzebą kształcenia się i nauki. Młodzież stała się poważniejszą i bardziej religijną. Ale nie widać w niej dotąd kierunku naukowego; nie masz pracy wytrwałej i wedle potrzeb publicznych obmyślanej. Jój patryotyzm, jakby świeżo rozbudzony, jeszcze z piosnek i liryzmu w życie codzienne nie przeszedł. Dosyć chętni aby każdej chwili wsiąść na koń, kiedy wsiąść nie można, jeszcze po dawnemu nic inszego dla służby ojczyściej nie widzą. Młódź zacna i szlachetna, pełna zapału i dobrej chęci;— mimo to wszystko, nie weszła dotąd w poczet tych sił, których naród w niewoli potrzebuje, aby wzmódz się, ubezpieczyć się na wszystkie strony i do stanowczej walki uzbroić. Nie zrozumieliśmy dotąd, że dla ludu pognębnego, walka o swe prawa z orężem w ręku, już nie jest ofiarą, ale koroną, nadgroda i szczęściem, któremi Bóg wieńczy trudy i poświęcenia obywatelskie, w ciszy pokoju składane!... W późniejszym liście spróbuję okazać, czem stają się te nasze polityczne niedostatki w praktyce życia codziennego i służby dla kraju.

## V

## O MŁODZIEŻY W ZIEMI RUSKIÉJ.

21 listopada.

Aby szkołę ocenić niedość widzieć nauczyciela, trzeba poznać ucznia. Ma rząd rossyjski swój system nauczania, my także mamy swoją metodę uczenia się. Warto w niej rozpatrzyć się z uwagą.

Od wieków różnili się filozofowie i założyciele religij w naznaczeniu celu istnieniu człowieka. Jedni kazali go szukać w rozwijaniu własnej energii; drudzy wierzą w doskonałość i królestwo boże na ziemi; inni nakoniec twierdzą, żeśmy po to tylko na ten świat przysłani, aby walczyć i cierpieć. Szlachcic polski, zwłaszcza bogatszy, ma sobie właściwe pojęcia o przeznaczeniu człowieczém. Wedle niego, *człowiek* na to jest stworzony, aby na niego *ludzie* pracowali, a on żeby się bawił.

Ta zasada kieruje edukacją i całym życiem większej części naszej zamożnej młodzieży. Kiedy się rodzi szlachcic bogaty, przyjsć na świat w tym samym dniu powinna pewna liczba dusz skazanych, aby z pod stóp jego ciernie i kamienie odsuwać. Wybrany i upodobany od Opatrzności, ma na tój ziemi same tylko prawa i tyle obowiązków, ile ich przyjmie na siebie dobrowolnie. Umysł swobodny i szeroki nie lubi ścieśniać się w pracy regularnej. Podnoszony nieustanną aspiracją do wielkości, pogardza drobnemi zatrudnieniami i czeka na wypaki, które go zrobić mają Napoleónem. Dziecku w powiciu tyle już z Bożej łaski przypisują moralnych i intelektualnych bogactw, że pozostaje tylko ustroić go do festynu, który dla niego sporządzony w tém życiu. I wistocie, dzięki tym przekonaniom i naszej natury



instynktom, wchodzimy na świat ubrani jakby na bal; chociaż na świecie, częściej podobno gra muzyka żałobna niż balowa!...

Bywały czasy, kiedy młodzież bogatsza w Polsce na jednych ławach szkolnych siedziała z dziećmi ubogiej szlachty. W konwiktach księży Pijarów, księży Jezuitów i w szkołach filialnych Akademii krakowskiej rosły i dojrzewały społem całe pokolenia narodu, ze wszystkich jego warstw społecznych złożone. Szedł uboższy, po skończeniu nauk, gdzie go wola rodzica i służba dla chleba prowadziły; jechał bogatszy w świat, aby w zakładach europejskich i przez podróże uzupełnić krajowe wychowanie. Różną była ich pozycja socjalna, odmienny zakres ich działania politycznego, a nawet niejednakim ich stopień wykształcenia; lecz owe lata młodociane, spędzone razem na ławie szkolnej, wyściskały w ich sercu i umyśle pewien typ zbliżony, dawały im pewną zaprawę jednostajną, i zabezpieczały jedność i spójność zbyt rozsypanego i zdecentralizowanego narodu. Dziś inaczej; różnaitość zakładów i odmiennosc systemów edukacyjnych coraz bardziej nas odosabia, coraz mocniej z twarzy naszej ściera typ wspólności, i straszne już miejscami pokazują się znaki rozstroju. Klęsk i te do pewnego stopnia od nas są niezawisłe; ależ godziłoby się przynajmniej złego dobrowolnie nie powiększać. Tymczasem szlachta bogatsza przyjęła u nas jakby za prawo wychowywać dzieci swoje tak, iżby w niczem do reszty narodu nie były podobne. Chroniąc je od zepsucia moskiewskich instytucji, wywożą je za kraj i pielęgnują w sztucznem cieple domowej edukacji. Albowiem nie widzą, że młodzian który nie wzrósł i nie dojrzał między swými i który nie wytrzymał wszystkich przykrości krajowej atmosfery, niełatwo już trafi do owój nici tajemnej łączącej go z narodem, a w żadnym razie nie będzie już zdolnym do życia publicznego u swoich.

Wywożą je z obawy wpływu moskiewskiego i jakichże natomiast szukają szkół? Spójrzycie na owe karawany polskich domów, jeżdżących z dziećmi, służącymi, guwernerami i guwernantkami. Jakby zmylone w swęj drodze stada bocianów, wędrują one ze stolicy do stolicy, od jednych do drugich wód. W tém życiu koczowniczem, ileż to się zmienia zakładów i metod, ilu się wyprobuje nauczycieli? Jakże często moda, kaprys lub chęć zabawy przerywa rozpoczęte nauki, wywraca i zacierą wszystko co kilkumiesięczna lub kilkuletnia postawiła praca. Czyż przy tém wychowaniu pomyślano aby obrać młodemu stały kierunek życia, i na téj drodze w jego sercu i umyśle gromadzić zasoby, któreby z niego jakąś siłę dla kraju przyniosły? Czyż pamiętano, że ów przyszły obszernych włości dziedzic, ma w kraju naszym twarde i wysokie obowiązki; że mieszkać będzie wśród uboższej braci, która ma prawo żądać od niego przykładu, pomocy, inicjatywy; że skazany jest walczyć z rządem nienawistnym, silnym, gwałtownym i w chytrłości swojej nieporównanym? Są u nas panowie, którzy dziś jeszcze mają dobra większe od niejednego księstwa niemieckiego; są insi, których schedy po dwadzieścia i trzydzieści tysięcy dusz wynoszą. Czyliż ich synom nie należy być ukształconymi, jakby ludziom którym powierzone są losy państw; czyż im nie jest konieczną gruntowna nauka prawa, administracyi, finansowości, gospodarstwa, przemysłu, ekonomii politycznej, a przede wszystkim znajomości ludzi, stosunków i potrzeb miejscowych, których nigdy do zbytku wyuczyć się nie można. I jakże tylu wymaganiom odpowiedzieć zdoła zagraniczne, zwłaszcza domowe wychowanie? To też, aby wychować za granicą syna swego na pożytecznego krajowi pracownika, mało kto o to się troszczy; kształcą się te młode latorośle na kosmopolityczne w naszej ziemi pasożyty. Z krajów i narodów, przez które młodzi przejadą, z ogrodu nauk i umiejętności który lekkim

krokiem przebiega, uszczkną sobie po kwiateczku, złożą bukiet, i oto podobno, cała ich zaprawa do życia!

Za przykładem panów koczujących, bogatsza szlachta na Rusi stworzyła także osobną dla siebie metodę pedagogiczną. Naprzód pod okiem guwernerów wychowują swe dzieci, i przysposabiają je do wszystkich klas, albo, jeżeli się da, wprost do uniwersytetu. Przysposobić je zaś nie trudno, bo egzamina odbywają się za pieniądze, a słabość zdrowia uniewinni dłuższe, podczas roku szkolnego, na wsi pozostanie. Lecz że na gymnasium nie wypada poprzestać młodemu szlachcicowi, jedzie on do miasta uniwersyteckiego. Tam nie wybierze sobie specjalnego kursu, nie pójdzie słuchać prawa, filologii lub matematyki, ale wpisze się na wydział nauk przyrodzonych, lub niektóre prelekcje literackie, i zabawiwszy lat parę w uniwersytecie i edukacją swoją ukończywszy, wraca do rodziców. A nie każdy z nich jeździ nawet na uniwersytet; najulubieńszem miejscem ich pobytu bywa Odessa. — Jest u nas strona od całego świata oddalona, która się zowie Pobereżem. Zachodni geografowie nie wiedzą, co to za urodzajność téj ziemi i jaka tam wraz z *arnautką* i kukurudzą rodzi się inteligencja obywateli. Otóż Odessa jestto Paryż pobereżki; zaludniła ją także pewna liczba ukraińskich obywateli, którzy nie mogąc dostać paszportu za granicę, szukali za czasów Bibikowa oddalonego miasta, aby w niem swobodniej odetchnąć. Tym sposobem lyceum odeskie stało się źródłem światła i nauki dla naszej szlachty bogatszej. Młodzież lycealna porównana jest w swych prawach z uniwersytecką, ma czyn dwunastęj klasy, nosi szpady i trójgraniaste kapelusze. Pomimo to, lyceum odeskie należy do najędzniejszych w Rosyi zakładów naukowych; żaden zdolniejszy professor długo w niem nie zabawi, i stara się wszelkiemi sposoby, aby go przeniesiono do jednego z uniwersytetów. Obok lyceum utworzyły się pensye prywatne, których naczelnicy wmawiali w szlachtę, że



oddając do nich dzieci swoje, zabezpieczają im *polskie* wychowanie. Na to słowo czarowne rozwiązywały się worki; tysiąc rs. uważano za najmniejszą opłatę od chłopca na pensyi. Młody niby chodząc na kursa licealne, uczył się w domu przeróżnych umiejętności i talentów, uczył się wszystkich języków na świecie. Bywały tak kunsztownie i zkomplikowane edukacye, że np. od dwóch pp. SS. płacono rocznie sześć tysięcy rs. Za jeden z celniejszych środków pedagogicznych poczytywano teatr. Śpiewały za mojej bytności w Odessie dwie Włoszki: Branbilla i Basseggio; młodzież porwana zapałem artystycznym, podzieliła się na dwie partye: branbillistów i bassedżistów. Obu stronnictwom trzeba oddać sprawiedliwość, że dzielnie swoich *tendencyj* broniły; rycerze delikatniejszych uczuć nosili przy sercu, bo na ramieniu nie było wolno, kolory tych pań.

Nie skończywszy uniwersytetu kijowskiego, albo co gorsza ukończywszy lyceum odeskie, młody panicz wraca na wieś. Za nim jednak wejdzie w poczet obywateli, musi postarać się o przyzwoitą stanowić swemu « kopertę. » Wistocie, nie jestże to upokarzającym dla dziedzica o tysiącu duszach, aby sprawnik miejscowy pisał do niego: *Jeho Błahorodje*, podczas gdy sam ma prawo do adresu: *Jeho Wysoko Błahorodje!* Wypada zatem na najbliższych wyborach zapewnić sobie tytuł i urząd. W roku 1850 byłem świadkiem, jak na wybory w Kamieńcu, przyjechał panicz potrzebujący koperty, końmi pocztowymi, w nowym ekwipażu wiedeńskim, podróżnym. Drugi powóz miejski i konie cugowe prowadzono luźno. Najęto w rynku dom najlepszy jaki był, ale zawsze żydowski; minęły te czasy, kiedy do Kamieńca żydzi nie mieli przystępu. Oczyszczono go jak się dało na prędcie, wybito podłogi dywanami, porozwieszano stare makaty; dwie izby obrócono na kredens, gdzie własne i pożyczone srebra błyszczą szlachecką pychą, bo było ich dużo a niewyczyszczonych. Liberya

przebrana na nowo w białe spodnie i jedwabne pończochy; nie trzeba dodawać, że guziki herbowne wielkością swoją dochodziły potwornych rozmiarów. Zaczął się objad: podano ostrygi, sztrasburskie pasztety, i stare wino węgierskie wychylano szklankami. Po wyjściu dam, połowa gości została pod stołem, ale nazajutrz wziętość i zasługi tak zacnego obywatela urosły do punktu, że już nie o powiatowém, ale o guberskiém mówiono marszałkostwie. W dzień wyborów kandydat literalnie wniesiony był na rękę, i — ledwo co nie przekreskował człowieka poważnego, dawnego kapitana z wojsk polskich, który urzędował przez lat kilkanaście i znajomość służby łączył z charakterem nieposzlakowanym. Za tym ostatnim ujęła się partya, którą jak mówią zapomniano prosić na ów huczny objad. W taki sposób odbywały się wówczas te śmieszne wybory! Ale i dzisiaj, kiedy blizkiém jest ostateczne urządzenie stosunków włościańskich, które kraj nasz tak radykalnie pod względem socyalnym i majątkowym [przemieni, i dziś jeszcze wybory urzędników wywierających na sprawy miejscowe wpływ niezaprzeczony, z niemniejszą jak dawniej dopełniają się lekkomyślnością. Szlachcic mniema, że za kreskę, którą ma prawo rozporządzać, należy mu się przynajmniej parę dobrych objadów. Zatem starsi i rozumniejsi obywatele usuwać się muszą od kandydatury, aby uniknąć współzawodnictwa z człowiekiem, za którym nie przemawia nic, oprócz świeżego pasztetu i omszałej butelki węgryzna.

Wybory a następnie ożenienie panicza, zamykają jego wiek młodzieńczy i wprowadzają go w koło towarzyskie, o którym może później doniosę. Tymczasem spojrzjmy na młodzież uboższą. Jest ona pod wszelkiemi względami wyższą od bogatęj; jest światlejszą, poważniejszą i moralniejszą. Nie oglądając się na sukcesyá rodziców, któraby jęj dozwoliła przepędzić życie w swobodzie i wygodzie, uczy się dla chleba i prawie wyłącznie udaje

się na medycynę. Ta wyłączność jest dla niej i dla kraju prawdziwą klęską. Nasze goubernie potrzebują w każdym zawodzie nie tylko w lekarskim, ludzi specjalnych a nie mają ich wcale. Uniwersytet kijowski, w którym znajduje się osobny wydział nauk przyrodzonych, nie wydał dotąd żadnego agronoma. Do dziś dnia u nas panuje przesąd, że agronomia teoretyczna jest na nic nieprzydatna. Młodzieniec wykształcony na gospodarza, gbyby się przed naszym obywatelstwem wydał, że w zagranicznym instytucie pozyskał patent agronomiczny, pewnoby miejsca nie znalazł. A coraz widoczniej okazuje się potrzeba uczonego gospodarstwa; ziemia wyraźnie wycieńcza się; z wyjątkiem głębokiej Ukrainy i Podola, reszta prowincyj już nie może obejść się bez staranniejszej uprawy. Rzucono się do produkcyi buraków, gdyż kilka większych fabryk cukrowych zapotrzebowało ich w ogromnej liczbie. Ale skutkiem nieznamomości przemysłu cukrowniczego, upadło wiele pomniejszych fabryk; zakłady większe muszą przepłacać cudzoziemców dyrektorów, którzy nieraz bywają przyczyną strat niemiłosiernych. — Podobnie nie mamy inżynierów cywilnych, nie mamy technologów. Na Wołyniu leżą prawie odłogiem niezmierniej obfitości rudy żelaza. Materiał odlany w tamecznych hutach, do żadnych machin służyć nie może; tamtejsze fabryki nie są w stanie dostarczyć ani warsztatów do cukrowni, ani porządnych gospodarczych narzędzi. — Jdźmy dalej. Słynie Wołyn i Podole wielkimi stadami bydła, lecz w całej prowincyi nie ma uczonego weterynarza; ztąd kiedy zdarzy się epidemia, bydło pada tysiącami i kraj traci miliony. Mimo ogromnej produkcyi wełny, znajdują się na Rusi trzy tylko fabryki sukna: Sławucka, Tahaniecka i Steblowska. Cokolwiek one dostarczą, na wszystko znajdzie się pokup; kwitną więc pod względem finansowym, ale produkta ich są mierne. Wszystkie sukna do ubrania służące, pochodzą z zagranicy, jeśli



nie z Królestwa. Wełna bowiem kupiona w Warszawie i przerobiona w Królestwie, daje sukno nietylko lepsze, ale nawet tańsze, niż dostarczone przez fabryki sąsiedzkie Małorossyi, lub istniejące na Wołyniu, gdzie jak np. w okolicach Starego Konstantynowa, chów owiec do pewnej doskonałości został doprowadzony. Nie chcę ja temi porównaniami ubliżać wspomnionym trzem polskim fabrykantom, którzy pierwsi krajowi naszemu dali przykład pracy przemysłowej. Nie wątpię, iżby do zakładów swoich chętnie przyjmowali młodzież posiadającą pewne uzdolnienie fachowe. Ale z kąd jej wziąć, i gdyby nawet była, prędkoby popadła pod klątwę publiczną. My, jak w Indiach wyznawcy Bramanizmu, do dziś dnia myślimy, że oprócz publicznej i wojskowej służby, wszelka inna praca upadła. Nie jedna matka mająca córkę na wydaniu, pewnoby jej odmówiła zdolnemu cukrownikowi lub fabrykantowi sukna, a nie odmówi jej szulerowi z profesyi i jarmarcznemu oszustowi, byleby był szlachcicem i mógł przez całe życie niczém się nie zająć.

Jeszcze jedno spostrzeżenie. Skutkiem ukazania cesarza Mikołaja, który zmuszał szlachtę oddawać dzieci swe, po ukończeniu gimnazyum, do służby rządowej, wiele młodzieży szlacheckiej, szkół nie pokończywszy, wchodziło do pułków. Nie jestem ja bynajmniej z tych, którzy rzucają interdykt na służbę w wojskach nieprzyjacielskich. Zbytecznym nawet sądzę dowodzić, że naród, któryby żywiołu wojskowego wcale u siebie nie miał, lub któryby, jak nasz, z każdym rokiem coraz więcej go utracił, pozbawiony byłby tém samym najpierwszego i najistotniejszego warunku organizacyi politycznej. Ale mniemam, iż młodzież, która chce służyć wojskowo, nie przed ukończeniem nauk, lecz po ich ukończeniu do tej służby wstępować powinna. Wielka bowiem jest różnica w karyerze wojskowej człowieka, który wchodzi do pułku z ukształceniem zaledwo gimnazyalnym,

od tego który skończył nauki wyższe, zwłaszcza teoretyczno-wojskowe. Bo pominąwszy już możliwość szybszego awansu, sądzę że samo wykształcenie naukowe, osobliwie w przedmiotach historycznych i politycznych (wyższemu oficerowi niezbędnych), uchronićby zdołało naszą młodzież wojskową od wynarodowienia się i zabezpieczyć od upadku moralnego, którym wistocie grozi koleżeństwo Moskali. Znajomość głębsza geografii, historyi i nauk politycznych, każdego z nas musi oświecić o naszym własnym stanowisku, jako członków narodu, który pozornie żyć przestał, a jednak o życiu jego wiedzą wszyscy w Europie. Świeżo doniosły nam gazety, że mimo redukcji armii rossyjskiej, liczba uczniów w zakładach wojskowych i w akademii wojennej nie została bynajmniej ograniczoną. I owszem, cesarz Alexander rozkazał instytutom naukowo-wojskowym przypuszczać wolnych słuchaczy. Ułatwienia rzeczywiście są zrobione; uczniowie dzielić się mają na kilka klas. Jedni, na wzór benewolentów uniwersyteckich, mogą słuchać lekcyj, lecz nie należą do składu uczniów i nie mają obowiązku składania egzaminu; drudzy są regularnymi uczniami, żywność i nauki pobierają w zakładzie, i choć w nim nie mieszkają, choć nie otrzymają od rządu ani ubioru, ani książek, ulegają jednak egzaminowi i stosownie do swjej zdolności, otrzymują w pułku stopień junkra albo oficera. Tak jeden, jak drugi sposób korzystania z tych instytutów, łatwym jest i pożytecznym być może.

Wieleby jeszcze, podobnym trybem, dało się powiedzieć o naszych publicznych potrzebach i o naszej dla nich obojętności. Rzecz dziwna, kiedy w niektórych czynnościach dajemy się zrazić najmniejszą przeszkodą ze strony rządu, to w drugich, gdzie nam nikt trudności nie stawia, nie spieszymy się korzystać z tych nawet pomocy, których rząd odmówić nie może. O młodzieży naszej prowincyi dałoby się w ogólności powiedzieć, że albo wcale się nie uczy, albo uczy się tylko medycyny.

Uniwersytet kijowski nie wydał ani jednego znakomitego literata lub historyka, bo te powołania wymagają studyów obszernych i wieloletnich przygotowań. Do nich bogatszym brak wytrwałości, może nawet chęci; uboższym brak przedewszystkiém środków. Jeśli młody bez majątku, wrodzoną popchnięty zdolnością, odda się u nas prawu lub matematyce, cierpieć musi aż do śmierci nędzę, albo też (jak się to zwykle zdarza) z bólem serca porzuci niewdzięczne rzemiosło. Tyłu jest na Rusi obywateli mających po kilka tysięcy dusz, tyle wyrzuca się pieniędzy na stroje, zabawy i podróże, a nie słyszeliśmy ani o jednym u nas mecenasie, któryby opiekował się młodzieżą naukową, zachęcał do pisania dzieł poważnych i takowe swoim kosztem wydawał. Jeśli człowiek zamożny u nas polubi nauki, to już na pewno wybierze sobie przedmiot najoderwańszy i najmniej związku z naszym życiem, z naszymi potrzebami mający. Więc się zatrudni ornitologią, albo insektami, albo też pisać będzie po francuzku dzieła, do których nikt, oprócz Polaków, nie zajrzy. Najpospoliciej ulegają panowie u nas archeologicznej epidemii; owych bezmyślnych archeologów mamy już po kilka egzemplarzy. Zamożny panicz ukraiński, p. K. wpadł na myśl utworzenia historycznego zbioru *batogów*. Z wielkim kosztem i zachodem zkupuje batogi: nohajskie, czerkieskie, kozackie, kałmuckie, baszkirskie, i gdzie tylko o jakimś osobliwym batożku posłyszysz, nie pożałuje jechać choćby na drugi koniec Ukrainy. Niedawno temu, w Humaniu, wmówiono weni, że żyd pewien przechowuje batóg Mazepy. Zaciął się i kupił: bo czegoż nie dokaże polska wytrwałość, kiedy chodzi o dziwactwo!... W jego gabinecie, w pośród tej prawdziwie mongolskiej kolekcji, widać dwa wielkie portrety Chmielnickiego i Paleja! A to wszystko dzieje się w okolicach Humania, gdzie dotąd pokazują studnią napełnioną trupami dzieci katolickich, za ostatniej koliseczyzny porżniętych.



Tego rodzaju uczone czy archeologiczne ekscentryczności, wydają mi się szkodliwszém marnowaniem czasu niż proste, bezmyślne próżniactwo. Lepiej podobno nie mieć celu w swém życiu, niżli mieć śmieszny i swoją drobiazgowością oburzający. Jak w organizmie zwierzęcym wszelka potworność jest znakiem niezdro-  
wia, tak i te nasze moralne lub intelektualne dziwotwory dowodzą, albo jakiegoś skrzywienia w duszy, albo w głowie ciemności bezdennych. Cóż powiedzieć o człowieku, któryby wydlubywał i oglądał cegiełki z domu ojczystego, w chwili, gdy ów dom chwieje się się i grozi ruiną? Albo on już nie chce, albo jeszcze niezdolny jest rozumieć naszego położenia i naszych niebezpieczeństw. Jesteśmy jakby w oblężeniu coraz bardziej ściśnięci, a mamy do czynienia nietylko z rządem, ale z całą szlachtą moskiewską, która nas serdecznie nienawidzi i chciwa jest naszego upodlenia. Bo niechaj nikt nie myśli, że dzisiaj Rossya dąży tylko do utrzymania nas w podległości. Póty Moskale nie uczują się bezpiecznymi, póki nam nie wydrą naszej istności narodowej, naszego imienia. Oni w świecie moralnym chcieliby nas tam postawić, gdzieśmy już w świecie politycznym stanęli. Ich marzeniem, ideałem politycznym jest Polskę, podobnie jak carstwo kazańskie i astrachańskie zlać w jedność z Rossyą, a nie dozwolić nam nigdy takich nawet korzyści, jakie przyznali Finlandczykom i Niemcom nadbałtyckim. Walka z ich strony jest povolna, wszechstronna, systematyczna; jest rezultatem wysień rządowych i poparcia całego narodu.

A my jakże się bronimy? Zamykamy oczy i wołamy dobrodusznie, że złego wcale nie widać. Wmawiamy w siebie rozum i wysokie cnoty, aby od pracy i ofiary uwolnić się. Byle zabawić się i mieć przed sobą jeszcze kilka dni umajonych nadzieją, — to o resztę mniejsza! Więc bawimy się jak za dobrych czasów. Łakniemy ciągle, szukamy wszędzie śmiechu i rozrywki: w życiu

domowém i publiczném, w sztukach i literaturze, a wreszcie po zagranicznych teatrach. Minęły czasy wrzawy pijackiej; w jój miejsce nastąpiła nęga, ogładzona, rzekłbym uperfumowane bałagulstwo. Z dawnego wyleczył nas Bibikow, a dzisiaj — któż uleczy?...

## NIEOGLĘDNOŚĆ DZIENNIKÓW KRAJOWYCH.

---

2 sierpnia.

Z niemalą pociechą spostrzegamy widoczny postęp w naszych literackich pismach peryodycznych; który się szczególnie od początku bieżącego roku objawia. Jeden *Dziennik Literacki* lwowski robi pod tym względem wyjątek; staje on się coraz jałowszym i tę chyba tylko przynosi korzyść, że swemi płodami ułatwia publiczności owe *nihil admirari*, które, według słów mędrca, ma być początkiem wszelkiej wiedzy. — Natomiast *Biblioteka Warszawska* jest od pewnego czasu niewątpliwie lepiej redagowaną. Znać stosowniejszy układ, oględność w wyborze artykułów, większe staranie około wewnętrznej ekonomii pisma. Żałować jednak przychodzi, że krytyka literacka tak mało jest w niej uprawiana i nawet stałej nie ma rubryki. Tak ze względu na długą swoją trwałość, jak na miasto stołeczne, w którym wychodzi, *Biblioteka Warszawska* powinna być repertorium wszelkich znakomitszych objawów na polu literackim. Tymczasem, ani te uroczyste pomniki przeszłości, które pan hrabia Tytus Działyński z takim mozółem i z takim prawdziwie obywatelskim poświęceniem od



lat kilku wydaje, ani takie naukowości naszej zaszczyt przynoszące prace, jak pana Helcla, Mecherzyńskiego *Historya wymowy polskiej*, Bartoszewicza *Żywoty znakomitych mężów*, dzieła Padalicy, Nowosielskiego, Baracza, i t. p. nie znalazły dotąd rozbioru w najpoważniejszym czasopiśmie polskim. — Daleko sumienniejsz tego zadania wywiązuje się *Przegląd Poznański*. Krytyka jego należy bez wątpienia do najlepszej, jaka się kiedykolwiek objawiła w naszej literaturze, i tam gdzie zbyt może wyłączne dążności jej nie krępują, jest wzorem wytrawnego sądu, wszechstronnego obznajomienia się i dobrego smaku. W bieżącym roku pismo to już pod tym względem znacznie się polepszyło, że regularnie w sześciotygodniowych spozytach wychodzi: a ostatni spozyt jego zawiera artykuł o Niemcewiczu, którego czytanie zalecamy wszystkim miłośnikom literatury i sprawy krajowej. — *Dodatek do Czasu*, chociaż najmłodsze z naszych pism peryodycznych, zdobył sobie odrazu znaczące stanowisko i wielką zyskał wziętość. Zawdzięcza to mianowicie dobrej redakcyi swojej i *Przeglądowi Piśmiennictwa*, w którym pan Lucyan Siemiński ze zwykłą sobie wytwornością gustu i stylu, ale i kapryśnością zdań i zasad rozbiera bieżącą lekką literaturę. Mniej pociesza w tén piśmie dość spora rubryka korespondencyj z miast zagranicznych, które z tak nużącą ścisłością i z wytrwałością, godną lepszego przedmiotu, donoszą o zabawach, widowiskach, sztukach, i t. p. europejskich hecach, chociaż listy w tym oddziale z Paryża pisane, odznaczają się niezrównaném mistrzostwem w stylu, prawdziwie artystyczném uczuciem i brylantowym humorem. Ostatnie zeszyty *Dodatku* zawierają nadto kilka prac poważniejszych, których zastęp chcielibyśmy widzieć powiększonym. Cieszymy się z tych postępów, wierzymy w jeszcze większe na przyszłość, ale tén bardziej dziwić się mamy prawo pobłażaniu, z jakim *Dodatek* przyjmuje artykuły jak *Czarne kwiaty*, *Białe*

*kwiaty* i *Gimnastyka języka*. Nie rozumiemy zgoła, dla czego ludzie tacy jak pp. Man i Siemieński, których nikt przecież o zły smak nie posądzi, mogli zasadzić na swojej niwie podobnego rodzaju purchawki! Dwa pierwsze z wymienionych artykułów są wzorem wydymanej niemości, w której dziwolągom myśli odpowiadają dziwolągi języka, a niesłychana zarozumiałość walczy o prym z jaskrawem nieuctwem. *Gimnastyka języka* zaś jest jedną z tych przestraszających łamigłówek, które są zwykłym objawem wycieńczonego umysłu zwarzonej fantazyi. Niebezpieczna to rzecz, naszemu młodemu i tak już spaczonemu pokoleniu, takie chorobliwe podawać plody smutnie wykrzywionej organizacji; niebezpieczna szczególnie, gdy redakcja *Dodatku*, ogłoszeniem takich potworności, zdaje się przypuszczać do swego koleżeństwa umysły, dla których jedyne tylko możebne i właściwe braterstwo — Bonifratrów.

Przechodząc teraz od pism peryodycznych do codziennych, przykrzejszą mamy powinność. Możemy być oskarżeni o zbytek drażliwości albo brak wyrozumienia. Bogdajby wina została przy nas. Patrząc na świat i na różne pochylenia się umysłów w kraju, łatwo uledez ciąglemu wpływowi obawy, która zwykle rodzi podejrzliwość i pchnie do pospiechu z przestrogi. Przestrogi dają się tylko przyjaciołom i braciom: choćby zbytne, niech będą przyjęte bez urazy. Nie wytaczamy też procesu, ale jedynie wskazujemy, co nas razi i boli.

Dzienniki warszawskie często miewają narzucone sobie artykuły od rządu, które łatwo poznać. Tak, niedawno *Gazeta Warszawska* i *Codzienna*, musiały wydrukować niby list z *Kijowa*, poczynający się od wyrazów: «Kwestya wychowania młodzieży, która zwracała za-»  
»wsze na się szczególną uwagę naszego rządu, budzi  
»powszechnie zajęcie w obecnych czasach, kiedy *każdy*  
»*Rossyanin*, obok przeświadczenia o olbrzymich siłach

» kraju, czuje jednocześnie, że takowe mogą przynieść « Rossyi korzyść jedynie pod warunkiem rozwinięcia ich » nauką i przemysłem..... » Następują potem szczegóły ze sprawozdania uniwersytetu Ś. Włodzimierza, które pokazując właśnie, jak to wychowanie jest zacieśnione i nędzne, szumny ów wstęp obracają w śmieszność. Takie artykuły niech się sobie drukują po polsku; to nie nie szkodzi. Ale na kilka dni pierwój był w *Kronice Warszawskiej* daleko gorszy, wyjęty z *Wiadomości Moskiewskich*, pod napisem: « Obecny stan Rossyi. » Ponieważ *Kronika*, owego niby listu z *Kijowa* nie powtórzyła, pomyśliliśmy sobie na pociechę, że smutną powinność odbyła przed swojemi towarzyszkami i wolną jest od zarzutu złego wyboru, albo niewczesnej jakiejś ochoty do tłumaczenia z pism rossyjskich takich rzeczy, których niepodobna widzieć bez wstępu w kolumnach dzienników polskich. Artykuł śpiewa zwykłą dzisiaj piosnkę pisarzy rossyjskich: tryumfalne wyjście Rossyi z wojny ostatniej i wielką jej przyszłość, do której poleci kolejami żelaznymi, uszczęśliwiając ludy zgarnięte w jej objęcie. Jakie ztąd dla nas Polaków szczęście, to liberalne pióro brata Sławianina wyraziło w następny sposób: « Jeśli Katarzyna II, Alexander I i Mikołaj I » nabyli dla Rossyi Polskę, tedy Alexander II rozpoczął » zlanie tych narodowości w jedną wielką rodzinę, » chcąc zapomnieć odwiecznych swoich nieporozumień » i po bratersku łączących modły za monarchę, który » powrócił wielu ze śniegów Syberyi w uściski rodzin. » (A daleko więcej tam zostawił...)

Kronika nie mogła do tego dodać żadnych uwag i komentarzy; a czy umieściła artykuł z musu, czy z mylnego mniemania, że czytelnicy sami potrafią go ocenić, tego rozstrząsać nie chcemy. Daleko mocniej nas ubodło, gdy postrzegliśmy moskiewską tę obrazę miłości, wiary i nadziei polskiej, przedrukowaną dosłownie i całkiem w *Czasie* krakowskim, z uwagami wpra-



wdzie, ale z jakimi! Oto są one: « *Światły* publicysta moskiewski przedstawia co Rosyja, korzystając z nauki doświadczenia w wojnie nabytego, z poznania swych złych i dobrych stron, czynić dzisiaj w latach pokoju *powinna*, a podnosząc kilka rozporządzeń rządowych, wskazuje *zrećźnie* w jakim kierunku rząd iść winien. Artykuł ten ważny jest podwójnie, bo okazuje jak Rosyjanie stan swego kraju pojmują, oraz jak o nim pisać mogą. »

Redakcyja *Czasu* mogła zaiste i powinna była coś więcej powiedzieć, albo ograniczyć się na umieszczeniu w swojej rubryce poświęconej Rosyi, owych kilku rozporządzeń urzędowych, które pisarz moskiewski zbiera tu w przemożną falangę dowodów za wielkością reformy, a które, razem wzięte, mało co znaczą i nie są nowiną, bo *Czas* sam o nich w swojej porze donosił. Zresztą artykuł innej ważności nie ma. Cóż on tak bardzo pokazuje « jak Rosyjanie pisać mogą? » Gdyby *Czas* chciał tém być dla Austrii, czem *Wiadomości Moskiewskie* są dla Rosyi, mógłby również radzić rządowi *zrećźnie*, a światu głosić, że już Galicya złała się wieczyście w bratnią jedność ludów cesarstwa. Nie chcemy szerzej roztrzącać tej sprawy, a moglibyśmy w wielu innych miejscach wytknąć *Czasowi*, grzeszenie niebaczniemi pochwałami i niezgodnością z sobą samym. On, co tak starannie, tak rozpatrzenie wywiaduje się i donosi o wszystkich dyplomatycznych i militarnych zabiegach rządu rosyjskiego, dziwnie jakoś zdaje się być łatwowiernym dla publicystów rosyjskich. Usidlają go niezmiernie wszelkie odzywiania się w imię wolności handlowej, postępu przemysłowego, cywilizacyi materialnej. Powszechne pochylenie się usposobień Europy w tę stronę bardzo jest na rękę pisarzom rosyjskim. Powtarzają oni często niby niewinne i ogólne zdania, które jednak niekoniecznie są bez winnego i wyłącznego celu. Mówią np: « Konieczność historyczna unosi ludzi

i ludy wraz z ich pretensjami do niezbędnego następstwa... Opatrzność, rozdzielając swe dary między rozmaite narody, chciała przez to znaglić do wzajemnego zbizenia się i złączyć je w jedną wielką rodzinę... Niezmiennie prawo wzajemnej zależności, tak antypatyczne krótkowidzom, obrońcom przestarzałego porządku rzeczy (?), jest w ekonomii politycznej zasadą oznaczającą rozdział pracy, podstawą na której jest oparty cały przemysł, posadą na której spoczywa społeczeństwo i przyszłość rodu ludzkiego... » Powtarzając te i tym podobne aforyzmy wplatanie *zręczne* dowodzenia moskiewskie, niedość przydawać : « Objasniać te słowa zdaje się zbyt technicznym... Autor rozprawy przemawia otwarcie a jasno za rozwijaniem tylko pracy, przemysłu i t. d. » Bynajmniej. Autor dotknął zagadnienia, na czém spoczywa społeczeństwo i przyszłość rodu ludzkiego ; a ilekroć idzie o rozwiązanie tego zagadnienia, duch moskiewski i duch polski mają dwie różne, wręcz sobie przeciwne drogi. Trzeba nam bardzo strzedz się, żeby nie pójść drogą moskiewską, bo ta prowadzi do niechybnego zagładzenia jestestwa Polski. Nie upominamy o złą wolę, błagamy tylko o bacność i ostrożność. Jak zaś dalece mamy słuszną błagać o to, może i następująca wzmianka posłuży za dowód.

*Kronika*, jeśli dobrowolnie drukowała artykuł o stanie Rosyi, nie miała zapewne na celu potwierdzić go i pochwalić ; spodziewała się raczej zastanowić niżeli zadowolnić swoich czytelników. A tu korespondent jój pisze z Poznania : « Z niezwykłym zajęciem i interesem czytaliśmy wyjątki z pisma moskiewskiego, w kolumnach *Kroniki*, — i niecierpliwie dalszego wyglądamy ciągu ; wszystko co *z tamtąd* przychodzi, ma dziś stokroć więcej *interesu* jak to, co z *Zachodu*... »

Zdaje się, że pomimo elastyczności wyrazu *interes*, myśl jest niewątpliwa. Nie możemy tedy winszować *Kronice*, że dogadza usposobieniom nierozważnym spo-

dziewania się czegoś *z tamąd*... Ziomkowie nasi, znużeni jarzmem niemieckim, szczególniej są skłonni ufać jakimś nadziejom rosyjskim: niechby wiedzieli, że czynią jak ten coby lękając się umrzeć z choroby, rzucał się w rzekę. Gdybyśmy umieli czerpać z Zachodu, moglibyśmy jeszcze dotąd znajdować w nim wiele potrzebnej dla nas otuchy. Na nieszczęście, chwytamy się zawsze kanałów, przez które nie może przyjść nic innego, jak zwątpienie. Tu znowu musimy obrócić się z wypowiedzią do *Kroniki*. Podając wiadomość o jedném z ostatnich dzieł Emersona, zamieszcza ona takie zdania: «Nie można zaprzeczać ważności politycznej i względnej uczucia narodowości; ale można roztrząsać jego ważność moralną i idealną. Obywatelstwo jest jedną z cnot, ale nie pierwszą cnotą. Może się zdarzyć, że ktoś położy je wyżej nad inne prawa, które oczywiście są od niego wyższe, że położy wyżej naród nad naturę (?), rasę wyżej nad ludzkość. Można zgrzeszyć przeciw moralności, sprawiedliwości, przez miłość rodzinnego kraju, równie jak przez osobistą ambycję i czcząc bóstwo ojczyzny, można niekiedy zapomnieć o samym Bogu.» Jaki tu męt wyobrażeń! Po co nim oblewać zbołałe serca polskie? — Nie są to zdania samego Emersona, ale należą do *Debatów*, z kąd współpracownik *Kroniki* swój artykuł żywcem wyjął, przemilczając o źródle. Odpowiedzialność wszakże za powtarzanie takich myśli, spada zawsze na redakcyę, kierującą pismem. Ilekroć mowa o narodowości, trzeba nam mieć mocno natężony umysł, a bardziej jeszcze instynkt. Nieraz daje się napotykać subtelne i zimne ważenie patryotyzmu z katolicyzmem: wyrafinowana doktryna szkoły, która sama na kosmopolityzmie i egoizmie oparta, z realnych i żywotnych stosunków wyprowadza nas w czczość abstrakcyi, gdzie, jak za granicami atmosfery, dla piersi ludzkiej nie masz już oddechu. Gdybyśmy mniej szli za cudzemi doktrynami, a więcej za naszym duchem narodowym, znaleźlibyśmy



w sobie dostateczną siłę na obronę naszej świętej, nierozłącznie religijnej i narodowej sprawy, nie mielibyśmy potrzeby rozdzielać ich bojaźliwie przez względy nieprowadzące do niczego.

---

## LITERACKIE DZIWAŁA.

---

8 sierpnia.

Trzymając na surowej baczności piśmiennictwo krajowe, mamy powinność, jak na ten raz bardzo przykrą, nieprzemilczenia i o płodach piór emigracyjnych. Ostatniemi czasy, jakoś około początku dni kanikularnych, ukazało się kilka publikacyj, które na nieszczęście, dawniej, w chłodniejszej porze i z rozmysłem przygotowane, stawiają wszakże smutny dowód wielkiego zepsucia w tém, co się zwykle zdrowym rozsądkiem, albo zdrowym smakiem nazywa. Chociaż, ku niemałej uldze dla nas, mamy do czynienia z autorami osłoniętymi bezimiennością, chcielibyśmy wszakże zgóry zamówić sobie u nich tę wiarę, że wszelki wzgląd osobisty jest od nas daleki, a tylko rzecz sama, obchodząca emigracją i naród, pobudza nas do objawienia uwag, jak sądzimy słusznych i potrzebnych. Z musu więc nie z ochoty, zabierając się do niemiłej funkcji dziennikarskiej, poczynamy od książeczki wydanej w Paryżu, której nieludzkie nastanie zaszło w następujący sposób.

Pan B. był *oficer w. p.*, odjeżdżając w roku 1856 na Wschód, przed opuszczeniem lądu zaszedł w Marsylii do kościołka NOTRE DAME-DE-BONNE-GARDE, aby « dawnym

zwyczajem rycerzy narodowych, błagać o pomoc dla Polski, i własne swe losy powierzyć Opatrzności. » Podnosząc się po modlitwie, zobaczył leżący na krześle zwitek papieru z napisem : « Dla Polaka który tu przyjdzie. » Wziął go więc i dopiero wolnym czasem przeczytawszy w Turcyi, znalazł w nim prawdy « którym trudno było zaprzeczyć, a które gromiąc błędy narodowe, dawały wszakże do poznania, że w końcu słowa pociechy się znajdują. Niestety ! końca tego brakowało. » Niedługo potem, gdy pokój został zawarty, p. B. wracając do Francyi, zaszedł znowu do tegoż samego kościołka, i znowu znalazł tam zwitek podobnie przeznaczony : « Dla Polaka który tu przyjdzie » — a właśnie był to pożądaný koniec poprzedniego pisemka.

Błogosławiony znalazca, przez ośm miesięcy medytował nad cudownie otrzymanym rękopisem, robił do niego objaśniające lub polemiczne przypiski, z których każdy starannie datą oznaczał, i biedził się ciągle, jak ten dar nieba na pożytek ludzki obrócić. Żeby czytelnicy mogli łatwiej zrozumieć, co tu było najtwardszym do przełamania sękiem, musimy naprzód powiedzieć o formie mistycznego pisma, któremu nie wiepieć dla czego dano w druku tytuł : *Wspomnienie powstania 1794 r., dnia 17 kwietnia w Wielki Czwartek*. Usprawiedliwieniem tego tytułu ledwo jest parę wzmianek o Wielkim Czwartku, a pierwszą z nich znajdujemy w samém zaczęciu :

« Uroczysty dniu zwycięstwa, po dwakroć bluszczem bohaterstwa uwieniczony, zadatku prawie widomy łąski pańskiej dla mojej ojczyzny, dla czego w swych skutkach nietylko znikomym dla nas, lecz nadto korzystnym dla wroga jesteś? — Dlaczego broni naszej, o Boże ojców naszych, dozwalasz błyszczeć sławą — a boleści naszych zrozumieć i łagodzić nie chcesz? »

Głos ten rozpaczy, wyrzekañ i wkońcu niemal bluznierstwa przeciw Bogu, nie wiadomo z czyich ust wy-



chodzi, widocznie tylko z ust polskich. Na to daje się słyszeć odpowiedź :

«Synu grzeszący, Jam jest Pan Bóg twój, który cię wywiedzie z domu niewoli... i t. d.» «Spadła z oczu moich pomroka snu — złamany wielkością słusznych wyrzutów, ukląknem i w pokorze zawołałem : Panie i Ojczye otworzyłeś oczy moje, i widzę, że byłem tylko za rozumiałym...» Sen wraca znowu i głos upominający grzmi dalej. Naostatek łagodnieje i tak się odzywa : «Kiedy szatan chciał uwieść ród ludzki, kobiety szukał. — Kiedy miara grzechów Niniwitów dopełniona do sprawiedliwej kary mię pobudziła, ich czterdziesto-dzienny post i modlitwa szczerza od pewnej zguby ich uratowała. — Kobieta skruszy wasze jarzmo. — Szukaj i ty z kolei najlepszej Polki, do niej należeć będzie spełnienie woli mojej. — Ona pobudzi Polki na całym przestworze dzielnic waszej do pokuty niniwitańskiej. — Żony i matki postem *prawdziwym* zniewolą męża i syny do myślenia, a potem do działania. — Jak syn Maryi zbawił ród ludzki, tak syn Polki zbawi swą ojczyznę...»

Owoż znalazca, który, jak się pokazuje, poczuł się być obowiązany do wykonania zaleceń wyrażonych w piśmie, zastanawiał się mocno nad każdym jego punktem. Dało mu to wiele do myślenia, że gdy mowa o poście *prawdziwym*, drugi ten wyraz był podkreślony, i zrobił ztąd taki wniosek, że «gdyby chciano pościć z rozciągnięciem postu tego aż do znaczenia czystości, zaiste wybuchłyby spory w łonie rodziny, ale wytrwałość kobiet wywarłaby ogromny wpływ na mężczyzn, bo tym środkiem możnaby ich zagnąć do myślenia ciągle o Polsce.» Niemniej też szczęśliwie rozstrzygnął zagadkę, czy post ma być przywiązany do wszystkich dni czwartkowych, czy jednego czwartku poczęty trwać ciągle, powiadając krótko, że to zależeć będzie od woli osób ; ale to wszystko fraszki, pozostawała rzecz główna : «Gdzie, a nadewszystko jak znaleźć najlepszą Polkę.»

Pan B. był w niesłychanym kłopotcie. «Zawsze — powiada — napotykałem tę skałę, nad którą wznieść się nie mogłem, — nie mogłem, bo kochając do szalu Polki, nie chciałem żadnej upośledzić, bo oddany naukom i nigdzie nie bywając, mało mam znajomości, a ztąd i sądzić nie mam prawa.» Ponieważ jednak czas upływał i trzeba było coś przedsięwziąć, postanowił rzecz jakkolwiek zakończyć, i obróciwszy się ze swoim wyborem do pani O., opowiedział jój w liście całą historią, a naostatek dodał: «jak nie lubię ubliżać, tak też pochlebstwo jest dalekiem od serca mojego, — wszelako gdy obliczyłem czyny (pani O.) do uszu mych doszłe, zdaje mi się, nie omylę (się), gdy błagać będę o przyjęcie z rąk moich rękopismu i postąpienia z nim podług upodobania i woli.»

Pani O. nie dała się dwa razy prosić i odpowiedziała natychmiast krótko a węzłowato: «Wierząc w Boga i nieskończoną tajemnicę cudów Jego, nie chcę rozbierać co rozum odrzuca i poddaję się w pokorze wszelkim próbom, na które podoba Mu się mię wskazać. Czekać więc, Szanownego Pana, będę dzisiaj, w sobotę, o godzinie piątój wieczorem, lub jutro, w Niedzielę, o takiéjże godzinie.»

Tym sposobem zawiązał się pomyślnie początek sprawy, której ostatnim rezultatem ma być zbawca Polski. Czy rzeczy tak daleko dojdą przy poście prawdziwym, tego nie wiemy, ale tymczasem mamy inny owoc pokornego poddania się wszelkim próbom: urodziła się książeczka, która bardzo smutne i przykre robi wrażenie, jako symptomat chorobliwego zamętu umysłów.

Zapewne, nie można zaprzeczyć panu B. dobrych chęci, poczciwych uczuć, zacnych życzeń; ale czy te myśli, rozprawy, napomnienia, któremi mniema Polaków na drogę poprawy naprowadzić i Polskę zbawić, winien swemu oddaniu się naukom, czy cierpieniom

kochającego sercą, czy nareszcie jakiemuś marzeniu we śnie lub na jawie, które wziął za objawienie, zawsze zgrzeszył zarozumiałością, jeśli nie czém więcej. Przybrać ton nauczyciela i sędziego narodu, poważyc się rzucić Polsce coś śmiało skrojonego na wzór *Ksiąg Pielgrzymstwa*, albo *Poselstwa z ziemi ucisku*, nie obrachowawszy pierwój dobrze swoich sił i praw do tego, jest to już płocha i grzeszna zarozumiałość. Opierać się niby na wierze w łaskę, w miłosierdzie, w cudowną pomoc bożką, a ułomny płód swojej głowy podsuwać nie żartem pod osłonę cudowności; domagać się wyższej czci religijnej, głębszego pojęcia chrystyanizmu, wyrzucać duchowieństwu nieodpowiedność jego powołaniu, a Boga Wszechmocnego, bez zadrzenia wyprawadzać na scenę jak aktora, jak osobę w bajce, to niewątpliwie więcej niż płochosć i zarozumiałość. Trzeba w tém widzieć albo zuchwalstwo bezbożne, albo pobożność dziwnie odurzoną mniemanym rozumem. Kto poważa się swoje zdania i przywidzenia poczynąć od słów uświęcających tablice możeszowe, o tym — jeśli mamy przeświadczenie, że nie jest ani wolterzystą, ani szarlatanem — musimy wyrzec, że sam nie wie co gada.

I jakże ten Bóg pana B. przemawia! W najlepszym razie możnaby go wziąć za wiejskiego plebana, który przebiegając grzechy przeciwko dziesięciorgu przykazań, bez ceremonii karci swoje parafialne owieczki. Kazałem — powiada — imienia mego nie brać nadaremnie, a wy ileż to razy przyrzekłszy w imie moje, nie dotrymaliście obietnicy poświęcenia się dla ojczyzny. Kazałem dzień święty święcić, a wy zmuszacie chłopków do pracowania w niedzielę. Kazałem czcić ojca i matkę, a wy biesiadujecie na mogile wspólnej matki waszój, i t. d. «Istne z was bydłeta!» — Nierównie gorzej występuje, kiedy puszcza się w rozprawy i dyskusye jak zbołały emigrant, albo czerpiący tylko z książek znajomość świata i ludzi teoretyk. Ztąd częstokroć zdania nie ma-



jące na sobie cechy ani bozkiej mądrości, ani ludzkiej miłości bliźniego, a ogólnie niepodobne do zastosowania w praktyce, chociaż niby wzniosłe chrześcijańskie i stoickie. Tak np. wyrzuca rodakom naszym w kraju: «Gdy podróżny w próg wasz wchodzi, to zamiast mu podać misę stawy i wygodny nocleg zapewnić, jak mój Kościół mi nakazuje, wy go badacie: a kto taki, z kąd i dokąd idzie, jak się zowie? i domagacie się *paszportów*, wymyślonych przez tych, co was gniołtą i dzieci wasze biczują.» Podobnejże wartości praktycznej jest oklepana zresztą sentencya, że naród liczący dwadzieścia trzy miliony ludności, byleby zechciał może być wolnym i niepodległym. Należy to do niezmiernie obfitej kategorii, w gruncie słusznych, w pisaniu łatwych, a w skutku żadnych narzekañ kaznodziejskich na lenistwo, rozrzutność, samolubstwo, i t. d. Niekiedy zdarza się *bogu* pana B. popełniać w zapale improwizacyi błędy historyczne, albo kłaść jedno po drugim dwa niezgodne z sobą twierdzenia. Wtedy pan B. poprawia go w przypiskach jako znalazca. Czytamy w jednym miejscu, że najwyższem *prawem* jest woła ludu jako *pochodząca* od Boga, który go utworzył i tehnieniem swoim ożywił, a pierwój i potóm napotykamy ze szczególnem upodobaniem, jako niby bardzo głęboką i zbawienną prawdę powtarzane słowa: «Wam mało na tém najdostojniejszém z stworzeń mianie: *człowiek*; wyście wymyślili sobie książąt i baronów, hrabiów i margrabiów, a żeście cacka jakieś na oślej lub baraniěj skórze namalowali, sądzicie się być lepszymi od innych dzieci moich... Jam nie stworzył, powtarzam wam, królów, książąt, baronów i hrabiów, margrabiów i szlachtę, jam stworzył człowieka. Dlaczego wszędzie i zawsze idziecie wbrew mojej woli?» — Tu znalazca łapie za słowo autora znalezionego rękopisu i robi taką uwagę: «Szlachectwem obdarzał naród, w ciełe swém prawodawczém zebrany; zatém, jeśli prawa stanowione

przez naród są wypływem z Ducha świętego, stan ten nie był przeciwnym woli Boga i społecznemu porządkowi rzeczy.»

Cóż tu dalej mówić i o dziełku i o autorze. Rzeczywiście, trudno wyrzec, czy pan B. żartuje sobie z Boga i z bliźnich, czy w dobrej wierze jest niezmiernie nielogicznym. Wszelkie jego widoki i nadzieje dla Polski opierają się ostatecznie na ludzie. Bóg dyalogowy ubolewa tylko nad tém, że lud nasz nie umie czytać. Zaprawdę kiedy zjawiają się takie pisma w imie Boże i ku zbudowaniu narodu ogłaszane, trzeba błogosławić téj nieumiejętności ludowej. pan B. wiele winien, że cudowny rękopis znalazł, pani O. jeszcze winniejsza, że go kazała wydrukować: niechby lepiej oboje po cichu sobie odbywali niniwańską pokutę. Chcemy jednak wierzyć, że i ta pani O., jest podobnie imaginacyjnym utworem, jak cała historia niezgrabnie naśladowująca dowcipny pomysł Krasickiego, który z łaski kozaka znalazł w Biłgoraju kronikę o Lechu i Czechu.

Odwracając się w inną stronę, nie lepszą znajdujemy pociechę w produkcyach z pod prasy angielskiej... Oto naprzód mamy przed oczyma *Odezwę Gromady Rewolucyjnej Londyn* i podobny wyskok z innéj beczki, z nagłówkiem: *Lud Polski, Urząd Główny, do Członków Tow. Demokr. Pol.* Powinnibyśmy poprzestać na przytoczeniu tych tytułów, bo tego dosyć żeby domyślić się reszty; ale ponieważ wielu czytelników naszych na stałym lądzie zapomniało już i języka i doktryn sławnych szkół politycznych w Portsmouth i na Jersey, a nawet mniema, że to wszystko należy już do przeszłości i chyba kiedyś w pieśni ożyje, musimy ich ocucić z zapomnienia i wyprowadzić z błędu. Anglia ma jakąś szczególną moc konserwacyjną i jest krajem najbogatszym w zbiory starożytności. Pomiedzy ciekawemi zabytkami, można tam widzieć garstki naszych braci zachowane w pierwotnej ich świeżości politycznej, jak

muchy w bursztynie. Tyle lat upłynęło, tyle wypadków i zmian zaszło, tyle nauk Opatrzność dała ludziom i ludzkie poczęli już dawno innych dróg szukać, a oni stoją niewzruszeni i zawsze po dawnemu, po swojemu grożą światu jego zbawieniem.

« Przymiemy — wołają jedni — cały dziś istniejący porządek rzeczy z gruntu i z korzenia przewrócić : — znieść panowanie nad ludem, a wprowadzić panowanie ludu całego we wszech rzeczach ; znieść własność osobistą, a zaprowadzić wspólną ; wyjąć dzieci z pod opieki rodziców, a przyjąć na siebie obowiązek społecznego wychowania i uczenia tychże ; uwolnić kobiety z więzów dzisiejszych, a podnieść je do równości z mężczyznami, i t. d., i t. d. Kara śmierci, w stanie rewolucyjnym, a raczej dopóki będziemy w wojnie, musi być zachowana, jako nieunikniony środek zniszczenia nieprzyjaciół ciemniących ludzkość, potem będzie nazawsze zniesiona. Ludy mówią nam, żeśmy słupem ognistym zbawienia ich, świecznikiem ludzkości, głosem, mieczem, potęgą, awangardą wolności, równości, braterstwa, postępu... O co nam chodzi ? O zespolenie wulkanu serca emigranta młodego z wytrawną starego emigranta rozwagą i z jego pustelniczą myślą surową ; o pochwycenie na końce mieczów naszych onych myśli, które Opatrzność kazała starszym i dojrzalszym braciom naszym wyrabiać i wypracowywać, abyśmy je ostrzem naszym, jako ustawy świata na całym obszarze globu wypisali... Przymiemy nie włożyć miecza do pochwy, dopóki cały ród ludzki nie stanie się jedną rodziną urządzoną na zasadach prawdziwej wolności, równości i braterstwa. Dla dopięcia tego, bez względu na zasługi lub błędy nasze przeszłe, bez względu na nasze przeszłe wyznania religijne lub polityczne, na ciała lub stowarzyszenia, do których należeliśmy, lub jeszcze imiennie należymy, zawiązujemy się w gromadę *Rewolu-*



*cyjną*, to jest w Gromadę *czynu*, w Gromadę *Powstania...*»

«Bardzo właściwem jest w nas życzenie — powiadają drudzy — działać w sprawach ujarzmionj ojezyny naszj i uciśnionj Ludzkości. Czemuż dotąd nie masz między nami zgody i nasze usiłowania zwycięstwa nie odniosły? Oto jedynie przez brak śmiałości do wypowiedzenia wyraźnie i stanowczo prawdy nagiej a całej, i to nie półgębkiem, ale całą piersią.» Wpadłszy na tę drogę Urząd główny Ludu polskiego, wytyka błędy i winy wszystkich władz poprzednich w powstaniu i na tułactwie, a mianowicie Centralizacyi Towarzystwa Demokratycznego. Ona to winna, że kiedy była pora, zastępy zbawcze «zamiast pójść na przebój, jak huragan po gruzach i ruinach walących się tronów do Polski, gęsiego po dziesięciu i dwudziestu ciągnęły do Strasburga» a wina jēj cała w tém, że nie chciała podnieść od razu «*najpostepowszj chorągwi!*» — Zagadka rozwiązana, Urząd główny nie popełni już błędu żadnego ze swoich poprzedników — Ludzkość całą zbawiona, biada wszystkim jēj ciemieżcom!

Zeby nie przesądzać, co przyszłość rychło okazać powinna, uwalniamy siebie i czytelników od wszelkich uwag nad odezwaniami Gromady i Urzędu, a bierzemy w rękę jeszcze jedną publikacyą londyńską, innego kroju i koloru.

Oddano nam z poczty przysłany łaskawie, zapewne przez samego autora, gruby tom rymów z tytułem: *Pożegnanie Braci Tułaczy udających się na Wschód do nowych zastępów Dywizyi Polskiej Kozaków Sułtańskich*, napisał i Sadykowi Paszy poświęcił Pan *Jerzy z Ludwina*, i t. d. — Na pierwszj stronicy jest wizerunek autora z krzyżem wojskowym na piersiach, drzemiącego przy stoliku, na którym księga i lira, a tuż za niemi ogromna szabla. Pod spodem wiersz:

Broń obok ciebie, wspomina pułk czwarty,  
I Dęby-Wielkie, Grochów, Ostrołękę —

A księga z lutnią, o którąś oparty,  
Muzom podaje zbrojną niegdyś rękę.

Autor « w Nadbiegu myśli przedwstępnej, » daje swemu dziełu ojcowskie błogosławieństwo na drogę :

Leć mój rymie w świat zpod ręki,  
Leć — jak sam chcesz — w kształcie pieśni  
Czy w pochwały — czy na męki !  
Czy wśród zamków — czy w łązienki,  
Czy gdzie w ciemny kącik pleśni —  
W laur z gałązek czy na sęki ?  
Leć w świat rymie z moich *cieśni* !!

Uwiadamia potem czytelnika o przyczynach które go spowodowały do wydania tego dzieła. Pokazuje się, że wszystkiemu są winni przyjaciele ! (On n'est trahi que par les siens). Jeden kazał mu wierzyć, że chociaż Grecy dobrze się bili pod Troją i Homer pełen kraszy : « Lepiej się bił i pisze, kto był w pułku czwartym » — Drugi dał mu do zrozumienia, że powinienby zastąpić Mickiewicza « I prawnie zasiąść w opróżnionym tronie ! » — Inny zachował, od zatury ważną część rymotworu i radził go drukować, a drukować nie w cienkiej broszurce, ale z dodatkiem leżących w zapasie płodów, bo « Tom przynajmniej stanowi pisarza. » — Zdaje się, że przytém sam autor miał powody, których mu skromność wyjawic nie pozwoliła. Któż z nas bez słabości ! Wszakże powiadają, że Canova za nic uważał swoje arcydzieła rzeźby, a szukał sławy w bardzo niefortunnych malowidłach. Cokolwiek bądź, utworzyła się spora książka, która niewiadomo dlaczego nosi tytuł *pożegnania*. Zresztą, w niemałym byłby kłopotcie, ktoby chciał tę najbardziej mieszaninę rozmaitych rzeczy właściwym nazwiskiem oznaczyć. Całość ma niby kształt dramatu podzielonego na « czasy, » przeplatane i szpikowane niesłychaném mnóstwem wstępów, przystępów, dorzutów, notat, przypisków. Są tam przytém korespondencye, opowiadania, tłumaczenia, wyciągi, dumy, elegie, pieśni

humorystyczne, religijne i polityczne, zdziwienia się, uniesienia, odgłosy, odśpiewy i wszystko — prócz poezyi, a co gorsza częstokroć prócz zdrowego sensu.

Autor jak mówi « wolna głowa, wesóły jak w niebie » na Parnas bieży w celu by widziały greckie bogi :

Tam w Olympie, że Pan Jerzy,  
Litwin rodem, tnie z kopyta,  
Na osiołku, bard Lechita !  
Dudzi bąkom przy strumieniu,  
Nie z lutnią muz klasycznych,  
« Ale z wrublem strzech kopcistych ! (bis) »

Nie tylko we własnych i przyjaciół rymach zawsze sam p. Jerzy głównie figuruje, ale z licznych przypisków czytelnik dowiaduje się o nim, w jakich znajdował się bitwach, wiele dostał postrzałów, za co krzyż otrzymał; dowiaduje się także, że jeździ wybornie konno, jest niezwykłym szachistą i nawet nosi bóty Sakoskiego.

Kończąc swój rymotwór, Pan Jerzy powiada w « Przewidzeniu. »

A cóż dalej pytam, będzie ?  
Gdy go na świat puszczyć ?  
Tertes, hałas, wzrośnie wszędzie,  
I krytyków tłuszcze !  
A ja ? dudek na kościele, (bis)  
Cóż im rzeknę ? ot niewiele !

Któż dziś, powiem, z nas daremnie,  
Sieje swój siew skromny ;  
Gdy w dniu pierwszym — mój wzajemnie  
Przyniosł plon ogromny ?  
Jeszcze zeszyt nie sięgl druku,  
A już w listach tyle huku !

Jaki i gdzie tam huk w listach, nie wiemy; widzimy tylko z całego dzieła, że jest w mgłę Albionu kilku naszych, zkądinąd wielce znacznych rodaków dotkniętych chorobą wierszomanii, którzy korespondując między sobą, wzajemnie honorują się imieniem poetów, przez



zbyteczną grzeczność czy przyjacielską pobłażliwość; widzimy przytém, że szanowni współtułacze nasi, szukając rozrywki, przepędzają czasem godziny na towarzyskiej gawędce przy szklaneczce toddy, co p. Jerzy lubi do najmniejszych szczegółów opisywać rymem. Zabawka niewinna i nienaganna; ale ogłoszenie drukiem tych rymów nie jest siewem, a tém bardziej skromnym. Niechaj autor nie lęka się tertesu krytyków, możemy przepowiedzieć jego dziełu ciszę grobową. Odezwaliliśmy się w kilku wyrazach, bo mieliśmy powód mniemać, że tego żądał przysyłając nam swoje dzieło. Odezwaliliśmy się zresztą powodownai pewną boleścią, jaką obudza [niezgoda między poważnym charakterem zasłużonego żołnierza i tułacza, a próżnością pisarza, między zadowolenie z siebie, a płaczliwém powtarzaniem « My biedaki, my sierotki. » Rodacy nasi z kraju patrzą pilnie na nasze pisma i czyny; dziwno im być może słyszeć utyskiwania na niedostatek, a mieć razem przed oczyma dowód znacznego wydatku na druk książki ani pożytecznej ani przyjemnej, bo niekoniecznie zabawne co śmieszne.

---

## ÉTUDES HISTORIQUES

SUR LA RÉVOLUTION FRANÇAISE PAR UN ÉTRANGER.

---

22 sierpnia.

Kilka miesięcy temu, dzienniki nasze krajowe zapowiadały nam znakomite dzieło o rewolucyi francuzkiéj, które rodak nasz, na Wołyniu zamieszkały, wygotował i w Paryżu ogłosić zamierzył. Publikacyą tę mianowano owocem głębokich, trzydziestoletnich badań nad tym ważnym przedmiotem, a świetném jéj zadaniem miało być ni mniej ani więcej, jak otworzyć dopiero oczy Francuzom na prawdziwe znaczenie ich rewolucyi, wyświecić nieznane dotąd zupełnie strony téj tytanicznej epoki i nowym poglądem wzbogacić nietylko wiedzę ale i sumienie narodów. Pisma nasze zdawały się być tak pewnemi wielkiego powodzenia téj pracy, że się nawet nie wahały z ogłoszeniem imienia jéj autora i zgóry je zaliczyły do rzędu tych, które umysłowości polskiej i wśród obcych zaszczyt przynosić są powołane. Wszakże, z natury i doświadczenia dość nieufni względem wszelkich podobnego rodzaju pochwał, tak częstych u nas a tak spowszedniałych, szczególniej w obecném naszym dziennikarstwie, z bardzo skromnemi

żądaniami a jeszcze skromniejszemi, jeśli można, nadziejami przystąpiliśmy do tych trzech grubych tomów « Historycznych studjów nad rewolucją francuzką, » które się wreszcie temi dniami pokazały w Paryżu (1). Jeśli nawet i te najskromniejsze nasze żądania i nadzieje jak najsromotniej zawiedzionemi zostały, nie myślimy jednak z tego powodu wytoczyć sporu niefortunnemu autorowi, a jeszcze mniej odwetować czas, stracony na niepotrzebne czytanie téj publikacyi, straceniem nierównie większego na nierównie niepotrzebniejsze jój rozbieranie. Jak Wirgili do Dantego, wobec pewnych cieniów « które żyły bez hańby i bez chwały, » tak i krytyk do publiczności, wobec pewnych książek, może tylko powiedzieć :

*Non ragionar di lor, ma guarda e passa!...*

Mimo to, chcemy korzystać z nadarzającej się sposobności zrobienia kilku uwag, którychbyśmy ani tak prędko ani w tak swobodnej formie udzielać nie mogli, a które zdają się nam być dosyć na czasie. W uwagach tych tylko pośrednio będziemy dotykali naszego dzieła, jak też tylko pośrednią stało się ono do nich pobudką. Ale już satyryk Liscov powiedział, że jakkolwiek niezdatne do muzyki są pewne sławne i sławione w bajce stworzenia, to przecież z ich kości wcale porządne dają się robić flety, na których czasem wcale dobrze grać można.

U dość licznej klasy naszych rodaków, u tych szczególnie, którzy unikając dróg ubitych i powszednich, wyszukują sobie ścieżki mniej utarte choć trochę zawite, jest teraz w modzie rozprawiać z namiętnością o rewolucyi francuzkiej, przypisywać jój wszelkie zło, co się dzieje na świecie, i datować od niej jakby drugi upadek

(1) *Etudes historiques sur la Révolution française de 1789*, par un étranger. Paris, Didot, 1857, 3 vol.



Człowieka. Uchodzi to u nich za dowód wyższego wykształcenia, głębszego poznania, szerszego na rzeczy ludzkie poglądu, gdy się na fatalne pryncypia 1789 roku narzeka, gdy się je szyderstwem okrywa lub ich nicość i marność wyświeca, gdy się ubolewa (jak to czyni i nasz autor) nad nieszczęśliwym losem Francyi, nad strasznymi dla niej następstwami jój rewolucyi. Czy Francya do takich, do Polaków w ogóle, nie miałaby prawa zawołać — aby lepiej nad sobą płakali?... nie chcemy na to pytanie na teraz odpowiedzieć, chociaż zdaniem naszym odpowiedź tu niewątpliwa. Ludziom dobrej wiary pragnęlibyśmy tylko to dać do pomyślenia, że ogólnego i ostatecznego sądu o rewolucyi wydać wcale niepodobna: a to z tój prostej przyczyny, że jój ostatecznych wyników jeszcze nie mamy przed sobą. Pod tą lub ową formą, w legalnych przekształceniach lub gwałtownych wybuchach, rewolucya wciąż postępuje, wciąż się rozwija — początki jój tak trudne do zbadania, nawet do oznaczenia, a koniec jój zupełnie jeszcze nie do przewidzenia: jakżeż więc o niej bezstronny wyrok wydać można? Ogrom przestrzeni i ogrom czasu: te są dwie wielkie, starożytnemu światu zupełnie nieznanne kategorye, które wszelki pogląd historyczny w chrześcijańskim świecie niezmiernie trudnym czynią, a przed współczesnym a ostatecznym sądem wszelki umysł rozważny wielce przestrzegają. Tucydyses w dojrzałej a trzeźwej starości, sięgał młodocianą pamięcią jeszcze heroicznój a młodzieńczej epoki maratońskiego pokolenia, potem był świadkiem trzydziestoletniego dramatu największych przemian w życiu zewnętrznym i duchowym swojego narodu, nareszcie przypatrywał się jeszcze długo wszechstronnym następstwom tych wielkich zaburzeń: w przeciągu jednego ludzkiego żywota widział wzrost, przesilenie i upadek świata, *jedynego* wówczas świata greckiego — i łatwo mu było zaiste tę całość objąć *jednym* poglądem i *jednym* dziełem,

z których pierwszy jest tak prawdziwym jak drugie klasycznym. Ale niechże się kto pokusi być Tuceydesem swojej epoki w naszym chrześcijańskim świecie! Ten sam historyczny rozwój, który tam trwał lat dziesiątki, tutaj trwa wieki, a scena, z małego półwyspu, tu rozszerzona do dwóch ziemskich półkuli! Nieskończoność, niezmierzonność, jest cechą chrześcijańskiego świata nie tylko w jego duchu i w jego myśli, ale i w jego czasie i przestrzeni. Między przyczyną a skutkiem leżą tu stulecia, a fala zdarzeń toczy się długo, bo aż dwie hemisfery otacza. Nie wiem, czy historia jest wistocie tą Teodyceą, jaką ją być głoszą, czy wistocie naucza unikania złego a ubiegania się za dobrem. Ale to wiem, że ona naucza, albo przynajmniej nauczać powinna cierpliwości — cierpliwości w nadziejach i ideałach, cierpliwości także i przedewszystkiem w sądzie o wielkich przemianach i katastrofach.

Takowa cierpliwość staje się wyższą rozważą w rozpoznaniu minionych epok; w rozpamiętywaniu zdarzeń współczesnych stać się ona musi kornym i ufnym uznaniem Bożego zrządzenia. Kto tej cierpliwości nie ma, ten epoki minione najfalszywiej oceni, a względem obecności dziwnie będzie niesprawiedliwym. Wojny krzyżowe mogą nam tu posłużyć za przykład. Wstrząsnęły one światem prawie tak gwałtownie jak rewolucya francuzka, zaległy równie wielkie obszary, równie wiele ludów w swój wir wciągnęły. Pragmatyk, któryby po za granice materialnego początku i końca tego wiekopomnego wstrząśnienia nie wzywał, któryby wciąż dodawał i odciągał drobne korzyści i drobne straty według elementarnej arytmetyki poziomego świata, takiby w rezultacie niezawodnie otrzymał jedno wielkie zero; takiby się nie dopatrzył tu żadnych prawdziwych skutków, żadnych, któreby swoją wielkością odpowiadały wielkości pierwszego popędu; takiby sobie powiedział, że całe owe olbrzymie wysilenie ludzkości spełzło marnie

i bez owoców — bo nawet i bezpośredni cel tyłowiekowego trudu, odzyskanie grobu Świętego, nie został osiągnięty. A jednak rzeczą to niezawodną, że wojny krzyżowe nowemi tory pchnęły ludzkość całą, że zbliżyły do siebie narody, rozszerzyły granice wiedzy i uczucia, że wpłynęły na przeważne rozwijanie się handlu i przemysłu, na wyzwolenie trzeciego stanu, ulżenie ciemionych klas społeczeństwa, że wreszcie dały pierwszy pochop do tych wielkich okryć na morzu i lądzie, które postać świata z czasem odmieniły, i że książę Henryk, Kolumb i Vasco byli duchowymi potomkami owych krzyżowców i dzieło przez tamtych rozpoczęte ostatecznie spełnili: że, jedném słowem, w pozyskaniu Ameryki otrzymało Chrześcijaństwo wynagrodzenie za stracony grób Zbawiciela. Ale, aby to poznać i uznać, trzeba z dalekiej perspektywy wielkich przestrzeni i czasów zapatrywać się na bieg spraw ludzkich, trzeba cierpliwie przed sobą przepuścić narody i pokolenia w ich wolnym pochodzie, trzeba za sobą mieć doświadczenie całych pięciu wieków!... Jak długo trwa doświadczenie rewolucyi francuzkiej? Lat siedm-dziesiąt niespełna. — I mybyśmy już mieli o niej, o jej ostatecznych skutkach i wpływach, ostatecznie wyrokować!

A wszakże, częściowe rezultata téj wielkiej przemiany, pierwsze podwaliny nowej budowy przyszłości już stoją przed nami, wyzywają śmiało sąd i nie każą nam bynajmniej wierzyć, aby początek tego dzieła był w « Szatanie » a koniec w piekle. Plony odniesione już w ciągu trwającej jeszcze walki nie dają żałować jej rozpoczęcia i lepszą nam robią otuchę o ostatecznej wygranéj. Wolność indywidualna, bezpieczeństwo własności pracy, równość w obliczu prawa, wolność sumienia i wyznań, uprawnienie wszystkich do rozwijania swoich zasobów materialnych, moralnych i intelektualnych, większy udział obywateli we własnych rządach i sądach, wię-



ksza baczność na dobro ogółu a mniejsze uwzględnienie pojedynczych przywilejów i kast, otwarcie dróg do współubiegania się w zaśludze, przypuszczenie coraz szersze coraz liczniejszej masy do oświaty i wykształcenia, większa sprawiedliwość w rozkładzie podatków, większa gospodarność w ich szafowaniu — te są wielkie, wiekopomne i wiecznotrwałe zdobycze (a ileż to innych jeszcześmy przeminęli!), które rewolucya francuzka otrzymała na feodalności, na zapleśniałych stosunkach XVIII wieku i rozpadłych społeczeństwach minionych pokoleń. Te są znamiona, które ją czynią erą wielką dla ludzkości, erą zbawienną i pożądaną, której dobrodziejstwom błogosławić będzie jeszcze najpóźniejsza potomność. Można ten granitowy pomnik pruchniejącym chcieć obgryzać zębem; można przemądrze dowodzić, że te wszystkie korzyści są albo pozorne albo szkodliwe, ba nawet przeciwne Duchowi Świętemu; można zaręczyć, że wszelkie możebne i godziwe wolności już istniały w wiekach średnich, w dawnych przywilejach i kartach, w jakiejś mistycznej i mytycznej konstytucyi Walezyuszów czy Kapetyngów — ninięj więcej jak forma republikancka w akcie wyniesienia Klowisa na tarczy wśród rynku. Będzie to luźna zabawka dla wpułkształconego i wpułspaczonego próżniaetwa, i pozyska to może oklaski kilku zezőłkłych, jak ich pergaminy, duaryerek. Ale rozważny myśliciel będzie dla takich wysileni miał tylko uśmiech litości, i jedném wzruszeniem ramion wywróci całą tę dziecinną budowę kart — wydartych z de Maistra i Cassagnaca, Falloux i Poujoulata!

Okrucieństwa i zbrodnie popełnione w czasie téj olbrzymiej walki, nikczemność przywódców i rozpasanie ludu, przelew krwi i zaćmienie sumień i prawd odwiecznych, były prawdziwie straszne i oburzające. Dla tych podłości i występków nie ma dosyć słów potępienia i przeklęstwa, a bezrozumne i bezbożne ubóstwienie bo-

haterów terroryzmu powinno być surowo karcone. Ale w tych falach krwi i błota chceć zanurzyć całą sprawę rewolucyi, chceć dowodzić fatalnej solidarności między owymi ludźmi a jej pryncypiami, kiedy owi ludzie dawno w proch się zamienili i w większej części już i na tym świecie zasłużonej ulegli karze, gdy tymczasem owe pryncypia trwają dotąd, wciąż się rozwijają i prawdziwy węgielny stanowią kamień całej nowej konstytucyjnej świata budowy : jest usiłowaniem zarówno płochém jak szkodliwém ; bo zamiast prowadzić do oświecenia umysłów i ustalenia przekonań, rodzi tylko zamięszanie w pojęciach i zaciekłość w interesach i instynktach. Dowodzi to zresztą zupełnego braku historycznej intuicyi i znajomości serca ludzkiego, gdy się n. p. do takiej epoki jak Konwencyi przykładą miarę i wymagania naszych zimnych i spokojnych czasów, gdy się wypuszcza z rachuby wszystkie niezwykle sprężyny entuzjazmu i rozpaczy, wiary w umarzone szczęście ludzkości i trwogi przed najazdem obcych i zdradą wewnątrz, które duszą Francyi wtenczas kierowały i popychały ją do « wielkich czynów i do większych zbrodni. » Z rozpasania żołnierzy w czasie popłochu i ogólnej rozsypki, niechaj nikt nie wnosi o wartości tego wojska, a jeszcze mniej o wartości jego chorągwi i jego sprawy ! Sfinks rewolucyjny, ma to same jak Sfinks Tezeuszowy słowo do rozwiązania swojej strasznej zagadki, a tém słowem jest *człowiek* : człowiek z całą jego szczytnością i małością, z całym jego popędem do bozkich dzieł i zwierzęcych chuci, z całą duszą duchową i ciałem cielesném ! Kto tego człowieka nie zna, nie rozumie, pojąć nie jest w stanie, ten niechaj nie przystępuje do wyrokowania o owej epoce, o której Carlisle z taką trafnością powiedział, że była jakby przybliżeniem Dnia Ostatecznego. Na dniu zaś ostatecznym nie ma rokowego miejsca dla powiatowych sędziów instrukcyjnych ; miejsce tam tylko dla Boga Wszechwiedzącego i Wszechmiłującego, lub dla wiel-

kiego geniuszu, który słabym jest Jego odbłaskiem. Takim geniuszem nie będzie nigdy żaden z tych doktrynerskich skrybentów, co nie rozumieją ani tytanicznych namiętności serca człowieka ani prometeuszowych błędów jego umysłu, i nie mogą wcale przypuścić, że są burze na Oceanie, kiedy woda w ich szklance jest tak spokojną a nawet tak ocukrzoną!

Zamiast patrzeć wciąż w tę ciemną i krwawą stronę obrazu i tam coraz ciemniejsze i krwawsze wynajdywać plamy, czemuż lepiej nasi rodacy (i nasz autor między nimi) nie raczą zwrócić swojej uwagi na stronę jego świetną i jaśniejącą blaskiem, z której zaprawdę większąbyśmy mogli odnieść naukę i korzyść? Ludzie z epoki Konwencyi mogli o wszystkim zropaczyć: ale nie zropaczyli nigdy o Ojczyźnie, bronili jęj wszelkimi siłami, siłami, rzec można nadludzkiemi. Żaden terrorizm, żadne okrucieństwo, żadne straty nie odwróciły wówczas Francuza od pełnienia swego obywatelskiego i żołnierskiego obowiązku... Jakież w tém dla nas upomnienie, och, i jakież zawstydzienie! i jakżeby to nierównie lepiej był zrobił nasz autor gdyby, zamiast usprawiedliwiać w jakiejś tam nocie emigrantów Koblenckich, był nam pokazał, jak to wówczas Francuzi świadczyli i dowodzili tęg miłości dla kraju, którą my się tak często przechwalać lubimy! W tym samym czasie co Francya, i Polska zagrożona była najazdem obcych. Mieliśmy czystsze sumienie, ręce wolne od krwi, umysł wolny od szafu. Jakżeśmy się obronili, jakżeśmy się tylko bronili!... Gdy Francuza nawet wieść o skazaniu na śmierć ojca, brata, syna, nie była w stanie oderwać od narodowej chorągwi, u nas lada panek, za lada mniemane ubliżenie, za nieobranie na marszałka, jak Szczęsny, udawał się do obozu nieprzyjacielskiego i dosługiwał się łask u Carowej! Gdy tam czternaście armij walczyło za konstytucyą, której nikt nie uznawał, która nigdy nie weszła w wykonanie; jakżeśmy to sromotnie opuścili



sprawę téj konstytucyi, którą cały naród był z zapalem przyjął, jako jutrzenkę swego odrodzenia był przywitał, jako palladium swój wolności był ogłosił! Gdy Francya, mimo strasznych błędów i «szatańskiej» rewolucyi, jednak się ostała, całej sprzysiężonej Europie się oparła, całą Europę podbiła, a podbita nawzajem, jednak swoją całość zachowała a teraz na czele wszystkich stoi ludów — mamyż powiedzieć, czemuż my jesteśmy?... Mamyż w istocie prawo ubolewania nad tą biedną Francją!...

Tyle tylko chcieliśmy powiedzieć z powodu dzieła, które w pociesznej swojej niewinności znajduje bezpieczną obronę przeciwko wszelkiej krytyce surowości —  
*The rest is silent.*

## DZIEJE PANOWANIA AUGUSTA II.

---

5 i 12 września.

### I

Doraźność dziennikarskiego zawodu, a bardziej jeszcze szczupłość sił pracujących w tém piśmie niechaj wytłumaczą, że dopiero teraz przychodzi nam mówić o dziele, które już prawie od roku jest w obiegu i żywo obchodzić powinno miłośnika historyi i krajowego publicystę. Mamy tu na myśli opowiadanie pierwszych pięciu lat panowania następcy Sobieskiego, którym jeden z naszych uczonych rodaków rozpoczął, widocznie na większe rozmiary zakreślony obraz naszych dziejów w XVIII wieku. Autor téj pracy pod niejednym względem zasługuje na uwagę i uznanie. Należy on do téj tak małej teraz liczby ludzi w Wielkopolsce, którzy z ochotą i wytrwałością uprawiają niwę literatury ojczystej, do jeszcze mniejszej liczby młodzieży w tamtych stronach, która z obecnej politycznej stagnacyi i z braku wszelkich europejskich zamięszań nie bierze pochopu do wygody, niekoniecznie godziwej i gędnjej. Mimo

swoich stałych zatrudnień w zawodzie prawniczym, bardziej przez wzgląd na krajowe niż osobiste potrzeby podjętych, młody nasz autor bierze udział żwawy i gorliwy w warszawskim dziennikarstwie, które nieraz bardzo ciekawymi studiami zasila. Oprócz tego, wydaje on od lat kilku p. t. *Teki Podoskiego* bardzo szacowne materiały do dziejów naszych z przeszłego stulecia. Nareszcie znalazł jeszcze czas do rozleglejszej i samodzielnej pracy nad wiekiem Sasów, a spory tom dziejów Augusta II jest tak dobrze próbą jak zapowiedzią bardzo obszerną i ważną historyczną kompozycyją.

Jeśli ta pracowitość i gorliwość wielkich godne są pochwał, to na nierównie większe jeszcze, zdaniem naszym, zasługują zdrowy instynkt publicyisty i dokładne poznanie naszych potrzeb, jakich dał dowód poczynający pisarz samym obiosem swego przedmiotu. Przystąpił on do epoki naszych dziejów najmniej ponętnej i budującej, ale też zarazem najbardziej nauczającej i najściślej związanej z naszą obecnością. « Patryotyczne pióro dotychczasowych historyków polskich, powiada autor pięknie na samym wstępie swego dzieła, omijało ten tragiczny ustęp przeszłości naszej, pełen nieszczęść i zgrozy wiek Sasów, jak zabobonny wieśniak mogiłę samobójcy o północnej godzinie. » Być wszakże może, że nie sam, jak myśli autor, naturalny wstręt do tej epoki naszego widocznego upadku, jest przyczyną takiego jej omijania; wstrętu tego przynajmniej nie podzielają nasi powieściopisarze, którzy najfałszywsze i najszkodliwsze o wieku XVIII u nas mają i szerzą wyobrażenia. Możeby przyczyny tego milczenia naszych historyków należało szukać daleko głębiej, w ogólnym naszym usposobieniu do odbiegania wszelkich żywotnych, realnych i bezpośrednich zadań życia, a zajmowania się, powiedzmy prawdziwiej, odurzania się najmniej potrzebnymi i najbardziej od naszych celów odległymi przedmiotami. Przecież nierównie szczęśliwsze



i wdzięczniejsze od Saskich, Zygmuntowe, Batorowe lub Jagiellońskie czasy, nie potrafiły u nas zachęcić żadnego znakomitszego pióra! Rzec można, że dzieje Zygmunta III przez Niemcewicza były ostatniem u nas historycznym dziełem, poczętym w duchu prawdziwie obywatelskim, w celu publicznym i narodowym, a nie w myśli archeologicznej albo—neologicznej. Co tylko znamienitszego odtąd na polu historycznym się objawiło, to prawie wszystko odnosiło się do czasów najmniej związanych z obecnymi naszymi potrzebami i widokami, najmniej interesujących życie publiczne i obywatelskie, do czasów pierwotnych i prawie przedhistorycznych, piastowych lub słowiańskich, w których nie naród praktyczną naukę, ale kilku uczonych powody do nieroztrzygniętych nigdy sporów, a kilku fantastów podniety do najluźniejszych marzeń i widzeń znajdować mogło. Uciekanie się do najodleglejszej, najbardziej oderwanej i wątpliwiej przeszłości, lub znowu do najodleglejszej, najbardziej oderwanej i wątpliwiej przyszłości, z trwożnym unikaniem wszelkich jasnych epok i określonych obowiązków : te są znamiona naszych umysłowych i duchowych usposobień, tak dobrze w każdej sferze narodowej czynności, jak też szczególnie w dziedzinie historycznych badań. Ale też tym większa zasługa młodego pisarza, o którym mówimy, że temu ogólnemu nie folgował popędowi, że zamiast do lasa poszedł do Sasa, i śmiało przystąpił do zadania, którego związek z naszą obecnością czuł bardzo dobrze. Autor sam to rozumiał i wypowiedział, że zabrawszy się do historii Augusta II, zasiadł tylko do szerzej pojętych dziejów teraźniejszości naszej, a jeszcze słuszniej utrzymuje, że właśnie panowanie Sasów powinno się stać dla nas szczególnym przedmiotem pracy i badań, że właśnie dla myślącego głębiej Polaka dzisiejszych czasów, jest ważnym w praktycznych następstwach zadaniem śmiało dotknięcie się tej epoki, od której dotąd,

jak niemogąca znieść widoku krwawej rany niewiasta, uciekaliśmy. Dzielimy w tej mierze zupełnie przekonanię autora, i możemy tylko przyklaskiwać jego odwadze w podjęciu takiego trudu.

Czy wszakże z tą odwagą szła zawsze w parze i potrzebna rozważa? Czy ze szczęśliwem uznaniem czasowej potrzeby, nie łączyła się mniej szczęśliwa powolność dla czasowych uprzedzeń? Czy wreszcie, chwalebnej chęci przedstawienia epoki saskiej towarzyszyło także wszechstronne i głębokie jej poznanie i zrozumienie?.. Chcielibyśmy na te pytania w krótkich odpowiedzieć uwagach, ze szczerością, której żadne względy ani na osobistą naszą przyjaźń dla autora, ani na drażliwość samego przedmiotu, krępować nie będą.

Co się nasamprzód tyczy samej faktycznej treści nowego dzieła, to tu tylko żałować możemy, że autor swój przedmiot tak mało starał się wyczerpać i przyszłym następcom tak wiele jeszcze obfitego plonu do zbierania zostawił. Gdy historyk przystępuje do epoki mało znanej, a do tego jeszcze fałszywie pojmovanej, pierwszym jego obowiązkiem jest otoczyć się jak największym zasobem materyałów, jak najliczniejszym poczem świadectw współczesnych i wiarogodnych. Gdy nadto ta epoka, jak właśnie czasy saskie u nas, jest bardziej dyplomatyczną niż wojenną, bardziej domową i gabinetową, niż publiczną i parlamentarną, gdy wszystkie ważniejsze wypadki odbywają się nie na otwartem polu wielkich akcyj, ale w cieniu rządowych i prywatnych tranzakcyj i intryg : badacz nie zechce zaprzestać na samych urzędowych aktach i znanych opowiedaniach, i będzie szukał światła w tajnych korespondencyach i archiwach, w poufnych listach i depeszach. Pod tym względem, sądzimy, że autor dziejów Augusta II zbyt się ograniczył w poszukiwaniu źródeł i za mało uczynił starań o głębsze i pełniejsze informacye. Korzystał w prawdzie wiele z Załuskiego, Parthenaya, Nordberga,

z najnowszej pracy Foerстера i t. p. Ale nieznanym, rękopiśmiennym zwłaszcza materyałów nigdzie nie użył; bo nawet ciekawa i nauczająca korespondencya Polignaca dawno już wyszła drukiem w *Przeglądzie Poznańskim*... A wszakże, skarbów dotąd utajonych jest jeszcze tyle, i jedne już archiwa Drezdeńskie muszą zawierać niezmiernie wiele cennych, dla historyka tój epoki niezmiernie pożądanym objaśnień. Jakież nowe światło na nasze dzieje rzuciły tylko depesze dwóch saskich ambasadorów w Warszawie i Petersburgu (Essena i Sackena), które z tych archiwów niedawno ogłosił Dr. Herrmann w swojej historyi rossyjskiej! A listy te należą już do lat trochę późniejszych, do czasów, w których dwór saski żadnego już bezpośredniego nie brał w sprawach polskich udziału i był w nich ciekawym tylko spektatorem, nieśmiałym co najwięcej ekspektantem. Jakżeż więc nierównie liczniejsze i ważniejsze materyały znajdować się tam muszą dla tój epoki właśnie, której dzieje kreśli nasz autor, i w której dom saski nad Polską panował! Być może, że przystęp do Drezdeńskich archiwów jest trudny, chociaż nie myślimy, aby był niepodobny; ale autor nie powiada nam, aby jakiegokolwiek w tój mierze był poczynił kroki. I tu także, w Paryżu, posiadamy część rękopiśmiennych zbiorów, uratowaną z Biblioteki Puławskiej i Poryckiej, któraby historykowi XVIII wieku nieocenione ofiarować mogła skarby. Same tak nazwane *Teki Naruszewicza* liczą kilkadziesiąt woluminów in folio, do epoki, o której mowa, odnoszących się. Wszakże, ile wiemy, i o przejrzenie tych tak ważnych materyałów nie postarał się nasz autor. Zaprzestał na dziełach znanych i drukowanych, i z nich czerpał wszystkie fakta i wiadomości. Bez wątpienia, ułożenie w jednolitą i jasną całość rozproszonych w różnych księgach szczegółów, jest zawsze wdzięczną i pożyteczną pracą; ale nierównie większą byłby nasz historyk oddał literaturze usługę,



gdyby na tém się nie był ograniczył, a w każdym razie powinien był przestrzedz, że aktów procesu ani w całości, ani nawet w najważniejszej ich części przed sobą nie miał, i że zatem wypadłe wyroki możebnej, a nawet koniecznej podlegają rewizyi.

Zbadanie przyczyn naszego upadku, wyszukanie źródła naszych klęsk w przeszłym stuleciu : taki ważny cel założył swojej pracy autor dziejów Augusta II. Historyk, zabierający się do opisanie podobnej epoki, na dwa szczególnie dziejowe momenta będzie miał przedewszystkiém zwróconą uwagę : na konstytucyjną ustawę państwa i na moralne usposobienie pokolenia, straszną dotkniętego katastrofą; i w pierwszej będzie szukał tajemnych zarodków zguby, które pod wpływem drugiego złowrogo dojrzały. Logiczny i naturalny ten sposób zapatrywania się tém bardziej jest u nas wskazanym, że kwestya konstytucyjna główną odgrywała rolę w wypadkach, które rozbiór naszej ojczyzny poprzedziły lub go spowodowały, że ustawa nasza rządowa przez dwa wieki była nieustannym przedmiotem patryotycznych obaw wszystkich znakomitych ludzi u nas, i że ją przedewszystkiém, jako naczelną przyczynę naszego upadku uważają wszystkie wyższe umysły, wszyscy sędziowie dziejów i mistrze historyi, w Polsce jak i w reszcie Europy, tak dobrze Andrzej Zamoyski, Staszyc, Czacki i Niemcewicz, jak Spittler, Macaulay, Schlosser i tylu innych jeszcze. Na nieszczęście, autor dziejów Augusta II należy do téj nowéj u nas historycznej szkoły, która ustawę naszą rządową, jaka się wykształciła w ciągu XVII i XVIII wieku, uważa za prawdziwą arkę narodowego ducha, za najwyższy wyraz naszego politycznego wykształcenia, i fatalnie z nią łączy całą naszą przeszłość a nawet i przyszłość. « Ustawa ta, cokolwiek jęj zarzucić można — powiada dosłownie autor — jest przecież i pozostanie zawsze wielkim i szczytnym pomnikiem naszej zbiorowój dojrzałości i naszego rozumu poli-

tycznego, » a w końcu nawet zaręcza « że czas uznania całej jej wielkości i głębokości nie nadszedł jeszcze... »

Więc jeszczeby nie nadszedł czas sądenia tego, co przez tyle klęsk i nieszczęść, przez tyle okropnych doświadczeń i strat niepowetowanych, przez tyle strasznych przepowiedni i straszniejszych ziszczeń, przez rozum wszystkich myślących i przez głos całego świata oddawna osądzoném zostało ! Więcbysmy na zawsze już skazani byli w tych samych błędzić wciąż ciemnościach i szukać lekarstwa tam, zkąd dla nas najśmiertelniejsza sączyła się trucizna ! Więcbysmy w drugiej połowie XIX wieku znajdowali się jeszcze na tém samém stanowisku, na jakim nas zastał wielki Konarski, gdy przeciwko *liberum veto* i *elekcji królów* pisał !...

Bo nie łudźmy się ! To co nasz autor i zwolennicy jego szkoły eufemicznie « naszą polityczną ustawą » nazywają, jest poprostu owe samowładztwo szlacheckie i elekcyjne królestwo, które dopiero na końcu XVI wieku u nas wykształciły się i naród do ostatecznej przywiodły zguby ! Przed zejściem tego nieszczęśliwego zasiewu, była Polska rządzoną i silną, cywilizowaną i cywilizującą, szanowaną u obcych, spokojną i zacną u siebie. Od wybuchania zaś owych dwóch strasznych pryncypiów, które nam jako najwyższy wyraz naszej politycznej mądrości chcą przedstawić, zaczął się nasz widoczny upadek, zaczęło się rozprężenie wszystkich naszych sił politycznych i socyalnych. Wszystko co u nas miało głowę i serce, wszyscy wieley nasi ludzie co mieli wyobrażenie o rządzie i jakieś rozleglejsze widzenie rzeczy, Skarga i Kochanowski, Batory i Władysław IV, Jan Kazimierz i Marya Ludwika, Ossoliński i Sobieski, Konarski i Andrzej Zamoyski, wszyscy oni przez wszystkie czasy walczyli przeciwko téj « ustawie », wszyscy widzieli w niej, przewidywali, przepowiadali ruinę publiczną, sromotę narodu, rozdarcie ojczyzny ! Wszystko przeciwnie co u nas było ciemnotą i złością, a *około nas* cheiwością i pod-

stępem, broniło tych instytucyj, których godło ostatni raz jeszcze widział naród na chorągwiach — Targowicy! I czyż ten jeden fakt, tak jasny, tak prosty, a tak wielomówny, nie daje nic do myślenia naszym nowomodnym historyzozofom?...

Szkoła, do której nasz pisarz należy, ma dziwną metodę zagmatwania wszelkich historycznych pojęć i faktów. Pod ogólną tę nazwę «naszej politycznej ustawy» podciąga ona najróżnorodniejsze prawodawstwa najróżnorodniejszych czasów, wiąże z nią wszystkie nasze wielkie przymioty i czyny, cały nasz rozwój historyczny w najfatalniejszą wprowadza solidarność z elekcyjnym królestwem i szlacheckim samowładztwem, i taki gordyjski uplotłszy węzeł z naszych dziejów, woła śmiało: któż go się rozciąć odważy? Któż zechce rzucić klątwę na cały swój naród, potępić całą Polskę, począwszy od jej kolebki, ogłosić nasz byt dziesięciowiekowy za jedną ciągłą omyłkę w bożej rachubie świata? *Distinguere tempora* jest tej szkole rzeczą tak obcą i niepożądaną, jak *rerum cognoscere causas*. Jakżeż nie szanować rzeczypospolitej, powiada i nasz autor, która na czele swjej ustawy napisała: *Neminem captivabimus!* Ależ prawo *neminem captivamibus* nie miało przecież nic wspólnego z naszą «ustawą» elekcyjnego królestwa i szlacheckiego samowładztwa! Ależ piękne owo prawo daleko przedtém egzystowało i tych nowych instytucyj do swego istnienia wcale nie potrzebowało, tak jak się bez nich obyło i podobne mu *habeas corpus* w Anglii! Jakżeż nie korzyć się, woła dalej nasz historyk, przed konstytucją, pod której cieniem naród objawił taką łagodność obyczajów, takie święte szanowanie życia ludzkiego, podczas gdy o tej samej porze krew bratnia się lała strumieniami we Włoszech, we Francyi i Niemczech! Ależ łagodność obyczajów, szanowanie krwi chrześcijańskiej, wszystkie te piękne cechy odznaczały nas i w wiekach średnich, gdyśmy jeszcze owęj



« ustawy » nie mieli i gdy reszta Europy ten sam ciągły przedstawia widok morderstw, podstępów i rozbojów ! Nie w naszej formie rządowej to szukać przyczyny naszej czystości, ale w naszym plemiennym charakterze, w łagodnej i dobrej sławiańskiej naturze, którejsmy się właśnie zazwyczaj wtenczas pozbywali, ile razy nam przychodziło pełnić fatalne funkcyje owęj naszej ustawy, i w czasach to elekcyj, konfederacyj i « kół » objawiały się u nas nieraz okrucieństwa i gwałtowności, od których zresztą dalekie było nasze rodzime, moralne usposobienie ! A jeśli autor w końcu jeszcze « łatwość przebaczenia » jako zaletę naszej konstytucyi przytacza, i z zadowoleniem wskazuje, że gdy w Anglii po spisku Monmoutha i wyprawach pretendentów zapełniały się rusztowania i więzienia, w Polsce tymczasem ani Zebrzydowski, ani Lubomirski, ani żaden z hersztów tarnogrodzkich nie przyplącił głową... to my tylko możemy odpowiedzieć, że właśnie ta łatwość przebaczenia rodziła u nas i łatwość przestępstwa, że właśnie wielkiem, oplakanem nieszczęściem było naszym, żeśmy wszystko kończyli *polubownie* — nawet i zdradę kraju ! Gdyby u nas nie tak łatwo przebaczali Zebrzydowskiemu, Lubomirskiemu i Radziejowskiemu, nie znaleźliby się potem tak łatwo i owi Szczęśni, Rzewuscy i Branicy ; gdybyśmy umieli byli w swoim czasie karać przestępców, nie słyszelibyśmy może niedawno « *je saurais sévir* » z ust Alexandra II !...

Fantazyja poetyczna może wiele upiększyć, fantazyja szlachecka wiele zagmatwać, ale historia będzie zawsze tylko nauką doświadczenia, a w osądzeniu jakiejś politycznej ustawy, w wyrokowaniu o jej mądrości i wielkości będzie miała dwa główne *criteria* : dobro, które ów system przynosił największemu ogółowi narodu, najliczniejszej masie jego obywateli, i bezpieczeństwo, potęgę i trwałość, którą zapewnił państwu. Dwa zaś te najwyższe, najprawdziwsze *criteria* przyłożone do naszej

konstytucyi, stać się zawsze muszą jej najkrwawszą krytyką. Uciemienie, spodlenie ludu, unicestwienie najliczniejszej masy obywateli państwa, jest niezatartém, kaimowém piętnem téj braci szlachty, w czasie jej wielkorządów. Żądać, woła nasz autor, żądać od polskiej szlachty XVI i XVII wieku urzeczywistnienia filozoficznych wyobrażeń XVIII i XIX stulecia, jest w najlepszym razie naiwną śmiesznością! Tak naiwnymi téż i nie jesteśmy, i tak dalece nie posuwamy retrospektywnej demokracji. Ale jest to historycznie dowodném, że u nas w miarę rozwielenienia się szlachty, tracił lud na swojej godności i na swym dobrym bycie, że krok w krok za złotą wolnością rycerzy szła żelazna niewola chamów, że z coraz większém wykształceniem się szlacheckiej swawoli wzmagająca się i u nas i klasa Helotów! Jest to historycznie dowodném, że mieszczanin i chłop u nas jeszcze w XIV i XV, jeszcze nawet i w XVI wieku mieli swobody i prawa, bili się za ojczyznę i jej używali opieki, a że z postępem naszej « ustawy », z rozwojem szlacheckiego samowładztwa i elekcyjnego królestwa, coraz sromotniejszemu zaczęli ulegać losowi, aż nakoniec wyzuci zostali z wszelkich praw obywatelstwa, z wszelkich praw do życia i w obojętną, martwą się zamienili masę, w wielki ogrom bez duszy, bez myśli, bez pojęcia nawet ojczyzny! Co się zaś tyczy bezpieczeństwa, potęgi i trwałości, jaką nasza ustawa zapewniała państwu — na to jest odpowiedzią nasza sromotna obecność, bezprzykładne w dziejach rozszarpanie Polski, bezprzykładny w dziejach upadek tak wielkiego niegdyś narodu! Tyleśmy mieli zasobów, a tak małośmy działali! Tyleśmy wydali bohaterów i mężów stanu, a najopłakańszej popadliśmy zagładzie! Tyleśmy zaleli ziemi i krajów, a dzisiaj się tułamy po świecie! Tyle liczyliśmy zwycięstw i zdobyczy, a jęczymy w kajdanach! Naród, może najbitniejszy w świecie, nie umiał w końcu i 20,000 wystawić żołnierza na obronę swego bytu, swój

niepodległości? Szlachta, która z sejmików wciąż szła na sejmik i z trybunałów w elekeye, objawiła wkońcu najzupełniejsze ubóstwo politycznego wykształcenia, najzupełniejszy brak publicznego ducha, i krzyczała do chrypki jeszcze swoje wiwaty, gdy już do dna wychylała kielich zaprawionęj przez obcych trucizny!...

Nie wina to naszêj ustawy, odpowie tu nam autor i jego historyczna szkoła, wina to ludzi, którzy do jêj wysokości podnieść się nie byli w stanie; wina to zepsucia następnych pokoleń, zmalenia późniejszych obywateli! Ustawa była wielka i szczytna, tylko że ich wykonawcy byli mierni i nikczemni!.... Ale rozważny myśliciel tój tylko konstytucyi przyzna charakter mądrości i wielkości, która nie na nadludzkiêj enocie ale na ludzkiêj jest oparta naturze, która nietylko z dobrém iść w parze ale i od złego uchować jest w stanie, która nietylko z wielkimi ludźmi ale i bez nich się utrzymać i brak ich w potrzebie zastąpić potrafi! Klasy rządzące w Anglii XVIII wieku, były może bardziej zepsute, niezawodnie nie były lepsze od naszych w tój samej epoce. Nieszczęścia i klęski waliły się wtenczas na naród angielski piętrami. Ameryka niepowrotnie się była oderwała; w kraju samym wrzały umysły podniecane wicherzeniami Wilkesa i innych demagogów; europejska wojna z Francją żądała coraz nowych ofiar; następea tronu był w powszechnêj pogardzie, a ministrowie musieli wkońcu publicznie oświadczyć, że król dostał pomieszania zmysłów... Taki był stan tój Anglii na końcu przeszłego stulecia! Ale wtedy się tóż pokazała cała wielkość i mądrość jêj politycznêj ustawy, która poważnie i godnie nie przestała funkcyonować mimo sodomskiego zepsucia rządzącej arystokracji, mimo utraty Ameryki i wojny powszechnêj, mimo wzburzenia umysłów i gwałtowności opozycyi, mimo poniżenia królewicza i szaleństwa króla. Z naszą natomiast ustawą, i nawet wtenczas gdyśmy największych mieli obywa-



teli, najszczytniejszych bohaterów, najpoświęceńszych synów ojczyzny. Polska — tylko chromała; a gdy tych ludzi zabrakło, upadła: upadła, nie znalazłszy w swych instytucyach żadnego środka ratunku, żadnej podpory, znalazłszy w nich przeciwnie najśmiertelniejsze narzędzia własnej zguby... Nie przez konstytucyą to swoją stała Polska w XVI i XVII wieku; stała ona mimo niej i wbrew niej, przez kilku wielkich, rzadkich mężów, których nam Opatrzność wówczas nadarzyła (1)! Oni, oni jedni dźwigali na swych barkach cały ciężar państwa, ciężar do atlasowego powiększony ogromu wyrachowaną inercyą naszych politycznych urzędzeń i nieobrachowaną gnusnością samowładnego szlachectwa; oni, oni jedni bohaterską swą pierśią zastawiali wszystkie wyłomy naszej ustawy, przez które najazd i rozbiór, i zaprawdę nie od wczora, wciąż się wdzierały. Oni to, na własną rękę i na własną odpowiedzialność, ku obronie ojczyzny i sławy, zaciągali waleczne te wojska, których sejm, ten najwyższy organ naszej ustawy, nigdy na czas, ani w potrzebnej sile, ani z potrzebnymi środkami nie chciał dekretować, chociaż naturalnie w paktach konwentach nakazywał królowi zawsze i odzyskanie Inflant, i pogromienie Moskwy i zwalczenie Turków, i o to wciąż się upominał. Oni to z własnej kieszeni opędzali głównejsze koszta wojen i wypraw, gdy nasze sejmiki, te drobniejsze organki naszej ustawy, nigdy podatków wypisać, a wypisanych płacić nie chciały. Oni to bronili majestatu króla i narodu, gdy taka konfederacya jak pod Ujściem, także według dowodzeń nowomodnej szkoły jeden z legalnych organów naszej konstytucyi, przedawała przysięgę, sumienie, wiarę i kraj obcemu najezdnikowi! I to jest właśnie co te wielkie nasze historyczne figury z XVI i XVII wieku

(1) *Ac mihi multa cogitanti constabat paucorum civium egregiam virtutem cuncta patravisse.*

robi tak prawdziwie tragicznemi, tak nieporównanie klasycznemi : bo jak w klasycznej tragedyi walczyli ci męże heroicznie za dobrą i świętą sprawę przeciwko nieubłaganemu fatum naszej fatalnej konstytucyi ! Gdy to bohaterskie, tebańskie pokolenie wygasło, a pole walki zostawiło Epigonom, gdy nam nie stało Tarnowskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Czarnieckich — wtedy się pokazała cała wartość naszej ustawy, która już niewstrzymanym pędem prowadziła nas w przepaść. Wtedy się pokazało, że całe ciało narodu było jedną piętą Achilla, i że państwo niemylnie, niechybnie i — *legalnie* zdążyło do samobójstwa; a czyhający na śmierć naszą sąsiedzi, mieli tę jedyną tylko troskę, abyśmy w nietykalnej całości zachowali tę formę rządu, którą nowomodna szkoła teraz « wielkim i szczytnym pomnikiem naszej zbiorowej dojrzałości i naszego politycznego rozumu » mianuje, tak jak ją swego czasu i « świętą » być głosiła Moskwa : *la sainte liberté des élections en Pologne* pisała Katarzyna ! O, była to straszna ironia losu, że właśnie te mocarstwa, które Polskę podzieliły, tak gorliwie w niej przez wiek cały pielegnowały *liberum veto* i elekcyjność tronu ; była to straszna ironia losu, że właśnie wyobrazicielką i mścicielką naszej złotej wolności była w końcu — Targowica i caryca ! Nietylko w tylu tragicznych, ale i w tych komicznych, w tych tragi-komicznych przykładach zaostrzyła nam Opatrzność tę tak prostą, tak jasną, a tak jeszcze przez nas niepojętą przestrożę ; a zaprawdę, jeśli dla głębokiej, tacytowej nauki, w naszych dziejach złożonej, już nie mamy zmysłu, to przecież powinniśmy wreszcie zrozumieć choć tę — prawdziwie szekspirowską w krwawym dramacie naszego rozbioru — ironią !...

Pisarz nasz wszystko zwała na nasze zepsucie w XVIII wieku... Zepsuciu temu bynajmniej nie zaprzeczamy; naznaczamy mu owszem (jak to jeszcze następnie obja-

śnim) daleko szersze koło, niż mu zakreślił nasz historyk. Ale jest to właśnie i pozostanie pierworodnym, nieodkupionym grzechem naszej konstytucji, że temu zepsuciu nie przeszkodziła, że je owszem krzewiła, własnymi sokami karmiła i najskuteczniejszą i najśmiertelniejszą w jego ręku stała się bronią przeciwko matce ojczyźnie! Jest to i pozostanie pierworodnym, nieodpuszczonym grzechem naszej ustawy, że najczystsze i najsilniejsze pokolenie na niej się ustalić nie potrafiło, a słabe i zepsute w niej tylko się zaprzepaścić mogło i musiało! Autor tego nie widzi, widzieć nie chce: i dlatego też nie rozumie tych ludzi, co wówczas szukali zbawienia w jedynym środku, w którym je znaleźć można było — reformie... Zastanowimy się nad tem w następnych uwagach.

## II

Nie chcąc uznać całej zgubności naszej politycznej ustawy, sławiąc ją owszem bezwzględnie i bezwarunkowo jako szczęśliwy wyraz narodowej dojrzałości i mądrości, autor  *dziejów Augusta II*  musiał koniecznie w zepsuciu pokoleń szukać wyłącznej przyczyny upadku kraju i całe brzemie win z instytucyj zwalić na ludzi. Ale w tem usiłowaniu czuł on widocznie, że to było w gruncie tylko *przezwaniam* jednej i tej samej rzeczy, nie zaś wymienieniem czegoś nowego, że skutek i przyczyna w nierozłącznym tu są związku, i że nie tak to łatwo dowieść aby, jak mawiali Grecy, biała lilia wydawała głogi. Wykształcająca się zwolna ustawa polityczna jakiegoś państwa nie jest tylko areną ale i szkołą narodu, nie wypowiada tylko pewnych pryncypiów ale i odpowiada za ich wykonanie; utwór wieków minionych, trworzy ona wieki następne; sama dojrzała, albo



tylko żywotna, wychowuje ona sobie przyszłe pokolenia i do politycznej żywotności i dojrzałości je prowadzi. Jeśli konstytucya nasza była wistocie tak szczytną i mądrą, jak ją być głosimy, jakżeż pod jej cieniem, pod jej opieką, powiedzmy prawdziwiej, z jej łona mogło się wyrodzić społeczeństwo bez publicznego ducha, bez cnót obywatelskich, bez patryotyzmu? Zwyczajła i łatwa wymówka, że z czasem wszystko się psuje, jest tu wprawdzie łatwą ale weale niestosowną. Bośmy ani półwieku statecznej nie wytrzymali próby; bo pierwszy zaraz plon tego zasiewu był smutnym i zatrutym; bo, jeśli lat głodu i klęsk więcej niestety było niż siedem, to siedmiu lat obfitości, któreby je wyprzedziły, nie zliczy żaden historyk, nie wskaże ani jednego decennium prawdziwego spokoju, normalnego i zdrowego rozwoju naszych sił narodowych pod tarczą szlacheckiego samowładztwa! Na końcu to dopiero XVI wieku, dzięki fatalnej innowacyi Jana Zamoyskiego, ukształciła się w całości nadpowietrzna budowa elekcyjnego państwa: a już ku schyłkowi życia hetmana słyszemy złowrogie skrzypienia rysującego się gmachu, a za Jana Kazimierza dochodzą nas zewsząd narzekania na upadek moralności i obywatelskiej cnoty, widzimy wszędzie błyski tego gromu, który niebawem miał wyrócić i zburzyć państwo! Jakżeż, powtarzamy jeszcze raz to pytanie, które widocznie nasuwało się i nieraz naszemu autorowi, jakżeż z łona konstytucyi tak szczytnej i mądrej, mogło wyjść społeczeństwo tak nikczemne; jakżeż drzewo życia i wiedzy mogło wydać owoc śmierci i ciemnoty? Historyk nasz, z tego błędnego koła, w które go nieprzeparcie zakłęto raz obrane stanowisko, starał się wycofać bardzo szczęśliwem na pozór *distinguo*. Jeśli winę naszego upadku, nie naszym politycznym urządzeniom, ale naszemu socyalnemu jedynie przypisuje zepsuciu, to znowu to zepsucie jednej tylko małej przypisuje klasie narodu, ogranicza je do

bardzo szczupłej liczby ludzi; ich to wyłącznie obarcza całą odpowiedzialnością za nasz upadek. Zepsucie było tylko « w Polsce urzędowej, » « w polskim dygnitarstwie; » magnaty to i pany frymarczyły narodowym honorem, brały pensye od obcych dworów, demoralizowały wszystkie polityczne i społeczne stosunki, i doprowadziły państwo do rozstroju i zguby. Ale ogół narodu, to jest ogół szlachty, był czysty i wolny od wszelkiej skazy; grzeszył może ciemnotą, ale nie grzeszył złą wolą. « Cnota, rozum narodowy, uczciwość, zrozumienie obowiązków względem siebie i kraju, tkwiały tylko jedynie w tej, prawda że ciemnej, ale większa prawda że uczciwej i poczuwającej się do godności polskiej szlachcie... »

Warto tu bliżej zastanowić się nad tym argumentem, który autor powtarza niejednokrotnie w swém dziele i nim zastawiać usiłuje wszystkie wyłomy naszego politycznego organizmu. Ale nasamprzód niech nam wolno będzie przestrzedz, że bynajmniej nie myślimy być rzecznikami naszych magnatów, tak mało w XIX jak w XVIII a nawet i XVII wieku. Wyrok potępienia, który historyk nasz na dygnitarstwo polskie z epoki saskiej wydaje, podpisujemy chętnie bez żadnych zastrzeżeń, bez najmniejszego zamiaru podniesienia jakichbądź łagodzących okoliczności. Tak jest, egoizm, prywatność, lekkomyślność i chciwość doszły do najwyższego szczytu wśród najwyższej warstwy naszego społeczeństwa owych czasów, i rzadko jaka wielka, historyczna rodzina może wyjść nieskalaną z tej czyscowej próby. Ale czy *tylko* dygnitarstwo nasze w tém smutném się okazuje świetle, czy tylko magnaty i pany nasze spotykać może zarzut prywatnego i publicznego zepsucia w XVIII wieku, czy tak zupełnie odmiennym od nich pokazał się cały ogół czynnego obywatelstwa, cały ogół szlachty, czy wistocie ta szlachta miała rozum polityczny, uczciwość, zrozumienie obowiązków względem siebie i kraju i padła

niewinną ofiarą polskiej urzędowości? Odpowiadamy śmiało, że tego przypuszczać nie jesteśmy w stanie, że logika zdarzeń i faktyczne dowody zarówno nam każą protestować przeciwko takiemu twierdzeniu; a przedmiot to zbyt ważny, abysmy nad nim trochę szerzej rozwieść się nie mieli.

Już to wogóle, i bez głębszego jeszcze wnikania w samą istotę rzeczy, podział podobny na dzieci Ormuzda i Arymana, na synów słońca i synów nocy, w łonie tego samego *politycznie zarówno uprawnionego i czynnego* obywatelstwa, wydać się musi fałszywym każdemu, co choć trochę zna naturę ludzkich społeczeństw i prawa ich historycznego rozwoju. Między członkami jednego politycznego ciała jest związek ścisły i solidarny, którego dla potrzeby systemu rozerwać nie można; a w świecie moralnym, jeszcze mniej jak w świecie fizycznym, daje się zaciągnąć skutecznie kordon między zarazą a zdrowiem. Takie rozróżnienie zepsutych i czerstwych warst narodu tylko tam jest do przypuszczenia i do udowodnienia, gdzie jedną klasę od drugiej oddziela cała przepaść czynnego i biernego życia. Przypuszczenie to sprawiedliwe, n. p., że lud wiejski u nas nie ulegał moralnym przemianom i chorobom rycerskiego stanu, bo gdy ten politycznie żył i działał, lud nasz od wieków już tylko był socyalny prowadził i na scenę zdarzeń nie występował. Również sprawiedliwem będzie zdanie, które między szlachtą a mieszczaństwem w przedrewolucyjnej Francji uczyni różnicę, i pierwszej głównie przypisze winę rozpadłej politycznej budowy; bo mieszczaństwo w odrębnej, oddzielnej zupełnie żyło sferze i w sprawach publicznych żadnego nie brało udziału. Ale nie tak się ma zaprawdę z naszą szlachtą polską, i stronnicze tylko zaślepienie może ją oczyścić z cięższej na niej odpowiedzialności za upadek kraju! Bo szlachta brała ciągły, czynny i nieprzerwany udział w naszych sprawach publicznych, bo ona kierującą i



rzządzającą siłą była w państwie, bo rozstrzygnięcie wszelkich i najdrobniejszych kwestyj rządu i administracyi od niej zależało : bo wszystko w Rzeczypospolitej było jej dziełem — nawet i nasze dygnitarstwo.

To téż, jeśli nieuprzedzonym okiem spojrzymy na stan naszej szlachty za epoki Sasów i bez stronniczych widoków zechcemy pytać się dziejów, łatwo to smutne wyniesiem przekonanie, że równe było zepsucie w « Polsce urzędowej » jak w całej Polsce szlacheckiej, i że magnaty bynajmniej nie posiadały monopolu wszystkich strasznych chorób wieku. Egoizm, prywata, lekkomyślność i chciwość cechowały zarówno cały u nas wtenczas stan rycerski, który tylko jedną nad magnatami prawdziwą miał wyższość, wielką zaiste i nieocenioną w życiu prywatnym, ale mniejszej wagi w życiu publicznym : że w nierównie większej świętości zachował związki małżeńskie. We wszelkich innych przywarach i występkach, szlachta nasza nie ustępowała wówczas w niczem naszym « panom, » a przewyższała ich może jeszcze pod względem jednego smutnego nałogu, od rozwiązłości małżeńskiej kto wie czy nie szkodliwszego, a o którym nasz autor ze zbytniem pobłażaniem przemilczał : mamy tu na myśli owe straszne pijaństwo, które wprawdzie teraz dziwniej się doczekało apoteozy u naszych powieściopisarzy, ale które nas zanurzyło w prawdziwe zbydlęcenie i wystawiło nasze imię na pośmiewisko i pogardę u obcych. « Szlachta to jerozolimska nie polska » powiedział już o niej wobec króla i senatorów przewyborny nasz Pásek ; a jaką ona w kilka lat później była, za czasów właśnie, których dzieje nam kreśli autor, tego naiwny i rzetelny mamy obraz w pamiętnikach Otwinowskiego.

Pisarz nasz rzadko kiedy cytuje Otwinowskiego, i nie możemy tego dosyć odżałować, że tak mało się przejął autorem, który jak jedynym pozostaje dotąd naszym oryginalnym źródłem do téj epoki, tak i najwierniejszym

jest wizerunkiem ówczesnego szlachcica. Nie znamy doskonalszego, naiwniejszego a zarazem bardziej zasmucającego dagerotypu! Zarozumienie rodu przy prawdziwie pogańskiej, przez chrześcijańską miłość ani na włos nienaruszonej pogardzie dla ludu, dla chamów, dla mieszczan, w całej adamowej tu się nam przedstawia nagości! Na wytłumaczenie ludzkiego zepsucia, jak trafnie zauważał któryś z naszych pisarzy, Otwinowski zawsze ma jedną odpowiedź: jeśli łotruje szlachcic, to kara boska; jeśli łotruje nieszlachcic, to wada urodzenia. Z jakąż zgrozą, z jakim oburzeniem opowiada ten występek króla Leszczyńskiego, że mieszczan warszawskich przypuścił... do praw jakich może, lub przywilejów? — nie, tylko do asystencyi przy swojej koronacyi! « *Le-dwie że z jatek warszawskich nie przybierano osob!* » Że zrywanie sejmów i zawiązywanie konfederacyj należy do przyrodzonych i świętych praw każdego szlachcica, nie podlega naturalnie najmniejszej wątpliwości. Jeszcze później myślał Kitowicz, że « wolność bez *liberum veto* a maca żydowska bez krwi chrześcijańskiej obejść się nie mogą; » a to zdanie podzielał cały stan rycerski. Gdy w r. 1720 król August, postrzegłszy coraz groźniejsze niebezpieczeństwo ze strony Moskwy, zawiera przeciwko niej ligę z Austryą i Anglią, Otwinowski nazywa to *komplotem* (!) i daje tém dowód tego « politycznego rozumu » który autor nasz przyznaje ówczesnej szlachcie, jak z drugiej strony niemniej świetnym świadectwem jej « zrozumienia obowiązków względem siebie i kraju » jest cały naiwny opis traktatów konfederackiego wojska z Moskwą! Gdy jedna strona szlachty uznała Leszczyńskiego, « *musiała* druga, powiada Otwinowski, *dla utrzymania praw wolnej elekcyi* szukać pomocy u cara! » A warto spamiętać, że to się działo w roku 1709, gdy jeszcze nie urodzili się ci reformatorowie, którym nasz autor pierwsze wprowadzenie Moskali do Polski zarzuca! « Brzydki to był mankament » powiada dalej

nasz kronikarz, a tém brzydszy, że zamiast 18 milionów złotych w kopijkach, które car obiecał, dawano tylko po 30 złotych na konie, a za to całe wojsko (skonfederowane) podpisywać musiało jurament, jako cara moskiewskiego interesu odstępować nie będą! » Być może, że jak myśli kronikarz, « pan Hetman Sieniawski z niektórymi pułkownikami posmarował sobie dobrze ręce srebrem moskiewskiem; » ale i kaźden z téj « uczciwój, obowiązki względem siebie i kraju rozumiejącej » braci szlachty otrzymał i przyjął trzydzieści złotych — a trzydzieści srebników, jeśli się nie mylimy, jest symboliczną ceną i cechą Judaszów! Nie same więc tylko magnaty praktykowały maksymę *as non sordet*; jak téż i nie żadną wielką panią, ale prostą szlachcianką ziemi Dobrzyńskiej, posesorką dóbr Składowa była ta « białogłowa już podeszła, córki za mężami już mająca, która przebrawszy się po mężku najechała swojego sąsiada i wzięła mu kilka czy kilkanaście tysięcy złotych, a potém przybrawszy sobie ludzi, udała się na rozbój. » Gdy konfederacya Tarnogrodzka miała traktować z królem, wybrała sześciu komisarzy, powszechniej używających wziętości, ludzi zacnych i nieskazitelnych — którym jednak przysiędz kaźała, że się nie dadzą przekupić; a przecieź dodaje Otwinowski « czyli przysięgę dotrzymali, pokaże się na dolinie Józefata... » Taka to była wiara téj Wiary, takie braterstwo téj braci, taka uczciwość, enota i zacność tego rycerskiego stanu, który niczém nie zgrzeszył, niczemu nie zawinił, i padł tylko niewinną ofiarą « polskiego dygnitarstwa! »

Hetman i skonfederowana szlachta, jakeśmy widzieli, dzielili się pieniędzmi przysłanemi od cara, jeśli nie po bratersku, to niezawodnie i nie po rycersku i nie po polsku: a przykład ten jest normą wszystkich bolesnych frymarków o kraj w XVIII wieku. Ci, którzy jedynie magnatom wyrzucają przedajność i przekupstwo, zapominają w niepojęty dla nas sposób, że ma-



gnatów tylko dla wpływu i znaczenia przekupywano, które mieli u braci szlachty, że od pozyskania téj to braci przedewszystkiém dla pewnych widoków i celów zależała cała «wartość» naszych panów, i że przepuszczany przez nich ręce deszcz złoty spadał kroplami na łaknący a ostatecznie decydujący stan rycerski. Polignac, gdy Ludwikowi XIV kilkakrotnie przysyła listę summ, żądanych od senatorów, wojewodów i t. d., dodaje wyraźnie, że tych summ żądają nie dla siebie samych, ale dla zjednania sobie stronników, zachowania swojego wpływu, utrzymania w komplecie swoich partyj między bracią «dla żywienia i pojenia wyborców przez cały czas elekcji.» Między magnatami a szlachtą zachodziła tu tylko różnica niecnego handlu *en gros* i *en détail*. Wojewoda brał spory kawał złota, który potem rozdrobniłony na dukaty, złotówki a nieraz i liczmany, rozpuszczał między adherentów «uprzejmych i miłych» elektorów, sejmikujących i skonfederowanych. Senatora przekupywano grubym wekslem, dostojnym a dojnym urzędem, starostwem; a każdego znowu szlachcica przekupywał senator dożywociem, dzierżawą, zapomogą, «łaskawym chlebem,» a choćby tylko i obiadem. «Mankament był brzydki;» traktament nieszczególny: zgoda. Ale ocenienie stosunku oddanych usług do otrzymanego wynagrodzenia zostawmy ciekawym rachmistrzom. Dla historyka wszystkie te wielkie i drobne summy, wszystkie te okrągłe cyfry lub mikroskopiczne ułamki, jedną ogólną przedstawiają ułomność, jedne powszechne a ujemne czynią *facit*: brak godności narodowej, brak poczucia obowiązków, bak publicznego ducha, jedném słowem prywatę w całym ówczesném czynném obywatelstwie...

«Był to — powiada w jedném miejscu nasz nieoszacowany Otwinowski — był to Pan dobry i poczciwy, ten Szembek; tylko (!) że bardziej *dom swój* kochał niżeli *dobro publiczne...*» To jedno słówko «*tylko*» jest warte

złota; to słówko więcej wypowiada niż najgrubsza księga! Maluje ono wybornie sposób zapatrywania się ówczesnej szlachty na ludzi i sprawy, daje dokładną miarę jęj w polityce, umienia i sumienia! Cała ta szlachta owęj epoki była właśnie tak dobrą i pocziwą jak ten pan Szembek. Kochała ona *swój dom* bardzo szczerze; dawała nawet przykłady wielkich cnót familijnych. Miała tę mechaniczną pobożność, której ją tak dobrze wyuczyle Jezuici; robiła fundacye i nie wypuszczała z rąk swych kwestarza nieobdarzonego i — trzeźwego. Jeśli swoję «fantazyą» już więcej przy kuflu niż przy bębnie objawiała; jeśli już Opaliński gorzko się użala, iż «ledwie że ząbki narosną dzieciuszkowi, aż on już kieliszki wytrząsa;» to szanowano za to święcie po dworach szlacheckich związku małżeńskie i nie znano tam tych gorszących rozwodów i uwodzeń, któremi się tak sromotnie wślawiady zepsute życiem stołeczném arystokratyczne rodziny. Ale *dom* ten *swój* nietylko że bardziej kochała szlachta niż *dobro publiczne*, lecz tego dobra publicznego już wcale nie rozumiała, dla niego już żadnego zgoła nie miała zmysłu! żeby jakabądź obywatelska czynność nie miała za sobą pociągnąć jakiejś prywatnej korzyści: to się nie mogło wcale pomieścić w tych *somno vinoque* zadymionych głowach, a służba krajowa była dla nich tylko rozszerzoną służbą — dworską!

Magnaty intrygowały i wicherzyły na dworze warszawskim i z zagranicznými posłami; ale na sejmikach, na sejmach, w konfederacyach i nieszczęsnych wojskowych «kołach» radziła, znaczyła, działała i stanowiła szlachta. Koła te szczególniej były samodzielnym, samorodnym, rzeklibyśmy prawie, spontanicznym utworem rycerskiego stanu; réj w nich wodzili nie wojewodowie i senatorowie, ale towarzysze i pancerni. A byłoż gdziebądź na świecie większe zapomnienie «obowiązków względem siebie i kraju» jak w tych właśnie związkach

czysto szacheckich? Potrafił kto w jakichbądź dziejach znaleźć podobny przykład zamieszania wszelkich pojęć i przekonań, podobny przykład najzupełniejszego zaćmienia publicznego rozumu i obywatelskiego ducha? Przy ciągłych oświadczeniach miłości dla kraju, na których nam przecież nigdy nie zbywało, byłaż gdzie większa zdrada ojczyzny, większa zniewaga narodu? Nie znamy sromotniejszej karty w historii, jak np. ten opis kieleckiego koła, który nam zostawił Pasek; nie znamy zarazem nic pociesniejszego nad rolę, którą on sam w tém kole odegrywał, chyba znowu tę naiwność, to ztępienie wszelkiego obywatelskiego uczucia, z jakim znowu sam ją opowiada! Nieprawość, zbrodniczość takiego związku w czasie właśnie wojny, gdy się z tak liczny i groźny miało do czynienia nieprzyjacielem, widzi on od razu i doskonale; a ulubiony, bałwochwalczo prawie czczony wódz, którym był nie kto inny jak Czarnecki, jeszcze mu to w potrzebie dobitniej przedstawia. Nad sromotą i klęskami, których się ten związek stał dla Polski powodem, rozwodzi się obszernie i wymownie. « Po tak znacznych zwycięztwach, mówi on, nad nieprzyjacielem odniesionych, kiedy za osobliwszą bożką protekcyą oswobodziwszy ruskie, litewskie i białoruskie kraje, usławszy pola trupem moskiewskim, i ziemię tę, którą nam zawojowali byli i przywłaszczyć sobie pragnęli, krwią napoiwszy; fortece zawojowane odebrawszy szturmem, drugie przez traktaty, i zagasiwszy ten tak straszny zapał, tryumfującemu do stolicy moskiewskiej pośpieszyć trzeba było wojsku, a zahukany i już prawie upadły nieprzyjaciół przyznałby był zwycięzką rękę i przyjął jarzmo niewoli, gdyż już cały naród moskiewski o tém mówił i tak uczynić chciał i ze stolicy już za Białe Jezioro uciekać począł... w takiej to właśnie chwili, wykrzykuje, poszło wojsko do związku, a car nie żałował też naturalnie smolnego łuczywa na podpalenie tego ognia, którego iskry gęsto latały! I musieliśmy



wkońcu, prowadzi on rzecz dalej, uczynić pokój z Moskwą mizernemi kondycyami, dawszy im rzęsisty bas-sarunek za to, żeśmy ich potłukli; uczyniliśmy z nimi pokój, nietylko ich własności nie naruszywszy i swego od nich, co nam przedtém pobrali, nie odzyskawszy, ale jeszcze im przyczyniwszy i znaczne prowincye przy-właszczywszy... » Po takich wylaniach, po takich lamentach, po takich krwawych zarzutach, któżby tu nie zaręczał, że nasz Jan Chryzostom będzie stał niewzruszony przy boku hetmana, że będzie bronił prawa, sprawiedliwości, dobra kraju i sławy narodu przeciwko wszem i każdemu? Ale z tą samą swobodą opowiada nam zaraz potem jako we własnej osobie przemówił do koła i rzekł: « *Jest to chwalebne dzieło, żeście wynaleźli sposób i upatrzyli czas (!) do windykowania zasług naszych, za co dziękować zawsze należało i należy!!!* » Mamyż w tém może widzieć tylko ironią oratorską? Nie, bynajmniej! Zaczny towarzysysz nam otwarcie wyznaje — « że był między młotem i kowadłem, że mając równo z innymi zasługi i będąc godzien wespół z nimi tak tłustego chleba, chciał być w związku, bo mu tam nawet jakiś urząd kanclerski już byli naznaczyli... » Wprawdzie przysięgą się wiązać nie chciał, bo już był przysięgł Czarneckiemu; chciał należeć do dzieła i do tłustego chleba, bez juramentu; a gdy na to nie zezwolili, odstąpił wreszcie koła i — wyjechał!! Jestże gdzie, pytamy jeszcze raz, pociesniejsza karta historyi na świecie, i nie przypominaż tu pan Jan Chryzostom tego naszego brata w tułactwie, który z oburzeniem powstał na pewien sławny manifest i nazywał go zgrozą, zgrozą tém większą, że go przed godziną właśnie — sam podpisał?... Ale na Boga, nie szukajmy tu powodu do śmiechu, bo zaprawdę większy tu jest do płaczu! Czytamy zazwyczaj Paska dla jego fantazyi i dla naszej zabawy; moglibyśmy wreszcie raz go przeczytać dla nauki i skruchy! Ilustrujemy na wyścigi wszystkie jego malownicze sceny;

czemuż nikt jeszcze nie objaśnił jego moralnej strony?...

Z tą lekkomyślnością, z tą « fantazyą, » z jaką my teraz traktujemy nasze dzieje, traktowała ówczena szlachta i sprawy publiczne na swych sejmowych obradach. Brak powagi, brak godności, brak przejęcia się swym obowiązkiem, poczucia obywatelskich powinności, uderza tu na każdym kroku i w każdej porze. Krotochwile i facecye następują wciąż po sobie, jakby w prawdziwej komedyi *de capa y espada*. Na szumnych słowach i górnych mowach nie brakowało nigdy : ale wszyscy wiedzieli, że to tylko czeza reprezentacya i znajdowali to — « arcyzabawném! » Jeśli jakiś pijany szlachcic zrywał sejm, który przecież jedyną i najwyższą był władzą w narodzie, wysłano do łotra deputacyą z zaklęciami — gdy już dawno był wyjechał, a marszałek na zamknięcie wyzywał karę bożą na wicherzyciela i wołał uroczyście : « kto temu okazyą, *stet diabolus a dextris ejus* » — chociaż wiedzieli, że właśnie sam marszałek wyklętego posła do tego zerwania przekupił!! To wszystko nie przeszkodziło « rozumowi narodowemu » do większego jeszcze wydoskonalenia swojej tak « mądrej i szczytniej ustawy; » i *liberum veto*, które dotąd było tylko zwyczajem, przeszło na sejmie pacyfikacyjnym w roku 1717 w *pisane prawo!* Fantazyja szlachecka znalazła nawet wkrótce nowy jeszcze i zabawniejszy nierównie sposób parlamentarnego rządzenia. Po wielu najsromotniej zerwanych sejmach, jeden wreszcie « czynił nadzieję dobremu królowi i wszystkim kochającym ojczyznę, że dojdzie szczęśliwie. » Jakoż, szedł on pomyślnie do ostatniej chwili, to jest niedziel sześć; uchwalono na nim aukcyą wojska, płacę nawet dla armii obmyślono i wszystko ukończono i spisano. Ale ostatniego dnia, ostatniego wieczora, gdy już akt tylko podpisywać mieli posłowie i przy zapadającym zmroku świece wniesiono : nuż jedni gasić świece, a drudzy je zapalać... Król z senatem czekał obok, do dziesiątej godziny

w nocy, wyglądając końca téj dziwnej sceny, ale się go nie doczekał; i tak sejm ten, jak się wyraża współczesny kronikarz « nie został ani zerwany, ani skończony, ale — *zgaszony!!!* » Wistocie, trudno pomyśleć coś zabawniejszego; a może jeszcze który z naszych powieściopisarzy wymaluje *con amore* i soczystymi farbami ten, pod względem światłocienia szczególnieź wdzięczny, historyczny obraz, i z « fantazyą » nam przedstawi, jak ojcowie narodu naprzemian zdmuchiwali i zapalali tę świecę, w której ja widzę symbolicznie — biedną duszę Polski... Ale kto w przeszłości swego narodu zamiast mask i kostiumów szuka myśli i zasad, dla kogo dzieje ojczyście nie są zapustnymi jasełkami ale szkołą nauki i rozwagi : ten podobne « pamiątki szlacheiców » będzie czytał z tém samém uczuciem, z jakim my tu o nich wspominamy i wyjdzie z nich może, jam my, smutny — *tristis usque ad mortem!*

Powtarzamy to jeszcze raz : między panami a szlachtą owéj epoki (jak każdej innéj) był związek ścisły i solidarny, którego żaden nie rozerwie sofizmat! Tylko przez szlachtę znaczyły i ważyły nasze magnaty, tylko za jéj wpływem, z jéj poparciem, z jéj przyzwoleniem mogły frymarczyć krajem. Ona decydowała i wyrokowała w sejmikach i sejmach, w konfederacyach i « kołach » i w jéj ręku spoczywały ostatecznie wszystkie rządy i sądy państwa! Panowie ją uwodzili, odpowiedzą nam tu niezawodnie! Czemuż, odpowiemy my znowu, im uwodzić się dała? Czemuż ich popierała, jeśli wistocie posiadała « tę cnotę, ten rozum narodowy, tę uczciwość, to zrozumienie obowiązków względem siebie i kraju, to poczucie się do godności polskiéj, » które jéj przypisujemy? Któż był, któż pozostał ideałem « pana » w oczach naszej szlachty z XVIII wieku? wielki kanclerz litewski może, lub Andrzej Zamoyski? Nie, zaprawdę! Ideałem, bóstwem jéj był, i jest jeszcze dotąd w naszej belletrystyce, ten książę *Panie Kochanku*, półzwierz, półczło-



wiek, a w każdym razie półgłówek, prawdziwy Falstaff naszej narodowej tragedyi, albeńczyk bez myśli, bez woli, bez zasad, który w potrzebie potrafił i przewodzić konfederacyi z ręki Repnina i urządzać illuminacye na cześć Katarzyny; maniak, któryby w każdym inném zdrowém społeczeństwie był wyrzucony z towarzystwa rozsądnych ludzi i bardzo wczesnie znalazł godziwe umieszczenie *in fundo*, ale który dawał dożywocia i darowywał folwarki i dla tego był lubiony, czczony i dotąd jeszcze we wdzięcznej przechował się pamięci! A jest to, powiedzmy też nawiasem, smutną cechą naszej obecnej umysłowości, że właśnie *ta* figura takiego nabrała znaczenia w naszej literaturze i cały prawdziwie epiczny cykl potrafiła około siebie utworzyć; jak z drugiej strony nie jest to może bez historycznej konieczności, że właśnie pierwszym (i najgenialniejszym) restauratorem i ilustratorem *tęj* postaci był — Rzewuski: jak gdyby chciała Opatrzność i w literaturze nam symbolicznie pokazać, jaki tajemny, a fatalny jest związek między anarchią szlachecką a — Targowicą!

Z *tęj* strasznej anarchii, z tego ogólnego bezdennego upadku w epoce saskiej — którego przyczyn tak dobrze szukać należy w wielkich wadach narodowego charakteru, jak też szczególnie w politycznej ustawie, co te wady pieściła, hodowała i prawdziwe a najpotężniejsze z nich nawet zrobiła *instrumenta regni* — zaczęła się dźwigać i podnosić szlachta dopiero, gdy rozwarta pod *tęj* stopami przepaść popchnęła ciało Polski, chociaż nie pożarła duszy... Bar, Sejm czteroletni, powstanie Kościuszki, Legiony, wojny Napoleońskie, rewolucya listopadowa — ten jest dantejski szlak *tęj* Czyscowej Góry, na którą w wolnym od wieku pochodzie wstępuje nasz stan rycerski, a na której najwyższym, we mgle przyszłości jeszcze utajonym szczycie, czeka znak zbawienia — biały orzeł polski! Wielkie to dzieło powolnego odkupienia uznajemy i czcimy; widzimy w niém

rękojmią ostatecznego kiedyś oczyszczenia; widzimy w nim tę pewność, że Bóg nie żąda śmierci grzesznika, ale chce żeby żył i żeby się poprawił... Nie myślimy wprawdzie, że szlachta wszystko zrobiła, co zrobić było w jej mocy i powinności; sądzymy przeciwnie, że wiele, zbyt wiele dawnych w sobie przechowała jeszcze wad i narowów; sądzymy przedewszystkiém, że czas próby teraz dla niej nadszedł większy i ważniejszy niż kiedykolwiek: teraz, gdy nie wysokowym entuzjazmem i jednorazowém poświęceniem, ale trwałą, codzienną, nieustanną, stateczną a nieraz i rozpacziwą pracą trzeba jej będzie dowodzić swęj wiary, swęj miłości i swęj nadziei. Czy zadaniu wydoła? Przyszłość to dopiero okaże! Ale w każdym razie nie jest rozważnym przyjacielem przyszłości naszęj szlachty, kto bezwzględny i bezwarunkowy staje się chwalcą jej przeszłości; nie przyczynia się do naszego odrodzenia, kto dawne tak śmiertelne chce odżywić błędy; nie pracuje skutecznie nad dziełem naszęj restauracyi w XIX wieku, kto dzieło naszęj reformy w XVIII mianuje niepotrzebném a nawet szkodliwém!

---

# ADRES UCZNIÓW TOWIAŃSKIEGO

DO CESARZA ALEXANDRA.

---

19 i 26 września.

## I

Oddawna już krążyły między nami wieści o piśmie wystosowaném do cesarza rossyjskiego i na ręce jego ambasady w Paryżu złożoném przez uczniów i zwolenników Towiańskiego. Nie wspominaliśmy dotąd o tym wypadku, bo nie chcieliśmy naszego sądu opierać na samych pogłoskach. Ale dziś, gdy akt rzeczony przez własnych jego autorów do powszechnój podany jest wiadomości, mamy bolesny obowiązek, mimo całej naszej wyrozumiałości dla dusz znękanych i umysłów schorzałych, wystąpić z uroczystém oświadczeniem przeciwko czynowi, którego zgrozę uczuje każde czyste a nieobłąkane sumienie polskie.

Polacy, wychodźcy a między nimi i tacy, których imiona jeszcze niedawno były drogiemi Polsce, znaleźli w sobie odwagę pisać się « najniższymi sługami i najwierniejszymi poddanymi » ciemńey naszej Ojczyzny,



zaręczyć, że « od czasu jak miłosierdzie Boże ich oświeciło, nie są nieprzyjaciołmi rządu rossyjskiego ani w myśli, ani w mowie, ani w żadnej czynności swojej, » znaleźli w sobie odwagę nazwać grzechem i występkiem wszystkie wiekowe usiłowania narodu do odzyskania bytu i niepodległości... Proste wypowiedzenie tego faktu jest najwyższém jego potępieniem.

Mgły mistycyzmu i świętokradzkie wzywania słów Ewangelii nie osłonią ohydy takiego kroku, a miłość chrześcijańska nie wytłumaczy tego dobrowolnego a bezmyślnego odstępstwa. Chrystus kazał nam kochać bliźnich i przebaczać nieprzyjaciołom; ale nie kazał nam nigdy ukochać fałszu i umiłować złego. Rząd zaś najezdzy w Polsce, przemce Prawosławia w katolickim kraju jest Fałszem i Złem wcielonym; a znaczy to bluźnić Chrystusowi, gdy Jego nauki się wzywa do uznania i uczczenia dzieła piekła i Szatana!

Naród polski tę bolesną wieść z tém samém, co Emigracya, przyjmie uczuciem żalu i zgrozy. Oby w tym wypadku i tę ujrzał naukę, jak niebezpiecznemi stać się mogą najidealniejsze w swych początkach dążenia, najwyższe w religii i patryotyzmie aspiracye, skoro w religijnej i obywatelskiej praktyce nie znajdują swojej zaprawy i próby...

Gdy ciężko doświadczonemu Jobowi przedstawiali przyjaciele, iż z pokorą i skrucą trzeba znosić Boże wyroki, wielki męczennik rozbierał i ważył ich zdania. Ale gdy niewiasta słabego ducha mu rzekła: « A jeszcześ trwasz? *złorzecz a umrzyj!* » wtedy jej odpowiedział: *quasi una de stultis mulieribus locuta es...* I tak téż naród polski odpowie tym wszystkim zniewieściałym i obłąkanym duchom, które mu radzą *złorzeczyć a umrzeć*: złorzeczyć całej swj świętej, męczeńskiej przeszłości, a umrzeć w mistycznym i bezczynnym cierpieniu i poddaniu się!

## II

W dziejach emigracyi było kilka przykładów odstępstwa. Ale te plamy gorszące nigdy długo ciała emigracyjnego nie kaziły. Ci co dobrowolnie, w duszy, przed Moskwą korzyli się, trwać między nami nie śmieli; uciekali w głąb Rossyi i ginęli bez wieści w szeregach jój czynowników.

Uczniowie Towiańskiego dają dziś po raz pierwszy przykład ludzi, którzy śmiało, z podniesioném czołem, silni fanatyzmem i osobistą bezinteresownością, wzięwszy rozbrat z polskiem sumieniem, wśród emigracyi chcą zostać. Piszą się nawet częścią naszego wychodźstwa.

Emigracya polska nie uznaje swymi braćmi ludzi, którzy, jakabądź była ich przeszłość, dzisiaj głoszą się « wiernymi poddanymi cesarza rosyjskiego; » którzy z przeszłości Polski wymazują to, czém naród wśród ucisku dał świadectwo życiu swemu i swemu powołaniu; którzy w przyszłości zrzekają się walki z Rosyją.

Nie może dozwolić Emigracya, aby kraj mniemał, że w jój łonie nastąpiło rozszczepienie w tém właśnie co stanowi podstawę jój bytu, że się utworzyła w niej jakoś partya apostołująca miłość dla Moskwy i dobrowolne rządowi rosyjskiemu poddanie się. Garstkę uczniów Towiańskiego, Emigracya uważa za obłąkanych, kierowanych matkobójczą ręką; owe zaś pismo do cesarza rosyjskiego jest jój w oczach zamachem, którym jój całość i charakter publiczny naruszyć chciano.

Od uczniów Towiańskiego Emigracya domaga się szczerości. Tego nie dosyć, że nam rzucili pięć nazwisk, a między temi imię jednego, który już przed Bogiem zdaje sprawę ze swego czynu. Żądamy wymienienia wszystkich, co akt rzeczony podpisali lub do niego przy-

znają się, abyśmy w codzienném pożyciu wiedzieli z kim mamy do czynienia : czy z prawowiernym żołnierzem Kościoła i Polski, czy z apostatą i miłośnikiem rządu rossyjskiego.

Posiadamy w łonie naszego wychodźstwa kilka zakładów poświęconych wychowaniu młodzieży polskiej płci obojój. Zakłady te utrzymywane są częścią groszem Polaków i katolików, częścią groszem rządów przychylnych sprawie polskiej i katolickiej.

Emigracya ma prawo domagać się od Zarządów tych instytucyj, aby w nich nie znajdowali się ludzie którzy, bez względu na ich usługi i prywatny charakter, skoro podzielają dążności wspomnionego pisma, zgorzeniem są i obrazą sumienia polskiego.

Nikomu nie jest dziś wątpliwém uczucie Emigracyi polskiej: nie wątpimy więc, że i szanowne Zarządy emigracyjnych zakładów obowiązku swego dopełnią. W szkołach naszych, powtarzamy, nie ma miejsca dla żadnego Moskala z ciała lub z ducha.

---



## KOLEJE ŻELAZNE

W TRZECH GUBERNIACH RUSKICH.

---

19 września.

Na tegorocznych wyborach kijowskich, pan Adam Rzewuski, generał-adjutant cesarza rosyjskiego, właściciel obszernych dóbr na Ukrainie, przedstawił zbranemu obywatelstwu projekt przeprowadzenia kolei żelaznej z Kijowa przez *Bractaw do Odessy*, i z *Bractawia przez środek Wołynia do Radziwiłłowa*. Proponował on, aby na mocy prawa istniejącego w Rosyi, o którym zaraz mówić będziemy, *całe zgromadzenie obywatelskie* (1) naprzód jednej gubernii kijowskiej, później dwóch innych: podolskiej i wołyńskiej, przystąpiło do tego przedsięwzięcia, *biorąc akcyę i hypotekując je na swych dobrach nieruchomych*. Miało to zaś być dokonanem w sposób następujący. Bank podejmował się wy-

(1) Przypominamy że wyraz *obywatel* w prowincyach zabranych ma właściwe sobie, lokalne znaczenie. Wyobraża on *posiadacza dóbr ziemskich* mającego najmniej sto dusz. Jeszczeby ten wyraz można rozciągnąć do szlachty mniej majątniej, ale zawsze posiadającej pewną ilość dusz. Atoli urzędnik choćby najwyższej rangi, profesor, pisarz, artysta, nawet szlachcic by też najdawniejszego rodu, o ile własności ziemskiej nie mają, obywatelami nie są. Tém mniej mieszczanie lub chłopi wolni.

jedną u rządu podwyższenie zwykłej ilości pożyczki, wydawaną na duszę skazkową; ta nadwyżka wpłynąć miała do kasy przedsiębiorstwa, właściciel zaś ziemski otrzymałby akcje w summie odpowiedniej do nowego długu na dobrach jego zahypotekowanego. Procent od tej pożyczki opłaconym byłby ryczałtowie za całą prowincją przez zarząd przedsiębiorstwa; umorzenie ukończone być miało w ciągu lat trzydziestu wedle zasad w zakładach kredytowych Rossyi obowiązujących, a prócz tego właścicielom przypadałaby coroczna, jakaby się pokazała, dywidenda.

Zdawałoby się, że warunki takie są nader korzystnymi. Nie dając nic, oprócz hipoteki, bez pracy i zachodu zyskać prawo do dywidendy, i po upływie trzydziestu kilku lat zostać zupełnym właścicielem kapitału, — rezultat za prawdę piękny! Ponieważ w trzech wspomnianych guberniach jest około dwa miliony dusz skazkowych, a summum pożyczki bankowej mogłoby z łatwością być podwyższone o 25 rub. sr., wypadłby kapitał 50 milionów r. sr., któryby był wcale niezłym zasobem w entrepryzie kolei żelaznej. Tego to kapitału, po upływie lat trzydziestu, obywatele naszej prowincyi ruskiej, mieli się stać właścicielami! Jednak nie chcieli, — i projekt został odrzucony.

Aby ocenić wartość, a bardziej jeszcze dążność tego przedsiębiorstwa, w którym nie trudno odgadnąć kierującą myśl rządową, musimy wyjaśnić czytelnikom naszym: prawa służące w Rossyi szlachcie czyli dworjanstwu jako ciału politycznemu; rozważyć potrzebę i znaczenie dróg żelaznych rossyjskich w ogólności, a wkońcu znaleźć punkt widzenia, z którego ocenić należy rzucony projekt pana Adama Rzewuskiego. Przepraszamy zawczasu, jeśli obszernością wykładu znużym czytelnika. Dla Polaków jednym z najważniejszych przedmiotów badań jest Rossyja, jej organizm i życie polityczne, jej szybki wzrost i olbrzymia potęga.

Nie masz miłszego dla wszystkich Moskali wspomnienia nad panowanie Katarzyny. Piotr, którego naród zowie *Wielkim* ma swoich wielbicieli, ale też i oskarżycieli. O czasach Anny i Elżbiety nie zwykle nie mówią. Pawła nazywają wściekłym (*bieszennyj*) i nie nawidzą go, a główną przyczyną tej nienawiści u Moskali jest jego szlachetne postąpienie z Kościuszką i uwięzionymi w r. 1794 Polakami. Alexandrowi, który u ludu zowie się *blachostawennyj*, wiele mają do zarzucenia; osobliwie też nie mogą mu przebaczyć utworzenia Królestwa Kongresowego. O Mikołaju boją się rozmawiać, lękają się dotąd cienia tego cara, tak właściwie przezwanego pamiętnym (*niezapbennym*). Jedna tylko « *niesmiertelna, wielka* » Katarzyna (*bezsmiertnaja matiuszka*) tej samą dziś doznaje czci jak za czasów Dzierżawina. W odzie do Felicy, Dzierżawin był wiernym echem swego czasu, echem które i dziś tak miło brzmi w uszach każdego prawdziwego Moskala. Przyczynę tego uwielbienia nie trudno odgadnąć, kto choć cokolwiek pamięta dzieje Rossyi. Oprócz sławy wojennej, którą naród jej zawdzięcza, oprócz rozszerzenia granic, a zwłaszcza też zagarnięcia Polski, ubóstwana caryca wprowadziła nieznaną do jej czasów wpływ możnowładztwa w rządzie, i pierwsza właściwie stworzyła w Rossyi stan szlachecki.

Do czasów Piotra, szlachty nie było w Rossyi; byli bojarowie. Klasa ta składała się z członków dawnych wielkksiążęcych domów, wyzutych z posiadłości przez wielkich kniaziów moskiewskich, z osób piastujących wysokie urzędy w carstwie (namiestników, wojewodów, dumnych-djaków) i wysokie godności dworskie. Tworzyli oni pewien rodzaj arystokracji, wybierali nawet carów z pomiędzy siebie (Godunów, Szujski, Romanoff); rodowody ich były zapisane w księgach miestniczestwa jakoby w metryce koronnej, ale ta jakkolwiek socjalnie uprzywilejowana klasa, nie miała żadnych prawem oznaczonych przywilejów. Aleksiej Michajłowicz, z pó-



wodu kłótni zaszłej między dwoma bojarami, z których jeden rodem swym znamienity zaprzeczał pierwszeństwa drugiemu starszemu urzędem, spalić kazał wszystkie księgi miestniczestwa i wydał ukaz, mocą którego nie już zaćność rodu, ale tylko znamienitość urzędu i wola carska tworzyć miały hierarchią osób i rodzin krajowych. — Tę wzgardę wszelkiej wyższości rodowej Piotr posunął, jak wiadomo jeszcze dalej. Stworzywszy wojsko na wzór europejski, administracją na wzór niemiecki, i przeniosłszy się z tém wszystkiem do Petersburga, który Moskale słusznie zowią « *miastem biór i koszarów*, » wygładził do szczętu bojarskie rodziny, ucinając im brody razem ze łbami. — Byli więc w Rossyi, natenczas, oficerowie różnej rangi, było czternaście klas rozmaitych urzędników; a po za tém — motłoch, *czerni, czarnej narod*. Z taką to organizacją państwa zwyciężony Karól XII, rozbrojona Polska, rozszerzone granice już i tak olbrzymiego państwa! Wkrótce czapki grenadyerów z chrestami ukazują się nad Renem, nawet Fryderyk II pobity pod Rumsdorfem! Na wojsku oparta, ustaliła się władza samodzierzców i skupiła wszystkie siły państwa w Petersburgu. Tak było do Katarzyny.

Kiedy caryca jadąc konno i w męzkim ubiorze na czele gwardyi, zastąpiła drogę wojskom Piotrowym i rozbroiła osiwiąłego w boju Municha, w téj saméj chwili Orłowowie, jakoby bez jéj wiedzy i zezwolenia, w pałacu Ropszy udusili Piotra — Niemca. Było to hasło reakcyi anti-niemieckiej. Na czele wojska i w rządach kraju stają imiona moskiewskie : Sołtykow, Orłow, Rumiancow, Potemkin, Panin, Zubow, Beźborodko. Fińskie swoje pochodzenie Suworow starannie ukrywa, błaznując przed dworem i udając dziwaka, łudzac żołnierzy zabobonami i kuglarstwem. Niemcy zaledwo cierpieni w dyplomacyi i w pońniejszych, moźolnych urzędach. — Katarzyna tworzy Radę Państwa (*gosudarstwiennyj so-wiet*), która decyduje o wszystkich ważniejszych spra-

wach dotyczących rządu wewnętrznego i polityki zagranicznej. Wielcy panowie, chociaż od wczoraj dopiero kreowani, napół z Imperatorową rządzą państwem, w wojsku są niemal samowładni (Potemkin). Nakoniec, w r. 1783, caryca nadaje dworjanstwu kartę (*dworian-skaja gramota*). Ale źle mówimy: nadaje, ona tworzy nowy stan i sama wpisuje się do księgi dworjańskiej. Od tego to czasu wzięło właściwie początek swój rossyjskie szlachectwo.

Ważniejsze rozporządzenia *gramoty* są następujące:

1° Dworjanie wolni są od kary cielesnej; pierwiej knutowano bowiem i batożono wszystkich bez wyjątku. Piotr własnoręcznie senatorów kijem obijał, Elżbieta kazała knutować publicznie swą rywalkę, Łopuchinową.

2° Zostawioném jest do woli dworjanom wstępować lub nie wstępować do służby rządowej; wszedłszy mogą brać, kiedy zechcą, dymisyą. Dawniej, osobliwie za czasów Piotra, wszyscy musieli służyć do późnej starości.

3° Dworjanie mają prawo wyjeżdżać za granicę za paszportami, mogą nawet, za pozwoleniem carskiem, przyjmować służbę u obcych rządów. Dawniej, podobnie jak za czasów Mikołaja, kto bez misyi rządowej wyjeżdżał za granicę, podawał się w podejrzenie.

4° Nakoniec głównym i najulubieńszym przywilejem było wyłącznie dworjanstwu służące prawo posiadania: *krepostnych ludzi*, to jest, niewolników, ludzi przytwierdzonych do ziemi; *krephich zemle* jak ich prawo rossyjskie mianuje.

Nadto podług wspomnionój *gramoty*: dworjanie mają prawo albo raczej obowiązek wybierać z pośród siebie urzędników administracyjnych, sądowych a nawet policyjnych w obrębie swojej gubernii. W tymże obrębie stanowią ciało polityczne, które za pośrednictwem swego przewodzczy, *guberskaho predwodytela dworjaństwa* (marszałka guberskiego) może odzywać się do tronu z prośbami, jakoby z inicjatywą, w interesach własnej pro-

winy. Co większa, są oni upoważnieni do wszystkich stowarzyszeń przemysłowych i handlowych, z przyznaniem sobie pierwszeństwem, nad wszystkimi innymi poddanymi carstwa. Tak np. gdyby kupiec, a nawet pojedynczy dworjanin wziął w podrad dostawę żywności wojska, choćby publiczna licytacja była już skończoną, dworjanie jako ciało zbiorowe której bądź gubernii, mogą za ostatnią najwyższą cenę wziąć ten podrad na siebie, oddając jednak w kaucyą swoje dobra.

Takowe przywileje dworjaństwa, w późniejszym czasie, uległy w samą nawet Rosyji pewnym ograniczeniom następnych carów, a w krajach zabranych nigdy one w zupełności nie były szlachcie polskiej przyznane. Tylko administracyjne i sądowe urzędy obsadzano tu przez wybory; od roku 1831 jeszcze tylko marszałków szlachta gubernij zachodnich wybiera. Prawa stowarzyszeń handlowych, które jej należało, nie użyła nigdy, raz dla tego, że szlachta nasza nie rozumie dotąd ważności stowarzyszenia, powtóre, że pomimo praw dworjaństwa, żadna tego rodzaju polska asocjacja nie mogłaby istnieć bez upoważnienia rządu. Nie łatwoby zaś otrzymać takowe. Na kilka lat przed śmiercią Mikołaja utworzyła się w Królestwie polskiem kompania mająca na celu przeprowadzić drogę bitą do Uściługa przez Wołyń, Podole do Odessy. Pomysł był wyborny, przedsiębiorstwo wywarłoby potężny wpływ na rozwój bogactwa tych prowincyj; przeszkodził mu Bibików. — Dzisiaj p. Adam Rzewuski proponując szlachcie stowarzyszenie przemysłowe, śnać nie obawiał się już przeszkód ze strony rządu.

Przejdźmy teraz do kolei żelaznych zadekretowanych w Rosyji. W tym kraju tak różnym od reszty świata (1), którego warunki ekonomiczne tak odmienne są od eu-

(1) *Rossia nie gosudarstwo a osobennaja czast' swiata*, wyrzekł pewien publicysta moskiewski.



ropejskich, koleje żelazne muszą mieć inne znaczenie i z innego stanowiska muszą być oceniane, niż w każdym inszém państwie. Wszyscy rozumieją połączenie Paryża z miastami departamentowemi i pogranicznemi Francyi. Ale w Rosyi, ledwie tylko między Moskwą a Petersburgiem ruch może być tak wielki, aby okupił choć w części koszt drogi żelaznej; między innymi miastami ruchu nie ma prawie żadnego, lub ogranicza się do pewnej tylko w ciągu roku pory. Stosunki Moskwy z Niższym Nowogrodem są każdego roku bardzo ożywione, ale tylko przez jeden miesiąc, w czasie jarmarku. Handel pszenicą w Odessie, Berdiańsku lub Taganrogu trwa zaledwo cztery miesiące, poczem w tych miastach cicho już i spokojnie; nikt tam nie ma potrzeby prędkiej i ciągłej komunikacji.

Wiadomo również, że dochód z przewozu towarów nie utrzymuje drogi żelaznej, i że pod tym względem koleje nie mogą wytrzymać konkurencyi z kanałami. Cóż dopiero w kraju, gdzie jak w Rosyi przewóz produktów znajduje ułatwienie w najdogodniejszym systemie komunikacyj wodnych, przez samą naturę stworzonym. Tak np. od Petersburga do Astrahanu odległość wynosi około 3,000 kilometrów (1). Na tej ogromnej przestrzeni, od Tweru do Astrahanu, to jest przez 2,000 blisko kilometrów, dogodna jest komunikacja po najwspanialszej w Europie rzece, Woldze, a 200 kilometrów przez Nowę i Ladogę. Zostaje zatem około 800 kilometrów spławu kanałami, łączącemi dopływy mniejsze a jednak bardzo spławne, jak Msta lub Szeksna. Niechże tu jakabądź kolój żelazna wytrzyma spółzawodnictwo z tą komunikacją wodną, na przestrzeni 3,000 kilometrów!

Lecz nie idzie tu o komunikację Astrahanu z Petersburgiem. Zwróćmy raczej uwagę na kierunek dróg ros-

(1) Nie podajemy cyfr z zupełną dokładnością, ale w przybliżeniu.

syjskich nowo zadecydowanych : z Moskwy do Niższego Nowogrodu, z Moskwy przez Kursk do Teodozyi, z Kur-ska przez Biaroruś, Litwę do Libawy.

Droga z Moskwy do Niższego Nowogrodu dotyka wprawdzie Wołgi, lecz to miasto nietylko z Moskwą, ale z wieloma cenniejszemi grodami wielkorosyjskiemi połączone jest przez Okę, która jest spławną, począwszy od Tuły. Co rok, w sierpniu, odbywa się jak wspomnieliśmy jednomiesięczny jarmark w Nowogrodzie. Metale, skóry i futra niewyprawne, herbata, trochę zboża i wełny, te są towary kupowane na jarmarku, a przychodzą z Syberyi lub z dolnych, nadwołżańskich gubernij. W zamian, Moskwa sprzedaje tam swe wyroby fabryczne, któremi Azya jest napełniona. Atoli najwięcej podczas jarmarku odbywa się operacyj giełdowych. Kupiec kijowski sprzedaje kazańskiemu cukier ukraiński, charkowski moskiewskiemu wełnę, petersburski nabywa od tambowskiego zboże, chociaż produktów tych wcale na jarmark nie zwieziono, i można twierdzić, że ledwo czwarta część towarów sprzedanych, idzie traktem z Niższego Nowogrodu do Moskwy. Reszta wysyłana bywa w najrozmaitszych kierunkach, zwykle powózkami, lub w zimie na saniach, nie dotykając wcale Nowogrodu, ani nie mogąc korzystać z kolei, które to miasto z Moskwą ma połączyć.

Lecz inaczej nam ta kolej się wyda, jeśli w niej widzieć będziemy początek wielkiej drogi Sybirskiej. Któż nie słyszał o Sybirze? My Polacy zmierzylisma go stopami własnymi i zaludnili najzaśniejszą ludnością, ale na Zachodzie tak mało o nim wiedzą! To pustynia, ogromna pustynia, ale w niej całe kraje jak oazy : żyzne, bogate i czarującej piękności! Zboże, odwieczne lasy, metale i minerały, brak tylko ludzi! — Ludzie znajdują się; gubernie szczero-moskiewskie przepelnione mieszkańcami wysyłają co rok po kilka tysięcy ludzi na stepy saratowskie, samarskie i orenburskie. A jakże

przyrównać te stepy do owych pysznych krain południowego Sybiru, ziemi zabajkałskiej i t. p. — Owóż droga sybirska, łącząca Moskwę z Chinami, to jest dopiero przedsięwzięcie przerażające wielkością swą i ogromem rezultatów! Nie można go jednak nazwać urojeniem, bo jak to już obszernie dowiedziono, i my sami opierając się na doniesieniach dziennika *Czas* wyłożyliśmy, częścią statkami parowými przez Wołgę i Kamę, częścią kolejami żelaznemi przez Permę, Tobolsk, Irkuck i Nerczyńsk można będzie otrzymać wyborną komunikacyą aż do Amuru.

Lecz będziez ta nawet droga zyskowną dla kompanii ją budującej! Śmiało odpowiemy: *nie*. Ale za to, ile korzyści przyniesie dla rządu i państwa! Ułatwione na wielką skałę zaludnienie Sybiru, zdwojona wartość posiadłości panów i przedsiębiorców rossyjskich. Bez tej kolei, flota rossyjska na oceanie Spokojnym pozostałaby na zawsze marzeniem, kraj zabajkałski i inne sibirskie oazy wieczną pustynią. Bez niej, bogateminy uralskie jakże małą przynoszą korzyść. Dziś posyłają tam ludzi na wieczną skazanych pracę, później ludność okliczna dostarczy robotników. Aby z Uralu zwieść metal potrzebny do arsenałów i fabryk broni, potrzeba nieraz kilku miesięcy. W Iszymie, w gubernii permskiej, znajduje się jedna z czterech rossyjskich fabryk prochu. Podczas wojny, przewiezienie z tej fabryki do Sebastopolu jednego puda prochu, kosztowało około 60 franków! — Jak widzimy, nauka nie poszła w las.

Przenieśmy się teraz na linią moskiewsko-teodozyjską. Jaki po tej linii ma pójść handel? Kurska gubernia dostarczy pieńki i trochę zboża, charkowska i ekaterynosławska także trochę zboża, nieco więcej wełny i łoju. W Charkowie odbywa się wprawdzie coroczny jarmark; na nim kupcy moskiewscy skupują lichą wełnę, bo lepsza odchodzi do Chersonu. Ale nawet mieszkańcom ekaterynosławskiej gubernii po lewej stronie Dniepru,



łatwiej zboże swe odstawić do Taganrogu i Berdianska, niż do kolei żelaznej, która w tych stronach pójdzie równoległe do wspomnionej rzeki. Więc cała ta kolej, 1,800 kilometrów długa, będzie musiała poprzestać na dostawie produktów jednej lub dwóch gubernij, to jest mniej więcej pół miliona czwartki zboża i tyłuż pudów wełny. Bo nawet sąsiednie gubernie, jak pultawska i woroniezka, dla braku komunikacyj z koleją, pozostaną jak dotąd przy spławie Dnieprem i Donem.

Spojrzymy teraz na tę kolej z innego punktu. Potrzeba Krym umocnić, zaludnić go, może nawet zmienić ludność tatarską na rosyjską. Jestże to wymysłem? Bynajmniej; był to już zamiar rządu, zaczęła go wykonywać Katarzyna, a Mikołaj byłby poszedł w jej ślady, gdyby ks. Woronców nie był go powstrzymał. A więc sprawy krymskie naprzód, dalej kaukazkie, bo z Moskwy na Kaukaz droga najdogodniejsza przez Krym i morze Czarne. Pozostałoby dorobić kolei żelaznej około 300 kilometrów z Redut-Kale do Tyflisu, ztąd jeszcze 200 kilometrów, — a Kur już staje się spławnym aż do morza Kaspijskiego! — Zatem nie mylimy się, sądząc że i ta droga bardziej jest strategiczną niż handlową.

Pozostaje trzecia linia z Kurska przez Białoruś i Litwę do Libawy. Wyznajemy, że znaczenia handlowego tej drogi nie rozumiemy wcale. Z Kurska nie powiozą przecież pieńki, ani z Orła lnu do Libawy, chyba dla tego tylko, aby rywalizować z Litwą. Może Litwa i Białoruś zapotrzebować czasami chleba, ale łatwiej niż z Kurska dostaną go przez Dniepr i Prypeć z Ukrainy. — Po cóż więc kolej?

Miałaby ta kolej mieć inne znaczenie? Niech ludzie specyjalni osądzą;... my zaliczamy. Powiemy tylko, albo raczej im przypomniemy kilka następnych uwag.

Patrzmy na kartę Rosyi. Gubernie twerska, jarośławska, włodzimirska, rianzańska, tulska, kałużka, smoleńska tworzą około moskiewskiej łańcuch z po-

teżnych ogniw złożony. W tym, że tak powiemy, barłogu wylęga się dwanaście milionów jednolitego ludu, używającego pokoju od lat dwustu, a z tego długiego lat szeregu, jedno im tylko zostało wspomnienie: wielkiego zwycięstwa nad Napoleonem! Na około Moskwy, mniej więcej o 180 wiorst, leżą stolice wspomnianych gubernij, połączone najwyborniejszemi bitemi drogami. Bardziej ten łańcuch rozszerzając, jeżeli do ogniw jego wciągniemy gubernie: nowogrodzką, wołodzką, kostromską, niżegorodzką, penzeńską, tambowską, kurską i orłowską, przybędzie nam jeszcze ośm milionów podobnegoż ludu z krajem nieporównanie żyzniejszym i w ogólności złączonym z Moskwą dogodnemi komunikacyami lądowemi i wodnemi. — Jest zatem dwadzieścia milionów szczeromoskiewskiego ludu, zebranych prawie w garści. Znajduje się w tym kraju dosyć chleba dla ich wyżywienia, a więcej niż potrzeba żelaza i stali! — Z téj to ogromnej i nieprzystępnej twierdzy płynąć mogą chmury najezdźców na północ, południe i zachód. Rekrut, pobierany bez trudności i obawy, zasilać będzie wciąż armie. Arsenaly napełniać się będą metalem kutym przez ręce polskie w minach sybirskich, a dostawionym drogą żelazną, którą kompania kapitalistów zachodnich zbuduje. Tęż drogi przywiozą żelazo przekute armiom... Lecz dosyć na tych słowach ludziom chcącym zrozumieć. Zaslepionych przekonywać prawdą najoczywistszą — jestto ich upór tylko powiększać! — teraz po tym długim, lecz jak sądzimy koniecznym dla zrozumienia rzeczy wstępie, wracamy do projektu pana Rzewuskiego.

Czego chce projektujący? korzyści dla kraju, — czy dla rządu, — czy dla kompanii przedsiębiorczej?

Zamierzona kolej obejmuje Podole, Wołyń i Ukrainę. Północnej granicy tych krajów dotyka spławna Prypeć, od wschodu płynie Dniepr, od południa Dniestr. — Jedna droga bita, ale jeszcze nieskończona, przechodzi

z Kijowa przez Żytomierz ku granicom Królestwa. Kraj produkuje zboże, wełnę, łoś, drzewo budulcowe, smołę; są nadto cukrownie, gorzelnie, fabryki sukien i kilka fabryk żelaza.

Kierunek handlu jest następujący: Wołyń zachodni do Galicyi i Uściługa odstawia zboże; Wołyń północny (Polesie) Słuczą i Horyniem a dalej Prypecią spławia na Litwę drzewo, smołę, i nieco zboża. Na Ukrainie zadnieprowej handel zbożowy z Białorusią i Litwą odbywa się Dnieprem i Prypecią; mała część zachodniego Podola handluje zbożem z Galicyą. — Reszta, to jest Podole, Wołyń południowy i większa część Ukrainy prowadzą handel z Odessą, prawie wyłącznie pszeniczny, a handel ten, z wyjątkiem dwóch lub trzech powiatów nadniestrzańskich, prowadzony jest przez czumaków.

Wypowiedzieliśmy tu wyraz niezrozumiały dla znacznej liczby naszych czytelników, a jednak całe Pobereże i Ukraina napełnione są czumakami. Każdy mieszkaniec tych krajów byle zamożniejszy: chłop, mieszczanin a nawet szlachcic czynszowy czumakuje, to jest trudnią się dostawą zboża do Odessy. Na wiosnę i w jesieni, po zasiewach, wyruszają podwody ze zbożem do Odessy, dokąd ze środka Podola przybywają we trzy tygodnie. Przed zaczęciem złej drogi w późniejszej jesieni lub z początkiem lata przed żniwami, już wszyscy w domu. — Podróż ta odbywa się z bardzo małym kosztem; podwody czumackie z pewnej wsi lub okolicy zbierają się razem w jedną partycję, która się zowie *walką* i jadą swými znanými szlakami, gdzie najmniej gór i mostów. Na każdym popasie lub noclegu stają przy karczmach, przy których zawsze są znaczne wypasy i wodopój. Taki popas kosztuje trzy grosze od wołu. Chleba i jagieł czumak wiaź zapas z domu, wozy zatoczy na noc w tabor, postawi czaty i roznieciwszy ogień z burzanu, warzy strawę i rozkoszuje! — Takowe ukraińskie *dolce farniente* zowie się czumakowaniem. Zwyczaj, częste ko-



rzyści, może lenistwo a bardziej jeszcze poetyczność wrodzona ludu ukraińskiego robi im te czumakowanie bardzo miłym. Po pracy wiosennej lub letniej podróż taka, jak szlachcie podróż do wód i za granicę, pożądanym jest wytechnieniem i zobaczeniem świata. Dla ukraińskiego chłopa — Odessa, morze — świat wielki! Pełno jest w tamtych stronach pieśni ludu i skazek o czumakowaniu; jest nawet taniec czumacki hulaszczy i rozkoszny, jak życie stepowe a swobodne, które czumak pędzi.

Ale każda rzecz ma swą odwrotną stronę. Przyjdzie tygodniowa słońca, czumaki stoją na stepie z ciężarem, ani kroku dalej. Step wypaszą, wodopoje zmaczą się, chleb i jagły wyjdą, mokrym burzanem nie można ognia rozniecić, czumak bieduje. Woły mizernieją, zdychają, pszenica zamacza się, — czumak przepadł!

Już z tego cośmy powiedzieli wynika, że w tym kraju, koniecznym jest urządzenie komunikacyj stałych i dobrych, a takimi są drogi bite, któreby prowincyi zstawiły i owych czumaków z pszenicą lub smołą, i owe karczmy żydowskie, obdarte, ale gdzie wypas jest tani, gdzie czumak znajdzie wódkę i rybę soloną. W Królestwie polskim za rządów księcia Lubeckiego, stan całego kraju podniósł się zbudowaniem dróg bitych. Każdy chłopiek, przywożąc do miasteczka na jarmark jednokonnym wózkiem swój produkt, czuł to dobrodziejstwo, które mu przyniósł ów znamienity administrator. — Drogi te nie są kosztowne; w królestwie wiorsta kosztowała 10 tysięcy zł. pol.; w okręgu krakowskim, gdzie je rząd wolnego miasta budował, mila polska dochodziła 80 tysięcy zł. — Nie wielkiejby zatem potrzeba było summy na wybicie w prowincyach ruskich takich dróg, jak w Królestwie i krakowskim. — Można powiedzieć, że Podole, Wołyń i Ukraina dostarczają do Odessy w przecięciu milion czetwerti pszenicy, a po złych dzisiejszych drogach cena dostawy jest dwa rs. od czetwerti.

Zatém cały kraj płaci za dostawę dwa miliony rs. rocznie.— Wiadomo także, że jeżeli po zwykłej drodze troje koni lub para wołów, więcej nad sześć czetwerti nie uciągnie, to na tę samą sprężaj, po drodze bitój, włożyć można dziesięć czetwerti. Jest więc 40 od sta, czyli 800,000 rs. corocznego zysku; nie licząc oszczędzenia czasu i ułatwionych dla drobnego handlu z miasteczka komunikacyj. — Po ukończeniu dróg lądowych, wypadałoby ułatwić spławy niektórych rzek i pomyśleć o dogodniejszym systemie wodnej komunikacyi. Wszystko zaś poszłoby naturalnym porządkiem rzeczy i stopniowo.

Obaczmy teraz jaką korzyść takiemu krajowi przynieść mogą koleje żelazne. Zacznijmy od kierunku, który mu wskazał p. Rzewuski. Z Kijowa do Braclawia i Odessy kilometrów 600; z Broclawia środkiem Wołynia do Radziwiłłowa najmnień 400, ogółem 1,000 kilometrów. — Czy projektujący obrachował koszta téj drogi? — We Francyi, gdzie szyn kolejnych z zagranicy sprowadzać nie trzeba, kilometr drogi kosztuje w prawdzie 120 lub 150 tysięcy franków, ale bywało że przechodził 900 tysięcy fr. ! Gdyby u nas nie kosztował więcej nad 300 tysięcy fr., na tysiąc wiorst trzeba by 75 milionów r. sr. Za summę tę można trzy ćwierci Wołynia zakupić, bo kraj ten liczy około 500,000 dusz skazkowych, a duszę cenią po 200 rub. s. Ażali wywóz miliona czetwerti, choćby — co zdaje się niepodobna — dzisiejsza cena transportu po 2 rub. sr. była utrzymaną, i choćby wszystko to zboże przeszło po kolei żelaznej, wystarczy na spłacenie procentu i na utrzymanie drogi? — Samemu bankowi należałoby się procentu wraz z umorzeniem do czterech i pół milionów rocznie, a do wydatku tego doliczyć trzeba koszta administracyi, utrzymania i ową obiecaną dewidendę! Jak na to wszystko ma wystarczyć dwa miliony rubli? Bo o innych, oprócz pszenicy, produktach nie mówimy; ich wywóz zbyt mały, żeby dla

nich kolej żelazną warto było budować. Nie wspomina my także o ruchu handlowym, bo ten ogranicza się do jednego prawie miasta, gdzie mała stosunkowo ilość żydów cały kraj obdziera.

Gdzież więc korzyści tej kolei? Znajdziemy je zaraz. Kijów jak wiadomo jest znakomitą fortecą, ma arsenał jeden z największych w Rosyji i stałą komunikacją przez Dniepr. Z Kijowa rozchodzą się wielkie drogi na południe, zachód i w kierunku północno-zachodnim, to jest do granic austriackich, do Królestwa, do Mołdawii, do Nowo-Rosyji i portów morza Czarnego. Kijów jest sercem całego kraju, najpierwszym punktem strategicznym. — A drugim punktem niemniej ważnym jest Braclaw, położony w środku Wołynia, Podola i Ukrainy; najwłaściwiej tu założyć obóz oszańcowany, a nawet myślano o zbudowaniu fortecy. Czy w odporném czy w zaczepném działaniu, Braclaw i Kijów są punktami wielkiej wagi przeciw nieprzyjacielowi grożącemu od zachodu lub południa... Lecz dłużej nad tém rozwodzić się nie uważamy za stosowne; ludzie specjalni zrozumią nas bez dalszego wykładu.

Jest jeszcze inna w tym projekcie korzyść dla rządu. Zadekretowane w Rosyji koleje żelazne kosztować mają według obrachowania 275 milionów rub. sr., ale bez wątpienia kosztować będą 500. Zwykły to rachunek przy budowie kolei żelaznej; bardziej z jej robotami oswojeni francuzcy inżynierowie, mylą się prawie zawsze w układaniu kosztorysów. Być może, że i rząd rosyjski zaczyna już powątpiewać, aby ta, którą zatwierdził, kompania budowy kolei rosyjskich dokonała. Jej akcyje na giełdach europejskich wcale nie są poszukiwane, roboty postępują wprawdzie ale tylko na linii rosyjsko-pruskiej; inne, ledwo zaczęto rozpoznawać. A czas nagli, i Rosyja może prędzej na południu niż na północy zapotrzebować kolei. Nieźle więc byłoby mieć drogę proponowaną przez pana Rzewuskiego; czterysta



kilometrów dzielących Kursk od Kijowa łatwiejby się dały dorobić.

Miałżeby ten projekt jedynie korzyści rządowe na celu? Znalazłyby się zapewne i inne!—W zwyczajnych stowarzyszeniach Dyrekeya odpowiedzialną bywa przed akcyonaryuszami, i bądź co bądź interesowaną jest aby akcyje stały dobrze. Tu rzecz inna, tu kapitałów na giełdach szukać nie trzeba; bank rossyjski dałby pieniądze, choćby nawet i pierwsza pożyczka nie wystarczyła. Byleby kolej żelazna stanęła, mniejsza o to, że towarzystwo nie pobierając dostatecznego z niej dochodu mogłoby zbankrutować; akcyje jego dla tego nie spadną, zahypotekowane są na dobrach nieruchomych. Bo i to także do wyjaśnienia projektu przydać się może, że, jak nas zapewniano, zarząd towarzystwa składać się miał z osób nie należących do składu obywatelstwa, ale z kilku moskiewskich generałów i kapitalistów!

Szlachta więc nasza miała być tą wędką, na której rząd rossyjski ważne korzyści polityczne, a ktoś inny zapewne, inszego rodzaju korzyści miał ułować. Dla obywateli rezultat najpewniejszy byłby w tém tylko, iżby ich majątkom na lat trzydzieści nowego ciężaru przybyło!... Wielu zapewne nie potrafiłoby go udźwignąć, i prawdopodobnie musieliby się wyprzedać. — Lecz bądźmy spokojni; tym razem rzeczy tak daleko nie zajdą: Polak był mądry przed szkodą.

## POLITYKA ZAGRANICZNA DZIENNIKARSTWA POLSKIEGO.

---

26 września.

Pewien mędrzec wschodni zapytany, gdzie najwięcej myśleć nad tém wypada co się mówi, odrzekł, że tam, gdzie prawdziwój swojej myśli powiedzieć nie można... Trafne to zdanie zaleciłibyśmy przedewszystkiém naszym krajowym dziennikom, gdy traktują kwestye zagranicznej polityki, albo tylko w ulotnych korespondencyach i feletonach dotyczą moralnych, społecznych, literackich i t. d. stron cywilizowanego Zachodu. Wiemy dobrze, że pisma nasze czasowe, cenzurze bardzo czujnej podległe, nie mogą ani prawdziwych swych myśli ani prawdziwój swój wiary objawić. Wszakże, to wszystko nie powinno ich uwolnić od rozwagi nad tém co piszą, ani to im daje przywileju na zupełną bezmyślność. Owszem, im trudniejsze ich położenie i im drażliwsze stosunki, tém więcej ważyć powinny każde (rozumie się niekomunikowane) słowo i tém sumiennieć przejąć się swoim, bardzo ścięsnioném ale właśnie może dla tego bardzo wielkiém powołaniem. Tymczasem, w jednych nędznych i gonienie za każdą zabawną

anekdotą, za każdym bawiącym opisem, w drugich fałszywe zachcenia wysokich politycznych rozumowań *ex cathedra* i *ex professo* zdradzają niejednokrotnie brak głębszego zastanowienia się nad celem i donosnością wypowiedzianych zdań i nauk, objawiają w bardzo zasmucający sposób, że redaktorowie i korespondenci naszych dzienników piszą dla pisania, nie radząc się w pośpiechu narodowego sumienia, nie pytając się czy téż ich rozumowania i ocenienia są w zgodzie z potrzebami, nadziejami i obowiązkami Polski?...

Jednym np. z ulubionych teraz tematów dziennikarstwa polskiego, jest stan obecny Turcyi, rozstrój tego państwa, blizki i nieodzowny jego upadek. Redaktor najpoważniejszego, bez wątpienia, z naszych pism politycznych, zaczyna swój przegląd miesięczny od słów: « Turcy osiedli w Europie jako zwycięzcy, opuszczą ją jako zwyciężeni, »—przyczém nie zapomina przestrzegać że « te wyrazy mówił piszącemu konsul jeneralny jednego z wielkich mocarstw europejskich, uwierzytelniony przy rządzie Abbas Paszy wice króla Egiptu, a mówił je w Kairze, w roku 1853, w chwili właśnie i t. d., i t. d. » Powiedzmyż szczerze: dla usłuchania tak nowój i oryginalnej rzeczy, nie potrzebował szanowny redaktor udać się aż do Kairu... Że Turcy jako zwycięzcy osiedli w Europie, o tém wie nietylko pewien konsul jeneralny jednego z wielkich mocarstw europejskich; a że tylko jako zwyciężeni ją opuszczą, téj prawdy domyślał się już niezawodnie ś. p. margrabia de la Palisse. Pytanie tylko, czy to tak prędko nastąpi; a ostatnie przynajmniej wypadki okazały, że Turcy weale jeszcze do takiego wymarszu nie są gotowi. Na dowodzenia sofisty, że nie ma ruchu na świecie, mędrzec grecki odpowiedział tylko tém—że odszedł. Nam się zdaje, że w równie zwycięzki, chociaż zupełnie przeciwny sposób odpowiada Padyszach na dowodzenia naszych publicystów: każą mu uchodzić, a on stoi nie-



wzruszony!... Turcyja się oparła ostatniemi czasy Rossyi śmiało, zaszczytnie, nie czekając nawet zezwolenia państw sprzymierzonych. Gdy te zalecały zwleknięcia, nawet pewne ustąpienia, ona na własną rękę wypowiedziała wojnę, nie pytała się sił swoich ale swojej godności — a wkońcu pokazało się, że i siły były większe niż nawet najżyczliwsi przypuścić chcieli, a Kalafat, Citate, Silistrya, Giurgiewo były świadkami zwycięztw, w których sprzymierzone państwa i wojska żadnego nie brały udziału. Turcy inaczej zrozumieli swoje obowiązki i inaczej bronić swój niepodległości potrafili, niż my Polacy w przeszłym wieku, gdy nam Rossya równym zagrożiła podbojem, któremuśmy się prawie nawet i nie oparli: to bolesne zestawienie robiły swego czasu w r. 1854, dzienniki francuzkie, i to powinno nas trochę uskromić w lekceważeniu i wyszydzeniu Osmanów, które teraz w takiej jest modzie...

Są jeszcze względy wyższe i ważniejsze, które nam w tym przedmiocie powinny zalecić rozwagę. Jakakolwiek przyszłość czekać może Turcyją, to pewna, że utrzymanie jej *na teraz* jest głównym zadaniem państw zachodnich a głównym kolemem w oku Moskwy. W takim rzeczy położeniu, nie wymaga to zaprawdę dłuższego zastanowienia, dokąd nasze sympatye obrócić mamy i powinniśmy. Upadek Turcyi byłby tylko spotężeniem Rossyi, a nieroztrzygnięta kwestya wschodnia w danym razie może się stać kwestyą polską: to nawet już poznali konfederaci Barscy. Turcyja jest jedynym europejskim państwem, które podziału Polski nigdy nie uznało, które *dla Polski*, i tylko dla niej, w celu obronienia jej całości, dwakroć wypowiedziało wojnę Moskwie. Dla dochowania świętego słowa, dla ocalenia głów naszych generałów i wojowników, którzy się byli schronili u niej po kampanii węgierskiej, Turcyja okazała najszlachetniejszą, najwspaniałomyślniejszą gotowość wystąpienia nawet z bronią w rękę. W czasie ostatniej wojny, Sułtan pra-

gnął wywiesić chorągiew polską i byłby niezawodnie to uczynił, własnym zostawiony popędem i siłom... Teraz, za samą tylko objawioną chęć z naszej strony w niesieniu jój pomocy, Turcyja najszczerzej i najwspaniałej się nam wywdzięcza; a korespondent stambulski *Gazety Warszawskiej*, który niewyczerpany jest w złośliwém dowcipkowaniu nad tymi Bisurmanami, znajduje jednak u tych Bisurmanów gościnną opiekę, którójby napróżno szukał, i zapewne szukać nie pomyślał u ich nieprzyjaciół... To wszystko niechaj raczą rozważyć *Gazeta Warszawska* i jój dowcipny stambulski korespondent, którego listy bardzo podobno bawić mają płochą publiczność warszawską, ale które, ręką niekoniecznie przyjazną przetłumaczone i przedstawione nad Bosforem, wcale niezabawne mogą mieć skutki dla naszych biednych żołnierzy tam przebywających, a jeszcze smutniejsze w przyszłości — dla całej sprawy polskiej.

Utyskiwanie na niemoralność Francyi, na materializm Zachodu, jest także stałą piosenką naszego krajowego dziennikarstwa. Jakiem prawem? w jakim szczególniej celu? — trudno zaprawdę odgadnąć! Pan Padalica np., przeleciawszy pędem błyskawicy całą niemal Europę i zabawiwszy kilka tygodni także w Paryżu, drukuje teraz w dziennikach naszych stołecznych swoje «listy z podróży» w których, jak ów mędrzec Ekklezyasty woła: «widziałem wszystko, poznałem wszystko i — *vanitas vanitatum!*» Na nieszczęście, mędrzec Salomnowy, koniec końców, widział tylko swoich eunuchów i swoje ogrody; a pan Padalica (o ile się to przynajmniej z jego pokazuje listów), poznał w Paryżu tylko bulwary i bal opery. Gdyby na tém nie był się ograniczył, gdyby był zwiedził pewne olbrzymie zakłady dobroczynności w tój Sodomie, pewne Towarzystwa Ś. Wincentego i pewne *salles d'asile*; gdyby tylko w gazetach tutejszych pod rubryką *faits divers* czytał pilnie te przykłady cnót i poświęceń, które dają robo-

tnicy w ratowaniu tonących, przy pożarach lub jakich-bądź publicznych i prywatnych klęskach, które dają biedne robotnice prawie codziennem adoptowaniem podrzutek, opuszczonych dzieci i starców... wówczas możeby inaczej sądził o tym steku zepsucia i z wysokości pól ukraińskich nie tak bezwzględnie rzucił potępienie na zmateryalizowaną stolicę zmateryalizowanego Zachodu. Jest to wogóle pocieszną stroną wszystkich naszych podróżujących, że przybywszy do Paryża w jedynym celu zabawy, i tę tylko poznawszy, dziwią się potem uczuciu przesytu, ekliwości a nawet i moralnego niesmaku, które ztąd wynoszą. Ależ teatra i bale Musarda nigdy nie miały roszczenia uchodzić za budujące szkoły i kościoły! Ależ po perły enoty trzeba się zawsze zanurzać w głębie oceanu: na powierzchni zaś zwierciadlanej wody, w płazkiej łódce płytkiego życia i giętą wędką zabawy dadzą się tylko ułować płotki i — plotki! Nie, ta Francya nie jest ani tak spróchniałą, ani tak znikczemniałą, jaką ją być głoszą nasze Katony na korzyść — naszych katów! Kto nie na samych pływa szumowinach bulwarowego życia Paryża, ale trochę głębiej sięga myślą i staraniem, kto « badań » swoich nie ogracicza na samych kawiarniach, teatrach i balach, ale je rozciąga i do pewnych stowarzyszeń kilkadziesiąt tysięcy członków liczących, do pewnych wieczornych szkółek, w których najbogatsi panice, synowie senatorów i wielkich artystów, uczą abecadła biednych uliczników, do pewnych poddasz, w których bardzo wysoko postawione panie pielęgnują chorych i pocieszają konających... ten znajdzie wprawdzie, że « u nas inaczej » ale nie koniecznie że lepiej, i ten przyzna, że naród francuzki jest zawsze tym « areychrześcijańskim narodem, » jakim go oddawna mianowali papieże! Na wzgórzach Almy i na wyżynach Inkermanu, okazali Francuzi niezbiecie i niezbeci, że jeszcze nie zniewieścili, że jeśli « skakać jak wiewiórki » to i jak lwy walczyć



w potrzebie umieją, że wiedzą dobrze, co to jest chwała, co ojczyzna i co honor narodowy! Kraj, który po tylu wycieńczeniach, po tylu rewolucjach, jednak stoi na czele państw wszystkich, na którego ruchy, skinienie, cała czujna baczycy Europa — taki kraj zaprawdę jeszcze nie upadł ani znikczemniał, a najmnień mu to wyrzucać uprawnieni są ci — którzy własnego bytu *jeszcze nie mają!*...

Kiedy te i tym podobne słyszemy jeremiady i elegie na Francją w naszych dziennikach, kiedy widzimy z jaką prawdziwą rozkoszą *Gazeta Codzienna* np. rozta-  
cza cały smutny proces kapitana Doineau w Algierze i ubolewa nad mniemanemi okrucieństwami generałów francuzkich w Afryce (jak gdyby u nas na stu oficerów rosyjskich, dziewięćdziesiąt przynajmnień nie było podobnych kapitanowi Doineau, tylko że — bezkarnych; jak gdyby kaźden Litwin lub Ukrainiec nie miał na dzień przynajmnień dziesięć powodów do zazdroszczenia losu tych « tak ciemionych » Arabów!), kiedy czytamy pewne korespondencye bezmyślnie ochydzające Zachód przed oczami narodu, którego cała przeszłość jak i cała przyszłość najściślej są połączone z losami tegoż Zachodu — nie wiemy zaprawdę co myśleć o naszych redaktorach i gazeciarzach, i mimowolnie narzuca się pytanie, czy téż ci panowie choć raz się sumiennie zastanowili nad swoim powołaniem, nad obowiązkami, które na nich wkłada ich zawód, nad następstwami, które podobne diatryby mieć mogą dla naszej ojczyzny! A mamy tém większy powód do użalania się i upominania, że wielka część téj winy i odpowiedzialności za nią spada na nas, na emigracyą. Korespondentami zagranicznymi dzienników polskich są zazwyczaj Polacy zamieszkali na Zachodzie. Zawiązany taki stosunek duchowy między krajem a piszącymi za granicą, mógłby wielkie i błogie za sobą pociągnąć korzyści, mógłby się bardzo przyczynić do oświecenia narodu, do nadania

mu kierunku w politycznych, socyalnych i literackich dążeniach. Na nieszczęście, korespondenci nasi rzadko kiedy mają poczucie ważności swego powołania, a daleko częściej własną płochością tylko żywią i podniecają płochość redaktorów i czytelników. Zamiast wykazać i wyświecać piękne i prawdziwie wzniosłe rysy zachodniego życia i działania, których przecież jest tak wiele, zamiast stawiać naszemu narodowi te wielkie przykłady cnoty, chrześcijańskiej miłości, pracy, światła, rozumu, energii, gotowości do poświęceń, które we Francyi lub Anglii na każdym kroku i w każdej porze znajdzie, ktokolwiek tylko szukać tego zechce, ktokolwiek ma oczy do widzenia i zdrowy zmysł do sądzenia: noweliści nasi rozwodzą się szeroco tylko nad anekdotami i plotkami, giełdowemi lub teatrowemi śmiesznościami i podłościami, i wrywają liść po liściu z wieńca, który haniebnemu czołu Jules Lecomta uplotły skrzętne a brudne ręce skandalu! Czy wistocie tak wiele na tém zyszczemy, jeśli lud nasz, który się dotąd tylko użalał, « że Bóg wysoko a Francya daleko » teraz mówić będzie, że Francya *głęboko*, *głęboko* w kałuży zepsucia i piekle materyalizmu?...

Wyszzydzenie Anglii, wyśmiewanie jej obyczajów i tradycyj, jest także ulubionym tematem naszych korespondentów i naszych dzienników, a rozruchy indyjskie, niepojętym dla nas sposobem, znalazły oklaski nad brzegami Wisły i Warty, gdzie z całą powagą a nawet radością przepowiadają upadek Wielkiej Brytanii. Słuszna to kara, wołają tam, za uciemienie Indyan! Uciemienie Indyan!! Ci panowie chyba nie wiedzą, co to są ci Indyanie i co to dla nich robią Anglicy! W tych Indyach, Anglicy zaprowadzili rząd, cywilizacyą, prawo, sądy przysięgłych, wolność druku i kilka tysięcy szkółek wiejskich! W tych Indyach okrutni Anglicy tracą corok kilkudziesięciu oficerów na wyprawach, których jedynym celem jest przeszkodzić *ludzkim*

*ofiarom!* W tych Indyach owi ciemieźcy walczą nieustannie ze sektą *Thugów*, którą przecież nasi światli publicyści przynajmniej z *Żyda wiecznego* znać powinni, a która morderstwo (nie ciemieźców, ale rodaków, braci, krewnych) do religijnego dogmatu podniosła! W tych Indyach sto narodowości i sto religij czeka tylko wyparcia Anglików, aby się nawzajem przez wieki mordować, jak się przed przybyciem tych tyranów przez wieki mordowały! Dziwny to u nas zapal teraz dla tój « ciemieźzonej narodowości indyjskiej, » który tylko dowodzi, że wcale jeszcze nie rozumiemy znaczenia tego świętego słowa, nie rozumiemy, że ubliżamy naszej sprawie, gdy jakąbądź analogią zaprowadzamy między nią a pogaństwem, barbarzyństwem i dziczą. Język i pochodzenie nie stanowią jeszcze prawa do udzielnego bytu. Takie *anorganiczne* narodowości jak indyjskie, ginęły od wieków i giną podziś dzień krociami, bez straty dla ludzkości, z korzyścią owszem dla niej, nieżałowane, niezemszczone, nawet niepamiętane. Narodowścią prawdziwą, świętą i uświęconą, wieczną i nieśmiertelną, « żadnym nie złamaną ciosem *póki jój własny ród nie znieważy* » jest tylko ta *organiczna*, która ma myśl cywilizacyjną i posłannictwo w chrześcijaństwie, która nietylko język i pochodzenie, ale wiekową historią, wiekową tradycją, religijną i cywilizacyjną może wskazać służbę w bożym świecie. Że Austria w r. 1848 zrobiła wynalazek równouprawnienia wszystkich możebnych i niemożebnych, niebyłych i niehistorycznych, dawno zagrzebanych lub nowo wyległych narodowości, jest tak naturalném jak obłudném; że Alexander II w swych manifestach z wyrachowaną konsekwencyą wciąż gada o równie mu drogich krajach « polskich i fińskich, » jest także nie mniej chytrém jak oburzającym. Ale trzeba było za prawdę tego, dość częstego u nas pomieszania wszelkich pojęć i uczuć, aby Polacy sami (jak to się teraz słyszeć daje) twierdzili, że Indyanie równe jak my, mają prawo



do bytu i niepodległości, i że sprawa Nana-Saiba ma tę samą podstawę, co sprawa Puławskiego i Kościuszki!!

Co dla nas nadewszystko niepojętém, nad wszelki wyraz zadziwiającém, to że takim illuzjom i entuzjazmowi indyjskiemu ulega dziennik, którego zład inąd nikt przecież o zbytek właśnie illuzji i entuzjazmu obwiniać nie zechce. *Czas* krakowski, statysta zazwyczaj a w dodatku jeszcze i *gentleman*, rzadko grzeszący sympatją dla uciemionych lub wyzwalających się narodów, *Czas* naraz uczuł w swych wnętrznościach drżenie litości, współczucia dla — Indyan! O Anglikach wydaje nasz polityczny Numa wyroki, na jakie nie ośmieliła się dotąd zwykła jego Egerya, którą jest *Univers* paryzki, a berliński jego korespondent (który, że nawiasem wspomnimy, w ciągu ostaniój wojny wyraźnie i otwarcie oświadczał się za Rossyą przeciwko Zachodowi!) winszuje mu téj polityki. «Przystało to, pisze on, poważnemu dziennikowi zedrzyć maskę obłudy z oblicza narodu, który wszystkie szkaradne i barbarzyńskie postęпки swoje okrywa przed Europą płaszczem tak zwanój cywilizacji»!! Kilka miesięcy temu *Czas* z prawdziwą rozkoszą, z rażnością, która boleśnie dotknęła niejedno sumienie polskie, wydrukował w całej jego rozciągłości memoriał hr. Raynevala dowodzący, że Włochy nigdy nie przyjdą do jedności i niepodległości... Ojczyźnie Dantego i Michała Anioła zaprzeczył nasz dziennik prawa i możności do bytu, a natomiast je przyznaje tym barbarzyńskim plemionom, które ludzkie spełniają ofiary, wdowy palą na stosach i tyle potwornych, na mordzie, łupieztwie i gwałcie opartych sekt ukrywają w swém łonie! Co zabawniejsza, to że *Czas* wzywa w końcu W. Brytanią, «aby zrzekłszy się panowania nad Hindostanem. porzuciła go jego losom (t. j. Nana-Saibowi, Thugom, ofiarom ludzkim i t. d., a w końcu niechybnie i nieodzownie *Moskałom!*), i ograniczyła się tylko na zawarciu z ludami indyjskiemi korzystnych

traktatów handlowych, a dla bezpieczeństwa tegoż handlu pozostawiła dla siebie jedynie kilka silnych stanowisk nad morzem i kilka twierdz wewnątrz kraju... » *O, vous êtes orfèvre, monsieur Jossé!* Jak to, więc Czas przepomniał, że Anglicy właśnie od tego co im teraz radzi, zaczęli, a jednak mimo najlepszej woli przeprowadzić nie mogli; że tylko opornie, fatalnością swojej misji zniewoleni, skutkiem ciągłych wewnętrznych wojen domowych i zgroz pałacowych, zmuszeni byli coraz głębiej się posuwać w kraj, którego tylko myśleli i chcieli zająć brzegi, i że z podboju w podbój ich ciągnęły, rwały nieprzepracie bezprzykładne nienawiści, mordy i intrygi własnych tych ziemi mieszkańców? Między Europą a Azyą traktaty handlowe i zajęcia brzegów zawsze i fatalnie kończą się podbojem! Doświadczyła tego Roma z Kartagą, Francya z Algierem, Anglia z Indyami; doświadczy tego prędzej czy później Anglia lub Francya z Chinami. Bo nie masz traktatów między cywilizacją a barbarzyństwem, nie masz *jus gentium* między Europą a Azyą, nie masz zgody między Zachodem a Wschodem!

*Wschód i Zachód!*... Fatalny to, odwieczny, przed i pochrześcijański, a olbrzymi, a najwyższy antagonizm świata! Tajemnica to wszystkich wielkich mytów i wszystkich wielkich czynów ludzkości! Tajemnica to mytu Jazona i Tezeusza, Herkulesa i Dionizyusza, tajemnica to wojen trojańskich i perskich, wypraw Alexandra i Pompejusza, dzieła Krzyżowców i poświęcenie Polski... Antagonizm to Hellady a Xerxa, Romy a Kartaginy, Hiszpanii a Maurów, Słowian a Mongołów, Chrześcijaństwa a Islamu, Katolicyzmu a Schizmy, *Polski a Rossyi!*... Tylko w tym związku z Zachodem jest Polska silną, niezłamaną, świętą i wielką przeciwko moskiewskiemu i schyzmatyckiemu Wschodowi — a pracują tylko niebacznie na korzyść Moskwy ci wszyscy, którzy ten nasz żywotny związek z Zachodem starają się

w umysłach polskich osłabić, nadwątlić, — szyderstwem  
czy żalem, fałszywym sentymentalizmem czy płytką do-  
ktryną!



## DZIENNIKARSTWO ODDANE ZABAWIE.

---

3 października.

Oddawna już nie robiliśmy ogółowego przeglądu dziennikarstwa krajowego. Pochodzi to głównie z przyczyny, że w tej najruchliwszej części piśmiennictwa nie zaszła jednak żadna ważna zmiana ani co do formy, ani co do treści, a powtarzać uwagi nad niedostatkami lub wadami zawsze temiż samemi, rzecz bardzo niemiła i podobno niewielce użyteczna. Można by zapewne znaleźć w tym przedmiocie niejedną stronę ucieszną: ale zastanawiając się nad głębszym znaczeniem tego, co zrazu zdaje się tylko wywoływać uśmiech żartobliwy, prędko napotyka się niepokojący smutek. Ponieważ tedy mamy wypłacić naszą zaległość sprawozdawczą z całego lata, radzibyśmy uczynić to jak najryczałtowiej i najkrócej, bez najmniejszej myśli kreślenia obrazków humorystycznych. Jeżeli zda się komu widzieć w tém coś podobnego, wina to będzie chyba samej natury rzeczy.

Trudność sądzenia dzienników naszych, warszawskich mianowicie, leży w tém, że brak im, jakby to powiedział ś. p. Mochnacki, *gruntu pod sobą i ujęcia wewnątrz*. Gruntem dziennikarstwa, chociażby niezupełnie bezpo-

średnio, jest zawsze polityka ogólna. Ten grunt w rzeczywistości, jest im zakazany, a w duchu zrzekły się go same. Nigdzie nie widać, żeby po nad gwarem ich drobiazgowych a wielostronnych interesów, usiłowań, zachceń i zadowoleń, przyświecała jakakolwiek myśl obrócona ku wielkim zadaniom dzisiejszym. Często nawet, zmuszone na swoich drożynach potracić się o którą z tych kwestyj, odwracają się od niej z jakąś płochością dzieciinną, albo z dziecinniejszą jeszcze niby mądrością praktyczną, wzgardliwie poglądającą na te *banki mydlane*. Wszelki jednak naród, chociażby wzięty w najciaśniejsze kluby rządowe, póki żyje, póki jest całością czującą, choć bezwładną, musi mieć jakiśkolwiek cel powszedniego dążenia, jakiejkolwiek ognisko środkowe codziennego ruchu, jakiegokolwiek ołtarz widomy, czci chwilowej przynajmniej. Dzienniki warszawskie nieraz pozwalają sobie z tryumfem i sarkazmem wyrzucać Zachodowi, że utonął w widokach zysku, cały ruch swój ześrodkował w przemyśle materialnym, na ołtarzu swoim postawił — pieniądz. Przypuśćmy, że mają słuszość; ależ same, czego chcą, komu służą, co wielbią i święcą codziennym swym hołdem? Niektóre z nich, bardzo słusznie i rozsądnie zdjawszy bezwarunkowe potępienie z przemysłu i wogóle z tak zwanęj praktyczności, wzięły owszem te przedmioty za cel swojej teoretycznej uprawy; inne, trzymając się niby górnieszego lotu, w mniemaniu, że pełną dłońią chwytają i sypią światło, pędzą bez kierunku i rozważki po błoniu literatury i sztuki: jedne i drugie wszakże, jako pisma codzienne, nie specjalne, potrzebują czegoś więcej, żeby mogły usprawiedliwić swoje stanowisko publiczne, żeby umiały jeszcze dowieść, że przemysł i gospodarstwo które protegują, nie kończą się na pieniądzu, a piśmiennictwo i sztuka nie należą do gałęzi przemysłu. Trzeba, jedném słowem, żeby miały swoją myśl naczelną, swoją ideę żywotną, swoje bóstwo tajemnicze. I jakże to, dziennikarstwo

polskie nie ma tego bóstwa? Z wielką goryczą, musimy powiedzieć — że nie ma. Ciężki to zarzut, i bogdajby był niesprawiedliwy; ale jeśli sąd nasz zbyt surowy, to przynajmniej nie mylimy się bez bardzo widocznej przyczyny. Bóstwo nasze narodowe, to bóstwo, którego imię powinno być niewymawianém jak było święte imię Romy, jest wprawdzie zasłonięte grubym i niejednym całunem; dziennikarstwo, pełniące przy niém służbę kapłańską w domu niewoli, mogłoby dla oczu niewiernych na ten kir rzucać różnobarwne pokrycia: — ale te nigdy nie byłyby zupełnie nieprzejrzyste dla serc wiernych. W tęsknotach i troskach naszych, biorąc codzień w rękę arkusze przychodzące z kraju, starannie odsuwamy na stronę co obojętne, przypadkowe, luźne, albo — że się tak wyrazimy — balastowe, a z upragnieniem szukamy tego, w czém daje się postrzegać ciągły, stały i żywy interes. Tak śledząc oddawna, napotykalismy zawsze lekkość, płochość, wesołość, zadowolenie, dobry humor, radość nawet, nigdy zaś ani cienia żałoby, ani echa głębszych westchnień, i nakoniec poza tém wszystkim ujrzeliśmy smutną prawdę, że w świątyni naszego dziennikarstwa, na miejscu tajemniczego bóstwa, stoi bałwan, któremu na imię ani Plutus, ani Merkury, ale poprostu tylko *Zabawa*.

Bawić się i bawić — to jest ostateczne rozwiązanie przeznaczeń na tym świecie człowieka i narodu, jakie daje się wyciągnąć z pilnego badania myśli i pojęć dziennikarstwa stołecznego Polski! W tém tylko można namacać jakieś ujęcie go wewnątrz. Jak gdzieindziej wszystko ocenia się z punktu interesów giełdowych lub handlowych, tak tu z punktu interesu zabawy. Dzienniki warszawskie, przyjąwszy formy dziennikarstwa zagranicznego, w tak dziwny sposób napełniły je miejscowym swoim interesem, że wyradza się ztąd najosobliwsza komiczność. Szwajcarska Dolina i Nowa Arkadya (ogródki muzykalne), występują jakby jakie potęgi, sy-



stemy, czy partye polityczne, i naczelnicy orkiestr wędrownych, hypodromiści, aeronauci, akrobaci, podnoszą się do znaczenia mężów stanu i wielkich ludzi: imiona ich, oprawne w sute artykuły, świecą na stronicach wszystkich gazet i codzien rozechodzą się ze stolicy Królestwa w najdalsze zakąty dawniej Rzeczypospolitej naszej. Zaledwo który z głębi Niemiec skieruje się ku Polsce, wnet korespondenci berlińscy i wrocławscy śpieszą donieść tę radośną nowinę Warszawie. Za przybyciem, jeśli zadowoli, co dosyć nie trudno, łaskawą a chciwą rozrywek publiczność, zajmują się nim daleko więcej, niżeli zajmowano się w Paryżu królową angielską, albo wielkim księciem Konstantym. Skoro odjedzie, idą za nim artykuły pożegnalne, a przytém, przez pióra nawet feletonistów obfitych w morały, przeciska się na jaw jedna i druga ciekawostka należąca do kroniki skandalicznej. Nareszcie, kiedy zdaje się znużonemu czytelnikowi że się już, chwała Bogu, wszystko skończyło i ucichło, wraca nagle grzmot sławy odbity gdzieś o Karpaty i zapełnia jeszcze dłuższe kolumny dzienników: korespondenci z Krakowa i Lwowa donoszą, że zasłużony mąż zawitał do nich, sadzą się na pochwały, postrzeżenia, krytyczne i estetyczne a czasem filozoficzne i moralne uwagi... ty zaś biedny czytelniku, coś przez kilka miesięcy czytał w artykułach, powtarzaj to sobie teraz dla lepszej pamięci i nauki w korespondencyach.

Jednym z tych wielkich ludzi, sławą swoją obciążających dziennikarstwo nasze krajowe, jest Renz, naczelnik i właściciel wędrownego cyrku; ów Renz, o którym pewien głęboki publicysta wyrzekł, że zawsze radzi z niego są Warszawianie, ale i on rad z Warszawian; ów Renz, który w roku zaprzeszłym postradawszy piękną amazonkę, porwaną przez jakiegoś lwa warszawskiego, zemścił się w roku terażniejszym, przywożąc tak dzielnych i pięknych jeźdźców, że Warszawianki osypując ich kwiatami, porzucały im i swoje serca;... ów

Renz, któremu pan L. N. w swoich «listach Wędrowca,» niedawno złożył świadectwo znawcy, «że ma trupe kom-  
pletniejszą, niżeli cyrk paryzki.»

Ale oprócz Renza było w Warszawie przeszłego lata wielu innych, o których przemilczeć nie wypada. Aeronauta Berg szczególnie zajmował dziennikarstwo. O każdej jego podróży powietrznej czytaliśmy najmniej trzy razy bardzo dokładne doniesienia: naprzód w arkuszach codziennych, potem w sprawozdaniach tygodniowych, a nakoniec w tygodniku warszawskim krakowskiego *Czasu*. Wielką sympatyą zjednała dla niego zrazu młoda panienka, która z ochoty puściła się na niebezpieczną przejażdżkę w łódce balonowej. Widok odwagi w skromnej i powabnej dziewczynie, obudził zapał dziennikarski i wywołał kilkakrotne powtórzenie z uczuciem narodowej dumy tych znaczących wyrazów: *nasza* rodaczka! *nasza* Warszawianka! Na nieszczęście, pokazało się wkrótce, że odważna panna Teresa Blumen nie była Polką, a nawet podobno i Warszawianką. Co gorsza, pan Regenti, towarzysz p. Berga, zapowiedział parę razy w afiszach, że się spuści ze spadochronem i nie dotrzymał obietnicy. Dzienniki poczęły przybierać ton opozycji, parlamentarnej wprawdzie, ale mocno stojącej przy prawie publiczności. Obietnica dana była po raz trzeci, i po raz trzeci niedopełniona... Sprawa doszła do sytuacji delikatnej. Trzeba było dopiero oddać słusność dziennikom, jak godnie i zręcznie potrafiły ją traktować. *Kronika* naprzykład, *Kronika* poważna ekonomiczna, nie poszczędziła całej szpalty na artykuł pełen taktu i głębokości. Rozebrawszy spokojnie wszystko, co na potępienie i usprawiedliwienie obżalowanego można było przytoczyć, skreśliła żywo zawód publiczności z otwartymi ustami patrzącej w górę, a nakoniec pokazała, co to jest umieć zawsze zachować umysł wolny od wszelkiego zapału. «Spodziewano się — rzekła — spodziewano się z ufnością zaślepioną chęcią,

my zaś od początku byliśmy pewni, że z tego nie będzie. Dostyc było spojrzeć na nędzny *surrogat* spadochronu zawieszony pod łódką, żeby przewidzieć, że p. Regenti ani myśli nie miał powierzyć się jemu.» Ta powaga i trafność sądu, przypomina znanego z przenikliwości publicystę, który pisując do *Czasu* zawsze zdaje się pamiętać, że przemawia do kilku milionów, a często powtarza: sprawdziły się moje przewidzenia, stało się jakiem wam zapowiadał, i t. p.

Większy jeszcze interes, bo już wkraczający w granice sztuki, tój bogini przybieranój dziś na najwyższą Patronkę i cywilizacyjną Orędowniczkę Polski, obudzało współubieganie się dwóch zagranicznych kompanij muzyków. Bilse, przybyły z Lignicy, osiadł w Dolinie, i rzeczywistą wartością swojej orkiestry podbił sobie publiczność, miewał po trzy tysiące słuchaczów. Nie mógł tego zcierpieć właściciel Arkadyi; pobiegł aż do Pesztu i sprowadził Farkasza Miskę z Węgrami. Pogłoski na kształt błyskawic poprzedzających groźną chmurę, oznajmiały przybycie tój nowój siły. Mężowie stanu w państwie Zabawy, wazyli wszystkie prawdopodobieństwa mających wyniknąć ztąd następstw, i utrzymywali kraj w tём niecierpliwém zawieszeniu ciekawości, jakie zwykle poprzedza spodziewaną walkę. Oczekiwano ze drżeniem starcia się Madiarów z Szlżakami. Farkasz przybył — Bilsego nie zwyciężył, ale i sam nie upadł. Miał on także zalety i swojej orkiestry i nadto swoje własne: był człowiek młody, przystojny, z pięknym czarnym wąsikiem... Odjazd tész jego przy schyłku *sezonu* został upamiętniony okolicznością wespół tragiczną. Rozbiegła się wieść, że umarł na samój granicy opuszczanego kraju, a to tylko co nie stało się powodem drugiej śmierci: pierś jednéj muzykalnéj Warszawianki tylko co nie pękła z rozpaczy. Dzienniki, spiesząc pocieszyć stroskaną amatorkę odwołaniem fałszywój wieści, nie miały dostyc dyskrecyi, żeby razem



nie napomknąć o jakimś fatalnym zjechaniu się niešťęśliwego meźa ze szczęśliwym artystą w dworcu drogi Źelaznej. Tak się tedy toczą wielkie sprawy krajowe i aż tutaj o nich wiemy.

Przyszła nakoniec kolej odjazdu i na pana Bilse. Gwiazdka *Gazety Warszawskiej*, która wielekroć czyniła bardzo zdrowe uwagi nad znaczeniem celów dobroczynnych, używanych za płaszczyk do pokrycia chęci zabaw albo widoków osobistych, właśnie tę dobroczynność wzięła za pochop do pożegnania Bilsego panegirykiem. « Należy się jemu od nas — powiada — słów kilka szczerego uznania i serdecznej sympatyi. Cudzoziemiec ten okazał nam, że umie cenić to współzucie, które Warszawianie ofiarowali mu od pierwszych chwil przybycia, bo kilkakrotnie odstąpił znacznych zysków na korzyść tutejszych dobroczynnych zakładów. » — Jako komentarz do tych słów czytamy w tygodniku warszawskim *Czasu* : « Łatwo bardzo ten podział dochodów uczynić, bo ceny zwyczajne są po złotemu, zaś na cel dobroczynny podnieść można w dwójnasób, zawsze się tedy swoje złotówki odbiorą, a nawet i więcej, bo któżby nie poszedł na ową muzykę, kiedy idzie o dobro bliźniego. » Przymtem szanowny korespondent powstaje z oburzeniem na dzienniki warszawskie, które w zapale czci dla Bilsego ubliżyły godności narodowej. Jedna z gazet tamecznych « nie wahała się wyrzec publicznie, że Bilse dopiero obudził w nas smak i zamiłowanie do muzyki... » O zgrozo!

Z powodu tej drażliwej troskliwości o godność narodową, musimy zwrócić uwagę na jeden niepokojący objaw zmiany wyobrażeń. Słusznie zapewne dbać o sławę swego narodu, i nie dziw że każdemu Polakowi rośnie serce, kiedy w dalekich stronach świata słyzy ze czcią wspomiane imiona Pułaskiego, Kościuszki, księcia Józefa, Dąbrowskiego i tylu innych; nie dziw także, iż Źarliwie broniliśmy od zagrabienia przez Niemców

naszego Kopernika : ale dzisiaj rodzi się inne pojęcie sławy. Zabaczając, że cokolwiek jeszcze mamy szacunku i sympatyj u cudzoziemców, winniśmy to naszej wierze, miłości i nadziei płonącej na ołtarzu Ojczyzny, zesłiśmy do szukania narodowych zasług w nogach tancerek i w gardzielach spiewaczek naszych ! Z jakim to wyrazem zadowolonej dumy, powtarzają się ciągle wzmianki o pannie Straus, baletniczce warszawskiej, która występowała z powodzeniem nawet na deskach wielkiej opery Paryża ! Jaki to rumor gniewu w dziennikach warszawskich obudził świeżo jakiś Niemiec, zaliczając pannę Leśniewską, znaną we Włoszech spiewaczkę, do narodowości węgierskiej ! Dopiero *Gazeta Codzienna* (która nawiasem mówiąc, często w swoim « przeglądzie pism » objawia sąd zdrowy, a niekiedy z naiwnością *d'un enfant terrible* zdradza domowe tajemnice piśmiennictwa krajowego) odezwała się rozważnie, że Niemiec mógł się pomylić bez złej woli, a zresztą nie masz o co robić tak wiele hałasu. — Przytoczyć tu musimy słowa *Timesa*, które właśnie temi dniami jeden z korespondentów paryzkich umieścił w swoim zajmującym liście przesłanym *Czasowi*. Dziennik angielski, w obecnych okolicznościach przypominając klasom wyższym swego kraju ich obowiązek i powołanie, powiada : « Cnoty rycerskie i obywatelskie powinny zdobić szlachtę, jeżeli chce ona utrzymać się przy sterze rządu i na czele narodu. Skoro społeczeństwo jakie zejdzie na ten stopień, że pierwszy lepszy artysta większe w niem znajduje poważanie, niż zasłużony generał, wtedy rola polityczna tego społeczeństwa już się skończyła, a za forum i parlament wystarczą mu teatry i balety. » Szkoda byłoby, gdyby te kilka wierszy przemknęły przed oczyma krajowej publiczności naszej niedość zauważane. Jeżeli podobna przestroga przydać się może Anglii, ledwo dopiero zdaleka zagrożonej utratą potęgi, jakże ona właściwa dla nas, którym wszystko odzyskiwać potrzeba —

jeżeli nie chcemy poprzestać na takim bycie politycznym, jaki reprezentują dzienniki warszawskie (1).

Za t $\acute{e}$ m przewr $\acute{o}$ ceniem wyobrażeń o godności i sławie narodu, przewr $\acute{o}$ ciło się zupełnie znaczenie wielu wyraz $\acute{o}$ w. Trudno naprzykład wiedzieć, co dziś u nas rozumieć należy przez *zasługę*. Każdy niemal autor lada jakiej książki, bez względu czy jego pióro służy czy szkodzi Polsce, po sto razy bywa nazwany *zasłużonym*. Nie dość na t $\acute{e}$ m : każdy księgarz który wyda parę dzieł ozdobnie, chociaż drze za nie niemiłosiernie, pewnie zaszczycony będzie tytułem *zasłużonego*. Tytuł ten po dziennikach naszych tak brzmi gęsto, że dziwić się potrzeba, jakim sposobem kraj, który liczy tylu m $\acute{e}$ ż $\acute{o}$ w zasłużonych, dotąd ni u Boga ni u ludzi nie wysłużył lepszych dla siebie względ $\acute{o}$ w. — Oh! Bóg i ludzie nie mogą zezwolić na to, aby zasługę rozumiano, jak ją rozumieją w Warszawie. Oto w tygodniku warszawskim *Czasu* czytamy : « Nowo sprowadzony tenorzysta Mazzi, ma głos świeży, w wysokich nawet tonach dość przyjemny i łatwy: nie można mu zat $\acute{e}$ m w zupełności odmawiać *zasługi*... » *Kronika Warszawska* pisze : « Pan Krosso (akrobata) dał przeszło trzydzieści przedstawień, a widowiska jego jeszcze nie spowszedniały: jestto dowód jego *zasługi*... » I c $\acute{o}$ ż na to powiedzieć?

Zaprawdę, poczyna się jakieś babelskie pomieszanie. Poglądając na obrazy zapamiętania się, szału i pijaństwa u nas za Sas $\acute{o}$ w, które tak hojnie teraz powieści i pamiętniki roztaczają nam przed oczyma, ze zdumieniem i wstrętem wruszamy ramionami. Kto wie, czy potomkowie nasi nie będą mieli prawa bardziej nas oskarżać, niżeli my przodków. Niepamięć nasza na sprawę publiczną t $\acute{e}$ m występniejsza, że położenie stokroć bardziej

(1) *Mihi quod lætiora sunt, eo plus stomachi et molestiæ est, populum romanum manus suas non in defendenda republica, sed in plaudendo consumere.*



niebezpieczne; szął tém mniej usprawiedliwiony, że zimny i sztuczny; nietrzeźwość głów tém straszniejsza, że bez wina.

Dodajmy do tego, że te same dzienniki, te same ich feletony, pełne są nauczań bardzo budujących, narzekań na zbytki, na mody, na marnotrawstwo, na niepotrzebne za granicę podróże, bardzo surowych; co nieraz w żaden sposób pogodzić się nie daje z tuż następującymi opisami *con amore* balów, zabaw, rozrywek i wszelkiego rodzaju mamideł. Nikt więcéj nie sypie fałszywych zachęt i razem pięknych morałów, jak *Gwiazdka Gazety Warszawskiej*. Autor jéj częstokroć wygląda jak skrzypek, które różnie od ucha mazura zachęcając do tańca, a poważnym głosem prawi kazanie, że nie należy tańcować. Sprzeczność ta pochodzi z braku szczerości w logiczném rozwijaniu przyjętój zasady. Po co zresztą narzekać i żądać poprawy, kiedy w duszy jest zadowolenie i przekonanie, że wszystko idzie jak najlepiej. Świadczą o tém te słowa: « Od kilku lat Warszawa pomnożyła w sobie niezmiernie środki do rozwinięcia ruchu wewnętrznego. Na każdéj drodze — nawet w zabawach i rozrywkach, wszędzie spotykamy dzisiaj znakomity postęp; nawet kanikuła, która dawniej zamieniała nasze ulice w puste galerye, dzisiaj bezsilnie walczy z siłą ludzkiego przemysłu, z *objawami cywilizacyi* (1). Ale téż Warszawa dzisiejsza nie podobna do dawnéj. Drogi żelazne, druty elektryczne, wodociągi, gaz i parowa żegluga, skoncentrowały tu cały ruch społeczny, całą siłę życia krajowego. »

Biada byłaby krajowi, gdyby w tém była zupełna prawda. Na szczęście tak nie jest. Warszawa nie skoncentrowała całej siły życia polskiego, zadowolenie *Gwiazdki* z objawów cywilizacyi, nie zadawalnia pra-

(1) *Idque apud imperitos humanitas vocabatur quum pars servitutis esset.*

gnień całego narodu, ani dziennikarstwo warszawskie nie wyraża jego uczuć. Mamy tego liczne dowody, napotykamy widoczne ślady. W szumie falalnie skierowanego piśmiennictwa, które odurza i głuszy zdrowy zmysł publiczny, odzywają się jednak czasem choć nieśmiało ale znaczące głosy i przynoszą nam pociechę, że « instynkt narodu lepszy jest od światła jego przewodników umysłowych. »

---

## KOŚCIÓŁ POLSKI W PARYŻU.

---

31 października.

Uroczystość Świętego Jana Kantego, Patrona Polski, obchodzona zeszłej niedzieli, jak każdego roku, zgromadziła nader licznie Polaków w kościółku Wniebowzięcia. Po mszy świętej jeden z polskich kaznodziei w piękném i gorącym przemówieniu, wezwał słuchaczy do składek na budowę kościoła polskiego w Paryżu. Wezwanie to przyjęto serdecznie, i nim kościół opuszczono, zebrana summa wynosiła, o ile wiemy, około trzech tysięcy w gotówce, a z obietnicami dwadzieścia kilka tysięcy franków. Nie dziwimy się temu bynajmniej. W naszej emigracyjnej rodzinie, kto poweźmie myśl szlachetną, dość aby wyciągnął rękę, a i ci co w Paryżu stale zamieszkali, i ci co chwilowo tu przybyli, pośpieszą z ofiarą, często wedle możności, częściej jeszcze nad możność. Mieć w Paryżu kaplicę własną, jak mamy szkoły, bibliotekę, Dom Sióstr Miłosierdzia i zakłady dobroczynne, — pojmujemy, że myśl taka mogła niedjednego rozrzewnić i do podzielenia się ostatnim zasobem nakłonić.

Ale, w dzisiejszych okolicznościach, czy zamiar ten



równie jest roztropny, jak jest piękny i sercom naszym miły? To rzecz, co najmniej, wątpliwa. Jesteśmyż tak bogaci abysmy, nie mówię naszym zachceniom, ale nagłym niedostatkom sprawy ogólnej i indywidualów mogli zadość uczynić? Tak wiele lat modliliśmy się w kościołach francuzkich, i duchowieństwo paryzkie pozwoli nam, jesteśmy pewni, modlić się w nich dłużej, choćby aż do śmierci naszej, jeśli nie do chwili zwycięstwa. Więc nie ma wyraźnej potrzeby budowania w Paryżu osobnego kościoła polskiego. A cóż powiedzieć, jeśli summy na tę budowę zbierane, uszczerbkiem mają stać się funduszowi, którym żyją polskie zakłady? To, coby powiedzieć trzeba o człowieku, który dostałszy grosz na kupienie chleba dla własnych dzieci, nie kupił go i rodzinę zgłodniałą zostawił, a pieniądz oddał na cele dobroczynne. Alboż sam Kościół nie potępiłby pierwszy tak występnego miłosierdzia? Więcej podobno niż na budowie kaplicy polskiej w Paryżu, wszystkim nam zależy na tém, aby było za co wychować dzieci i młodzież polską na wiernych Kościołowi i ojczyźnie synów.

Wreszcie, jeśli już tak konieczna jest potrzeba zbierania w Paryżu pieniędzy na kościół, to i w tym razie, mniemamy, dałoby się nierównie korzystniej funduszków tych użyć. Tyle w Polsce świątyni upada, a nie ma o czém ich podeprzeć. Roku nie upłynie, aby nie spłonęło pięć lub sześć polskich miasteczek, między domami spalonymi są i kościoły. Tych nikt już nie podnosi; jeśli udasz się o pomoc do rządu, on skorzysta ze sposobności, iżby postawić cerkiew i popa schyzmatycznego osadzić. Przed siedmią laty zgorzały w Krakowie trzy wielkie kościoły, między niemi jeden, Świętej Trójcy, który był najwspanialszym pomnikiem gotyckiego kunsztu i polskiej pobożności. Dla wydźwignienia z gruzów tej wielkiej Świątyni Pańskiej, księża Dominkanie od siedmiu lat zbierają składki. Zawiązał się komitet obywateli, który woła abysmy się uchronili wstydu, iżesmy dali

upaść temu, co przez wieków sześć z chwałą Bożą i pożytkiem narodu istniało. Skoro nadeszła sześciusetletnia rocznica śmierci Świętego Jacka, i dzień ten księża Dominikanie zamysłali uczcić wielkiem nabożeństwem, Ojciec Święty, iżby wiernych tém mocniej pobudzić do składek na kościół Świętej Trójcy, nadał temu nabożeństwu odpust zupełny. Przez cały tydzień uroczystych modłów i od tłumów zdaleka przybyłych, księża Dominikanie zebrali w Krakowie — *połowę* tego co ostatniej niedzieli, w paryzkim kościele Wniebowzięcia, złożyli lub złożyć zobowiązali się Polacy!

Zamiast upiększać Paryż ubogim polskim groszem, *azaliż nie zacniej*, pytamy, dźwignąć ów stary zabytek, kolebkę tylu świętych polskich, gdzie zwłoki Świętego Iwona, Świętego Jacka i Świętej Bronisławy, gdzie owi dwaj wielcy Odrowążowie, Jacek i Czesław związawszy się ślubem zakonnym, zaprawili się do apostołstwa, którym roznieśli słowo Boże po całej ziemi polskiej, na Rusi, w Prusiech i Inflanciech; ów kościół dokąd pierwszych zakonników Świętego Dominika wprowadzał w XIII wieku Leszek Biały; zkąd w XVI i XVII stuleciu rozchodził się głos natchniony Mościckiego, Skargi, Lubomłczyka, Bzowskiego i Bierkowskiego; gdzie przed trumną Świętego Jacka leżał krzyżem król Jan III, zanim poszedł bronić Europy do pogan i dokąd odniósł po swém zwycięztwie łupy pod Wiedniem zabrane; gdzie pogrzebione są zwłoki Leszka Czarnego, Kalimacha, Myszkowskich i Zbarazkich; zkąd na kraj cały wyszło tylu znamienitych nauką i świętobliwością życia mężów! Zamiast zrywać się w Paryżu na niepodobne może do wykonania przedsięwzięcie, i którego skutek tém samém niepewny, a koniec, w najlepszym razie, dopiero w odległej przyszłości, *azaliż nie byłoby roztropniej* uratować to co istniało przez tyle wieków i co, aby drugie tyle przetrwało, może już małej od nas wymaga ofiary? *Azaliż wreszcie nie byłoby pobożniej*, zamiast

przekonywać cudzoziemców o naszym uczuciu religijném, pilnować tego iżby to uczucie żyło i krzewiło się na polskiej ziemi. Niechaj w Polsce rośnie pobożność, niechaj wśród polskiego narodu wznoszą się piękne czyny, a wysłucha Bóg naszej modlitwy, choćby i z cudzych kościołów zaniesionej, może i ludzie ją usłyszą!



## KOKOSZNIKI.

---

31 października.

Podczas ostatniej bytności cesarza rosyjskiego w Warszawie, władze miejscowe urządziły świetny bal na przyjęcie samowładcy. Zwykły system rosyjski, który według potrzeby żąda od ciemionych mieszkańców Polski *dobrowolnych* ofiar pod karą najsurowszą, iluminacyj i transparentów pod grozą prześladowania, znalazł i tym razem swoje zastosowanie. *Teroryzm uciechy* był powszechny i nieublagany. Panie polskie odbierały rozkaz, rozkaz surowy i natarczywy, stawienia się na bal; musiały nawet przywdziać ten strój narodowy rosyjski, z *kokosznikiem*, który jest liberyą dworskiej zabawy w Moskwie. Sroga to ironia despotyzmu, który policyjnym i politycznym postrachem wyciska uśmiech ofiarom, i ten uśmiech roznosi później po Europie, za dobrowolny go sprzedaje! Kto zaś zna serce naszych Polek, ten zgóry wie, z jakim uczuciem szły na tę uroczystość i z jakim usposobieniem kładły na swe czoła rosyjski kokosznik.

Czy wszakże *wszystkie* nasze panie dzieliły te uczucia i postępowaniem swoim okazywały całą zgrozę dla ta-

kiego niecnego przebrania? Czy tylko *te* poszły, które się od owój służby nienarodowej wymówić nie mogły i pod zagrożeniem odebrały wezwanie?... Niestety—nie! Listy, które tu z naszej stolicy dochodzą, nie dają nam téj pociechy. Listy te donoszą, że dla kilku pań naszych, bal rzeczony był powodem do płochój wystawności i pożądaną spobnością do radośnego zajaśnienia piętrzącemi się klejnotami — zaprawdę nie rycerskiemi; że niejedna z naszych dam z tém samém uczuciem śmiesznej próżności wkłada na swą głowę rossyjski kokosznik, z jakim zagranicą wkłada równie niewłaściwą koronę hrabiowską. Były nawet takie, które nie należąc zrazu do liczby wybranych, wielkie jednak robiły zabiegi, aby być powołanemi... A kiedy jeszcze słyszymy, że sama pani marszałkowa polskiej szlachty dała pierwszy przykład tego hulactwa, że wśród najjaśniejszych jaśniała jedna pani, której ojciec sędziwy dwanaście lat przepędził na Sybirze,... wtedy tłumiąc nasze oburzenie, pozwolimy sobie tylko wyrazić żal, że w téj Warszawie, tak podobno bogatej w dowcipnych ludzi, nie ma już teraz owego złośliwego *staruszka*, którego się dawniej tak obawiano, któremu było imię Ursyn, i któryby niejedno zdrowe słowo powiedział naszym damom o tém, co on w swoim języku tak właściwie nazywał «*wolontaryuszowstwem podłości...*»

---

## O MŁODZIEŻY POLSKIEJ

BAWIĄCÉJ ZA GRANICĄ.

---

7 listopada.

Jest w *Królu Janie* Szekspira jedna straszna scena, którą napróżno usiłowali odtworzyć na płótnie wielcy malarze, bo ona ostateczne i najwyższe swoje wcielenie znalazła w kilku wierszach dramatycznego geniuszu, scena, która ilekroć widziana i czytana, nową wciąż zgrozą przejmuje duszę słuchacza, widza, czytelnika, i która w niezatartej zostaje pamięci każdego, co choć w przelocie o niej kiedykolwiek zasłyszał w życiu. I komuż zresztą nie są znane słowa młodego Artura do dozorca więzienia, który, na rozkaz despoty, przychodzi mu wypalić oczy?... Dziecko królewskie, które z pieluchów zaraz było przewinięte w kajdany i słońce tylko z za rdzawej widziało kraty ponurzej wieży, dziecko to czuje jednak całą wielkość skarbu, który ma być mu wydartym, i w ciemnościach kryjomego dołu tém droższem, tém jaśniejszem mu się wydaje światło oczu. «Światło oczu, powie także w podobnej tragicznej sytuacji Melchthal Szyllera — o, najszlachetniejszy to z darów nieba! Ze światła żyją wszystkie istoty, każde



szczęśliwe stworzenie. Nieczuła, wiecznie przykuta roślina, radośnie się ku światłu obraca. Umrzeć to nie; ale *żyć a nie widzieć* — oh, to bólów ból!... «Hubercie, woła do siepacza biedny Artur, litości nad memi oczami. Nie każ mi ust zamykać, gdy cię błagam o moje oczy. Nie mów, że to słów za wiele; bo nie ma słów za wiele, gdy chodzi o tę parę oczu. Oh, jeśli chcesz Hubercie, to wydrzyj mi język, ale zostaw mi oczy, zostaw mi moje oczy!...»

Straszny ten ustęp z tragedyi Szekspira stawał nieraz w naszej pamięci, gdy nam przychodziło ogłaszać w tém piśmie ostatni *list o Rusi*, w którym umysł rzetelny a doświadczony tak rozdzierający kreślił obraz wychowania naszej młodzieży pod rządem i systemem rossyjskim. Nie trzeba było zaprawdę zbyt rozognionój wyobraźni, aby w każdym z owych Nazimowów i Muchanowów, w każdym z owych szkół dozorców i *djatków*, widzieć takiego Huberta, który odebrał od despoty zabójczą misyą oślepienia polskiej młodzieży, pozbawiania jój najdroższego daru niebios na tej ziemi, wydzierania jój tego światła, z którego żyją wszystkie istoty w naszym chrześcijańskim świecie, i zdawało nam się słyszeć, jak to biedne polskie dziecko — niegdyś królewskie dziecko! — wołało do swych siepaczy: «*wydrzyjcie mi język, ale zostawcie mi oczy!...*»

Odjąć nam mowę ojczystą, przeszkodzić wszystkiemi drogami, aby młodzież nasza «nie rozmawiała, nie szeptała, nie modliła się» po polsku: zadanie to, w mniejszej lub większej mierze, postawiły sobie wspólnie wszystkie trzy mocarstwa, które naszą rozszarpały ojczyznę, i Moskwa w takim trudzie nie mogła być ostatnią. Wydzieranie języka zresztą, to przecież jeden z najcharakterystyczniejszych rysów, jaki się napotyka na każdej niemal karcie dziejów owego byzanckiego państwa, którego Wszechrossya dalszym tylko jest ciągiem! Ale od Iwana i Piotra, car był zawsze wielkim

eklektykiem, i obok metody odziedziczonej po Komnebach i Paleologach, nie bez nauki także przeszedł dla niego i przykład Plantagenetów, którzy niebezpiecznych pretendentów pozbawiali wzroku... Rząd rossyjski wytknął sobie wyraźny cel oślepiania polskich pokoleń, odjęcia im wszelkich warunków i instynktów chrześcijańskiej oświaty, przywiedzenia ich do najsromotniejszego stanu nieuctwa i bezmyślności; i do tego celu dąży wszystkiemi sposobami, jakich tylko następcza może potęga samowładcy i pycha szatana. Gnębienie, tępienie mowy naszej ojczystej nie daje jeszcze dostatecznej gwarancyi Moskwie: Dąbrowski źle mówił po polsku, a jednak pierwszy wyrzekł magiczne słowo, że jeszcze Polska nie zginęła!... Car zrozumiał w końcu, iż aby Polaka skutecznie wynarodowić, trzeba go wycłowieczyć!

Na wytkniętej raz drodze, system rossyjski przerażające poczynił już postępy, a miejmy też moc i odwagę to wypowiedzieć, że zamierzone dzieło ogłupiania Polski w niezbyt dalekiej dokonaniem będzie przyszłości, jeśli Bóg dobry się nie zlituje, a ludzie dobrej a silnej woli skutecznych nie przedsięwzją środków! Zniżenie narodowej intelligencji, przyćmienie polskiej umysłowości coraz się staje widoczniejszem dla każdego, co ma oczy do widzenia i zdrowe zmysły do sądzenia, dla każdego, co z dawnych szkół i samodzielnej pracy wyniósł jakieś pojęcie o prawdziwej, rzetelnej nauce. Brak wszelkiej gruntownej wiedzy, brak specjalnego przygotowania do jakiegobądź zawodu jest teraz powszechną cechą wzrastającego pod rossyjskim zaborem naszego pokolenia. Studya klasyczne, te studya, które mądrość wieków i narodów tak frafnie *humanitarnemi* nazwała, na których wszelkie godne, prawdziwie *ludzkie* polega wykształcenie, są u nas nieznanne, są nawet zapoznane aż do swojej wartości. Łacina, ten klucz niezbędny do każdego, choć trochę poważniejszego umy-

słowego zajęcia, jest rzadką, prawie cudem nabytą własnością kilku tylko wybranych, że już o greckim języku nie wspomnimy. Jeśli jeszcze co porządnego i wytrawnego na polu naukowym się u nas objawia, zawdzięczamy to prawie bez wyjątku ludziom dawniejszego pokolenia albo téj młodziej generacyi, którą zabór pruski lub austriacki uchronił od zgubnego wpływu rosyjskiej caropedyi. Literaci nowszego autoramentu nie zdradzają niczém jakiejś szlachetniejszej zaprawy na autorach świata starożytnego, na wielkich mistrzach wymowy i poezyi, filozofii i historyi, nie zdadzają nawet żadnego przejęcia się naszymi własnymi klasykami, Zygmuntowymi lub Stanisławowskimi; a baczemu oku nie trudno będzie dostrzedz, że nawet Malczewski i Mickiewicz, autor Irydiona i Juliusz zaczynają ulegać zapomnieniu lub zapoznaniu. W belletrystach i powieścio-pisarzach naszych widać ciągle i najsromotniejsze wzorowanie się na niecnym feletonach Lecomta lub smutnych płodach Eugeniusza Sue i Souliego : bo nawet Georges Sand i Balzac już nie mogą znaleźć miejsca w ich ścieśnionym horyzoncie! Straszna płochość polska, a straszniejsza jeszcze, bo sam tylko pozór rzeczy na celu mająca czczość moskiewska sympatycznie się zchodzą do utworzenia nam *literatury bezmyślnéj*, literatury nieopartéj na żadnym rzetelném wykształceniu, pozbawionéj wszelkiego idealnego natchnienia i dążenia, i piętrzącéj tylko wciąż zarozumienie na nieuctwo, Osę na Pelion! A gdy taki jest stan czynnego zastępu w umysłowych sferach, jakież więc dopiero obraz przedstawiać musi sama już tylko bierna masa niby wykształconych warstw w naszym dorastającém pokoleniu?... To téż nieraz słyszymy zażalenia i narzekania na niedostatek ludzi, na brak specyalności, na rozpaczliwe nasze ubóstwo w rzeczywiście uzdolnionych i usposobionych pracowników w jakimbądź zawodzie. Przy ciągłym a ogólném znizeniu inteligencyi, najfatalniejsza zarazem



przeważa niwelacya, i żadna administracyjna, finansowa, ekonomiczna, jurystyczna wyższość nie wystaje nad coraz bardziej opadający poziom. Ale ten brak i niedostatek czują, złowrogie jego skutki przewidują rzadkie tylko w kraju poważniejsze umysły, umysły, w których żyje jeszcze duch publiczny i pamięć dawnych szkół wielkich, ludzie, którzy jeszcze są w stanie zrozumieć i ocenić całą ważność poważnej i surowej nauki i którzy wiedzą, że nie na feletonach to i romansach może się wykształcić pokolenie zdolne do publicznego i politycznego życia. Większa, niezmiernie większa część krajowców tego nie poznaje, temu nawet w razie danym zaprzecza, i w całej szczerocie mianuje wykształconymi, ba i uczonymi takich ludzi, którzy i pierwszych rudymentów nie posiadli wiedzy, i którzy w każdym cywilizowanym państwie nie wytrzymałoby najłżejszego uniwersyteckiego lub nawet lycealnego egzaminu! Dzięki odwiecznej naszej odrazie ku zbadaniu naszych wad i błędów i powiedzeniu sobie szczerzej prawdy, dzięki także płochęj literaturze, która spekulacyą za cel a pochlebstwo za środek sobie obrała, kołyszemy się w najfatalniejszym optymizmie na świecie, bo w optymizmie wygody i lenistwa, próżności i próżniactwa. A jeśli jest coś jeszcze smutniejszego nad obecny stan naszej umysłowości, to chyba to zadowolnienie i zaślepienie, z jakim sobie winszujemy naszych «ciągłych w cywilizacyi postępów!!!» O, biedny Melchthal miał słusność: *Umrzeć to nic; ale żyć a nie widzieć*, to dopiero bólów ból!...

Wobec tak grożącego zaćmienia, wobec tak straszego systemu ogłupiania, który rząd rossyjski wśród nas zaprowadzać usiłuje, jakżeż sobie poczyna, jakżeż swe obowiązki i powinności pojmuje młodzież polska? Jedna tylko nasza młodzież uboga, od dzieciństwa przywykła do trudów i prywatyj; ona jedna walczy wytrwale, odważnie, zaszczytnie, a tém zaszczytniej, że

w ciszy i w ukryciu, przeciwko fatalności ciemnoty. Ona jedna, w uniwersytetach i wyższych zakładach bierze się szczerze do pracy, miłuje naukę i z całym się jęj poświęceniem oddaje. Ale uboga i przede wszystkim o zabezpieczeniu materialnego losu myśleć zmuszona, rzuca się ona prawie wyłącznie w zawód medyczny lub inżynierski, które, jakkolwiek niezmiernej wagi i pożyteczności, ani wszystkich ani nawet główniejszych potrzeb kraju zaspokoić nie są w stanie. Nauki humanitarne i polityczne, nauki historyi, wyższej literatury, ekonomii, prawa, finansów, administracyi i t. p. w zupełnym natomiast są u nas zaniedbaniu. Bo w obecnych okolicznościach i przy terażniejszym składzie społeczeństwa naszego, naukom wymienionym oddać się tylko może ta młodzież, która o byt swój materialny spokojna, bodziec do pracy znajduje we własnym sumieniu, w przekonaniu, że próżniactwo jest grzechem przeciwko Świętemu Duchowi Polski, w poczuciu i poznaniu potrzeb narodu i przewidzeniu jego przyszłości. Lecz jakżeż daleką od takich myśli i pojęć jest właśnie najmniejsza młodzież u nas!...

Czemuż młodzież nasza z zaboru rosyjskiego, która tak częste robi wycieczki do zagranicznych krajów, która nieraz w nich nawet lat kilka przebywa, czemuż ona nie korzysta z nagromadzonych w tych krajach zasobów nauki i wiedzy? Czemuż tu nie obiorą sobie jakiejś specjalności, jakiegoś zawodu, któryby ich na zdalnych ojczyźnie sposobił obywateli? Zamiast uganiać się za zabawami i roztrwaniać w marnościach resztki zdrowia, mienia, nieraz i imienia, czemuż nie położą sobie za cel zbadania jakiej gałęzi humanitarnych lub politycznych nauk? Mielibyśmy sposobność tu spotykać niejednego młodego urzędnika z Polski; żaden, prawie żaden z nich nie pomyślał o poznaniu tutejszej administracyi, tutejszych instytucyj kredytowych, sądów, dykasteryi i t. d. Witamy teraz prawie codzien nowych, młodych do

Paryża z kraju przybyszów; nie słyszeliśmy jeszcze od nikogo, aby ten czas swego pobytu w stolicy świata przენaczył na wydoskonalenie się w jakimbądź fachu, na pracowite i gruntowne obeznanie się z prawem czy administracją, z ekonomią lub finansami, i choćby wreszcie tylko z temi agronomicznými zakładami, z których tyle dla gospodarstwa krajowego dałoby się osiągnąć przykładów lub porównań! W najlepszym razie bierze się parę lekcyj francuzkiego języka, lekcyj przerzadzanych, przerywanych a wreszcie ostatecznie porzuconych dla nieodzownych przechadzek, przejazdów, wycieczek i późnych powrotów z balików i balów, teatrzyków i teatrów, że *deteriora* przemilczem. Uczęszczanie zaś na parę kursów w Collège de France lub Sorbonie (dwie lub trzy godziny na tydzień!) uchodzi już u naszych krajowców za nec plus ultra przykładowego, pracowitego życia w Paryżu, i to co dla francuzkiego studenta jest tylko rozrywką i odpoczynkiem wśród mozolnych zajęć w szkołach prawniczych i normalnych, aplikacyjnych i politechnicznych, to już staje za trud trudów dla naszej krajowej młodzieży! Jakby kursa w Collège de France lub Sorbonie do czego bądź specyjalnego przysposabiać miały się albo nawet roszczenie! Jakby wykłady pana St. Marc Girardin lub Philareta Chasles były czemś więcej jak przyjemną pogadanką! Jakby takie prelekeye, aby z korzyścią były słuchane, nie wymagały tego przedwstępного klasycznego przygotowania, na którym właśnie i przede wszystkim zbywa wychowañcom zaboru rossyjskiego! Jakby przy ściślejszém zastanowieniu, kaźden umysł rozważny prędzejby przed temi wykładami przestrzegać niż do nich zachęcać, nie miał wielu powodów! Bo w kursach tych młodzi przybysze polscy szukają tylko zwodniczego zaspokojenia sumienia, łatwój wymówki przed wszelkiem upomnieniem i natrętném pytaniem, a wynosić z nich tylko mogą to smutne niedouctwo,



które w niejednym razie nierównie gorszem jest od prostego nieuctwa!

Co nas dotychczas, mimo rozdarcia i podboju, utrzymywało w moralnej żywotności i od ostatecznej chro- niło zagłady, to niezaprzeczenie, przy łasce Bożej i wie- rze w naszą przyszłość, względna ale wyraźna nasza intelektualna wyższość nad ciemieżcami, nad głównym naszym wrogiem moskiewskim. Jeśli w Wielkopolsce i Galicyi ulegaliśmy i ulegamy coraz bardziej umysłowej przewadze Niemców, to nad Moskwą górowaliśmy dotąd ciągle nauką i wykształceniem, i w tej wyższo- ści naszej cywilizacji znajdowaliśmy skuteczną, niece- nioną obronę przeciwko rosyjskiej przemocy. Ale ten stosunek od pewnego czasu znacznie się zmienia i szale się przeważają!... Arystokracja rosyjska bierze się coraz bardziej do pracy i nauki. Oprócz zaufania i pewności siebie, które czerpie w znaczeniu swém politycznym, roznieca ona w sobie coraz silniej publicznego ducha, a na polu umysłowym wielu już a niepoślednich może wskazać pracowników. Imiona Łabanowów, Turge- niewów, Demidowów, Sołtykowów, Sohołubów i Błu- dowów stają się głośniami nawet poza Rosyją, zyskują uznanie i uczenie nawet na Zachodzie. Jakież histo- ryczne polskie imiona mogą się obecnie równą głośno- ścią w naukowym świecie poszczycić! Gdzie się podziały te dawne nasze rody, które, gdy w zagranicznych miastach odbierały wykształcenie, umiały wszystkich rówieśników zagasić i piastować rektorskie berła naj- sławniejszych w Europie uniwersytetów? Jakiż magnat polski teraz przypomina owego generała ziem podol- skich, który gruntownie dwanaście posiadał języków i tyle po sobie zostawił zdumiewających świadectw uni- wersalnej prawie wiedzy? Czyż w wałęsających się obecnie po stolicach Zachodu młodzieńcach naszych, których cała ambicya skierowana ku temu, aby jak naj- dokładniej małpować lionów paryzkich, cockneyów

hampshirskich, szląskich baronów i wiedeńskich *kawalerów*, czyż w nich by swoich wnuków poznali i uznali owi Tarnowscy, Herburtowie, Firleje i Łascy, owi Chodkiewiczowie, Ossolińscy i Sobiescy, którzy także za granicą bawili, długie nawet przepędzali lata, ale tam szukali oświaty i nauki, ale tam badali politycznych ustaw państwa i różnorodnych praw i urządzeń narodów, i nabyte doświadczenie niesli w usługi ojczyźnie? I gdy *graźdaństwo* rossyjskie, które dotąd tylko roślinny byt prowadziło i jak roślina do ziemi i jej uciech było przykutém, już się ku światłu obracać zaczyna, miałażby się własnowolnie zanurzać w ciemnościach ta szlachta polska, która, od wieków i jeszcze nie tak dawno, jedyną była wyobrazicielką nauki i wiedzy na Wschodzie i w wyższości swój cywilizacyi najpotężniejszą znajdowała broń przeciwko dzicy mongolskiej?...

Słyszymy nieraz tę naszą młodzież wzdychającą do chwili, w której jej daném będzie walczyć za Polskę, przelewać krew za ojczyznę i oko w oko zmierzyć się z wrogiem; nie my to zaprawdę zechcemy przyganiać takim szlachetnym życzeniom i gorącym modłom. Ale, jak to pięknie wyraził autor *Listów o Rusi* « młodzież nasza nie pojęła jeszcze tego dotąd, że dla ludu pogrzebionego, walka o swe prawa z orężem w rękę, już nie jest ofiarą ale koroną, nagrodą i szczęściem, któremi Bóg wieńczy trudy i poświęcenia obywatelskie, w ciszy pokoju składane... » Zaslugą, ofiarą są te mozolne i codzienne prace, które ostateczną walkę uczynią podobną i skuteczną, są te przygotowania i przysposabiania, które dążą do tego, aby nietylko zmartwychwstająca ojczyzna odważnych żołnierzy, ale i zmartwychwstała rozważnych znalazła obywateli, ludzi zaprawnych do politycznego życia i działania, do rządzenia i sądzenia, do trudnych sztuk boju a nierównie trudniejszych jeszcze sztuk pokoju. Popuszczanie pasa okazało się zgubnym nawet za Sasa, i zaprawdę nie stanie się zba-

wienném za Romanowów! Zaniedbanie nauk, wyłączna dbałość o pozorne polory salonowego *comme il faut*, unikanie wszelkich mozolów specjalnego i gruntownego wykształcenia, bezmyślne lub lekkomyślne przystanie na tę ciemnotę egipską, którą rząd rossyjski z szatańską wśród nas szerzy rachubą, płocze uronienie tych sposobności i sposobów do umysłowego wydoskonalenia się, których rozważnie i sumiennie użyty pobyt zagranicą nastęrcza: straszne, śmiertelne to grzechy naszej zamożniejszej młodzieży, które zadają fałsz wszelkim jej zaręczeniom i zakłębciom o miłości do kraju i wierności dla sprawy, i które jej samėj bezdenną ohydę a narodowi sromotną gotują zagładę!

Przed taką ohydą tę młodzież przestrzegać, do robót sumiennych i rzetelnych ją stale i surowo napominać, jest obowiązkiem wszystkich nas starszych, jest przedewszystkiem obowiązkiem nas wychodźców! Jeżeli Emigracya nie jest czczém słowem, jeśli wistocie wyobraża sumienie narodu i żywotne potrzeby kraju, powinna wtedy z całą braterską miłością, ale i z całą powagą ojcowską wskazywać nowszemu pokoleniu drogę do oświaty i nauki, jako jedyną drogę honoru i prawości; powinna utworzyć publiczną opinią, któraby wszelkiemu duchowemu próżniactwu wypowiedziała walkę pogardy i prawdziwy a święty zaprowadziła terroryzm pracy! Zamiast tym młodym z kraju przybyszom służyć za przewodników w zabawach i uciechach Paryża, zamiast być nieraz — proh pudor! — kommensalami ich grzesznych hulatyk, powinniśmy ich wciąż zawstydząć pytaniami: co robią, jakiemu się zawodowi poświęcają, jaką sobie obrali specjalność, w czém myślą nieść ofiarę krajowi, czego się uczyć zamierzili w stolicach Zachodu? Od takich pytań i upomnień nie powinna nas odwozić żadna obawa natręctwa, żadne względy dobrego tonu. W świętym celu skierowania naszej młodzieży do światła, uchronienia jej od téj



strasznej ślepoty, którą szerzy system carów, nie powinniśmy unikać żadnych trudów ni mozołów, nie powinniśmy szczenić ni słów, ni zachodów: — «bo nie ma słów za wiele, gdy chodzi o tę parę oczu!...»

## LISTY PANA KRASZEWSKIEGO

W GAZECIE WARSZAWSKIĘJ.

---

14 listopada.

Powinniśmy zająć się pilném rozpatrzeniem stałych korespondencyj i listów w naszych dziennikach krajowych, bo te właściwie składają ich część najistotniejszą. Zastępują one i dopełniają wiele rubryk, a między innymi rubryki wiadomości wewnętrznych i krytyki literackiej. Powinność tę, zbyt rozległą na kolumny naszego przeglądu, musimy spełniać dorywczo i cząstkowie.

Na ten raz bierzemy pod uwagę *Listy J. J. Kraszewskiego* pisywane do Redakcyi *Gazety Warszawskiej*. Z wielu względów należy się im pierwszeństwo; ale nie to powoduje w téj chwili naszym wyborem, i mało mamy mówić o samych listach, a bardziej zwrócić się ku widokom, które nam ich treść następuje.

Treścią główną tych listów jest krytyka literacka i artystyczna; rzadko kiedy są w nich wybożenia do innych przedmiotów. Pan Kraszewski chociaż daleko od dzisiejszej stolicy światła narodowego siedzi na ustroniu w Żytomierzu, cały jednak ruch pismieniczny i artystyczny trzyma ciągle na oku, i jest niby jakimś Charo-

nem, przed którym stawić się muszą wszystkie płody przychodzące z krainy myśli do Erebu księgarskiego. Przegląda on je z niezmierną, właściwą sobie łatwością utworzenia i wystowienia sądu, który jeśli nie zawsze głęboki i słuszny, to przynajmniej nigdy nie jest bez pewnego blasku i ciepła, idącego z żywej wyobraźni i zacnego serca, skutkiem czego, pomimo zdań uległych wątpliwości lub zaprzeczeniu, całość daje się czytać przyjemnie i korzystnie. Pod względem krytyki i estetyki zwróconej ku pojedynczym objawom piśmiennictwa i sztuki, bywają w pismach krajowych rozbiory poważniejsze, wytrawniejsze, a szczególnie z większą pilnością wypracowane; ale żaden z nich nie rzuca światła po za obręb książki nie daje poznać widokregu i temperatury życia narodowego, z którego ona wyszła i na które ma działać, żaden nie zaspakaja ani rozbudza tyle ciekawości, bo w żadnym nie znajdujemy tak blisko nasuwających się kardynalnych pytań o umysłowej uprawie: z kąd i dokąd idzie? jaki jej związek z całym tokiem rzeczy narodowych? gdzie ma sobie cel wytknięty?

Listy pana Kraszewskiego nie odpowiadają wprost na te pytania, owszem, częstokroć wtrącają myśl czytelnika pomiędzy zupełnie sprzeczne z sobą ostateczności i zostawiają zmięszaną, zbitą z toru, ale podnoszą ją nad horyzont pełen faktów tak żywych, że może sama rozpytać się u nich o drogę i zejść dalej niżeli autor doprowadzić ją zamierzał. W listach tych, będących wyrazem chwilowych poruszeń jednego z najwrażliwszych i najprzezroczystszych umysłów, a przeto mieniących się ciągle kapryśną i razem ponętną grą kolorów muszli perłowej, cenną jest szczególnie ta doraźność, jaka zresztą znamionuje niemal wszystkie dzieła pana Kraszewskiego, które nieraz zdają się być wielkimi listami, pisanymi z pewnego powodu, stosownie do czasowej okoliczności. Jest w nich przytém, mianowicie gdy się



zajmują literaturą i sztuką, jakaś gorącość, jakaś natarczywość, w której nie tylko wydaje się zamiłowanie przedmiotu, ale czułość i drażliwość niby własnej, osobistej sprawy. I nie trzeba dziwić się temu. Żywot pisarski pana Kraszewskiego i terażniejszy ruch pismieniczny tak są z sobą spojone, że ich osobno dotknąć nie można.

Czy pan Kraszewski ruchowi temu nadał popęd i kierunek, czy sam tym ruchem party wyniósł się na dzisiejsze swoje stanowisko, możemy nie zastanawiać się nad tem. Podobne zagadnienia na większą i mniejszą miarę często napotykają się w dziejach, gdzie trudno rozwiązać, ile człowiek winien wypadkom a wypadki jemu; dosyć że epoki, peryody i peryodziki mają swoich ludzi, oznaczają się mniej więcej ich imionami. W historii literatury naszej, zawód pisarski Kraszewskiego będzie kiedyś obrazem całego okresu, który niedawno przybrał charakter wyraźny i potrwa do nowój, niedalekiej może zmiany. Obecnie jest on nie tylko wyobrazicielem ale i sternikiem umysłowego i estetycznego usposobienia w kraju. Nie masz prawie arkusza pism dziennych i czasowych, któryby tego nie zaświadczał. Nieustannie czytamy o nim :

« Kraszewski to pisarz polski duszą i ciałem. — Imię jego we wszystkich ustach, dzieła w każdym ręku. — Po między pisarzami naszymi są równi talentem słowa, są może wyżsi wykończeniem, żaden nie prześcignął go wpływem. — Dziecko swego narodu, dziecko swój epoki, jako pryzmat jasny przepuszcza on te dwa wielkie promienie, pod których światłem żyjemy. — Wszystkie przejawy naszego życia umysłowego, naszych cierpień duchowych i radości, naszych upadków moralnych i wzniesień, odbijały się w duszy jego jak w zwierciadle, i odbite wracały do nas w jego pismach. — Pomimo usterków, jakie w nim spotkać można, w historii naszej pozostanie on jako pomnik nie już płodnego tylko pisa-

rza, nie już autora o potężnym wpływie, ale jako wierny obraz przejść nurtujących społeczność naszą od ćwierci wieku, nie w jej książkowym ale istotnym życiu. — Unosił się jak inni, wątpił jak inni, zmieniał się lub nawet błędził jak inni; ale nikt inny nie pozyskał takiego jak on prawa do wiary ogółu w niego. »

Te i tym podobne zdania, choćby były przesadzone i niezupełnie słuszne, gdy są głosem opinii niemal powszechniej, głuszającej wszelkie przeciwne temu lub odmienne sądy, stawia pana Kraszewskiego na punkcie, gdzie musi być nietylko przyzmatem i wyobrazicielem, ale przywódcą i sternikiem odpowiedzialnym, jeżeli nie za kierunek, to za brak kierunku.

Łatwo więc pojąć, jaki przywiązuje się interes do wyrozumienia, dokąd on sam idzie i, chcąc czy nie chcąc, ogół prowadzi, jak sobie i innym rozwiązuje zadania swego czasu i kraju. Pod tym względem listy jego mają ogromną wagę, bo to już dawno a bardzo trafnie powiedziano, że człowiek daje się poznać lepiej w listach, niżeli w dziełach i nawet pamiętnikach swoich.

Czytaliśmy przeszłego miesiąca w korespondencji z Żytomierza do *Kroniki Warszawskiej*, że pan Kraszewski postanowił nie pisywać do gazet, a natomiast ma wydawać zeszytami *Przegląd* bieżącej naszej i zagranicznej literatury. Niekoniecznie raduje nas ta nowina. *Przegląd* zapewne będzie miał wielką wartość, ale kto wie czy wynagrodzi nam to, co stracimy przez ustanie listów. Ujęta w pewne karby i nastawiona w pewien ciąg praca myśli, może nie zastąpi wyznań i powierzeń serca, którego każde tętno tak żywo odbija się na papierze listowym. Są pióra przeznaczone do jakiegoś lotu jaskółczego, nie należy ich zmuszać do mierzonego chodu po ziemi. Radzono nieraz panu Kraszewskiemu, i on innym słowo w słowo dawał te rady, żeby « daru przyrodzonego nie marnować, nie rozrzucać, żeby go skupić, wejść w siebie, surowiej pojąć zadanie pisarza i

obowiązki talentu » — ale to już darmo ; nie każdemu rzecz właściwa długo ważyć wyrazy, chociaż czuje co znaczy « na tle wielkiego milczenia kilka słów jasnych, »

Zastanawiając się nad listami, dostrzegamy w nich naprzód i przede wszystkim człowieka, który poczyną odznaczać się w pierwszych chwilach odradzającego się na ziemi naszej ruchu pismieniczego, krząta się wśród niego najczynniej, zdaje się być zajęty jedyną myślą, żeby zaszcześcić i rozkrzewić w narodzie swoim zmysł artystyczno-literacki, zrobić Polskę tak czytającą i piszącą jak Francya i Niemcy ; siłą talentu i niezmordowanej pracy dokazał wiele, widzi postęp swego dzieła, cieszy się powodzeniem, wre niecierpliwością przyspieszenia wzmagającego się ruchu, z uniesieniem wita każdy nowy utwór, z chciwą żądzą nagli do skutku wszelki ledwo powzięty zamiar publikacyi, sypie oklaski, pochwały, zachęty i niemal co miesiąc tryumfalnie ogłasza zjawienie się nowego mistrza w dziedzinie słowa, nowej gwiazdki w naszej plejadzie poetyckiej. Nieraz porwani głosem tak serdecznej radości, czuliśmy także wewnętrzne rozweselenie, i z natężoną ciekawością staraliśmy się o wielbione dzieło. Niestety, wesele nasze rozchwiewało się prędko, musieliśmy przesadę pochwał i uciechy przypisać temu usposobieniu, jakie często unosi rodziców i nauczycieli, kiedy w dzieciach lub uczniach swoich upatrują coby w nich widzieć pragnęli ; musieliśmy przyznać tylko, że sam krytyk miał szlachetne życzenia, wzniosłe pojęcia, piękne ideały tego, co w osądzonych utworach znajdować się było powinno. Tymczasem z niewinnych i zacnych powodów dany przykład, przeradzał się w niedorzeczny i szkodliwy zwyczaj rozrzucania niezasłużonych wieńców, wmawiania urojonych zalet, podnoszenia imion nad rzeczywistą wartość. Wynikła ztąd dziwna czołobitność i zarozumiałość. W nowém pismienictwie naszym stały na ołtarzach fałszywe bóstwa, oćmił je zwodniczy



dym kadzideł, rozległo się echo uwielbień łechcących własną miłość naszą. Odzywa się niekiedy zapamiętały okrzyk, że literatura nasza stanęła na równi ze wszystkimi w Europie, i że nawet mamy poetów żyjących, jakich nikt inny nie ma.

Któżby nie chciał, żeby to była prawda! Ale błógiego złudzenia nie możemy ani podzielać, ani przepuszczać obojętnie. Chociażbyśmy zresztą woleli na wiarę wierzyć, chociażbyśmy zdołali odtrącić własne przeświadczenie, wywiódłby nas z miłego błędu głos przeciwny, podnoszący się od czasu do czasu w różnych organach dziennikarstwa, a najmocniej w samychże listach, o których mówimy. Mają one odwrotną swoją stronę medalu, gdzie radości odpowiada smutek, zaufaniu trwoga, nadziejom zwątpienie i niemal rozpacz.

Oddawna p. Kraszewski począł postrzegać, że ów ruch literacki z dobrą otuchą i niemałym trudem robujący, obraca się na korzyść zabawy i handlu. Podczas gdy powieściopisarstwo zdawało się odegrywać u nas jakąś rolę wzniosłą i zbawczą, kiedy znakomite pióra naznaczały powieściopisarzom posłannictwo przeprowadzenia wysokich natchnień wieszczów narodowych, w zakres powszednich pojęć i praktycznych czynów, on wtedy już biorąc do ręki jeden z nowszych płodów piśmiennictwa, wołał z niesmakiem: «Znowu powieść! kiedyż będziemy mieli coś poważniejszego od powieści!» Wkrótce potem musiał wdać się w sprawę handlową autorów, wyrzucających sobie nawzajem drogie ceny brane od zdzierających publiczność księgarzy. Pod jesień roku przeszłego, usłyszeliśmy gorzkie jego żale. «Nielada to zadanie — mówił — powiedzieć co się u nas z literaturą dzieje; dziś to lekarstwo od nudów, zabaweczka, lub plastyczne wyrobienie idei stroniczych... W literaturze nie obejrzeliśmy się jak nam literatury nie stało, a miasto jój wszędzie widma tylko jakichś reform i systemów... Zamiast dążyć do pojednania serc i umy-

słów, zdaje się, że wzięła posłannictwo przeciwne... Goryczą zapływa serce... pióro z ręki wypada... Nikt już nie śpiewa, nie maluje, nie zajmuje się literaturą, jak się nią zajmowano dawniej. Poważniejsi już w niej nie piękna szukają i estetycznych przymiotów, ale swojej myśli i tendencji, lżejsi wprost zabawki... Patrząc na to, chce się nieraz nie tknąć więcej żadnej książki, opuścić ręce i zarzuciwszy zasłonę na oczy, czekać tak niecierpliwie śmierci.»

Rzeczywiście skargi tej i rozpaczy nie mogliśmy dobrze zrozumieć. Przed laty, kiedy Emigracya z piersią pełną boleści i troski o przyszłość ojczyzny, wśród Zachodu drgającego wielkimi zadaniami, toczyła między sobą ogniste i nawet krwawe rozprawy o społeczne i polityczne zasady, p. Kraszewski nazywał je « bańkami mydlanemi; » teraz kiedy pismienictwu krajowemu istotnie można najbardziej zarzucić czechość baniek mydlanych, upatruje w niem widma reform i systemów, które mają być przyczyną, że na « każdej karcie ksiąg i dzienników naszych stoi walka i nienawiść. » Walki tej i nienawiści nie dostrzegamy tak dalece; a jeżeli dzieła nowoczesne, niektórych innych pisarzy i samegoż pana Kraszewskiego, wyłączyć należy z pod zarzutu i czechości i nienawiści, to śmiemy mniemać, że to raczej ich myśli tendencyjnej niżeli poszukiwaniu piękna i przymiotów estetycznych przypisać trzeba. Przecież nie samą uprawą literatury dla literatury, sztuki dla sztuki, pozyskał on tę popularność i sympatyę, które zjednały mu chlubną nazwę pryzmatu przepuszczającego promienie swego czasu i swego kraju. Cóżby zresztą znaczyła literatura u nas bez związku z zadaniami życia, i jakżeby wtedy narzekać, że się stała prózną zabawką?

Narzekań te jednak powtórzyły się w lecie roku bieżącego, powtórzyły się daleko dobitniej, z akcentem boleśnego sarkazmu i ze skargą tak skierowaną, że cho-

ciaż powody do niej są wytknięte wyraźniej, pojęcie do czego to wszystko zmierza, staje się tém trudniejsze. Prózno byśmy usiłowali zastąpić te słowa treścią zebraną w nasze wyrazy, musimy je przytoczyć. Oto są najbardziej uderzające.

« Bywają chwile posuchy i na literaturze. — Wśród ogromnego ruchu, życia nam braknie. — Tyle papieru się zużywa, a tak mało uczucia i myśli, tak znać, że się nam odechciało słowa i ducha, a myślą i sercem jesteśmy gdzieindziej... inne zadania leżą nam sercu. — Kiedy literaturze naszej, tej spuściznie ostatniej (?!) przeszłości, w której wszystkie (!) skarby nasze, potrzeba najwięcej jedności, drą ją haniebnie i szarpia na wszystkie strony. — Literatura... nie na dobie niestety! — tak jesteśmy zajęci sprawą postępu przemysłowego, zadaniem żywotnym kolei żelaznych, i robotą około jakiejś przyszłości. Przejdzie-li kolej przez Żytomierz? czy przyjdzie do skutku droga do Brodów? czy nas połączą z Odessą? czy praktyczna żniwiarka wejdzie na horyzont gospodarski? jak się rozwiąże nowe uregulowanie stosunków włościańskich? Oto pytania, z którymi się dziś rozminąć niemożna; przy nich wydanie nowe poezyj Pola, powieść Kaczkowskiego, Korzeniowskiego, lub nieocenionego Chodźki... historyczna rozprawa Szajnochy... wszystko to blednie (!!). Ledwie kilku wiernych sprawie, a raczej upartych zajmuje się jeszcze słowem... reszta zdaje się brać stanowczo do czynu (!!). — Tak dziwnie się wydajemy z naszą gorączką do praktyki, a zastygnięciem do tego co jest prawdziwie życiem (!!!). — Głównym zadaniem społeczeństwa naszego jest... znieść ubóstwo, wyrobić dobry byt ogólny... wśród tak zaprzątionych li ziemską tylko sprawą, co może być za rola literatury? Wszystko co nam daje poznać siły materialnego świata, co dopomaga do ovladania niemi, co wtajemnicza w działania z których korzystać chcemy, idzie przodem. Do czegoż tu literatura? ma-li kto czas myśleć i czytać przy takich zajęciach. —



Można-li co zrobić z terażniejszości, prócz praktycznego doręcznika i statystycznych tablic. — Mnożą się książki użyteczne, brak natchnionych. Manualy, słowniki, leksykony encyklopedyczne, kompendya, tablice, oto literatura dzisiejsza... »

Dla Boga! jakież z tego wszystkiego mamy wyciągnąć pojęcie o znaczeniu i posłannictwie literatury u nas w kraju? Cóż dziwnego iż się odechciało słowa i ducha, które nie mają nigdy prowadzić do czynu? Co przeszłość bez żywego w sobie zarodu przyszłości? Nieprawda, spuścizna nasza nie cała w literaturze, mamy ją w pierśiach naszych, a literatura i dawna i nowa tyle tylko jest skarbem naszym, ile nam służy do utrzymania, rozwinięcia i wprowadzenia w czyn ducha narodowego. Inaczej będzie ona zawsze nie na dobie. Czyliż odziedziczone bogactwa piśmienne mamy chować jak papiery bankruta niemające już ni wartości ni obiegu, lub szczyć się niemi jak zgnędziały i znikczemniały potomek klejnotem szlacheckim, herbem rycerskim? Alboż nie nam nie pozostaje jak zebrać skrzętnie, ułożyć z poszanowaniem świątobliwém wszystkie zabytki i pamiątki po matce naszej, którą nie umarłą zamknięto do grobu, i nie spodziewając się już, nie pragnąc i nie usiłując na biały świat ją wyprowadzić, dumać o niej poetycznie, pocieszać się po niej estetycznie i artystycznie? Gdybyśmy powznosili piramidy z ksiązek wyższe od egipskich, gdybyśmy w naszych poematach, powieściach, zbiorach archeologicznych, albumach, obrazach, rzeźbach, odtworzyli całą przeszłość Polski, cóżby nam było po tém wszystkiém, bez polskiego żywota na teraz lub na przyszłość. Wszystko to wielkie, piękne, ukochane i potrzebne, póki jest pobudką nie uspieniem sumienia, póki prowadzi do energii nie do rezygnacyi, póki roznieca święte płomie ognia wewnętrznego, nie zaś rozlewa po sercach narkotyczną słodycz. Zrzekłszy się nadziei, trudno utrzymać wiarę a nakoniec i zacho-

wać miłość. Czyliż ten lud, którego imię tak często brzmi w piśmiennictwie naszym, oświadczającym się z miłością ku niemu, ma wiecznie pozostać tylko materiałem dostarczającym omdlałej poezji żywiołu piosnki gminnej, powieściom bohaterek jak Ulana albo córka Budnika? nie czynimy przymówki panu Kraszewskiemu, broń Boże! Bylibyśmy niesprawiedliwi i niewdzięczni. Umiemy ocenić i zamiary i skutki prac jego. Ale niechże nie wmawia, że inne zajęcia się są zastygnięciem, a czytanie Kaczkowskiego i Korzeniowskiego prawdziwem życiem! Zaiste, więcej rzeczywistego życia jest w kwestyi włościańskiej, a nawet w kwestyi dróg i żniwiarek. Cokolwiek bądź można powiedzieć o materialnych dążnościach nigdy się to nie da przeprowadzić, żeby zgodniej było z powołaniem chrześcijańskim, obywatelskiem i polskim « myśleć o pięknie wiekuistém » niżeli starać się znieść ubóstwo i wyrobić dobry byt ogólny. Listy przejęte są do zbytku cierpkim i nieubłaganym antagonizmem dwóch stron, z których jedna, duchowa niby i święta wyłącznie, oznaczona jest godłem literatury i sztuki, druga materialna i potępiona bezwzględnie, ma sobie dany sztyld przemysłu i handlu. Spór ten pod chorągwiami ducha i materji, uczucia i rozumu, jest bardzo stary i zawsze pokazuje brak w życiu rzeczywistém idei działającej, brak téj siły, która ducha oblekając w ciało, a materją przejmując duchem, wszystko sprowadza do harmonii i zgody w syntezie praktycznej. Inaczéj tego sporu zagodzić niepodobna; nigdy jedna z dwóch stron nie weźmie przewagi ostatecznej, a prawem jakiejś strasznej kary za bezowocne rozpraszenie się ducha, póki zbawcza idea nie skupi i nie podniesie jego, materia bierze górę i ciąży nad nim. To téż dzieje się to z literaturą i sztuką: pomimo przechwalań się, oburzań i sarkazmów, zostają w poddaństwie u przemysłu i handlu. Daremnie krzyczeć na zaprzątionych « li tylko ziemską sprawą » że dbają jedynie o zarobek i używanie,

że rozlegają się na padole wygodnie i miękko, kiedy oni odpowiedzieć mogą, że pędzić dni malując, śpiewając, z książką lub piórem marząc, to także nie jest ani nieprzyjemnie, ani twardo. A jeżeli zresztą widokrąg życia polskiego ma zamknąć się w literaturze i sztuce, jeżeli turystostwo ma zasługiwać na chlubę w kraju, to nie można mieć za złe tym, co przedewszystkiem starają się o pieniądze, ani skutecznie karcić turystów naszych, przebiegających galerye zagraniczne. Gdzie celem ostatecznym przyjemność, rozrywka, zabawa, tam wybor środków zadowolenia się jest tylko rzeczą smaku, osobistego usposobienia, a dla ogółu, dla dobra powszechnego narodu, prawie równie obojętną.

Po liście, który nam dał powód do powyższych zapytań i uwag, jest jeszcze jeden, najświeższy, ostatni, pisany 19 września. Treść jego w gruncie ta sama, tylko temat i ton nieco zmieniony. Już tu nie idzie o posuchę w literaturze, ale o wyschłość dusz w całym społeczeństwie, czy w znacznej jego części; już to nie żałośnie skarga, ale groźny wyrok, straszna klątwa na nowe pokolenie, które wystygłe i głuche na głos obowiązku, nie bierze udziału nawet w rzeczach « gdzie chodzi o wykształcenie przyszłości, o zachowanie pamiątek, o podźwignienie języka, o najdroższe dla nas sprawy. » Wskazawszy na fakta, jak np. na Dom Towarzystwa naukowego Krakowskiego i Teatr Żytomirski darmo wołające o składki, autor dodaje: « I jakże wobec takiego stanu rzeczy nie płakać, nie zżymać się, nie wołać wielkim głosem—Ratunku! »

Zarzuty ważne, wołanie słuszne. Jednakże nie chcemy pierwszych uważać za ogołoczone ze wszelkich okoliczności łagodzących, bo musielibyśmy uznać drugie, za zupełnie niewczesne i daremne. Czytając uprzednie listy pana Kraszewskiego, dziwno już nam było, jak mu nie zabrakło sił i ochoty, w nichże samych, albo w tuż następnych po nich, zajmować się jeszcze z upodoba-



niem i z wypogodzoną myślą, rozbiorami powiastek, rymotworów i winietek okładkowych. Wyznajemy bowiem, że kiedy nam napomknie tylko przelotem i od niechcenia « *że cechą wieku może jest zlewianie się narodowości, przeciw któremu siłą zamięłowania rodzinnej ziemi ledwo się obronić możemy* » — to już nie mamy serca zająć się z nim zaraz rozpatrywaniem *Wizerunków Fajansa*. Jeżeli ostatniemu listowi mamy bezwarunkowo zawierzyć, tedy pozostaje tylko rozpaczać, załamać pióro, nakryć głowę i czekać śmierci. Zdaje się atoli że tak źle nie jest, i nie mając w tym razie gdzie indziej zaczerpnąć pokrzepiającej otuchy, musimy jęj szukać w tém samém źródle, z kąd płynie gorycz i trwoga.

W połowie tegoż ostatniego listu, znajdujemy słowa, jeśli niezupełnie, to do pewnego stopnia przywracające nam ufność. Pan Kraszewski, jak się to mu czasem zdarza, niżąd ni zowąd wybucha przeciw Zachodowi, « *gdzie ludzie są lalkami zręcznemi, z których dusza i sumienie uciekły, dla których bożyszczem grosz, celem użycie, a ludzkość materyą prób, szyderstwa i teatrem maryonetek.* » Obracając się potem do swoich, do tylko co potępionych za wystygłość i zestarzałość, powiada: « *Wolę ja nasze serca bijące żywo. Ani nam kochać żywota Europy starój, ani go naśladować. Tam życie u schyłku, wysilone, podbudzane sztucznie, u nas siły jeszcze młode, tam wyczerpane i dogorewające(?), u nas potężne przyszłością. Sto ich wynalazków niewarte są naszego uczucia szczerego, naszych popędów szlachetnych i dziecięcych.* » — No, kiedy tak, to jeszcze nadzieja żyje! Godzi się więc mniemać, że sprawa w imieniu literatury i wszystkiego co na jęj kredycie polega, wytoczona przeciw publiczności, przeciw ogółowi, przeciw społeczeństwu, nie powinna być zaocznie sądzona, i gdyby strona obżałowana miała głos, mogłaby bronić się wzajemném zaskarżeniem.

Prawda! naród nasz ma serce bijące żywo, siły młode

i potężne przyszłością. Dlategoż nie spocznie on, nie utonie, ani w artyzmie włoskim, ani w myślicielstwie niemieckim, ani też — bądźmy o to spokojni — w tym spekulantyzmie kosmopolitycznym, który nazywamy chorobą wieku. Z natury swojej, z przeznaczenia zapewne jakie Bóg mu nałożył, żył on zawsze życiem rzeczywistém, czynném, właściwém sobie i swojej ziemi; takiego zawsze potrzebuje i szuka na prostej czy mylniej drodze, z podniesioném w górę czy schyloném ku padolowi czołem. Kocha on przeszłość, ale wzdycha do przyszłości, i nad wszystkie sztuki wielbi słowo, które łączy mu te dwa widoki. Literatura, kapłanka słowa, ma u nas powołanie wysokie i święte, ale trzeba żeby zrozumiała swoje zadanie, trzeba żeby krytyka, która ciągle ogląda się na wielką poezyą naszą, stawia ją jako wzór, przykład i wymówkę nowemu pokoleniu, a razem bez wyboru pakuje w jej plejadę tuziny piewców i lirników, trzeba mówimy, żeby ta krytyka zgłębiła tajemnicę jej potęgi i znalazła dla siebie prawdziwą miarę, zatracone zupełnie *criterium* sądu. Dotknęliśmy przedmiotu, który wymaga szerszego rozwinięcia i musi być odłożony na później. Tu, dla zakończenia rzeczy, dodamy tylko parę uwag.

Wielka poezya nasza, nie zatrzymała się jak serbska na Kosowém polu, nie zwichnęła jak ukraińska, bohaterskiej nuty do piosnek o dziewczynie i kalinie, ale zebrawszy wszystkie promienie przeszłości, całą miłość swojej ziemi i całą boleść swojego narodu w jedno wielkie ognisko, w jedną płonąca ideę ojczyzny, strzeliła wieszczém spojrzeniem w przyszłość. Środek tego ogniska jest w duszy każdego, kto ma słuszne prawo być nazwanym synem Polski. To jest tajemnica, dla czego wielka poezya nasza szła w parze z wielkim czynem i została uznaną za arcynarodową.

Nie należy wszakże ztąd wnosić, że tylko orężne powstanie może być jedynym celem dla poezyi techniczej

ogniem czynu. Bywają chwile różnych przejść i prac przygotowawczych. Kiedy przypada narodowi zejść do warsztatów, gdzie się kuje żelazo na oręż, zaorać gospodarniej niwę, dawczynię zasobów wojennych, urządzieć się po bratersku w gnieździe dostarczającym pułki bitnych Wiarusów, wtedy literatura wogólności, a poezya szczególnie, nie może pozostać tylko artystyczną, dyletantską, marzycielską. Ma ona dzisiaj twardsze może, ale niemniej wzniosłe zadanie. Im niżej musi schodzić między braci zaprzątionych ziemską sprawą, tém wyżej powinna sięgać po ogień narodowego ducha.

---



# GLADYATOROWIE

PRZEZ P. LENARTOWICZA.

---

28 listopada i 12 grudnia.

## I

Z niemałym zadowoleniem czytaliśmy niedawno w naszych dziennikach wiadomość, że p. Lenartowicz pracuje nad poematem większych rozmiarów i poważniejszej treści. Słusznie czy niesłusznie, widzieliśmy w tém dowód, że autor *Lirenki* wyższe od swoich bezwzględnych chwalców ma pojęcie o sztuce, i zdrowiej, od bieżącej krytyki, ocenia nasze istotne potrzeby. Rodzaj poezyi, jaki p. Lenartowicz dotychczas obrabiał, miał bezwątpienia tak rzetelne zalety, jak rzeczywiste uprawnienie w pewnej fazie naszego życia; ale nie byłoby to korzystnym dla przyszłości pisarza, gdyby w tym jednym zakresie swój talent nazawsze zacieśnił, ani by to przedewszystkiem było znakiem politycznego i moralnego zdrowia naszego narodu, gdyby ten innego nie zażądał barda, «zakonnik rycerz innéj nie chciał piosenki». Ktokolwiek rzuci okiem na dzieje powszechnéj literatury, ten łatwo odkryje to ciekawe prawo, że po

wielkich moralnych lub politycznych katastrofach zwykła zawsze zakwitać poezya opisowa i sentymentalna, sielankowa i elegijna, i tak długo niwę twórczości załęgać, póki przywrócony do dawnéj siły i energii organizm społeczny, silniejszych téż i energiczniejszych nie zażąda i nie obudzi dzieł, tak w sferze czynu jak słowa. A jeśli z tego historycznego stanowiska zechcemy się zapatrywać na autora o którym mowa, będziemy mieli równe prawo oświadczyć się z uznaniem dla jego przeszłości, jak téż stać się bardziej wymagającymi na przyszłość. Zjawienie się takiego poety, jak p. Lenartowicz, po strasznych naszych wstrząśnieniach w r. 1846 i 1848, było faktem zupełnie normalnym, rzeklibyśmy prawie koniecznym, a wziętość, którą prędko zyskał w kraju, łatwo tym sposobem da się wytłumaczyć. Tylą nadziejami i zawodami wycieńczony duch narodu, rad znalazł odpocznienie i ukojenie w tych słodkich, czułych dźwiękach sielankowéj nóty; uśmiechała mu się *dziewczyna*, która « przy tym niepokoju » myślała o powoju, co się plecie po krzakach i o lichéj ptaszynie, co śpiewa w matuli ogrodzie, i z pewném uczuciem tkliwéj zdrości witał tę *sierotę*, której « nie nie żal na świecie, » której żal jeno téj łąki, gdzie sijołki i dzwonki, tego słońca w zachodzie i fujarki wierzbowéj... Gdy przedtém każda pieśń Wajdeloty « mordy, pożogi śpiewać lubiła i nam zostawiała chwałę i zgryzoty, » jakżeż miło było teraz, w naszym zniemożeniu, usłyszeć pieśń zupełnie inną, spokojną, kojącą, która święciła *maty świątek* wiejskiego zacisza i niekrwawe ofiary paliła na ognisku rodzinnego zakątku i zaścianka!... « Po przewodnéj niedzieli — opowiada o naszym wielkim Czarneckim Pasek — zachorował wojewoda niebezpiecznie; wszyscy zlekliśmy się bardzo; posprowadzano różnych lekarzy, którzy po naradzie rozkazali, żeby mu muzyka grała ciągle. Grano tedy zawsze w drugim pokoju na *eichych* narzędziach — i taki przyszedł do zdrowia... » Otóż i

naród polski, ciężką niemocą złożony, w stanie zupełnej prostracyi po owych krwawych katastrofach, znajdował, jak niegdyś jego wielki hetman, pewną ulgę w tój *cichéj* muzyce, którą mu odegrywał lirnik z Mazowsza, i która, jeśli czasem usypiała — tém właśnie była pożądaną. Miłe te wierszyki, objawiające się raz poraz w pewnych odstępach, w dziennikach i pismach peryodycznych, zawiewały nas zawsze jakby lubą wonią lasów, zapachem świeżego żytniego chleba, ochładzały nam palące czoła lekkim wietrzykiem, co ugina kłosa pól naszych: było w nich wiele tkliwości, wiele czystości, dużo i oryginalności. Wprawdzie ta oryginalność, zbyt powtarzana przybierała nieraz charakter manieri; wprawdzie ta tkliwość, przez bardzo bliską a częstą permutacyą, przechodziła w ekliwość, a czystość formy zdradzała tu i owdzie pewną czczość myśli: razem szczególnieź zebrane, te melodye monokordu, okazały się monotonnemi; bławatki, stokrotki i bratki, które cieszyły oko, co je niespodzianie i zrzadka wśród pól odkrywało, w jeden pęk uwite, wydały się dziwnie blade, wiecznie te same... Poznałże się na tém niebezpieczeństwie lirnik i dlatego umyślił innéj sobie szukać drogi? Alboż może tylko za samym i naturalnym serca poszedł popędem, gdy odtąd Dobrego Pasterza i Świętego Rybitwę przedewszystkiém opiewać postanowił i jak dawniej *polską ziemię*, tak potém niebieską krainę zaczął podawać *w obrazkach*? To pewna w każdym razie, że jeśli temat był zmieniony, nóta pozostała ta sama; że wyżéj czy niżéj nastrojona, jedna wciąż zawsze dźwięczyła stróna. P. Lenartowicz rzucił się w poezyą religijną, ale nie przestał być tym samym pasterskim poetą. Dusza jego wielbiła Pana — na wierzbowej fletni; na niebo jak na ziemię patrzył wciąż przez odwrotną stronę poetycznej lunety, stronę ładną i składną, ale zdrobniałą. *Zachwycona, Błogostawiona, Fragment o Apostołach* były zawsze w gruncie sielankami, tylko że se-



raficznemi, że zamiast mazowieckich, widzieliśmy tu w miniaturze tych «kmieci, którzy siedzą u Boga w wiecu». Te niebieskie idylle miały te same, co dawniejsze ziemskie, zalety i wady; tylko że dla zdrowego uczucia wady tu jeszcze musiały się stać przykrzejszemi. *Je voudrais parfois un loup dans cette bergerie*, powiedział, jeśli się nie mylimy, Scarron o sławnych sielankach pani Deshoulières; i od takiego życzenia nie byliśmy i my czasem dalecy na widok tych owczarni p. Lenartowicza, świeckich czy świętych... W religijnych obrazkach maniera była jeszcze bardziej rażąca; poeta złościł Bożą mękę, przystrajał w kwiaty Golgotę, a gdy mu niedawno jeden ze spółzawodników wyrzucał, że bawi się «aż w najświętszą cierniową koronę» — to w tym zarzucie było tyle przynajmniej istotnej prawdy, ile może osobistej niechęci. Że krytyka wszystko chwaliła, wszystkiemu przyklaskiwała i najłżejszego nie robiła zastrzeżenia, to wszystko smutniejsze jeszcze niż o estetycznym daje świadectwo, o naszym etycznym osłabieniu. Cokolwiekbądź, czas, czas już wielki, aby naród się otrząsł wreszcie z tej elegijnej bezwładności, która podobnego rodzaju poezją czyni mu nad wszystkie inne pożądaną; czas aby z tego łzawego i sentymentalnego wyszedł usposobienia, i o jakich poważniejszych i godniejszych pomyślał trudach i dziełach. Ta *tęga* (że użyjem ulubionego przez naszego autora, wielkopolskiego wyrazu na oznaczenie tęsknoty) nie jest tęgością ducha; te niewieście tony nie budzą męskiego hartu, ani do męźnych nie prowadzą czynów. Czas, byśmy inną zaczęli pieśni. A jeśli sam piewca mazowiecki da nam hasło do takiej zbawienną a konieczną reakcyi; jeśli jeden z pierwszych się pozna na potrzebach obecnej chwili i podnioślejszemi tworam wyprzedzi wyższe wymagania narodu; jeśli, nie czekając niechybnego prędkiej czy później upomnienia publicznego głosu, sam sobie zawczasu powie to wielkie słowo Szekspira, że

«to nie świat do bawienia się w cacka» — wtedy tém lepiej dla nas, tém lepiej dla niego! Dowiedzie tém, że uczucie obywatela w nim silniejsze od instynktów artysty, że nad ładność pracy przynosi jój zacność, i okaże się pisarzem, który umie zapanować nad własnym duchem i własnym usposobieniem, i którego sumienia nie zagłuszają łatwe, a tém samym i przemijające oklaski.

Wszakże, niejedna obawa mieszała się do tego uczucia zadowolenia, i daleko słabszemi od naszych życzeń były nasze w téj mierze nadzieje. Jeśli już wogóle wielkiej mogło ulegać wątpliwości, czy też skutek odpowie zamiarowi, czy też p. Lenartowicz potrafi przezwyciężyć swoją naturę i do wyższej i do poważniejszej wznieść się kreacyi, czy mu się uda flet lesbijski zamienić na alcejski bardon i plastycznego pomysłu nie roztopić we łzach i błękiecie: to obrany przezeń przedmiot bardziej jeszcze dla nas zagadkowym czynił ostateczne powodzenie. Temat *Gladyatorów* kazał się nam domyślać, że poeta dotknie niezawodnie stróny słowiańskiej; równie téż było do przewidzenia, że rzecz będzie usnuta na tle klasycznej starożytności: pod jednym zaś jak pod drugim względem, mieliśmy ważne przyczyny do niepokoju i nieufności. Kwestya słowiańska, w obecnych szczególniejszych czasach, jest jedną z najdrażliwszych, najzawilszych i najniebezpieczniejszych, o jakie tylko potracić może dusza Polaka. Dla jasnego i wszechstronnego jój orzeczenia, dla dotknięcia jój tylko w sposób, któryby nie obraził sumienia polskiego, uczucia naszych obywateli i zadań, logiki wreszcie dziejów i tajnych praw Opatrzności, potrzeba najobszerniejszego a trzeźwego poglądu na sprawy świata, na sprawy jego polityczne, moralne, religijne, potrzeba najwytrawniejszego sądu o siłach i sprzężynach kierujących naszą cywilizacją, umysłu nakoniec zarówno wolnego od chwilowych i choćby najsluszniejszych niechęci i żalów, jak od uprze-

dzeń zarozumiałej historyzofii i omamień sentymentalnej idealności; potrzeba jednem słowem wielu rzadkich przymiotów, których w naszym lirniku ani przypuszczać, ani takowych nawet po nim żądać nie mieliśmy prawa; przymioty zaś które w nim znamy; artystyczna wrażliwość, sentymentalna potulność, nerwowa miękość i czułość, które mogą być nie bez pewnego uroku, ale które żadnego silnego nie dają punktu oparcia, łatwość do uniesienia i zaczarowania się i ta skłonność do cenienia tylko pozornych i malowniczych stron życia, z lekceważeniem, z niedomyślaniem się nawet rzeczywistych — wszystkie te jego właściwości, które tak dobrze wolno nazwać zaletami jak wadami, najmniej zdawały się nam go uzdalniać do należytego postawienia wielkiego problemu. A nie mniejszemi także były nasze obawy o plastyczną stronę zadania, o sposób, w jaki poeta zrozumie i odda świat starożytny. Jak większa część, niestety, naszych nowszych pisarzy, tak i autor *Lirenki* nie zaprawił swego smaku i swojej wiedzy na nieśmiertelnych dziełach, które nam zostawili Grecy i Rzymianie, i wielka klasyczność została dla niego księgą z siedmiu pieczęciami. Jeśli zresztą jest jakie usposobienie, instynktowo myśli Hellady i Romy przeciwne, jój wręcz antypatyczne, dla niej zewsząd zamknięte, to niezawodnie to, które w każdym wierszu i w każdym uczuciu naszego lirnika przebija. Przy takiej zaś wyraźnej niedogodności natury, a niezaprzeczonem w dodatku braku odpowiedniej kultury, wszelkie powodzenie w tej sferze mogłoby tylko być dziełem cudu; a do wiary w cud podobny nie upoważniała nas w każdym razie uczyniona już dawniej przez autora w tym rodzaju próba: mamy tu na myśli ów *monolog Tyrteusza*, w którym p. Lenartowicz przed kilkoma laty, najnaiwniej w świecie, rysy z ostatnich dni Pompei przeniósł w czasy drugiej wojny messenjskiej, i prawił tam o ruinach królewskiego pałacu, o



wałęć się *bazylice*, o Odeonie, o palach ze złota i «łaźniach, gdzie ciała swe wonnościami namaszczają» — monolog, o którym krytyk poznański trafnie niegdyś wyrzekł, że w nim nie ma ani jednego słowa, któreby mógł powiedzieć prawdziwy Tyrteusz...

Długo i głośno zapowiedziany utwór, mamy wreszcie teraz przed sobą (1) i jesteśmy w stanie sprawdzić nasze widzenia i przewidywania. Powiedzmyż przedewszystkiem, że *Gladyatorowie* nie są wcale poematem większych rozmiarów, jak to z doniesień w dziennikach wnosić można było; nowa publikacya p. Lenartowicza jest małym obrazkiem, objętości pięćuset wierszów. Nie robimy mu z tego bynajmniej zarzutu; chcemy tylko tém zastrzeżeniem właściwą dać miarę całej sprawy i uchronić przy sposobności naszych czytelników od zawodu, któregośmy sami doznali. Bolesnie nierównie dotknął nas zawód innego rodzaju, z którym spotkaliśmy się odrazu i na samej okładce broszurki, i o którym przemilczeć nie zdaje się nam właściwem. Jedna z dobrych stron autora *Lirniki* dotychczas była skromność i bezinteresyjność. P. Lenartowicz nie miał zwyczaju przybierać postawy Tytana, jak to niestety w większej części czynili młodzi jego u nas spółzawodnicy; nie głosił się on milionem, nie wyrzekał na świat, nie żalił się na ludzi, nie wyzywał przeznaczenia i nie zapowiadał «pieśni, o której i Bóg nie śni.» Lirnik wciąż dotąd nocił naiwnie i bez żadnych uroszczeń, był «jak ta licha ptaszyna, co w wieczornym chłodzie, śpiewa sobie na kalinie w matuli ogrodzie» i ujmował wielce tą prostotą, która w grancie była też i najlepszą rachubą. Ale na czele *Gladyatorów*, i dwa razy na dwóch tytułach poemaciku, położył autor *motto*, które w rażąco i smutny bardzo sposób odbija od dawnego jego

(1) *Gladyatorowie*, wiersz Teofila Lenartowicza. Paryż, E. Dentu, 1857; in-8.

obyczaju i trybu, i w którym, wyrazami Kassandry z Odprawy Posłów Kochanowskiego, wyrzuca «srogiemu Apollinowi, że mu wieszczego dawszy ducha, nie dał wagi w słowach, ale wszystkie jego pieśni na wiatr idą, nie mając u ludzi więcej wiary, niż baśni próżne i sny znikome...» Z ręką na sercu! — p. Lenartowicz do podobnych żalów nie ma najmniejszego prawa; autor *Błogostawionój* na obojętność i oziębłość ludzi, uskarżać się zaprawdę nie powinien! Wziętość jego w kraju jest wielka i powszechna, uznania i hołdy zewsząd go otaczają, a krytyka nawet ma same dla niego dotąd tylko poklaski. Porównywanie zaś siebie do Kassandry jest czémś, czego nazwać nie chcemy, bo nie możemy na prędce znaleźć stosownego a zarazem łagodnego wyrazu. P. Lenartowicz żadnej jeszcze żywotnej prawdy nie objawił narodowi, «żadnych nie przeczuł zdarzeń, żadnych ran ludzkości nie wziął w swoją pierś magnetycznie — on sobie tylko wciąż piał idyllicznie!» Jakżeby więc dopiero odzywać się mieli prawo wielcy mistrzowie *Wallenroda* i *Książ Pielgrzymstwa*, *Nieboskiej Komedyi* i *Psalmu dobrej woli*? A jednak, i ci synowie słońca nie pozwalali sobie skarg podobnych; na własnej piersi krwawili pięści, przeciwko światu ich nie wznosili!... Jeśli tego rodzaju ma być przemiana mazowieckiego pieśniarza, to możemy go tylko błagać, aby tak wielkiego sobie nie zadawał trudu; to możemy sobie tylko życzyć, aby czém prędzej wrócił do swoich rozmów ze słowikiem, do dziewczyny i kaliny, i do swych świętych pastuszków. Bo wolimy już na trzy zbytki ocukrzony pienia czułych kmiotków, niż gorzącą gorycz proroczych samosłańców i samozwańców; bo wolimy już mdłe dumki, niżeli żrącą dumę!

Daleko słuszniej podobno, autor *Gładyatorów* mógłby wyrzucać Apollinowi, że mu zamknął ten Olimp starożytny, w którym piękność grecko-rzymska w całym swym zasiadła majestacie, że mu odmówił daruzrozu-

mienia antyki i żadnego mu nie udzielił zmysłu do poznania i odtworzenia klasycznego świata! P. Lenartowicz pod tym względem wszystkie nasze urzeczywistnił obawy i niewielki uczynił postęp od czasów swego *Tyrteusza*. Postarał się teraz wprowadzić trochę pilniej o pewne szczegóły, umyślił swą poetyczną tkankę przedzierząc łacińskimi wyrazami, w przypiskach następnie objaśnionymi, i w tym celu przerzucił jedną i drugą książkę... Ale pierwszy rzut oka wystarcza tu do przekonania, że te drobne ułamki ułomnej wiedzy są nabyte *ad hoc* i dorywczo, że nie są rezultatem żadnych poważniejszych studyów, żadnego głębszego przejęcia się całością przedmiotu. Nie myślimy tu dać spisu wszystkich materyalnych *erratów*; pozwolimy sobie tylko wytknąć kilka na wrywki wziętych historycznych i archeologicznych naiwności. « Powstanie Spartakusa z gladyatorami, powiada nasz autor, było tém dla Rzymu, czém śmierć Karola Sztuarta i Ludwika Capeta (*sic!*) dla powagi władzy w Anglii i Francyi; od owego czasu (*sic!*) znika wyobrażenie o sile nieprzewartej Rzymu, i ludy ośmielają się na nieśmiertelną... » Omijamy całą niestosowność wyrażenia, « Ludwika Capeta », żywcem z trybunału rewolucyjnego wziętego (ma to zapewne służyć za *certyfiikat cywizmu!*...); puszczamy mimo także całą niedorzeczność « pomysłu do dziejów » o Anglii, kiedy wszyscy przecież wiemy, że właśnie od śmierci Sztuarta i od rewolucyi 1688, powaga władzy i uszanowanie dla tronu doszły w Wielkiej Brytanii do szczytu nieznanego nigdy przedtém i podziś dzień trwają : trzymajmy się tylko historii rzymskiej Spartaka. Mógłby kto doprawdy podejrzyc, że pan Lenartowicz tego sławnego gladyatora zna tylko z posągu Foyatiera w tuleryjskim ogrodzie : bo jakżeby inaczej wpadł na myśl datowania od niego epoki upadku władzy Rzymu nad światem?... Spartakus sam tak mało w ten upadek wierzył, że nawet po zwycięztwie nad Warynem marzył tylko o schronie-



niu się z towarzyszami za Alpy — a w tém, powiada Plutarch, dał dowód, wielkiego rozsądku. I gdzież autor wyczytał, że dopiero po Spartaku zaczynają się ludy ośmielać się na nieśmiertelną? Namby się właśnie здавало, że zupełnie działa się przeciwnie. Przed tą epoką ośmielali się niejedni na nieśmiertelną: Samnici n. p. i Gallowie, Hanibal i niewolnicy; ale po niej, i przez wiele wieków następnie, powaga i przewaga władzy rzymskiej nad ludami była silniejszą i większą niż kiedykolwiek, i *urbs* bezpiecznie i bezprzecznie rozkazywała *orbi*. W inném znowu miejscu, objaśniającém znane *panem et circenses*, czytamy: «jedyna żądza motłochu, żywionego kosztem patrycyuszów, dobierających się najwyższej władzy ilością stronników;» ale rzecz dzieje się za czasów cesarskich (w jakim wieku? tegośmy wprawdzie, mimo całego lokalnego kolorytu, nie potrafili odgadnąć): a za czasów cesarskich, patrycyusze już ilością stronników nie dobierali się do władzy, i troskę żywienia i bawienia motłochu zostawiali imperatorom. Opis Rzymu nam opiewa, że «po cyrkach stoją obeliski, które w egipskiej czas niewoli, Izrael kował panom k'woli.» Izrael w ziemi Mizraim nie kował obelisków. Biblia tylko mówi, że budował miasta (arejmiske-noth, *urbes promptuarias*), że «ku gorzkości przywozili żywot ich robotami ciężkimi *gliny i cegły*, i wszelaką służbą, którą byli obciążani *w robotach około ziemi*;» o tak ciężkiej pracy, jaką szczególnie w Egipcie było wykowanie monolitów, nie byłby przemilczał biblijny historyk. Zresztą, kamienie te wydobywano w wyższym Egipcie; Izrael zaś zamieszkiwał niższy, który innym zupełnie ulegał Faraonom. «Niech koło dziejów Chronos toczy,» woła dalej poeta. Chronos, czyli raczej Kronos (bo *chronos* nie jest żadnym nomen proprium i nie oznacza żadnego Boga) miał sierp lub klepsydrę, a w italsko-rzymskich przedstawieniach na głowie lub u nóg kulę: ale koła nigdy nie toczył. A

kiedy następnie wieszcz dozwala mu jeszcze « jedno płótno wciąż przerabiać » dodając, że « przecie wyżej czasu wzbici, poznamy jego *stare nici* (sic!) » to dziwnie znowu miesza Saturna z Parkami, a licencyi archeologicznej nie okupuje poetycznością ni obrazu ni wyrazów. Autor często w podobny i gorszy sposób wypada z obrazu i epoki. Robi to np. szczególne wrażenie, kiedy wśród ciągłych wspomnień o kwiryłach, edylach i togach, wśród ciągłych *sclavus, slavus i cheu*, słyszymy nieraz « głosy w lewo, w prawo, *bravo! bravo!...* » i w ustach ludu rzymskiego spotykamy ten nowomodny wykrzyknik dyletantyzmu, którego źródłosłowa nawet nie ma w łacińskim języku...

Małoważne to są rzeczy — i téż bardzo małą w gruncie do nich przywiązujemy wagę. Dowodzą one chyba tylko, że nawet dla poetów u nas teraz już *upłynął wiek złoty...* nie dowodzą nic przeciwko artystycznej i moralnej wartości utworu. Nierównie zatém ważniejsze i ciekawsze jest pytanie, jak swoje zadanie pojął i ukształcił nasz autor, i jaką myśl swoim dziełem chciał wypowiedzieć dla obecnej chwili. Zastanowimy się nad tém w naszym następnym przeglądzie.

## II

Jednym z głównych błędów tegoczesnych poetów naszych i powieściopisarzy — moglibyśmy dodać : i malarzy — jest ta wyłączna preokupacya lokalnego kolorytu, która erudycyą stawi w miejscu natchnienia, kompilacyą mniema zastąpić prawdziwą twórczość ducha, i która, zebrawszy skrzętnie archeologiczne szczegółki i drobiazgi, kostiumy, maski i sposoby mówienia z pewnej epoki, dobrodusznie myśli, że już tém samém ułożyła

obraz historyczny. Wielki autor Grażyny bardzo był wstrzemięźliwym w mytologicznych, antykwaryuszowskich i obyczajowych opisach przedchrześcijańskiej Litwy : można cały jego poemat przeczytać bez pomocy objaśnień, bez słownika i encyklopedyi. W jednym tylko miejscu wspaniałego malowidła przebija trochę szerszej historyczne tło czasu : miejsce to, w którym Litawor opisuje dwór Witolda na Wilnie lub Trockiem jeziorze — owe tam kobierce, cudne branek lechickich roboty, co świeższe na podłodze tworzą murawy i kwiecie, niż je dłoń Rusalek ściele w kowieńskiej dolinie; owe tam szklanne okienice, przywoźne kędyś aż od ziemi końca, a błyszczące jak zbroice polskich rycerzy, lub jak przed słońcem Niemen zamarzły — i z tym zdumiewającym, a w charakterystycznych obrazach i słowach opowiadany przepychem Witoldowych gmachów, porównywa znowu młody książę własny zamek na barkach nowogrodzkiej góry, z czerwonej cegły i ścian dębowych, gdzie miasto blach złotych mokry kamień błyska, miasto kobierców śniade mchu skorupy. Te kilka rysów, oddanych tak wielkim i prostym, żadnemi archaizmami i litwinizmami nieobciążonym stylem, nietworzących zresztą żadnej dygressyi i dyssertacyi *ad hoc*, ale naturalnie włożonych w usta bohatera, a całym tonem jego mowy, całym stanem jego duszy precudnie umotywowanych : te kilka rysów uznał nieśmiertelny wieszcz za dostateczne, do przeniesienia nas w *moralną atmosferę* kreślonej epoki — i też zaprawdę, wystarczają one najzupełniej ! Pokazują one nam w przelocie, z jednej strony wyższość ówczesnej polskiej cywilizacyi nad litewską i powolne jęj przemaganie w stolicach Palemońskiej krainy, w Wilnie i Trokach, a z drugiej odsłaniają nam nienaruszoną, nienadwątloną jeszcze tym wpływem, barbarzyńską, rodzimą surowość trochę odleglejszych ziem nowogrodzkich i lidzkich ; i to wszystko znowu służy do uwydatnienia, do uspra-



wiedliwienia głównej akcji dramatu, tłumaczy ten, bardziej heroiczny niż kobiecy, ale w takich heroicznych czasach naturalny czyn Grażyny, i uchronia zarazem poważną postać Litewki od dziwacznych i wątpliwego smaku pozorów romantycznej Bradamanty... Można śmiało zaręczyć, moglibyśmy to zresztą bardzo znanym przykładem stwierdzić, że poeta obecnych czasów, z takim, jak Mickiewicz, artystycznym rozmysłem i zmysłem ograniczyłyby się nie potrafił, i nierównie wystawniejby się popisał z bogactwem nauki, któreby tylko dowodziło ubóstwa sztuki! Poeta obecnych czasów, gdyby podobny Grażynie temat miał u nas do ukształcenia, nie oszczędziłby nam żadnych roztoczonych szczegółów o Potrympie i Pikollu, nie darowałby nam ni wajdewutów ni dajnosów, i w dodatku do bardzo ujemnej, prawdopodobnie, poetycznej kreacji, otrzymalibyśmy niezawodnie wcale niepoślednie epitomy z kilkunastu tomów Narbutta... A podobnemu to także, oplakanemu złudzeniu co do istotnych warunków historycznej kompozycji w sferze ideału, uległ i autor poematu, którego rozbiór nas zajmuje w naszym ostatnim przeglądzie. Ze stanowiska sztuki, bardzo obojętnem być może, i téż niém dla nas było pytanie, czy wieszcz *Gladyatorów* mniejszą lub większą w starożytnościach rzymskich okazał niewiadomość; ale z nierównie większém prawem, niż owe usterki naleciałej erudycji, zarzuci krytyka panu Lenartowiczowi wielki, pierworodny grzech, który popełnił przeciwko klasycznemu duchowi swego zadania, zarzuci mu zapoznanie tego ducha w każdym ustępie, w każdym wierszu, w każdym niemal słowie nowego utworu, zarzuci mu to tak fałszywe, chociaż tak teraz u naszych pisarzy upowszechnione mniemanie, że maski, ubiory i kokardy stanowią obraz dziejowy, że chemicznie skomponowane żywioły téj lub owéj epoki, są w stanie utworzyć jakieś żywotne ciało: — a wobec tak ogólnego obłędu,

może też jój będzie dozwoloném zrobić i następną, trochę ogólną uwagę.

W poetyczném odtworzeniu jakiegoś wieku i narodu, dwojakiego rodzaju może być prawda i wierność. Jest prawda materyalna, mechaniczna, ta co pospolicie lokalnym jest nazywana kolorytem, i która wgruncie bardzo małej, lub żadnej jest wagi; jest następnie prawda moralna, duchowa, żywotna, która rzeczywistą i jedyną stanowi wielkość i wierność kreacyi. Pierwszą kaźden może uchwycić, a dzięki szczególnieź tak teraz upowszechnionym i licznym encyklopedyom, słownikom i doręcznikom, uchwyci ją nawet bez wielkiego trudu i zachodu; drugą odgadnie i ukształci tylko potęga geniuszu, natchnienie mistrza, intuicya wysokiego umysłu. O pierwszą też mało dbali, bardzo niską, nawet zbytęcną ją być mienili i nieraz wprost z niej urągali się wielcy słowa mistrzowie; drugą natomiast w najwyższej zachowali świętości, i jój głównie swoje zawdzięczają nieśmiertelność. Eschyl swoim *Persom* nie daje żadnych osobnych kostiumów i lokucyj, każe im wzywać bogi Hellady, nawet samych siebie nazywać *barbaroi* — a nikt tu zapewne poety o niewiadomość nie posądzi; bo on wojskom Daryusza i Xerxesa zbliżka się przypatrywał, oko w oko się z niemi spotykał, bo on przecież pod Maratonem walczył i pod Salaminą! Lecz Eschyl tworzył dla narodu, chciał aby lud ateński jego dzieło w kaźdym zrozumiał odcieniu, i bez żalu poświęcił lokalny koloryt. Ducha zaś tych Azyatów, żywotne zaś słowo Wschodu, moralną fizyognomią państwa Cyrusa pojął i oddał w jak najwierniejszych rysach, — oddał już tym jednym rysem, że gdy żadnego ze zwycięzców salamińskich nie nazywa po imieniu i wprowadziwie greckiej i pięknej myśli wszystko odnosi tylko do ojezyny, u Persów natomiast wszystko znowu do jednej odnosi osoby, wszystkie potęgi kraju w jednym wyobraża człowieku. I jestże gdziebądź, spytamy, ge-

nialniejsze i prawdziwsze uchwycenie despotycznego charakteru Azyi, jak zaraz w tej pierwszej scenie i w tym jednym wykrzykniku Atosy, kiedy ta matka króla królów, wezwawszy wszystkich dygnitarzy państwa i opowiedziawszy im długo swoje dręczące obawy i złowieszcze przecucia, nagle urywa i woła : « Przecież wy to wiecie : jeśli zwycięży mój syn, stanie się godnym podziwu bohaterem; jeśli chybi, nikomu nie zdaje sprawy i jak przedtém, nienaruszony tą władą ziemią?... » Podobnie i Homer żadnemi zewnętrznymi cechami nie oddziela Trojańczyków od Achajów, używa im wspólnego języka i wspólnych bogów. Ale kiedy w boju nam pokaże ludy Pergamu napadające z przeraźliwemi krzykami, tak zawsze i wszędzie charakteryzującemi barbarzyńców, a przeciwników ich śpieszących do walki w poważnej cichości, nawet bez towarzyszenia śpiewów; ale kiedy wogóle widzimy w obozie achajskim samych oddzielnych i prawie niezawisłych od siebie wodzów, z których kaźden na swoją działa odpowiedzialność, z których kaźden jakiś osobny i odrębny typ szlachetnej ludzkości przedstawia, gdy tym czasem w Ilium wszystko jest skupione i absorbowane w jednym plemieniu, w jednej rodzinie, z jedną głową, Pryamem, i z jednym ramieniem, Hektorem, z którego też śmiercią wieszcz zamyka opowiadanie, misternie tém wskazując, że z ubytkiem tego jednego, wszystko już z tej strony skończone — to wówczas w całej energii i plastyce, jakiejby żadne archeologiczne nie utworzyły drobiazgi, występuje przed okiem naszej duszy cała głęboka różnica między wolną indywidualnością Hellady a tym patryarchalnym pierwiastkiem, który konstytucyjnym jest prawem orientального bytu! Tę samą uwagę zrobić można i o Szekspirze, któremu dziś kaźde dziecko przemądrze zarzuci wprowadzenie armat za czasów Cezara; ale Szekspir, jak Eschyl, nie tworzył dla pedantów i erudyków wogóle, ani też w szczegól-



ności dla cudownych dzieci XIX wieku : tworzył dla swego ludu, od którego nie żądał znajomości dawnych *hastatów* i *pilatów* i dozwolił mu cieszyć się widokiem własnych i ulubionych żołnierzy i armat, choćby i w rzymskich sztukach. Pedantom zaś i erudytom odpowiedział raz pośrednio i figlarnie przez usta tego błazna w Learze, który po zaśpiewaniu jakiejś zwrotki uroczyste oświadcza : « to proroctwo *zrobi* jeszcze kiedyś Merlin; bo ja żyję o kilkaset lat przed nim!... » Tak mało o materyalną chronologią i mechaniczną wierność dbał, tak wytwornie z niej się urągać umiał ów Wiliam nieśmiertelny! Ale moralną dystynkcyą czasów, ale wielką psychologiczną prawdę epok i narodów, tę czuł, tę pojmował, téj ukształtowania dar w niezrównanym posiadał stopniu najwyższy ten geniusz dramatu, i ze zmysłem, którego uroczaje tajemnice nam wciąż tylko zbadywać i podziwiać pozostaje, zasunął Leara w mrok celtyckiego pogaństwa, postawił Makbeta na pograniczu barbarzyństwa i cywilizacyi, zbliżył Hamleta do czasów reformacyi i uniwersytetu wittenberskiego, i t. p.; a jak wszechstronnie objął ten świat rzymski, który mu wszakże tylko z Plutarcha był wiadomym, to pozna kaźden, który z uwagą porówna jego Rzymian z czasów Koryolana a następnie z epoki Cezara i w końcu Antoniusza! Bez wątpienia, w XIX wieku, wobec tak upowszechnionych elementarnych wiadomości, kiedyśmy wszyscy, jak mówi Goethe w *Fauście* « wprawdzie nienajlepsze rzeczy, ale strasznie wiele czytali, » nikt nie poradzi ani nawet przepuścił pocie podobnych co w *Szekspirze* anachronizmów; i będzie to zaletą Irydiona, że w nim świat starożytny objawia się i z materyalną prawdą, którejby może nie miał do zarzucenia żaden Boeckh lub Goettlingk. Ale ta zasługa jest zaiste jedną z najpodrzedniejszych w tém cudowném dziele! Co temu utworowi nadaje piętno wielkiej, natchnionej kreacyi, to owa moralna prawda,

owa głęboka psychologia i genialna intuicja, z jaką tu ukształcone są te trzy żywioły klasyczności, chrześcijaństwa i germaństwa, które dawne społeczeństwo rozkładać a nowe utworzyć były powołane! A ponieważ już wspomnieliśmy o Irydionie niechaj wkońcu nam wolno będzie wskazać nawiasem, że w tém arcydziele jest jedna krótka scena z gladyatorami, jedna krótka stronica, która więcej wypowiada o tym przedmiocie, niż cały i wyłącznie jemu poświęcony poemat lirnika z Mazowsza...

Bo takiego właśnie zrozumienia ducha kreślonej epoki, takiego przejęcia się istotnym, psychologicznym i zasadniczym charakterem obranego przedmiotu i wieku, nie masz ani śladu w nowém dziele naszego autora. Poeta i tego się nawet nie domyślił, że między zadaniem a wykonaniem, między pomysłem a jego oddaniem zachodzić musi ściśły i harmonijny stosunek, że temat podjęty miał swoje wewnętrzne warunki, które na zewnętrzne ukształcenie wpływać powinny były, i pewną konieczną i nieominioną przepisywały formę zgóry. Jeśli jest jakie wielkie nieprzeparte prawidło dla poetycznej kreacji, na tle starożytnego świata usnutej, to niezawodnie to, że twórca powinien w niej jak najmniej występować ze swemi indywidualnemi refleksjami i zdaniem, że powinien starannie zatrzeć wszelkie rysy subiektywnego widzenia i czucia, że powinien jęj zostawić tę bezosobistość, obiektywność, tę własność tłumaczenia się przez siebie samą, która tak zawsze i wszędzie cechuje wszystkie objawy antyki. Nasz autor natomiast w swoim opowiadaniu wciska się wszędzie ze swoją osobą, ze swoim liryzmem, ze swoją refleksją lub ironią, i zamiast rzecz tak plastycznie przedstawić, aby żądane wrażenia w nas sama naiwnie obudzała, podpowiada on nam nieustannie te wrażenia i daje bieżący komentarz do bardzo niewyraźnego tekstu. Po słabym opisie zepsutego Rzymu, zawoła poeta naraz: *«Ha taki świat— odwróćmy*

oczy»... Oczów tych jednak nie odwróci : « Do cyrku idą już edyle; więc spójrzmy tam... » A warto spojrzeć, bo, « *zaistne godna rzecz uwagi* : tam gladyatorów szereg nagi. » Wśród tych gladyatorów « jeden tylko białej cery, *wygląda mi na bohatera* »... « A kto on? — próżno *bo* i śledzić! » Przeciwno temu gladyatorowi wystąpi drugi : « a tędzy obaj, *że aż żal!* »... W ten sposób prowadzi dalej rzecz poeta, pokazując nam nietylko figury, ale wciąż i do uprzykrzenia tę swoją rękę, która je przed nami przesuwą. « Muzo, powiedz mi!... » woła na samym wstępie wielki śpiewak Odyssei, w duchu pięknej obiektywności klasycznej; ale w *Gladyatorach*, tą Muzą jest zawsze zaimek osobisty pieśniarza — a jeśli, o poematach Homera mógł Szlegel trafnie powiedzieć, że w nich wszystko widać, prócz samego Homera, to znowu o naszym utworze godzi się utrzymać, że w nim przedewszystkiém widać samego p. Lenartowicza.

Z niemniejszym i bezprzeczném prawem, osuwa wzięta z życia starożytnego żądała wielkiego spokoju w układzie, ścisłości w rysunku i grupach, jasności w ekspozycyi, stateczności w przeprowadzeniu; — ale z niemniejszą téż nierozwagą zabaczył autor wszystkich tych kardynalnych i żywotnych swego zadania warunków. W utworze jego wszystko przed nami przemyka się w gorączkowych rzutach, dorywczych rysach i zawiłych ustępach : nie nam się nie objawia w jasnych i wyraźnych konturach. Przy ciągłym malowaniu, brak wszelkiego w całość ujęcia. Mimo roztoczonego opowiadania, trudno zdać sobie dokładną sprawę z akeyi; wąta treść gubi się wciąż i zanurza w słów i rymów powodzi, i niejeden ustęp musi być kilkakrotnie odczytywanym, zanim jakbądź się ukształci i ułoży w naszej wyobraźni; przy niejednym téż przychodzi pytać się : czy to naracya albo rozmowa, słoważ to poety, albo osób, które na scenę wprowadza?... Poemat powstaje z jakiejś mgły marzenia, ulatnia się coraz bardziej w jakąś



parę westchnienia, opada ostatecznie w kilku łzach rozczulenia: — i tak całym swoim mrocznym układem i waporowemi kształty staje w najzupełniejszej sprzeczności z tym dawnym światem, którego bóg sztuki był zarazem, i nie bez przyczyny, także bogiem słońca!...

I mamyż wkońcu jeszcze dowodzić, że właśnie taka kreacya jak *Gladyatorów* powinna była nosić piętno wielkiej idealności i szlachetności, powinna była się odznaczać tą godnością i powagą, która jakby przyrodzonym jest koturnem wszystkich klasycznych pokoleń?... Wszakże, takiej idealności i szlachetności, takiej powagi i godności nie objawia nigdzie utwór pana Lenartowicza, tak mało w myślach jak w obrazach i wyrażeniach, tak mało w rytmie i rymie jak w całym toku i tonie opowiadania! Wśród tylu setnych wierszów, szukaliśmy na próżno jakiejś myśli wyższej, szczytniejszej, natchnionej, jakiegoś potężnego, majestatycznego obrazu. Opisy wprawdzie są ciągłe i przeciągane: lecz jakżeż poziome i mikrograficzne, w jakimże to maluczkiem duchu *genre* pojęte, jakżeż prozaicznie a nawet rubasznie oddane, i jakież wątpliwe nieraz zostawiają wrażenie! Różni niezawodnie i różnie wystawiali sobie tę prawdziwie tytaniczną, nad miary poetyczną chwilę w której Annibał, z wyżyn alpejskich ujrzawszy po raz pierwszy niwy auzońskie, zawołał: Italia! Ale chyba tylko Blumauer lub Daumier, w napadzie trawestyi, mogli sobie Karta-gińczyka pomyśleć takim, jakim go maluje nasz poeta: «gdy przed słońca żywą *łsnicą*, olbrzymią kryjąc wzrok *prawicą*, Italia! krzyknął *zdumion cały*.» Wielki syn Afryki na szczytach Alpów robiący sobie *prawicą* daszek na oczy, gdy u stóp jego nienawistny odkrywa się półwysep!! Czemuż już nie było powiedzieć, że «olbrzymią» rękę zwinął w trąbkę przed okiem, aby lepiej mógł patrzeć?..... Nadto, w owej pamiętnej chwili, straszna była zawieja, śnieg padał gęsty (LIVIVS XXI, 35) — więc «żywa słońca *łsnica*» jest zupełnie *hors*

*de saison*!! A podobnej powagi i poetyczności są mniej więcej wszystkie obrazy i opisy w tym dziwnym utworze! Mimo całej swojej zgrozy i występności, musiały jednak mieć jakąś straszną wielkość, jakąś dziką pompę, te igrzyska Cyrku, w których padały lwy i niewolniki! Te spienione zapasy zwierząt i ludzi, te śmiertelne pociski, ta ciekąca krew i posoka, musiały przecież widzów przejmować tym lubieżnym dreszczem, demoniczném rozjuszeniem i bachanckim szałem, których bardzo osłabione wprawdzie, a jednak jeszcze tak potężne i przerażające odbicie, w chrześcijańskim jeszcze świecie i w XIX wieku, psycholog i artysta może sprawdzić na córach Sewilli i Madrytu, przyglądających się narodowym *corridom*!... Ale w poemacie naszym, te *ludi circenses* nie wiele poważniejszemi się wydają od angielskich boksów!... « Na głos chrypliwych boju trąb, co w murach *trzaska* lecąc w głąb... po prawej więc, po lewej stronie, motłoch w próżniacze huknie dłonie... więc tarcza w tarczę, brzęk na brzęk, aż teatr blach powtarza jęk... » A że, gdy się « na chwilę przerwie wrzask, » to potem coś musi nastąpić jak « *klask a klask* »: to sobie zapewne czuły czy nieczuły słuchacz już dośpiewał w — uchu!... Te gladyatory w posągowych przecież walczyły pozach, pięknie nawet konać usiłowały: zaręczają nam starożytni, zaostrza sam pan Lenartowicz w przypiskach — ale tylko w przypiskach, bo w poemacie tej godności zaprawdę nie widać! Gladyatorom jego « oczy zalewa *pot*,... a gdzie się *ramię zacz...* ma, dwa *jabłka żył* ustawnie drga... *I gromko* porwą się w zapasy, ten krok postąpi i ów krok, wraz się pochwyca *bok za bok*. Ów się wypręża, karku zniża, gdy drugi dosiędz pragnie krzyża... za twarde schwyć łąba kędziory, do *kleku* zmusi, *na tył gnie*... a z piersi taki *puści głos*... » że aż jakoś dziwnie wstrząśnie naszą — dyafragmą! — Tęj nieszlachetności opisów i obrazów, odpowiada ciągle prawie nieszlachetność wyrażeń,

którą czytelnicy już z przytoczonych prób dostatecznie poznać mogli. A wszakżeż, jeśli gdzie, to tutaj, powinien był lirnik wystrzegać się tych słów to raz pieszczotliwych, to znowu rubasznych, i tych wątpliwych prowincjonalizmów (*tęga, teszno, i t. p.*), których tak zawsze nadużywa; jeśli gdzie to tutaj, powinien był się starać o tę czystość i prawidłowość języka, przeciwko której w swych dziełach tak często, a w tém najnowszym jeszcze częściej niż gdzieindziej wykracza! I jakież to także zły duch dysharmonii i kakofonii podsunął poecie, do *takiego* właśnie przedmiotu, ten wiersz dziewięciogłoskowy, wiersz bez miary, bez wagi, bez średniówki, bez stylu, wiersz luźny i kaskadowy, miętoszony i ucinany, prawdziwa rytmiczna dychawica, z dodatkiem jeszcze tych częstych monosylabowych rymów, które raz wraz to hukną, to pukną?... I jakież to także antypoetyczny demon poradził wieszczowi, dla *takiego* właśnie tematu obrać ton i tok na wpół kontuszowej, na wpół siermiegowej pogadanki? Temat klasyczny, przedmiot taki jak gladyatorów, unyśleć opowiadać stylem *gawędy*; majestatyczne, marmurowe płaskorzeźby antyki chcieć oddać płaską mową i płytkimi wierszami!... Zaprawdę, trudno sobie wyobrazić większy, nieróżważniejszy rozbrat i rozpad między treścią a formą!

Przypatrzmy się wreszcie bliżej tej treści i starajmy się uchwycić główną myśl poematu. Przed Coloseum, przed Cysterną, wobec Cezara i cheiwego krwawych zabaw motłochu, «dwaj biali, z Dackich plemion *znaczno*, na złotym placu, walkę zaczną... Sclavus na Sclava, krew na krew, wolny z niewolnym złamie *glew*.» Ale jeden z szermierzy, ten właśnie co «białej cery, *wygląda mi bohaterzy*» a któremu imię Sporus, powie do zapaśnika: «Czém śmierć radością Cezarowi? Z jednej my ziemi i swobodni, *toż* i uczciwszej śmierci godni...» Próżne słowa, wolny to głos na puszczy! Sclavus ceni wysoko poklaski Cezara i motłochu: «A zaś to nie



wiesz, *sprawa mała*, tylu szlachetnych ust pochwała!» spyta, a potem naciera i pada pod mieczem Sporusa. Drugi zapaśnik wystąpi: «A Sporus: bracie, *kto ty zacz?* — Słowianin, prawi, w boju gracz!» i również głuchy na braterskie słowo gladyatora wolności, walczy i ginie. I tak «już *dwojgo* (sic!) umarłych przeszło bramę.» A wtedy zwycięzca wybuchu w przekleństwa na ten Rzym ludożerczy, wyzywa, rozjuszony, podłych widzów do walki, i wieszczym głosem przepowiada upadek miasta... «Na rozkaz pana, dwaj szermierze, *na których patrząc trwoga bierze*» stają w arenie... «Walczący spojrzął, lice skrył; jeszcze się z bracią będzie bił!... *Móglęiby* jeszcze i z tych dwóch ze krwią wypędzić podły duch; lecz pojął straszną Rzymu złość, to rodni jego bracia — dość. — Krótko pomyśli, pomknie krok, bezbronny im odkryje bok, i w jedną chwilę niedojrzałą, z śmiertelną się potoczy raną...» Taką jest bajka — a jakaż z niej nauka?... Czy ta, że polski Sporus, «gladyator słowiańskiej swobody, naród gladyator, Lech z krainy lesiej» (który zresztą przecież żadnego nie zabił brata!) ma również «krótko pomyśleć, pomknąć krok; bezbronny zapaśnikom odkryć bok, i w jedną chwilę niedojrzałą, z śmiertelną się potoczy raną!?!...» Nie, dzięki Bogu! Myśl taka wprawdzie gwałtem się wyrывa z samego wnętrza poematu; ale w tym dziwnym utworze, w którym forma tak mało odpowiada treści, również mało też i treści odpowiada — na szczęście! — myśl zasadnicza! A jeśli ze stanowiska sztuki, musimy wytknąć tę rażącą niezgodność między założeniem a wnioskiem, między mytem a jego *epimythium*: to ze stanowiska patryotyzmu możemy znowu tylko się cieszyć z takiego estetycznego błędu. Myśl zaś poety, chociaż wcale nie poematu, myśl, która w dziwnej zaiste staje sprzeczności z głównym przedmiotem kreślonego obrazu, ale też za to mniej obraża nasze polskie sumienie, tę myśl znajdujemy wyrażoną w prologu i epilogu

tego całego — tak niestosownego apologu! « Jak gladyatory dla uciechy Cezarów, walczą między sobą słowiańscy bracia... » « Za sprawę książąt kłóca się swoi; dla pychy książąt zwaśnione plemiona, wieki żywota przewalczyły marnie... Więc czasby już twarde pozdejmać łuski, czasby już przejrzeć w bratnim uścisku, koniec położyć temu igrzysku, czasby już jedną nazwać się wiara. » I dlatego poeta wysyła « pieśń polską, pieśń swobody » i każe jój lecieć « pomiędzy skłócone rody, rozłożyć przed niemi dziejowe księgi, i pokazać Pismo(?), jako w niém stoi: za sprawę książąt kłóca się swoi!... » A wkońcu widzi lirnik w wieszczym duchu tę błogą chwilę, « kiedy gladyator słowiańskiej swobody zwróci ku sobie obłąkane trzody; i naród gladyator, Lech z krainy lesiej, dzieło skończy i dziedę zawiesi. » I wtedy « znów się zleca Słowianie bracia na ojczyste wieco, i wiekowej zabywszy niezgody, to plemię śpiwne, ten Słowianin wolny, miłośną dumę zanuci jak wprzód, palcami bijąc w muzyczne narzędzie... »

O, ta myśl Słowiańszczyzny wiele nam mięsza rozumy, i dziwnie nam teraz zakłóca sumienia!... Różnego rodzaju są nasze hallucynacye w tej mierze i w proteuszowych kształtach pokazuje się nam ta « zdradziecka Wila!... » Mamy nasamprzód panslawizm wygodny i niegodny, który żegna się z « marzeniami » i woła że światło przychodzi z Kaukazu, który każe szukać karyery i chrestów i ręczy, że « mundur nie ciśnie i kaszkiet nie gniecie! » Mamy następnie słowianizm mistyczny i seraficzny, nadludzki i nadchrześcijański, który całuje knut jako bicz boży, który « ani w myśli, ani w mowie, ani w żadnej czynności » nie chce być nieprzyjacielem ciemnieckiego rządu, i tak szeroko rozciąga swą miłość, że aż w nią obejmuje — piekło i szatana! Mamy także słowianizm wandalski, teorią nienawiści równie szaloną jak owa teoria miłości, który wymarzonych krzywd chce się mścić na Europie i z armią Attyli chce się złączyć na

niekrzyżową wojnę barbarzyństwa przeciw cywilizacji... P. Lenartowicz nareszcie wskazuje nam świątynią pokoju swojej architektury, wymysł swojej głowy, dziecko swojej natury: i w przeciwstawieniu od owego attylicznego słowianizmu, zaleca świeżo swój — idylliczny!... «Więc od płużycy żelaznego stoła, i od pasieki kędy brzęczy pszczoła, i z nad potoku od polnego stada, działwa słowiańska kołem pozasiada, jakoby w wieniec upleciona polny...» I wszyscy wtedy «wiekowej za-bywszy niezgody, dumę miłośną nucą jak wprzód, palcami biją w muzyczne narzędzie...» a naród gladiator, Lech z krainy lesiów, woła: «skończyłem dzieło, zawieszam dzidę...»

Panu Lenartowiczowi tyle tylko odpowiemy, że w nowym swoim dziele słabszym jeszcze objawił się politykiem niż poetą, i większe, jeśli można, od klasycznego, okazał niezrozumienie słowiańskiego świata... Nie — i przez wszystkie bogi, słowiańskie, rzymskie — nie: my gladiatorami nie jesteśmy, o, poeto! My za sprawę książąt się nie kłócimy, my dla pychy Cezarów nie toczymy boju — ani my, Polacy, ani nawet oni — Rosyianie!... I my i oni, wszyscy wiemy dobrze w imię czego spór więdziemy; świadomo lub instynktowo, czujemy wszysecy znaczenie walk naszych! Walka to dwóch wielkich światów, walka to Zachodu i Wschodu, katolicyzmu i schyzmy, wolności i despotyzmu, cywilizacji i barbarzyństwa!... Kto z tego boju wyjdzie zwyciężcą — *kto ostoit w nierawnom sporie*, jak się pytał już Puszkina?... Bogu jednemu to tylko wiadomo! Ale nie myślmymy, aby ta «Tebaida narodów» mogła się zakończyć sentymentalną piosenką, aby ta wiekowa tragedia miała się wydzwięczyć słodką pastorałą! Nie nućmy bukolików, gdy zewsząd grzmia rogi Iliady, i nie mówmy o bratnich uściskach tego, którego tłoczące kolano wciąż czujemy na piersi co pęka! I precz z temi miękkimi tony, gdy nam hartu i siły przedewszystkiem



potrzeba; i precz z tą fletnią wierzbową, gdy ucha i serca wyteżamy ciekawie i drżąco na trąbę archaniola, na grom Sądu Ostatecznego; i precz z temi przypomnieniami jakiegoś przedhistorycznego braterstwa, gdy jedyne historyczne tu braterstwo — Kaima i Abła!...

Jest coś bolesnego, godność narodową poniżającego, w tych naszych tak częstych teraz i tak ulubionych odzywaniach się do « słowiańskich braci; » jest coś niewieściego i małodusznego w naszych przymilaniach do téj bezdusznój i bezdziejowój masy i rasy! Przewrotne Pygmaliony, témi uciskami nie ożywimy kamiennój i skamieniałej Galatei; wyzioniem w nich tylko resztki naszego ducha i męstwa! Czyż lirnik wistocie sobie tuszy, że jego « pieśń swobody, poleci pomiędzy skłócone rody, pomiędzy Serby, Czechy i lud Ruski?... » Serby i Czechy tego głosu nie rozumieją; Serby i Czechy na szali losów słowiańskich nie zważą: one tam padną, gdzie ostatecznie myśl Polski lub Rossyi przeważy... a ten lud Ruski, jeśli to ma znaczyć Rossyanina, i jeśli ten raczy rzucić okiem na « pieśń polską » — on tylko parsknie w śmiech szyderstwa i z radością w niej przywita nasz hymn pogrzebowy! Nie, podobne przepowiednie i zapowiedzie nie pozyskają nam ani jednego sprzymierzeńca, nie rozbiją ani jednego wroga, ale tylko w nas samych rozczynią siłę oporu, zamącą wyobrażenia o najprostszych naszych obowiązkach i prawach, i we mgle zanurzą naszą wielką tradycją... O, ta nasza odwieczna miękkość i małoduszność, która zawsze się cofa przed nieprzepartym dylemem, która jak dawniej nasze walki domowe, tak i teraz dziejowy spór słowiańszczyzny myśli zakończyć — *polubownie*: spór Białego i Czarnego Boga, spór Ormuzda i Arymana! O, to nasze tylekroć nadużyte a tak mało jeszcze zużyte powszednie: *kochajmy się*, które w przenośni jak w rzeczywistości, tak często bywa tylko pożegnaniem ostatnich trzeźwości i hasłem do nieznanego już granic

upojenia! Nie, nie kochajmy się, ale ważmy się i rozprawiajmy się! Nie, nie kochajmy się : ale bijmy się, ale walczmy do ostatniego, ale gińmy wreszcie, jeśli już ginąć nieodgadniony w swych wyrokach nam Bóg przeznaczył... tylko gińmy na jasnym polu naszej dziejowej sławy, a nie na mrocznych moczarach wymarzonej słowiańszczyzny ; gińmy z wysoko podniesionym naszym, znanym i szanowanym sztandarem, gińmy z całym nienadwątłonym przeświadczeniem o naszym powołaniu i naszym posłannictwie, z całą wiernością i godnością wielkich chrześcijańskich rycerzy ; a jeśli już koniecznie jaką z dawnych igrzysk Cyrku mamy czerpać naukę, to chyba tę jedną tylko *a ostateczną* : że nawet i gladiatorowie — z godnością umierali!...

## JĘZYK POLSKI I NASI PISARZE.

---

19 grudnia.

Od czasu jak nowy ruch pismieniczny u nas, idąc torem dziennikarskim, pociągnął za sobą powieściopisarzy i nawet poetów na nizinę, gdzie literatura stanęła w jednym szeregu z przemysłem i handlem, poczęły ęmić się i przewracać pojęcia o jój celu i znaczeniu w narodzie. Z jednej strony, dostojne rolnictwo słowa zaczęło wychodzić na rzemiosło dostarczające wyrobów przyjemnych i zbytkowych; z drugiej, wzrastało mylne a szkodliwe rozumienie, jakoby praca tak skierowana odpowiadała najistotniejszym potrzebom narodu, wyręczała i zastępowała wszelką inną działalność, do której obowiązuje nas przeszłość i przyszłość nasza.

Ruch pismieniczny, bez względu na to, że sam nie jest siłą tylko skutkiem czegoś co mu daje popęd, nieraz bywa uważany za jakąś potężną dźwignią, która cały nasz byt narodowy podtrzymuje i niesie. Dokąd? — mniejsza o to, dość że nie stoimy na miejscu, a leżąc jechać wygodnie i miło. Ztądto po całym pismienictwie naszym rozlane jakieś zadowolenie, niedościgłe ale przebijające się wszędzie, jak tęsknota w *Maryi*



Malczewskiego. Sumienie publiczne nie daje się wprawdzie ukołysać i zaspokoić: odzywają się czasem, choć słabe i nieśmiałe głosy powątpiewania, o wielkości pożytku dla sprawy narodowej z tej przyspieszonej fabrykacji powieści, wierszy i artykułów pobieżnych, które tak ożywiają dziennikarstwo i handel księgarski. Wtedy występuje w odpowiedzi szereg argumentów, z których ostatnim, trzymanym na dobitkę, zamykającym usta przeciwnikom jest: zachowanie języka narodowego.

Zachować język narodowy!... Hasło to brzmi dla nas okropnie, ma w sobie coś złowieszczonego. Ilekroć je słyszemy, przejmuje nas boleść i trwoga. Naród, który czuje że żył, żyje i żyć będzie, nie może troszczyć się o zachowanie swojej mowy. Mielizbyśmy i tu spotkać się z braćmi naszymi Czechami? *Tygodnik Warszawski* w *Czasie*, każe nam nie lękać się tego wcale « ażeby ziomkowie nasi nie wyszli na brata Czecha. » Jednakże idąc za niektórymi wyobrażeniami, moglibyśmy wkrótce być niżej od Czechów. Oni podnosząc się z upadku, chcą odzyskać mowę jako pierwszy szczebel udzielnosci, i przez byt papierowy dążą do rzeczywistego; my, zrzekając się myśli o całym naszym dziedzictwie, i chcąc zachować mowę jako ostatnie dobro, nie zdołalibyśmy utrzymać i narodowości papierowej.

Niegdyś, K. W. Wojciecki w swoich *Starych Gawędach i Obrazach*, wyprawił dialog między młodym Wędrownikiem a Duchami przodków. Wędrownik donosi im, że wydrukowano Dyaryusz Żółkiewskiego i wiele podobnych pomników wydobyto z ukrycia, a przeto « tysiące imion w niepamięci zagrzebanych, tysiące nieznanych czynów zmartwychwstały. » Wtedy rozradowane Duchy wykrzykują « Aleluja! Aleluja!... » Takąto tylko nieśmiertelność, takięto zmartwychwstanie, nowe piśmiennictwo polskie miałyby gotować narodowi?

W tymże samym czasie, kiedy p. Wojcicki ciesząc się « że aż mu serce rosło » pisał swój dyalog, wielki nasz Wieszczyca, z katedry Kolegium Francuzkiego inaczéj wykładał i trwałość narodów, i powołanie literatury i warunki życia języków.

Język, — mówił on — który nie jest językiem państwa, który nie może reprezentować całej historii, który nie sięga w przeszłość i przyszłość, tak żeby treść pierwszej była zarodem drugiej, zostaje albo zostanie tylko dyalektem. We Francyi dyalekty południowe, daleko obfitsze w wyrażenia, dźwięczniejsze i miłsze, spadły do stanu mowy gminnej, bo nie zabrały w siebie cywilizacji dawnéj i nie poszły dalej z nową, bo odczepiły się od biegu historii i zakrzepły; przeciwnie, dyalekt północny zostawszy wyobrazicielem państwa i ducha narodu, zapanował szeroko. U nas, dyalekt ruski, przyjęty przez zdobywców litewskich, będący językiem dworu Jagiellonów, prawodawstwa i wojska, nie ostał się jednak przed parciem dyalektu polskiego, bo wzrost języka podlega tym samym prawom co wzrost potęgi politycznej: oboje mają zaród swojej mocy w idei moralnej. Narodowość rusko-litewska wytrawiła się sama przez się; narodowość polska żywiona siłą czerpaną z Kościoła, ogarnęła Ziemię Ruską. Jeżeli idzie o przewagę między językami w przyszłości, można powiedzieć, że ten weźmie nad innymi górę, który będzie miał w sobie największy skład praw żywotnych dla przyszłej epoki...

Czy piśmiennictwo dzisiejsze przyczynia się do zapewnienia językowi naszemu przyszłości, w sposób odpowiedni powyżéj wskazanym wymaganiom, wolno o tém wątpić. Gdybyśmy wszakże zgodzili się nawet poprzestać na nieśmiertelności bibliotecznój, gdybyśmy zdołali ograniczyć się do téj jednéj nadziei, że dzieła nasze kiedyś, jak dziś greckie i łacińskie, przechowają świetną pamięć polskiego narodu, to i w takim razie, nie obecne

zapewne, ale dawniejsze utwory dawałyby nam do tego prawo, utwory z owych czasów ostatnich, poprzedzających ruch terażniejszy, kiedy pisarze nasi najmniej myśląc o literaturze i języku, a tylko pragnąc czynu, wywołując lub uwieczniając czyn, podnieśli jednak literaturę i język.

Nie idzie za tém, żebyśmy obecnemu pismienictwu w kraju odmawiali wszelkiej zasługi, prawdziwej użyteczności i ważnego powołania. Owszem, przyznajemy mu i piękny zawód i wielkie obowiązki, nawet pod względem samego języka. W rozwijaniu się mowy, jak we wszelkim postępie, bywają przerwy, w ciągu których głównie idzie o to, żeby utrzymać ją na zdobytym stopniu, przechować jój skarb w całości, odgarniać wdzierstwo rąk marnotrawnych, oddać czysto następcom co się od poprzedników wzięło. Pokolenie zdobywczych pisarzy naszych już zeszło albo się zestarzało; pismienictwo obecne, w domowém swoim położeniu, ma skromną ale wspaniałą rolę matki, która powinna żywym głosem przenosić w ucho dorastającej młodzieży ton i dźwięk nieskażony mowy przodków. Świętość i ważność tej powinności nie są nieznanne, kiedy słyszymy chęplenie się zasługą w jój dopełnianiu. Dla tego chcemy zwrócić uwagę na szczegóły, i zobaczyć czy istotnie tak jest, czy pismienictwo dzisiejsze odpowiada dostatecznie swoim trudnym obowiązkom zachowawczym.

Przedmiot rozległy, niewłaściwy szczupłym kolumnom naszego dziennika; nie myślimy téż wyczerpnąć go zupełnie, zamierzamy tylko utorować sobie drogę do późniejszych, przy zdarzonej okoliczności, dotknąć tego zadania.

Na pierwszy rzut oka, każdego kto ogląda nowe książki, a szczególniej pisma peryodyczne i dzienniki nasze, musi uderzyć niejednostajność i samowolność pisowni. Nie jest to rzecz małej wagi, a zajęcie się nią troskliwsze



byłoby w porę : raz, że chwila niższego krzątania się w literaturze jest po temu; powtóre, że przy braku szkół i przy wielkiej ochocie do pisania, złe nałogi krzewić się i zakorzeniać się bardziej niż kiedykolwiek mogą. Z prawidłami pisowni naszej stało się podobnie jak z wszelką legalnością, której nadwerężenie, choćby dla zmian słusznych i koniecznych, otwiera pole do nadużyć i bezprawioów. Po obaleniu Kopczyńskiego, nie zatrzymaliśmy się na niczem pewnym. To jednak co Deputacya Towarzystwa Przyjaciół Nauk uczyniła i Mroziński dopełnił, a później Koncewicz rozwinął i w praktycznym dziełku podał, nie wiedzieć dlaczego nie ma u nas mocy obowiązującej. Są tam niedostatki, bo niektóre kwestye nadługo jeszcze podobno zostaną nierozwiązane, ale całość zapobiegłaby szkodliwemu bezrządowi. Tymczasem z samą literą **ı** nie możemy przyjść do ładu. Na początku naszego wieku mieliśmy tylko dwoje **ı** : cienkie i grube, czyli *ypsilon*. Ale to **ı** cienkie obciążone troistą powinnością samogłoski, spółgłoski i znaku zmięczenia, wołało o litość. Uwolniono je tedy od pańszczyzny spółgłoskowej, wyprowadzając na obszerniejsze pole starego proletaryusza *jotę*, zdawna oddanego *djabłu* i kilku wyjątkom; musi jednak dotąd opłacać czynsz spółgłoskom, które potrzebują miękkości, a za pomocą samych kresek nabyć jej nie mogą. W reformach ortograficznych, jak i w socyalnych, darmo chcieć zatrzymać się przed ostatecznym następstwem. **ı** cienkie dopomina się ciągle o całkowite swoje prawa samogłoski, a tu reformatorowie nie umieją czy nie śmieją wprowadzić osobnej litery, któraby wyobrażała **ı** bez żadnej własności, wygodnie obcej poświęcone. Nie umiemy tedy z pewnością dać zakończenia takim wyrazom jak *Cywilizacya*, a oni wołają nam racjonalnie dowodzić, że powinniśmy kłaść dwa grzyby w barszcz, i pisać *jim*, *jinnych*, *jistotnie*. Jedni więc, jak *Kronika Warszawska*, piszą *cywilizacja*, *cywiliza-*

*cji*, drudzy po staremu, co zawsze już lepiej, trzymają się *ypsilonu*.

Wspomnieliśmy tu *Kronikę*, bo to podobno jedyne pismo u nas, które daje baczość na swoją pisownią. Trudno jednak zgadnąć dlaczego taż *Kronika* chce być razem i nowatorką i restauratorką. Niedawno ogłosiła ona uroczyście, że wygnanemu za czasów srogiego *puryzmu* cudzoziemcowi **x**, przywraca u siebie indygenat całkowity, i oddaje mu w posiadanie wyłącznie nietylko *eksekucye* i *egzemplarze*, co bardzo sprawiedliwie, ale nawet *książki* i *księżyc*, co niesłusznie; bo wyrok Deputacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk dobrze był spór rozsądził, wprowadzając **ks** do wyrazów pochodzenia słowiańskiego, a we wszystkich innych **x** zostawując.

Nie wystarczyłoby nam kilku arkuszy, gdybyśmy chcieli mówić o zamieszaniu we wszystkich innych szczegółach pisowni, o znamionowaniu samogłosek, łączeniu i rozłączaniu wyrazów, i t. p. Nie możemy jednak pominąć zbyt zagęszczonego błędu.

Wielu u nas wtedy dopiero czuje różnicę między wyrazami *hart* i *chart*, kiedy je widzi napisane. Są *provincye*, gdzie głoski **ch** i **h** bywają używane wbrew przeciwnie zwyczajowi powszechnemu, i jak można tam usłyszeć: « bez most przez czapki » tak i « na *chonor* jestem *hory*. » Podobne zamiany, bardzo rażące ucho polskie, często dziś pokazują się w druku, co przyczyniając się do zatracenia prawdziwego czucia brzmień różnych, wyrządza wielką szkodę bogactwu języka. Obrażony tém jeden z dawniejszych pisarzy, zapytywał już kiedyś w *Gazecie Codziennéj*: « czy konie i woły, które od wieków hodowaliśmy, powinniśmy teraz *chodować*? Czy *chultaj* ma się wymawiać jak *chustka*, nie zaś jak *herbata*? » Takich pytań możnaby zrobić tysiące; a przynajmniej godzi się zapytać pana Korzeniowskiego, dlaczego jego Dama **sch**anbiona; pana Nowosielskiego, czemu powiada o sobie, « że od najpierwszej młodości

czuł niepoehamowany popęd do prac poważnych i uczonych; » p. Wojcickiego nakoniec, czemu jego « pielgrzym jest czysto-ehistoryczną osobą? » Ale co tu mówić o tém, kiedy tenże p. Wojcicki nieunużony trudem kompilowania tomów naszej nieśmiertelności, powtarza ciągle, że « rozmowy rozwlekłe unurzają; » kiedy jakiś sensat z Kowieńskiego, w liście do *Gazety Codziennój*, nauczając jaką powinna być krytyka, każe pamiętać o młodzierzy.

W teje gazecie wszakże napotykalismi nieraz odezwy z użalaniem się na psucie języka. Jedna z nich poczynala się w te słowa : « Konwencyonalna cywilizacya jest faktem prosperujacej literatury w naszej generacyi, a jej rezultatem tendencya do studyów ścientificznie skombinowanych w felietonach, produkujacych sympatyczne pozy, werwy i sezony... » Autor umyślnie zbierajac te cudzoziemskie wyrazy w jeden okres, chcial dac próbke jak język nasz *prosperuje* obecnie; ale zwrócił uwagę na wadę mniej szkodliwą, chociaż mocniej uderzającą w oczy. Prawda, że jak przed kilkunastu laty, w zapędzie puryzmu chcąc uniknąć wyrazu *dyliżans* i przetłumaczyć « *sous bande* » posyłano « *skorochodem podopaską*, » albo zamieniano pantofle na *cichostepy*, tak znowu teraz dano nieograniczony paszport do naszego języka cudzoziemskim wyrazom i wyrażeniom, a nawet formom kaleczącym nazwiska polskie. Zdarza się czytać, że « pani Dunin *debiutowała*, a o pannie Gąsowicz nie wspominalismi dotąd. » W urzędowych nawet piśmiech znajdujemy : « dano pozwolenie panu Mikołajewicz. » Przyjdzie może do tego, że będziemy mówili i pisali : zwycięstwo odniesione przez hetmana Chodkiewicz. Prawda również, że pisarze nasi głośni w kraju, pozwalają sobie bez miary i potrzeby maczać pióro w cudzoziemczyźnie. P. Padalica wywiózł z Paryża postrzeżenie, że « *burżoa* paryzki *izoluje* siebie i radby *izolować* kraj cały. » P. Kaczkowski otacza swego Sta-



roste Hołobuckiego, *kremą* warszawskiej publiczności, a któryś tam z bohaterów powieści przewidując *szanse* różne, nie chce stanąć na *terrenie*. Autor Podróży Domatora w *Kronice Warszawskiej* dowodzi, że «bohaterstwa nie można *oktrojować* jak kartę konstytucyjną.» A i pan W. Szymanowski, który tak nie lubi Francuzów i francuzczyzny, mówi sobie «*debiut* powieściopisarSKI» i t. d. Wszystko to jednak nie zadaje ciężkiej kłęski, nie brudzi głębi języka. Wyrazy cudzoziemskie, całkowite czy przegryzione, będą zawsze unosily się na jego powierzchni, i kiedy prąd myśli ojczystej wzbierze w nim silniej, spłyną jak wszelka pleśń i nieczystość spływa. Gorzej, że nieumiejętność, płochość, a przytém zarozumiałość, łamiąc najistotniejsze zasady gramatyki, gwałcąc naturę polszczyzny, tworząc dziwolągi z rodzimych jój pierwiastków, wprowadza wyrazy i formy, które nie tak łatwo dadzą się wyrzucić. I co większa, dzieje się to częstokroć dobrodusznie i poważnie w imię obrony języka.

Jakiś recenzent w *Dzienniku Lwowskim*, zarzucając rozbieranój książce, że «językowi jój zbywa równo na czystości jak na literackim wyrobieniu» dodaje: «nasz język pismienny w owój epoce był *niewystwobodzony się* jeszcze z form łaciny...» Któryś feletonista *Czasu*, oburzając się na korespondenta tegoż dziennika za wyraz *spontanicznie*, woła z zapałem: «Nie, panowie, tak nam język kaleczyć się nie godzi.» Niebacznosc na to, że słowa przeczące wymagają drugiego przypadku, większą wyrządza szkodę, niż wszystkie *spontaniczności*.

Co się tyczy uchybień podobnego rodzaju, darmobymy usiłowali wszystkie je wyliczyć. W samém przypadkowanu popełniają się codzien takie błędy, które za lepszych czasów biędny student opłaciłby ciężko. Alboż nie napotykamy po wszystkich naszych czasopismach i dziennikach «pięknych *paniów*» których «amatorzy» wielbiąc dla ich «oczów i oczków» dopuszczają

się śmiałych «objaw i żądań.» Trudno tu narzekać na gmin pisarski, kiedy tacy dostojnicy jak p. Kraszewski, zapewne już nie przez błędne wyrozumowanie, posyłają pismo «**krewnie Radziwiłłownéj**» nie zaś krewnéj Radziwiłłownie. Największą biędę nowi pisarze nasi mają z imionami liczbowymi i zaimkami. «Los *obojga* pomników» powiada recenzent tłumaczeń Igora. «Było *dwoje* osób» pisze Szeliga z Płocka. «Już *dwojgo* zmarłych przeszło bramę» mówi, o dwóch gladiatorach płci męzkiej, pan Lenartowicz. «Jestto konieczne zadanie historyka — prawi pewien korespondent — i byli tacy co *go* podejmowali.» Kogo podejmowali : zadanie czy historyka? «To samo pytanie, chociaż już tyle razy odpowiedziałem na *niego*» mówi nam p. Kaczkowski w Bajroniście.

Cóż dopiero kiedy przejdziemy do czasowania, a bar-dziej jeszcze do składni. Jaki tam zamęt w rządzie słów i przysłówków! Wyszło to już zupełnie z pamięci, że należy pisać : będę miał, nie zaś będę *mieć*, będziemy słuchali, nie zaś będziemy *słuchać*. Weszło zato we zwyczaj, słowa dokonane wciskać gwałtem w niewłaściwą im formę czasu teraźniejszego, i mamy : wykonuje, wykonujemy, przekonujesz, przekonują. Czytamy w *Bożej Czeladce*, że «człowiek pogardzać musi swoje dzieciństwo» nie swoim dzieciństwem. W inném dziele p. Kraszewski «nie pojmuje kobietę inaczéj, tylko swawoli *narzędziem*.» Stańczyk u niego mówi : «Wymógł słowo, że mnie na dwór swój trefnisiem weźmie.» P. Wojcicki «z narodu którego naśladować miał za najwyższe dobro, naciągnął łuka, chciał ściąć buka.» Panu Kaczkowskiemu w Staroście Hołobuckim, wszystko «*ścielito* jak najlepszą drogę» — śmiałyby się «ile tylko śmiechu *stanęłoby* mu w gardle» — ale «dajmy już pokój o *tém*.» P. Mikucki w *Gazecie Warszawskéj* siedzi przy badaniach nad mytologią. Wyjątki z podróży p. Kremera uczą nas, że «Wenecya uznawała wyższość Carogrodu

*nad siebie.* » W listach p. Padalicy znajdujemy wiele « wyjąwszy *czterech pism.* » Amator muzyki Ad. B. z Kujaw « pojmuje chorobę do włoszczyzny. » Korespondent Poznański « cieszy się jedno *na drugie.* » *Czas* wzmiankuje na kierunek Austrii i *na* zaślubiny ks. Alberta, a przytém mniema, iż « *rzeczby się przeciągła.* » Marcin Kwieć w *Gazecie Codziennéj* « znalazł miejsce *jakie szukał* » i « *jakże to dokazał, co dokazał.* »

Z kilkunastu przytoczonych tu przykładów można już widać miarę, jak niebacznie i występnie nadwerężany jest organizm polskiego języka. Daleko bardziej zatrważające oznaki zepsucia dają się postrzegać w całkowicie przyjętych cudzoziemskich zwrotach mowy, w owych tak zwanych gallicyzmach, germanizmach i — dodajmy, w moskwiczymach.

Niedawno czytaliśmy w *Gazecie Warszawskiej* przechwałkę, że « u nas język konwersacyjny wyrabia się ciągle; autorowie nasi coraz więcej przykładają się ku temu, w powieściach naprzód, w dramatach następnie. » Obaczmyż, nie tykając dramatów, jak jeden z trzech koryfeuszów powieściopisarstwa, przysługuje się językowi narodowemu. P. Kaczkowski, prócz *scielenia* nam przed oczy *kremów, szansów i terrenów*, w swoim Staroście Hołubickim, taką pisze polszczyznę. « Przepraszam żem panią nie umiał *dopatrzyć.* — Pani zawsze najlepsze chęci *zdradzała* dla niego. — Jednak *on powróciwszy do domu, siła go opuściła.* — Jacek *znalazłszy się w swoim pokoju, najpierw się w nim obudziło uczucie.* » Są to frazesy dosłownie przełożone z francuzkiego, bez względu, że po polsku sensu nie mają. Znajdujemy tam przy tém na sposób moskiewski przykrojone: « zaczął rozglądać się *za* damami; nadanie pisemne wydane *po* wszelkiej formie. » Podobnież uczoney p. Nowosielski, pozwala sobie nietylko z moskiewska *wypisywać*, zamiast abonować, lub wreszcie zapisywać, ale zupełnie po rosyjsku powiada: « *z jakiejbyś strony nie jechał.* » I



czemużby nie miał tego czynić, kiedy P. Michał Grabowski, dający jemu świadectwo uczoności, wedle wzoru: «*kakby ne było*» kładzie: «gdziebykolwiek nie była scena jego opisów.» Jeżeli biegły w sanskrycie p. Nowosielski mówi, że «ładne twarzyczki *odżyły*,» to domyślaj się łaskawy czytelniku, że «*przeżyły* okres swój świetności.» Jakże więc potem zarzucać panu Rolle, że ma zwyczaj «*pomodlić się dawnym pamiętkom!*»

Takiego rodzaju wykroczenia, są już smutnym znakiem. Pokazują one, że myśl polska tracąc własnodzielność, staje się niewolnicą form obcych. Ścisłe mówiąc, mowa nasza te tylko ma przyrodzone swoje prawa, które można nazwać organicznemi prawami myśli polskiej. Nie mielibyśmy cechy narodowej, gdybyśmy w sposobie myślenia nie różnili się od innych narodów. Żle byłoby z nami, gdyby się ta cecha powszechnie zacieraa. Język nasz nie jest ani kamiennym, ani szklanym, nie da się on nigdy ująć w kształty pewnej liczby raz nazawsze wyszlifowanych kryształków, któreby obracane w kalejdoskopie tworzyły różnofarbne, a zawsze symetryczne postaci. Prędzej można go porównać do bryły czystego złota, zdolnej w ogniu uczucia stać się płynną i pod siłą swojskiej myśli posłuszną najdelikatniejszym jój skinieniom. Ale kiedy z tego złota zechcemy odlewać cudze bałwanki lub cacka, nie obejdziemy się też bez przymieszki obcych kruszców. Ztądto pochodzi natłok cudzoziemskich wyrazów, wcale nawet zbytecznych i niepotrzebnych. Myśl idąca drogą cudzoziemską, spotyka się koniecznie z wyrazem cudzoziemskim, któryby ominęła wzięwszy wzrót polski. Częstoż się znowu chęć zastąpienia wyrazu obcego niby swojskim, bez zejścia na swojski tok mowy, wyradza dziwołagi. Strach bierze, zastanawiając się nad tém, jak u nas tępieje to czucie ucha, które ostrzegać powinno Polaka o każdym fałszu w mowie. Jeżeli zwyczaj narodowy, tradycya w żywym głosie społeczeństwa po-

czną niknąć, trudno je zastąpić rozumowaniami wywodami prawideł, bo te, często oparte na pozorach dźwięku, łamią wewnętrzne prawa języka. Ściągnięcie piśmiennictwa naszego do ognisk miejskich, przyczynia się wiele ku zatracie zdrowego czucia i smaku w mowie. Salony, teatru, feletony wskrószyć przejęte francuzczyzną, roznoszą ją po warstwach wyższych. Niżej, na bruku, rodzą się wyrażenia trącające innym żywiołem. Niektórzy z niemiecka i szewiecka piszą: « *szukują się* u nas dwa przesiewzienia, *uszykowało się wesele*. » Niektórym brakuje właściwych wyrażen na rzeczy najpospolitsze w całej Polsce. P. Lewestam, literat krytyk, zapewne nigdy nie słyisał klekotania bocianów, i powiada, że bocian stojąc na gnieździe *stuka*.

Powchodziło dziś w użycie mnóstwo słów i wyrazów, nowo ukutych, albo w formie i znaczeniu przekręconych. Na wszystkich tych nowościach niceśmy nie zyskali, straciliśmy wiele. Cóż nam z tego przybyło, że prowincjonalne i trywialne *li* stanęło obok *tylko*? Jaki ztąd pożytek dla poprawności albo ścisłości języka, żeby nie jezdzić już parą, ale parą koni? Jakiem prawem i dla jakiej potrzeby tak zamąciliśmy znaczenie słów: *zdradzać* i *zapoznać*, że z jasnych i dobitnych stały się dwuznacznymi i wątpliwymi? Niemożna tego darować szczególnież najznakomitszym pisarzom. Niechby już pan Kaczkowski *zdradzał* swoje najlepsze chęci, ale za co pan Kraszewski pisze: « technika ogromną wprawę *zdradzająca* » kiedy tu wybornie mógł powiedzieć *pokazująca*, a we wszystkich podobnych zdarzeniach ten niewłaściwy wyraz zastąpić innym właściwym. Wynika ztąd zdrada prawdziwego znaczenia, i trudno będzie rozumieć co to jest być zdrajcą, kiedy będziemy mówili, że ktoś rysami twarzy zdradza swą ojezyznę. Wiedzieliśmy dobrze co znaczyło *zapoznać kogo z kim*; teraz *zapoznać* użyte na wyrażenie francuzkiego *meconnaître*, u wielu znaczy *nie poznać* lub *nie znać*. « Tripplin

wspomina dwunastu samobójców których *zapoznał* » mówi *Kronika Warszawska*, chcąc powiedzieć, że ich znał; a z dwunastu Warszawian, dziesięciu najmniej zrozumie przez to, że ich *nie poznał*, albo *zapomniał*. Podobnie ulegają sfalszowaniu albo skaleczeniu i niesłychanemu nigdy użyciu inne słowa, rzeczowniki i przymiotniki, a obok tego mamy niemało dzikich przybyszów do ich towarzystwa. Słońce zawsze lśniło i mogliśmy od jego blasku olsnąć, czyli oślepnąć; p. Lenartowicz wzbogacił nasz język *łśnicą* podobnie jak *klękem*, a *Kronika* obiecuje nam postaci królów *olsnione*, to jest *oslepione* wielkością swego panowania. Zwykle oddawaliśmy zaletom pochwałę, teraz p. Padalica każe « *Kuryerkowi* oddać *zaletę* » a sam zakreśla « *linije* *ciepłe* *i* *serdeczne*. » Dawniej stroili, dziś *prawią* koperczaki. Od wieków mówiono : zniżyć cenę; teraz zapewne z administracją rosyjską upowszechniło się w Warszawie *obniżyć*, przypominające *obnażyć*, i stosowniejsze do pewnej części ubioru niżeli do ceny. Płocki korespondent *Gazety Warszawskiej* *słabuje* na ubóstwo faktów. U p. Szymanowskiego zdanie moralne *wybitnieje*. P. Rolle *przystanął* raptownie. Halka poety Gillera *przykucnęła*. Bakałarz p. Wolskiego « *czochnął* się lewem ramieniem jakby mu niewygodnie było w tużurku. » *Czas* donosi, że « młodzież *chałasząc* chciała się oprzeć policji. » Syrokomla dla rymu mówi, że « jezioro w falach wszystko *wykolycha* » a prozą przyznaje jednej aktorce, że « ma wiele dobrych *danych*. » *Gazeta Codzienna* uczy, Japończycy mają « *wytrzyszczowate* oczy i na *puculowatej* twarzy *dzioby*, dowodzące, że nie znają szczepienia ospy. »

Od czasu jak poczęto u nas, zgodnie z fabrycznym duchem epoki, *obrabiać* i *urabiać* wszystko, nawet « *wady społeczne* w dramatach » język nasz *urobił* się szpetnie. Zdaje się że nowe « *gminoruchy* sprowadziły mieszanie się plemion. » Pokazały się dziwne *przejawy* życia *skonicznione* jedne drugimi i *przewrót* nastąpił.



Mamy zato wzrastającą *poczytność* i książki coraz bardziej *hołubią* do siebie. Chcieliśmy dalej prowadzić ten smaczny *jadłospis*, *uwypatniający* postępowość krainy *lesiój*; ale *uwzględniwszy umiar* pojedynczych części, który nie zdaje się *licować ze szpaltami* naszego pisma, i *k'woli nieumurzania* czytelnika, gdy nam *teszno* za końcem tego *przedłożenia*, zamiast *orzekać we* wielu kierunkach, liczymy *przyczynki umnicze*, *wyglósimy* prawdę *li* tylko *paru* wyrazami, i to już zwykłym *pokrojem* « drogiej nam mowy przodków » chociaż *takowy* jest *zmurszały* i *niezdarny*.

Wszystkie wyrazy i wyrażenia, któreśmy w niniejszym artykule wytknęli, nie są zgoła wymyślone lub naciągnięte. Wyjęliśmy je żywcem z miejsc, które w potrzebie moglibyśmy oznaczyć liczbami stronic. Mała to jest cząstka uzbieranych notatek, bo niepodobna było przytaczać wzorów nowego stylu, wymagających powtarzania całych okresów. Mamy u siebie także rubrykę na zapisywanie nowości, któreby można nazwać szczęśliwemi nabytkami; ale w tej jeszcze niemal zupełna próżnia. Trudno tedy przyznać pismienictwu dzisiejszemu zasługę pod względem języka narodowego. Czyja w tém wina i na kogo się żalić?

Bezwątpienia, pierwszorzędni pisarze nasi w kraju, czytani i wielbieni powszechnie, muszą część odpowiedzialności przyjąć na siebie. Nie dlatego żeby ich własne grzechy miały być ciężkie i częste, ale że zanedbywaniem się lub pobłażaniem znoszą do reszty karność w obozie ruchawki pismieniczój. Ta święta bojaźń, co dawniej przejmowała każdego kiedy brał pióro do ręki dla odezwania się publicznie, to poszanowanie uszu czytelnika, które kazało ważyć każdy wyraz przed oddaniem go do druku, zupełnie są nieznanne obecnemu pokoleniu. Piszący nie wahają się dzisiaj stawać przed całym krajem w szlafroku, rozmamani, pół senni i nieuważni na obyczajność. Owe *cztery litery*, których

nawet wzmianka nie uchodzi w przyzwoitem towarzystwie, podają się teraz « pięknym czytelniczkom » *in crudo* i we wszystkich formach pochodnych, naiwnie i *gromko*. *Kału*, *chłystków*, *flejtuchów* i *flonder* pełno w utworach naszych *uznanych* turystów i estetyków. Nietylko korespondenci ale i autorowie pozwalają sobie tych *miejsowości*, które za obrębem ich powiatu, parafii i miasteczka są niezrozumiałemi, albo rażą powszechny zwyczaj narodowy. Źle kiedy znakomity pisarz nastęrczy albo upoważni jaką nowostkę tego rodzaju. Podamy malutki przykładzik.

Wiecznie u nas przysłówek *podobno*, kończył się sobie okrągło i dobrze mu z tém było. Zdało się panu Siemieńskiemu, że mu będzie raźniej z ogonkiem, i przyczepił *s*. Zrobiło się tedy *podobnoś*, które szasta się nieznośnie w broszurze pełnej niedokładnych wiadomości, napisanej wprawdzie *na razie*, ale bez należytej « *poszany* tego co w wyższej sferze panuje. » P. Kraśzewski, z dobrego humoru czy z przyjacielskiej uprzejmości, zwrócił uwagę na eufoniczny przyczynek, i w tenże sposób kilka razy położył *ponoś*. Teraz już niemal codziennie możemy spotkać się z *podobnoś* i *ponoś*.

Jakkolwiek wielcy i mali pisarze nie są bez winy, główna jednak przyczyna leży w samej naturze rzeczy, w samym gwałtownie do nas przeniesionym i natężanym ruchu piśmienniczym. Nagłe potrzebowanie towaru pociąga za sobą ladajaki wyrób. Trudno temu zapobiedz. Niechaj kto, na przykład, spróbuje uprosić korespondentów dziennikarskich, żeby mieli litość nad biednym językiem. Mają oni o czém ważniejszym myśleć. Jeden z nich, dyplomatycznie pod wielą postaciami występujący w *Czasie*, « nie może nie odpowiedzieć krytykom, że korespondencya polityczna, nie jest pracą literacką, lecz *kolanową* i nawet *abnegacyingą*. » Idzie mu przedewszystkiém o « dobre informowanie czytelników. » Donosi więc im, że « Czarnogórcy nie

mówią tylko po czarnogórsku »—a zapewne wszelkiemi innemi językami; że « odślonione tyły cesarskiej biblioteki piękny przedstawiają widok; że cesarz przycisnął Francją nogą do muru » i wiele innych przedziwnych rzeczy. Zatem « linii swego postępowania nie zmieni » i jak robił « tak robić będzie dalej. » Praca *kolanowa* jest razem *łokciową*, mierzy się długością kolumn — trzeba dać jój pokój.

Nie szukając tedy dalej winowajców, zastanówmy się lepiej, jakby choć trochę zaradzić złemu.

Wypadałoby może odezwać się do naszych słynnych gramatyków, czy « lubowników i uprawiaczy » ojczystej mowy, i prosić ich, aby odrywając czasami wzrok od ciemnej głębi swoich badań, raczyli spoglądać na świat biały, gdzie ta mowa potrzebuje rychłego ratunku i codziennój obrony. Ale i to darmo. Panowie ci także nie mają czasu : toczą między sobą zawzięte spory, albo zawierają sojusze obiecujące przewrócenie i przebudowanie naszego języka z gruntu. P. Żochowski kłóci się z księdzem Malinowskim o to, czy należy mówić *kaszę* lub *kaszlam*, *miótt* czy *mett*, a « musnąwszy po samych końcówkach słowa, jak jaskółka nad powierzchnią wody » utrzymuje zgodnie z panem Morzyckim, że pomnażać liczbę konjugacyj u nas jest daremnie, « bo czy ich byłoby 3, czy 6, tyle nauczyłyby co jedna, to jest nie. » Ten zaś pan Morzycki oświeca nas, że *sprowomian* (vulgo *słowo* alias *verbum*) ma konarów, gałęzi i liści 10,876; a jak powinniśmy nazywać słowo *sprawomianem*, tak imiesłów *sprawomiotnikiem*, lub *przysprawcą*, przysłówkę *dosprawianem*, rzeczownik *istotnikiem*, przyimek *stosunnikiem*, zaimek *zamiannikiem* i t. d. i t. d. Końca tu nigdy nie będzie. Żlebyśmy wyszli czekając z plamami, nim ci panowie chemii nas wyuczą. Dajmy i im pokój.

Ostatnia tedy pozostaje ucieczka do sposobu praktycznego i znanego dawno, tylko zaniędanego u nas



straszliwie. Oto ze wszystkich sił wołajmy do Szanownych Wydawców i Redakcyj o porządnych korektorów. W Paryżu, chociaż język francuzki jest jednym z najbardziej wyrobionych i ustalonych, wszystkie znaczniejsze wydawnictwa i dzienniki mają ludzi specjalnych, wyłącznie zatrudnionych pilnowaniem poprawności języka i stylu. W *Revue de deux Mondes*, pan de Mars nic innego nie robi tylko wygląda artykuły, choćby te były samego Guizota. Firma Zawadzkich w Wilnie, wiele dobrej swojej sławy winna skromnemu regentowi Dworzeckiemu, który za ś. p. Józefa Zawadzkiego ojca, był nieubłaganym wykonawcą sprawiedliwości na rękopisach młodszych i starszych pisarzy. Nie troszczmy się o to, że w braku powszechnie przyjętych prawideł, korektorowie mogą nie zgadzać się między sobą. Byleby rozumieli dobrze, że język, który wystarczał Mickiewiczowi i Mochnackiemu, może wystarczać jeszcze dzisiejszemu piśmiennictwu, byleby nie dali go wykrzywić, zdziwaczyć i zaszargać, będzie z nich dosyć nateraz. Chociażby Firmy i Redakcye różniły się pod względem zasad gramatyki i pisowni, wiadomo byłoby przynajmniej z kim szukać sprawy i droga do porozumienia się kiedykolwiek, stawałyby się łatwiejszą. Nie taimy zresztą, że policya korektorska, w dziennikarstwie mianowicie, jest do zaprowadzenia i utrzymania bardzo trudną, bo tego mamy doświadczenie na sobie samych; ale nie usiłować w téj mierze, byłoby zaniedbaniem wielkiej powinności.

---

## NIEMCY I KOLEJE ŻELAZNE.

---

26 grudnia.

Dochoǳą nas ciągle wieści o głębokim a nader bolesném wzruszeniu, którego doznała Warszawa z powodu skutków oddania kolei żelaznej w Królestwie Polskiem Niemcom i Żydom z Rossyanami połączonym. Wprawdzie rząd Królestwa czy też nowa administracya kolei starały się obszernými wywodami, w niektórych dziennikach ogłoszonými, uspokoić zniechęconą opinią, ale żaden z tych artykułów, o ile wiemy, nie osiągnął celu, bo żaden nie mógł zmienić ani ukryć ducha, w jakim owa koncesya kolei była uskutecznona.

Dwa, jak wiadomo, towarzystwa ubiegały się o pozyskanie kolei warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-bydgoskiej. Jedno, złożone z wielkich posiadaczy i kapitalistów polskich, wszedłszy w porozumienie z niektórymi bankierami zachodnimi, należącymi do kompanii dróg rosyjskich, tém bliższém zdawało się być celu swego, ile że dla zakrycia się od prześladowań, z którymi walczyć musi każde przedsięwzięcie polskie pod rządem rosyjskim, wciągnęło do grona swego kilka znanych imion rosyjskich. Ale co miało być zasłoną dla Pola-

ków, to właśnie tém mocniejsze obudziło podejrzenia i skłoniło rząd do nagłej, a przez opinią publiczną najmniej spodziewanej decyzji. Inna kompania, z Żydów i Niemców złożona, objęła administracją kolei. A chociaż rozgłoszono, że co do wyboru urzędników kolei « przy równych warunkach dawaném będzie zawsze pierwszeństwo krajowcom, » położono jednak za zasadę że wszystka rachunkowość téj administracji prowadzoną być ma po niemiecku, *że zatém nikt na urzędnika dróg żelaznych w Królestwie polskiem przyjętym nie będzie, kto języka niemieckiego z całą niezna dokładnością!*

Nie weźmie tu nam podobno nikt za złe, że na pierwszym miejscu nasunie nam się uwaga, jak dotkliwie zawiedzeni zostali ci wszyscy, którzy porzuciwszy emigracyjne szeregi, wrócili do kraju w nadziei umieszczenia się przy kolejach. Ale ta okoliczność przypomina także na jak srogi los skazane jest to nieszczęśliwe Królestwo Polskie, któremu nie tylko język rossyjski jest narzucony, ale jeszcze pod rządami rossyjskim, niemiecki. Nie pierwszy to raz zdarza się, że Moskwa nie mając dość siły na zgębienie polskiego narodu, Niemców na pomoc przyzywa. Po tylekroć oddawała ona Niemcom działą naszą ziemi, które ich do dziś dnia utrzymują w spółnictwie zbrodni. Téj samój polityki trzymał się cesarz Mikołaj, chociaż przed swoim i obcemi narodami głosił się zbawcą i naczelnikiem Słowiańszczyzny. Zniósłszy po roku 1831 wszystkie niemal instytucye naukowe i odjąwszy nam wszelką możność rozwijania sił swoich intelektualnych, zmusił, nie bez uszczerbku dla ducha narodowego, wielką część naszej młodzieży do czerpania światła tam, gdzie było najbliżej, to jest w Niemczech. Podobnie, systematyczne utrudnianie wszelkich przedsięwzięć przemysłowych lub handlowych, o ile przez Polaków były podejmowane, musiały nawet przemysł i handel w kraju naszym zmienić



w germanizujące potęgi. Pod rządami generałów rosyjskich Paskiewicza i Gorczakowa, może Niemiec, jak niegdy za czasów pruskich, wykrzyknąć z dumą: *es wird alles bis nach Warschau germanisirt!* Wiadomo również, że za cesarza Mikołaja, kiedy się nie udawały moskiewskie w Królestwie Polskiem kolonie, sprowadzano na gwałt w Płockie, Lubelskie i Augustowskie osadników niemieckich. Dziś cesarz Alexander poszedł dalej. W jednej z prowincyi polskich, pod rossyjskim namiestnikiem, otwiera administracye, urzędy i bióra niemieckie!

Ale jeżeli Moskwa w swęj odwiecznej ku Polakom zjadłości z każdym, na naszą zgubę, gotowa jest sprzymierzyć się; jeżeli nie czuje tego wstydu i hańby, które na nią w oczach Słowiańszczyzny i całej Europy spadają za owe germanizowanie polskich ziem, to zaprawdę podziwiać trzeba odwagę owych szlążkich magnatów, Hohenlohów i Renardów, którzy mimo bogactw w jakie opływają, dla zysku którym dzielić się muszą z żydami zmoskwiczonymi, godzą się na wyrządzenie nowęj a tak krwawęj krzywdy dość już uciśnionemu narodowi. Przecież Niemcy umieją, kiedy im potrzeba, upomnieć się o prawa swojej narodowości we włoskim Tyrolu lub w duńskich księstwach! A jeżeli już do szlachetności obcych odzywamy się, cóż powiedzieć o tych kilku panach polskich, którzy zasiadłszy w kompanii germańsko-żydowskiej, nie czynią, o ile słyszymy, żadnego starania aby kraj od tęg nowęj niemieckich urzędników szarańczy zasłonić!

Musimy wkońcu dodać, żeśmy słyszeli o zarzutach czynionych niedoszłemu do skutku polskiemu stowarzyszeniu, jakoby nie umiało wziąć się do rzeczy *praktycznie*, to jest dopomodz sobie środkami znanými, zbyt często używanými. « Nie są, mówiono nam, Rossyjanie tak trwożliwi, iżby obawiać się mieli stowarzyszeń polskich opartych na finansach. Gdzie indziej trzeba

szukać téj przeszkody, która rozbiła polskie przedsiębiorstwo. Nad każdą kompanią przemysłową, w Rosyji i w Królestwie Polskiem, przełożeni są dozoruający urzędnicy, a decyzya w podobnych sprawach musi koniecznie oprzeć się o najwyższe osoby w ministerstwie lub w Komisji Spraw Wewnętrznych. Tego rodzaju przemożnym dignitarzom, zwłaszcza do arystokracji moskiewskiej należącym, trudno jest od stowarzyszenia z polskich panów złożonego przyjmować opłaty i podarki pieniężne. Daleko łatwiej zapewne przyjdzie im ułożyć się z Niemcami, którzy wiążąc się w kompanię bez względu na dobro kraju, samego tylko szukają w nim zysku. Wszak i w prowincyach zabranych słynęli niektórzy generał-gubernatorowie nieposzlakowaną prawością, kiedy o małe chodziło korzyści; ale gdy rzecz szła o krocie i miliony, umieli zdaleka naciągać sprawy i z wielką przebiegłością układać polityczne pozory. »

Gdyby wistocie tak było, to doprawdy żal pomyśleć co się stało z ową tak sławioną, moralną poprawą nowéj administracyi Królestwa. Wiadomo, że książę Gorczakow, znany zarówno z swéj nienawiści do Polaków jak z bezinteresownego rossyjskiego patryotyzmu, do fizycznój słabości swego wzroku łączy dziwne zaślepienie do ludzi którzy go otaczają. Zatem nieraz podpisuje on papiery których nie czyta, i nie domyśla się nawet jak często pewne głębokie i przemądre plany są tylko misterną i szeroko zastawioną siecią na zyski pieniężne. Nie powiemy, aby charakter prywatny namiestnika szedł ztąd u ludzi w podejrzenie, ale też, trudno zaprzeczyć, kraj nie wiele zyskał na owém ogładzeniu i upozorowaniu zawsze jednakich w gruncie nadużyć. Czyja w tém wina? Wszakże nie tylko książę Gorczakow, ale sam cesarz Alexander nie jest w stanie oczyścić swéj biórokracyi z wad, które zdają się być do pewnego stopnia od natury rossyjskiéj nieodłączne.

Ale choćby i tak było, choćby rozchwiania się pol-

skiego przedsiębiorstwa, tylko owa «*niepraktyczność*» jego założycieli była przyczyną, choćby kraj miał stracić korzyści niewątpliwe z polskiej administracyi, tylko dlatego, że nie chciano udać się do przekupstwa, mamyż brać za złe tego rodzaju zaniedbanie? Wiemy o tém, że w wojnie (a nasza wojna z Moskwą trwa ciągle) godziwe są pewne środki, które sumienie publiczne zazwyczaj potępia, ale my przeto nie potępim braci naszych, że w trudnych i dotkliwych któremi ich Bóg próbuje przejściach, nie szukają ulgi tak powszedniej a tak bolesnej i upokarzającej; że sprawy naszej albo choćby cząsteczki téj sprawy, podłemi nie wiodą drogami, i nie wiążą jej z ludzką nikczemnością. Bo nasze nadzieje inszą, niż ludzkie zepsucie, muszą mieć podstawę, a środki łatwe i wygodne, właśnie dlatego że są łatwe, na mało nam się przydadzą. Bo wreszcie nie kupionemi od nieprzyjaciela pomocami, ale tylko własną naszą cnotą i własną dzielnością dosłużyć się możemy trwałego zwycięstwa.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





DZIEŁA STARANIEM LUB NAKŁADEM BIBLIOTEKI

POLSKIEJ WYDANE :

- J. U. NIEMCEWICZ. — Podróże historyczne po ziemiach polskich, między r. 1811 a 1828 odbyte. Paryż, in-8, maj 1858.
- J. U. NIEMCEWICZ. — Notes sur ma captivité à Saint-Pétersbourg, Paris, in-8, 1841.
- ALBERTI DUCIS PRUSLÆ. — Marchionis Brandenburgensis, Libri de arte militari. Lutetiæ Parisiorum, in-fol., 1858.
- LETTRES DE PIERRE DENOYERS, secrétaire de la Reine de Pologne, Marie-Louise de Gonzague (1656-1659). Berlin, in-8, 1858.
- KARTA DAWNEJ POLSKI z przyległemi okolicami krajów sąsiednich. Paryż, 1859, ark. 48.
- X. KRZYSZTOFA RADZIWIŁŁA H. P. L. Sprawy wojenne i polityczne (1621-1659). Paryż, in-8, maj 1859.
- LESCŒUR. — L'Église catholique en Pologne sous le gouvernement russe. Paris, in-8, 1860.
- X. A. CZARTORYSKI. — Żywot J. U. Niemcewicza. Berlin, in-8, 1860.
- PRZEWODNIK NAUKOWY W PARYŻU dla młodzieży polskiej. Paryż, in-12, 1860.
- INVENTARIUM privilegiorum, literarum, diplomatum quæcunque in archivo Regni Poloniæ continentur. Lutetiæ Parisiorum, in-8, maj 1862.
- RELACYE NUNCYUSZÓW APOSTOLSKICH i innych osób o Polsce (1548-1690). Berlin, in-8, maj, tom I, Il. 1864.